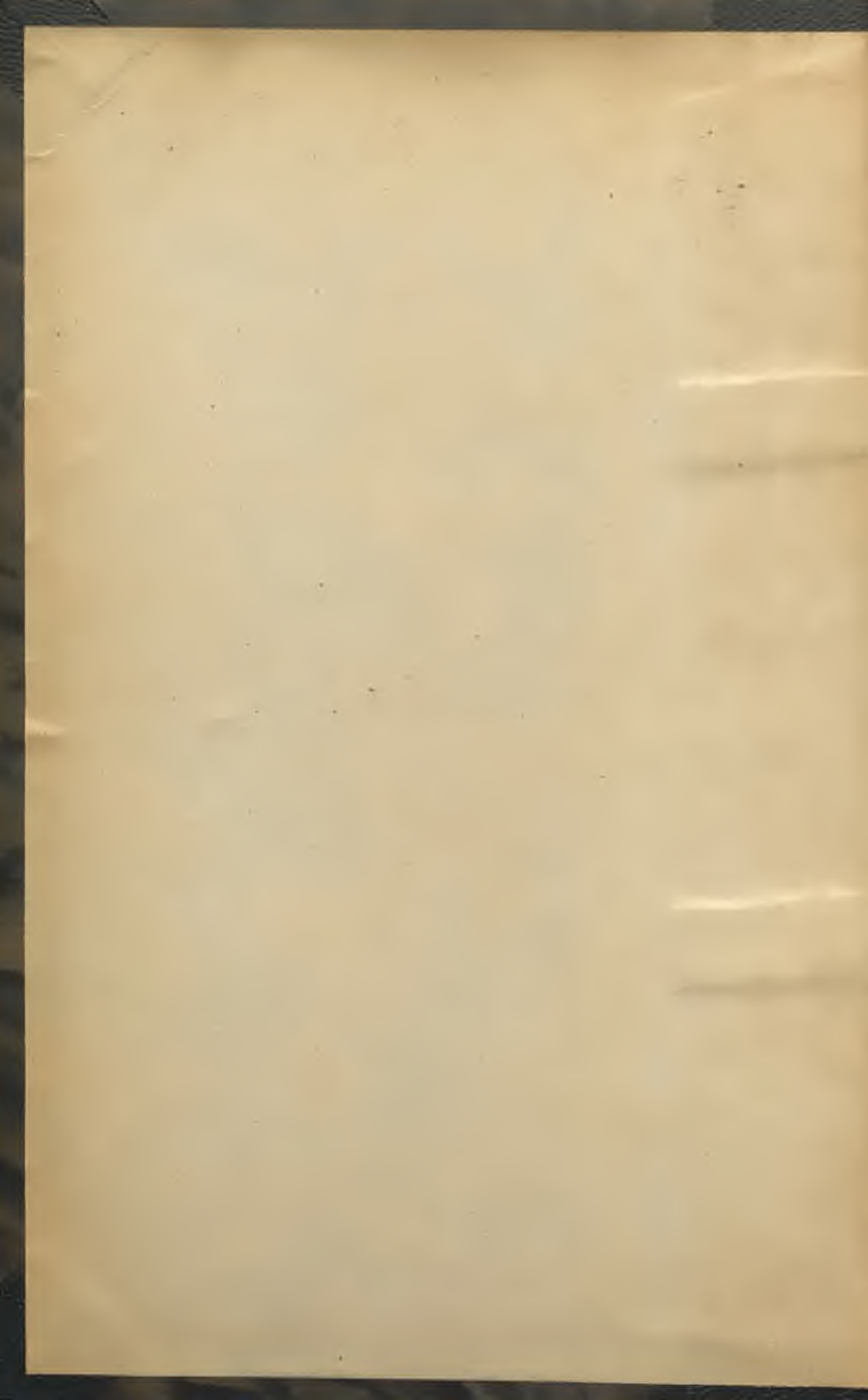


Biblioteka Sejmu Śląskiego

4501

1894. 19. 2







BOOK IX.

K W A R T A L I.

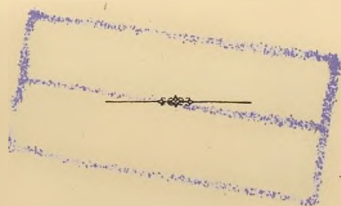
Miesiąc:

Lipiec, Sierpień, Wrzesień.

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK IX.

Zeszyt I. Miesiąc Lipiec 1874.



Nakładca i odpowiedzialny redaktor L. Powidaj.

W KRAKOWIE

W Drukarni Leona Paszkowskiego

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1874.

4501. 1874. 9. 1-2

II



30,000, /

X-11135
4501
II

/R.9/1874

SPIS RZECZY

zawartych w tomie IX.

Najnowszy rodzaj powieści (Um Szepter und Kronen) Zeitroman von Gregor Samarów Stuttgardt r. 1873 (dokończenie) . . .	3
Pochwała Jana Henryka Dąbrowskiego, z polecenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, napisana przez Kajetana Koźmiana	52
Studia do Historji nowego cesarstwa w Niemczech, (dokończenie) przez Ignacego Skrochowskiego	96
Arya tragedia w trzech aktach wierszem, przez Józefa Kościelskiego	159
Rząd pruski i książdz Prymas Ledóchowski, przez Stanisława Tarnowskiego	257
Moralność i Wiedza, jako czynniki w Historji, przez Józefa Szujskiego	337
Bezkarność, przez Stanisława Koźmiana, z uwagami wstępniemi, przez **	359
Homer w polsee, Przegląd polskich tłumaczeń Homera, przez Hugona Zatheya	389
Korespondencya z Poznania, przez Karmazyna. **, ** 126, 317, 441	
Przegląd literacki, przez Ludwika Powidaję, Bronisława Zaleskiego, i Ignacego Skrochowskiego	449
Kronika bibliograficzna z r. 1874	322, 477
Teatr, przez Stanisława Tarnowskiego	132
Sprawy ekonomiczne, przez Starowieyskiego	486
Przegląd polityczny, przez Stanisława Koźmiana, i Ignacego Skrochowskiego	151, 330, 488

NAJNOWSZY RODZAJ POWIEŚCI.

(Um Szepter und Kronen).

Zeitroman von **Gregor Samarow** Stuttgardt r. 1873.

(Dokończenie).

W Wiedniu.

Radość ze zwycięstw odniesionych na polach włoskich nie trwała długo; z Czech co raz smutniejsze nadbiegały wiadomości, a przegrana pod Königsgrätz wywołała przestрах i przerażenie w umysłach stolicy. Cesarz temi wiadomościami był przygnieciony, w Benedeku pokładał ufność bez granic, tygodniowa kampania rozwiązała wszystkie złudzenia.

Boleść monarchy była nie do opisania, wysławszy hr. Mensdorffa do głównej kwatery, aby na miejscu przekonał się o stanie rzeczy, zamknął się w swoich pokojach, nie komunikując się z nikim; tylko generał adjutant hr. Crenneville miał wolny przystęp do niego.

W takiej to chwili moralnej prostracyi major hanowerski von Kohlrausch przybył do Wiednia z własnoręcznym listem swojego króla. Generał Knesebeck zwyczajny reprezentant hanowerskiego dworu udał się z nim do hr. Crenneville z pośbą,

aby mu wolno było przedstawić Jego Cesarskiej Mości królewskiego wysłannika. Jenerał adjutant natychmiast żądaniu zadosyć uczynił. Przyszedłszy do przedpokoju, poprosił obu panów hanowerskich, aby się tu chwilę zatrzymali, a sam kazał się zameldować cesarzowi. Wpuszczono go bezzwłocznie. Monarcha siedział przy stoliku, na twarzy jego już nie ból, ale bezdenna malowała się rozpacz.

„Najjaśniejszy Panie“ rzekł do niego jenerał adjutant głosem rzewnego współczucia, „nie chceś zbyt znacznie oddawać się smutkowi, Austria oczekuje zbawienia od swego cesarza, nie ma nieszczęścia ani niebezpieczeństwa, aby je silna wola i nieustraszona odwaga usunąć nie potrafiły, ale jeżeli Wasza Cesarkn Mość zwątpi, cóż pocznie armia? cóż pocznie naród? Nie wszystko jeszcze stracone“ mówił dalej, „nieprzyjaciół poniosł także dotkliwe straty, być może, iż Mensdorff przywiezie nam jeszcze dobre wiadomości.“

Masz pan słuszość kochany hrabio Crenneville“ odrzekł cesarz ponuro. „Powiadasz że Austria wymaga odemnie odwagi i postanowienia, odwagę mam i gdyby od niej zależało zbawienie monarchii, zwycięstwo nie byłoby się nieprzeniewierzyło austriackiej chorągwi, istotnie coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że panowanie moje jest złowrogiem dla Austrii, uczyniłem wszystko, aby zwycięstwo zapewnić, na czele wojska postanowiłem człowieka, którego wskazywał mi głos armii i ludu, wszystko mię zawodzi.... w organizmie moim widzę niedostatek, który mi się nigdy tak jasno nie przedstawiał jak teraz: siłą mojego domu, siłą Habsburgów i Austrii było nie wzruszona, nieugięta przetrzymałość, która spokojnie znosi przeciwnieństwa losu, nie spuszczać nigdy z oka wytkniętego celu, która pod ciosem się gniewa, ale nie łamie, która umie cierpieć, czekać i zwyciężyć. Na tym przymiocie zbywa mi zupełnie, tej habsburskiej, specyficznej wytrwałości nie mam zgoła, i to jest mojem nieszczęściem! Mnie albo nadzieja w pomysłny skutek unosi na skrzydłach radości w regiony nadpowietrzne, albo zawód i niepowodzenie spychają w przepaść rozpacz! Potrafię walczyć, czekać nie umiem, potrafię się poświęcić, przetrzymać cios bolesny, to nad moje siły! A jednak silnym być muszę“ zawołał w końcu, „zapomnij kochany hrabio,

żeś mię tak długo widział słabym, czem większe jest nieszczęście, tem my większymi być musimy!“

Hrabia Crenneville wyraził wielką radość z powodu tego zwrotu w umyśle cesarskim. Zrot ten był bardzo na czasie, bowiem w przedpokojach czekał poseł króla hanowerskiego, którego teraz generał adjutant zameldował, dodając jeszcze: „że cios jaki spotkał jego Pana znosi mężnie i po rycersku.“ Ostatnie te słowa były ostrzeżeniem i zachętą.

Cesarz kazał wprowadzić generała Knesebecka,

Generał a za nim major weszli do gabinetu Franciszka Józefa. Cesarz podał rękę generałowi i rzekł:

„Z smutnemi wiadomościami przychodzisz do mnie kochany jenerale, serce moje jest przepełnione podziwieniem dla bohaterstwa króla Jerzego, boleję mocno, że tyle wysileń szczęśliwych nie spowodowało skutków. — Tutaj także nic pocieszającego nie zastałeś“ i jak gdyby pragnął w tej materii zakończyć rozmowę, pytające wejrzenie rzucił na majora von Kohlrausch.

„Najjaśniejszy Panie“ odrzekł generał, „przedewszystkiem proszę o pozwolenie przedstawienia Waszej Cesarskiej Mości majora von Kohlrausch przybocznego adjutanta mojego monarchy, od którego przynosi Waszej Cesarskiej Mości list jego własnoręczny.“

Cesarz powitał majora łaskawem skinieniem głowy i list odebrał. Przeczytawszy jego treść powiedział:

„Jego królewska Mość donosi mi w krótkości o katastrofie, resztę masz mi udzielić ustnie panie majorze.“

„Pan mój najmiłościwszy kazał mi oświadczyć Waszej Cesarskiej Mości“ powiedział major, „że uczyniwszy wszystko, chociaż bezskutecznie, co tylko mogło ubezpieczyć niezależność jego korony, za najstosowniejsze teraz uznaje przybyć tutaj do Waszej Cesarskiej Mości, wysokiego swego sprzymierzeńca.“

„I swojego przyjaciela“ dodał cesarz.

Major skłonił się i mówił dalej:

„Mam więc zapytać się Waszą Cesarską Mość czy wizyta i pobyt w Wiedniu króla nie natrafia na jakie trudności?“

Cesarz zaręczywszy że niczego bardziej nie pragnie jak uściskać bohaterskiego króla dodał z westchnieniem:

„Wprawdzie nie zastanie tutaj król silnego sprzymierzeńca, siły moje złamane i tylko z wyęzieniem wszelkich środków obrony może zdołam odwrócić katastrofę, zawsze jednak...”

„Król mój i pan“ odpowiedział major, „pragnie podzielić dobre i złe losy swego wysokiego sprzymierzeńca, którego sprawa jest zarazem sprawą jego, sprawą porządku i bezpieczeństwa Niemiec i Europy.”

„Przykład króla Jerzego“ odpowiedział cesarz, „doda mi odwagi i otuchy do wytrwania w obronie prawa i Niemiec. Powiedz pan królowi, że z niecierpliwością jego przybycia oczekuję, odpowiedź wygotuję natychmiast,”

Po tych słowach major skłonił się i wyszedł.

Jenerał Knesebeck pozostał jeszcze; cesarz miał go o wiele rzeczy zapytać, powracał bowiem z głównej kwatery bawarskiej i mógł nie jedno dać objaśnienie. Od niego dowiedział się Franciszek Józef, że armia bawarska należycie przygotowaną nie jest i skutecznej pomocy wojskom hanowerskim dać nie mogła. Jenerał z boleścią wyliczył cesarzowi błędy popełnione przez naczelnego hanowerskiego dowódcę, któremu król podobnie jak cesarz Benedekowi powierzył dowództwo na domaganie się opinii publicznej. Marsze jego i kontramarsze wprowadziły wprost armię hanowską w ręce Prusaków, a Bawarczykom ułatwiały możność ociągania się z niesieniem pomocy dobrym pretekstem, że nie wiedzą gdzie się wojska hanowerskie znajduje, bo zresztą tak było w istocie.

Dalsze objaśnienia Knesebecka zaniepokoiły bardzo cesarza. Dowiedział się z nich, że Bawarya i na przyszłość energicznie nie będzie mogła działać, a może i nie będzie chciała, że 8 korpus bez Bawarów nie zdoła nic ważniejszego przedsięwziąć, a pułki badenkie podobno zamierzają powrócić do siebie.

Wśród tego opowiadania zameldowano hr. Mensdorffa, Knesebeck chciał się cofnąć, cesarz go zatrzymał mówiąc: „Zostań kochany jenerale, wiadomości jakie ma mi udzielić mój minister i pana interesować będą.”

Sprawozdanie hrabiego było wielkiej wagi.

„Ponieśliśmy niezmierną klęską“ mówił, „armia jest w rozsypcie, zaledwie w kilku dniach można będzie pomyśleć o zebraniu i sformowaniu nidobitków, Jenerał Benedek miał słuszność donosząc Waszej Cesarskiej Mości że z taką armią zwyciężyć nie podobna, nie dorósł on także wypadkom. Jestto osobiście odważny człowiek, potrafi działać według danego planu w znanej mu dobrze miejscowości i przykładem własnym wojsko zelektryzować, tutaj jednak zupełnie miejscowości nie znał. Do tego nie był należycie wspierany. Sztab jeneralny wypracował plan, który trzeba było zmienić odpowiednio do nagłych i nieprzewidzianych poruszeń nieprzyjacielskich, jenerał na zmiany nalegał, wszystkie jego prośby i ostrzeżenia pozostały bez skutku. Na domiar złego, o odwrocie albo nie myśłano, albo lekkomyślnie sobie postąpiono, tak że żaden z oficerów nie znał linii odwrotu, a nawet komendanci pułków nie znali mostów po których odwrót mógł być być skutecznym, takim sposobem odwrót zamienił się w ucieczkę, ucieczka w zupełną rozsypkę.“

„Trzeba pod sąd oddać jenerała Benedeka“ zawołał cesarz.

„Nie jego Najjaśniejszy Panie“ odpowiedział hr. Mensdorff, „on wszystko uczynił co mógł, osobiście się narażał jak rzadko który z jenerałów, z sztabem swoim rzucał się na nieprzyjaciela, jakby na czele szwadronu, wszystko bezowocnie. Od łez się wstrzymać nie mogłem kiedy waleczny ten jenerał zbliżył się do mnie i prostemi wyrazy mi powiedział: wszystko straciłem krom życia niestety! Najjaśniejszy Panie można ubolewać że się mu powierzyło najwyższe dowództwo do czego nie miał potrzebnych przymiotów, gniewać się na niego, potępić go, nie podobna. Kogo należy pociągnąć do odpowiedzialności, to sztab jeneralny, domaga się tego armia, a wkrótce lud domagać się qędzie.“

„Kogoż obwiniają?“ zapytał cesarz.

„Obwiniają feldmarszałka porucznika von Henikstein i jenerał-majora von Krismanic“ odpowiedział hrabia Mensdorff, „czy są w istocie winnymi, to śledztwo wykaże.“

„Natychmiast uwolnić ich ze służby i powołać tutaj do odpowiedzialności“ rzekł cesarz. „Hrabio Crenneville! proszę się zająć wykonaniem tych rozkazów.“

„Nie mogę także zamilczeć“ mówił hr. Mensdorff, „że niesłychanie ciężkie zarzuty podnoszą przeciwko hrabiemu Clam-Gallas, obwiniają go o zwłokę w operacjach i nieposłuszeństwo rozkazom.“

„Hrabia Clam?“ zawołał cesarz, „to być nie może!“

„Dziękuję Waszej Cesarskiej Mości za to słowo; znam poświęcenie hrabiego dla osoby Waszej Cesarskiej Mości i dla Austrii i nie sądzę, aby w tym względzie był winnym, ale jest on moim kuzynem, należy do wysokiej arystokracji cesarstwa, opinia publiczna obwinia go i tem chętniej potępi, jeżeli mu się nie pozwoli publicznie uniewinnić, zatem proszę Waszą Cesarską Mość, aby i jego pociągnąć do odpowiedzialności.“

„Niechże i tak będzie“ rzekł cesarz, „poprosić go do Wiednia, potem zobaczę co zrobić wypadnie.“

Dalsze sprawozdanie hrabiego Mensdorffa brzmiało: Armia liczy jeszcze 180 tysięcy ludzi, w tej chwili niezdatnych wprawdzie do boju, ale reorganizacya ich długo trwać nie będzie, oszańcowany obóz pod Ołomuńcem pozwoli niedobitkom zebrać się i zładzić, tam generał Benedek się udaje, spodziewając się pociągnąć za sobą Prusaków i tym sposobem Wiedeń od inwazyi pruskiej ochronić. Na wszelki wypadek dla zaślony Wiednia potrzeba ściągnąć w jak najkrótszym czasie armię włoską, powołać Węgrów do broni, zawrzeć przymierze z cesarzem Napoleonem, a wtedy można mieć jeszcze nadzieję, że przynajmniej nic w Niemczech nie utracimy. Knesebeck całemu temu planowi potakiwał, cesarz słuchał z natężoną uwagą, z rysów jednak jego twarzy widać było zdziwienie i boleść. Prusacy pod murami Wiednia! to się zdawało niepodobnem, wyrzec się zwycięstw we Włoszech, jakże to bolesne, co znaczyły zaś wyrazy ministra: powołać Węgrów do broni, nie zdawał się pojmować wcale, cesarz odzywał się do wszystkich swoich ludów, a więc i do Węgrów, osobne odezwy do poszczególnych ludów, nie byłoż to uznaniem polityki opierającej się na narodowościach, przed którą radca Klidworth przestrzegał i przeciw której ministerstwo Schwarzenbeg-Bach tak usilnie walczyło. Każde też słowo hr. Mensdorffa potrzebowało komentarza.

„Czy sądzisz pan“ zapytał cesarz żywo, „że Węgry powiedzą jeszcze raz: „*Moriamur pro rege nostro?*“

„*Pro rege nostro*“ odpowiedział hrabia Mensdorff, kładąc nacisk na każdy wyraz, „powiedzą, jeżeli Wasza Cesarska M. królem węgierskim zostać zechce.“

— „Czyż nim dotąd nie jestem?“ zapytał cesarz, — „cóż mam uczynić, aby Węgrzy bić się chcieli w interesie Austrii.“

„Zapomnieć i przebaczyć“ odpowiedział hr. Mensdorff, „trzeba Węgrom zapewnić samodzielność pod koroną Świętego Stefana.“

Cesarz milczał.

„A armia włoska?“ zapytał po chwili.

„Trzeba ją jak najspieszej przywołać, aby Wiedeń zasłoniła i ruszyła przeciwko nieprzyjacielowi.“

„Cóż się stanie z Włochami?“ zapytał znowu cesarz.

„Włoch trzeba się rzec“ powiedział hr. Mensdorff z westchnieniem.

Cesarz przenikliwie spojrzał na niego.

„Włoch się rzec“ powiedział z wahaniem spuszczać oczy na dół.

„Włoch albo Niemiec“ odrzekł hrabia Mensdorff, „według mego zdania wybór trudnem być nie może.“

„Przykrem to bardzo dla mnie, że się w obec takiego wyboru znajduje“ wyszeptał cesarz po cichu.

„Pozwoli Wasza Cesarska Mość, że się jaśniej wytłumaczę, jeszcze przed wojną zwracałem uwagę na niebezpieczeństwo walki prowadzonej jednocześnie na dwóch teatrach wojny, przemawiałem już wtenczas za poświęceniem Włoch dla ratowania Niemiec. Wówczas można się było jeszcze spodziewać, że z obydwóch tych walk wyjdziemy zwycięzko, dzisiaj się łądzić już niepodobna. Jeżeli w Niemczech mamy utrzymać się przy tem co posiadamy, wszystkie nasze siły musimy w tym punkcie zkoncentrować, włoską armię potrzeba tutaj ściągnąć i arcyksięciu Albrechtowi, którego talent wojskowy tak świetnie się uwydatnił, powierzyć dowództwo nad wszystkimi wojskami, bo tym tylko sposobem zdołamy czoło stawić wypadkom. Na sprzymierzeńców niemieckich nie wiele możemy rachować, klęska pod Königgrätz fatalnie na nich wpłynie. Baden już odpadł.“

„Jakto Baden już odpadł?“ zapytał cesarz.

— Zaraz po moim powrocie, mając iść tutaj, wstąpiłem do kancelaryi państwa, tam zastałem już pismo księcia Wilhelma, w którym oświadcza, że wśród obecnych okoliczności musi odmówić dalszego udziału z wojskiem badeńskim przy armii związkowej“ odpowiedział hr. Mensdorff.

Wiadomość ta wzburzyła cesarza.

Po krótkim namyśle zawołał: „Kochany hrabio Mensdorff nie ma ofiary, którejbym dla Niemiec nie poniósł.“

Teraz dopiero zgodził się cesarz na odstąpienie Wenecji cesarzowi Napoleonowi, który ją znowu miał odstąpić królowi włoskiemu.

Po załatwieniu tej kwestyi zapytał minister znowu: „A co się stanie z Węgry?“

„Pomów pan z hrabią Andrassem“ odpowiedział cesarz po niejakiem wahaniu, i powiedz mi, czego się można z tej strony spodziewać.“

Skinieniem głowy pożegnał cesarz przytomnych.

Po niejakej chwili kamerdyner znowu zapukał do drzwi gabinetu cesarskiego i oznajmił, że hrabia Rivero prosi o posłuchanie.

Cesarz zrobił giest jak żeby prośbie odmawiał, po namyśle jednak odpowiedział: „niech wnijdzie.“

Kamerdyner wyszedł.

„Muszę go wysłuchać“ mówił do siebie cesarz, „obowiązany jestem być względem niego otwartym i szczerym.“

Drzwi do gabinetu otwarły się znowu i hrabia Rivero wszedł smutny i ponury.

„Przybywasz pan w groźnej chwili“ przemówił cesarz do niego, „wypadki ostatnich dni nie jedną pogrzebały nadzieję.“

„Świątych i sprawiedliwych nadziei nie godzi się grzebać“ odpowiedział hr. Rivero — „nawet, jeżeli nam los padnie pierwszej swe kości w grobie złożyć, nim je urzeczywistnić zdołamy, powinno się z całą ufnością przekazać je potomkom.“

Cesarz badawczo spojrział na niego.

„Tak całkowicie z nadziei się nie wyzuwam“ odpowiedział zakłopotany.

„Najjaśniejszy Panie!“ mówił hr. Rivero po krótkim przestanku, „o wielkiej katastrofie słyszałem tylko same ogólności, nie wiem jak można następstwom zapobiedz i co Wasza

Cesarska Mość uczynić zamierza, to tylko pewna, że we Włoszech wszystko do powstania przygotowane, moralna i wojenna potęga sardyńskiego króla złamana dzięki austriackim zwycięstwom, nadszedł właśnie moment gdzie muszę wyrzec stanowcze słowo, aby płomień rozniecić na całym półwyspie. Nim to jednak uczynię przyszedłem zapytać Waszej Cesarskiej Mości czy powstanie włoskie może liczyć na wytrwałe i silne poparcie austriackiej armii. Bez tego, poświęcenie byłoby bezowocnem, kosztowałyby wiele ofiar i tylko zaszkodziłoby świętej naszej sprawie.

Hrabia mówił cicho i spokojnie z tem uszanowaniem jakie się ukoronowanej głowie należy, nie mniej jednak w głosie czuć było nieugiętość i pewną przewagę moralną.

Cesarz spuścił oczy ku ziemi, potem postąpiwszy kilka kroków ku hrabiemu mówił powoli:

„Kochany hrabio — nieprzyjaciel zagraża stolicy, pobita armia potrzebuje zebrać się i zorganizować, aby mogła działać i zapobiedz wszystkim możliwym następstwom klęski — armia południowa musi Wiedeń zasłonić i umożliwić armii czeskiej rozpocząć działanie.“

„Wasza Cesarska Mość rzeka się Włoch“ mówił hrabia z głębokiem westchnieniem, jednak bez widocznego wzruszenia topiąc swój wzrok w obliczu cesarza.

„Muszę to uczynić, jeżeli nie mam porzucić Niemcy na pastwę Prusom, jeżeli pragnę uratować stanowisko Austrii“ brzmiała odpowiedź cesarza.

„Wasza Cesarska Mość zgadza się na to“ mówił hr. Riviero dalej swoim dźwięcznym głosem „aby żelazna korona Habsburgów dostała się w ręce domowi sabaudzkiemu, aby Wenecya ta dumna królowa Adryatyku wydana została królowi Wiktorowi Emanuelowi i to mimo zwycięstwa jakie miecz austriacki odniósł nad jego wojskami.“

„Ależ nie jemu, nie jemu“ odpowiedział cesarz z żywością.

„Komuż więc Najjaśniejszy Panie?“

„Potrzebną mi jest pomoc francuska,— przymierze z Napoleonem, którego ceny nie chciałem zapłacić przed wojną, muszę okupić teraz,“ odpowiedział cesarz.

„To znowu ten szatan ma ciążyć na losach Włoch“ zawołał hrabia z uniesieniem „Rzym i stolica święta mająż pozostać zawsze na łasce i niełasce dawnego karbonaryusza?“

„Nie na zawsze“ odpowiedział cesarz — „jeżeli zdołam władzę moją przywrócić w Niemczech, jeżeli przewyciężę groźne niebezpieczeństwo, Stolica święta znajdzie we mnie silniejszego opiekuna niż bym nim mógł być teraz, wiem także“ mówił dalej wzruszony, „że Lombardya w ubiegłych wiekach krwią niemiecką zdobytą została.“

„Tak więc wszystko stracone!“ zawołał hrabia mimowolnie bolesnym głosem. Prędko jednak opanował miotające nim uczucia i rzekł z całym spokojem:

„Czy postanowienie Waszej Cesarskiej Mości jest nieodwołalne? w przeciwnym bowiem razie prosiłbym o pozwolenie wypowiedzenia mego zdania w tym przedmiocie.“

Cesarz milczał kilka chwil.

„Mów pan!“ powiedział w końcu.

„Wasza Cesarska Mość“ mówił hrabia, „spodziewa się przez ściągnięcie pod Wiedeń armii południowej klęskę powetować, a przez zrzeczenie Wenecyi, to jest Włoch okupić przymierze francuskie. Według mego zdania obie te nadzieje są zwodnicze.“

Cesarz popatrzył na niego ze zdziwieniem, prawie z trwogą.

„Armia południowa“ były dalsze słowa hrabiego, „przyjdzie już za późno, bo Wasza Cesarska Mość ma do czynienia z nieprzyjacielem, który nie czeka, jak tego dowodem są zasze wypadki. Przymierze francuskie także się nie opłaci, Francya do wojny zupełnie przygotowaną nie jest.

Cesarz milczał.

„Natomiast poświęca Wasza Cesarska Mość we Włoszech wielką zasadę, uznaje rewolucyę, rewolucyę przeciw legitymizmowi i Kościołowi, zrywa z tym potężnym sprzymierzeńcem habsburgskiego domu, który według swojej odwiecznej woli kieruje losami książąt i ludów, Wasza Cesarska Mość wyrzeka się Kościoła, wyrzeka się Boga, którego twierdzą i bronią jest tutaj na ziemi święty rzymski Kościół.“

Cesarz westchnął.

„Cóż mam uczynić?“ wyrzekł nareszcie z boleścią, „czyż mam dozwolić, aby rozzuchwalony wróg mój zajął stolicę — czyż uciekający monarcha może dać opiekę Kościołowi?“

„Przodkowie Waszej Cesarskiej Mości“ odpowiedział hrabia, „po dwa kroć ze stolicy uciekać musieli, ponieważ atoli trzymali się stale prawa i tego odwiecznego i Wszechmocnego sprzymierzeńca swego domu, zawsze z honorem i korzyścią do stolicy wracali! — Zresztą między Wiedniem a nieprzyjacielem przestrzeń jest znaczna, armia nieprzyjacielska jest także wstrząsniona, a cała Europa ma w tem interes, aby Wiedeń nie został pruskiem, Francya musi się o to starać, chociażby żadnej nagrody nie otrzymała, Anglia także, a nawet Rosya. Pozwól tylko Najjaśniejszy Panie, aby armia włoska pod dostojnym arcyksięciem dokonała zwycięstwa, a wnet całe Włochy zostaną twemi — sprzymierzeniec Prus będzie upokorzony a święty Kościół potężny swój głos podniesie w sprawie Austrii i Habsburgów, głos ten znajdzie posłuch w Bawaryi i w Niemczech, Francya nie będzie go lekceważyć, a wtedy Wasza Cesarska Mość silniejszym będzie niż kiedykolwiekbądź. Nie poświęcaj Najjaśniejszy Panie zwycięstwa dla klęski, przeciwnie klęskę trzeba się starać zagoić przez wyzyskanie zwycięstwa.“

Cesarz słuchał go wzruszony, na obliczu widać było walkę.

„Z drugiej strony“ mówił hrabia dalej, „jeżeli Wasza Cesarska Mość poświęci Włochy i wszystkie siły Austrii skupi na północy a i ta ofiara nawet, spodziewanych korzyści nie przyniesie, gdzież wtedy szukać wsparcia i pomocy? Wszedłszy raz na tę drogę — raz odłączywszy się od wiecznego i niezmiennego sprzymierzeńca, przedział ten będzie coraz większy, stanie się przepaścią i Kościół dla odpadłej od niego Austrii nic już nie będzie w stanie zrobić. Mężowie stanu nie powinni lekceważyć potęgi, której klątwy, jeżeli nie strącają dzisiaj koron z głowy monarchów i nie prowadzą ich w ubiorze pokutniczym do Connossy, zawsze jeszcze duch jej i słowo przenikają społeczność, znajdują oddźwięk w świecie i jeżeli płomienny jej piorun skały nie kruszy, to kropla zdoła ją wydrążyć! Racz Najjaśniejszy Panie zastanowić się dobrze, nim

uczynisz pierwszy krok, który prowadzi do odpadnięcia od Kościoła.“

Oblicze cesarskie powlekł lekki rumieniec, Wzniósł głowę do góry, duma błyszczała mu z oczów, wargi odął lekko.

„Brat Waszej Cesarskiej Mości w Meksyku“ kończył hr. Rivero, „odłączył się od Kościoła, szukał wsparcia w świeckich żywiołach, jakież los jest jego dzisiaj? stał się zabawką w rękach Napoleona, a droga na jaką wszedł, prowadzi go w przepaść.“

Cesarz na te słowa powstał nagle.

„Dziękuję panu kochany hrabio“ odpowiedział zimno za wypowiedzenie otwarcie i szczegółowo swojego zdania. Postanowienie moje jest niewzruszone i nieodwołalne. Robię co mi okoliczności nakazują. Spodziewam się, że tym sposobem przywrócę dawną świetność mojego domu i potrafię być użytecznym Kościołowi.“

Po dłuższej chwili milczenia zapytał hrabia: „Wasza Cesarska Mość nie ma mi już nic do rozkania?“

Cesarz mu uprzejmie odpowiedział:

„Bywaj zdrów kochany hrabio, bądź przekonany o mojej życzliwości i nie trać nadziei tak jak i ja jej nie tracę. — To coś sobie pan życzył może się jeszcze spełnić w niedalekiej przyszłości.“

„Nadzieja moja jest niezachwianą“ odpowiedział hrabia spokojnie „jak niezachwianą jest moja ufność w wszechmocność i mądrość Boga.“

Skłoniwszy się głęboko, opuścił gabinet.

Cesarz w zamyśleniu patrzył na odchodzącego, potem rzekł sam do siebie:

„Mieliby ochotę przywrócić epokę Grzegorza VII! Co do mojej osoby omylili się zupełnie — w ten sposób sługą Kościoła być nie myślę, pragnę władzy i walczę o nią, aby zostać jego opiekunem, a nie.... A teraz do dzieła.“

Zadzwoił, wszedł kamerdyner.

„Przywołać radcę państwa Klindwortha tylko tak, aby nie zwracać uwagi!“

„Rozkaz Waszej C. Mości ściśle wykonany zostanie.“

Cesarz siadł przy biurku i zaczął przewracać papiery, czynił to mechanicznie, myśli jego błąkały się gdzieś daleko.

Do gabinetu wszedł radca, twarz jego jak zwykle nie mówiła nic, ręce na piersiach skrzyżował i zatrzymał się przy drzwiach, skłoniwszy się nisko.

Cesarz odpowiedział na jego pełne głębokiego uszanowania pozdrowienie lekkim skinieniem głowy.

„Czy wiesz już kochany radco o mojem postanowieniu?“, zapytał, patrząc nań bystro.

„Wiem Najjaśniejszy Panie.“

„Co pan sądzisz o tem?“

„Postanowienie Waszej Cesarskiej Mości cieszy mię bardzo!“

Odpowiedź ta zdziwiła cesarza.

„Pan się zgadzasz więc na odstąpienie Włoch?“

„Zgadzam się, bo tu idzie o zachowanie i ratunek Niemiec“ odpowiedział radca — „uratowawszy Niemcy, może Wasza Cesarska Mość jeszcze Włochy odzyskać, z Włoch zdobywać Niemcy jest niepodobieństwem.“

„Przed wojną byłeś pan przeciwnym opuszczeniu Włoch“ zapytał cesarz.

„Tak jest Najjaśniejszy Panie“ odpowiedział radca, „mój wielki mistrz książę Metternich był zawsze zdania, iż tego co się ma i zatrzymać można, zrzekać się nie trzeba, z koniecznością jednak wypada się liczyć, a jeżeli się jest zmuszonym coś poświęcić, to zawsze to, co najłatwiej odzyskać można.“

„Ale Rzym może to źle uważać i nieprzyjazne względem mnie zająć stanowisko?“ zawołał cesarz.

„Za źle uważać może, to prawda,“ odpowiedział radca, „ale stanowiska nieprzyjacielskiego nie zajmie, Austrii zawsze tam potrzebować będą — Kościół i wpływ jego są potężnymi czynnikami w życiu publicznem, polityczne czynniki powinno się wyzyskiwać, ale nie trzeba dać im się opanować — to była pierwsza i główna zasada Metternicha.“

Cesarz zamyślał się.

„Ale opuszczając Włochy powinienem za tę ofiarę żądać wynagrodzenia. — Czy sądzisz pan, że tą ceną okupię przymierze francuskie?“

„Nie wątpię o tem, jeżeli tylko dyplomacya spełni swoją powinność.“

„Jeżeli swoją powinność spełni!“ powtórzył cesarz przeciągle. „Mój kochany radco“ mówił dalej, „musisz pan natychmiast jechać do Paryża i użyć całej zręczności, aby cesarza Napoleona skłonić do czynnego wzięcia się w tę sprawę.“

„Odjadę pierwszym pośpiesznym pociągami,“ odpowiedział Klindworth bez wahania i zdziwienia.

„Znasz pan położenie dokładnie i wiesz o co chodzi?“ zapytał cesarz.

„Wasza Cesarska Mość może się na mnie spuścić“ odpowiedział radca.

Cesarz milczał jakąś chwilę, bębniąc palcami po stole.

„Co mówią w Wiedniu?“ spytał nakoniec obojętnie.

„Nie wiele mię to obchodzi co ludzie mówią“ odrzekł radca zatapiając wzrok swój przenikliwy w obliczu cesarza, „zawsze jednak wiem tyle, że duch jest dobry, a arcyksiążę Albrecht i armia włoska budzą powszechną nadzieję.“

„Czy mówią o moim bracie Maksymilianie?“ zapytał cesarz przytłumionym głosem.

„Nie o tem nie słyszałem“ odpowiedział, i z jakiegożby powodu mówiono?“

„Bo jest pewna kategoria ludzi“ mówił cesarz pocichu, „którzy przy każdej katastrofie mają na ustach imię mego brata. I znowu zamilkł, a piękne jego czoło zachmurzyło się.

„Niech Wasza Cesarska Mość ukaże się publicznie“ powiedział radca, „to będzie najlepszym środkiem, aby tylko jedno imię było na ustach wszystkich.“

„Jakto!“ zawołał cesarz zawsze jeszcze z posępnym wyrazem twarzy, „mam może przejażdżkę urządzić po Praterze?“

„Najjaśniejszy Panie!“ rzekł radca. „Właśnie wielu rannych austriackich i saskich oficerów przywieziono do hotelu pod „Złotem Jagnięciem“ na Leopoldstadzie, jeżeli mi wolno zrobić uwagę, tobym prosił abys Wasza Cesarska Mość tych rannych odwiedzić raczył — zrobiłoby to jak najlepsze wrażenie.“

„Natychmiast“ zawołał cesarz, „i to nie dla wrażenia, ale serce moje nakazuje mi pozdrowić tych walecznych i podziękować im.“

Tu zerwał się z krzesła.

„Czy Wasza Cesarska Mość każe, aby mi koszta podróży wypłacono w kancelaryi państwa?“ zapytał radca pokornie.

„Nie“ odpowiedział cesarz, wyjmując ze szkatułki stojącej na stoliku dwa rulony i podając je radcy.

„Czy to wystarczy?“ zapytał.

„Zupełnie“ odpowiedział tenże chowając złoto w obszernie kieszenie swego paletotu.

„Teraz jedź pan w imię Boże“ zawołał cesarz, „jeżeli będzie potrzeba, wiadomą drogą zniesiesz się wprost ze mną, przedewszystkiem staraj się pan otrzymać, co możebne.“

Poczem dał znak, że już odejść może, radca się skłonił i wyszedł bez szelestu.

Cesarz zadzwonił znowu, kazał przywołać adjutanta i sprowadzić powóz.

Pod „Złotem jagnięciem“ odwiedził rannych oficerów.

Wiedeńczycy widząc go przejeżdżającego w otwartym powozie z wesołem i dumnym obliczem mówili do siebie: Rzeczy nie muszą stać tak źle, cesarz doskonale wygląda i zdaje się być zadowolonym.

Gdy wychodził z hotelu liczna gromada ludzi, zebrała się na ulicy, która go powitała głośnie: „Niech żyje.“

Cesarz dumnym okiem powiodł po tłumach, kłaniając się uprzejmie na wszystkie strony.

Wtedy z daleka i zbliżka zabrzmiały okrzyki: „Eljen! Eljen!“

Cesarz przysłuchiwał się zdziwiony i zamyślił się głęboko; tymczasem powóz zwolna przerzynał tłumy tocząc się po bruku w kierunku Burgu.

W Paryżu.

Była to poranna godzina, cesarz Napoleon siedział w swoim gabinecie, popijał herbatę, którą sam sobie przyrządzał i palił woniące hawanna. Przy nim stał nieodstępny i zaufany Pietri.

„Rzeczy nie źle się składają“ mówił cesarz do swojego sekretarza, „ten zwykle zyskuje, który umie czekać. Namawiano mię do wmieszania się czynnego w sprawę niemiecką, sądzę

że wystawszy wszystkie moje siły na plac boju nie byłbym tyle zyskał jak wyczekiwaniem. Cesarz austriacki ofiaruje mi Wenecję i prosi o pośrednictwa, będę mógł więc spełnić moje przyrzeczenie względem Włoch: wolne aż po Adryatykę, król pruski w zasadzie przyjmuje pośrednictwo i zgadza się na rozejm, to już wiele, wpływ i aureola mego imienia zwiększają się z dniem każdym — a to często więcej znaczy niż rzeczywista potęga.“

„Muszę przyznać słuszność Waszej Cesarskiej Mości“ odrzekł Pietri, „choć sam obawiałem się, aby to usunięcie się Francji w tak wielkiej sprawie nie wypadło na jej szkodę. Zawsze śmiałybym uwagę zwrócić Waszej Cesarskiej Mości na stanowisko nasze względem obu wojujących niemieckich państw, które nie zdaje mi się dosyć jasne. Przyjęcie zaś w zasadzie pośrednictwa naszego, nie dowodzi jeszcze ...“

„Zawsze prowadzi ono do dalszych układów“ przerwał mu cesarz. „Wiem że obie strony mają swoje myśli ukryte, ale i ja mam także swoje. Dosyć, że na moje życzenia armaty zamilkły, że słowa moje nie przebrzmiały nadaremnie. To mię czyni rozjemcą w Niemczech. I tak dzienniki powinny tę sprawę przedstawiać, nadewszystko potrzeba, aby nie wyrabiały opinii, któraby spokojne moje działania mogła sparaliżować.“

„W tym duchu sprawę tę przedstawił „Monitor“, tak ją tłómaczą oddane nam dzienniki“ odpowiedział Pietri.

„A co mówi o tem wszystkim opinia publiczna moich dobrych Paryżanów?“ zapytał cesarz.

„Jak najlepiej“ odrzekł zapytany, „wszystkie dzienniki bez wyjątku głoszą, że stanowisko nasze odpowiada zupełnie godności i potędze narodowej.“

Cesarz z zadowoleniem kiwał głową.

„Nie mogę jednak zataić Waszej Cesarskiej Mości“, mówił dalej Pietri, „że w dziennikarstwie odzywają się dosyć liczne głosy na korzyść Prus. Konsul pruski pan Bamberg nadzwyczajnie się krząta w tej sprawie, w czem go wspierają Temps, Siècle i inne gazety.“

Cesarz milczał zamyślony.

„Możeby przeciw tej agitacji potrzeba urządzić przeciw agitację?“ zapytał Pietri.

„Nie potrzeba“ odrzekł cesarsz pospiesznie, „stanowcze wystąpienie za Austryą byłoby mi bardzo nie na rękę, monarchia Habsburgów chyli się do upadku, rozkład jej widoczny, z Prusami będzie się można porozumieć, wielki mój poprzednik tego sobie życzył, nie chciano tego pojąć, za to odpokutowano pod Jeną. Bismark to nie Haugwitz“ mówił na wpół do siebie, a potem znówu zapytał: „Z austriackiej strony czyż nic nie robią, aby sobie pozyskać opinię Francyi?“

Pietri wzruszył ramionami.

„Księżę Metternich“ rzekł, „jest zanadto wielki pan, aby się zniżyć do dziennikarstwa, dla którego w Austrii czują jeszcze wielką pogardę.“

„To prawda“ odpowiedział cesarz, „ci legitymistyczni dyplomaci zawsze jeszcze bujają po Olimpie nie przeczuwając nawet, że tam na dole, w kurzu, wyrabia się potęga, której okiełzać nie można, a która Bogów Olympu strąca do Tartaru.“

„Jednak“ wtrącił Pietri z uśmiechem, „nawet Austrya stara się wpłynąć na opinię, dzieje się to w bardzo długich i w bardzo dystyngwowanych artykułach du Memorial diplomatique.“

„Pana Debraux de Saldapenna“ powiedział cesarz śmiejąc się.

„Tak jest Najjaśniejszy Panie!“

„Zresztą nie zaszkodzi“, prowadził cesarz rzecz dalej, „żeby od czasu do czasu w subwencyonowanych dziennikach nie pojawił się artykuł przemawiający za utrzymaniem stanowiska Austrii w Europie, tylko nie w Niemczech, o Niemczech nie można wzmianki uczynić, a rzecz trzeba tak urządzić, żeby wszyscy sądzili, iż to pochodzi z austriackiego źródła, nawet dziennikarze nie powinni się domyślać. Pan wiesz, jak się to robi?“

„Niech Wasza Cesarska Mość będzie spokojnym“ odpowiedział Pietri.

„Lagueroniere“ mówił cesarz, „wspominał mi o nieznanym ale zdolnym dziennikarzu niejakim Escudier, ma on stosunki z Austryą, użyj go pan do tego, w ogólności zastęp dziennikarzy musimy pomnożyć, pamiętaj pan o tem.“

Pietri skłonił się.

W tem wszedł kamerdyner i zameldował pana Drouyn de Lhuys.

Cesarz dał znak głową, że go przyjmuje, a do Pietrego powiedział: „Zostań pan, będę cię potrzebował.“

Wchodzącemu ministrowi podał cesarz rękę i zapytał:

„Zadowolony pan jesteś z naszej polityki wyczekiwania?“

„Nie ze wszystkiem“ odpowiedział tenże spokojnie i poważnie.

„Niepoprawny z pana pesymista“ zawołał cesarz, „czyż w tej chwili nie jesteśmy polubownymi sędziami Europy?“

„Jesteśmy podobni do sędziego polubownego, który nie wie czy strony jego wyrok przyjmą. Brenus przodek Gallów najlepszy zostawił nam przykład jak takie spory rozstrzygać należy“ odrzekł minister.

„Na prawdę“ odpowiedział cesarz z uśmiechem, „można by sądzić, że mówię z najzapaleńszym moim marszałkiem a nie z ministrem spraw zagranicznych“— przybierając zaś ton poważny zapytał: „Z jakiego powodu taki obrot rzeczy pana nie zadawalnia? wiem dobrze, że trudności będą, ale pan znajdziesz już nić Ariadny, która nam w tym labiryncie zbłąkać się nie pozwoli. Zawsze stanowisko nasze teraz wygodniejsze niż przed wojną. Negocyacye pociągną się długo, to nam ręczy za wygraną. Czego się najbardziej obawiam to wypadków gwałtownie po sobie następujących, bo te wykluczają loikę i kombinacyę wszelką.“

„Wiem że Wasza Cesarska Mość ma upodobanie“ odpowiedział Drouyn de Lhuys, „w rozwiązaniu gordyjskich węzłów, nie możemy jednak zapominać, że mamy do czynienia z człowiekiem, który takie sztuczne tkaniny mieczem rozcina.“

„Ależ teraz kochany ministrze“ odrzekł cesarz żywiej, „kiedy obie strony moje pośrednictwa przyjęły, nie mogę z bronią w ręku rzucać się między nie.“

„Nie z bronią w ręku Najjaśniejszy Panie, ale przy boku. Pośrednictwo francuskie nie może być platoniczne. Trzeba sobie wyrobić jasne pojęcie jaki cel ma nasza interwencya osiągnąć“ mówił p. Drouyn.

„Przedewszystkiem idzie o to, aby armaty umiłkły“ rzekł cesarz. *Cedant arma togae*, to nam powoli spokojnie sprawę rozważyć, tu nagle przerwał sobie i zapytał, „a jakież jest zda-

nie pańskie o położeniu i jaką radę dasz mi pan w tej sprawie? “

Po tych słowach siadł i wskazał fotel panu Drouyn de Lhuys.

Minister odrzekł: „Wasza Cesarska Mość musi sobie wytworzyć jasne pojęcie co wobec zaszłych wypadków w Niemczech w interesie Francji uczynić należy, bo że Prusy będą chciały wszechstronnie i radykalnie wyzyskać zwycięstwo, to nie ulega wątpliwości. Nie tylko zażądają reformy związku pod swoim przodownictwem z wykluczeniem Austrii, ale także terytoryalnego powiększenia. Saksonia, Hesya i Hanower oddawna już budzą apetyt Prusaków, a teraz jest pora do zaspokojenia go.“

Cesarz niespokojnie poruszył się na krześle.

„Hesya mię nie obchodzi“ odrzekł cesarz, „dla króla Jerzego czuję prawdziwą sympatyę, lecz to rzecz Anglii stanąć w jego obronie, co się tyczy Saksonii, tradycje mego domu wymagają, abym jej nie opuścił.“

„Austria“ mówił minister dalej „będzie musiała na wszystko się zgodzić, odnowić walki nie jest w stanie, armia południowa posuwa się powoli, na Węgrów liczyć nie można, od Francji więc zależy czy żądania pruskie zostaną urzeczywistnione czy nie. W takim położeniu dwie drogi stoją nam otworem: Uznać związek za rozbity i wszystkim panującym przyznać zupełną niezależność bez jakiegokolwiek terytoryalnego przekształcenia, lub utworzyć z Niemiec dwie grupy północną pod przewodnictwem Prus, południową pod przewodnictwem Austrii.“

„A jeżeli Prusy nie zgodzą się na ten wniosek?“ zapytał cesarz.

„Wtedy trzeba dać armii rozkaz, aby posuwała się ku Renowi“ brzmiała odpowiedź.

„A jakąż jest druga droga?“ zapytał cesarz.

„Zachować tę samą politykę względem Niemiec jaką zachowaliśmy względem Włoch, pozwolić Niemcom zjednoczyć się pod berłem pruskim, a żądać wynagrodzenia.“

„Jakież żądania byś pan postawił?“

„Benedetti twierdzi“ odpowiedział Drouyn, „że w Berlinie chętnieby się zgodzono na przyłączenie Belgii do Francji.“

Cesarz potakiwał głową.

„Za tą polityką nie głosowałbym jednak“ mówił minister dalej, „militarnie nie o wiele nas to wzmocni, a naraża na bardzo ciężkie zawikłania z Anglią.

Cesarz ruszył ramionami.

„Ale Belgia przez narodowość swoją jest francuską“ powiedział w końcu.

„Takiem samem prawem Alzacya jest niemiecką“ odpowiedział minister.

„No tak“ wyrwało się cesarzowi mimowolnie, „ależ gdzie szukać tego wynagrodzenia?“

„Najjaśniejszy Panie!“ mówił Drouyn de Lhuys, bez przywrócenia przynajmniej granic z roku 1814 przyznanych Francyi przez kongres wiedeński nie możemy na zjednoczenie się Niemiec zezwolić, oprócz tego musimy wymagać Luksemburgu i Moguncyi.

„To może za wiele“ zawołał cesarz.

„Nie za wiele!“ odpowiedział Drouyn, „Luksemburg zresztą jest to kwestya pomiędzy Francją a Holandją, od Prus nie wymaga się niczego jak milczącego zezwolenia, co się tyczy Moguncyi, to na tym punkcie możnaby coś opuścić, zawsze trzeba żądać więcej niż się bezwarunkowo mieć chce. Takie jest moje zapatrywanie w kwestyi wynagrodzenia.“

„I moje także!“ odpowiedział cesarz wstając.

Drouyn de Lhuys podniósł się także.

Po chwili milczenia cesarz przemówił:

„Żałuję bardzo, kochany ministrze, że nie mogę obrać pierwszej drogi, chociaż ci ona korzystniejszą się wydaje.“

„Nie przeczę“ odrzekł minister, „że pierwsza wydaje się korzystniejszą, nie mniej jednak i druga, ma swoje zalety, obie też do uwzględnienia Waszej Cesarskiej Mości przedłożyłem.“

„Pójdziemy drugą“ rzekł cesarz „pozwolmy Bismarkowi zjednoczyć Niemcy [o ile będzie mógł, a sami starajmy się o jak największe powiększenie potęgi Francyi. Napisz pan do Benedettego, aby natychmiast udał się do głównej kwatery pruskiej i wyjednał zawieszenie broni. Potem w poufnej pogadance z Bismarkiem niechaj poruszy kwestyę kompensacyi,—przyczem może mimochodem wspomnieć o Luksemburgu i Moguncyi.“

Drouyn de Lhuys skłonił się.

„Tylko ostrożnie działać, nie stawiać żadnych ultimatów, muszę mieć wolną rękę“ mówił cesarz z żywością.

„Interesa nasze tylko wtedy ubezpieczyć będziemy mogli, jeżeli mowa i czyny nasze będą stanowcze i imponujące“ zauważał pan Drouyn de Lhuys.

„I to niech będzie, tylko od ultimatów nie zaczynać“ zawołał cesarz, „każ pan Benedettemu wysondować Bismarka i niech nam spiesźnie swoje spostrzeżenia prześle.“

„A co Wasza Cesarska Mość każe Austrii oświadczyć?“ zapytał Drouyn de Lhuys.

„Że nie będziemy szczędzić trudów, aby pokój przywrócić pod najkorzystniejszymi dla niej warunkami, że Austrya ze swoich posiadłości nic nie straci i stanowisko swoje europejskie zachowa. Przytem trzeba ją zachęcać, aby się do najsilniejszego oporu wojennego gotowała, energiczne zachowanie się Austrii ułatwi interwencję, i Prusy uczyni powolniejsze naszym żądaniom.“

„Zupełnie podzielam zdanie W. Cesarskiej Mości— i w tym duchu napiszę do księcia Gramont. Muszę jeszcze uwiadomić W. C. M. że baron Beust przyjechał i prosi o audyencję, jest w Paryżu od rana i był już u mnie nim się tutaj udałem.“

„Czegoż on chce?“ zapytał cesarz.

„Prosić W. C. M. o opiekę nad Saksonią.

„Pragnę go zaraz zobaczyć“ powiedział cesarz, „przyjmę go prywatnie, uprzedź go pan o tem.“

„Tego samego życzy sobie pan Beust, Najjaśniejszy Panie!“

„Niech się zamelduje u pułkownika Favé, który dzisiaj jest na służbie, sam powiem pułkownikowi jak go ma wprowadzić, żeby nie ściągnąć uwagi.“

„Bardzo dobrze Najjaśniejszy Panie,— oczekuję także dziś albo jutro przybycia księcia Reuss, który wiezie własnoręczny list króla pruskiego dla W. C. M.“

„Czy znasz pan treść listu?“ zapytał Napoleon.

„Król donosi w nim o zasadniczych warunkach pokoju i wymaga, aby się poprzednio na nie zgodzono, gdyż inaczej na zawieszenie broni zezwolić nie może. Tak mi mówił hrabia Goltz, telegrafem o wysłaniu księcia uwiadomiony.“

„Czy hr. Goltz wie jakie są zasadnicze warunki pokoju?“ zapytał cesarz.

„Zdaje się, że te same o jakich W. C. M. wspominałem: wykluczenie Austrii ze związku, przodownictwo Prus i zabór krajów leżących między obydwoma częściami monarchii Hohenzolernów“ odpowiedział minister.

„Jeżeli tak“ odpowiedział cesarz, „to przybycie księcia nie pociągnie za sobą zmiany w naszej polityce.“

„Jeszcze raz pozwalam sobie zwrócić uwagę Waszej Cesarskiej Mości, że tylko stanowczością w słowie i czynie można zabezpieczyć interesa Francji.“

„Bez wątpienia że nie inaczej“ odpowiedział cesarz, „ale zawiązanie negocjacji ma się odbyć w najostrożniejszy sposób, uprzedź pan o tem Benedettego.“

„Mamy jeszcze jeden powód do wystąpienia stanowczego“ mówił pan Drouyn de Lhuys „w Petersburgu z widocznym niepokojem spoglądają na bezprzykładną pomyślność oręża pruskiego, — co berliński gabinet pod tym względem powolniejszym dla nas uczynić musi. Przysłano mi właśnie numer urzędowego rosyjskiego dziennika, w którym stoi, że rozejm mógłby łatwo zamienić się w stały pokój, gdyby w Niemczech nie istniało mocarstwo, które sądzi, że Europę zmusi do uznania swoich zdobyczy, zdaje się ono zapominać, że zbiorowe siły Europy wystarczą do utrzymania równowagi.“

Drouyn de Lhuys wyjął z portofelu wzmiankowany dziennik i podał go cesarzowi.

„Baron Talleyrand donosi, że artykuł ten jest wyrazem kół dworskich“ dodał minister.

„Wybornie! wybornie!“ zawołał cesarz, zacierając ręce z radości, „trzeba Talleyrandowi powiedzieć, aby tego ducha podtrzymywał, szczególnie powinien kłaść nacisk, że nie jest interesem Rosji ani Francji pozwolić Niemcom skoncentrować się militarnie pod przewodnictwem Prus.“

„Instrukcję w tym duchu już wygotowałem“ odrzekł minister, „przypuszczając, że tylko uprzedzam rozkazy W. C. M. i w czym się nie omyliłem.“

„W każdym razie“ mówił cesarz po krótkiej przerwie, „pokazuje się, że oczekiwanie nas nie zawiodło, wielka bitwa wygrana większych korzyści nam przynieść nie mogła, przytem

nie straciliśmy jednego żołnierza, nie wydaliśmy jednego grosza!”

„Żeby tylko koniec chciał być dobry“ dorzucił Drouyn zamykając portofel.

„Nie zapominaj pan“ rzekł jeszcze cesarz podając z uprzejmym uśmiechem rękę ministrowi, powtarzając własne jego słowa: „że oświadczenia nasze i czyny muszą być stanowcze.“

Minister się skłonił z uszanowaniem i wyszedł.

Cesarz w zamyśleniu przeszedł się kilka razy po pokoju, potem uchyliwszy portyery, przywołał pana Pietri.

Ten stawił się bezzwłocznie.

„Czy znasz pan artykuł zamieszczony w „Journal de St. Petersbourg?“ zapytał cesarz, podając mu dziennik.

„Znam go“ odpowiedział Pietri, „i właśnie chciałem go W. C. M. zakomunikować.“

„Wszystko idzie wybornie“ rzekł do niego cesarz, „trudności jakie grożą ze wschodu zwycięzcy z pod Königrätzu musimy spotęgować, kazałem Talleyrandowi kłaść nacisk na tożsamość interesów Rosyi i Francyi — od siebie możesz mu poufnie napisać, ażeby zręcznie i ostrożnie rzucił słówko: iż stosunki europejskie od roku 1854 i 1856 bardzo się zmieniły i że porozumienie między Francją i Rosją w sprawie wschodniej byłoby pożądaniem. Możliwy także tylko dyskretnie i bez zobowiązania się do czegośkolwiek bądź dać poznać w Petersburgu, że jeżeliby w skutek tego samego zapatrywania się na sprawy niemieckie, nastąpiło bliższe porozumienie się, rewizya traktatu paryskiego nie natrafiłaby tutaj na przeszkody.“

„Rozkazy Waszej Cesarskiej Mości spełnię natychmiast,“ odrzekł Pietri.

Po chwilkę wyczekiwania powiedział znowu: „Pan Klindworth jest tutaj i prosi o pozwolenie widzenia W. C. Mości.“

„Klindworth!“ zawołał cesarz z uśmiechem. — „On tak jak niektóre ptaki nie pojawia się tylko w czasie burzy. Z czem przybywa?“

„Przybywa z Wiednia i wiele ciekawych wiadomości pragnie udzielić W. C. M.“

„Ciekawe wiadomości ma on zawsze, a dobre pomysły często“ zawołał cesarz, — „wprowadź go pan natychmiast.“

Pietri po wschodach udał się do swego gabinetu i po chwili sprowadził Klindwortha.

„Witam Pana! kochany panie Klindworth“ rzekł Napoleon do niego tym tonem obowiązującym, który mu był właściwy. „Siadaj pan przy mnie, pogawędzimy o tych okropnych wypadkach, które cały świat zaniepokoiły.“

Cesarz usiadł w fotelu, Klindworth przysunął sobie drugie krzesło, raz tylko badawczy swój wzrok rzuciwszy na oblicze monarchy francuskiego.

„Cieszę się bardzo“ zabrał głos radca, że Waszą Cesarską Mość widzę wśród tej katastrofy wesołym i zdrowym. Mój najmiłościwszy Pan, cesarz Franciszek Józef będzie rad, gdy się odemnie dowie, że W. C. M. wygląda tak wybornie.“

„Przybywasz pan od cesarza Franciszka Józefa?“ zapytał cesarz bacznie nadstawiając ucho.

„Najjaśniejszy Panie!“ odpowiedział radca skrzyżowawszy na piersi ręce, „wiadomo ci dobrze że nie jestem ambasadorem, nie jestem człowiekiem stworzonym do reprezentacyi, jestem sobie po prostu stary Klindworth, który się poszczycić może szczęściem, że posiadał zaufanie głów koronowanych i że nie raz jego zdrowy, prosty, rozum zaważył na szali dyplomacyi, która nie rzadko płodzi wierutne głupstwa.“

„Przybyłeś więc pan, aby zapobiedz głupstwu jakieby popełnić można w Tuileryach?“ zapytał.

„Jeżeli W. C. M. mówi o Tuileryach to muszę milczeć, jeżeli o Quai d'Orsay to sądzę, że dobra rada nie byłaby tam zbyt częstą“ odrzekł Klindworth.

Cesarz uśmiechnął się, potem zapytał: „jakaż radę dałbyś pan na Quai d'Orsay? może mógłbym ją poprzeć.“

„Przypomniałbym ministrom i dyplomatom W. C. Mości starą rzymską formułę: *Videant consules ne quid detrimenti capiat respublica!*“ były słowa radcy.

„Czy pan sądzisz, że rzeczy tak źle stoją? rzekł Napoleon, „cesarz odstępując mi Wenecję, może teraz skupić wszystkie swoje siły zwycięztwo może się jeszcze obrócić na jego stronę.“

„Nie sądzę, aby się obróciło“ odpowiedział Klindworth spokojnie „tylko Wasza Cesarska Mość może klęskę tak Austrii jak i Francji naprawić.“

„Kłęskę Francji?“ zapytał Napoleon gładząc brodę ręką.

„Najjaśniejszy Panie, pod Königgrätzem tak dobrze Francya-jak i Austria pobita została,” odpowiedział radca. „Czy W. C. M. sądzi” mówił dalej, „że to będzie korzystnem dla uroku Francyi, Francyi cesarskiej, aby bez współudziału jej wszystkie stosunki w środkowej Europy przewróciły się do góry nogami, aby może wbrew jej woli utworzyło się pod jej bokiem silne niemiecko-pruskie militarne państwo? Gabinety europejskie przyzwyczajają się takim sposobem załatwiać swoje sprawy bez oglądania się na Francję, a jakie to wrażenie zrobi na narodzie francuskim, lepiej niż ja potrafi W. C. M. sam ocenić.

Cesarz zamyślał się chwilę potem zapytał: „Co myśli uczynić cesarz Franciszek Józef i co sądzi że dla niego zrobić mogę?”

„Cesarz zdecydowany jest walczyć do ostatka, — przez ściągnięcie armii południowej spodziewa się zebrać dostateczne siły, aby kroki zaczepne odnowić, ma także nadzieję, że Węgry staną w jego obronie.”

Napoleon niedowierzająco kiwał głową.

„Spodziewa się” mówił Klindworth dalej, „że rokowania nad rozejmem pozwolą mu odetchnąć, że pokój w skutek wygórowanych żądań Prusaków do skutku nie dojdzie, że wtedy Wasza Cesarska Mość każe swoim wojskom Ren przekroczyć, siły wojenne Prus zostaną tym sposobem rozerwane, a ostateczne zwycięstwo zostanie przy obydwóch sprzymierzonych cesarzach.”

„W tym całym szeregu oczekiwań i nadziei czyżby nie miało być żadnych znaczniejszych trudności?” zapytał cesarz.

„Zapewne są, jeżeli je Wasza Cesarska Mość widzi” odpowiedział radca.

„A pan je nie widzisz?” zapytał cesarz.

„Najjaśniejszy Panie” odrzekł Klidworth, „mam rozkaz od mego cesarza skłonić W. C. M. do zbrojnego wystąpienia na korzyść Austrii, jeżeli na to otrzymam odpowiedź, wtety na rozkaz W. C. M. zdanie moje wypowiem.”

„Bardzo dobrze kochany radco” odrzekł cesarz z uśmiechem „odpowiem ci na to z całą otwartością: silna Austria jest konieczną dla spokoju i równowagi Europy, z tego stanowiska zepchnąć ją nie pozwolę gdybym nawet musiał dobyć oręża, teraz jednak tej potrzeby jeszcze nie ma, a zbrojna interwen-

cya więcejby zaszkodziła niż pomogła, z kwestyi niemieckiej zrobiłbym tylko kwestyę europejską.“

Klindworth słuchał uważnie, każdemu słowu cesarza potakując głową.

„Wasza Cesarska Mość chce wyczekiwać“ przemówił potem, „aby jak najdłużej mieć wolne ręce, lecz w każdym razie na uszczuplenie granic Austrii nie zezwoli?“

Cesarz skinął głową.

„Nie wyklucza to ostatecznie zbrojnego wmięszania się w tę sprawę“ rzekł po namyśle, „w Wiedniu jednak trzeba poczynić wielkie wysilenia, aby na korzyść Austrii zmienić sytuację militarną.“

„Rozumię“ odpowiedział radca.

„Teraz kochany panie Klindworth kolej na ciebie wypowiedzenia swego zdania.“

„Moje zdanie Najjaśniejszy Panie“ odpowiedział radca, „zgadza się zupełnie ze wszystkim co z ust Waszej Cesarskiej Mości słyszałem.“

Na twarzy cesarza znać było pewne zadziwienie.

„Wasza Cesarska Mość ma zupełną słuszność, powtórzył radca głosem obojętnym — wyczekiwaniem można dla Francyi uzyskać kompensatę, zresztą zbrojne wystąpienie w tej chwili nie przyniosłoby korzyści ani Francyi ani Austrii.“

„Zbrojne wystąpienie Francyi w tej chwili“ mówił radca dalej“ może mieć dwa następstwa: albo Prusy się cofną nie uzyskawszy nic więcej jak przypuszczenie do współudziału w prezydyum związku i drobne powiększenie terytoryalne a stan rzeczy w Niemczech pozostanie w gruncie taki sam jak przed wojną, to moralnie Prusy zyskają tylko na tem. Ludowi będzie można mówić, że to Francya przeszkodziła zjednoczeniu się Niemców, że Austriya odwiecznego wroga narodu w pomoc przywołała, a że teraz wolno w Niemczech pisać, mówić i śpiewać co się komu podoba, a Berlin dostarcza pism, mów i śpiewek, zabijają Austrię moralnie w opinii Niemiec — i przy najbliższej sposobności gdy Francya gdzieindziej będzie zajęta, dojrzały zupełnie owoc wpadnie w ręce Hohenzollernów, albo Prusy nie ustąpią, co jest prawdopodobniejszem, znając charakter ludzi stojących u steru rządu, wtedy obawiać się muszę, że Bismarkowi uda się zapalić wojnę narodową i połączone Niemcy rzucić na Francję.“

„Przy stanie umysłów w Niemczech byłoby to może-
bnem?“ zapytał cesarz.

„Najjaśniejszy Panie!“ odpowiedział Klindworth, „jeżeli
wzburzona woda w zimie nie chce zamarznąć, rzuca się w nią
kawał żelaza i zaraz koło niego lód się zaczyna ścinać. Miecz
francuski w wojnie niemieckiej ten samby skutek zrobił co ów
kawał żelaza, bałwany by się uspokoiły i połączyły w stałą masę.“

„Ależ południowe Niemcy? rządy i ludy?“ zapytał ce-
sarz.

„One już straciły wiarę w Austryę; groźbą i obietnicą nie
trudno je będzie przyciągnąć na stronę Prus, jestem nawet prze-
konany“ mówił Klindworth, „że już teraz tylko czekają, aby to
przejście skutecznie przyzwolicie i z honorem.“

Cesarz milczał.

„Przeciwnie“ mówił radca dalej, „jeżeli pozwoli się Pru-
som na urzeczywistnienie tej części programu, o którą obecnie
najbardziej im idzie, to jest, o znaczne powiększenie terytoryalne,
przez zupełne wcielenie Hanoweru i Hesyi, — kładąc tylko
umiarkowany nacisk na konieczność utrzymania niezawisłości
państw południowych, to rezultatem walki nie będzie jedność
narodowa, ów ideał wszystkich gymnastyków, śpiewaków i pi-
woszków, ale jeszcze większe rozdwojenie, ceną tyle przelanej
krwi niemieckiej będzie tylko znaczne powiększenie się Prus.—
Moralne oburzenie, w którym Niemcy się lubują, zwróci się prze-
ciwko Prusom, sympatya narodowa zostanie dla Austrii.“

„Żeby się to tylko tak stało!“ powiedział cesarz.

„Dla czegoż nie“ mówił Klindworth. „Austria potrzebuje
tylko przeniknąć się innym duchem, i inny rozumniejszy system
zaprowadzić w swojej polityce, wprowadzając w nią te czynniki,
które dzisiaj mają mir i powodzenie — nie sympatyzują ja wpra-
wdzie z nimi, ale z rzeczywistością liczyć się trzeba.“

„To znaczy?“ zapytał cesarz.

„Najjaśniejszy Panie“ odpowiedział Klindworth, „jeżeli
Prusy powiększą się przez zabór, jeżeli obejmą przodownictwo
w północnych Niemczech rząd ich musi dążyć do co raz większej
centralizacyi, postępować będą z całą bezwzględnością, asymilacya
łatwo nie pójdzie, żelazną rękę zaciężą wtedy na północnych
Niemcach, a dla południowych będą ustawiczną pogrózką. Wtedy

Austria wewnętrznie wzmocniona musi stać się orędowniczką autonomii, samodzielności i wolności.“

„Wolności?“ zapytał cesarz.

„Dla czego nie“ odpowiedział Klindworth, „najcięższe choroby leczy się przez użycie najniebezpieczniejszych trucizn.“

„Któż będzie tym zdolnym lekarzem, który chorej Austrii poda truciznę w należytej dozie? Mensdorff czy Metternich?“ zapytał cesarz.

„Lekarz już jest“ odpowiedział Klindworth nie tracąc przytomności wcale.

W tem wszedł kamerdyner i oznajmił że pułkownik Favé czeka w przedpokoju.

Cesarz powstał.

„Momencik tylko, powiedział.

Klindworth podniósł się także i rzekł przytłumionym głosem:

„Tym lekarzem jest baron Beust.“

Cesarz z zdziwieniem popatrzył na niego.

„Baron Beust?“ zawołał, „ależ on protestant, sądzisz pan, że cesarz....“

„Baron Beust jest tutaj, W. C. M. może go sam wybać, czy zdanie moje jest uzasadnione“ odpowiedział radca.

Napoleon się uśmiechnął.

„Kto z panem gra musi karty na stole trzymać, poczekaj pan u Pietrego, chciałbym z panem jeszcze się widzieć, pomówiwszy z lekarzem przysłej Austrii.“

Uśmiech zadowolenia pojawił się na grubych wargach radcy, z głębokim ukłonem wyszedł z gabinetu.

Niebawem po jego wyjściu pułkownik Favé otworzył podwoje i wpuścił saskiego ministra, sam zostając w przedpokoju.

Baron Beust powitał cesarza z dworską układnością.

Napoleon z ujmującym uśmiechem na twarzy podał mu rękę.

„Jakkolwiek smutną musi być przyczyna“ mówił łagodnym głosem, „która pana do mnie sprowadza, przyjemnie zawsze mi widzieć u siebie najznakomitszego męża stanu w Niemczech.“

„Najjaśniejszy Panie! powiedz raczej najnieszcześliwszego“ odpowiedział baron Beust smutnie.

„Najnieszcześniejszym jest tylko ten, który stracił wszelką nadzieję“ odpowiedział cesarz siadając i wskazując baronowi krzesło.

„Najjaśniejszy Panie przybyłem tutaj, aby z ust W. C. M. się dowiedzieć czy mogę mieć nadzieję i takową zanieść memu monarsze.“

„Jakże się pan zapatrujesz na położenie Niemiec?“ zapytał cesarz. „Radbym bardzo dowiedzieć się o wszystkim z ust pana, który jesteś bezsprzecznie mistrzem w ocenieniu i zestawieniu faktów.“

Biała twarz pana Beusta ożywiła się

„Najjaśniejszy Panie“ odpowiedział, „partyę przegrałem, łudziłem się że zdołam utworzyć w Niemczech nowe federacyjne życie, położę tamę wybujałej ambicyi Prus, Związek pełnę na nowe tory odpowiednie duchowi czasu — wszystko pozostało złudzeniem — nie brałem w rachunek niezgody w Niemczech i słabości Austrii. Partya przegrana“ powtórzył z westchnieniem, „powiedzieć tylko inogę, że Saksonia uczyniła wszystko, aby ją wygrać.“

„Czy nie ma nadziei, że się szczęście odwróci?“ zapytał cesarz.

„W Wiedniu“ odpowiedział pan Beust, „pokładają jeszcze nadzieję w południowej armii, sądzą że będą mogli rozpocząć kroki zaczepne, ale ja już w to nie wierzę, — po takiej klęsce jak ta, którą otrzymała Austrija pod Königgrätzem, państwo nie łatwo podnieść się może — chobiałby nawet zastój i zgnilizna do tak wysokiego stopnia nie doszły jak tam. Prusy zostały zwycięzcami w Niemczech i żelazną ręką wyzyskają zwycięztwo — jeżeli potężne *veto* nie stanie im w drodze.

„Pan sądzisz, że to *veto* powinienem powiedzieć, że je powiedzieć mogę?“ zapytał cesarz.

„Najjaśniejszy Panie mówię z Tobą przedewszystkiem jako minister saski — jako sługa mego nieszczęśliwego pana, któremu grozi utrata ojcowizny, o ile ta mu jeszcze pozostała.“

„Mielizby na seryo w głównej kwaterze pruskiej zamyślać o usunięciu niektórych książąt?“ zapytał cesarz.

„Wcielenie Hanoweru, Hesyi i Saksonii już postanowione“ odpowiedział pan Beust, „ale Hanower i Hesya przedzielają państwo pruskie, Saksonia przeciwnie odziela je od Austrii i nie dopuszcza bezpośredniego starcia między niemi. Zresztą Hanower

i Hesya działały zupełnie na własną rękę, zachowały się powiększej części biernie w obec prawdziwych interesów Niemiec, nie są one przymierzem z Austryą związane, nieszczęście więc jakie ich spotkać może, jest poczęści własną ich winą. Utrzymanie zaś Saksonii jest dla Austrii kwestyą honoru, a może i dla Francyi, dla Francyi cesarskiej — dla dziedzica potęgi i sławy Napoleona I.“

Napoleon zwiesił głowę i muskał sobie wąsy.

„Najjaśniejszy Panie“ mówił pan Beust dalej, „kiedy potęga wielkiego Twego stryja złamana została pod Lipskiem — kiedy bardzo wielu, których on wyniósł, odpadli od niego, król saski do końca pozostał mu wiernym. Przyjaźń swoją opłacił utratą połowy swoich posiadłości. Cesarz jeszcze na św. Helenie mówił ze wzruszeniem o królewskim swoim przyjacielu.“

Cesarz zwiesił głowę jeszcze niżej.

Pan Beust podniesionym głosem prowadził rzecz dalej „Teraz spadkobiercy tego księcia, który do ostatka wytrwał przy boku wielkiego stryja W. C. M., grozi utrata pozostałej mu jeszcze krainy, król Jan tak oddany Tobie Najjaśniejszy Panie może być lada chwila wygnanym z ziemi swych ojców — czy zezwoli W. C. M. aby potomek ostatniego i najwierniejszego przyjaciela cesarza Napoleona, został pozbawiony tronu i musiał iść na tułactwo.“

Pan Beust zamilkł, wpatrując się z oczekiwaniem w twarz cesarza.

Napoleon nagle podniósł głowę.

„Mój Panie“ odpowiedział w końcu wzruszony do żywego, „przyjaciele mojego stryja pozostaną moimi aż do trzeciej i czwartej generacyi, żaden z książąt, który dochował przyjaźni nieszczęśliwemu cesarzowi, nie pożałuje tego, dopóki miecz Francyi dzierzę w mem rękę. Pewiedz pan królowi Janowi, że powróci do swego kraju i swojej stolicy, daję mu na to moje słowo cesarskie.“

„Duch twojego stryja Najjaśniejszy Panie“ zawołał pan Beust z uniesieniem, „zapewnie raduje się w tej chwili, widząc że potężna jego przyjaźń dziś jeszcze tyle waży na szali losów Europy.“

Chwilę jakąś panowała cisza.

Przerwał ją cesarz zapytaniem:

„Więc pan nie sądzisz aby Austrya mogła teraz wystąpić z nadzieją powodzenia?”

„Najjaśniejszy Panie! doradzałem w Wiedniu najusilniej, aby się nie cofano przed żadnem poświęceniem i wysileniem, ale to na nic się nie przyda. — Austryacką maszynę państwową rdza obsiadła i nawet potężnemu gieniuszowi z trudnościami przyszło koła jej poruszyć. Tego gieniuszu jednak nie ma, i kto wie czyby go nawet dało się wyszukać w ojczyźnie Kaunitzów i Metternichów.”

„Natenczas trzebaby go zkąd inąd sprowadzić” mimochodem powiedział cesarz.

Pana Beusta te słowa cesarza widocznie zdziwiły i zmieszaly.

Napoleon przemówił znowu:

„Czy uważasz pan za możliwe odrodzenie Austrii, gdyby się taki gieniusz znalazł?”

Możliwem jest“ odpowiedział p. Beust, „Austrya posiada niezmierny zasób sił, potrzeba tylko, aby ktoś te siły umiał zużytkować.”

„Pan w swoim życiu nad niejednem się zastanawiałeś i to nie na próżno“ powiedział cesarz z uprzejmością, „zapewnie zastanawiałeś się i nad tem, jakby te drżące siły poruszyć i ożywić?”

Promieniająca twarz pana Beusta zdradziła, że się domyśla o co idzie.

„Największą słabością Austrii Najjaśniejszy Panie“ jest nieufność i zawiść jednej połowy monarchii do drugiej, jedna część paraliżuje drugą w rozwinięciu swoich sił i zasobów,—w obecnem położeniu Węgry mogłyby ją ratować, potrzeba tylko, aby wyrzeczono jedno słówko, tem słówkiem jest: wolność i samodzielność narodowa, ale na to wzdrygają się pyłem okryte akta kancelaryi państwa, a jeszcze bardziej opyleni ludzie! zkostniały biurokracyzm absorbujący wszystko, trzeba także usunąć, gdzie lud nie myśli, nie czuje, nie bierze udziału w życiu publicznem, trudno, aby był skorym do ofiar i poświęcenia. Gdyby w Austrii dało się wzbudzić nowe życie, wszystko możnaby jeszcze odzyskać, nawet wpływ na Niemcy. Formułka prowadząca do tego celu jest łatwa: wolność, samodzielność dla Węgier, wolność i życie publiczne dla innych prowincyi monar-

chii, reforma administracyi i reforma armii! Niestety aby tę formułkę urzeczywistnić potrzeba rozumu i woli, rozumu i woli takiej, jaką W. C. M. posiada.“

„Pochlebca z pana“ powiedział cesarz uśmiechając się z lekka, „w tej chwili się uczę. — Być może, iż po zakończeniu tej nieszczęśliwej wojny nie pozostaniesz pan ministrem saskim“ dodał jeszcze.

„Dopóki przesilenie trwa nie opuszczę mojego króla“ mówił p. Beust, „po skończeniu tego wszystkiego sądzę, że dla nieszczęśliwego męża stanu, nie pozostaje nic innego do zrobienia, jak usunąć się w zacisze domowe.“

„Albo próbować swoich sił na szerszem polu, jeżeli na szczupłym, w ciasnych tylko ramach działając, pomyślnego skutku odnieść nie można było“ dorzucił cesarz.

Pan Beust się skłonił.

„Sądzę że zapatrywanie się pańskie co do odrodzenia Austrii“ mówił cesarz, „kiedyś stanie się rzeczywistością—wkażdym razie proszę pana niezapominać, że masz tutaj przyjaciela i że Francyi i Austrii wspólnym jest interesem bronić wolnego narodowego rozwoju niemieckiego ludu w takim obrębie, jaki dla jego pomyślności jest niezbędny, a dla spokojności sąsiadów konieczny. Pozdrów pan odemnie króla, i prosz go, aby zawierzył moim słowom.“

Pan Beust chwycił cesarza za rękę wzruszony do żywego.

„Dzięki ci, dzięki Najjaśniejszy Panie“ zawołał, „gdziekolwiek los mnie na przyszłość zagoni, tej godziny nie zapomnę nigdy.“

Poczem pożegnał cesarza głębokim ukłonem.

Napoleon przywołał pana Pietri.

„Klindworth jest jeszcze tutaj?“ zapytał.

„Czeka na rozkazy Waszej Cesarskiej Mości,“ odpowiedział zapytany.

„Poproś go pan, aby tutaj do mnie przyszedł.“

Niebawem wszedł radca do gabinetu.

Cesarz z uśmiechem podszedł kilka kroków ku niemu.

„Nie omyliłeś się pan“ powiedział, „mamy już lekarza, który chorą Austryę uleczy.“

Radca się skłonił.

„Wiedziałem że W. C. M. przyzna mi słusność.“

„Staraj się pan teraz, aby mu chorego powierzono, ja będę pana wspierał wszystkimi siłami. Cesarzowi zaś pan oświadczyć, że wszystko co będę mógł uczynię, jednak głównie Austria musi szukać zbawienia w własnem odrodzeniu.“

„Czy mogę wracać?“ zapytał radca.

„Jedź pan i zabierz się energicznie do dzieła, zadanie pańskie nie łatwe — do widzenia kochany panie Klindworth.“

Radca niepostrzeżenie zniknął za portierą.

Po jego wyjściu cesarz znowu przywołał p. Pietri.

„Udaj się pan“ powiedział mu, „do ministra spraw zagranicznych i poproś go, aby wystosował instrukcję dla Benedettego polecając mu jak najenergiczniejszą obronę nietykalności Saksonii.“

„Rozkazy W. C. M. spełnię natychmiast.“

„Czy nie wiesz pan gdzie obecnie bawi generał Türr?“ zapytał cesarz.

„Przy armii we Włoszech“ odpowiedział Pietri.

„Wyślij pan do niego zaufaną osobę, aby przybył tutaj natychmiast, przez niego mogę wywierać wpływ na Turyn i Peszt, zatem na kierunek bieżących wypadków.“

Pietri wyszedł spełnić rozkazy.

Cesarz z zadowoleniem rozsiadł się w krześle i otoczył się obłokiem wonnego dymu z cygareta, które sobie sam skręcił.

* * *

W jakiś czas po scenach opisanych wyżej, siedział Napoleon znowu w swoim gabinecie. W rysach jego twarzy nie było już tego zadowolenia i spokoju, co przedtem. Krótki pobyt w Vichy nie wzmocnił jego zdrowia, wypadki inny obrót wzięły niż sobie życzył.

Naprzeciw niego siedział p. Drouyn de Lhuys. Cesarz był zająkowany, minister wzburzony. Prusacy zawarli pokój w Nizolsburgu, który im oddał w ręce Hanower i Hesję na insynuacje francuskie, mające na celu uzyskanie odpowiedniego ich nabytkom wynagrodzenia, odpowiedzieli, że tego wszystkiego uczynić nie mogą, bo obraziliby opinię publiczną w Niemczech, coby

im więcej szkody przyniosło, niż korzyści mają z zaboru dwóch prowincyi. Bismark oświadczył nawet w formie wprowadzie bardzo grzecznej, ale nie mniej stanowczo, iż wolałby się, nawet na wojnę z Francją narazić, niż w ten sposób obrazić uczucia niemieckiego narodu. Przywołany Benedetti z Berlina, aby ustnie sytuację wyjaśnić, potwierdził, że Bismark na żadne ustępstwa kosztem Niemiec nie zezwoli. Pokazało się teraz, że polityka ministra doradzającego, aby przed wojną wynagrodzenia zażądać i to żądanie z całą stanowczością poprzeć była trafniejszą od polityki wyczekiwania cesarza. Boleśniejszą jeszcze była dla cesarza wiadomość udzielona mu przez Benedettego, że państwa południowe zawarły konwencję militarną z Prusami, mocą której wojska ich w razie wojny mają iść pod komendę Prus. Z Petersburga donosił także Tailleyrand, że Rosya po dokonanych zaborze przez Prusy i militarnem zjednoczeniu Niemiec, zachowuje się nadzwyczaj oględnie, i na wszelkie jego wzmianki o tożsamości interesów Rosyi i Francyi w obec Niemiec daje wymijające odpowiedzi. Wszystko to razem wzięte stanowiło czarne plamy na horyzoncie polityki francuskiej. Imperyalizm znaczył tyle, co ściągła pomyślność na polu materyalnym i politycznym, zawód w jednym kierunku, mógł opinię zwrócić przeciw bonapartyzmowi. W interesie dynastyi takiego zwrotu nie należało dopuścić. Wojna przeciwko Prusom musiała odtąd w umyśle cesarza zajmować pierwsze miejsce. Z gorączkowym pospiechem wziął się też do dzieła. Bezpośrednio po sprawozdaniu ministra i wyjaśnieniach Benedettego zwołano radę marszałków, na którą i Drouyn de Lhuys został zaproszony.

Oprócz Bazaine'a zajętego w Meksyku, wszyscy inni zgromadzili się na rozkaz monarchy.

Cesarz zajął miejsce na krześle przy środku stołu, marszałkowie usiedli po obu jego bokach według starszeństwa, Drouyn de Lhuys siedział naprzeciw cesarza.

Do obecnych przemówił cesarz:

„Zwołałem panów, aby w groźnej chwili jak obecna zasięgnąć rady najświetniejszych reprezentantów armii francuskiej. Znajome są panom wypadki zaszłe w Niemczech, otóż Prusy nadużywając zwycięstwa odniesionego pod Sadową chcą utworzyć potężne militarne państwo, któreby ustawicznie groziło bezpieczeństwu naszych granic. Nie uważałem się za uprawnionego do

wmieszania się w wewnętrzne sprawy Niemiec, Francya nie może innym narodom zaprzeczyć prawa swobodnego ukonstytuowania się na wewnątrz, jakby nie zniosła, żeby ktoś chciał się mieszać w jej sprawy wewnętrzne. Jedno prawo dla wszystkich. Jednak będąc monarchą francuskim, cięży na mnie obowiązek starania się o ubezpieczenie naszych granic, mam tu na myśli granice z r. 1814. — Moguncyę i Luksenburg. Sądząc z pierwszej próby zdaje się, że w Berlinie nie mają ochoty uwzględnić żądań, które w imieniu Francyi zrobić musiałem. Nim dojdzie aż do *ultimatum* pragnę wysłuchać jakie jest zdanie panów o wojnie pruskiej — wojnie największej i najgroźniejszej jaką Francya za mego panowania prowadzić będzie musiała. Wiem że Francya jest dosyć potężna, aby wszelki napad odeprzeć, przed rozpoczęciem jednak kampanii musimy sobie jasno zdać sprawę o sile i gotowości do wojny naszej armii. Proszę zatem panów marszałków, aby zdanie swoje wypowiedzieli w tej mierze.“

Pierwszy zabrał głos stary marszałek Vaillant.

„Najjaśniejszy Panie“ powiedział, „przed dwudziestu laty serceby mi skakało z radości na myśl o wojnie, na myśl o pomstczeniu się klęski pod Waterloo, dzisiaj przezorność musi wziąć górę nad ogniem młodzieńczym. Za nim na tak ważne pytanie zdołamy dać odpowiedź, potrzeba naprzód wysadzić komisję któraby zbadała stosunki armii, materyały wojenne i stan naszych fortec; wpływ nowej pruskiej broni na taktykę musi także być przedmiotem ścisłego rozbioru. Inaczej zdanie nasze nie będzie miało podstawy. Dzisiaj nie odważyłbym się rozstrzygać pytania takiej doniosłości na losy Francyi.“

Hrabia Baraguay d'Hilliers i marszałek Canrobert byli tego samego zdania co marszałek Vaillant.

Po nich zabrał głos minister wojny hr. Randon.

„Stan armii, której całą moją troskliwość poświęcałem jest wyborny, środki obrony krajowej nie pozostawiają nic do życzenia, jednakowoż ja jak najmniej sprzeciwiać się mogę wysadzeniu takiej komisji, która pod niejednym względem jest kontrolą moich urzędowych czynności jako ministra wojny — co się zaś tyczy wniosku o zbadanie wpływu nowej broni na taktykę, najusilniej popierać go muszę.“

Hrabia Regnault de St. Jean d'Angely przemówił z kolei :

„Najjaśniejszy Panie! mam zaszczyt dowodzić gwardyą W. C. M., korpus ten zawsze jest gotów do wyruszenia w pole przeciwko nieprzyjaciółom Francyi, i jeżeli W. C. M. dzisiaj wypowie wojnę, jutro już będzie w marszu ku granicom. Ale samą gwardyą wojny prowadzić nie można, dla tego przystępuję do zdania marszałka Vaillant.“

Drouyn de Lhuys znacząco ruszył ramionami.

Księżę Magenty, marszałek Mac-Mahon również był zdania marszałka Vaillant z tym dodatkiem, aby badać prędko, a działać jeszcze prędzej.“

Przyszła kolej na marszałka Nilla. Ten zawahał się jakąś chwilę potem rzekł:

„Przepraszam dziekana marszałków, że będąc młodszym poważam się mieć inne zdanie.“

Marszałkowie ze zdziwieniem popatrzyli na mówiącego.

Po twarzy pana Drouyn de Lhuys przeleciał wyraz zadowolenia, cesarz nawet podniósł głowę i spojrzał na marszałka,

„Najjaśniejszy Panie“ mówił dalej, „komisyi tutaj nie potrzebna, i bez komisyi zdanie moje już ustalone.“

„Jakież jest zdanie pańskie?“ zapytał Napoleon.

„Mojem zdaniem jest, że Wasza Cesarska Mość wojny prowadzić nie może.“

Pan Drouyn de Lhuys popatrzył na marszałka prawie z oburzeniem. Cesarz zachował się spokojnie.

„Najjaśniejszy Panie“ mówił Niel dalej, „jeżeli dostojnik armii francuskiej przed swoim monarchą takie zdanie wygłasza, to musi je uzasadnić. Naprzód będziemy mieć przeciwko sobie całe Niemcy, w takiej wojnie siły nasze nie mogą być rozerwane. Wyprawa meksykańska pożera ludzi i pieniądze bez których obejść się nie możemy, a nie życzyłbym sobie, abyśmy podobnie jak Austria na dwóch teatrach wojny walczyć mieli. Powtóre potrzeba zaopatrzyć armię w broń, któraby przewyższała, a przynajmniej dorównała pruskiemu iglicówkom. Słusznie czy nie słusznie roztrąbiły [gazety, że tej broni wyłącznie zawdzięczają Prusacy zwycięstwo, żołnierz nasz musi mieć podobną, bo to wzbudzi w nim zaufanie w siebie samego. Przy dzisiejszym uzbrojeniu armii francuskiej uważałbym za niebezpieczne prowadzić ją na pułki pruskie. Teraz Najjaśniejszy Panie, nowa broń wymaga nowej taktyki, zwracam tu tylko uwagę

na odmienne znaczenie kawalerii przy nowych działach. Bez komisji wiadomem mi jest także, że fortyfikacje nasze, zaopatrzenie w żywność i amunicję wymagają uzupełnienia, niepowiadam tego w celu uchybienia zasługom ministra wojny, ale jest to fakt, który się tłumaczy zajęciem naszym w innej stronie. Nakoniec poruszyć jeszcze muszę punkt najważniejszy. W Prusach każdy prawie mężczyzna jest wojskowym. Pobita jedna ich armia może być wkrótce zastąpiona przez drugą i to złożoną z wyćwiczonego żołnierza, u nas przeciwnie, pobici nie mamy nic, chyba niekarne masy ożywione może najlepszą chęcią, które potrafią zginać w najlepszym razie, ale zwycięstwa na naszą stronę nie przychylą. Być może, iż system militarny pruski u nas się zaprowadzić nie da, coś jednak podobnego musimy mu przeciwstawić, np. gwardję ruchomą, lub coś innego. A zatem według mego zdania potrzeba: wycofać się z Meksyku i wszystkie siły skoncentrować w jednym punkcie, zaopatrzyć armię w broń odtyłcową, zastosować taktykę do nowej broni, fortece nasze podnieść i wzmocnić, stworzyć ruchomą gwardję zdolną w danym razie wyruszyć w pole. Spełnienie tych warunków uważam za konieczne, jeżeli z pomyślnym skutkiem wojnę prowadzić mamy.“

Marszałek Forey najmłodszy z marszałków nie miał do zarzucenia zdaniu preopinanta.

Inni marszałkowie milczeli, zdanie Niela trafiło do przekonania wszystkich.

Pan Drouyn de Lhuys zabrał teraz głos:

„Najjaśniejszy Panie, zapewne marszałek ma słuszość pod względem militarnym, ale jego plan wymaga czasu, a my czasu do stracenia nie mamy, zresztą w czasie, w którym my się wzmocnimy, wzmocnią się także i Prusacy, szanse znowu będą te same w ów czas jak dzisiaj. Pozwól mi W. C. Moś wziąć oficera z dwoma żołnierzami, którzyby z chorągwią francuską na granicy, żądanie nasze poparli, a jeżeli Prusacy nie ustąpią, cała Francja sformuje się w bataliony, takie bataliony, na których czele stryj twój Najjaśniejszy Panie pobił Europę.“

Cesarz wzrok pytający zwrócił na Niela.

„Co pan na to mówisz panie marszałku?“

„Bezpośrednio po bitwie pod Sadową było to możliwem“ odpowiedział marszałek — „nim Austria pokój zawarła, dzisiaj

gra to niebezpieczna, której żaden sumienny generał doradzać nie może.“

„A gdybym się na tę grę odważył?“ zapytał cesarz z ogniem w oku, „który z was moi panowie stanie po mojej stronie i poprowadzi armię na nieprzyjaciela?“

„Najjaśniejszy Panie“ odpowiedział Mac-Mahon, „wszyscy jesteśmy gotowi stanąć przy boku Waszej Cesarskiej Mości i umrzeć na czele armii, zawsze jednak przedtem błagamy Waszą Cesarską Mość, abyś wysłuchał rad marszałka Niela,— interes Francji i dynastji tego wymaga.“

Wszyscy marszałkowie przyklasnęli tym słowom.

Cesarz znowu zapytał Niela:

„Ile czasu będziesz pan potrzebował do urzeczywistnienia wszystkich swoich projektów?“

„Dwa lata Najjaśniejszy Panie“ odpowiedział zapytany.

Napoleon powstał i podziękował marszałkom za wynurzenia zdań, zapraszając ich wszystkich na objad.

Grzeczny skinieniem pożegnał obecnych.

Zostawszy sam, mówił do siebie:

„Rozpoczynać wojnę pod takimi warunkami byłoby szaleństwem, dwa lata to nie wieczność i skutek pewniejszy. Drouyn de Lhuys taki zwykle ostrożny teraz mówi jak mówca klubowy z r. 1793. Związki jego z Orleanami są mi podejrzane.

Potem usiadł przy stoliku i pisał czas dłuższy.

Ukończywszy zawołał Pietrego.

„Przeczytaj to pan“ powiedział do niego „i każ przepisać.“ Pietri czytał z uwagą.

„To nowy program polityczny. Wasza Cesarska Mość zgadza się zatem na teorię nieinterwencji i upatruje w podziale Niemiec na trzy części zupełną gwarancję interesów francuskich? Pan Drouyn de Lhuys na ten program się nie zgodzi!“

„Zmusić go do tego nie mogę“ odpowiedział cesarz.

Program był także zapowiedzią reform wewnętrznych i prowadził przez gabinet Lavalette — Moustier do gabinetu Olivier.

* *

Znowu kilka dni upłynęło.

Pan Pietri czytał cesarzowi raporta, ten słuchał je z natężoną uwagą.

Po skończonej pracy rzekł cesarz:

„Muszę dzisiaj odwiedzić cesarzową Karolinę.“

„Biedna cesarzowa“ powiedział Pietri „wzbudza ona powszechne współczucie.“

„Któż jej winien“ zawołał Napoleon, „że tak uporczywie trzyma się tego śmiesznego meksykańskiego tronu — nie mogę podtrzymywać monarchii którą cesarz Maksymilian sam podkopał swoim liberalizmem. Zerwał z Kościołem, obraził duchowieństwo, jedyną potęgę, która mogła zniewolić masy dla niego, a przede wszystkim dostarczyć mu pieniędzy, bo bez pieniędzy nie będzie miał ani wojska, ani generałów, ani ministrów, ani przyjaciół. Tej meksykańskiej przepaści nie mogę dłużej wypełniać francuską krwią i francuskimi pieniędzmi, szczególnie teraz, kiedy od strony Niemiec grozi nam rzeczywiste niebezpieczeństwo, a ja nie mogąc działać, muszę się uśmiechać. Wyprawa meksykańska była wielką ideą: miała ona utwierdzić zasadę monarchiczną na drugiej półkuli w obec coraz groźniej występujących Zjednoczonych Stanów — zapewnić łacińskiej rasie panowanie. Z upadkiem południa idea ta stała się niemożliwą, cesarz Maksymilian nie umiał utworzyć stronnictwa monarchicznego — ja nie mam interesu go wspierać — a nawet nie mogę.“

„Gdyby Wasza Cesarska Mość był silniej wspierał południową konfederację“ wtrącił nieśmiało Pietri.

„Mógłbym to uczynić, sam bez Anglii“ odparł cesarz z żywością, „Anglia mię opuściła, chociaż ona więcej niż ja powinna być interesowaną w poskromieniu amerykańskiej republiki, która już w cichości miecz ostrzy, aby podciąć tę bawełnianą nitkę, na której wisi życie Wielkiej Britanii. Miałem narażać się sam jeden na nienawiść tej potęgi przyszłości? nie będąc pewnym że ją pokonam — i to dla podtrzymania cesarza puszczającego się na eksperymentalną politykę rządzenia dzikimi za pomocą formułek konstytucyjnych. Boleję nad Maksymilianem“ rzekł cesarz

zrobiwszy kilka kroków po pokoju, „jest w nim coś wielkiego i szlachetnego, lecz zarazem i niejasnego, ma on wiele podobieństwa do swoich przodków: do Józefa II, który przyszedł na świat o sto lat zawcześniej, i do Maksymiliana I, który się urodził o dwieście lat za późno. Ubolewam nad nim“ rzekł z westchnieniem, „ale mu pomódz nie mogę. Nie wielka bieda zresztą po chybionej meksykańskiej wyprawie zostać arcyksięciem austryackim, nie wszyscy panujący po utracie tronu mają tak wygodną linię odwrotu. Chciałbym żeby sobie cesarzowa Karolina odjechała, wczoraj była bardzo wzburzona — będzie to męcząca wizyta.

* *

Na pierwszym piętrze „du Grand Hotel“ przy bulwarze włoskim siedziała w swoim salonie cesarzowa Karolina w czarnym ubraniu. Jej piękna, świeża i urocza twarzyczka była teraz blada i smutna, głębokie zmarszczki robiły ją starszą niż była, włosy miała zakryte czarną koronkową chusteczką spadającą aż na czoło, usta drgały nerwowym poruszeniem, oczy jej błyszczały od czasu do czasu gorączkowym płomieniem.

Przed nią stał generał Almonte, poseł meksykański w Paryżu, spoglądał on ze smutkiem na swoją monarchię złamaną niepowodzeniem.

„Panie jenerale“ mówiła drżącym głosem, „więc już zupełnie zwątpiłeś w pomoc Francji?“

„Po tem wszystkiem co tu widzę i słyszę, zwątpiłem zupełnie“ odrzekł generał, „cesarz pragnie się wycofać z tej sprawy szybko i stanowczo — jeżeli Jego Cesarska Mość cesarz Maksymilian chce utrzymać się na tronie, co w interesie nieszczęśliwego kraju wyzyskiwanego przez awanturników byłoby do życzenia, niechaj się na Francję nie ogląda, ale stara się we własnym kraju znaleźć podporę, przedewszystkiem powinien pojednać się z duchowieństwem, które mu dostarczy wojska i pieniędzy. Nie tutaj Najjaśniejsza Pani“ mówił dalej, „szukajmy pomocy, ale w Rzymie, tylko sam papież może tą silną w Meksyku potęgą na stronę cesarza przechylić, zapewne że postawi warunki, ale trzeba działać prędko, inaczej będzie za późno“ dodał z stłumionym głosem.

„O mój szlachetny, nieszczęśliwy małżonku!“ zawołała cesarzowa z gorączkowym uniesieniem, „dla czego usłuchałeś zwo-

dnicznych namów tego szatana, którego nazywają Napoleonem, dla czego opuściłeś nasze śliczne ustronie w Miramare i rzuciłeś się w tę przepaść, w którą coraz głębiej i głębiej brniemy. O gdybyś pan wiedział," mówiła z coraz większem rozrzewnieniem stając przed jenerałem, „jak ja tego człowieka błagałam w St. Cloud dokąd przedemną uciekł, modliłam się do niego jak się modli do Boga, rzuciłam się do nóg jego — ja wnuczka Ludwika Filipa u nóg syna tej Hortenzyi — o mój Boże!"

Wycieńczona rzuciła się na kanapę.

„I cóż odpowiedział cesarz?" zapytał jenerał z współczuciem.

„Nic" wyszlochała cesarzowa, „same frazesy ubolewania i pocieszenia, które w jego ustach brzmiały jak urągowisko — jenerale" zawołała nagle, zrywając się z kanapy, „w głowie mi się mąci, obawiam się o mój rozum; tyle smutku, tyle łez wylanych zwykle się kończy pomieszaniami zmysłów. Ze mną tak samo się skończy. W nocy, po długiej bezsenności, gdy na chwilę się zdrzemię, zdaje mi się, że ten szatan z piekieł wyłazi i podaje mi kubek, z którego wydobywają się zielono-żółtawe jęczyczki płomienne, przestрах mię całą ogarnia, on trzyma kubek przy moich ustach, płomienie smagają mię po mózgu i sprawiają ból straszliwy, muszę pić co mi podaje, a to krew, krew mojego męża wrzasnęła przeraźliwie, spazmatycznie broniąc się rękami."

„Najjaśniejsza Pani na miłość Boga uspokój się!" zawołał jenerał przerażony.

W przedpokoju powstał jakiś szmer.

Wszedł lokaj i zameldował:

„Jego Cesarska Mość wjeżdża w dziedzieniec."

Cesarzowa Karolina podniosła się szybko, chustką otarła czoło, sztywność z twarzy znikła, z spokojnym lecz bolesnym uśmiechem przemówiła:

„Zostaw nas samych jenerale, może Bóg zmiękczył jego serce."

Cesarz Napoleon wszedł do przedpokoju; ubrany był w czarny frak, na nim order i wstęga orderu Matki Boskiej z Gwardalupy. Towarzyszył mu pułkownik Favé.

Cesarzowa wyszła naprzeciwko niemu aż do progu swego salonu, jenerał Almonte cofnął się do przedpokoju, lokaje drzwi zamknęli.

Napoleon pocałował cesarzową w rękę, odprowadził ją do kanapy i usiadł przy niej w fotelu.

„Wasza Cesarska Mość zadowolnioną jesteś z mieszkania?“ zapytał, „byłbym bardzo kontent, gdybyś pani raczyła przyjąć gościnność w jednym z moich zamków.“

„Mnie wiele nie potrzeba“ odpowiedziała z lekką oznaką niecierpliwości, „przybyłam tutaj, aby mój wyrok usłyszeć, racz mi Wasza Cesarka Mość powiedzieć, czy takowy już wydany został?“

„Wczoraj już skreśliłem Waszej Cesarskiej Mości sytuację polityczną“ odpowiedział cesarz spokojnie, — „z przykrością muszę dzisiaj powtórzyć, że ta sytuacja nie pozwala mi absolutnie zadosyć uczynić życzyiom Waszej C. Mości — mimo żebym sobie tego bardzo życzył“ dodał z grzecznym ukłonem.

Usta cesarzowej drżały konwulsyjnie.

„Nie chodzi tu o moje życzenia Najjaśniejszy Panie“ odpowiedziała cesarzowa, „te nigdy nie sięgały po ten tron daleki, — idzie tu o honor a może i o życie mojego męża, bo on życie poświęci honorowi.“

„Najjaśniejsza Pani“ odpowiedział cesarz podkreślając z lekka wąsy, „honor zupełnie nie wymaga, aby się grzebać pod gruzami tronu, który się utrzymać nie da. — Mąż W. C. M. podjął wielką i dobrą sprawę, że jej przeprowadzić nie zdołał, to wina stosunków a nie jego. Nikt mu z tego powodu zarzutów robić nie może.“

Gorzki uśmiech pojawił się na twarzy cesarzowej.

„Mój mąż inaczej tę rzecz pojmuje“ mówiła, „jako de-tronizowany książę włączyć się po świecie nie myśli, — według jego zapatrywania się: monarcha nie powinien opuszczać tronu jak tylko razem z życiem.“

„Cesarz Maksymilian nie będzie do ostateczności upierał się przy zapatrywaniu, które do obecnego wypadku zastosować się nie da“ odpowiedział Napoleon, — „wysłę do niego generała Castelnau, który mu w moim imieniu przedłoży konieczność położenia, pod którego ciężarem się znajduję, cesarz mię zrozumie i powróci, a ciebie Najjaśniejsza Pani upraszam, racz swojemi radami misyę generała.“

„Misyę się nie powiedzie“ odpowiedziała, „a ja nie będę

memu mężowi doradzała czegoś takiego, co rycerski jego umysł uważa za niezgodne z honorem.“

Cesarz ścisnął usta, z oczów jego padło na cesarzową spojrzenie, w którym się mieściła prawie nienawiść.

Cesarzowa spostrzegła to spojrzenie, dreszcz ją przebiegł po ciele, w gwałtownem wzburzeniu ręce złożyła na piersi i głębokobok oddychając, powiedziała:

„Najjaśniejszy Panie nie idzie tu tylko o honor mego męża, piecza nad nim do nas samych należy, ale coś innego jest tu jeszcze w grze, co W. C. Mość bliżej obchodzi — a tem jest honor Francyi.“

Cesarz uśmiechnął się zimno.

„Armia moja“ powiedział, „wraca tylko na moje rozkazy, i powraca okryta laurami.“

„Laurami?“ zawołała cesarzowa, „tak, laurem poszczycić może każdy żołnierz z osobna, który tam dzielnie walczył, laury rosną na grobach poległych — ale chorągwie, które opuściły tron wzniesiony przez francuskiego cesarza, które opuściły monarchę udającego się tam na głos Francyi. powinny się osłonić grubą żałobą, bo one zdradziły honor Francyi. — Najjaśniejszy Panie“ mówiła z przymusem, „zaklinam cię na wszystko cofnij twój okrutny wyrok.“

Czoło cesarza namarszczyło się, lodowaty uśmiech spoczął na jego ustach.

„W. C. M. zechce mi przyznać“ powiedział, „że ja jestem najlepszym, a w każdym razie jedynym, kompetentnym sędzią w sprawie honoru francuskiego.“

Z ócz cesarzowej padały pioruny, wyraz pogardy malował się na jej twarzy.

„Jeżeli W. C. M. jesteś sędzią francuskiego honoru“ rzekła, „to pozwól mi być jego adwokatem, krew która we mnie płynie, daje mi do tego prawo, jest to krew Henryka IV, a mój dziad był królem Francuzów.“

Cesarz powstał.

Cesarzowa podniosła się także.

Obie ręce przycisnęła do serca, ciało jej ugięło się pod nateżeniem woli, aby wzrokowi przywrócić spokój, a ustom grzeszny uśmiech.

„Najjaśniejszy Panie“ zawołała serdecznym, miękim głosem, „przebacz żonie, jeżeli broniąc honoru i życia męża, dała się porwać uniesieniu, przecież to dla mnie największa, najświętsza sprawa i taką nie przestanie być nigdy. Najjaśniejszy Panie zaklinam cię na Boga, na odwieczne miłosierdzie, miej litość nad nami, jeszcze rok udziel nam swojej opieki, albo wesprzyj nas pieniędzmi jeżeli krew francuska jest za kossztowną dla Waszej C. Mości.“

Cesarz odpowiedział zimno.

„Największą przyjacielską usługą w groźnej chwili jest prawda i szczerość. Byłoby zbrodnią przeciw W. C. Mości gdybym jej robił obietnice, których dotrzymać nie jestem w stanie. Postanowienia moje są niezmiennie jak konieczność, która mi je podyktowała — dla Meksyku nie mam już ani żołnierza ani talara do stracenia.“

Rysy cesarzowej na te słowa wykrzywiły się okropnie, białka jej oczów zaszyły krwią, wzrok pałał fosforycznym blaskiem, nieludzkim prawie głosem zawołała:

„Więc to nie było snem, nie było zjawiskiem nocnem, to było prawdą; ten sam szatan obrzydliwy stoi przedemną z kubkiem krwi w rękach. — Zabij mego męża, zabij mnie, wnuczkę Ludwika Filipa, tego króla, który cię wybawił od nędzy uratował od rusztowania!“

Cesarz jakby przed widźmem cofnął się ku drzwiom.

Cesarzowa stanęła, ręce tylko wyciągnęła ku niemu, twarz jej przybrała wyraz przerażający, oko dziko pałało:

„Idź precz potępieńcze“ wołała, „a przekleństwo moje niechaj cię ściga wszędzie — przekleństwo jakie Bóg rzucił na pierwszego mordercę, niechaj roztrzaska twój tron — ogień niechaj zniszczy twój dom, a gdy okryty wstydem i hańbą będziesz tarztał się w prochu z którego powstałeś, niechaj aniół zemsty przypomina twej duszy szarpanej rozpaczą te dwa imiona: Maksymilian i Karolina.“

Cesarz przerażony otworzył drzwi, szybko przebiegł przez pokój i stłumionym głosem wyrzekł:]

„Chodźmy panie Favé. Cesarzowa jest cierpiącą.“

Jenerał Almonte pośpieszył do pokoju cesarzowej,

Nieszczęśliwa monarchini w środku salonu upadła na kolana, lewą rękę trzymała ściśniętą na piersiach, prawą wycią-

gnęła daleko od siebie, wzrok nieruchomy utkwiała w suficie — wyglądała jak skamieniały obraz rozpaczyl!

Jenerał pospieszył ku niej.

„Dla Boga“ zawołał pochylając się ku niej, „upamiętaj się W. C. M. — cóż się stało?“

Lekkie drzenie opanowało cesarzową, z wolna zwróciła swój wzrok na jenerała, ze zdziwieniem patrzyła do niego, spływający pot z czoła ocierała ręką, jenerał podniósł ją i zaprowadził na kanapę, panna służebna przybiegła mu w pomoc, przerażony lokaj stał nieruchomie przy drzwiach przedpokoju.

„Gdzie on?“ zapytała ochryłym głosem, „odszedł, — nie trzeba go było puszczać, — ja na krok od niego nie odstąpię, we dnie i w nocy zemsta moja prześladować go będzie.

„Najjaśniejsza Pani!“ zawołał jenerał.

„Poszedł“ krzyczała cesarzowa ze wszystkich sił, „podajcie mi powóz, ścigać muszę tego zdrajcę, mordercę mojego męża!“

Odepchnęła gwałtownie jenerała i kamerystkę, z przedpokoju wyskoczyła na schody wołając: „powóz mój! gdzie mój powóz?“

Jenerał Almonte przytrzymał cesarzową, starał się ją uspokoić, ale nadaremnie, oczy wszystkich były zwrócone na nich.

Jenerał chcąc zakończyć tę bolesną scenę kazał zajeżdżać powozowi. Cesarzowa wskoczyła wewnątrz, tu siły ją opuściły, biała pianą zamuliła jej usta, bez przytomności opadła na poduszki.

Lokaje zanieśli ją łagodnie na górę.

„Co za tragedia tu się rozpoczyna“ mówił do siebie jenerał Almonte, „i co za rozwiązanie mieści się jeszcze w łonie przyszłości.“

* * *

Po południu tego samego dnia cały świat modny Paryża uwijał się po lasku buleńskim.

Cesarz w otwartym powozie, jechał czterna pysznymi karzymi końmi. Przy nim siedział jenerał Fleury. Twarz Napoleona jaśniała wesołością, swobodnie rozmawiał z jenerałem, na powitania odpowiadał na prawo i lewo z obowiązującą grzecznością. Trzy razy objechał brzegi stawu. W godzinę później wiedział już cały Paryż, że zdrowie cesarza jest w wybornym

stanie, że sprawy idą pomyślnie, gdyż już dawno J. C. M. nie widziano tak wesołym.

Również wesołym był przy stole, do którego zaproszeni byli marszałkowie i kilku wyższych oficerów. Po obiedzie udał się cesarz w ścisłym incognito w towarzystwie pana Pietri do wróżki Moreau uczennicy sławnej Lenormand.

* *

Najwydatniejszą dla tego też i najwstrętniejszą reklamę stanowi ostatni rozdział. W Wiedniu widzieliśmy krzątanie się chaotyczne, coś tak jak u nas się dzieje przy chronicznych chorobach, gdzie się wzywa pomocy i aleopatyi i homeopatyi i baby miejscowej i cudownego owczarza z okolicy, każdej rady słucha się po trochu, nie wytrwa w żadnej. W Paryżu, złamany wiekiem i wycieńczony chorobą cesarz był także w trudnem bardzo położeniu, wyboru prawie nie miał, występując przeciwko polityce pruskiej, występował zarazem przeciwko własnym ideom, ideom napoleońskim, które od lat 18 jako specyficzne lekarstwo zalecał; pozwalając znowu Prusom działać, narażał interesa Francyi, ztąd wahanie zamęt, strata czasu, niejasność w słowach, dwóznaczność w działaniach. Inaczej w Berlinie dokąd nas autor w ostatnim rozdziale jeszcze raz prowadzi: tam król pobożny i pełen prostoty, minister rozumny i konsekwentny, w życiu publicznem nieugięty, w prywatnem czuły i wspański, słowem wielki człowiek czy w szlafroku czy w pikielhaubie.

W Berlinie.

Kampania już skończona. Król Wilhelm i hr. Bismark powrócili do Berlina. W stolicy uroczystość jedna goni za drugą, objawów przywiązania dla króla, podziwienia dla ministra bez liku i końca. Ale pobożnego króla i rozumnego ministra pomyślność i hołdy nie upajają. pierwszy przypisuje pomyślny skutek Bogu i zmarłemu bratu, drugi wie, że nic nie zrobiono, dokąd jeszcze coś do zrobienia zostaje.

„Mój kochany radco“ mówił król do przywołanego tajnego radcy Schnaidera, „co tam piszą w dziennikach?“

„Piszą wiele na jeden i ten sam temat“ odpowiedział Schneider, „wynurzają radość ze zwycięstwa, wdzięczność dla króla, sypią pochwały dla ministrów i generałów.“

„Jakżeż ten świat jest niewdzięczny!“ zawołał po chwili król.

„Niewdzięczność“ były słowa Schneidra, „to najpowszechniejszy rys natury ludzkiej, tym razem jednak wyjątkowo na niewdzięczność narzekać nie można, hymny wdzięczności brzmią na wszystkie strony.

„Właśnie tym razem“ odpowiedział król, „najbardziej się przekonywam o niewdzięczności ludzi, składają dzięki innie, memu Frycowi, generałom, a o tym któremu po Bogu największej zawdzięczamy, nie wspomną ani słowem. O ś. p. bracie moim nikt nie pamięta! a przecież jego to dzieło, jego zasługą jest wzmocnienie armii i organizacja państwa!“

Schneider płakał z rozczulenia.

Król mówił dalej:

„Jeżeli Bóg nam pozwolił zebrać dojrzały owoc, nie powinniśmy zapominać o tym, który drzewo zasadził, pielęgnował i kosenie jego podlewał w czasie posuchy.“

Poczem wziął ze stołu zapisany papier i rzekł:

„Zanotowałem tutaj najważniejsze data dotyczące tego wszystkiego co zmarły król uczynił dla wzmocnienia Prus i dla zjednoczenia Niemiec, życzę sobie, aby na tej podstawie zamieszczono artykuł w „Spener'sche Zeitung“, dzienniku najbardziej rozpowszechnionym w Berlinie. Mój radco zajmij się tem, tylko uważaj, aby artykuł był umieszczony na czele dziennika, żeby każdemu wpadł w oczy, można mu dać napis: Królewskiemu bratu, — gdy wszyscy o nim zapomnieli, ja nie powinienem o nim zapominać.“

Schneider wziął notatkę do obrobienia, nim jednak wyszedł wyraził swoje uwielbienie dla szlachetnego monarchy, który polowę wawrzynów składał na grobie brata.

* * *

W gabinecie Bismarka odbywała się równocześnie inna scena.

Znany agitator duński, z polecenia ministra francuskiego miał prywatnie insynuować hrabiemu Bismarkowi nowy plan pogodzenia interesów pruskich z interesem i honorem Francji. Plan ten zasadzał się na zneutralizowaniu prowincji nadreńskich na wzór Belgii pod rządem jednego z członków książęcej linii

Hohenzollernów. Właśnie plan ten rozwijał teraz p. Hansen przed Bismarkiem.

„Nie będę się pytał“ odpowiedział hr. Bismark na wszystkie wywody Hansena, „z czyjego polecenia przybyłeś pan z tą propozycją? To coś mi pan powiedział uważam za osobiste, prywatne pańskie zdanie, na które także bez wahania prywatnie odpowiadam. — Niemcy przez szczęśliwą wojnę zrobili wielki krok naprzód do ukonstytuowania swego narodowego. Z tego co się stało nie potrzebują zdawać rachunków przed nikim ani się troszczyć czy się to komu podoba lub nie podoba, przede wszystkim nikomu swego zjednoczenia opłacać nie myślą, dokąd ja będę ministrem na żadną opłatę, w jakiegokolwiek bądź miało by to stać się formie, nie zezwolę nigdy. Zbyt cennymby więc było komunikować mi te propozycje w formie urzędowej. Rząd pruski także inaczej na nie nie odpowie.“

„Ekscelencyo“ powiedział jeszcze Hansen „o ile mogłem poinformować się w decydujących kołach, przyjęcie propozycji uważają tam jako ostatni krok w przywróceniu dobrych stosunków między obydwojma państwami. Inaczej wojna jest tylko kwestyą czasu.“

„Wojny się nie obawiam“ odrzekł Bismark „i nigdy jej kosztem godności i potęgi państwa nie unikam. Dzielną armią pruską, która pobiła Austriaków z większym jeszcze zapałem wyruszy przeciwko Francuzom. — Słowa moje możesz pan każdemu powtórzyć kogo one interesować mogą, jakkolwiek z drugiej strony nikt gorącej odemnie sobie nie życzy utrzymania dobrych stosunków między Francją a Niemcami, co pan także powtórzyć możesz.“

Obaj panowie powiedzieli sobie jeszcze kilka osobistych grzeczności, poczem pan Hansen wyszedł z gabinetu.

„Chciałby igrać z Niemcami jak igrał z Włochami“ zawołał hrabia zostawszy sam, „u mnie nie znajdzie Sabaudyi i Nicei.“

Po tych słowach udał się do salonu żony.

Obie damy siedziały znowu przy herbacie. Pan Kaudel był także.

Hrabia przywitał wszystkich serdecznie.

„Czy widziałeś najświeższy numer Kladeredatscha?“ zapytała hrabina, podając mu równocześnie numer. Hrabia wziął

go z uśmiechem i przypatrywał się rysunkowi na ostatniej stronnicy.

Przestawiał on starego wynędzniałego żebraka o rysach Napoleona, który trzymając kapelusz w ręku, oczekiwał jałmużny pod drzwiami domu. W otwartem oknie widać było prezesa ministrów dającego znak ręką, aby sobie szedł precz. U dołu stał napis: „Tu się nie daje nic“.

Z wesołym uśmiechem rzucił hrabia numer na stół.

„To zadziwiające“ zawołał, „jak ci ludzie umieją uchwycić sytuację rysunkiem. W tych obrazkach często więcej jest myśli niż w długich artykułach wstępnych.“

„Mam jeszcze prośbę do ciebie kochany Keudel“ przemówił hrabia zwracając się do radcy, „Bądź łaskaw zagraj mi jeszcze ten marsz Bethowena, coś mi go grał w przeddzień rozpoczęcia wojny.“

Keudel pospiesznie żądanie wykonał.

Hrabia Bismark słuchał muzyki z nabożeństwem, usta jego szeptały:

Bóg jest naszą silną twierdzą,
Silnym wałem, silną bronią.

Autor projektów wyznaniowych nie spodziewał się może, iż chwalcę jego zrobi go jeszcze bogobojnym—do tylu cnót, dlaczego jeszcze tej jednej nie dorzucić! Jeżeli ma być reklama, to już niechaj będzie w całym tego słowa znaczeniu! Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas!

POCHWAŁA ¹⁾ JANA HENRYKA DĄBROWSKIEGO

Z POLECENIA

Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego

napisana przez

Kajetana Koźmiana.

WSTĘP.

Pochwały dla współczesnych, pamiątki dla nich poświęcone, nie zawsze są niewątpliwą rękojmią ich nieśmiertelności, zawsze świadectwem godności lub nikczemności wieku; potomność sądzi z nich mniej o tych dla których się wzniosły, jak o czasach i narodach, z równą surowością dla chwalców, jak chwalonych.

¹⁾ Pochwała ta Dąbrowskiego należy do niewydanych dzieł Kajetana Koźmiana, i jest częścią pozostałych jeszcze po moim dziadku i po moim ojcu papierów które stopniowo zamierzam drukować, a których znaczniejsza część ukaże się w *Przeglądzie Polskim*.

St. Koźmian.

Wzłóćcie więc do nicości imiona wielkie małością, sławne niesławą wieku; wywołana noklaski, natrętne wizerunki osób i czynów waszych, któremi kusicie się zdobywcze na potomnych, nie uwiecznią was, lecz potępiają, nie wsławiają, lecz ochydzają; surowa prawda tem groźniejsza im dłużej tłumiona pomysłami te podstępny, potarga te sidła na wiarę przyszłych pokoleń zastawione, i prócz wstydu samochlubstwa, któregoście za życia nie znali, nic przy was nie pozostawi.

Pocieszajcie się więc wy szlachtni obrońcy Ojczyzny, wy czcigodni miłośnicy cnoty i prawdy; wy mówię sławni czynami a skromni nagrodą mężowie, czy wielbieni za życia, czy zapomniani, wy nieustraszeni wyznawcy honoru i prawości, pocieszajcie się! Nie łatwo jest ująć lub obłąkać nie omylnej przyszłości wyroczni; wysłucha ona odwołania się waszego, zbierze skargi, policzy ciosy i kiedy tych chwilowych bożyszcz popioły na podeptanie wskaże, wieńcem nieśmiertelnej chwały ozdobi wasze grobowce.

Czyjeśz imię ziomkowie! słuszniej wpośród tych promieni chwały umieszczonem być zasługuje, nad męża, który u grobu konającej ojczyzny ostatnie jej tchnienie w piersi swoje zebrał, by ducha zwątpiałych broni towarzyszków ożywić, i wzniesionym orężem wskazując w obłokach cień jej błędzący, za jego szlakiem po nieprzebytych skałach i nurtach wiódł nie zdolnych przeżyć jej zgonu rycerzy, który uświetnił kartę pogrobową dziejów ojczystych temi bohaterskich czasów cudami, które mniemać można było za płód wyniosłych marzeń wieszczów; póki pod okiem zdziwionego świata urzetelnione i sprawdzone nie zostały. O ileż się na samo imię jego nie obudza uczuć, ileż się z nim nie łączy, razem świetnych i okropnych, żalonych i chlubnych wspomnień; Wy coście Ojczyzny nie tracili nie zdołacie sobie wystawić ówczesnego stanu serc polskich, wy nawet młodzieńcy, już pomyślniejszego losu następcy, tej boleści objąć nie możecie, boście na zgon Polski i początek niedoli nie patrzyli. Lecz wy uczestnicy jej przeznaczeń, wy świadkowie klęsk, współnicy cierpień, co w chwalebnych bliźnich, we wcześniej siwiznie, w niezatartych na twarzy posępności śladach, i niepozbytej z serca goryczy, żywe znamiona tych okropnych czasów nosicie, wy mnie pojmiecie, bo każde słowo moje dotknie się ran waszych, obym! mógł powiedzieć

ręką dobroczynną zagojonych. Równie dla niego ~~ja~~ ~~da~~ nas przywołam ja na pamięć tę chwilę ~~w której~~ po krwawej walce ostatni raz ojczyste ~~słowo~~ nad mogiłą Polski zapadło, chwilę w której ~~ruszą~~ rozdartą z zawrzałymi ranami po domach rozpierzchnieni, uczuliście całą srogość obcej przemocy, cały ciężar niezasłużonych losów, chwilę okropną, w której wy matki, roniliście łzy nad płodem we wnętrznościach waszych drgającym. A wy niewinne dzieci, lękałyście się przerażającego rozpaczą wzroku rodziców, rozpacz wszystkie inne uczucia przytłumia w sercu, które nie ma Ojczyzny? Wy wspomnijcie czyjego imienia wymówienie koło piersi wasze ciężkiem wezbrane westchnieniem, i na zachmurzonych posępny smutkiem licach wyprowadzało łagodny uśmiech słodkiej nadziei? o kim nuczone pieśni, wdzięcznym cór waszych głosem, strapione zmysły łudziły urokiem, przez który zdawało wam się widzieć zbawców waszych przebywających Odrę i Wartę i podających wam zwyciężkie dłonie, do czego oddzieleni niezmierzoną przestrzenią tylu krajów i narodów, wspólną tęsknotą, wspólnem dążyliśmy pragnieniem. Wspomnijcie kiedy łoskot walącego się państwa i błady postrach nieprzyjaciół przeprowadzając nas z ułudzenia do rzeczywistości, w jednej chwili dał nam powitać i obrońców naszych i mściciela, i te orły narodowe, i te barwy rodzinne, i za jednym trąceniem oreża opadłe więzy, kiedy tym samym odgłosem zwyciężkiej pieśni, którąście w ukryciu domowem z bojaźnią powtarzali, zabrzmiała ta stolica, te jej teatry, te ulice, — kogóżeśmy na tarczach naszych wznieśli? — czyje imię usta ustom podawały? kto rozwinął chorągiew powstania? kto nas wiódł do boju? czyje odezwy ogłosiły nam Polskę i swobody ojczyste; ten to był wódz, ten bohater, Dąbrowski!...

C Z Ę Ś Ć I.

Prusy chlubią się tego męża pochodzeniem, urodzeniem Krakowskie, niestety księstwo Poznańskie grobem. Ród on swój wie dzie z tego rycerskiego stanu, którego waleczność i chętna dla ojczyzny z życia ofiara wznosiły przez tyle wieków chwałę i potęgę narodu, a oraz sławę wodzów. Cóż mają do porównania się z nim ci co się możnowładztwem naddziadów bez ich zasług nadymają, chyba to: że przy ich imion znaczeniu Polska znaczyć przestała.

Dziad Dąbrowskiego ¹⁾ komendant straży przybocznej Jana III walczył pod Wiedniem w szeregach, o które rozbiła się Ottomanów potęga, i odtąd chyli się i upada, ojciec służył pod znakami wolnie obranego Leszczyńskiego, a po zrzeczeniu się przez niego tronu wszedł do pułku Saskiego przy królu Augustcie III w Polsce zostawionego na leżach; pojął małżonkę córkę generała gwardyi polskiej Lettów, kiedy na Pruską wojnę wychodził, urodził mu się we wsi Pierzchowicach w roku 1755 syn Jan Henryk, nie otaczała kołyski jego ani nadęta pycha, ani czołgająca się podłość, ani dostatnia miękkość! odwieczne kazicielki serca, lecz szlachetna pogarda bogactw, co sławy i krwi za kruszec nie odważa i co uczy rozkazywać tym, których złoto nęci i znikczemnia.

Pierwsze wejście dziecięcia już wabiły obozowe z twardego żelaza i miedzi sprzęty, pod którymi ciało i duszę hartowali Fabrycyusze i Kuryusze Słowiańscy. Nienawykły do liczenia przodków po rozgałęzionych pochodzeniach, któremu pochlebstwo dumę upaja, lecz przodków liczył po tarczach, hełmach i orężach, a raczej śladach krwi i szczerbach za lubą ojczyznę branych i oddawanych, nie słyszał o sobie nadzwyczajnych wróżb, ani dziwiących przepowiedzeń, które zniewie-

¹⁾ Rodzina Dąbrowskich pochodzi z Prus i wie dzie swój ród od Krzyżaków. Liczy ona wielu zasłużonych mężów wojewodów chełmskich i kasztelanów gdańskich (P. W.).

ściałemu plemieniu wartości nie nadają, a których prawdziwe zdolności nie potrzebują, i dlatego może wszystkie o innych czynione przeszedł i zawstydził. Jakoż te przeznaczenia, te losy, którym niebaczni tyle przypisują wpływu, czcze w istocie i bez znaczenia są słowa raczej przez niedołężność wymyślone, zazdrosną cudzych zasług, a chcącą nikczemność własną wymówić. Ludzie wyżsi sami się przeznaczają, powodzenia ich są pewne i niezachwiane, i byleby ich nieszczęsna serc ludzkich słabość duma nie obłąkała, nie będą w potrzebie, ani spodziewać się czegoś od urojonych losów, ani na ich zdradę narzekać.

W siódmym roku dopiero życia poznał Dąbrowski ojca, kiedy po ukończonej siedmioletniej wojnie pułki Saskie na dawne stanowiska do Polski wróciły. Lecz wkrótce śmierć Augusta III znowu go z ojcem rozłączyła. Ten oddalając się z rodzinnej ziemi równie dobry obywatel, jak waleczny rycerz, powierzył syna już osieroconego od matki opiece jej krewnych innego w religii wyznania, w słodkiej nadziei zaciągnięcia się wraz z nim do ojczystych pułków. Wypadki nieszczęśliwe zaszły w kraju zniweczyły te upragnione widoki.

Prześladowania religijne nieznane nigdy w oświeconej Polsce, przez uwiedziony fanatyzm wzniecone, zmusiły Dąbrowskiego rodzinę do szukania schronienia w Szląsku, tam młody Jan Henryk oddany do szkół publicznych w Kamenz pierwsze początki wykształcenia odebrał.

Na młodocianym wieku więcej mogą złe wzory niż dobre rady, bo występki ściele przed nami drogę kwiatami, cnotę już mieć potrzeba w sobie aby w jej rozkoszach smakować.— Uniknął więc Dąbrowski nieszczęsnych czasów, w których się w Polsce ochyda z ochydy, upodlenie z upodlenia rodziły i można o nim powiedzieć: że poniżeniem ojczyzny ani serca, ani wzroku nie skaził; nie widział słabych zapasów niepodległości z przemocą, silniejszą przedajnością ziomków, niż obcych orężem; nie patrzył na spiski możnych, na związki, które nie miłość ojczyzny, lecz zazdrość tronu kojarzyła, chętniejsza obcym służyć, niż swojemu podlegać. Miał w owych czasach zabobon swoich Apostołów, możni swoich stronników, obcy służalców, ojczyzna nie wielu miała obywateli. Straciwszy nie tylko wyobrażenie o cnocie, lecz sam sąd zdrowy o rzeczach, jeden tylko znali wstyd możniejsi, być w Polsce Polakami,

jedno upokorzenie ubożsi, od żadnego z nich niezależć. O! jakże mu inny w tej chwili szczęśliwa Saksonia wystawiała obraz; dzwigała się ona z długiego wyniszczenia i nierządu, kiedy Polska przez niego ginęła, ufność w rządzących, jedność w mieszkańcach, ochocza prawom podległość goiła tam klęski świeżej wojny, kiedy niezgody wewnętrzne, upór i ciemnota, szarpały, dzieliły i do grobu wiodły naród niegdyś sławny, lecz w wadach nierządu zakochany. O jakież pole dla uwag młodzieńca, jakie przykłady do nauk i przestróg! porównywał on przeciwne skutki z przeciwnymi przyczynami, i że tak powiem, nowe jego serce nasiąkło przywiązaniem do jednych, do drugich wstrętem. Uczestnikom lub świadkom spraw ojczystych wpośród wrzawy stronnictw obłąkanych, trudno jest dostrzedz niemylnego tonu, i niepodobna powziąć o własnych czynach prawdziwego sądu, bo tak ludzie, jak narody skłonniejsi są do głoszenia swoich pochwał, jak do przyznania się do win lub błędów; obcy troskliwiej wyszukują wad niż zalet, i za domem prędzej dowiadujemy się od obojętnych lub niechętnych prawdy, niż u siebie od przychylnych. Poznał ją Dąbrowski, słyszał sąd sąsiadów i odległych, może wrodzoną zazdrością i nienawiścią natchniony lecz zawsze pożyteczniejszy niż pobbązanie, widział z bólem serca mało politowania, wiele pogardy, częste naigrawania, słyszał krzywdzące a może i za surowe mniemanie, że nas łatwiej łudzić niż zaspokoić, gnębić niż rządzić nami, kupić niż zjednoczyć; na nieskażonem sercu młodzieńca, te srogie wyrzuty nie mogły uczynić innego wrażenia, ani go innem natchnąć przedsięwzięciem, jak tylko silniej przywiązać go do przysposobionej ojczyzny, kiedy rodzinna stała się łupem zbrodni swoich, i silnej przez nią obcych przemocy.

Ukończywszy przeto nauki zaciągnął się do gwardyi saskiej dowodzonej przez Maurycego Belgarda męża wielkich zalet i wojskowych zasług. Umieszczony w szeregu rotmistrza Blüchera znanego w ostatniej wojnie na stopniu kierującego całą siłą monarchii Pruskiej, wkrótce zwrócił na siebie uwagę i przychylność zwierzchników, gdyż szczęśliwem zdarzeniem tyle w nich znalazł chęci do wspierania rozwijających się talentów, ile miał w sobie usilności do ich nabycia. Nie poszedł on powszechnym torem młodzieży, co wiedzona płochem pragnieniem przywdziania powabnych oczom znaków, pod nimi burzliwym

namiętnościom puściwszy wodze łatwe znajduje skażenie; obcując z dobrymi, przysłuchując się biegłym, pierwszy do pełnienia twardych żołnierza powinności, ostatni do spoczynku, hartował ciało, nawykał do karności, porządku i obrotów, a umysł wiadomościami zdobił; ze szczerego powołania rycerz, obrawszy w tym stanie zawód życia, objął całą ważność i całą rozległość sztuki, potęgę, bezpieczeństwo i obronę państw stanowiącej i w najmniejszych odcieniach jej dociekając, nabywał chciwą pracą prawideł od nauczycieli i zwierzchników, lecz sposobu stosowania onych i zmieniania według obyczajów nieprzyjaciół, położenia kraju, charakteru ludzi i wodzów, uczył się z dziejów świata, z podań wielkich pisarzy, z przestróg wielkich bohaterów. Cezar i Fryderyk Wielki. Turen i Montekukuli, Zamoyski, Żółkiewski i Czarniecki byli jego mistrzami, z ich przedsięwzięć i zwycięstw, wyczerpał on tę którą potem celował naukę, jak swoją siłę sztuką powiększać, nieprzyjacielską otrętwiać, z małą ofiarą wielkich skutków dopinać, z klęsk własnych nie dać korzystać, a zyskane orężem zdobycze ostrożnością i umiarkowaniem utrzymywać.

Już w nim wodzowie obcy niepospolitego następcę wróżyli, już równiennicy bez zazdrości posuwającego się na wyższe stopnie widzieli, kiedy zajęta na wschodzie wojna obudziła troskliwość możnych państw o świeże na Polsce zabory, w słabych nadzieję, a w uciśnionych zemstę podniecając. Pod tem godłem zbierał się sejm w Polsce z wielu względów słusznie nazwany wielkim, wolny już od obcej przemocy, niestety! nie wolny jeszcze od jej wpływu. Nowy w nim naród czyli raczej odrodzony dobijając się utraconej niepodległości, gromadził pod chorągwie waleczną młodzież, powołując do przewodniczenia jej rozpierzchnionych rodaków po obcych krajach; nie wiele potrzeba było zachęceń dla Dąbrowskiego, aby nadzieję wywyższenia się w cudzoziemskich szeregach, poświęcił chwale bronienia własnego a uciśnionego kraju, skoro mu nadzieja wydobycia go z jarzma zabłysnęła. Na wezwanie Jana Małachowskiego, starosty Opoczyńskiego, posła przy dworze drezdeńskim, stanął w Warszawie wraz z innymi, przed władzą nad wojskiem przełożoną. Lecz bodajby ta karta ówczesnych dziejów na wieki zatartą została w pamięci swoich i świata. O wstydzie! ci co mieli Polskę ratować docisnąć się nie mogli

do zaszczytu walczenia za nią, przed tymi co ją od wieków gubili, ci co ją jedynie zbawić mogli przed tymi co o jej niepodległość wchodzili z obcymi w targi. Stała skromna zdolność bez starań i zabiegów i ten Kościuszko, co sprawę naszą podniósł i chwałą unieśmiertelnił, — ten Dąbrowski co umrzeć ojczyźnie nie dozwolił, zaledwie niższe otrzymali stopnie kiedy możni lub ich stronnicy, garnęli pod siebie pułki, i jak rodzinnem dziedzictwem dzielili się zaszczytami ojczystemi, które złą chęcią i niezdolnością splamić mieli; ani się zadziwiać można, że pyszni pragnęli, że się stronnicy ubiegali, że rozdawali możni, bo w tym poranku wschodzącego dopiero światła jeszcze to były chwile zapasów rozumu z ciemnotą, uprzedzeń i nałogów z prawdą, honoru z podłością i w owych czasach pierwszego starcia się cnoty z zuchwałą zbrodnią, wielu jeszcze było co pochodzenie brali za zdolność, bogactwa za prawa do znaczenia, bezczelność za odwagę, opór prawom i władzy za gorliwość. Chwała wam nieśmiertelna Adamie Czartoryski i Stanisławie Małachowski, wy wspierając tych przyszłych bohaterów tyleście sobie dodali sławy ile ojczyźnie ujęli wstydu, i patrząc na szczęśliwe przewagi waszej dzieło, mogliście sobie z pychą powiedzieć: „Zachowaliśmy Polskę, bośmy jej mimo niej dali tych, co imię narodu od zguby, sławę od skazy obronili.“

Umieszczony więc Dąbrowski na stopniu Vice Brygadiera w Madalińskiego oddziale jazdy zajął się gorliwie swoim przeznaczeniem. Powołanie rycerskie ziomkowie! o tyle jest szanowane, o ile je surowość prawideł zdoła, nieprzestępne uszanowanie praw zaleca, niezachwiana miłość ojczyzny i wierność uświatnia. Cnoty obywatelskie i domowe z narodem spajają interes osobisty, bo to jest prawdą niezaprzeczoną, że wojska którego się swoi obawiają, obcy lękać się nie będą. — Uczeń szkoły temi zaletami celującej, z tym duchem Dąbrowski wystąpił w szeregach na plac boju, w oddziale który Kościuszko pod dowództwem Poniatowskiego prowadził, z stopnia swojego dał się zaraz poznać nieprzyjaciołom i towarzyszom, a wkrótce wodzom, mówili o nim żołnierze, spostrzegli naczelnicy waleczność, powody w boju zawsze do coraz większych niebezpieczeństw, nie zawsze do nagrody.

Skończyła się też trzymiesięczna wojna podpisanym rozejmem z tryumfem dla spiskowych, z hańbą dla króla,

z chwałą wojska, nie bez winy sejmu, który zemstę wywołać umiał, a do odporu środków lub zaniedbał, lub uwiedziony w słabe i niewierne ręce one poruczył. O zaiste czemuż dopiero przyszłość odkryła nam tę prawdę! gdyby był Poniatowski mógł mieć mniej nieufności na którą go samo imię i związki krwi z królem, i młodość narażały, gdyby Kościuszko był zdolny mieć tyle zaufania w sobie ile go już posiadał w wojsku i narodzie, gdyby Dąbrowski tyle był znany w kraju ile w obozie. — Ojczyzno, możebyś się była oparła wszystkim zamachom, i tryumf twój nie byłby niepodobym; ale młody dowódzca skwapliwie chwytając się śmiałych przedsięwzięć i skwapliwiej one opuszczając, utracił niepowrotną chwilę zwykłym wahania się skutkiem; tym czasem nastąpił rozejm, a po zawartym, nie zostało wodzom jak uniknąć hańby z poddania karków pod jarzmo, gdy ten co wojskiem dowodził do skruszenia więzów więcej miał chęci niż odwagi, bo tę ostatnią o ile krew w nim rycerska podsycala o tyle królewska krępowała. Lecz oddalając się zaklinał podwładnych, aby trwali w wierności najświętszej sprawie, gotowość stawienia się na głos ojczyzny przysięgając wojsku, które głośno walki pragnąc naczelnika się domagało.

W liczbie tych których bądź osobisty los z posługą krajową spojony, bądź umiejętność wytrwania, bądź nakoniec namowy wodzów zatrzymały, pozostał w kraju Dąbrowski ale, doskonaly w porządnej służbie, obcy zaburzeniom, nie wiedział na jak srogie doświadczenia się poświęcał. Są tak ochydne czasy w których jak w zaraźliwych ciała chorobach, tych nawet troskliwi o zdrowie unikać zwykli, których ona jeszcze nie dotknęła, tak w tem zbrodniczem rozpostarciu się ducha którym spisek Targowicki ziemię ojczystą ozionął, oddychanie tem samem powietrzem jeżeli cnocie nie przynosiło skazy, uszczerbkiem stawało się ufności. — Zbrodnia jest zbyt przemyślną w sposoby, zbyt czynną w działaniu. Cnota nie zawsze jest czujną — nie tyle niebezpieczne są dla niej prześladowania ile łaski, bo nawet ci co ich nie szukają, lecz narzuconych odmówić nie mają odwagi, już podejrzenia u prawych nie uchodzą.

Spokojnie Dąbrowski zatrudniał się swoim powołaniem, zamyślając się nad środkami ratowania ojczyzny, kiedy związku Targowickiego niegodni naczelnicy zwrócili na niego oko,

i do komisji mającej się trudnić zwinieniem i przeistoczeniem wojska wezwali, mniej, aby mu zawierzyli, jak że ochydzici chcieli: poznał on całą przykrość położenia swego, wiedział iż odmawiając zdradzi siebie, przyjmując, za zdrajcę kraju uchodzić nie uniknie. Co więc przewidział tego w krótkce z boleścią doświadczył. Zbierały się wojska Pruskie na granicach Wielkiej Polski pod dowództwem Mellendorfa, jawne ich były cele, skutki bliskie, mała narodowa siła zasłaniała granice ojczyste, umyślnie przez zaprzędanych wodzów rozdrobniona aby odporu dać nie mogła. Dąbrowski porozumiewa się z tym oddziałem, układa śmiały zamiar nagłego cofnienia się do Stolicy, połączenia się z załogą i uderzania na wojska Pruskie nimby się w przemożniejszą zebrały siłę, lecz wydana tajemnica zniszczyła powzięte widoki. Nie zraża się się zdradą Dąbrowski, porozumiewa się powtórnie z Grochowskim i Wodickim, podaje im sposoby powstania, lecz kiedy szczerze radzi ci myślą że wybaduje.

Nie masz chwil okropniejszych dla ludzkości nad te, w których cnotliwi powierzyć się sobie na wzajem nie śmieją, jest to najwyższy tryumf zbrodniarzy, lecz częstokroć zbyt blisko ich zguby, bo żal skarży się i rozprawia, a rozpacz milczy. Widząc Dąbrowski nieufność towarzyszków, zgadywał przyszłość po stanie swego serca, po duchu żołnierza, po rozjątrzonych umysłach, po samem posępnem milczeniu dowódców, lecz nie nastroczał się i czekał; co przewidywał stało się, podniósł Madaliński chorągiew powstania. Dąbrowski usunięty od tajemnicy i opuszczony od swoich, odbiera rozkaz od przerażonej tym wypadkiem naczelnej w stolicy władzy, połączenia się z pozostałymi oddziałami i spieszenia do Warszawy, która przytłumioną zemstą zawrzała. Lecz za pierwszym uderzeniem oręża w tę palnemi żywiołami napełnioną bryłę, iskrą wydobytą, w jednej chwili wybuchł pożar. Powstanie krakowskie, zwycięstwo Racławic, wybicie się Stolicy i zemsta krwawa na sprawcach nieszczęścia ojczyzny szybko po sobie nastąpiły, ztąd Dąbrowski za rozkazem nieprawej władzy ruszył z stanowiska, a już pod hasłem powszechnego powstania do stolicy się przybliżył. Stały blisko niej wojska Pruskie nie silne przytłumić zaburzenia, lecz gotowe mu przeszkadzać. Dąbrowski tak rozporządza swe kroki, tak rozdzie-

la swoje szeregi, aby oszukawszy nieprzyjaciela nie tknięte do stolicy przyprowadził; niestety w sądzie gminu, który nie wie dla czego wynosi i potępia, pozory stają za winy. Nie wiedział Dąbrowski że wyższością jego obrażona zazdrość, z chytrem podejrzeniem za jego postępowała krokami, zaledwie stanął w stolicy już oskarżonym zostaje przed gminowładną zwierzchnością, iż nie uderzył na mocniejszych, zarzucono mu, że raczej nastęrczał nieprzyjacielowi sposobność zwycięstwa. a nie swojemu wojsku ochronę od klęski. Zgromił on potwarz wzrokiem surowym, w którym niewinność cnotę uzbraja, godny przyjaciół, znalazł śmiałych obrońców w Wybickim i Janie Małachowskim, a Mokronowski co wrzaskom burzliwych ulegać nie umiał zawstydził potwarców, powierzając mu zamiar którego wykonanie i wielkich talentów i wielkiego zaufania wymagało. Chwycił się polecenia Dąbrowski z zapałem, bez urazy i gniewu przeciw lekkomyślnym posądzaniom, bo dusze tylko pospolite, ani nieszczęścia ani przeciwności nie znoszą. Wyższe umysły od nich hartu, od nich nabierają świetności, surowi dla siebie uważają swoje czyny nie cudze mowy, i odpowiadając podejrzeniom nowemi dowodami zasług, na potwarcach mszczą się nowemi prawami do chwały.

Jak później Poniatowski na pociski miotane za poddanie po bitwie Raszyńskiej stolicy, odpowiedział zdobyciem Galicyi, jak wyjeżdżając z poddanego miasta nie uchylił czoła przed mściwemi groźbami, i nie podniósł go przebywając tryumfalną bramę na okrzyk uwielbienia tych samych ust co go przed chwilą potępiały. Tak w tenczas i potem Dąbrowski posądzenie odbijał niezaprzeczonym dowodem, że Polska aż do imienia zginęłaby była gdyby był ją tyle tylko kochał, ile ci siebie za lepszych Polaków udawali. Z małą garstką nie wprawnego wojska bez rynsztunku i dział, w towarzystwie męztwa i wrążonego ostatniemi wypadkami postrachu, zapuszcza się w nieprzebyte lasy, w których rozpierzchniony nieprzyjaciół posiłków i sposobności do zemsty oczekiwał, wrzawą boju napełnia okolice, nie widziany zdaje się wszędzie ścigać, na wszystkich drogach o nim słyszą; dzieli lub skupia drobne swoje siły, rozłącza i przecina uchodzących nieprzyjaciół, grozi napadem wszędzie, nie napada tylko tam gdzie jest pewny zwycięstwa, i chwytając kolejną poddających się lub pokonanych dwakroć

silniejszych, znaczną liczbę jeńców z podziwieniem stolicy odsyła.

W krótcie ugina się oręż w dłoni naczelnika w krwawej pod Szczekocinami rozprawie, tryumfuje potęga nad walecznością pod Chełmem, ściśnione ze wszystkich stron i przerzedzone szeregi, odepchnąwszy cudem waleczności pod Gołkowem napad, wstępują ścierając się krok za krokiem w okopy stolicy, ciśnie ich liczniejszy nieprzyjaciół i cała Polska zamyka się w obrębie słabych szanów miasta. Następują mocne uderzenia i dzielna obrona. Cnota Kościuszki i dobroć sprawy utrzymuje ducha, duch tylko, zapal i waleczność zastawia się przewadze, lecz w krótcie ważniejsze stanowiska postradane, i widzi stolica pod murami swymi tych samych nieprzyjaciół grożących zemstą, których nie dawno ucieczkę tryumfem obchodziła. Wawrzyszew, Wola, Powązki, są w ręku sprzymierzonych, walczą wodzowie, giną mężni, nie zbywa na zdolnych do spotkania, zbywa na umiejętnych szlachetnym zapalem kierować. Woła Litwa o wodzów, Kościuszko przeznaczając Mokronowskiego, powołuje Dąbrowskiego pod stolicę i mianując go generałem, powierza i niełatwe zastępstwo i stanowisko zbyt trudne. Odebrać dowództwo i rozkazy, wydrzeć nieprzyjaciołom opanowany Wilanów, było dla Dąbrowskiego jednej chwili dziełem. W krótcie szybkim obrotem napada na wojska Pruskie, niszczy i zabiera dwa obozy, i ze znaczną liczbą jeńców wraca. W kilka dni korzysta nieprzyjaciół z nieobecności jednego z wodzów, wpada na nieprzezornych i okopy Szwedzkie odbiera. Poniatowski przybywa już za późno, lecz on zginąć dla sławy nie lękał się nigdy, pragnie albo odzyskać zdobycz albo ją życiem opłacić, walczą strony z równą zapalczewością i odwagą, obiedwie o ważności stanowiska przekonane, lecz ani zapal ani mężstwo, ani wysiłki rozpacz nie mogą wydołać mocniejszej sile. Kościuszko rozważa bitwę, spostrzega chwiejącą się szalę zwycięstwa, lęka się o skutki i przernacza w pomoc Dąbrowskiego; w jednej chwili zmienia się postać bitwy, przytomność umysłu i wyższy talent przemaga i siłę i zapal i otrzymane korzyści; odzyskane okopy, zasłane trupem szanę, ścigany nieprzyjaciół, i ten co już ważne zdobycze okrzykiem radości obchodził, głosem upokorzenia o utraczonych, obozy swoje ostrzegł. A tak już w kilku odległych

miejscach od Dąbrowskiego gromiony, co ojczyzna nasza w życiu tylko miała, w to on uwierzył, że Polska kilku posiadała Dąbrowskich. Lecz ani to znakomite zwycięstwo, ani imię obrońcy ojczyzny od naczelnika przyznane, ani sława u swoich i obcych, oraz wyniesienie na stopień wyższy wodza, nie tyle mu przynoszą zaszczytu, ile ta rycerska otwartość i skromność z jaką w tej chwili do wojska przemówił. Nie sobie on przypisał te chlubne korzyści, lecz wojsku i dowódcy, nie własnym talentom lecz dobrym urządzeniom Poniatowskiego, na którego miejscu dowodził. Syty własnej sławy, nie posięgnął po cudzą, nie poniżył poprzednika zasługi, przez co swoją wyżej podniósł. Jednak we dwa dni po klęsce, kusi się nieprzyjaciół z większą siłą o zwycięstwo, nawykły mniemać że powodzenie czujność usypia, uderza na całą linię Dąbrowskiego działań. Lecz już to nie sama waleczność z przemożną siłą, lecz sztuka z sztuką ma się spotkać, gdzie się spodziewał nieprzyjaciół nieostrożnego uniesienia tam znajduje przezorność i zimną odwagę, natęży siły, odpiera go mężstwo, a obroty mu zagrażają: ledwie powziął myśl, zgadniony, ledwie zabiera się wykonywać, uprzedzony, chce wprowadzić w zasadzkę, sam się wprowadzonym widzi; porzuca plac, uchodzi, ścigany ująć nie może, i zasławszy trupami pole, liczbę znaczną jeńców, działa i taboru utracę.

Powstaje Wielkopolska, nieprzyjaciół ciśniony z przodu, zagrożony z tyłu, nagle odstępować od oblężenia, odcięte obozy polskie od związków z swoimi z radością zgadują przyczynę odcięcia, lecz przezorny naczelnik czego troskliwie oczekiwał, temu skwapliwie wierzyć nie chce. Kto wybada nieprzyjaciela zamiary i kroki, kto go ścigać będzie jeżeli uchodzi, kto mu się nie dozwoli wciągnąć w zasadzkę jeżeli ją stawia, i kto się poświęci na tę trudną wyprawę, nie potrzeba długiego namysłu, Dąbrowski odbiera i wykonywa z małą garstką rycerstwa to polecenie, bo już ufność, miłość wojska, zdolność i odwaga stawała mu u swoich za siłę, samo imię jego postrachem nieprzyjaciół przerażało. W oczach liczniejszych stokroć, przeprawia się pod Kamionką przez Bzurę, rozprasza broniących przeprawy i łączy się z Madalińskim. Troskliwe wojsko i wiadome urazy wodzów czeka, od kogo ma rozkazy odbierać, Dąbrowski miał za sobą świeże laury, zdolność i ufność, Ma-

daliński, dawniejszy stopień i uszanowanie. Życzy sobie Dąbrowskiego za przewodnika, Madalińskiemu ubliżyć nie chce. Zacni wodzowie rozstrzygają tę niepewność, Dąbrowski pierwszy poddaje się pod rozkazy Madalińskiego, radzić mu i słuchać przyrzeka. Madaliński ustępuje stopnia, zaklina aby go przyjął pod swoje dowództwo, posłuszeństwo i wierność podaniem dłoni rycerskiej zaręcza. Nie masz piękniejszego tryumfu dla cnoty, jak zmusić do ufności tych, od których nas pociski posądzenia nie minęły. Miłości ojczyzny! karmicielko cnót i wyniosłych duszy uczuć, twój to wyłączny przymiot, twoja zasługa, ogniem niebieskich płomieni oczyszczając obywatelskie dusze z wzajemnych uraz i nikczemnej próżności.

Uniesione podziwieniem wojsko, to szlachetne pojednanie się wodzów, przyrzeka obchodzić nowem zwycięstwem, nowym dla Dąbrowskiego wieńcem; powołuje go Bydgoszczy pomsta. Sekuli ów okrutny Sekuli, żołnierz z pozoru, siepacz w duszy, razem i słyszał o postępie Dąbrowskiego i już go pod murami widzi, zaledwie się zamyka w murach już te zdobyte, sam ciężko ranny szuka obrony w wspaniałości rycerskiego narodu, znalazłszy ją wyziewa duszę godną męczarni piekieł, a pogardy ziemi i ludzi.

Po tem zwycięstwie, po tem dzielnem wsparciu zapachu mieszkańców, po tym wrażonym postrachu w nieprzyjaciół, kiedy Dąbrowski ważniejsze przedsięwzięcie zamiary i przechodząc z powodzenia do powodzenia przenieść oręż na dawne dziedziny Polski zamyśla, niestety wrócił odwieczny Polski nieprzyjaciół straszniejszy nad tego, który od oblężenia odstąpił, wrócił mówię już nie pod stolicę, lecz na jej łono i przedarł się aż do serca mieszkańców, niezgoda i nieufność. Milczały one wśród niebezpieczeństw; krótka chwila pomyślności całą onych obudziła zuchwałość; powstał nowi Grachowie, wychylił krwawy Maryusz głowę, targnęła się potwarz na sławę polskiego Fabiusza i ujrzała nieszczęśliwa Polska w jednej chwili, i Kanny okropne, i w więzach swojego dyktatora.

O jakimże gromem uderzony został Dąbrowski na tę wiadomość i razem na rozkaz już nowo wybranego naczelnika cofania się do stolicy. Wieść o tej klęsce, czyli wprzód wojska narodowego czyli nieprzyjaciół dojdzie, równe ściągnięcie niebezpieczeństwo. Okrywając rozpacz w sercu pogodą czoła,

i zaczepne kroki udając, nie daje jej spostrzedz ani swoim ani obcym; prędszą jest jego przytomność, niż nieprzyjaciół odwaga, i wtedy dopiero błąd swój poznają, kiedy pewniej uszedłszy zguby, klęską nawet żadną osiągniętą być nie mógł. W cofaniu się wpatrywał się żołnierz w twarz swojego wodza, a wyższym umysłem jego krzepiony, łatwiej wierzył, że naprawi klęski, niżeli iż będzie ich uczestnikiem, bo nauczony zwyciężać, mniemał, że z Dąbrowskim odchodząc sprzymierzoną fortuną uprowadził, przybывая powróci. Lecz jakież go pod Radoszycami uderza widok, spodziewał się widzieć klęski przegranej, widzi po zdobyciu Pragi najgorszą ze wszystkich, widzi rozpacz w wojsku, trwogę i niepewność w wodzach, mało takich coby walczyć mogli, mniej coby chcieli, wszystkich skłonniejszych do błagania zwycięzcy niż do walczenia, do jarzma niż do chwalebego zgonu. W wielkich nieszczęściach, jedna chwila ratuje lub gubi. Dąbrowski wezwany do rady, widząc przy upadłym duchu wojska przy niezgodnych chęciach wodzów niepodobieństwo walczenia, tak się do nich odezwał:

„Równie jesteście pokonani na duchu jak na siłach, uratować tej ziemi nie potrafim, lecz Polskę i wolność z sobą unieść mogę, póty ojczyzny, póki w sercu naszym wstrętu do niewoli, a w dłoni oręża, jedno jest zbawienie dla zwyciężonych, żadnego nie spodziewać się od zwycięzców; czy myślicie że haniebnie broń rzuciwszy ubłagacie nieprzyjaciół, i że mniej pogardy niż litości was czeka? Naczelniku gromadź wojsko, zbierz radę najwyższą i resztę ojczystych dostatków. Idźmy tam gdzie za niepodległość walcząc, uderzymy z tyłu na najgorszego z przeciwników naszych, bo na zdraдлиwego przyjaciela, staniemy nad Renem, a przysługa tak ważna zjedna nam przyjaciół, jesteście dość mocni na to przedsięwzięcie, a chociażby nas nikczemni opuścili, lepiej ich tu poznać jak na hańbę narodu do obcych prowadzić“.

Słuchali tego głosu z podziwieniem i z zazdrością dobrzy, nie bez trwogi obojętni, obłudni co nawykli za obrotem fortuny swoje widoki przenosić, zdanie swoje milczeniem pokrywający do wojska się odwołali. Noc jedna wystarczyła niecnym zabiegom, przerażone i poburzone wojsko rozsypało się bez porządku, wodzowie dobrzy i źli zostali jeńcami, a ci nawet co

na imię zdrajców zasłużyli, pozoru zdradzonych ohydą wojska się dokupili. Przecież kiedy się wszyscy poddali, kiedy wielu o przebaczenie lub o łaski zwycięzców się ubiegają, a powszechnym po wielkich nieszczęściach zwyczajem jedni na drugich składając winy, jedni drugim czynią wyrzuty, kiedy niebacznych podsłuchuje zemsta, i z najznaczniejszych obywateli, z najgorliwszych obrońców, z najczynniejszych powstania sterników, wybiera ofiary, Dąbrowski, początkowym acz niesłusznym posądzonim swoich, szacunkowi talentów, nieznajomości serca polskiego u nieprzyjaciół, a ztąd mylnym nadziejom ujęcia go dla siebie, winien był ocalenie i wolność.

CZĘŚĆ II.

Dusze samolubne a zatem nikczemne co się bez ojczyzny obejść umiecie, i wy stokroć nikczemniejsi wyrodni tej ziemi synowie, coście ze zgonem Polski, albo nie przestali znaczyć albo zaczęli, wy mówię wszyscy, coście jak obrzydłe robactwo ze śmierci i zgnilizny wylęgłe toczyliście jej martwe zwłoki, nie słuchajcie tej następnej karty czynów Dąbrowskiego, ona wam nieprzyjemne niesie wspomnienia. Wyście sobie już powstania ojczyzny nie życzyli, co mówię, wyście się go równie ze śmiercią lękali. Z niecných winowajców nieprawi sędziowie! wam nie wydawać wyroków, lecz się ich lękać należy. Trzyma surowy dziejopis pióro i wyda was na potępienie odległych wieków, bo czyny wasze nic nie mają wspólnego z narodem i wtedy stałyby się jego ohydą, gdyby zamilczanemi lub pobłażanemi zostały.

Upadła Polska nie dla tego że miała między możnymi kilku zbrodniarzy, lecz że liczyła wielu obojętnych. Upadła ze sławą, bo miała kilku walecznych i zacnych obywateli, upadłaby była na zawsze, gdyby była nie miała Dąbrowskiego.

Jeden wielki pomysł męża, zebrania rozproszonych nad brzegami Tybru, co go i powziąć i wykonać się odważył, zachwiał wszystkie korzyści zwycięzców, wszystkie na zagubienie imienia polskiego zamachy; zdało się iż w tej chwili, w której przestрах otrętwił umysły, niłość swobód i kraju schro-

niła się w jedno serce Dąbrowskiego, i piersiami jego okryła ojczyznę, ziemię tylko i łupy przy zwycięzcach zostawiwszy, w żywotnej zaś i najszlachetniejszej jego istnienia części, grotem zagłady, niedosiężoną została.

Napisał wielki rymotwórca rzymski o najcnotliwszym z obywateli co z konającą wolnością ducha dobrowolnie wyzwinał. „Świat cały podbity prócz nieugiętego umysłu Katona!“ Cóżby był powiedział o mężu, który życiem swoim życie ojczyźnie przywrócił? Przyjęty Dąbrowski z poważaniem od samych zwycięzców i na wszystkie pochlebne oświadczenia, na wszystkie dla miłości własnej ponęty, na wszystkie omamienia obłudy wystawiony, wszystkie od siebie odpycha i szlachetne ubóstwo, nad dostatki i nad nadzieję wyniesienia się przekładając, zacny tułacz, wychodzi z rodzinnej ziemi, z ojczyzną w sercu, jak niegdyś ów wędrownik zburzonego Ilionu z domowymi Bogami i równie jak on gniewem nieba ścigany, puszcza się na prześladowanie losów za nieszczęsną jej przeznaczenia gwiazdą. Uduje się do Berlina, czekają go tam te same ułudy, stopnie, zaszczyty, dostatki, lecz je równie jak w Warszawie oddala. Szuka związków z posłem narodu w którym ostatnie pokładał nadzieje, zwierza się i wystawia mu korzyści dla Francji z swoich zamiarów a polecony przez niego wodzom udaje się do Moguncji, po kilku odbytych rozmowach zyskuje przychylną ich pomoc i wsparty nią, staje w Paryżu przed władzą już podówczas groźną Europie, bo wielkimi zwycięztwami przeważną, staje w towarzystwie cnoty własnej, nieszczęścia Polski, i okropnych dla narodów przestróg; „Upadło przedmurze Europy“ odezwał się żalonym głosem „nie dźwigniecie go, ujrzyście kiedyś przy bramach waszych tych samych nieprzyjaciół, których się dla tego nie lękacie że są od was daleko! przyniosą ich do was bystre rumaki na stepach wydartej nam ziemi wychowane, przywiedzie żądza zdobyczy i nienawiść wolności. Że wam się dziś powodzi nie ufajcie zmiennemu szczęściu i my byliśmy niegdyś w ich stolicy, dziś nasza jest w ich ręku, macie pole samo ich powodzenie i tryumf na pomięszanie ich widoków obrócić; współnicy ujarzmięcia Polski przywiodą w krótkce do was obrońców dziś zdradą przeistoczonych w jeńców, i w niewolnicze szeregi wmięszanych; ile Polaków tyle tam jest waszych przyjaciół, o ile

się mocniejszymi przy nich mniemają, o tyle są słabszymi, pokażcie tym zacnym brańcom ojczyznę, pozwólcie mi do nich przemówić w jej imieniu, a nabędziecie sprzymierzeńca tem dla waszych nieprzyjaciół groźniejszego, że walcząc na waszej ziemi w pułkach go swoich i mieć i obawiać się będą“.

Uczuli politycy Francuzkiego narodu, uczuli wodzowie, ocenili wielki geniusz, który już wtedy z szczytu Alpów wstrząsł trwogą świat zadumiony, ocenili mowę i męża i zamiary jego i korzyści dla Francyi, przyjął podane sposoby i zezwolił na nie. Lecz kiedy Dąbrowski chciał służyć Francyi krwią i życiem dla Polski, tamten nie Polsce podać ramię lecz męztwo i nadzieje Polaków mniej ku bezpieczeństwu Europy jak ku potędze i chwale samej Francyi obrócić. W tym celu przeznacza Dąbrowskiego do układania się z rzecząpospolitą Cyzalińską o wystawienie siły zbrojnej z Polaków. Synowie Emiliuszów i Scypionów długą spodleni niewolą nie ocenili ofiar bohatera, umawiając się jak z najemnikiem, gdy on był zdolnym tylko na sprzymierzeńca i obrońcę; myślą że cnotliwych i dobrowolnych wygnańców potrzeba służby przymusza, żołądki, zdobycze zachęcają, gdy ich jedynie nadzieja wskrzeszenia ojczyzny i wspólność sprawy przywiodła. Nowi w uczuciach wolności, niezdolnymi sądzą Polaków do wyniosłych zamiarów, do których sami jeszcze zdolnymi nie byli. Zaledwie Dąbrowski rozpoczyna umowy na sam odgłos zamysłów jego, otrętwione nieszczęściem umysły na ujarzmionej Polaków ziemi nowym zapalem zawrzały. Sama kara śmierci ogłoszona po częściach zaborów przeciw tym, coby śmieli z współrodakami związki utrzymywać, hasłem nie hamulcem się staje; czują władcy podbitego kraju że im najważniejsza zdobycz uchodzi, a na czem się potęga omyliła, chytra polityka naprawić przedsięwzięła. Idą wruch wszystkie tajne po gabinetach sprężyny, wszystkie zabiegi, wszystkie łudzenia, postrachy, groźby, potwarze. Wywołane z piekieł jędze przez przyjaciół i nieprzyjaciół Francyi, potrząsają wszędzie gorejące zawiścią przeciw Polsce pochodnie, aby wyzutym z ojczyzny, i do rozpacz przywiedzionym lądy, morza i serca przed litością zamknąć i zakazać; mamże wspomnieć ze wstrętem! sprzymierza się z nimi zazdrość swoich, czy niegodnie powzięta, czy podbechtana, wychodzą w Paryżu od Polaków przeciw Polakom po-

twarcze pisma, niezgoda tak zawsze zgubna Polsce z jej grobu przenosi się na kołyskę jej odrodzenia, targa i dzieli mdłe jej życia związki, nie wiedząc usługuje nieprzyjaciołom i rzucając ohydę na przeszłość, przyszłość jadem swoim truje; chwyta pozory nienawiści i szlachetnych obrońców losów ojczystrych wystawując za niespokojnych burzycieli i nikczemnych zbiegów z zaburzenia do zaburzenia fortunę ścigających, zaród zaguby nieszczęśliwego narodu w charakterze jego wskazuje.

Na tyle niepochlebnych pozorów, na tyle przeszkód sama Francya ostrożniej waży swoje kroki i odwieczne dla Polski skłonności, acz zwycięzka lecz wzdychająca za spoczynkiem, lęka się z waleczności Polaków samej pomocy do zwycięstw, aby przeszkody do pokoju nie miała. Mówią, że w obozach wychowanym oręż stoi za wszystko i że otwarta waleczność rzadko się z bystrą przenikłością sprzymierza. Dąbrowski w tej walce z ukrytymi nieprzyjaciołami pokazał, że mu równie na wytrwałości i odwadze jak głębokiej przezorności do pomieszania niebezpiecznych zamachów nie zbywało, odbijał potwarrze, pokonywał zazdrość, mówił, przekonywał, bronił. Nakoniec przemógł, i jedyne go celu życzeń swoich osiągnął; o zaiste trochę słabości, nieco mniej względu na zastawione osobistemu interesowi ponęty, nieco mniej wytrwałości w Dąbrowskim, Polsko nie byłaby kąta na ziemi, w którymby imię twoje wymawiać można było.

Powstały więc pod jego dowództwem te nieśmiertelne hufce imienia, chwały, życia i nowych nadziei twoich założyciele, nie najemni obrońcy cudzych krajów, lecz sprzymierzeni z wolnymi, a za wolność i ojczyznę gotowi przedierać się z bronią w rękę do wydartych sobie siedlisk. Powiała nad nimi chorągiew narodowa ręką Dąbrowskiego wzniesiona, zajaśniały znaki i godła nie obce Kapitolowi póki orężem świata panował. Zdziwionym potomkom Rzymian zdało się widzieć otwierające się groby Fabiuszów i Scypionów i z nich występujące groźne legiony dążące nad Trebię i Trasymenę odpierać Annibala lub pokonywać lecących na zgubę swoją Cymbrów. Mówiąc ziomkowie o twórcy nieśmiertelnych legionów, o dowódcy tych dziesięcioletnich bojów i że tak powiem wytrwania i waleczności cudów, równie jest trudno mowcy nie stać się mimowolnie dziejopisem, jak najbezzstronniejszemu

dziejopisowi niepodobna będzie nie zostać chwalcą. Chciałbym uniknąć tego przywłaszczenia na dziejach, tem więcej, że te sprawy spojone z sprawą wielkiego narodu już wiekują w nieśmiertelnych podaniach czasów, w pamięci ludzi i świata; lecz jak się obronić tej ponęcie, która jeżeli będzie wadą mowcy, nie przestanie być wymówką dla Polaka; dość dokażę jeżeli ścisłym będę tam gdzie krótkim być nie potrafię.

Zaledwie uzbrojone przez Dąbrowskiego szyki już mierzą się z wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjacielem Francyi; Rimini, Treviso, Wenecya, Werona przez nich opanowane i poskromione, wznoszą się pomniki męstwa drogo krwią okupione, poklaskują im zdziwione Włochy, Bonaparte oddaje zasłużone pochwały i wodzowi i wojsku. Lecz czemu są te świetne wieńce, te chlubne nagrody dla serc co za ojczyznę walczyły, przy każdym zwycięztwie jest ona przytomną myśli i pamięci wodza, układa on zamysł przedarcia się do niej przez Kroatycę, Siedmiogród i Węgry, staje w tym zamiarze pod Palmanova, a gdy przedugodne pod Leoben umowy przerwały boje, Europa spoczęła, on nie spoczął; ustały walki nie ustały usiłowania jego, domaga się przy pokoju w Leoben, domaga się przy umowie w Rasztadzie o przyjęcie pełnomocników Polski, przedkłada zamiar zwołania do Medyolanu sejmu i marszałków, i niezmordowany ani zrażony, wszędzie za nią głos podnosi, za nią do wdzięczności narodów przez krwawe walki przemawia. Nigdy oręż Sobiewskiego, jak zdobycz w Lorecie wzięty, jak chlubna pamiątka Dąbrowskiemu od Towarzyszów broni ofiarowany, nie przeszedł w godniejsze ręce, bo właśnie chwale tego oręża nie dostawało tych przysług dla Polski jakimi się dla chrześcijaństwa zaszczycił.

W następnie rozpoczętych przez ośm lat ciągnionych bojach ile miała Francya nieprzyjaciół tyle Dąbrowski zapasników, ile Włochy pobojowisk, tyle on walk i nie ledwie powiem ile taż Francya sławnych wodzów tyle towarzyszków broni. Rzym, Neapol, Medyolan, Florencyja, Bolonia, Terracine, Novi, Mantua zgoła całe Włochy, są świadkami albo zwycięstw albo mężnych bojów. Czyli potrzeba było burzących się poskramiać, czyli państwa obalać lub zdobywać, czyli zdobywcy bronić, czyli twierdze oblegać lub w obleżonych dotrzymywać, nie było wodza, któryby nie miał dowódcy legionów polskich, chwały

swojej współnikiem. Championet, Macdonald, Joubert, Moreau, Murat, Victor, Brune tylu innych i sam Napoleon wszędzie go przeznaczał, wszędzie mu zasłużoną oddawał sprawiedliwość, bo gdzie osobą nie dowodził tam duchem kierował i ożywiał, nie spuszczać nigdy z serca i pamięci ojczyzny, pomimo tylu przeszkód i trudności, utrzymywał z Polską związki, krzepił nadzieją umysły, wspierał otuchą przyszłości. Mówił on nie raz do możnych Polaków, dostatki od ofiar dla ojczyzny usunięte, z przepychem trwoniących w stolicy Francyi, a przez obawę aby ich za współników najświętszej sprawy nie poczytano, starannie wystrzegających się związku z obrońcami ojczyzny. „Nie unikajcie nas, udawajcie przynajmniej żeście się z miłości ojczyzny nie wyzuli, aby nam obcy nie wyrzucali że już nie ma w Polsce dla kogo tyle ofiar i trudów ponosić“, odzywał się do drugich, „wzięliśmy oręż i dobijamy się nim ojczyzny, wy piszcie, przekonywajcie, aby sama sława nasza nie stała się waszem obwinieniem“.

Rodacy! nie przepomną dzieje tych zacnych imion, tych szlachetnych serc, do których te słowa trafiły, wieczna pogarda tym, o które się bez skutku odbijały.

Po wyprawie Bonapartego do Egiptu, odwróciła się na chwilę fortuna od Francyi, utracone zdobycze, zagrożone nawet granice przez wspólnych nieprzyjaciół, zachwiały jedyne Polaków nadzieje, lecz wraca Napoleon na ziemię Francuską, a samo imię jego już jest wróżbą zwycięstwa, bo jest postrachem swoich i obcych wrogów. Na tę wieść ogarnia rozpaczających Sarmatów radość, wzmaga się otucha silnego wsparcia od tej ręki, która ich pierwszy zawiązała węzeł. Dąbrowski wysłany od wojska staje przed nim, popiera na nowo sprawę nieszczęśliwej ojczyzny, sprawę legionów już nawet po zajęciu kraju, na którego żołdzie walczyły wszelkiego sposobu utrzymania się pozbawionych. Nieszczęścia silniej spajają niż powodzenia. Francya przez usta swego konsula przyspasabia walecznych Sarmatów za własnych synów. Idą w krótkce zwycięstwa za zwycięstwami już nie samych Włochów nie samych Niemców Francya jest panią, zadrżały przed nią stolice państw i narody, Napoleon rozkazuje światu, chociaż skutkiem wszelkich dzieł jego następują zdobycze po zdobyczach krwią polską skropione, traktaty po traktatach, Polska pomimo powtarza-

nych przyrzeczeń, zapomnianą zostaje; bądź się przez jej ofiarę dokupywał pokoju dla Francyi, bądź uznania nabytej nad swym narodem władzy.

Po tylu zawiedzionych nadziejach, Dąbrowski widząc usuwające się przed sobą przeznaczenie ojczyzny, jeszcze raz ostatniego chwyta się środka przebicia się z orężem w rękę na ojczystą ziemię, a po naradach z zwątpiałymi towarzyszami, zamierza wsiąść na okręty, płynąć pod opiekę Turcyi i wraz z nią walczyć; a jeżeliby i temu zawzięte losy przeszkodziły, opanować wyspę jaką i tam nową Polskę założyć; już w tym celu zbliżone do morza szeregi patrzą z pocięką na powiewającą flagę nadziei, już myślą zatknąć na masztach narodową chorągiew, kiedy odebrany rozkaz mięsza te lubie widoki; nie do Polski, nie do ojczyzny przewieść ich mają przysposobione łodzie — celem tej wyprawy jest poskromienie murzynów, celem zdobyczy San-Domingo, celem zapasów zjadliwa choroba, a wieńcem śmierć mniej sławna niż okropna. Tyle to trudów, tyle okropnych ciosów prześladowało Polskę i jej obrońców, takiego ogromu nieszczęść potrzeba było na zachwianie ich stałości. „Łudzą nas“ — zawołali z rozpaczą żołnierze — „obiecując ojczyznę, której podobno żaden z nas nie ujrzy, zaskłaliśmy mogiłami Włochy, wybieramy się jeszcze tonie morskie! napełnić naszymi trupami i z czarnych odludków zwłokami mieszać nasze popioły. Za tyle przysług i krwi chcą nas wygubić nie wspierać, aby się świadków niewdzięczności pozbyli — pójdziem i tam, ale z ochoty nie z musu, lecz niech nam przynajmniej zapewnią, że dzieci nasze Polskę ujrzą. Z grobów naszych głos potępiać ich będzie, jeżeli nie dotrzymają, lecz jeżeli i przyrzeczenia odmówią, wrócimy do ojczystej ziemi, ułagodziła się dla nas fortuna na północy, widzimy pewniejsze u nieprzyjaciół przebaczenie, niż u przyjaciół nagrodę, prędzej się nienawiść zmordowała niż chytrość. Wróćmy, milszy jest zwłokom proch ojczystej ziemi, niż obcej“. — Ten smutek, tę do opuszczonych rodzin tęsknotę, tę rozpacz żołnierza, patrząc na jego przerzedzone szeregi, na okryte tylu bliznami piersi, dzielą najwaleczniejsi wodzowie, dopominają się albo skutku tylu ofiar i przyrzeczeń, albo odpraw, otrzymują drugie. Dąbrowski jeden trwa i do wytrwałości drugich zachęca. — „Trwajcie! — zaklina — i zachowajcie

się na lepsze losy — póty imienia ojczyzny, póki nas — cóż przyniesiecie ziomkom, czekajcie, aby was z radością, nie z rozpaczą witali“. Tak mówiąc, znalazł ochotników, co się na nowo, bez warunku przeznaczeniu poddali i zachowawszy od rozwiązania szczupły i ostatni węzeł, raz jeszcze konające Polski nadzieje uratował.

Ta nieugiętość umysłu, ta niezachwiana moc duszy, była jego wyłączną zaletą — jemu z Polaków właściwą cechą i nie ubliżę prawdzie, gdy powiem, że ją raczej wychowaniu, niż przyrodzeniu był winien.

Nie lękać się niebezpieczeństwa, wyzywać gromy, wydać walkę losom i zginąć bez trwogi, jest to znamieniem, jest to udziałem charakteru naszego. Lecz tej wyższej odwagi, tego prawdziwego z zimnem umiarkowaniem sprzymierzonego mężstwa, co się niecierpliwością nie zdradza, oczekiwaniem nie odstręcza, co się przez ciosy wzmaga, wytrwałością pokonywa, a godnością wśród samych więzów i prześladowania uszanowanie wymusza, o jak rzadkie są wzory!

I podobno nie omył się twierdząc, że ta ojczyzna tak od nas kochana, tyle od waleczności naszej odniosła chwały ile strąt od niecierpliwego, acz cnotliwego zapaku!

Niepojętem rzeczy ludzkich zrządzeniem, państwo ze świeżych wzrosłe zaborów, popchnięte przeznaczeniem na swoją zgubę, wyteżone sztuką siły, przedsiębierze mierzyć się z potęgą, przed którą Europa ukłękła. Zestarzałych w pokoju wodzów i zwiędłemi laurami chełpliwych, przeciw geniuszowi i zwyciężkim legionom nowego cezara stawia; za pierwszym starciem się oreża strącone z posady swojej, odkrywa mu Polskę, odkrywa ten ważny i średni punkt Europy, na którym się od wieków szala jego losów ważyła. Ze zdobytej stolicy Prus usłyszeli Polacy w własnych siedzibach, usłyszeli po przestrzeni świata rozproszeni: „Gromadźcie się pod moje chorągwie, a powrócę wam ojczyznę“. Może Kościuszko prawy, a dla obłudnej polityki podejrzliwy, miał przyczynę po tytuł zwodniczych nadziejach, nie być skwapliwym do uwierzenia tym pochlebnym oświadczeniom. Dąbrowski, co się każdej nadziei wskrzeszenia ojczyzny bezwarunkowo powierzał, przybiega z Wybickim, spiszą za nimi z Auzońskich krain oszczędzone od mordów i chorób waleczne niedobitki — w uniesie-

niu radości, rzucają się na tę ziemię, całują i skrapiają łzami jej łono, brzmi głos ze łkaniem pomieszany: „Witaj ziemio przodków! witaj matko bohaterów, kolebko wolności, celu tyłu ofir, witaj i poznaj niewyrodnych synów — groby przodków, poznajcie swoich mścicieli“. Powtarza i im i krajowi Dąbrowski, bohatera Francyi słowa, a zaledwie uderzył w odłamek oswobodzonej ojczyzny, ta bryła jednorodna i z jednego kruszcu ukuta, mimo zakreślonych na niej przedziałów od Dniestru do Odry, od Karpat do Bałtyku, zadrgnęła czystym nie wygasłej miłości ojczyzny dźwiękiem; w jednej chwili zebraniem kilkotysięcznem rycerstwem, stacza bitwę pod Czemwem, doświadcza go bolesnym ciosem fortuna, syn obok niego walczący, skrapia krwią ojcowskie wawrzyny, lecz umysł wodza i obywatela, wznosi się nad tkliwe uczucia natury, nie ustępuje placu, póki powstającej ojczyzny pierwszem zwycięstwem nie wieńczy; jemu winna Polska te chlubne do posłów włoskich wyrzeczone przez Napoleona słowa: „Więcej Polacy zrobili dla swej ojczyzny we dwa miesiące, jak wy przez lat kilka“. — Należy następnie do oblężenia Gdańska, z miejsca sobie przeznaczonego, wytrzymuje lub odpycha krwawe wyścieszki i do poddania się czynnie przykładą. Pod Frydlandem z powierzonego sobie stanowiska, łamie nieprzyjacielskie szyki i tem pamiętnem zwycięstwem, od którego powstanie ojczyzny zależało samym nienawykłym do dzielenia z kimbądz chwały oręża wodzom, bez swego udziału, zaszczycić się nie dozwala.

Gdyby twórca Księstwa Warszawskiego radził się był głosu narodu i wojska, słuchał uniesień wdzięczności powszechnej, zważał prawa zasługi, kogóżby był słusznie powołał na czoło siły narodowej, jeżeli nie jednego z dwóch zestarzałych pod chorągwiami ojczystymi wodzów, okrytych ranami i sławą. Lecz u podejrzliwych władców, jak mówi wielki starożytności pisarz, równe jest niebezpieczeństwo, ze złej sławy, jak z wielkiej; ja dodam miłość wolności i niepodległość duszy więcej w nich wznieca obawy, niż ufność, zaszczyty nie od nich ciągnięte, obrażają ich i wołają nowych obowiązywać, jak dawnych nagradzać. Uniesienia narodu dla Dąbrowskiego i ofiarowana mu buława posągowi Czarnieckiego odjęta, posłużyła złośliwym do potwarzy, zazdrośnym do zabiegów. —

Mianowany tylko trzecim dowódcą, przyjął stopień wyższym umysłem bez urazy. gojąc ranę tą pociechą, że wybór naczelnika prócz krzywdy zasługom wyrządzonej, bynajmniej ani ojczyźnie, ani chwale wojska nie ubliżał.

Wszystko otrzymać możemy od fortuny, prócz publicznej ufności, jest ona wierną i nieodstępną towarzyszką cnoty i zasługi, i ci co tę ostatnią wywyższeniem swoim uprzedzili, doświadczają, że z odmianą stopnia, nie odmieniają miejsca.

Władzą Poniatowski wojskiem, Dąbrowski duchem jego i sercami mieszkańców, gdy nowa i niespodziewana wojna zagroziła Napoleonowi zatrudnionemu hiszpańską wyprawą, nagle napadnięty poświęcił w swoich rachubach mały ten kraj na chwilową zdobycz nieprzyjaciela. Lecz ten potężny siłą, groźny wyborem wojska, wiadomy wyniszczenia kraju, który nachodził, niejedności wodzów, z którymi miał walczyć, wiadomy zasmucenia umysłów niezaspokojonych w powziętych nadziejach a nowemu i nienarodowemu porządkowi niechętnych, nawet tę ziemię za zdobycz nie poczytał — i raczej za bramę do swoich widoków, niż zaporę uważając, otwarcie przynosił jej dawne więzy, przynosił w mniemaniu, że za nagrodę lub znak przebaczenia przyjęte będą. — Ci co ojczyzny nie mieli, znać nie wiedzą, że miłość jej poznaje się nie po korzyściach, lecz po ofiarach i że tem ona jest droższą, im się dla niej więcej poświęca. Oburzenie powszechne odkryło im dopiero tę prawdę, poznali błąd, widząc szczupłą przeciwko sobie siłę, ale złożoną z tych samych rycerzy, którzy ich tylekrotnie na równinach włoskich gromili. Jednakże żołnierz, acz gotowy zginąć lub zwyciężyć, nie widząc się prowadzonym przez wodza, pod którego naczelnictwem do laurów nawykł, im troskliwiej rozbierał i porównywał dowódców swoich zasługi i dane ojczyźnie w tylu przygodach rękojmie, im więcej zwracał pamięci na wypadki roku 1792 prowadzonej wojny, tem widoczniej krzepnął i tracił nadzieję, nie tylko zwycięstwa, lecz chwalebneho zgonu, a przeto głośnem szemraniem dopominał się o miłego sobie naczelnika. Skwapliwszem i gadatliwszem jest pochlebstwo, niż prawda; wprzód się Dąbrowski dowiedział o chlubnych dla siebie skłonnościach wojska, niż Poniatowski o niechęci. O jak miła, jak upragniona dla mściwego serca sposobność, napaść zię upokorzeniem przeci-

wnika! Już znakomitych ludzi nie podpadło tej nikczemnej słabości, ileż razy ludzkość nie opłacała łzami współubiegania się swoich obrońców. Lecz obrońca Polski za pierwszą wieścią zadrżał na taki tryumf swojej zasługi, z któregoby nieprzyjaciół tryumfował, przybywa do obozu, podległością swoją daje wzór karność; przebiega wraz z Poniatowskim szeregi, ożywia ducha, nie odmawia rady, a za oznakami jego w Poniatowskim ufności, idzie w ślady ufność wojska, bierze na siebie uzbrojenie stolicy, wspieranie w potrzebie, dosyć że go czuje żołnierz za sobą, już chętnie za Poniatowskim idzie. — Bitwa Raszyńska i równie polityczna jak i chlubna kapitulacja stolicy, otwiera naczelnemu wodzowi drogę do tych nadzwyczajnych wypadków, które samego Napoleona podziwienie zjednały. Lecz i w tych wypadkach chlubny miał Dąbrowski udział, do tych tryumfów wskazał i ułatwił drogę, bo gdzie chodziło o zbawienie ojczyzny w jej chwale widząc swoją cześć, co sam pragnął dla niej uczynić, drugim radził. Przenieść wojnę na łono wzdychającej do uwolnienia swego Galicyi i tym śmiałym krokiem pomieszać zarozumiałego nieprzyjaciela widoki, jego było pomysłem i planem. Umiał zapewne Poniatowski zasłużyć na ufność, a skoro mógł ufać, widząc się szczerze wspieranym, wyszedł z wahającego się charakteru i dotąd tylko odważny zginąć, ośmielił się działać, rzuca się na drugi brzeg Wisły z wyborem wojska i za pierwszym pokazaniem się doświadcza, że nie trudno podbić kraj, który na swoje podbicie pracować był gotów. Nieprzyjaciół, co w opanowaniu stolicy mniemał otrzymać koniec wojny, ujrzał zaczepny i odporny początek, zabiera mu Poniatowski kraje, wyrzuca z szaniec, zdobywa twierdze. Dąbrowski i Zajączek ani mu na ziemi Księstwa Warszawskiego rozszerzać się nie dają, ani na pomoc Galicyi pospieszać, odpiera go Toruń, Praga się z niego natrzęsa, lekce go waży i przeraża stolica. — „Uderzę nogą w ziemię, a powstaną pułki na obronę wolności“ mówił Pompeusz do zapytujących go, czem się zastawi potędze Cezara ujarzmiającego ojczyznę. Czego nie dokazał wódz Rzymski, Polski dopiął. — Na głos Dąbrowskiego, jak czarodziejską laską wywiedzione, obok obozów niemieckich powstają rotę, pod okiem obcych szeregów, snują się narodowe proporce, gromadzą się i łączą. Urokiem sztuki zręcznego wodza, omamiony

nieprzyjacieli, słysząc o nim wszędzie, bierze wieści za rzetelne dostrzeżenia, podjazdy, za pułki, ciągle zaczepki za gotowość do walki, w dzień niespokojny, w cieniach nocy przymuszony czuwać, nie dostrzega siły, a wierzy w nią i bez bitwy doświadcza skutków przegranej. W tem starciu się dobrej sprawy z napaścią, dumy z odwagą, zapалу i zręcznej sztuki z ociężałą potęgą, nie długo trwała wątpliwość, która strona będzie zwyciężką, która pokonaną, bo nim jeszcze pod Wagram gromy Napoleona słyszeć się dały, już na tej ziemi część zaczepnych hufców stopniała. — Ten, który z pychą naszedł, z niebezpieczeństwem i trwogą uchodzić zaczął i porzuciwszy zdobycze, nie odzyskawszy straty, za opanowaną na chwilę Warszawę, Kraków na zawsze utracił.

Po krótkim pokoju, przyszła nakoniec upragniona od Polaków, okropna w skutkach, sławna wielkimi zwycięstwami, sławniejsza zdradą, klęskami i znikomością wielkości ludzkiej wojna, ujrzał świat nowego Xerksa z żywiołami w zapasach, nowego Kambizesa zaślepienie i karę. Widzieliśmy to wszyscy i nie wierzymy, żeśmy widzieli! jakże potomność uwierzy opisanemu? Widzieliśmy początek świetny, koniec straszny, oczy nasze patrzyły na ogrom niepojętej potęgi, na cuda szczęścia i nieszczęścia bezprzykładne ciosy; widzieliśmy Europę całą z siedlisk swoich ruszoną, ludy nieznane sobie lub znane z nienawiści wzajemnej, hurmem walące się na naszą ziemię i jak nieme żywioły w cichem posłuszeństwie poruszane, jednego władzę, wolę i skinieniem, a co najdziwniejsza, widzieliśmy te same narody, co Polskę obaliły, idące ją stwarzać i wznościć, obok Polaków dość potężnych siłą, a z okrzykiem niemiłej dla nich radości biegnących, orężem dawne swoje odznaczać granice. W gronie wodzów szedł Dąbrowski i dzielił laury zebrane do Dniepru; lecz kiedy ta burza za sobą spustoszenie, przed sobą postrach i śmierć roznosząca, jak nawałnica wichrem pędzona przez wszystkie natury, sztuki i mocy ludzkiej zapory, na północny przeważała się biegun Dąbrowskiemu mniej świetny, lecz niemniej trudny, dostał się udział, który on sztuką i wytrwałością świetnym uczynić umiał — trzymać w oblężeniu, wśród niedostępnych trzęsawisk i zamierzchłych lasów wzniesiony Bobrujsk, zasłaniać odwrót, utrzymywać związki, odpierać wycieczki i bezpieczeństwa

ogromnych sił, małą liczbą swoich, strzedz i bronić odebrał rozkaz — kiedy wywieżywał się z niego jak dobry Polak, wierny sprzymierzeniec, waleczny żołnierz i zręczny wódz, wkrótce znalazł się w potrzebie podzielić i odwrócić równie uwagę jak oręż, przeciwko nowej a potężnej liczbą wojowników Rosyi sile, która od Prutu na równinach Podola i Wołynia wyrachowanej doczekując chwili, po małych utarczkach przepuszczona przez niewiernych sprzymierzeńców, przysunęła się nad Berezyny nurty i zagroziła odwrotowi rozłożonych w środku ogromnego państwa, obozów Napoleona. — Już na pogorzelisku tlejącej w popiołach nowej Numancyi, opuściła tego wielkiego wodza przezorność, a z nią fortuna, wtedy dopiero uczuł się on złudzoną zwodniczą nadzieją pokoju, kiedy go same żywioły ostrzegły, że się i nieprzyjaciele jego sprzymierzyli.

Ocucenie się jego z nieczynnego spoczynku, poznał świat i wojsko po grzmocie wysadzonego i rozproszonego w powietrzu Kremlina, nie nawykły cofać się, gdziekolwiek się zwrócił, zaścielał wprawdzie pobojowiska następujących na siebie szeregów trupami.

Lecz niestety! już nad tem pysznem czołem tyłu świeżemi wawrzynami okrytem, snuły się i ciężały siwe, a śniegami brzemienne chmury. Ten, pod którego stopy nie dawno wschód i południe słały tkane z sydońskiego włókna dary, słyszał pod kopytami znużonego konia chrzęst ostrych szronów; ten, na którego brwi zmarszczenie, dźgały państwa i narody, sam zadrżał w nienawykłym do obawy sercu, słysząc w huku od północnego bieguna pędzących wichrów, głos zagniewanego Bóstwa: „niczem jesteś przeciw mnie“, a zaledwie go usłyszał, już ujrzał tchnieniem mroźnego żywiołu rażone nieprzeliczone swoje hufce, ujrzał rycerzów, których imiona świat sławą napełniły, rozrzucone bez pogrzebu trupy i po dzikich i nieprzejrzanych stepach zostawione na pastwę żarłocznemu ptastwu i drapieżnym zwierzętom — łupy świata orężem zdobyte, bez oręża porzucone na wzajemny łup i zdobywcz. —

W tym stanie przybliżał się on, czyli raczej przez tłum skupionego w powszechnym zamięcie i rozjątrzonego rozpaczą żołnierstwa, przecisnął się nad Berezynę, nad którą Dą-

browski zachodzące mu przeprawę, nieprzyjacielskie szyki na ostrzu oręża polskiego trzymać miał i odpierać.

Nie zataję, obwinia Dąbrowskiego narodowe wojsko; wodzowie francuzcy i sam Napoleon sądzili mieć powody do czynienia mu wyrzutów, że dozwoiliwszy częściowo rozpraszać lub znosić rozstawione pod dowództwem Bronikowskiego pułki, wkrótce w morderczej pod Borysowem bitwie, sam siebie na klęskę, cofające się wojska na niebezpieczeństwo wystawił.

Do biegłych zapewne w wojowania sztuce sądzić należy o błędach i uchybieniach wodzów, lecz obecnemu obwinieniu, jakkolwiek osoby dodają powagi — chwila, w której początek wzięło, niemylności ujmuje. Wiemy albowiem, że w szczęściu same trawy ślepego losu na zalety ludzi idą, w nieszczęściu nieuniknione natury i okoliczności ciosy na potępienie ich obracać się zwykły, a przytem uczestnicy powodzeń lub klęsk nie dobrymi są sędziami wspólnych sobie zdarzeń. Jedna potomość wolna od uraz i uprzedzeń, w rozbiórce współczesnych podań, bezstronna i baczna, o czynach i osobach, niemylnie wyrokować może.

Nam, acz nieobojętym świadkom tych zdarzeń, przecież od powodów pochwał lub przygany oddalonym zważać tego męża w tylu stanowczach walkach, talenta nie wątpliwe, gorliwość dla sprawy narodowej niepodęjrzaną, miłość sławy niezachwianą, przystoj, a pomnąc; iż z niewielką i rozdzieloną siłą przeznaczeniem jego było, opierać się potędze, która niedawno Wschodniego Państwa siły łamała, skłonniejszymi być się godzi sądzić, że nie mógł się sposobami w śmiertelnych rękach zostawionymi oprzeć, skoro się nie oparł.

Przecież połączywszy uratowane od porażki ostatki z szczątkami oddziałów Zajęczka i Kniaziewiczza, należało do tej stanowczej pod dowództwem Oudinota walki, w której wszyscy wodzowie polscy po kolei krwią swoją ocalenie sprzymierzeńców okupili. Spoczywa dotąd pod zasłoną ciemnej polityki i niepojętych jej widoków, czyli Polska miała być winną orężowi Francyi i jej władcy wskrzeszenie bytu swego i imienia? Mogiły nad Dnieprem i Berezyny nurty, odległym wiekom zaświadczać będą, że polska broń, przepaść pod niemi wykopaną swoimi i nieprzyjaciół ich trupami zawarła.

Po tej okropnej pladze zesłanej z niebios na ukaranie zbyt zaufanej w szczęściu i w potędze swojej dumie, ta ziemia nieszczęśliwy świadek i ofiara za owoc tyłu szlachetnych wysileń, już na podstawie odrodzenia się Polski, ujrzała zbliżającą się powtórnią zagładę, kiedy niepojętem zrządzeniem opatrności z przepaści, która nas pochłonać miała, zabłysnął promyk nowej nadziei i zdał się oświecić tor bezpieczniejszy ojczyźnie, niż sławie; któż w tej niespodziewanej chwili wystawić sobie zdoła stan struchlałych umysłów przechodzących kolejną od rozpaczyny do otuchy, od podejrzenia do łatwowierności, od wstępu do pojednania się z przeznaczeniem, sami sternicy rządu, naczelnicy sprawy narodowej, śledząc skryte polityki manowce i zważając obydwóch walczących mocarzów oświadczenia, w równy sposób tak zamiary niezbadane, jak możność wątpliwą, a oraz wśród nowego odmetu zbierających się z Francyi gromów, losy świata w zawieszeniu; wikłali się w krokach przy równej obawie zagłady jak hańby. Każdy według wyobrażeń, jakie sobie tworzył o powinnościach dla kraju, mierzył, nabierał lub poświęcał skłonności, życzenia i bojaźni, nikt nie wiedział, coby mu czynić i czego by nie czynić należało. — Wojsko jedno nie znało tej niepewności, brzydząc się samą ojczyzną kosztem honoru nabytą, silne duchem, słabe liczbą, posłuszne woli swojego twórcy, obrało pod tarczą sprzymierzeńca, wzmacniać się i doczekać na ziemi ojczystej przechylenia się szali szczęścia. — Ale któż to był ten sprzymierzeniec? Najzaciętszy nieprzyjaciół Polaków, który w szczęściu pozornie pomagając, skrycie szkodził, a skoro się bać przestał, jawnie zdradzać zaczął.

Łatwo wodzowie polscy przewidywać mogli równe dla siebie niebezpieczeństwo od nieprzyjaciół, jak od podobnego sprzymierzeńca, a czego się lękali, doświadczyli niebawmie; przyrzekł on zasłaniać stolicę, a zaledwie na jej łonie żołnierzy krzepić się zaczął, porzucić ją musiał, więcej ciśniony cofaniem się obrońcy, niż nieprzyjaciół postępnem; Dąbrowski niezmordowaną nad losami ojczyzny czujnością, przejrzaawszy ukryte jego zamiary zniweczyć one umyślił, niewyleczony z rany, odłącza się od Poniatowskiego w Piotrkowie, zbiera po drodze odcięte i pomiędzy szeregi Franków rozrzucone narodowego wojska oddziały, aby w przypadku, gdyby Ponia-

owski pod spiknionych przyjaciół i nieprzyjaciół ciosami uledez musiał, Polska z nim razem nie uległa; w tym celu cofa się przez Szląsk, Saksonią do Wetzlar, uzbraja, porządkuje, w jedno ciało pod swoje dowództwo łączy te słabe różnej broni odłamki i nie wypuściwszy na chwilę oręża z dłoni, już spieszył pod Lützen, gromiąc i zabierając snujące się w tyle wojsk francuzkich, powstańców pruskich roje, kiedy tej samej chwili, pod dowództwem Poniatowskiego narodowe szeregi przymuszone poświęcić Kraków i przez kraje sprzymierzeńca raczej w postaci jeńców niż towarzyszków broni prowadzone, dopiero wtedy broń odzyskały, kiedy za nią same pochwycić mogły.

Na głos swojego władcy, raz jeszcze z granic swoich wystąpiła Francya — na polach wślawionych zgonem i zwycięstwem Gustawa, geniusz jej wojownika wzniósł się nad wszystkie przez zdrady i potęgę stawiane zapory, ukazał się światu na tym samym stopniu przewagi i sławy, z którego straconym go mniemano, zwyciężył, pogroził i miecz mściwy zawiesił. Do tej świetnej walki nie należały wprowadzić te różnemi drogami, lecz jednym wierności torem na plac honoru dążące narodowego rycerstwa hufce, nie zostały jednak bez zwycięstwa, co mówię, ważniejszy nad obłudą i podejrzliwością, otrzymały tryumf, bo równie uniżyła się przed niemi do podziwienia, nienawiść obcych, jak na ich widok ugiął się do ufności, sam już nieufny Napoleona umysł.

Ale czemuż zbiegła z nieprzyjacielskich obozów fortuna, wieńcząc niewierną dłonią pyszne jego skronie — drugę podała mu czarę zdradliwego trunku — upojony nim, zapomniał na przestrogi dziejów i świeżych wypadków, mogąc przyjąć pokój, nadać go zapragnął, zerwał rozejm, a do nowego zawodu powołując swoich wodzów, nie spostrzegł, że zmordowani tyłu wyprawami, więcej wzdychali do spoczynku — a raczej do używania darów losu, niż na jego niestałość narażać je byli skłonni. — Już oni z ślepego zaufania i posłuszeństwa do bojaźni o przyszłość przeszli, — z podziwienia nad czynami do wytykania błędów i szemrania, końca wojny pragnąc, już samą sławę na okup pokoju odważali, w podziale poleconych każdemu obrotów. Po zerwanym rozejmie, odebrał Dąbrowski rozkaz ułatwić połączenie wojsk francuzkich od Magdeburga ciągną-

cych do marszałka Neyą przeznaczonych zastawić się przybywającym do związku i od Berlina postępującym Szwedom.

Mylił się ciągle Napoleon, mniemając, że się upokorzenia kiedykolwiek przebaczą, mylił się, biorąc świeże z Austryą śluby za pojednania zakład, które wiedzieć nie można, czyli były dolegliwszą, lub zdradliwszą z jej strony ofiarą — poznał błąd wtedy, gdy się zmuszonym ujrzał zgromić pod Dreznem zastępy niemieckiego cesarza, który z tylekroć pokonanego przeciwnika, niedawno pokrewny i sprzymierzeniec dopiero co pośrednik a zawsze nieprzyjaciół, siłą swoją powiększył związkowych potęgę. — Zapęd Wandama i przegrana Neyą, powołały go od pomsty do obrony, spiesząc pokonanym w pomoc, znalazł Dąbrowskiego, który sam jeden w bitwie utrzymawszy stanowisko, sam jeden zdolny był zasłaniać odwrót, jemu więc polecił spieszyć do Delitz na odsiecz Wittenbergowi zagrożonemu oblężeniem; spodziewano się stanowczej bitwy pod Wirtzen, las ogromny zasłaniał związkowych obroty — Dąbrowski przez małe utarczki oczyszcza go, wyszedłszy zdobywa bagnetem przedmostowe szańce, zabiera okopy, uwalnia twierdzę, niszczy przeprawy na Elbie — i powołany wraca pod Lipsk na tę bitwę równie pamiętną zdradą jednego ze sprzymierzeńców, jak klęską Napoleona, po której szala losów świata na inną stronę się przechyliła, a w której podobno się opatrności, do tyłu w dziejach świata przykładów, nową, ale podobno daremną pysze ludzkiej wrażliwości przestrożę, że potęga na bojaźni oparta, z przędzy pajęczej snuje trwałości swojej pasma, szczęście ją trzyma, nieszczęście wąż jej targa węzły, a oprócz tego, co u pojedynczych ludzi zbrodnią się nazywa, między narodami w wyobrażeniach skażonej polityki, zręczności zyskuje pochwałę.

Raniony w tej walce Dąbrowski, cofnął się za Elsterę. Dzieje powiedzą, dla czego po chlubnym Poniatowskiego zgonie, dowództwo nie do niego przeszło, nie ukryją się przed dziejopisą przenikłością: zabiegi, zazdrości i podstępów tych, co się już na nowe obzierając rzeczy, lękali się od jego wytrwałości, nietylko nowych, a może niepożytecznych ofiar, ale nawet straty korzyści osobistych, do których się niecznym przy każdych zmianach pożądaną otwiera pole. Walczył i roztrącał Dąbrowski pod Wachau, zastępując drogę do Renu

zdradliwych sprzymierzeńców przeniewiercze hufce, kiedy wojско polskie nie pod jego dowództwem będące, po to się do granic Francyi zbliżało, aby przy niej kres trudom, a może i sławie położyć. Ale kiedy Napoleon w towarzystwie swojego nieszczęścia, stanąwszy w kole Polaków, więcej im postacią swoją wzór niestałości fortuny wystawiającą niż słowy, wszystko co dla Polski uczynił i co uczynić zamyslał, przypomniawszy, kiedy w uniesieniu wdzięczności nie tylko wojsko, lecz ci co już o utworzeniu Polski przez północną potęgę zasłyszeli, a przeto wpływem swoim sprawę Francyi od sprawy Polski odłączyć sądzili obowiązkiem wierności obywatelskiej, pierwsi na nowe poświęcenia toż wojsko prowadzić i ginąć, lub zwyciężyć przysięgli; na kimże pewniej rękojmie honoru tego wojska, a swego bezpieczeństwa mógł oprzeć, jeżeli nie na tak doświadczonym wodzu, co pierwsze zawiązki tych słabych już szczątków pod godłem ojczyzny i sławy zebrał i przez tyle lat w rozmaitych losu kolejach, z nieskazitelną wiernością na boje prowadził.

Złamany trudami i chwalebnymi ranami osłabiony, nie odmówił Dąbrowski ani życzeniom rodaków, ani ufnosci już chwiejącego się na tronie cesarza, zajął się gorliwie powołaniem naczelnika. Niezdolny przewodzić w bojach, wzmógł przez trafne urządzenia siły wojska, pokrzepił ducha i widziała wkrótce Francya pod stolicą swoją i przy jej ostatnich zaporach proporce Polski, łamiące wdzierających się nieprzyjaciół szyki z tą wiernością, której już sama dla władzcy swojego dla niepodległości i sławy własnej, nie miała.

Przyszła nakoniec chwila tryumfu dla zdrady, ten, którego nieugięty umysł opierał się sprzysiężonym żywiołom i losom — ten, którego nadludzki geniusz w zapasach z fortuną niepokonany, świat cały sławą i podziwieniem napełnił — pogromca Europy, dobroczyńca Francyi, wskrzesiciel Polski — odstąpiony od niewdzięcznych, odrzucił od siebie berło świata, pogardził panowaniem, skoro ludźmi pogardzać zaczął. Ostatnie jego słowa, pamiętne ochydą Francyi a sławą dla Polski, uwalniające wiernych jego sprzymierzeńców od przysięgi, wskazały im drogę jedyne go ratunku imienia Polski. Tą drogą poszedł Dąbrowski, gromiciel skwapliwej podłości, jak opieszalej obojętności złożył hołd wspaniałomyślnemu wskrzesicielowi

Polski, który za cały owoc zwycięstw swoich, włożywszy koronę na uwieńczone laurami skronie, całą swą potęgą zastawił się za nią przeciw Europie czekającej nowej narodu naszego zagłady i który nieznany w dziejach świata dziełem — wołał panować potęgą dobrodziejstw, niż oręża. Ujrzeliśmy go wszyscy wśród nas, ujrzały go hufce narodowe u kresu tylu zawodów, jakie podobało się losom ojczyźnie naszej na zawsze położyć.

DOKOŃCZENIE.

Takiem było przeszło trzydziesto-letnie obozowe tego wodza życie, w wyprawach swoich nie szedł on nigdy torem wielu naczelników co żołnierzowi trudy, głód i niebezpieczeństwo, a sobie wyłącznie zaszczyty z nich przeznaczając, dzielił on z wojskiem wszystko i dla tego miał jego nieograniczoną ufność, bez której najbieglejszych wodzów zwycięstwo odstępuje, znały go nieprzyjacielskie czaty; widziały wśród ciemnej nocy znoszącego niewygody powietrza, twarde łoże i pokarm, nad bezpieczeństwem obozu postawione straże, po każdej bitwie troskliwy o ratunek ranionych nie spoczął tylko z spoczywającym żołnierzem. Pod takim naczelnikiem czuł on się bezpiecznym, przytomność jego brał za niemylną wróżbę zwycięstwa, i nie raz sama wieść o jego przybyciu w zwątpiałych razach stawała wodzom za posiłki.

Widziała w nim Polska, widziała Europa mężstwem wszystkim wsławionym wodzom równego, sztuką celującego wielu. Ale jakim był obywatelem, jakim Polakim, któremu Polska przechowanie imienia swego winna potrzebaż przed Polakami dowodzić? Miała zapewne Polska zacnych obywateli we wszystkich wiekach i czasach, lecz komu z nich wieniec poświęcenia się potomność przyzna wątpliwości podpadało, póki Dąbrowski do ich orszaku nie przybył; jeżeli ten wieniec od ważności oddanych ojczyźnie usług zależy, dawnych i naszych czasów najzaczniejsi obywatele samiby go odstąpili temu, który im zawód obywatelski zachował, wielu z nich zapewne zrobiło wiele dla ojczyzny w ojczyźnie; Dąbrowski wszystko kiedy już jej nie było.

Niech mnie zachowa Niebo! od myśli ubliżenia ceniom tych szanownych mężów, od których życia w tej samej chwili

ojczyzna odniosła tyle chwały i zaszczytu! nie zaprzeczę, iż bez poświęcenia się Kościuszki i jego towarzyszków, nie miałby był Dąbrowski z kim kończyć tego chwalebnego zawodu, lecz któż mi na wzajem nie przyzna, że bez Dąbrowskiego sam Poniatowski nie zyskałby ani placu ani sposobności stanąć na tym szczyble chwały, na który się wyniósł. Dąbrowski jest tem jedynem ogniwem, które spaja przerwane dzieje narodu, on zapełnił kartę jego pogrobową, która zapewne nie mniej waży jak wszystkie inne którymi się Polska chlubić może. Co mówię! ta to jest karta co wynagrodziła ohydę całego jednego wieku, co nas odrzuconych od społeczeństwa Europy, pojednała ze światem, z szacunkiem obcych, z chwałą przodków. Jej to dzieło, że ci co dla potwornego naszego rządu, dla wad i nałogów, zagładę naszą za mniejszą stratę dla polityki niż przysługę dla dobra ludzkości uważali, bliżej nas poznawszy w dawnych skłonnościach nawróceni, w waleczności naszej bezpieczeństwo oświeconej części Europy w związkach chlubę, w charakterze rękojmię uznali.

Nie baczni obecnego wieku potwarcy! występniejsi obrońcy przeszłego! spostrzeżcie się, cóż zyskujecie na tej tęsknocie, do błogosławionych przez was czasów, chyba to o was mniemanie, że wielbiąc przyczyny za narzędzia do podobnych skutków zdolnymi jesteście.

Nie upadła Polska bez chwały, bo ten wiek przez was potępiany wychował Kościuszkę, nie zagięło jej imię, bo dał nam Dąbrowskiego, rozprzestrzeniła chwałę i bez skazy jej dochowała, bo na ich tor Poniatowski wstąpił. Fabrycyusz i Kurcyusz przyznaliby się do Kościuszki, przybrałby chętnie Turen i Bajard Poniatowskiego, Czarniecki z Dąbrowskim chętnieby się spoił.

Wpodobnych jak Czarniecki lecz stokroć trudniejszych żył on czasach, a obaj mają to wspólne z sobą, iż równie ojczyznę kochali a walcząc za nią niekiedy zwyciężeni nigdy nie pokonani nie ustąpili przeciwnościom placu. Lecz Czarniecki walczył w kraju przy królu, przy związkach rodaków, przy pomocy sprzymierzeńców, walczył wspierany życzeniem Europy, walczył w domu, zagroził nieprzyjacielowi w jego siedliskach i uratował przeznaczoną na rozdarcie Polskę, gdy jeszcze ratowaną być mogła.

Dąbrowski bez Polski, bez ojczyzny, bez króla, bez pomocy, bez związków, kiedy jej się świat cały wyparł i na ofiarę poświęcił, sam Polskę przeniósł na obcą ziemię, sam ją zachował, sam jej losom znalazł sprzymierzeńca, sam z garstką walecznych dotrwał i że tak powiem, kiedy ją za zgubioną mniemano, umrzeć jej na zawsze nie dopuścił.

Wolna od więzów ojczyzna uwieńczyła wdzięcznością zasługi Czarnieckiego, posąg ku jego czci dźwigniony, przypomina pokoleniom wielkiego męża, pyta się Polska, czemu go Dąbrowski nie ma? i dosyć na tem dla jego chwały, a dla współczesnych nagany. Miał Czarniecki nieprzyjaciół za życia, miał zawistnych, bo był wyższym od nich zasługą; doświadczył Dąbrowski pocisków niechęci, bo celował nad innemi zasługą, bo sam dostrzegł, sam powziął, sam wykonał o czem wielu pomyśleć nie śmiało, ztąd chociaż obrazy nie szukał, nie razić nie mógł, a między ludźmi rzadszą jest wdzięczność niż zazdrość. —

Miłością ojczyzny i mężstwem równi, umiejętnością Dąbrowski był wyższym, obydwaj chętnie przynosili tryb wojny cząstkowej i obydwaj w nim celowali, lecz Czarniecki jak w obcowaniu tak w boju otwarty i popędliwy, wszędzie spotkania szukał, i zdając wszystko na odwagę orężem dopiero nieprzyjaciela liczył, Dąbrowski ostrożny i przezorny, a krwi żołnierza oszczędny, nie losowi nie powierzał, wszystko ważył, wszystko rachował, po zwycięztwo nie sięgał póki go nie zabezpieczył, i wtedy dopiero z mężstwa swoich korzyści dopinał się, kiedy z błędów nieprzyjaciela otrzymać onych nie mógł; umiał nagradzać odniesione klęski Czarniecki, umiał unikać ich Dąbrowski. Lecz w stanowczej chwili równie jak Czarniecki osoby i życia swego nie oszczędzał, nad Trebią pod Bosco cudem życie zachował, między złamanemi szyskami osobiście spotykając się, wymierzony przeciw sobie porzucił własną ręką odbijał i jedynie walecznością Sztuarta i Petrykowskiego zasłonięty zyskał czas rzucić się w pław w rzekę. Siedm ran które w rozmaitych walkach otrzywał dowodzą, że i w tych chlubnych rycerskiego stanu zaszczytach z Czarnieckim się równał. Odebrał za przykładem Zamojskiego Czarniecki z dziedziny narodowej dar wdzięcznej ojczyzny, za wzorem Czarnieckiego otrzymał go w jej imieniu z rąk wskrzesiciela Polski Dąbrowski, przecież jak-

kolwiek o tem wiek obecny sądzi, ja nie pomnę uwagi, że nagroda co z bogaca, zasług nie ocenia, a osoby uniża. O gdyby byli obydwaj wiedzieli, że dusze tylko służebne na odpłacie rachują, a obywatel prawy, prócz chwały, nic od ojczyzny nie przyjmuje, wieki następne szukając w nich zesłużonych mężów, znalazłyby wielkich.

Jedna jest godna wolnego obywatela pycha cnotą, która się najmilej z ubóstwem spokrewnia, celować nad temi nawet których nam dzieje za wzór do naśladowania wystawiały. Czemuż Dąbrowski w tym razie nad samego Czarnieckiego wynieść się nie ośmielił ¹⁾.

Mówił Scypio do oswobodziciela Rzymu nie chętnie znoszącego współubiegania się z sobą młodego bohatera: „Tak ojczyznę moją kocham Fabiuszu, iż dla niej pałam żądzą nie tylko się z tobą zrównać, lecz jeżeli można, przewyższyć ciebie.“ Ale ta jest niestety naszych od starożytnych czasów niższość, że coby tam w samych wielkich ludziach przygany nieuszło, u nas powagą osób, wzorem się staje. Pomnijcie wsławieni mężowie, że nie macie tej pospolitym ludziom korzyści właściwej, aby o waszych słabościach, można nie wiedzieć, albo one wymówić. Minał wiek w którym nienasycony łupami świata oręż, szczękiem swoim utyskiwania ludzkości zagłuszał, lecz nie minęły wrażenia i towarzyszące im żale, doświadczyła ta ziemia, że do czego pod obcym słońcem prawa wojny, upoważniały, to żołnierzowi na łonie rodzinnego kraju nałóg miłym uczynił. Głos powszechny szukając między wodzami winnych pobłażania i współnictwa, niekiedy Dąbrowskiego imię wspomina. Oby następcy na grobie jego zbierali tę przestrogę, że surowa a od przyczyn pobłażania usunięta potomność, od znakomitych ludzi nie tylko za ich własne błędy,

¹⁾ Autor skorzystał z tej sposobności, aby potępić tych którzy w chwili odezycania tej Pochwały ubiegali się o nagrody ze skarbu publicznego. Zarzut ten jednak nie może się odnosić do generała Dąbrowskiego. Dąbrowski bowiem, odziedziczyszy znaczny majątek w ziemi po babce a w kapitałach po ojcu, poświęcił go prawie cały na utworzenie legionów. Napoleon więc nadając mu Winogórę i starostwo Średzkie, chciał go tylko wynagrodzić, niejako zwrócić mu wyłożone na utrzymanie sumy. Wspomina o tem Raczyński. (P. W.).

lecz za winy czasów odpowiedzialności się dopomina, a jeżeli ich przywary pocieszają nikczemnych, dobrych smucą.

Są co zarzucają Dąbrowskiemu, że tę ostrożność, jaka go nigdy na placu boju nie odstępowała, aż do obcowania domowego i publicznego przenosił, i że jak obcym łatwiej go było zwyciężyć niż podchwycić, tak swoim nie łatwo zgadnąć, nie pomną oni że sami się tą przyganą obwiniają; serce które doświadczy zazdrości, nienawiści i potwarzy, łatwo się z swojemi ranami zamyka, a przezorność zbyt prędko w podejrzliwość się przeradza. Przecież ci co go bliżej znali i ci z którymi poufalej obcował zaświadczaają, że w małej liczbie prawdziwych przyjaciół i z ufnością się powierzał, i drugim sławy nie zazdrościł, a rzetelne zdolności cenił i wspierał. Czytamy w jego pismach chlubne wspomnienia; Kniaziewiczza pochwałami pióro jego nasycić się nie może, sławiąc mężstwo i talenta tego wodza; wielu też towarzyszom broni nie mniej zaszczytne oddaje świadectwo, nie zubożył więc karty dziejów świętokradztwem zaszczytów ojczystych, którego się tylekroć nieudolna i zazdrośna próżność dopuściła; i niespostrzegamy jego milczenia tylko przy tych imionach, za które potylekroć i on i spółziomkowie jego rumienić się musieli. W wojskowym społeczeństwie najwięcej smakował, z pałaców królów, z gmachów możnowładców do własnego namiotu lub domu, do współników broni tęskliwie spieszył, i z nimi w rozmowach o wojennych sprawach i dziełach, o niebezpieczeństwach, o bojach szukał i dla siebie rozrywki i dla nich nauki. Obcowanie jego jeżeli było pożytecznem dla drugich, samotność i dla nich i dla niego nie była bez korzyści, nie dozwolił on zabierać chwil gnuśnemu próżnowaniu, lecz czytaniem dzieł wojennych umysł karmił, a zawsze o chwałę ojczyzny troskliwy, wspomnienia tej epoki, którą życiem swoim zapełnił, zbierał, szykował i równie orężem dzieje ojczyste zdobił, jak piórem od zapmnienia swoich, od potwarzy i fałszu obcych bronił i zachowywał. Miłość oświaty do tego stopnia posuwał, iż upodobane sobie dzieła, w języku, który z wychowania najgruntowniej posiadał, wśród bojów i walki, w przerwach w których mu wolno było oręż wypuścić z dłoni brał do ręki; posiada towarzystwo jedno z tych, które odbitą kulą uratowało mu życie, a nam wodza.

Dobry ojciec, dobry mąż, w godzinach spoczynku najmiej w uczuciach serca, na łonie rodziny szukał odetchnienia, widziano go nieraz piastującego drobną dźwiatwę lub udzielającego się niewinnym tego wieku igraszkom ze swobodą, i wesołością, która rozchmurzając bliznami poorane czoło, okazywała, że twardą stałą okryte piersi mieściły serce tklive, rzadki przymiot w tych, których powołanie samo na łzy ludzkości obojętnymi czyni.

Wychowany na obcej ziemi, kochał nadewszystko własnego kraju obyczaje, utrzymywał krój i barwy narodowe dla wojska w chwili tworzenia się legionów we Włoszech, utrzymywał w Księstwie Warszawskim bronił w chwili przeistoczenia się wojska, co popierał słowy, tego stały wzór sam ze siebie dawał, sukni narodowej nigdy nie porzucił, bądź miał za chlubę zbliżyć się nią do dawnych Polaków, bądź za wstyd obcych ślepo naśladować, często też powtarzał, iż zmiana cech narodowości acz na pozór nie wiele znaczących, którą lekko-myślna chęć nowości usprawiedlić pragnie, jeżeli nie jest wynarodowienia się oznaką, jest niezawodnie pierwszym do niego szczeblem; bo z obcemi zwyczajami łatwiej przychodzi smak występków i wad obcych, niż cnót, i kto ojczyste obyczaje płocho zamienia, nie postrzeże się jak łatwo i cnoty rodzinne porzuci; jakoż słusznie Tacyt o pobitych od Agrykolli Brytannach powiedział: „Weszły wkrótce w poszanowanie ubiory i zwyczaje nasze, niebacznosc nazwała to wykształceniem, co było częścią niewoli.“

Zbierał nie tylko laury dla ojczyzny, lecz po całej ziemi rozrzuconych pamiątek troskliwie wyszukiwał, ofiarowane sobie najmiej przyjmował, i te owoce trudów i starań swoich, nie dla siebie lecz dla lubego kraju gromadził. Niestety! kiedy już jak majtek długo po burzliwym morzu pływający, nakoniec stanął na bezpiecznym lądzie, kiedy okryty wszelkiego rodzaju zaszczytami, starganym siłom miał dozwolić spoczynku na tem senatorskim krześle, kiedy mówię z tęsknotą biegł na łonie rodziny używać wiejskiej swobody i zasłużonego odetchnienia, zaniedbana słabość, skutek wojennych trudów pośpiechem podróży powiększona, wyrывa go ojczyźnie nie spodziewanie. Umiera w Winnejgórze w ustroniu jak rzekłem wysłużonem Czarnieckiego wzorem, a przed zamknięciem po-

wiek spojrzawszy raz jeszcze na oręż, te któremi się ojczyzny i sławy dobijał, przeznaczył do grobu dla siebie; wszystkie inne pamiątki do przechowania temu Towarzystwu powierzył. Te to pamiątki, te drogie zbiory, te hełmy i pancerze, już niestety darem pogrobowym zdobią ściany tego gmachu przypominając z rzewną żałością żeśmy go kiedyś w gronie naszym posiadali. Tak znalazł w nim W. Zamoyski naśladowcę tej nauki, którą synowi dawał, że przywiązanie obywatela do ojczyzny nie kończy się wraz z jego życiem.

Mamże wspomnieć ten żal, ten smutek, to ubolewanie, któremi serca Polskie wieść o jego zgonie przejęła! Płakaliśmy nie nad nim, lecz nad sobą i ojczyzną. Jej to strata, jej ból, jej żałoba. Dla narodów śmierć znakomitych mężów zawsze będzie zawczesną; dla nich nie zawsze. Wielu z nich tej śmierci wzywało daremne, wielu żądać było powinno. Dla wielu dzień jeden do ich życia dodany stał się zgubnym dla ich sławy darem, bo natura nasza jest ułomną, wiek wyczerpuje równie moc duszy jak ciała. Życie nasze jest ciągłą walką z przeciwnościami i przy nie równych siłach zwycięstwo albo jest nie pewne, albo niebezpieczne i przeto dusze szlachetne, za obrębem sławy, nie znają świata i znaczenia. Szczęśliwym więc Dąbrowskiego nazwać mogę, że nadzieje ojczyzny wśród tylu przeciwności wypielegnowane, a oraz nie skażoną ku niej miłością i cnotą losy jej do pewnego doprowadziwszy brzegu, z tego tylu burzami miotanego okrętu, już nie na tę ziemię, padoł nieszczęść i utrapień, ale do mieszkania błogosławionych w niebie, do świątyni chwały nieśmiertelnej na ziemi, i że tak powiem w prost na kartę dziejów narodowych pomiędzy najchlubniejsze jej zaszczyty wstąpił. I czegoż mu nie dostawało przy zgonie? chyba tego, że jego zwłoki nie okrywa ziemia polskiej nazwę nosząca. Polska ich między swemi pamiątkami nie posiada. Lecz przecież zazdrośni zaszczytów naszych sąsiedzi, przynajmniej pogromców swoich, przywłaszczając sobie nie będą; a chociażby się ośmielili; daremne zamachy zawiści! dzięki temu nieśmiertelnemu mężowi, pomniki nasze nie doznają uszkodzenia ani od zazdrości obcych ani od obojętności swoich. Pasma ojczystej chwały połączone przez niego z dziejami wielkiego narodu, jest pod strażą nieśmiertelnych geniuszów, znakomitych piór, i serc wdzięcznych oświeconego

ludu, co sam bogaty we wszelkie rodzaje sławy najwierniejszym doli i niedoli swojej towarzyszom, szlachetnie udział jej wypłaca.. A gdyby i tam ławem natury ludzkiej skażeniem usta zamilknąć, umysły spodlić się miały, lub gdyby Omar jaki z mieczem i pochodnią wziął się na zniszczenie wspólnych z nami a tyle chlubnych rodzaju ludzkiego świadectw — póki ziemia klasyczna Rzymian uczęszczaną być nie przestanie, znajdzie wędrownik na pobojuwiskach Annibala, Fabiusza i Cezara ślady wojowników naszych, czątać będzie na wyniosłych Alpów i Appeninów szczytach imię Polski, wyryte Dąbrowskiego orężem i obok dzieł wielkich wojowników Francyi czyny walecznych Sarmatów i ich wodza, A jeżeli smutne czyny, sercom i umysłem do sławy zrodzonym użyczają natchnienia, może kiedy Tyrteusz lub Maro Słowiański, zwiedziwszy tór naszego Eneasza i nieśmiertelnych jego hufców, po lądach, morzach, skałach nie przebytych, po rozgrzałych Afryki piaskach, przy odwiecznych starego i nowego świata pomnikach pytając się o świadectwa i rozwalin piramid Egiptu i Kapitolu murów, usiądzie na szczytach osiwiiałych Tatrów, uderzy w lutnią, i wyniosłem pieniem głosić będzie rozpołożonemu od Wołgi do Bałtyku Słowian plemieniu, chwałę przodków, pocieszać nią poległych bohaterów, wielkie dusze, budzić żądze chwały w potomkach, rzewnić odległe wieki ogromem nieszczęść naszych, zadziwiać niezrównanej, miłości ojczyzny cudami, i w imieniu wielkich zasług poprzednika dopominać się świetnego przeznaczenia dla szczęśliwych pokoleń. On, on dopiero, dopełni miary tej wdzięczności, którą my więcej czuć, niż wypłacić zdolni hołd ten przygotować tylko możemy przytłumiając szemranie zawiści, równie niechętniej ludziom jak narodom.

Wiemy, że ci co oprócz żądzy znaczenia i nikczemnej próżności żadnych zalet z sobą do publicznego życia nieprzynoszą lub przyniesione podłością skazili, znajdować zawsze będą dla upokorzonej miłości własnej w pochvale drugih obrazę, w obmowie pociechę, niemogąc znakomitym mężom zrównać, nie zostaje im jak ich zaśłudze uwłaczać.

Lecz o jakże ród ludzki byłby politowania godnym, gdyby zaszczyty jego od tak niecných sędziów zależały! Co do mnie składając hołd popiołom bohatera skreśliłem mniej wymownem jak rzetelnem piórem wielkie w nim zalety wodza

i obywatela, nie zataiłem słabości człowieka. Lecz kiedy pierwsze i drugie na bezstronnej szali ważę, śmiało do niego zastósować mogę dziejopisa narodowego o W. Zamoyskiem wyrzeczone słowa: — „Wie Polska kiedy straciła Dąbrowskiego, nie wie czyli i kiedy podobnego męża mieć będzie.“

STUDYA

DO

HISTORYI NOWEGO CESARSTWA

W NIEMCZECH.

(Dokończenie).

Zwycięstwo na placu boju, choćby najświetniejsze, samo przez się nie decyduje jeszcze stanowczo o przyszłych losach stron walczących. Walna bitwa stoczona zapisuje znaczenie swoje na kartach dziejów dopiero według tego, w jaki sposób zwycięzca ze swej wygranej korzysta i jak się zwyciężeni po swej klęsce zachowują, przez to dopiero staje się ona dla jednych jak i dla drugich początkiem nowej ery. W historii każdego prawie stulecia powtarza się to zjawisko, że wielkie zwycięstwa bywają początkiem szybkiego upadku wielkiego narodu, a wielkie klęski ziarnem odrodzenia zwyciężonych, i nawet można powiedzieć, że pod pewnym względem rola zwycięzców zawsze trudniejszą jest od roli zwyciężonych w dalszych kolejach ich losów, bo podczas gdy pierwszego po stanowczym tryumfie czeka zawsze jeszcze druga ciężka walka ze samym sobą, by swego szczęścia nie nadużyć, wczem leży cała przyszła jego potęga lub zguba, drugi ma tylko nie rozpaczać i zrozumieć dla czego został zwyciężonym, a nieochybne znajdzie warunki odrodzenia jeżeli tylko trochę sił żywotnych mu jeszcze zostało. W XIX stuleciu najświetniejszy przykład tego mamy właśnie na Prusiech. Od bitwy pod Jeną, kiedy wszystko

zdawało się już dla nich straconem i historya pruska musiała się zaczynać jakby całkiem na nowo, bo od mało czego więcej jak od Marchii Brandeburskiej i Pomorza, od klęski pod Jeną datuje się nieustanny wzrost znaczenia i potęgi Prus w Niemczech i w Europie, a w końcu dzisiejsza ich wielkość. A kto wie czy potrzeba będzie na to tyle czasu, ile go upłynęło od Jeny do Königgrätzu, żeby przyszły historyk mógł na pewne od Sadowy i Sedanu zaczynać swój rozdział o początkach upadku pruskiej Monarchii.

Po bitwie pod Königgrätzem, gdzie tylko w samą porę przybyły korpus księcia Następcy tronu, bardzo zachwianą już pozycją armii pruskiej uratował i szalę zwycięstwa na stronę Prus przechylił, gdzie nawet wedle bardzo prawdopodobnej wersji bliski już był czoła Bismarka jego własny rewolwer, i kto wie co by się było stało gdyby nie dobra luneta która pozwoliła mu najprzód dostrzedz zbliżające się posiłki, po Königgrätzu zaczęła się druga kampania prowadzona już wyłącznie przez tegoż Bismarka, który teraz nie czuł się już więcej igraszką fortuny wojennej albo jak się sam wyraził „kaprysów wszechmocnego Boga,“ ale był jedynym najwyższym w tej kampanii wodzem i arbitrem.

W Nikolsburgu, w pysznym zamku hr. Mensdorfa niedawno przez niego odziedziczonym, gdzie po zwycięztwach na czeskich polach stanęła główna pruska kwatera, w Nikolsburgu rozstrzygnęło się, ile na szali przyszłych losów Niemiec i Europy ma zaważyć Sadowa.

I niema co mówić, Bismark wybornie odegrał tam rolę powstrzymującego się zwycięzcy, usiłującego sztuką dyplomatyczną zapewnić na zawsze to; co zdobył oręż i zarazem drogę do dalszych zdobyczy otworzyć.

Naprzód już i o tem, co zdobył oręż pod Königgrätzem różne były zdania w kwaterze pruskiej, i to w najwyższych głowach. Bismark pisał do żony w tym czasie: „nam się dobrze dzieje; jeśli nie będziemy mieć zbyt wygórowanych wymagań, i nie będziemy myśleć żeśmy już cały świat zdobyli, to osiągniemy pokój, który wart będzie naszej fatygi. Ale my, jak prędko rozpaczamy, tak i prędko się upajamy szczęściem, a ja mam niewdzięczne zadanie dolewać wody do musującego wina i ciągle przypominać żeśmy przecie nie sami w Europie, ale jeszcze

z trzema sąsiadami. Największy kłopot miał Bismark znowu ze swoim zbyt uczciwym i zbyt skrupulatnym Królem, ale tym razem już dla całkiem innych jak przed wojną powodów. Bo jak pierwiej pełno miał skrupułów tak teraz zwycięzki król niechciał nawet z Czech i Morawii się ustąpić; uważał on już te ziemie gdzie popłynęła krew Pruska i gdzie jego ukochana armia tak świetnych dokonała czynów jako pruskie prowincye. Dopiero trzeba było znowu całej zřęczności Bismarka żeby mu^o to przecie wyperswadować. Król Wilhelm w r. 1866 podobny był do gracza, który nie zasiędzie do gry choć ma wielką ochotę póki go który z dobrych przyjaciół do niej nie namówi, nie popełnie prawie do zielonego stolika, ale gdy sobie raz ten miły gwałt zadać pozwoli i gdy mu karta sprzyja, to zaraz najwięcej ze wszystkich stawiać zaczyna i przegrałby wszystko w następny kwadrans, gdyby znowu jaki dobry przyjaciel nie odebrał mu pularesu i nie wyprowadził go na spacer do ogrodu. Jestto wspólne wszystkim charakterom cheiwym, ambitnym, a słabym, (*l'appetit vient en mangeant*); udało się jednak Bismarkowi zawczasu jeszcze wyprowadzić Króla do ogrodu.

W Nikolsburgu więc była ostateczna rozprawa tego długiego procesu, który się nazywał „kwestya niemiecka,” i zapadły o nim wyroki przez tych, którym Opatrzność pozwoliła zwyciężyć siłą oręża. Ale czy te wyroki ludzkiej mocy i sprawiedliwości otrzymały sankcyą najwyższej instancyi? Zdawałoby się mogło że tak, po tem co zaszło w lat kilka, w latach 1870 — 1871; pokazało się jednak zaraz potem, że to była dopiero wygrana w drugiej instancyi i że jest jeszcze trzecia nawet tu na ziemi, do której zaraz przypuszczono szturmy, a więc proces jeszcze nieskończony. Siłą mocą wygrało się w Wiedniu i w Paryżu, teraz trzeba wygrać w Rzymie.

Straszna to karta dziejów niemieckiego narodu, ta krwawa bratobójcza walka w r. 1866! Późniejsze wielkie sukcesy niemieckiego oręża we Francyi zasłoniły nam na chwilę okropność uprzedzających je wypadków i odebrały przynależną im grozę, ale im bardziej obie te wojny zasuwają się w przeszłość, tem wyraźniej w tej dalszej perspektywie występuje właściwa doniosłość jednej i drugiej i ich wzajemny do siebie stosunek; tem wyraźniej widzi się, że nawet i olbrzymie zdobycze z ostatniej wojny francuskiej nie wystarczają żeby nimi zarzucić, wyrównać tę otchłań jaką wykopał w Niemczech roku 1866, żeby stłu-

mieć to zarzewie sił wulkanicznych jakie stamtąd się dobywają, żeby zasłonić tę podłość i nędzę polityczną jaka w Niemczech na jaw wyszła w owym czasie. Nowy gmach niemiecki w całości stanął w roku 1871, ale nigdy nie trzeba o tem zapominać, że fundamenta do niego położył rok 1866 i że zawsze materiały fundamentów i grunt na którym one stoją, decydują o przyszłości gmachu. W roku 1866 rozsypany materiał spojono sztucznym cementem, grunt podminowano. — Chociaż główne dwie walczące strony były tu Prusy i Austria właściwym przedmiotem wojny nie były tyle ich własne terytoria, lecz po za pruskie i po za austriackie Niemcy. Średnie i mniejsze kraje niemieckie były właśnie tym gruntem tem materiałem, z którego i na którym zwyciężkie Prusy całkiem coś nowego zbudowały. Zachowanie się właśnie tych średnich i mniejszych niemieckich krajów jest może najwstrętniejszym epizodem wojny w 1866 roku. — Te ziemie i te ludy nad Menem i Renem, od Alp aż do morza, potrzeba za właściwy rdzeń niemieckiego narodu uważać. Prusy i Austria, to tylko rozrosłe dwie dawne Marchie, północna i wschodnia, dwie rozwielnione wojskowe kolonie dawnej wielkiej monarchii Ottonów i Hohenstaufów; właściwym zaś klasycznym gruntem czystej niemieccyzny były zawsze i są dawne ziemie Saksonów, Turyngów, Westfalów. Bawarow i Szwabów dotąd przez potomków tychże plemion zamieszkałe. Otóż te najbardziej niemieckie trzecie Niemcy, zachowały się teraz wistocie jakby jaki bezduszny materiał budulcowy. Pojedyncze kraje bez żadnego rozumnego, wspólnego i samowolnego ruchu za jakąś ideą, czekały tylko aż je siła fizyczna porwie w tę lub ową stronę i z sobą powiąże, a choć niektóre państwa związkowe jak n. p. Hanower i Saksonia i parę mniejszych, szczerze i otwarcie wystąpiły do walki, to znowu można powiedzieć, że na całej linii ci co nie stracili sumienia potracili głowy a bardzo wielu i jedno i drugie straciło.

O wspólności akcji nie było mowy nawet w kadrach pojedynczych korpusów, posłuchajmy n. p. co książę Aleksander heski mówi w swoim dzienniku o swem dowództwie 8 korpusu: „Z małemi nadziejami i bardzo niechętnie objąłem tę komendę, braki niemieckiej wojskowej konstytucyi i organizacyi były mi znane, ale przynajmniej tyle przypuszczać musiałem, że te państwa, które się zdecydowały z bronią w rękę upomnieć się o

swoje prawa i stanąć w ich obronie, będą gotowe ponieść odpowiednie ofiary, tymczasem pomyliłem się najzupełniej, bo żadne z owych państw niby wiernych konstytucyi związkowej, z wyjątkiem chyba wielkiego ks. Heskiego, nie było nawet jak się należy uzbrojone. Już Prusy były zwyciężkie, już wszystko było za późno, a my znasząc zachodnią armią związkową nie byliśmy uformowani. Państwa 7 i 8 korpusu liczą 9 milionów mieszkańców, a nie postawiły więcej jak 80.000 żołnierza, a więc mniej jak jeden procent. Od 26 lat 8 korpus nie był razem zwołany, generałowie nawet się nieznali między sobą, a prócz austriackich żaden z nich nie był w prawdziwym ogniu. W całym różnorodnym głównym sztabie mego korpusu, nie było ani jednego człowieka, którego bym sam był wybrał, od Szefa głównego Sztabu aż do ostatniego lieutenanta wszyscy mi byli z góry nadani, i słyszałem po pierwszy raz ich nazwiska, gdy już byli w służbie. Tylko szczęśliwym jakimś wypadkiem się to stało, że byłem ze wszystkimi podwładnymi organami w dobrej komitywie. Podczas gdy Pruska armia już Holsztyn, Hanower, Hesję i Nassau prawie bez dobycia oręża zdobyła, usiłowałem nadaremno mój 8 korpus zorganizować, a jeden z książąt w skład jego wchodzący protestował aż do końca przeciwko memu wyborowi na komendanta.“

Taka była wewnętrzna organizacja korpusów związkowych, a cóż dopiero ich zewnętrzne ruchy. Północne, południowe, wschodnie i zachodnie wojska z nad Menu i Renu błądziły obok siebie szukając się na wzajem a niemogąc się znaleźć jakby się bawiły w ślepą babkę. Bo też cała kampania trzecich Niemiec z małymi wyjątkami była czerzą komedją. Generałowie pojedynczych korpusów dostawali ze swoich dworów wyraźne instrukcje, żeby broń Boże nie łączyli się ze sobą ale unikali się na wzajem, a najbardziej unikali Prusaków. Jedna Hanowerska armia (24 czerwca) przyjęła bitwę pod Langensalza, i odniosła nawet zaszczytne zwycięstwo, ale z wieloma stratami, a opuszczona przez wszystkie inne musiała i po zwycięskiej walce kapitulować. Inne korpusy choć się zcierały z Pruskimi siłami nie bardzo się im broniły lub uciekały z wielkim popłochem, na samą wieść, a zbliżających się Prusakach, jak n. p. konnica Bawarska w Röhnebirge. Prości żołnierze i oficerowie w plany i instrukcje Sztabów nie wtajemniczeni, sarkali na swoich dowódców, na te marsze bez celu i myśli na ten dziwny bezładny sposób prowadzenia

wojny, na te nieraz sprzeczne ze sobą rozkazy jakie im wykonywać kazano i były wypadki, że oficerowie przedfrontem życie sobie odbierali, niechęć brać odpowiedzialności ani dźwigać chałuby za wojenne czyny tegorodzaju kampanii. Jedni drugim w publicznej prasie nieustannie zarzucali zdradę i zaprzędanie się Prusom i było nawet o to kilka procesów sądowych, a w rzeczywistości wszyscy razem dobrą sprawę zdradzali. W bitwie n. p. pod Aschaffenburgiem Badeńskie wojska zupełnie opuściły Jener. Neipperga, którego im Austria dodała z 7000 wojska dla wzmocnienia 8 korpusu, tak iż ten Jenerał sam wstrzymywać musiał atak trzyrazy silniejszego nieprzyjaciela i potem jeszcze czytać zarzuty i obelgi w urzędowym Badeńskim dzienniku, za to że ustąpił z pozycji, niemożliwej do obronienia tak małemi siłami. Nie można znowu powiedzieć, żeby w Niemczech było brakowało dobrego żołnierza, w kilku miejscach gdzie przyszło do rzeczywistego starcia z Prusakami, wojska związkowe dobrze się biły, nawet jeden z Pruskich jenerałów 70 letni Vogel von Falkenstein oddaje im tę sprawiedliwość i tak się o tem wyraził w jednej pogadance, którą potem ogłoszono: „Nawet i Bawarczyacy i wojska związkowe miały dzielnych żołnierzy, którzy się bili walecznie i oficerowie robili swą powinność, ile razy przyszło do walki, dowodzi tego liczba zabitych i rannych, Bawarscy strzelcy, strzelają lepiej od naszych, kawalerya śliczna, broń doskonała.... brakowało jedności i czegoś więcej jeszcze — dobrej organizacyi.“ Tu teraz oczywiście przychodzi naturalna konkluzya sędziwego jenerała, wedle logiki Pruskiej: „Ja tam tego niedożyję, ale jeżeli raz do tego przyjdzie, że wszystkie niemieckie armie na sposób pruski będą zorganizowane, wtedy możemy się mierzyć z całym światem! (dann möge die Welt nur kommen!). Pia desideria jenerała aż nadto prędko się ziściły.

Drobniejsze państwa niemieckie jeszcze przed Königgrätzem, jak przestałe gruszki jedne po drugich odpadały za pierwszym wstrząśnieniem od pnia dawnego „Związku Rzeszy“ by lecieć do Pruskiego kosza. Oczywiście że pierwszym z nich był książę Coburg Gotha naturalny protektor Gothaizmu i goatajczyków, a oddawna już mało czem będący, jak pruskim jenerałem. W r. 1866 zniżył on się i do innych posług. Rozpuszczaniem fałszywych sensacyjnych wieści na wszystkie strony, torował on wszędzie drogę Prusakom, siejąc strach tam gdzie ich jeszcze nie było,

a odwracając uwagę powszechną w inną stronę tam gdzie się zbierały ich szeregi lub pełne wagony. On to głównie wysilił się na to by przeszkodzić połączeniu się Bawarskich i Hanowerskich korpusów co mu się też zupełnie udało. Wkrótce i Oldenburg i Lippe-Detmold opuściły Rzeszę, w parę dni później Anhalt, Schwarzburg-Sonderhausen i Waldek, Schwarzburg-Rudolfstadt, Schwarzburg-Lippe, Reuss, Hamburg, Bremen, Lubeka i t. d. zrobiły to samo, zapisując zdaje się tym sposobem poraż ostatni swoje nazwiska na kartach historii i wymazując się z jej geografii jako odrębne państwa i jednostki polityczne, na wielką radość uczącej się młodzieży.

Na wieść o wielkiej klęsce Austriackiej zmieniło się bardzo usposobienie rządów niektórych południowych państw Rzeszy Niemieckiej, mianowicie w Bawarii zapanował strach ogólny, wszak to owa równowaga obu mocarstw w Niemczech, na której Bawarya zawsze tyle budowała owe paladum bawarskiej wielkości zostało pod Königgrätz zupełnie zniszczone, przewaga Pruska ugruntowana, jeżeli Austria jeszcze na nowo do boju porwać się nie zdoła. O ile więc dotychczas w Bawarii tylko bawiono się w żołnierzy, o tyle teraz na seryo zaczęto myśleć o wojnie, i ogłoszono nawet pospolite ruszenie, zwłaszcza że i w Austrii nieuważano się jeszcze za całkiem zgnębionych, ale owszem z całą energią myślano o natychmiastowym odwiecie, z wysiłkiem wszystkich zasobów i środków obrony. I tak zaraz 7 lipca wystosował Cesarz najprzód manifest do Węgrów, wzywający ich także do pospolitego ruszenia. I do reszty swych ludów odezwał się Cesarz z całą ufnością kończąc, w te słowa: „Wielkie nieszczęście spadło na Austrię, ale jej nie złamało nie odebrało otuchy do ostatecznej walki. Ludy moje! zaufajcie swemu cesarzowi! Austriackie ludy nigdy większymi nie były jak w nieszczęściu! chcę iść za wzorem moich przodków i świecić wam przykładem niezachwianej ufności w Bogu, odwagi i wytrwałości.“ Także i do wysłańców owej rady miejskiej, co to uwieczniła się swym patriotyzmem żądając od cesarza, żeby nie bronił stolicy, i nie narażał Wiednia na śrogości wojny, odpowiedział Cesarz „że Austria choć i po nieszczęśliwej walce nie może i nie powinna popadać w zupełne zwątpienie, żeby aż straciła wszelką nadzieję obrony, i dobrowolnie wpuszczała nieprzyjaciela za Dunaj.“

Wielkie nadzieje i wiele świeżej otuchy przyniósł także ze sobą Arcyksiążę Albrecht wróciwszy z Włoch po świetnych zwycięstwach do Wiednia by objąć dowództwo nad armiją północną w miejscu Benedeka, i była w Austrii jedna partya, która bardzo gorąco pragnęło dalszego prowadzenia wojny, ufając w siłę austriackiego patryotyzmu i narodowej obrony niektórych ludów, które już nieraz i w trudniejszych nawet chwilach Austryą od zguby ocaliły i powiedziały *vae victoribus*. Ta partya, która po Königgrätzu jeszcze nie dawała za wygrane, zwłaszcza, że i w Neapolitańskim trzydzieścikilka tysięcy żołnierza czekało tylko na austriackiego wodza by restaurować Burbonów i tym sposobem trzymać dalej w szachu całe Włochy, ta partya wojenna dotąd nie może darować Cesarzowi, że zamiast zaufać żywotnym austriackim siłom do dalszej obrony, zaczął budować więcej na Napoleońskich obietnicach, przez co głównie zapał ostygł i cała wojna weszła wnet we fazę dyplomatycznych układów. A tymczasem Prusacy stanęli już pod Florisdorfem, i w średnich Niemczech po małych bitwach i porażkach wojsk związkowych (między 10—15 Lipca) pod Kissingen, Hammelburgem i Aschffenburgem i po zajęciu Frankfurtu ustał wszelki opór, i gdziekolwiek tylko jeszcze dawały się słyszeć nieznaczące kanonady. Książę Aleksander Heski dowódzca 8 korpusu oświadczył Bundestagowi, że nie może dalej się bronić poczem resztki Bundestagu schroniły się z Frankfurtu do Augsburga, a byli tam jeszcze reprezentanci Austrii, Bawaryi, Wirtembergu, Badenu, Hesyi obu Saksoni, Hanoweru i 16 Kuryj.

Gdy w południowych Niemczech zmiarkowano, że dyplomatyczne układy między Prusami i Austryą za pośrednictwem Francyi naprzód postępują, ministrowie Bawarski, Wirtembergski, Heski i Badeński, Pfordten, Warnbüler, Dałwig i Edelsheim, zbrali się (21 Lipca) w Monachyum, i ułożono żeby wysłać Pfordtena do Wiednia i Nikolsberga, by uzyskał dla wszystkich zawieszenie broni. W Wiedniu była właśnie (22 Lipca) wielka konferencya pod przewodnictwem cesarza, w której brali udział królowie Saski i Hanowerski i ich następcy tronu, ministrowie Austriacy Frank, Mensdorf i Esterhazy i Niemiec: Beust, i Platen. Na tę konferencyą przybył także i Pfordten, rezultatem jej było wprowadzenie zawieszenia broni, ale tylko między Prusami i Austryą, a nie dotyczące się nic innych niemieckich krajów, bo Prusy w żaden sposób pod innym warunkiem na nie przystać nie chciały. I tak

Austria w układach pokojowych opuściła zupełnie swoich sprzymierzeńców tak jak one z początku opuściły ją były we wojnie. Nie było wprawdzie powodu do wielkiej dla nich wdzięczności, ale powiedzieć trzeba że tem krokiem Austria ostatecznie w Niemczech już abdykowała. Po tej konferencji nie miał już dłużej co robić w Wiedniu p. Pfordten, to też zaraz nazajutrz pojechał do Nikolsburga. Tu znowu Bismark oświadczył że dopiero po zawarciu pokoju z Austrią, zacznie się układać z tymi krajami Rzeszy co po jej stronie stały, i dał do zrozumienia bawarskiemu ministrowi, żeby sobie nie robił nadziei by potem co zaszło, Bawarya mogła zawrzeć korzystny pokój, i powiedział bez ogródki, że się bez zapłacenia wielkiej sumy za koszty wojenne i odstąpienia niektórych terytoriów nie obejdzie.

Nie bardzo więc ze swej misji zadowolonym mógł wrócić p. Pfordten do swoich kolegów z Hesji i Wirtembergii. W tej przykrej sytuacji opuszczone przez wszystkich, rządy południowych państw niemieckich w inną teraz rzuciły się stronę. Zwróciły oczy na Francję, prosząc Napoleona o interwencję. Z telegramów ambasadora francuskiego w Monachium, ogłoszonych później w żółtej księdze dowiadujemy się, że „gabinet monachijski w słusznym oburzeniu na wygórowane pruskie żądania, postanowił wezwać interwencję Cesarza,“ a w późniejszych doniesieniach p. Drouyn de Lhuys do Benedettego także w żółtej księdze ogłoszonych, czytamy co następuje: „Południowe gabinety niemieckie z wyjątkiem Badeńskiego udały się do rządu cesarskiego o poparcie przy rozpoczętych pokojowych układach. Znasz pan usposobienia nasze względem tych krajów. Berliński gabinet zapewniał nas niejednokrotnie, że życzy sobie aby te państwa miały osobną egzystencję całkiem na seryo (*vraiment sérieuse*). Nie potrzebujesz pan bezpośrednio mieszać się w układy, ale możesz pan dać uczuć p. Bismarkowi jakie usposobienia ma cesarz dla tych dworów, które apelują do jego przyjacielskiej łaskawości.“

Nim opowiemy jakie te kroki i usiłowania niemieckich dworów odniosły skutek, wypada nam choć na chwilę zwrócić uwagę naszą na to co zaszło we Francji od Königgrätzu.

Wielka wygrana Pruska musiała w pierwszej chwili skonstruować Napoleona tem bardziej, że jak wiemy nie był na nią wcale przygotowany. Wszystkie złowrogie horoskopy grozą-

cych Europie, a szczególnie Francyi niebezpieczeństw, z powodu zostawienia wolnej ręki Prusom, wszystkie te mary któremi tak dobitnie jeszcze przed wojną straszył p. Thiers ze swoją opozycją w ciele prawodawczym francuską opinią publiczną, przybrały teraz ciało zupełnego prawdopodobieństwa stały się już prawie rzeczywistością, a było to zawsze bardzo niebezpiecznem dla dynastyi Napoleona gdyby się przekonać miano we Francyi, że opozycja miała racją i lepiej przewidywała a niżeli Tuileryjski gabinet.

Tymrazem jednak została jeszcze ocalona we Francyi aureola napoleońskiego cesarstwa i nawet świeciło ono jeszcze jeden z największych, najświetniejszych dni swojego istnienia. Zaraz we dwa dni po Sadowie, monitor francuzki mógł podać następującą wiadomość: „Ważny fakt dokonał się w tej chwili, cesarz Austriacki zachowawszy we Włoszech honor swego oręża, wszedł w myśl pisma Cesarza Napoleona z 11 Czerwca do p. Drouyn de Lhuys i odstąpił Wenecją na rzecz Francyi, przyjmując pośrednictwo Cesarza Napoleona między walczącemi stronami by sprowadzić pokój. Cesarz Napoleon nieomieszkiał pójść natychmiast za tem wezwaniem, i udał się już do królów Pruskiego i Włoskiego, by sprowadzić zawieszenie broni.“

Czyż mogło się wydarzyć coś bardziej olśniewającego oczy Francuzów i zaćmiewającego wzrok na groźne konsekwencye Sadowy jak właśnie ta darowizna Wenecyi. Cała paryzka prasa święciła ten dzień, jako dzień największego tryumfu swej ojczyzny: prowincya, włoska darowana przez obcego monarchę po Custoszy i Lissie komuś co nawet nie dobył oręża! a przytem to uznanie w cesarzu francuskim najwyższego rozjemcę, pośrednika i sędziego pokoju! na takie wieści można było zapomnieć o tem co złowrogiego miało zwycięstwo Pruskie i zatopić się tylko w kontemplacyi wielkości i świetności napoleońskiej Francyi, zwłaszcza gdy do tego jeszcze i inne mniejsze dwory niemieckie jak wiemy, jedno po drugich uciekały się o pomoc do Paryża. To też przystrojono Paryż chorągwiami w dniu 5 Lipca i wieczór miasto całe iluminowano, i któż mógł wtedy przewidzieć, że za lat kilka będzie Paryż także iluminowany — ale inaczej — pożarem własnych gmachów.

Opinija publiczna mogła jeszcze długo żyć temi iluzjami które właśnie taki pokarm znalazły i narkotyk upajający, ale w gabinecie Tuileryjskim, miano sposobność wnet się przekonać,

jak złudnym był ten tryumf z 5 Lipca; tak jak znowu w gabinecie wiedeńskim miano wkrótce jeszcze jeden dowód więcej, (bo niedość było tylu poprzednich doświadczeń), jak nie na miejscu było liczyć na słowo tego, który wcale się nie krył ze swą nienawiścią do wiedeńskich traktatów, i uważał się przedewszystkiem za mściciela swego wielkiego stryja, za Augusta tego W. Cezara i odnowiciela choćby w miniaturze jego wielkich idei.

Prusy w zasadzie przystały od razu na pośrednictwo Francji, wysłano jednak natychmiast depeszę do p. Goltza do Paryża i prócz tego księcia Reuss z tajemnym listem króla Wilhelma do Cesarza, gdzie z całą precyzą z formułowane były warunki na podstawie których Prusy gotowe były przystać na zawieszenie broni i zacząć pokojowe układy. Prusy w depeszy do Goltza żądały przedewszystkiem: *aby Austria ze związku niemieckiego zupełnie i całkowicie została wykluczona*, ks. Reus zporęki króla i głównej pruskiej kwatery, oświadczał prócz tego, że wojskowe i dyplomatyczne kierownictwo pozaaustriackich Niemiec na lądzie i na morzu musi przypaść Prusom.

Pierwotna zaś myśl francuska, wedle której chciano ustalić pokój w Europie, była prawdopodobnie ta, którą ogłosił dziennik „La Presse“ 10 Lipca:

„Rzesza niemiecka ma być rozwiązana; natomiast utworzy się nowy związek w którym ani Prusy ani Austria nie będą brać udziału swemi terytoriami, Austria traci swoje prawa do Holsztynu na rzecz Prus jako wynagrodzenie kosztów wojennych. Prócz tego Prusy wcielają Meklenburg, Hesję i Brunświk, przez co wzrastają w mocarstwo o 25 milionach ludności. Ren stanowić będzie zachodnią Pruską granicę, prowincye między rzeką Maas i Renem, posłużą za kompenzacye dla depozesjonowanych książąt Meklemburga, Hesyi Brunświku. Mieszkańcy Landau i doliny Saaru będą wybierać między Francją a nadreńskimi książętami.“— Było to à peu près wznowieniem Reńskiego związku Napoleona Wielkiego, bo taka nowa Rzesza niemiecka odcięta zarówno od zwiększonych Prus jak od Austrii musiałaby wedle tej idei szukać koniecznie oparcia o Francją. Ale oczywiście po Königgrätzu Prusy ani słyszeć nie chciały o wykluczeniu się z Rzeszy, chodziło więc teraz już tylko o to, czyli Austria ma zachować jeszcze jakiegokolwiek w Niemczech stanowisko. Na wielkiej radzie ministeryalnej (11 Lipca) pod przewodnictwem Cesarza, pokazało

się, że w gabinecie francuskim pod tym względem były podzielone zdania. Pan Drouyn de Lhuys przemawiał stanowczo za utrzymaniem niemieckiego znaczenia Austrii i za popieraniem jej choćby z bronią w rękę; p. Rouher zaś był za jej wykluczeniem z Niemiec. Śmiało i stanowczo wystąpienie zwyciężkich Prus z tem właśnie żądaniem, przechyliło decyzją Cesarza na stronę Rouhera. Postanowiono więc 11 Lipca w Paryżu na owej konferencji, że Francya nie tylko że nie wystąpi czynnie do walki w interesie Austrii, i ograniczy się tylko na swoje „bons offices“ względem obu stron walczących, lecz pozwoli nawet i na wykluczenie Austrii z Niemiec, jeżeli tylko Prusy dalej jak po Men nie pójdą i południowym krajom niemieckim zawarują niezawisłość.*)

Prusy przystały zaraz na zawieszenie broni, jeżeli tylko i Austrya gotowa będzie powyższe warunki przyjąć. Austrya, opuszczona przez Napoleona, zgodziła się na wszystko i jak już wiemy zostawiła nawet swoich sprzymierzeńców w południowych Niemczech ich własnemu przemysłowi, warując sobie tylko nie-tykalność granic z wyjątkiem Wenecyi, którą już była odstąpiła Francyi.

I tak 22 Lipca przyszło wreszcie do skutku pięciodniowe zawieszenie broni między Prusami i Austryą, a 27 zostały podpisane w Nikolsburgu i preliminarya pokoju, w których najważniejszy był art. II, brzmiący prawie dosłownie jak owa przytoczona tu francuzka formuła.

*) Przytaczam tu w dosłownym tekście tę deklaracyą francuską, bo jest ona podstawą jako też głównym zarysem przyszłych preliminaryów i pragskiego pokoju: *L'Autriche reconnaitra la dissolution de l'ancienne Confédération germanique, et ne s'opposera pas à une nouvelle organisation de l'Allemagne dont elle ne fera pas partie. La Prusse constituera une Union de l'Allemagne du Nord, comprenant tous les États situés au Nord de la ligne du Mein. Elle sera investie du commandement des forces militaires de ces États. Les États Allemands situés au Sud du Mein seront libres de former entre eux une Union de l'Allemagne du Sud, qui jouira d'une existence internationale indépendante. Les liens nationaux à conserver entre l'Union du Nord et celle du Sud seront librement réglés par une entente commune.*“

Właśnie przed miesiącem pisał jeszcze Napoleon w liście do p. Drouyn de Lhuys (z 11 Czerwca), który przytoczyłem powyżej, że interes Francji *wymaga koniecznie, żeby Austria zachowała swoje wielkie w Niemczech stanowisko*“, a teraz poświęcił Austrią i ów interes Francji, za co? . . . za linię Menu! I Napoleon i Bismark wiedzieli dobrze obydwaj, co znaczy owe niepodległe i międzynarodowe stanowisko obiecane południowym krajom niemieckim, owa mająca im przysłużyć wolność uformowania osobnego związku (*une Union de l'Allemagne du Sud, qui jouira d'une existence internationale indépendante*). Każde z osobna słowo téj klauzuli wzięte w dosłowném znaczeniu, było w danych warunkach politycznem niepodobieństwem. — Tak ze strony Bismarka jak i Napoleona była ta klauzula wielką hipokryzyą polityczną i kryła dla każdego z nich inną myśl uboczną zasadzającą się na różnem przez nich pojmowaniu owej sławnej linii Menu, jako linii pomocniczej, koniecznej do rozwiązania wielkiego problemu niemieckiej kwestyi. — Napoleon liczył na to, że południowe kraje niemieckie, odcięte raz na zawsze od Austrii a odgraniczone Menem i różnicą charakteru ludowego od północnego Związku, będą musiały z czasem zupełnie oprzeć się na Francji i tak utworzy się przynajmniej zmniejszona edycja dawnego Związku reńskiego pod francuzkim protektorem — Bismark zaś inne przywiązywał znaczenie i innych spodziewał się rzeczy po owej linii Menu. Powiedział on był nawet raz, poufnie do jednego z dyplomatów francuzkich podczas swej ostatniej bytności w Paryżu, że linia Menu, położona jako granica pruskiego w Niemczech panowania znaczy tyle, co krata żelazna wstawiona w poprzek bystrego strumienia: Krata stać będzie a woda dalej popłynie. Na nieszczęście zapomniano o tem we Francji, lub powtarzano sobie tylko jako *bon mot* Bismarka to jego wyznanie, nie przywiązując do niego głębszego znaczenia. Zostawił on też chętnie Napoleona w jego iluzjach co do linii Menu i sprzedał mu ją jak można było najdrożej, jakby jaką największą koncesyą, gdy tymczasem ona właściwie żadną dla Prus koncesyą nie była, owszem awantażem. Takie ograniczenie się tymczasowe na północne Niemcy obok znacznego zwiększenia swej własnej pruskiej *domowej potęgi* bezpośrednimi aneksjami, było dla Prus dużo bezpieczniejszą drogą, niżeli żeby miały być odrazu na to się wysilić, by zaraz na całe pozaau-

stryackie Niemcy zarzucić się swojej bezwzględnej państwowości. I teraz nawet po francuzkiej wojnie grozi jeszcze Prusom niebezpieczeństwo zatracenia swej odrębności w niemieckim odmiecie, a cóż dopiero w ówczesnych warunkach. Zresztą Prusy już i w roku 1866 zabezpieczyły sobie traktatami panowanie na całej przestrzeni od Alp aż do morza, nie spuszczając się li tylko jedynie na siłę konieczności politycznej, która prędzej czy później oddać im je musiała.

Już w preliminaryach nikolsburskich był w artyk. II ten ważny dodatek: „że uregulowanie narodowych stosunków południowych krajów niemieckich ze Związkiem północnym zostawia się przyszłym wzajemnym porozumieniom się obydwu stron dotyczących“. Otóż jak tylko preliminaria pokoju z Austryą zostały podpisane, zaczęły się między temi dwoma stronami negocyacje pokojowe, bo dotychczas nie było nawet między nimi zawieszenia broni.

Wiemy już, że południowe gabinety niemieckie pod presją wygórowanych pruskich wymagań zażądały od Francji pomocy; otóż ta klauzula o ich *niepodległości międzynarodowej* wyjednana przez Napoleona, a na którą pozwolić wiemy z jakich powodów łatwo przyszło Bismarkowi, była niejako nagrodą za to ich zaufanie do Francji, dowodem jej wspaniałomyślnego zajęcia się losem słabszych pogiębionych. Wkrótce także za pośrednictwem Francji przyszło do skutku i dla tych mniejszych krajów zawieszenie broni, w łagodniejszych warunkach niż te, które Prusy pierwój stawiały. Iluza wielkiego wpływu i jakby protektoratu francuzkiego nad owemi krajami była zupełną; mógł się nią cieszyć Napoleon, ale niestety cieszył się nie długo. Bismark wnet znalazł sposób na to, by południowe państwa niemieckie a mianowicie Hesya i Bawaryą radykalnie wykurować z francuzkich sympatyj, a Napoleonowi raz na zawsze odpowiedzieć na pytanie: czy ma co w Niemczech do zyskania. Obosieczny ten rezultat osiągnął Bismark bardzo prostą a zręczną i dowcipną intrygą.

Choć ani w przytoczonych powyżej punktach przedugodnych ułożonych w Paryżu (11 Lipca), ani w późniejszych preliminaryach nikolsburskich nie było żadnej wzmianki o terytoryalnych wynagrodzeniach dla Francji nad brzegami Renu, gabinet tuilleryjski nie przestawał ciągłych w tym celu robić usiłowań i nie tracił nadziei, że w ostatniej chwili, jeśli Francya wystąpi ze swemi żądaniami ostro i stanowczo, Prusy będą musiały okupić swoje

wycieztwo jakąś niemiecką Sabaudyą i Nizzą. Tajemne negocjacje w tej sprawie nie ustawały podczas całej tej roboty pokojowej między Prusami i Austryą, o jakiej właśnie mówiłem powyżej. „Jeszcze podczas mego pobytu w Nikolsburgu — pisze p. Benedetti w swojej książce: *„Ma mission en Prusse“*, w chwili gdy pełnomocnicy dwóch stron walczących dobijali do końca swoich układów, dostałem informacją, że rząd cesarski zadecydował, by żądać od Prus, tytułem kompensacyi, rozszerzenia naszych wschodnich granic i poparcia nas na dworze belgijskim, aby za stosownem wynagrodzeniem wymódził na nim odstąpienie nam Luxemburga. Instrukcyje przysłane mi nakazywały mi uprzedzić o tem p. Bismarka i zarazem powiedzieć o tem swoje zdanie.“

Benedetti miewał w tym przedmiocie z Bismarkiem częste i długie rozmowy, a jak zawsze niedokładnie informowany z Paryża, nie wiedział w jakim stadyum były każdego dnia równoczesne negocjacje między gabinetem francuzkim a główną pruską kwartetą. Podczas gdy nad Sekwaną warunki zawieszenia broni na owej wielkiej konferencyi ministeryalnej 11 Lipca były zadecydowane, p. Benedetti w kilka dni później (15 Lipca) donosił dopiero do Paryża: jak się z nim kanclerz rozgadał o konieczności bliższego porozumienia się takich dwóch państw jak Prusy i Francya. Czytamy w tym liście, jak pomimo zastrzeżeń się ambasadora, że nie ma ze strony swego rządu żadnych względem tego instrukcyi ani upoważnienia, Bismark zaproponował mu, żeby ułożył z nim, tak mniej więcej w przybliżeniu, podstawy zawieszenia broni (które już dawno w Paryżu były gotowe). Pan Benedetti wdał się w tę dyskusyą albo przynajmniej słuchał co mówił p. Bismark, który — jak opowiada dalej sam ambasador — „nie będąc do tego z mojej strony niczem pobudzonym (sans aucun encouragement de ma part), szedł co raz dalej za porządkiem swoich myśli i próbował mi dowieść, że klęska Austrii pozwoli teraz Francyi i Prusom uregulować swój stan terytoryalny i rozwiązywać wspólnie większą część trudnych kwestyj zamających pokój Europy.“

W jednej z późniejszych takich pogadarek mówił wprowadzie p. Bismark, że „wielka wygrana pruska nie pozwala teraz na takie ustępstwa nad Renem, jakie było można Francyi zrobić przed wojną, bo król-zwycięzca nie łatwoby się dał teraz

skłonić do odstąpienia czegoś z pruskich prowincyi, ale że można będzie coś znaleźć dla Francyi w bawarskim palatynacie i w Belgii.“

Na podstawie tych rozmów, o których p. Benedetti skrzętnie donosił do Paryża, robiono i tam różne projekta konwencji między Francją i Prusami, i wreszcie gdy na początku Sierpnia Prusy zażądały od Francyi zatwierdzenia swoich projektowanych anexyi: Hanoweru, Hesyi Elektoralnej, Księstwa Nassau i Frankfurtu, przysparzających Prusom przeszło 4 miliony mieszkańców, i p. Rouher i p. Drouyn de Lhuys uznali za stosowne przesłać w zamian do Berlina projekt kompensacyi dla Francyi nad Renem, żądając granic Renu z fortecą Moguncyą.

Pan Benedetti nigdy się nie spodziewał, że w Paryżu w tak dosadny sposób wytłomaczą sobie gotowość Bismarka do zawarcia z Francją ścisłego tajnego sojuszu, o jakiej był donosił na podstawie swoich z nim pogadanek, i że tak wysokie postawią żądania. To też do tego stopnia był skonsternowany nadesłanym projektem p. Drouyn de Lhuys, że nie śmiał osobiście kancle rzowi go przedłożyć, lecz posłał mu go w liście następującej treści: „Jako odpowiedź na doniesienia moje z Nikolsburga do Paryża a propos naszej rozmowy z dnia 26 Lipca, otrzymałem z Vichy (gdzie właśnie bawił wtedy cesarz Napoleon) projekt tajnej konwencji, który tu załączam w kopii. Pospieszam z udzieleniem go Panu, abyś się Pan mógł dobrze nad nim zastanowić. Jestem zresztą do Pańskiej dyspozycyi, aby o tem konferować kiedy się Panu będzie podobało.“

„Głęboko przekonany, że nasze propozycye znajdą stanowczy opór — opowiada dalej p. Benedetti po przytoczeniu swego listu — chciałem przynajmniej, o ile to było w możności, nie wystawiać się bezpośrednio na efekt pierwszych wrażeń, jakie wywołać musiały, a które mogły być dać powód do niepotrzebnych zawikłań i przykrych explikacyi. Miałem z kancle rzem dwie rozmowy: 5 i 7 Sierpnia, a moje raporta dowodzą, że choć byłem stanowczy i nalegający, choć p. Bismark okazał się bardzo nieusposobiony do odstąpienia nam Moguncyi, nasza konwersacya nie wyszła ani na chwilę z form przyzwoitości i kurtuazyi, i mówiliśmy nawet już wtedy o tem, czyby na innych podstawach nie dało się interesom obu państw wzajemnie uczynić zadość.“

Kancelarz inaczej trochę opowiedział tę samą scenę na jednym z posiedzeń izby berlińskiej (2 Maja 1871) i zdaje się, że dopiero obie te relacje zkombinowane razem, dają nam wierne jej odbicie: „Po 6 Sierpnia 1866, opowiadał p. Bismark, wszedł ambasador francuzki do mego gabinetu, trzymając w ręku ultimatum, stawiające nam tę alternatywę, że albo mamy odstąpić Moguncyą, albo natychmiast wojna będzie nam wypowiedziana.“ *A więc będziemy mieli wojnę*, było moje pierwsze słowo. Zatelegrafowano tę odpowiedź do Paryża, z kąd po niejakiich naradach doniesiono, że owe zakomunikowane mi przez ambasadora francuskie propozycye *wymogli na chorym cesarzu jego ministrowie*.“

Jako komentarz do tej śmiałej odpowiedzi Bismarka, odrzucającej francuzkie propozycye, trzeba i to wiedzieć, że zaraz 7 Sierpnia pojechał p. Manteuffel w nadzwyczajnej misji do Petersburga, że więc i to nie stało się bez przyzwolenia Rosyi.

Pan Benedetti w parę dni po tem zajściu pojechał do Paryża i jak sam cesarz później wyznał w swoim liście do p. La Valette (z dnia 12 Sierpnia), wynikiem jego rozmowy z ambasadorem {było, że Francya za małe ustępstwa ze strony Prus miałyby całe Niemcy przeciw sobie (que nous aurions toute l'Allemagne contre nous pour un très-petit bénéfice). W kilka dni Benedetti już był z powrotem w Berlinie i oświadczył Bismarkowi, że Francya renonsuje ze swych planów co do Moguncyi i nadreńskich krajów, żeby więc całą rzecz uważać za niebyłą.

Lecz nie na tem był koniec dzieła; Bismarkowi chodziło jeszcze o coś więcej. On też i teraz wcale nie przestał rozwijać dalej swoich planów przed Benedettim co do przyszłej konwencji zaczepno-odpornej i ścisłego aliansu między Prusami i Francją i był może jeszcze płodniejszym niż pierwej w pomysły nowego przymierza. Dawał on do zrozumienia Benedettemu, że o ile stanowczym pokazał się w odrzuceniu propozycji francuzkich z 5 czy 6 Sierpnia, o tyle gotówby był i na dużo większe jeszcze ustępstwa dla Francyi zezwolić, gdyby można ominąć nikolsburgskie traktaty. Gdyby Francya nie obstawała przy tej niezdolnej linii Menu, gdyby pozwoliła, tak aż po Alpy rozszerzyć pruski związek niemiecki, wtedyby się może znalazło dla niej w Niemczech i coś więcej jak lewy brzeg Renu! i na ten nowy temat zaczął p. Bismark improwizować coraz we wyraźniejszej formie punkta wieczystego prusko-francuzkiego przymierza, a pan

Benedetti chwycił skwapliwie te genialne kombinacye, a nie ufając zbyt swojey pamięci, jako roztropny dyplomata, do tego jeszcze zachęcony przez Bismarka, zaczął je sobie notować i tak wnet znalazły się na papierze spisane ręką ambasadora następujące trzy główne punkta, jako podstawa możliwej konwencji między Francją i Prusami:

I.

Cesarstwo Francuzkie bierze w posiadanie te ziemie, które były objęte w granicach Francyi w 1814, a dziś do Prus należą.

II.

Prusy obowiązują się uzyskać od króla Bawarskiego i W. Ks. Heskiego ustąpienie z terytoryów, jakie mają z lewego brzegu Renu, by je oddać Francyi w posiadanie.

III.

Znoszą się wszystkie prawa, jakie ma Związek niemiecki do niektórych ziem belgijskich, włącznie z prawem utrzymywania garnizonu we fortecy Luxemburgu.

„Ten papier z tem, co na nim napisałem — opowiada sam p. Benedetti — p. Bismark zatrzymał u siebie, by, jak mówił, przedłożyć ten projekt królowi, ja zaś z mojej strony doniosłem cesarzowi o tem wszystkim.“

Świstek taki w rękach takiego mistrza jak Bismark, przybrał zaraz inne znaczenie, stał się kosztownym dokumentem, który mu już dwa razy wielkie oddał usługi.*) To co p. Benedetti w naiwności ducha niczego nie podejrzewając, jako dorywcza notatkę spisał, jak sam powiada, „*niejako za dyktandem Bismarka*“, to zostało zadenuncyowane ministrom południowych państw niemieckich jako francuzki projekt tajnej konwencji nadesłany z Paryża a z indygnacją odrzucony przez Prusy. Ów rzeczywisty niedawny projekt p. Drouyn de Lhuys (z 5 Sierpnia), cofnięty przez Francję, nie nadawał się p. Bismarkow

* Drugi raz posłużył się nim Bismark w r. 1870 przed samą wojną francuzką, ogłaszając go w *Timesie* jako francuski projekt tajemnego traktatu, choć sam właściwie był jego autorem. — Chciał on trzecim punktem tyczącym się Belgii opinją angielską przeciw Francyi oburzyć.

do jego kombinacji, gdyż mówił tylko o pruskich nadreńskich prowincjach, a więc nie kompromitował dość Francji wobec tych panów, o których właśnie chodziło. Dlatego też p. Bismark w powyższy sposób o inny papier się postarał, a dostarczył mu go sam nieprzezorny p. Benedetti spisując za natchnieniem kanclerza powyżej przytoczone punkta.

Tu już teraz panowie Pfordten i Dalwig mieli wyraźnie czarno na białem, że ich protektorka Francja dybie na heskie i bawarskie terytoria, a p. Bismark stanął w ich oczach jako jedyny wspaniałomyślny obrońca nietykalności ich granic i całej niemieckiej ojczyzny.

Odegrawszy więc taką komedię, którejby także można dać tytuł p. Sardou: „Ćwiartki papieru“, p. Bismark pozyskał sobie zupełnie zaufanie południowych gabinetów niemieckich i oburzył do tego stopnia ich opinią przeciw Francji, że Bawarya, Hessa, Baden i Württemberg dodały do swoich traktatów pokojowych z Prusami (z 22 Sierpnia) jeszcze trzy tajemne punkta wiążące je ze Związkiem północnym w tego rodzaju *zaczepno-odporne przymierze*, że na wypadek wojny oddały wszystkie swoje siły zbrojne pod pruskie dowództwo.*)

Podpisując takie przymierze z klauzulą „na wypadek wojny“, nie miano oczywiście innej wojny na myśli tylko wojnę z Francją.

*) Przytaczam tu jako przykład jeden z tych tajemnych traktatów, bo wszystkie cztery były równobrzmiące: Art. 1. Zwischen S. Maj. dem Könige v. Preussen und S. M. dem Könige v. Baiern wird hiemit ein Schutz und Trutzbündniss geschlossen. Es garantiren sich die hohen Contrahenten gegenseitig die Integrität des Gebietes ihrer bezüglichen Länder und verpflichten sich im Falle eines Krieges ihre volle Kriegsmacht zu diesem Zwecke einander zur Verfügung zu stellen. — Art. 2. Seine M. der König v. Baiern überträgt für diesen Fall den Oberbefehl über seine Truppen S. M. dem Könige von Preussen.“ I to się nazywa w języku pruskim *zaczepno-odpornem przymierzem*! ma ono rzeczywiście pruskie barwy, bo jeden artykuł mówi biało a drugi czarno: pierwszy mówi, że oba państwa oddają sobie nawzajem swoje siły do rozporządzenia, a drugi oddaje armią bawarską pod pruską komendę!

Po wyparciu Austrii z Niemiec najważniejszą zdobyczą dyplomatyczną Bismarka były owe tajemne traktaty z 22 Sierpnia. Zadecydowały one ostatecznie o losie niemieckich ludów od Bałtyku aż po Alpy, stawiając je na takiej pochyłości, że pierwsza wojna musiała je zepchnąć wszystkie pod chorągiew pruską a tem sam także i pod pruskie berło.

Powiedziałem powyżej, że p. Bismark odegrał dobrze rolę mitygującego się zwycięzcy w r. 66. Rzeczywiście była to tylko dobrze *odegrana rola*, bo umiarkowanie jego, z jakim czasem występował, było albo pozorne, albo tyczyło się drobnych rzeczy. Nie nazywał on najczęściej rzeczy po imieniu, nie wyrażał wszystkiego na papierze, do czego i tak samą siłą wypadków w najbliższej przyszłości dojść musiał, ale w końcu osiągnął wszystko, co osiągnąć w danych warunkach było możliwe, wziął wszystko co się wzięść dało. Dzieło pokojowe, które zmiotło kilka koron na to, aby zwycięzcy mogli, tylko chyba prawem miecza, zabrać należące do tych koron ziemie, traktaty, które z książąt niemieckich porobiły prostych statystów lub co najwięcej pruskich generałów, które obaliły całą dawną konstytucję niemiecką i oddało najwyższą władzę prawodawczą parlamentowi z powszechnego głosowania, które wreszcie Austrię z Niemiec wykluczyło, nie mogą w żaden sposób być nazwane dziełem umiarkowanego zwycięzcy. Były one porządnym, metodycznym a więc tem radykalniejszym wywrotem wszystkich niemieckich stosunków, zupełną zmianą najwyższej niemieckiej władzy państwowej, jej środka i jej okręgu, tak iż powiedzieć można, że już w 66 roku cały dzisiejszy gmach w gruncie rzeczy był gotów, a wojna francuzka nic mu nie dodała prócz kilku znamion zewnętrznej świetności, pięciu miliardów i cesarskiej korony.

Austria została wypartą z Niemiec, Prusy zajęły jej miejsce, oto cała kryzys niemiecka 66 roku, ale jakże wiele mieści się w tych krótkich słowach, gdy się wspomni i rozważy, czem Austria w przeszłości była dla Niemiec a czem Prusy.

Monarchia austriacka tyle oddała usług dawnemu niemieckiemu cesarstwu, że się z niem była zrosła zupełnie i zespoliła, stała się niejako warunkiem sine qua non jego istnienia.

Austria była przez długie wieki jedyną w Niemczech potęgą utrzymującą wielkie Ces. Niemieckie w dawnych tradycjach i formach jego istnienia. Można powiedzieć, że od czasów reformacji jedynie Austrii z dynastją Habsburgów dziedziczącą zwyczajem więcej niżli prawem koronę Karola Wielkiego, zawdzięczała wielka monarchia to, że stała jeszcze przez trzy wieki. Austria obroniła ją niejednokrotnie³ od zupełnej rozsyпки i opanowania jej przez obce żywioły. Zmogła ona w trzydziestoletniej wojnie ideę protestanckiego w Niemczech cesarstwa Gustawa Adolfa, który także nie czego innego pragnął, tylko zjednoczenia Niemiec z wykluczeniem austriackich wpływów i terytoriów. — A i z napoleońskich wojen po wielu klęskach, gdy państwo niemieckie całkiem już było rozbite na ćwierci, Austria w końcu przecie wyszła zwycięzko i we Wiedniu spisano traktaty 1815 r.

Na nieszczęście jednak w obydwóch tych chwilach wypoczynku po długich i ciężkich zapasach tak w r. 1648 jak w r. 1815, znużona Europa, szukająca modus vivendi na przyszłość, porobiła mianowicie w Niemczech takie koncesye minującym i destruktywnym prądom czasu, że czego była nie dokazała np. siła szwedzkiego oręża i jego sprzymierzeńców, to się później w dwuwiekowym przeszło procesie historycznym samo przez się dokonało. Obydwa te wielkie dzieła pokojowe z 17 i 19 stulecia pełne były połowiczności. Pokój westfalski pod względem religijnym, zaś traktaty wiedeńskie 15 roku pod politycznym względem, tyle zostawiły po sobie jeszcze otwartych kwestyi, że z czasem cała dawna monarchia niemiecka stała się tylko „niemiecką kwestją“ „deutsche Frage.“ Tak jeden jak i drugi z tych wielkich traktatów umożliwiły wzrost protestanckiej potęgi politycznej w Niemczech, a tem samem umożliwiły wielkość Prus i dzisiejszą w Niemczech rewolucję. Austria w r. 1815, kiedy najlepszą miała sposobność złe konsekwencye pokoju westfalskiego od Niemiec odwrócić i swój wielki błąd złożenia korony cesarskiej w r. 1803 naprawić: bo wojny Napoleońskie taką zrobiły table rase z dawnych traktatów, że można było dowolnie gmach stawiać na nowo, Austria tę sposobność opuściła bezpowrotnie. Będąc wówczas panią sytuacji, mając całą Europę w murach swej stolicy, zamiast skorzystać z tego, by po prostu podnieść na nowo koronę Karola Wielkiego i wskrzesić zgasłe na chwilę

habsburskie w Niemczech cesarstwo, wysilono swój geniusz na subtelne dzieło Meternicha, na ukonstytuowanie owej skomplikowanej maszyny na zasadzie sztucznej ekwilibrystyki mechanicznych sił politycznych, jaką był „Związek Rzeszy Niemieckiej.“ I jakże miała się ostać restauracya we Francyi, jakże można było i resztę Europy trwale zrestaurować, jeżeli głównego gmachu w r. 15 nie zrestaurowano? Ale nasz wiek nie jest zdolny do wykonywania wielkich a prostych pomysłów.

Idea wielkiego cesarstwa rzymsko-niemieckiego została opuszczona w końcu nawet przez tych, co tyle wieków tak silnie ją reprezentowali, i gdzież się miała podzić ta idea uniwersalnej monarchii, jeżeli od niej ci odstąpili, co dotąd koronę Karola W. w skarbcu swoim przechowują?

Jest to faktem stwierdzonym dwutysiącletnią blisko historią zaczawszy od Juliusza Cezara, że Europa nigdy długo żyć nie może bez cesarza z pewnym uniwersalnym zakrojem jego imperyum, i gdy czasem idea powszechnego cesarstwa zamierała, zawsze znalazł się ktoś, co ją na nowo podnosił. W naszej chrześcijańskiej erze, szczególnie od Karola W. odnowiciela rzymskiego imperyum mundi na chrześcijańskich podstawach, możemy z całą ścisłością sprawdzać to zjawisko, że czasy upadku i chwilowego zamierania teje jego idei kończyły się zawsze największą anarchią powszechną i rewolucyjnym despotyzmem, tak jak gdyby było powiedzianem z góry, że Europa albo musi żywić w swoim łonie monarchię wedle chrześcijańskiej idei Karola W. i wielkich papieży, uznaną przez wszystkich jako regulatora całego europejskiego życia politycznego, albo też musi cierpieć i znosić takiej monarchii karykaturę, to jest dyktaturę militarną pierwszego lepszego koronowanego lub niekoronowanego awanturnika. Na początku naszego wieku osądzono koronę Karola W. jako niepotrzebny stary grat, to też mieliśmy już od tego czasu dwa cesarstwa Napoleonów z chwilową hegemonią nad połową świata, a dziś mamy w Berlinie coś więcej niż karykaturę dawnego cesarstwa rzymsko-niemieckiego, bo jego zasadniczą antytezę. Aby to sprawdzić, dość porównać to, co się działo n. p. w Gnieźnie w r. 1001 a co się tam dzieje dzisiaj. Miejsca, które cesarz Otto III ze czcią odwiedzał i wraz z Bolesławem Chrobrym i papieżem Sylwestrem II. zaludniał duchowieństwem, dzisiaj przez nowe cesarstwo pognebane są i osieroczone z biskupów i paste-

rzy. A czyż byłoby to wszystko możliwem, czyż byłoby w Europie miejsce na protestanckie cesarstwo, gdyby katolickie, rzymskie nie było samo abdykowało, lub gdyby się było przynajmniej na nowo podniosło kiedy po temu była jeszcze pora, kiedy Prusy zredukowane były ad minimum a całe Niemcy w rozsypce?

Przez to dopiero, że Austria sprzeniewierzyła się swojej wielkiej w Niemczech misyi, którą przez tyle wieków zaszczytnie pełniła, otworzyła się droga dla innej kłamliwej historyczną tradycją niczem nieusprawiedliwionej misyi niemieckiej, dla tego co się: Der deutsche Beruf Preussens zwało.

Marchia Brandenburgska i Krzyżackie Prusy miały swą misyę niemiecką, ale misyę na zewnątrz, misyę zaspakajania niższego rzędu popędów wielkiej Monarchii, tak zwanych „popędów na wschód“ (Drang nach Osten). Spełniały one niejako drapieżną funkcję pazurów cesarskiego orła, a pełniły ją wiernie i wytrwale; dowodzą tego aż nadto sławiańskie później polskie dzieje. Gdy po trzydziestoletniej wojnie oba te kompleksy wraz z innemi brandenburgskimi posiadłościami rozrzuconemi po Niemczech, zostały połączone w jedną całość i stanęły jako Pruskie Królestwo, zajęło ono od razu, jako państwo w państwie, w obrębie wielkiej monarchii niemieckiej, całkiem wyjątkowe stanowisko. Ziemie pruskie zaludnione rycerstwem, które przez wieki rekrutowało się nie tylko z całych Niemiec, ale i z całego świata i miało zawsze oczy więcej zwrócone na wschód i północ aniżeli na zachód, ziemie te zamieszkałe przez lud, który w 13—14 wieku był jeszcze przez pół pogański, a już z początkiem 16go wieku wraz z tem rycerstwem odpadł od kościoła, ziemie te wreszcie, otwierające bramy swych miast dla wszystkich protestanckich zbiegów z całego świata, mianowicie dla francuzkich Hugonotów, nie dziwnego, że wytworzyły organizm państwowy całkiem odrębny od reszty Niemiec, który był niejako *obcym żywiołem* w rzymsko-niemieckim cesarstwie. Było to państwo czemś pośredniem między Szwecyą i Rosyą, charakterem swoim bardziej do tych dwóch krajów niżli do reszty Niemiec zbliżonem, choć w skład Niemiec wchodziło i niemieckiego używało języka. Ztąd poszło, że każdy prawdziwy Prusak czuł się bardziej Prusakiem niż Niemcem zaczawszy od Wielkiego Fryca, który także wyżej cenił swoją pruskość niżli niemiecczyznę.

Dopiero w XIX wieku dowiedzieliśmy się, że ten na pół obcy w Niemczech żywioł pruski jest właśnie kwintesencją niemieczyny. Niemiecka umiejętność historyczna i prawnopolityczną, wmówiła we wszystkich łatwowiernych, a przedewszystkiem i w samych Prusaków, że to Prusy najlepiej przechowały prawdziwe cechy niemieckiego charakteru i najwyżej rozwinęły niemieckie czysto narodowe cnoty i własności, podczas gdy inne niemieckie plemiona wynarodowiły się pod zgubnym austriackim wpływem. Oswobodzić Niemcy raz na zawsze od tych demoralizujących *obcych* austriackich żywiołów, by je przetworzyć na obraz i podobieństwo swoje, musiało stać się pierwszym zadaniem, hasłem ich polityki, wedle katechizmu tej nowej doktryny. Dawniejsza misja Prus na zewnątrz, na wschód (Drang nach Osten) obróciła się teraz przeciw Niemcom samym, zmieniając się w skierowany na południe i na zachód ruch agitatorski, który mógł się być zniweczyć, gdyby zawczasu znalazł przeciw sobie silnie wznowioną ideę dawnego cesarstwa, ale nad prezydenturą Rzeszy z Bundestagiem musiał tryumfować.

Wojna w r. 66, choć była walką Niemców z Niemcami, nie miała przecie charakteru zwykłej wojny domowej, ale była raczej do najazdu przez obcych zdobywców podobną. Była ona dziwną i w swoim rodzaju jedyną kombinacją wojny zdobywczej z wojną domową i równoczesnym przewrotem politycznym i społecznym, co wszystko razem można śmiało nazwać *wybuchem wielkiej rewolucji niemieckiej*, która już dzisiaj niemniej powszechne i europejskie znaczenie przybrała, jak poprzedniczka jej francuska rewolucja. Przyszłość dopiero pokaże, czy rok 66 nie gorzej w dziejach ludzkości się zapisze, jak rok 89.

Aby się to twierdzenie moje nie wydało zbyt śmiałem albo niewłaściwem, bo u nas nie zwykliśmy pojmywać zjednoczenia Niemiec równoznacznie z rewolucją, będę mówił dalej słowami jednego z najznakomitszych publicystów niemieckich. Konstanty Franz w broszurze swojej: „Die Schattenseite des Norddeutschen Bundes“ daje osobny rozdział pod napisem: „Niemiecka rewolucja“ (Die deutsche Revolution) i w te zaczyna go słowa: „Czyż trzeba jeszcze na to dowodów, co już cały świat wie i co już tysiąc razy było powiedzianem nawet i z mównicy, że zmiany w Niemczech od r. 66 mają zupełnie rewolucyjny charakter. Bo cóż jest istotą rewolucji jeżeli nie radykalne zerwanie z hi-

historyczną przeszłością, a w jakim stopniu północny związek ma to na sumieniu, łatwo dostrzedz z tego, co dotąd opowiedziałem. Także nie potrzeba na to długich wywodów, żeby pokazać następstwa przejść takich. Mamy na to wielki przykład na Francji od r. 1789, gdzie dotąd ciągle nowe konstytucje się rodzą, a żadna długo ostać się nie może. Jest to już rzeczą uboczną, ile w takim zerwaniu z historyczną przeszłością było zewnętrznych gwałtów i ekscesów rozpasanego motłochu, grozy terroryzmu, wszystko to jest tylko zewnętrzna scenerya rewolucji, która wedle okoliczności może być taka lub inna, a rzecz pomimo tego zawsze zostaje ta sama. Także i to nie jest wcale koniecznem znamieniem rewolucji, żeby taki przewrót musiał nastąpić od razu, żeby tak jak w r. 1789 naraz zniósł wszystkie tradycyjne instytucje. Może się to odbywać powoli, latami a i tak rezultat zawsze ten sam będzie. Zresztą i tak od gwałtownego przewrotu zaczął Związek Północny swoją egzystencję, a od tego czasu nic się nie stało, coby tę przepaść wyrównać mogło, owszem jest ona coraz większą. Nowy Związek spoczywa na zasadzie beztradycyjności. Jeżeli przy tem nie ogłoszono jako podstawę abstrakcyjnych praw człowieka, od czego zaczęła była rewolucja francuzka, lecz we wszystkich urządzeniach powodowano się jedynie tylko strategicznymi i materyalnymi względami — dowodem to, że nasze fundamenta są jeszcze słabsze i płytsze niż były francuzkie, a wcale przez to nie są mniej rewolucyjne. Bo jeżeli dzisiaj w imię materyalnych względów takie wielkie zmiany mają być uprawnione, cóż to dopiero będzie gdy wystąpią ludzie, co w imię praw człowieka o całkiem inne jeszcze upomną się rzeczy.“

Jak w każdej rewolucji politycznej czy społecznej, tak i w tej niemieckiej była na dnie inna jeszcze kwestya, która w r. 66 prawda mniej była widoczną, ale teraz już nad wszystkim innem górę wzięła — kwestya religijna. Jednakże już i wtedy nie brakło symptomów zdradzających co się tam na dnie gotuje. Pewna część protestanckich dzienników, organa pruskiej polityki i Nationalvereinu, denuncjowały wojnę prusko-austryacką, jako protestancką krucyatę przeciw katolicyzmowi, a o ile przed wojną jeszcze ostrożnie się z tem odzywały, o tyle po Königgrätz podniosły jednomyślnie głos tryumfujący, witając zwycięstwo pruskie jako tryumf protestantyzmu, jako dawno

upragniony wjazd Gustawa Adolfa w katolickie ziemie (Gustav-Adolf's Ritt in's katolische Land) jak się wyraził rektor Greifswaldzkiego uniwersytetu. Teraz już całkiem jasno i otwarcie wypowiedziały niektóre dzienniki i czasopisma, czego się spodziewać można po tem, co zaszło w Niemczech w r. 66. I tak n. p. w jednym z nich czytamy pod różnemi datami już w r. 1866. *) „O dwie wielkie kwestye chodziło w prusko-austriackiej wojnie: o to czy znowu ma zapanować w Niemczech ultramontanizm i swą potęgę dać uczuć aż na północy, w samym sercu protestanckich Niemiec albo czyli protestantyzm ma wreszcie nad nim wziąć górę i dzierżyć władzę nad niemieckim ludem, który, jak wszystkie germańskie szczepy, ku niemu się skłania. Zwycięstwo w ostatniej wojnie postawiło nareszcie protestantyzm na tem stanowisku, jakie mu się od czasu reformacji z Bożej łaski i prawnie należy. W bitwie pod Königgrätz znalazła dopiero swoje rozwiązanie trzydziestoletnia wojna; zwyciężyła wreszcie idea narodowości i protestantyzm, a ultramontanizm został na zawsze złamany. Bo nie tylko potęga Austrii z jej tendencyami została z Niemiec wyparta, ale tem samem i Papieństwo straciło w niej ostatnią świecącą podporę. — Z Austrią utracił i papież swoje w Niemczech panowanie, bo Bawarya nie będzie śmiała wziąć na siebie tego ciężaru, by rządy papieżkie ratować. Pod przewodnictwem Prus wyzwolony naród niemiecki będzie się mógł wreszcie ukonstytuować na protestanckich zasadach.“ A w *Görlitzer Zeitung* z dnia 2 Września tegoż samego roku czytamy n. p. podobny ustęp: Świeża wojna w Niemczech i we Włoszech nie była li tylko materyalną i polityczną, była ona w gruncie rzeczy walką duchowną i religijną. Chodziło w niej nie tylko o wyzwolenie tych narodów z partykularyzmu ale i o wyemancypowanie ich z pod opieki hierarchicznych rządów, krępujących nietolerancyą wszelki wolniejszy rozwój ducha. Teraz jeżeli katolicyzm chce nadal zachować swą egzystencję w Europie, musi pierwiej zreformować się w duchu protestanckich zasad, musi porobić koncesye dla ducha samowiedzy, samowoli „der Selbstverantwortlichkeit und Selbsterlösung“ (tych dwóch wyrazów nie można na polskie przetłumaczyć). „Jeżeli zaś katolicyzm tego

*) Süddeutsches ewang.-protest. Wochenblatt z 20 Sierpnia, 22 Października i t. d.

uczynić nie może, to jest już wielki czas, żeby się ze swą propagandą przeniósł do Orientu, a stolicę swoją do Jerozolimy!“

Mógłbym jeszcze przytoczyć wiele podobnych przykładów, gdyż mnóstwo takich głosów odzywało się po wojnie pruskiej na całej przestrzeni Niemiec, — mnóstwo kłamliwych rozpuszczano wieści między ludem dla podbudzenia między protestantami nienawiści do katolików, robiąc n. p. różne monstrualne przypuszczenia na ten temat: coby to za okrutna niewola była zaczęła się w Niemczech, gdyby Austria była zwyciężyła. Słowem nie szczędzono niczego, żeby tylko podburzyć namietności w kwestiach religijnych i to w organach pierwszorzędnych powag naukowych, a na to wszystko oczywiście nie było cenzury nigdzie, najmniej w Prusiech. Można więc było przewidzieć, na czym się to skończy, jeśli takie żywioły znajdą się raz w głównych swych przedstawicielach, w nowym powszechnym parlamencie związkowym; my jednak do ostatniej chwili, nawet jeszcze w r. 1871 nie chcieliśmy wierzyć, żeby rząd pruski dał się popchnąć na drogę ukrócenia wolności kościoła i prześladowania chrześcijaństwa, i całkiem niespodzianie zaskoczyły nas pierwsze kroki Bismarka na tej drodze i pierwsze ukazy parlamentu niemieckiego.

Był jednak ktoś, co już przed 40 laty przewidywał, przeczuł nasze czasy i sięgnął jeszcze dalej w przyszłość, do której idziemy. Boję się, że jak wypowiem jego imię, każdy się zaśmieje i powie: „gdzież może być, żeby ten był prorokiem.“ — Nie był on prorokiem, ale odczuł głęboko ducha swego czasu i nie lękał się wypowiedzieć jego logicznych następstw na przyszłość; mówię tu o Henryku Heine'm.

Hrabia de Tocqueville — jeden z najgłębszych polityków i badaczy historii — powiada, „że w czasach, w których namietność kieruje sprawami, mniej trzeba zważać na to, co mówią ludzie rozważni i doświadczeni, niż na to, co zajmuje wyobraźnię marzycieli“*), naturalnie jeśli się chce odleglejszą

*) Quand on est arrivé á des temps où la passion prend la conduite des affaires, c'est moins ce que croient les gens expérimentés qu'il faut considérer, que ce qui occupe l'imagination des rêveurs. (Tocqueville, *Mélanges*, *Fragments historiques* etc.

przyszłość przewidywać. Trafne to spostrzeżenie zatwierdza się tu właśnie najświetniejszym przykładem. Nikt lepiej nie nazna-
czył drogi jaką Niemcy pójdą, a dzisiaj już idą, jak właśnie mar-
zyciel Heine, a prawdopodobnie sięgnął on w przyszłość jeszcze
i po za nasze czasy. Napisał on był jeszcze w 1834 r. w „Ré-
vue des deux Mondes“ dla Francuzów artykuł „o Niemczech“
(de l' Allemagne), który kończy ustępem ze wszech miar godnym,
żeby go dzisiaj sobie przypomnieć. — Przeszedłszy w kilku ge-
nialnych rozdziałach całą historią ducha niemieckiego od Lutra
aż do Hegla, i wypowiedziawszy jasno, bez ogródki cały sekret
niemieckiej spekulacji filozoficznej zaczawszy od Kanta, zmierza
wreszcie do końca i mówi: „Gdy się widziało jakie zasmucające
głupstwa wyrastały na gruncie naszej filozofii i gdy się patrzyło
na to jak niemiecka młodzież, zatopiona w metafizycznych ab-
strakcyach, zapominała o świecie i była niezdolną do praktycznego
życia, to nie dziwię się, że robiło się markotno niektórym pa-
tryotom i słusznie budziła się w nich niechęć do filozofii. To
też niektórzy szli nawet tak daleko, że potępiali ją jako całkiem
bezpżyteczną łamigłówkę. My nie będziemy na to czasu tracić,
aby nawrócić tych malkontentów. Niemiecka filozofia jest ważną,
cały rodzaj ludzki z bliska obchodzącą sprawą, i dopiero wnuki
i prawnuki nasze rozstrzygną, czyśmy dobrze czy źle zrobili,
żeśmy pierwszej naszą filozofią wypracowali, nimeśmy się wzięli
do rewolucyi. Metodyczny naród jak my, musiał zacząć od
reformacyi, potem zająć się filozofią i dopiero po jej wykoń-
czeniu przejść do politycznej rewolucyi. Podoba mi się ten
porządek. — Głowy, które już filozofia zużyła, może potem re-
wolucya zacząć sobie ścinać wedle swoich celów, zaś filozofia
nigdyby się nie mogła temi głowami posłużyć, któreby przed-
tem rewolucya pościła. Nie bójcie się niemieccy republikanie!
Niemiecka rewolucya nie przez to łagodniej nie wypadnie, że ją
krytycyzm Kanta, transcendentalizm Fichtego i panteizm Hegla
poprzedził. Właśnie te doktryny wytworzyły w Niemczech re-
wolucyjne siły, które tylko czekają chwili, by wybuchnąć i świat
przestraszyć i zdziwić. Wtedy zjawia się Kantyanie, którzy
i w zewnętrznym świecie niczego nie będą szanować: toporem
i mieczem podkopią nasze europejskie życie, aby ostatnie korze-
nie tradycyi i przeszłości wyniszczyć. I zbrojni wyznawcy Fichtego
wystąpią na widownią świata, nie krępowani niczem w swoim

fanatyzmie woli. A najstraszniejsi ze wszystkich będą naturaliści (epigoni Hegla), jeżeli czynny wezmą udział w niemieckiej rewolucyi i zidentyfikują się z dziełem zniszczenia. Bo jeżeli ręka Kantyanina odznaczy się pewnem i silnem cięciem, — jeżeli wyznawca Fichtego z nieustraszoną odwagą urągać będzie każdemu niebezpieczeństwu, bo dla niego nie masz nic realnego w zewnętrznym świecie, to naturaliści będą straszni tem, że wejdą w ścisły sojusz z pierwotnemi potęgami natury, że odżywią demoniczną siłę starogermańskiego panteizmu i że w nich obudzi się ta żądza walki, która nie dla tego chce walczyć, aby niszczyć lub aby zwyciężać, tylko aby walczyć.“

Jak dalece Niemcy są już dzisiaj w tej epoce, przekonałem się czytając mowę, jaką młody generał Vogel von Falkenstein powiedział w izbie berlińskiej w r. 1867, przemawiając za trzyletnią służbą wojskową: „Gdyby to było możliwe, moi panowie, mówił generał, żebyście się postawili w myśli na stanowisku generała komenderującego, zarazbyście jednomyślnie wykrzyknęli ze mną: chcemy trzyletniej służby wojskowej! Panowie nie znacie tej rozkoszy, z jaką idzie się na wojnę i jak to rośnie odwaga i przedsiębiorczość gdy się wie, że się dobre wojsko ma pod sobą, na które liczyć można, że dopisze (wielkie brawo). O tak moi panowie! wtedy nawet i do awantur przychodzi ochota, bo z takim wojskiem można przecież coś i zarezykować. Przyznam się panom — chcę raz być szczerym i otwartym — że dla nas żołnierzy, a szczególnie dla oficerów, jest bardzo nie miło, jeżeli tak rok za rokiem schodzi bez wojny. Bo każdy mówi sobie: Państwo opłaca mnie i utrzymuje, a ja nic nie robię, — tyle że wojsko mustruję. Bo moi panowie wy tego nie wiecie, nie znacie tego uczucia radości, jaką ma każdy oficer gdy usłyszy: Wojna! formuj się! — jak to zaraz serce mocniej bić zaczyna, bo nadchodzi wreszcie chwila, kiedy można oddać swój dług państwu, a spłaca się go z procentem największym, jaki może dać ludzka istota, z procentem krwi własnej.“

W Niemczech, gdzie było dawniej hasłem: „sztuka dla sztuki,“ „umiejętność dla umiejętności,“ przyszedł nareszcie czas kultu „wojny dla wojny,“ bo z głębi serca mówił generał i całe zastępy oficerów niemieckich gotowe są powtórzyć echem to, co wypowiedział ten młody Raubvogel von Falkenstein.

Lecz posłuchajmy dalej jak kończy Heine rzecz swoją: „Chrześcijaństwo — a jest to jego najpiękniejszą zasługą — pohamowało trochę tę brutalną germańską żądzę walki, ale nie mogło jej całkiem uśmierzyć, i gdy raz złamie się u nich łagodzący talizman krzyża, wtedy na nowo obudzi się w nich cała dzikość dawnych szalonych Berserków, o których północni pieśniarze tyle umiać opowiadać.

„Talizman już spruchniały! i nadejdzie dzień, w którym upadnie, a wtedy dawni kamienni bogowie powstaną z pod rumowiska zapomnienia i przetrą sobie oczy z tysiącletniego kurzu i stary Thor z olbrzymim młotem wyskoczy i porozbija gotyckie katedry. . . .“

„A wy Francuzi gdy posłyszycie o tym wielkim *krachu*, strzeżcie się mili sąsiedzi i nie mieszajcie się w nasze domowe sprawy, moglibyście źle wyjść na tem. Strzeżcie się ogień podniecać, strzeżcie się i gasić, moglibyście łatwo sobie popiec palce. Nie śmiejecie się z mojej rady, z rady marzyciela, która was ostrzega i straszy uczniami Kanta, Fichtego i Hegla. Nie śmiejecie się z fantasty, który w świecie zjawisk takiej samej oczekuje rewolucyi, jaka w sferze ducha już się u nas odbyła. Myśl poprzedza czyn jak błyskawica grom. — Niemiecki grom jest wprawdzie także Niemcem, nie jest więc bardzo zwinny i daje na swój grzmot trochę długo czekać, ale przyjdzie on, przyjdzie w swoim czasie. I wtedy jakby na stopniach areny ugrupują się narody w koło Niemiec, aby się wielkim bojom przypatrywać“.

„Wy Francuzi! radzę wam! zachowajcież się wtedy spokojnie, a broń Boże nie przyklaskujcie, bo mybyśmy to gotowi źle zrozumieć i w nasz niegrzeczny sposób trochę ostro zawezwać was do porządku, — bo jeźliśmy was i przedtem nieraz zwyciężali w naszych serwilistycznych stosunkach, to będzie nam jeszcze dużo łatwiej to zrobić w chwili powszechnego zapału.“

„Wy sami wiecie najlepiej, co można zdziałać w takiej chwili, a wasza chwila już minęła. Mieście się więc na baczności, jabym chciał dla was jak najlepiej i dla tego mówię wam gorzką prawdę: *Wy powinniście się więcej bać Zjednoczonych Niemiec, aniżeli całego świętego aliansu ze wszystkimi Kroatami i Kozakami.*“

Rzecz szczególna jak się tu w tych ostatnich słowach gorący marzyciel zeszedł z uosobionym rozsądkiem i doświadcze-

niem, uprzedzając głos jego intuicyjnie przeszło o ówczesny wiek. Po trzydziestu latach, przed wybuchem wojny w 1866 p. Thiers tak samo ostrzegał Francuzów, temi samymi prawie słowami przemawiał w izbie Ciała prawodawczego. A był to właśnie zawsze ten sam główny błąd polityki Napoleońskiej, że się więcej obawiano mary świętego aliansu, niżli Zjednoczonych Niemiec. Heine już wtedy trafił w samo jądro kwestyi i zakończył wreszcie temi słowy: „Cokolwiek się stanie, czy jaki doktor Wirth, czyli pruski Kronprinz (dzisiejszy cesarz Wilhelm!) w Niemczech zapanuje, wy Francuzi zawsze: Baczność! i... Na ramię broń!”

Mojem zdaniem ten ustęp Heinego jest nie tylko najżywszem przeczuciem i zapowiedzią, ale i najlepszym komentarzem do naszej epoki Bismarka. Stawia on nas u jej źródła i pozwala zajrzeć w głąb zrewolucjonizowanego ducha niemieckiego i w motywa tych dzikich niemieckich instynktów, które dzisiaj nie tylko że w Niemczech zapanowały, ale i całemu światu chcą narzucać prawa.

Dzisiaj Niemcy, prawda, wielkie są i potężne, a przecież los ich wcale nie jest do pozazdroszczenia; zjednoczenie swoje okupili krwią bratobójczą i podziałem swojej wielkiej ojczyzny, wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Podziałem jej geograficznym najprzód na trzy, potem na dwa odrębne ciała polityczne i rozdziałem wewnętrznym jakby na dwa różne narody, które prędzej czy później muszą na siebie uderzyć. Bismark straszył raz Niemcy losem Polski, jeżeli się nie zjednoczą z Prusami na czele. Tymczasem właśnie jego polityka los Polski im zgotowała, bo zawiodła je w r. 66 w epokę *podziałów i prześladowania religii katolickiej*, a to są właśnie i nasze dwa główne nieszczęścia. Cóż więcej!... jakkolwiek nasz los jest srogi, przecież pomimo tego nawet z pewną dumą możemy spoglądać na dzisiejsze Niemcy, bo Polska przynajmniej nie w łonie własnego narodu znalazła swego cara i prześladowcę Kościoła... Niemcy znalazły go w Niemczech!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Ign. Skrochowski.

List z Poznania.

I.

Rok już blisko mija jak do was nie pisałem, a czas ten, miasto zmiany na lepsze, przyniósł nam same niepowodzenia, coraz nowe klęski i nieszczęścia. Szczęście innych narodów obraca się przeciwko naszemu powodzeniu i nie czarna snuje się bez końca w naszych losach. Bezgranicznie rozsrożyło się u nas niemieckie prześladowanie z bezwzględnością prawdziwie krzyżacką. Furya niemiecka rzuciła się na Kościół i wiarę katolicką, na język polski, prawa polskie i majątki polskie. Więzi księży za odprawianie kościelnych obrzędów, chłoscze polskie dzieci za mówienie pacierza, zabrania uczniom szkół publicznych czytania książek w języku ojczystym, ściga obywateli za cnoty patriotyczne. Despotyzm niemiecki ubrawszy się w płaszczek konstytucjonalizmu i liberalizmu, grozi zalewem wszystkiemu, co święte, co prawdziwe i co uczciwe. Równocześnie na wszystkich punktach począł z nami walkę ciężką, w której wielu z nas padnie — bo to walka dwóch przeciwnych pierwiastków: złego i dobrego, walka rewolucyi z tradycją — ale z tej walki wyjdzie zwycięstwo *prawdy*!

Nasz arcybiskup X. prymas Ledóchowski wskazał nam drogę pewną i prostą, i pouczył, jak wszystkie względy doczesne i wszystkie niepewności umysłu poświęcić wysoko pojętym i dobrze zrozumianym powinnościom. Cóż wam będę mówił o kolejach, jakie ten dostojnik Kościoła w ostatnich czasach przechodził; toć codzien-

ne pisma i telegramy wiadomości o nim roznoszą, co chwila po całym tak zwanym cywilizowanym świecie. Piąty miesiąc dobiega, odkąd pozbawiony wszelkiej własności nasz arcybiskup, porwany do więzienia, do Ostrowa przewieziony, w tamtejszej, kaźni z anielskim spokojem oczekuje dalszych swoich losów, a z rozdartem sercem patrzy na to, co się dzieje na ziemi jego pieczy powierznej.

Tymczasem prawa majowe i tak zwane prawa ku uzupełnieniu praw majowych, czyli ustawy ukute w Berlinie przeciw Kościołowi, będące zamachem na wolność sumień, już na dobre weszły w zastosowanie. Państwo miesza się w najbardziej wewnętrzne sprawy religijne i kierować nimi usiłuje według widoków swojej polityki. W dziesięć tygodni po uwięzieniu pozbawiono księdza prymasa wyrokiem sądu świeckiego, (to jest nowo ukutego trybunału berlińskiego do spraw kościelnych) dostojęństwa piastowanego przezeń z ramienia stolicy apostolskiej. Nie spieszo się jednak zawiadomić urzędownie kapituły o zapadłym wyroku, bo nie istniała sankcyja karna w razie odmowy lub przewłoki, a zresztą dawne prawo pozostawiało kapitułom długie terminy. Dopiero kiedy nowa ustawa o obsadzeniu opróżnionych posad biskupich stała się prawomocną, nadeszło do kapituł urzędowe zawiadomienie o zrzuceniu z posady arcybiskupa i wezwanie, aby w przeciągu dni dziesięciu wybrały wikaryuszów kapitułnych. Zarazem wzięto pod nadzór majątek kościelny, który powierzono w Poznaniu radcy ziemiańskiemu v. Maisenbach, a w Gnieźnie p. Nollau, a którym dotąd zawiadował arcybiskup i jego dwa konsystorze. Obie kapituły, jak się spodziewać należało, piśmiennie odpowiedziały naczelnemu prezesowi, iż ponieważ stolica arcybiskupia opróżnioną nie została, przeto nie przystąpią, bo przystąpić nie mogą do wyboru jeneralnego wikaryusza bez obrażenia sumień i złamania złożonej przysięgi. Stanowczy ten krok kapituł arcybiskupich spowodował duchowieństwo wszystkich dekanatów obu archidiececyj, żeby na ręce tychże kapituł złożyło deklaracyą, w której uroczyście oświadczone, iż łącznie z kapitułami nikogo innego za swego arcybiskupa w sumieniu swem uznawać nie może i nie będzie, jak księdza arcybiskupa hr. Ledóchowskiego.

Konsystorze od 9 b. m. faktycznie nie istnieją; komisarze cywilni wedle ustaw majowych nie mają żadnego prawa mieszać się w rzeczy kościelne. Z konieczności nasuwa się tu pytanie: Kto będzie kierował sprawami czysto duchownej natury? bo władza świecka nie zezwoli na kierownictwo takich osób, któreby jego potwierdzenia nie uzyskały. Na to odpowiada *Kuryer Poznański* w artykule: *Chwila obecna*:

W tej mierze otwiera się przed nami koło błędne i wyjścia zeń krom przemocy, nikt nie znajdzie. Bądź co bądź, choćby nawet przyjąć miało do stosunków katakumbowych, duchowieństwo i wierni nie pozostaną bez kierunku i opieki; Nasz arcypasterz w więzieniu, zastępca oficjała w Gnieźnie także już za kratami, i innych po kolei ten sam los spotka; zapewne zawsze jednak znajdzie się ktoś taki, co będzie przedstawiał wierność nauce Kościoła i jedność z Apostolską Stolicą. Każdy niechaj się tutaj poczuwa do obowiązku powzięcia wiadomości kogo słuchując i do oddawania najskrupulatniejszego posłuszeństwa.

Czeka nas obecnie wiele trudności, wiele boleści i pełno rzeczy niespodzianych; otóż mniemamy, iż ścisła powinność nakazuje nam, byśmy się trzymali w jedności z tymi, którzy nam zastępują, lub zastępować będą arcypasterza naszego i Stolicą Apostolską, byśmy nie na swoją rękę, nie wedle naszego własnego rozumowania, nie bez porady i nie przedsiębrali i byśmy dobrze rozpoznawszy całą rozciągłość naszych obowiązków, nie pochwalali żadnych wiarołomstw, nie nachylali się ku żadnym złudnym rachubom i trwając na jedynem uczciwym stanowisku, trzymali się chorągwi naszej, w cierpliwości znosili dopuszczenie Boże, walczyli odważnie walki Pańskie i nie opuszczali szeregów usque ad finem.

Ludność polska i katolicka w Księstwie nieodstępnie prześladowanych księży, pozostaje wierna Kościołowi i tylko z boleścią a trwożą patrzy, do jakich to prześladowanie ma doprowadzić ostatecznych wyników. Piękny objaw uczuć katolickich dali zebrani obecnie w Poznaniu wszyscy członkowie polscy sejmu prowincjonalnego Wielkiego Księstwa Poznańskiego udawszy się do opuszczonego pałacu księdza biskupa Janiszewskiego, przedstawiającego w ich oczach prawowitą władzę kościelną, by mu przez usta p. Franciszka Żółtowskiego wyrazić uszanowanie i głębokie współczucie. Ponieważ regulamin sejmu stoi na przeszkodzie, aby można w ciągu obrad wprowadzać kwestyę, która dziś przedewszystkiem myśli zajmuje i sumienia trwoży, chciano tym aktem poręczyć, że wszyscy wierni dotrzymają przy wierze ojców w jedności z Namiestnikiem Chrystusowym i w posłuszeństwie dla tych, którzy Kościołem z ramienia następcy Piotra św. rządzą i rządzić będą. Dodać wypada, że wicemarszałek sejmu p. *Stanisław Kurnatowski*, aczkolwiek nie katolik, dał w kilku gorących słowach wyraz szczerzej czci dla dostojnego kapłana i wiary narodu, oraz głębokiego współczucia dla prześladowanego Kościoła.

Śmiało wyrzec można, iż w ostatniej kadencji sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego deputowani nasi wywiązali się świetnie z powinności swoich. Już sam wypadek wyborów do parlamentu, możemy uważać za pomyślny, mimo, że centralny komitet wyborczy przyczynił się do wywołania popłochu niewczesną swoją odezwą, w której miasto wszystkich do głosowania zachęcić i porwać, przemówił stronniczo, zarzucając prze-

ciwnikom liberalnego u nas kierunku, że im chodzi o kwestye osobiste, mimo poprzedzającej wybory zaciętej walki w własnych naszych obozach, co dało Niemcom powód do zawczesnego tryumfu, iż w obozie polskim istnieje rozstrój. W końcu, mimo największych wysiłen naszych przeciwników, ludność polska zachowała się solidarnie i dopełniła swego obowiązku i na piętnaście miejsc poselskich w naszym Księstwie, pozyskaliśmy dziecięć, a w tych okręgach wyborczych, w których nie przeszli kandydaci polscy, poważna liczba głosów skupiła się wokoło ich nazwisk. Jak w parlamencie tak i w sejmie pruskim przedstawiciele nasi rozciągnęli czujność na wszystkie zagrożone punkta, w sprawie odmawiania nam praw narodowych i w sprawie ciężko zagrożonej wolności sumienia.

Poczynili poważne, jawne i stanowcze protesta i oświadczenia w obec ucisku, jaki nam się uczuć daje, wobec faktów dokonanych i wobec faktów jawnie zamierzonych. Przechodziłoby to granice miesięcznej korespondencji, gdybym o każdym głosie posłów naszych miał wspomnieć.

„Musicie być Niemcami“; to słowo zapowiadające nam pogwałcenie praw naszych przyrodzonych, spada na nas ciężarem rozporządzeń administracyjnych co do szkoły ludowej, mającej odtąd torować drogi germanizacyi, i tak przemożnej tu materyalną kulturą. W szkołach elementarnych ograniczono język polski do początkowej nauki, a w wielu miejscach wyrugowano go zupełnie. W szkołach średnich codziennie ścieśniają jego sferę, po gimnazyach, mianowicie w śremskim, już od septymy tylko po niemiecku nauczać wolno. Wszelkie względy pedagogiczne poświęcone zostały względem polityki zaborczej. Nie dość na tem; w tych dniach dyrektor poznańskiej szkoły realnej Dr. Geist i dyrektor gimnazjum śremskiego zakazali bibliotekarzom zakładu uczniom Polakom wyższych klas począwszy od kwarty, wydawać książki polskie. Monstrualny ten zakaz oburzył nawet polakożerczą *Posener Ztg.* i wywołał z jej strony naiwne przyznanie, że i Niemcom w prowincyi poznańskiej najmniej są mili ci urzędnicy, którzy *ostentacyjnie* jako *germanizatorowie* występują.

Upadek *Tellusa* stał się straszną klęską dla polskiej pracy ekonomicznej w Księstwie. Były chwile, że groził zagładą młodziutkiemu handlowi polskiemu, który dawniej prawie u nas nieznany, w ostatnich latach wzrastał się coraz więcej nietylko w Poznaniu, ale i po małych miasteczkach. Upadek *Tellusa* fatalnie podziałał w dwóch kierunkach na obecne położenie rzeczy. Zabił doreszty zaufanie i spowodował kapitały prywatne, lokacyi poszukujące, do chwilowego usunięcia się od wszelkich transakcyj, a w innych bankach i instytucjach finansowych obudził popłoch i wstręt do przedsięwzięcia jakichkolwiek ryzykowniejszych interesów. Wiadomo, że w rzeczach finansowych brak

zaufania jest klęską daleko gorszą od chwilowego kraku pieniędzy. To też obecne położenie ogółu finansowych stosunków u nas uważamy za daleko gorsze, niż było na początku zeszłorocznego przesilenia.

Ucisk Kościoła i duchowieństwa przy nowo wydanych pracach kościelno-politycznych poruszył do żywego ludność naszą, rozbudził ją i rozszerzył znacznie jej pogląd polityczny. Za tem poszła w następstwie ciekawość do bieżących wypadków i niepospolite ożywienie chęci do czytania pism publicznych. Odbiło się to na wszystkich pismach ludowych.

Prócz oddawna rozpowszechnionego *Przyjaciela Ludu*, licznych nowych abonentów w Księstwie zyskał *Pielgrzym* i *Katolik*, wychodzący na Górnym Szląsku. *Orełdownik*, pismo dzielne i szczerze katolickie, liczył w ostatnim kwartale 2,000 prem. co na nasze stosunki jest liczba ogromna; ile ich ma *Wiarius*, satelita *Dz. Pozn.*, nie jest mi wiadomem, wszelako wątpię, by po świeżym artykule miotającym błotem, na Rzym i wiernych Kościołowi kapłanów, który ogólnie wywołał oburzenie, mógł liczyć na przysporzenie sobie czytelników. Liczbę tych pism od Igo kwietnia powiększyło *Ognisko*, wychodzące trzy razy w tydzień, a ogłaszające, że oprócz polityki „rozbiera sprawy społeczne, odcińek za poświęca wyłącznie naukom przyrodzonym, przemysłowi i rolnictwu, objaśniając je wedle potrzeby rycinami.“

Pisemko to, zresztą dosyć zręcznie redagowane, jest wybitnym szermierzem bezwyznaniowości i materyalizmu.

Pomiędzy *Kuryerem Poznańskim* walczącym za *Wiarę* i *Ojczyznę* a *Dziennikiem Poznańskim*, organem narodowo-liberałów poznańskich, polemika toczy się mniej żwawa jak dawniej, z tej prostej zapewne przyczyny, że właściwie nie warto już i słów tracić tam, gdzie jakieś obłąkanie umysłu czy też umyślna zła wiara w najkrytyczniejszych nawet chwilach występują w sposób, który najwdzięczniejsze znajduje echo w kancelaryi księcia kanclerza. Dość powtórzyć świeże wystąpienie tego organu, pragnące umniejszyć znaczenie odwiedzin członków sejmu prowincjonalnego *in corpore* u ks. biskupa, którym to odwiedzinom nawet publicystyka niemiecka wielką przypisuje polityczną doniosłość. — Na tę samą pochyłość *Dziennika*, poczyną od tygodnia zstępować i *Gazeta Toruńska*. *Kuryer* dał jej już należytą odprawą. Jest to cechą charakterystyczną tego pisma, że zaklinając się zawsze, iż jest katolickiem, co chwila daje się powodować wpływom liberalnego poznańskiego areopagu, zbierającego się co niedzielę w redakcyi *Dziennika Pozn.*

W końcu dodać mi wypada, że prasa nasza ciężkimi również zagrożona jest ze strony rządu ciosami. Wszystkie pisma zarzucone są procesami, a redaktorowie polscy, można powiedzieć, zadzierżawili więzienia. Jaką zaś miarką odmierzają nam sławione niegdyś ze sprawiedliwości sądy pruskie, dość przyto-

czyć, że naczelnego redaktora *Kuryera*, p. *Teodora Żychlińskiego*, w dwóch przypadkach *skazano* na więzienie, *uwalniając* jednocześnie redaktorów pism *niemieckich* za *te same* przestępstwa prasowe. *Il y a des juges à Berlin!* Nie prawdaż?

Otóż macie szkic smutnego położenia i wypadków od sierpnia roku zeszłego. Odtąd liczcie napewno, że co miesiąc zdawać wam będę sprawę z nowych klęsk i ciężkich doświadczeń, bo jutrzeńka nadziei nawet w oddali jeszcze nam nie świta.

W końcu czerwca 1874 r.

Karmazyn.

Teatr.

Rozbójnik salonowy, dramat w pięciu aktach przez Dominika Magnuszewskiego.

Nie rzadko zdarza się słyszeć narzekania, że Dyrekcyja teatru nie przedstawia sztuk oryginalnych. Dla czego tyle dramatów i komedyj tłomaczonych? Dla czego te niedorzeczne farsy lub niemoralne dramata francuzkie? dla czego niemieckie *possy*? dla czego nam nie dają sztuk polskich, narodowych, naszych?

— „Bo ich jest mało,“ odpowiada na to Dyrekcyja z cicha i nieśmiało, — „a te, które są, zbyt są znane i zbyt się opatrzyły, iżby je często można powtarzać.“

— „Ale gdzież tam?“ — odpowiada niecierpliwy głos opinii — „są, są śliczne, zajmujące, pełne talentu, tylko wy się na nich poznać nie umiecie, wy przez niechęć, uprzedzenie, niewiedomość, jeżeli nie z jakich jeszcze gorszych powodów, nie chcecie ich wydobyć z zapomnienia.“

— Naprzykład? Gdzież one są i jakie?

— No! jest naprzykład Korzeniowski — odpowiada z gęstą miną przeciwnik.

— Ależ te jego sztuki które jakkolwiek na scenie wydać się mogły, grane już były tyle razy, że je każdy umie na pamięć, a trudno od nas żądać, żebyśmy przedstawiali *Izabellę d' Ayamonte* albo *Umarłych i Żywych*.

Ciągnie się dyalog dalej: Dyrekcyja broni się temi samemi argumenty, opinia powtarza swoje, domaga się sztuk polskich, cytuje imiona znakomitych naszych dramaturgów, wreszcie z uczuciem tryumfu rzuca jak piorun na głowę skonfundowanego dyrektora pytanie: „A czemu nie gracie Magnuszewskiego?“

— „Magnuszewskiego?? ... a co to?

— „Magnuszewski to poeta wielkiej zdolności i oryginalności, energiczny, ponury, głęboki, przedwcześnie zgasły niestety! Kto nie wierzy, niech zajrzy do tej lub owej Historii Literatury a przekona się.“

I targ w targ Dyrekcyja ustępuje pod presją opinii, rozdają się role, robią się próby, a my publiczność, dzięki temu wołaniu o sztuki polskie, mieliśmy uroczystość teatralną jedną z komiczniejszych jakie nam dauem było widzieć, przedstawienie *Rozbójnika salonowego*.

Dobrze jest miłować co swoje, dobrze grywać w teatrze sztuki polskie, ale i w cnocie zachować trzeba pewne umiarkowanie. Grać zaś każdą lichotę pod pretekstem, że ona jest oryginalną i polską, galwanizować umarłe reputacye, wmawiać w siebie i w drugih, że to lub owo ma wartość dla tego jedynie, że nazwisko autora kończyło się na *ski*, to ani patryotyzm ani zamiłowanie sztuki, to tylko skrzywienie, sfalszowanie jednego i drugiego, grzech przeciw obojemu.

Jeżeli co mogło dać nam pod tym względem zbawienną naukę i otworzyć oczy, to właśnie przedstawienie owego *Rozbójnika*, które w jasnem i doprawdy bardzo komicznem świetle dało widzieć i poetyczne pretensye owego nieszczęsnego autora i naiwność owych domagających się o jego sztuki wielbicieli.

Niech nam wolno będzie przy tej sposobności, zdając sprawę z dzieła, przypomnieć czytelnikom naszym i autora, którego fizyognomia i talent może nie są im dokładnie znane.

Po roku 1831 podupadła bardzo romantyczność, nie tylko u nas, ale w całej Europie. Walka była skończona, zwycięstwo zupełne: Wielcy mistrze, którzy walkę o zasady estetyczne uważali za środek do wyzwolenia poezyi z pod panowania estetyki fałszywej i ciasnej, ale którzy, choć swoją poezję nazywali romantyczną, pojmowali ją tylko jako prawdziwą poezję, i nie sądzili bynajmniej, że dramat naprzykład będzie już dobrym przez to samo, że nie będzie miał jedności czasu i miejsca, albo że poemat będzie pięknym dla tego, że będą w nim duchy i widma, przestali myśleć o klassyczności i romantyczności, używali romantycznych licencyj kiedy im były potrzebne, ale na nich nie zasadzali nigdy, a teraz tem mniej, istoty, wartości, piękności swojej poezyi. I wtedy na te licencye rzucili się naśladowcy; nie mając dość wyobraźni i talentu, żeby coś z siebie wydobyć, zaczęli chwytac i przesadzac te różne romantyczne formy pozostałe po Byronie albo po Mickiewiczu, nadużywać świata fantastycznego (bez fantazyi) — Szekspira też wtedy u nas więcej czytać i znać zaczęto, więc jeden lub drugi zaczął naśladować jego niektóre zwyczaje, naprzykład przeplatać sceny tragiczne komicznymi: w okropnościach, w sytuacjach gwałtownych i nie-naturalnych coraz bardziej upatrywać piękność i patetyczność. Zaczął się ten romantyzm przesadny, chaotyczny, a jak rozczo-

chrane włosy i nieporządnie utrzymane brody młodych poetów były widomym znakiem ich gieniuszu, tak i poezya musiała być bezładną, rozczochraną, jeżeli miała być romantyczną i gienialną.

Pierwszy inaugurował u nas to pojęcie poezyi Goszczyński; musiał mu hołdować i Garczyński, kiedy swojemu Wacławowi kazał nie wiedzieć dla czego kochać się w własnej siostrze. Mniej zdolni od nich przesadzali oczywiście jeszcze więcej. Do tego jeszcze przyszły im wzory i pomoce bardzo dogodne w romantyzmie francuzkim, najpłytszym pod względem psychologicznym ze wszystkich, polegającym już tylko na zewnętrznych efektach. Wiktor Hugo ze swojemi zarysami strasznych sytuacji, których żadna treść, żadne ludzkie myśli i uczucia nie wypełniały, i dla wyobraźni tych słabych poetów miał wielki powab, i dla ich talentów był do naśladowania już łatwy i wygodny. A cóż dopiero jak ten romantyzm francuzki zniżył się, spowszedniał, spopularyzował w formach prozaicznych, jak Dumas przetłumaczył dramata Wiktora Hugo na prozę, a Soulié zastósował je do współczesnych przedmiotów domowych i prywatnych stosunków, wtedy to była rozkosz! Wtedy jeżeli wiersz szedł oporem, można było chwycić się posłuszniejszej prozy i przecie napisać dramat, zostać poetą, a wzory czy to budowy, czy traktowania różnych strasznych sytuacji były gotowe.

Otóż formy odziedziczone po romantyzmie z roku 1820, a przesadzone i nadużyte, cokolwiek reminiscencyi i naśladowania zewnętrznych cech Szekspira, a pod tą powierzchownością, pomysły w rodzaju Wiktora Hugo, Dumasa albo Souliego, jakieś straszne komplikacye i kolizye bez najmniejszego powodu, jakieś czarne zbrodnie i okropności bez najmniejszej logiki, o piękności już nie mówiąc, to także grasować już zaczęło między naszymi mniejszymi poetami od roku 1831 do 1840 lub nieco dłużej. Romantyczność obniżona, spowszedniała, nie zrywająca się już do wysokich lotów a rozczochrana i bezładna, ta także ma swoich u nas wyznawców i kapłanów.

Pomiędzy tymi świeci i Dominik Magnuszewski. Wielki poeta, gieniusz, głęboki jak Szekspir, czuły jak Petrarca, typ poety w smutnych zapasach z życiem i światem. Jeżeli co może dać miarę fałszywego ówczesnego pojmowania poezyi i poetów, to recenzye dzieł i nekrologi Magnuszewskiego. Jeden z jego przyjaciół, powieściopisarz Dzierzkowski (który także bywał czytany przed laty trzydziestu), bierze go za typ poetycznego usposobienia i życia, i pisze o nim powieść *Życie poety*, w której przedstawia wybraną istotę w nieustannej walce z losem i ludźmi, prześladowaną, niezrozumianą, nieszczęśliwą! W powieści może jest nieco fikcyi, ale w życiorysie zapewne jej nie ma, a i tam Magnuszewski przedstawiony jest jako typ takiego poety-ofiary. Jakże był nieszczęśliwy! jak przez całe życie nieszczęśliwy!... Kiedy po roku 1831 przybył do Galicyi, spotkał jakąś kobietę,

dojrzałą, starszą, która go pokochała jak syna i za takiego uważała, zajęła się jego losem — dzieliła z nim swój majątek... „co za nieszczęście! on poeta, on gieniusz, chciałby być marzyć, tworzyć, a przybrana matka wchodziła do jego pokoju z zapytaniem o jego zdrowie, albo z jakim interesem... a on był cnotliwy, wdzięczny, wybrany! i odpowiadał jej, ale co cierpiał, co za męczarnie! co za tortury! a później było gorzej! Ta sama przybrana matka ożeniła poetę! Żenić poetę — co za zgroza! on potrzebuje swobody, powietrza, by mógł marzyć, latać, biegać... I gdyby jeszcze był dostał żonę złą, byłoby pół biedy! W walce ze złą żoną byłby może odzyskał energię duszy, skruszył swoje pięta, odleciał i śpiewał! Ale nieszczęśliwy dostał żonę młodą, ładną, bardzo w nim rozkochaną, bardzo dobrą, bogatą... musiał się strawić, skrzydła musiały opaść, kiedy nieszczęśliwemu kazano pamiętać o tem, żeby majątku tej żony nie stracił. Stracił go swoją drogą, a wtedy przybrana matka wyrzucała mu, choć łagodnie, że o przyszłość żony i dziecka dość nie dbał!“

Czy może być coś bardziej chorobliwego i potwornego jak to pojęcie poety, jako istoty innej jak wszyscy ludzie, podlegającej innym prawom i obowiązkom, jako coś oderwanego od świata i życia i nie mającego z tem nic wspólnego? Los przesładuje poetę kiedy mu daje dom i przybraną matkę, przesładuje go kiedy mu daje żonę dobrą, ładną i majątną; ludzie go przesładują kiedy żądają od niego, żeby nie tracił majątku. Cóż to? czy poeta nie jest człowiekiem? Jakże się dziwić, że ich poezya była chorobliwa, fałszywa i nedorzeczna, jeżeli drudzy ich i oni sami siebie pojmowali w sposób tak chorobliwy, fałszywy i nedorzeczny.

Dominik Magnuszewski ma jedną właściwą sobie cechę: stara się o głębokość filozoficzną lub historyczną poglądów moralnych, lub odkryć psychologicznych. Swoje figury wprowadza a swoje słowa wymawia w sposób uroczysty, z powagą i zamyśleniem człowieka, który ma wielkie idee w głowie. Jak sobie co zamierzy, to zawsze coś wielkiego, na przykład: w trzech różnych typach i obrazach przedstawić trzy epoki cywilizacji w Polsce, trzy różne stany moralne i umysłowe jeżeli nie całego narodu, to jego połowy przynajmniej, kobiet. Albo znowu w jednym ze swoich dramatów odmalować stan społeczny obyczajowy i towarzyski w Polsce, politycznego choć z lekka dotykając — albo w allegoryi, pod figurami różnych roślin i zwierząt pokazać różne rodzaje natur ludzkich — plany zakreślają się szeroko, myśl nadaje sobie wszystkie pozory głębokości, widocznie on chciał i mniemał robić coś wielkiego, potężnego; zobaczmy co zrobił poeta Magnuszewski.

Niewiasta Polska w trzech wiekach, to jest całość złożona z dwóch powieści i jednego dramatu: każda z tych części jest

dla siebie osobną całością. Pierwszym więc typem polskiej niewiasty jest mężna Lukrecya, Małgorzata z Żębocina (cnota, wierność, odwaga, prostota): powieść napisana dziwacznie archaicznym stylem. Najświeższy znowu typ Polki, to pani Grabowska, zalotność, lekkość, zepsucie — (dla czego właśnie panią Grabowską wybrał sobie za reprezentantkę tego wszystkiego, kiedy w ówczesnej Warszawie było tyle kobiet daleko bardziej zepsutych?): powieść opowiada śmierć prymasa Poniatowskiego, który się otrął niby z porady brata. Pani Grabowska, pomimo swego dwuznacznego stanowiska na dworze, ma uczucie polskie. Po między jedną a drugą zaś jako niewiasta polska już nie tak cnotliwa jak heroina Żębocińska, jeszcze nie tak zepsuta jak te, które bywały kochankami królów, stoi biedna Barbara Radziwiłłówna — *Barbara jeszcze Gasztołdowa żona*. Dramat prawdziwie straszny jako mnóstwo nagromadzonych nieprawdopodobieństw, jako efekta ciągnione za włosy, jako stek intryg bez powodu i bez rozwiązania, wreszcie jako fałszywe pojęcie wieku i jego właściwych cech.

Zaczyna się on balem na dworze. Chytra królowa Bona (Bona z melodramatu, rodzona siostra Katarzyny Medycejskiej z dramatów Dumasa, tylko w karykaturze jeżeli być może) wysła się na sposoby, jakby syna pod swoim wpływem na zawsze utrzymać. Dwie piękne Włoszki, kochanki młodego króla (bo podług dramatu zdaje się, że dwór matki był jego haremem), pomagają jej w tem jak mogą: rywalizują między sobą, trzymają Augusta w ciągłym upojeniu i w ciągłej gorączce zmysłów. Ale krew królewska i Jagiellońska, ale uczucie obowiązku i honoru odzywa się czasem w młodym królu; chciałby zerwać te rozkoszne pęta: Stańczyk, prawie tak mądry i tak przywiązany jak błazen króla Leara, chłoszcze go co chwila biczem swoich sarkazmów: dość że Bona zaczyna się niepokoić, czy syn nie wymknie się z jej opieki.

Ale od czegoż rozum, od czego włoska przebiegłość? Królowa sobie mówi, że utrzyma go przy sobie zmianą. Po łatwych i lubieżnych Włoszkach jaka Polka surowa, prosta, zakonna, ta odmianą podniesie żądzę królewicza, tak że on o niczem prócz rozkoszy myśleć nie będzie. Jakoż, układa się plan głęboko obmyślany a szatański. Monti pójdzie do chorego wojewody Trockiego zapytać się o jego zdrowie w imieniu królowej i ofiarować swoje lekarskie usługi. Za taką grzeczność żona będzie musiała przyjść na zamek podziękować; wtedy ujrzy ją August, zapragnie . . . i rzecz skończona. Wszystko się stało jak Bona wyrachowała. Barbara przysła z podziękowaniem, August ją zobaczył. Tylko w jednym pomyliła się królowa: nie zapragnął, ale pokochał. Jak zobaczył Barbarę, tak godną, skromną, tak przywiązaną do starego męża, świętą i tak piękną, August oddał jej całą swoją duszę. I odtąd już sam odwiedza dom woje-

wody i dowiaduje się o jego zdrowie, przy łóżku chorego rozmawia po cichu z Barbarą, ona mu opowiada o swoim życiu sierocem, o samotności serca przy mężu, który kocha tylko Rzpłtą i litewskie knieje. Aż raz, u drzwi od pokoju chorego, August wyznaje jej swoją miłość. Barbara słucha, wyznaje swoją, wyrzuca sobie wprawdzie, że tak mówi i tego słucha wobec umierającego męża — w tem wchodzi ten mąż i przeklina oboje. Na ten krzyk z drugich drzwi wychodzi Bona z całym swoim dworem: Włoszki, doktor, Firley i wszyscy, a królowa, która już zna miłość syna do Barbary, znieważa ją przy wszystkich. Ale zwycięstwo tym razem nie przy niej zostanie. Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy jej dają znać, że na zamku skonał Zygmunt stary. A więc syn robi co zechce, ożeni się z Barbarą! W rozpaczy i wściekłości oświadcza wszystkim, co on zrobić zamysła; senatorowie się oburzają, Barbara mdleje. . . . Monti trzęsłwi ją szklanką wody, w którą wlał kilka jakichś kropel szepcząc do Bony „za rok i sześć miesięcy.“

Tę Barbarę, która przy konającym mężu romansuje z Augustem, trudno mu darować. On chciał ją zrobić trochę lekko-myślną, próżną, zalotną, ale w gruncie szlachetną; tutaj zaś ona jest oburzająca, zaczepna, wyzywająca . . . ale cóż mówić o tych intrygach i efektach. O tem, że Bona wyrachowała, iż August w Barbarze zakochać się musi, że czekała za drzwiami na śmierć Gasztołda, żeby w tej samej chwili wpaść na Barbarę — że stary król znowu w tej samej chwili umiera, że Monti na oczekaniu truje tę nieszczęśliwą Barbarę. Gdyby Magnuszewski był miał wyobrażenie o budowie sztuki i cokolwiek znajomości scenicznych warunków i efektów, jego Barbara, tak pojęta, nie byłaby nigdy dobrą, ale jako efektowa niedzielna sztuka mogłaby mieć tyle wartości, co na przykład Królowa Małgorzata Dumasa. Ale te intrygi są tak niezgrabnie powiązane, a te efekta tak widocznie, tak śmiesznie naciągane, że całość wygląda jak satyra na ten rodzaj dramatów.

A dopieroż epilog! Upłynął ów rok i sześć miesięcy. Bona pewna swego, a więc pokrywająca już nienawiść do Barbary, wiedząc dzień i godzinę, o której ta umrzeć musi, przez wyrafinowane okrucieństwo, zaprasza syna z żoną na jakieś do siebie teatrum na ten wieczór właśnie, kiedy Barbara ma skończyć. Sztuka się gra, jak w Hamlecie, podwójna. Na scenie jakaś szlachta sejmikowa krzyczy na małżeństwo królewskie i nie szczędzi przytyków. Jako spektator patrzy na to król i Barbara sama, której słabo, mdło, zawrót w głowie; chciałaby odejść, ale ją mąż reflektuje, że najlepsza zemsta za te przymówki jest znieść je spokojnie. Zostaje więc królowa już konająca, patrzy dalej, wtem scena się zmienia: Aniołowie prowadzą do nieba duszę — postać niewieścią w koronie. August się wpatruje. Zrazu mniema poznawać w niej swoją pierwszą żonę — ale nie, to Barbara,

o niej to mówią aniołowie, że w tej chwili skołała. Takiego wrażenia ona oczywiście wytrzymać nie może, dodane do trucizny, zabija ją na miejscu.

(Zmiana w dialogu za drugim znakiem Montiego; światłość niebieska, w górze jak przez mgłę lekką widać chóry aniołów — ciszę melodya arfy czasem przerywa. Wchodzi kobieta w bieli, w ręku koronę trzyma, klęka i koronę podnosi oburącz ku niebu).

CHÓR ANIOŁÓW.

Ten wyraz boleści, to godło wielkości
Z rąk twoich zebrała śmierć dzika,
Co było nicością, to wróci nicości,
Niewiasto! Niewiasto! Ta ziemia próżności,
Pod której kolanem twa ziemskość utyka,
Zapomni imienia i twego znaczenia!
Tu do nas, tu do nas zapagnij schronienia!

Z. AUGUST.

(wpatrując się mocno w postać klęczącą na scenie, krzyknął)

Co to?

CHÓR ANIOŁÓW.

(dalej)

Królewskie wygody, królewskie powicia
Nie mogły Cię schronić, nie mogły dać życia
Na dłużej niewiasto, jak na chwilę zgonu!
Bo komu dwie cyfry spisano na czole
Rodzenia i życia, to temu w półkole
Splątano i trzecią, grobowy głos dzwonu!
A ziemia imienia zapomni, znaczenia!
Ty do nas, ty do nas zapagnij schronienia!

Z. AUGUST.

(ciągle tą postacią zajęty)

To czary! Jej głos i postać!

CHÓR ANIOŁÓW.

Dobrze ci było na ziemi zostać,
Głos berła, złota, strojów i blasku
Miał dla ciebie język miłego wrzasku,
Jakim się dziecię pieluszną bawi;
Ale za skąpa klepsydra stała,
Ledwie ci stroje przymierzyć dała,
Już wyszła i pierś twą krwawi!

A ziemia imienia zapomni, znaczenia!
Ty do nas, ty do nas zapragnij schronienia!

SMOLIK.

(na stronie do błazna)

Jakiż to koniec wszczętej osnowy?
Tam figle djabła, tu śpiew, anioły.

STAŃCZYK.

Czekaj!

Z. AUGUST.

(do siebie)

To Anna moja z książecą koroną!
(do Bony)

Matko, jakże podobna z przeszłą moją żoną!

BONA.

(do syna — patrząc szydereco na Barbarę, która coraz więcej
drży)

Z którą?

Z. AUGUST.

Z tą, co umarła tak nagle.

BARBARA.

(przestraszona)

Auguście!

Coś i do mnie podobna!

Z. AUGUST.

Dziecko, jam w rozpuście
Był wtedy i nie pilen skarbu, co go skradli!
Ale dziś, Basiu, oniby pobladli
Za każdy włos twój; a ty nie drzyj luba!
Jam teraz król, a w tobie znalazła się zguba.

BARBARA.

Ja drzę z lubości. — Głos tych aniołów
Wywołał we mnie jakieś uśpienia
Miłe, spokojne, chętne zachcenia;
Spać, spać Auguście, głowę ci złożę!
A przed tą chwilą, to nie daj Boże,

By kto tak cierpiał, jak ja cierpiała!
Ciało się rwało, teraz jakby dusza rwała,
I gdzieś, gdzieś leciała!

(kładnie mu głowę na ramię)

Z. AUGUST.

O — trzeba Basiu, abyś dosłuchała.

(Ta sama scena . . ., niewiasta ciągle klęczy, a z boku prowadzi archanioł diabła już w właściwej jego postaci)

DJABEL.

(wypraszając się archaniołowi)

Ino dokończę z panią Marcinową!
Chwila, pół chwili . . . a potem z mą głową
Książę anielski zrobisz, co kazały nieba.

ARCHANIOŁ.

Potem skończysz zabawę, dziś cię niebu trzeba,
Czas nadszedł! (wskazując) Ta dusza niewieścia w tej chwili
Zzegnała ziemię; anieli zmówili
Prośbę do tronu, ty podaj skargi.
Klęczy przed sądem. — Wyszczierzaj wargi
I krzycz jej błędy . . . bo ktoż nie błądzi? —
Skarż! W niebie wielki sędzia słucha i sądzi!

DJABEL.

(wpatrując)

Skarg na nią, na co? — ot je w rękę trzyma.
Ta korona me skargi; ona wzrok Kaima
Zatrzymała w koronę i nie wzniosła więcej
Oczu, jak na koronę! niby najgoręcej
Kochała: co? — Koronę! Dla niej dała usta,
Od grobu czyjegoś zbiegła jak rozpusta
I tuli żal w koronie.

BARBARA.

(krzyknęła i rzuciła się sobą)

Ach!

Z. AUGUST.

(zrywa się z wściekłością)

Stójcie oszczerce!

(do Bony)

Matko! Patrz dalej; masz ku temu serce,
Masz i naukę, umiesz słówka włożyć,
Którymi sztucznie można cnotę spożyć!

(woła na Barbarę)

Pójdź, moja Basiu!

(Barbara niewzruszona, głową skłoniona na poręcz krzesła, nie daje znaku życia. Dwór skoczył ratować ją)

Z. AUGUST.

(nie postrzegając jeszcze jej omdlenia)

Wstań królowo moja!

Wstań Basiu luba! — Wstań Augusta żono!

(leci ku niej)

Cóż to? ... (widząc nieżywą krzyczy) Hej Monti! Monti!

MONTIO.

(dając znak do zapuszczenia kurtyny)

... Już skończono!

STAŃCZYK.

(do Smolika)

Widzisz, Włoch skończył.

(rzucają się dworacy na czele Radziwiłłów ku ratunkowi)

BONA.

(z całą dumą wstaje z królewskiego siedzenia; do osłupiałego Augusta, wskazując na Barbarę)

Cóż to, że ktoś zasłabnie,
(wskazując na scenę dialogu) albo ktoś pomówi,
To się wolno dla matki zapomnieć synowi?
O nie! — Syn chociaż królèm, niech zna matki władzę!
Tyś dziecko u mnie; — dziecko od siebie odsadzę,
Kiedy się w złości żyyma, szaleje i bredzi.

(do swoich dworaków)

W podróż! w podróż! Za długo goszczę śród niedźwiedzi!

(odchodzi ze swoją przyboczą)

(Król August z załamanemi rękoma stoi przy krześle Barbary)

(Dworacy ratujący Barbarę szémrzą cicho)

Skonała!

Ta śmierć Barbary, grana na scenie przed Barbarą żywą, ta piekielna intryga Bony, która nie przestając na truciznie jeszcze ją w ten sposób zabić chciała, to jest dopiero dramatyczne. Żeby biedny poeta, kiedy już brał marne efekta za piękność, był przynajmniej umiał wynaleźć trochę mniej śmieszne, trochę więcej do prawdy podobne! Wykonanie, na przykład sceny miłosne Augusta z Barbarą albo scena śmierci Gasztolda: pretensye do naśladowania Szekspira (w Stańczyku, w Epilogu — słodkie złudzenia poety!) zabawne, a co jeszcze godne wzmianki, to że kiedy Zygmunt August bierze owo widmo królowej na scenie za swoją pierwszą żonę, woła „to moja Anna!“ Zdziwiony czytelnik pyta co za Anna? jego Anna? czy Zajączkowska? — potem dopiero pokazuje się, że tu mowa o królowej Elżbiecie. Magnuszewskiemu wolno było nie wiedzieć jak ona się nazywała, choć doprawdy potrzeba było na to pewnego stopnia ignorancyi i wielkiej niedbałości żeby o niej pisząc nie zarzucić do pierwszej lepszej książki i nie przekonać się. Ale Zygmunt August, który nie wie jak jego żonie było na imię, wygląda już zupełnie komicznie.

Jeszcze lepszy od tego jest nasz świeżo odegrany Rozbójnik Salonowy. August, młody, człowiek wielkiej zdolności a ubogi, kocha tajemnie Anielę, pannę z najbogatszego świata, siostrzenicę jakiejś hrabiny, krewną jakiegoś ministra. Naturalnie nie pozwala sobie marzyć o małżeństwie, ale Anielę go kocha, sama mu to wyznaje i przedstawia krewnym i przyjaciółom jako swego narzeczonego. W wielkim świecie rozpacz, zgorzienie, zgroza — Anielę żoną jakiegoś urzędnika! nigdy! Zaczyna się czarna intryga. Hrabina a raczej jej przyjaciółka baronowa, knuje straszny spisek z ministrem przeciw Augustowi. Oto ten poręczył jakieś długie za pana Brunona, modnego panicza, wzgardzonego konkurenta Anieli, a że tamten tych długów nie zapłacił, więc można wystawić na licytację skromne ruchomości Augusta, a Anielę tego wstydu oczywiście nie zniesie i za niego nie pójdzie. Co za wyrachowanie! co to za szatańska intryga!

Dość, że się dzieje jak ułożyli. Schodzi do Augusta kórmornik, woźni, tandeciarze, publiczność, wołają: kto da więcej, kupują. Bohaterska Anielę wytrzymuje tę hańbę, ale stara matka Augusta umiera na miejscu. Jej ciało stało się już także ruchomością i jakiś doktor kupuje je do Prosectorium! Scena niezrównanego efektu.

Potem August, ze wszystkiego odarty, odprowadza Anielę do jej domu — noc — zaczepiają ich jacyś pijani panicze, jakas łachmaniarka powiada Anieli, że była kiedyś tem czem ona jak była młoda i ładna. Tego Aniela już wytrzymać nie może, przekonywuje się, że po ulicy można tylko jeździć powozem, idąc piechotą jest się narażoną na zbyt wiele nieprzyjemności; a że z Augustem musiałaby chodzić piechotą, więc go żegna.

On wtedy poprzysięga zemstę jej salonom, pałacom, arystokratom, spotyka jeszcze ciało matki niesione do prosectorium, doktor daje mu za nie talara, z tym talarem w ręku jeszcze raz powtarza swoją przysięgę i znika.

ANIELA.

O, bywaj mi zdrowy!

To nie na moje serce, to nie dla mej głowy.

Żegnaj mi; niech ci niebiosa pomocy udziela,

Ale twoja Aniela. . . .

(milczenie — Aniela stuka mocno we drzwi; słysząc chrobotanie klucza)

AUGUST.

(okropnie)

Nie twoją Aniela!

Rozumiem. (Sam wybijając mocno we drzwi).

Otwierajcie wrota pałacowe!

To wraca w wasze ściany bóstwo salonowe. . . .

Nie zstapaj z piedestału twego, o Anielo!

Niech tam światła rozpala, puhary rozdziela;

Mnie nie żegnaj ni ręką do zamknięcia powiek: —

Już się nie znamy więcej.

(Aniela znika w bramie)

Wróć do złotej klatki!

A ty ulico witaj, witaj! jam twój człowiek;

Witaj i bądź mi matką, bo już nie mam matki.

Pierwsza myśl, którą ty mi prześlesz w swem objęciu,

Niechaj będzie piastunką dalszego żywota;

I co mi testamentem zapiszesz dziecięciu,

To moja zemsta w cel swój młodzieńczy zamota.

Słucham. . . . Dodaj mi czucia, bym ciebie zrozumiał,

Bym żyć umiał i mścić umiał;

Bym za każdy grosz zawodu,

Com od nich otrzymał z młodu,

Każdy grosz lichwą obrzucił

I w twarz im rzucił.

Niech cierpią, jak ja cierpię — płaczą, jak ja płaczę;

Z ziarna, co mi posieli, zrobię im kołaczę

I przyjdę do nich prosić o błogosławieństwo,

Gdy w mój uścisk weselny wezmę społeczeństwo!

O — rozbili mą młodość, rozbili me chęci,

Rozbili przyjaźń, miłość i wszystko, co święci

Dusza młoda, pobożna; niech mi sarkną krzykiem,

Kiedy już z rozbitego stanę — rozbójnikiem!

Za ich pracę
Ja zapłacę.

(Wraca schöne Katarynka i gra: „Spij moje złoto“)

Darmo, darmo głos ten woła,
Coś śpiewała i uczyła,
Darmo matko ślesz z tym śpiewem anioła,
Aby się cnota syna z drogi nawróciła.
Tak zerwali,
Tak zmotali
Myśl nadziei, pracy kwiat,
Że ze mnie tylko jeden chyba kat —
Kat-by był dobry; i to, gdyby z cięciem kata
Mogła zlecieć (szyderczo) głowa tego świata.
Nie! — (chce iść).

(Wtem na tragach coś białem nakrytego niesą; doktor jadący
przy tragach staje zmieszany)

AUGUST.

Ha! cóż? to? . . . (odkrywa zasłonę). W imię Boga!

(kłęka przy tragach)

To ty, matko! w rękach wroga,
W rękach świata; i nieznany
Człek ci pospieszył z ostatnią przysługą,
Bo już nie ma syn kochany
Nawet cię czem wyprawić w twoją podróż długą.
O, czemuś i mnie nie wzięła!
O, czemuś się mojego jestestwa podjęła!
Czemuś uczyła tak błogo
Śnić i marzyć przy twem łonie,
Czemuś, prócz ciebie, nikogo
Nie dałaś poznać, niebogo?
Tobym zaznał wcześniej złe ku mej obronie,
I inakże serce wrobił
I na złe się przysposobił.
Alem ja widział i ciebie i Boga: —
Z waszych serc na świat szła tak prosta droga,
Żem się nie bał rozboju, serca nie brał w karby;
A teraz ludzie, ludzie wydarli mi skarby
I rzucili odartym w to życie tułaczę. . . .
Przy zmarłej matce, syn twój, zmarłej cnoty płacze,
Bom ją wypędził matko na rozstajne drogi;
Ona mi nie potrzebna w przyszły bój złowrogi.

(wstaje i mówi do doktora)

Pewno wiesz do cmentarza —
Do cmentarza, dobry panie;

Lecz zwykle przy pogrzebie ubogich obdarza
 Prawdziwą żalność, lub też żalu udawanie,
 Jaką jałmużnę; daj mi ją, panie!
 Jam żebrak . . . dzisiaj zebrzę na matki pogrzebie.

DOKTOR.

Prędzej żebyś się odczepił,
 Masz pan talara.

AUGUST.

Hojnyś mi dla siebie.
 Przez Boga, hojnyś! Więc ci przysięgam, mój bracie:
 W ostatniej już, w skończonej mej zemsty zapłacie
 Oddam ten grosz, zzebrany przy matki pogrzebie,
 Oddam im za nią — za siebie!

DOKTOR.

Czyś warjat?

AUGUST.

Jam nie warjat. Czegoś oczy wlepił?
 Ja jeszcze mogę śmiało spojrzeć tobie w oczy.
 O! za jutro nie ręczę: — co się toczy — stoczy;
 Co się raz wyrzekło,
 Było słubem; a czy go niebo — czy tam piekło
 Wysłuchało, mniejsza z tem!
 Ty idź drogą jak możesz, a masz z czem,

(pokazując na tragi)

Bo to świętość; lekko kryj
 Lekką ziemią zwłoki jej!
 Ja nie pójdę, bo jeszcze — jeszczebym się zwrócił
 I mą zemstę może rzucił;
 Nie, nie pójdę; tyś pocziwszy
 Od tej chwili, niż ja sam! . . .
 Jabym poszedł kalając, grobu nie ucziwszy,
 Zaniósłbym za nią serce pełne czarnych plam! —
 Ja nie pójdę; ty z ostatka
 Porzuć grudkę na jej oczy,
 Niech za mną wzrokiem nie toczy,
 Bo ona pocziwego człeka była matką!!
 A jam teraz świata syn
 Przez zemstę, przez przyszły czyn! . . .

Przeszło lat kilka. Aniela się stała światową damą, taką
 i gorszą niż inne. Śmieje się ze swojej miłości do Augusta: ma
 iść za mąż za ministra, tego samego, swego wuja. Oboje robią

ogromny majątek w Paryżu przez pośrednictwo Augusta własnie, który jakimś bliżej nieoznaczonym sposobem doszedł do takiego znaczenia i wpływu. Ale zemsta spada na nich straszliwa. Minister odbiera rozkaz od króla, żeby swoją tekę oddał w ręce Augusta, a równocześnie oświadcza mu August, że cały majątek jego i Anieli stracony w finansowej katastrofie Lawa. . . . A więc to się dzieje za Rejencyi — ta przysięga Augusta, te jego wykrzykniki do ulicy, to jest z początków XVIII wieku — ten nieznamy, który mu oddaje tekę ministeryalną, to prawdziwy król polski. Rozbójnik salonowy jest dramatem historycznym — coraz zabawniej!

Ale na tem nie koniec zemsty. Aniela, widząc Augusta możnym i bogatym, próbuje rozdmuchać dawne ognie w jego sercu; — on udaje czułego, daje jej klucz od swego stolika mówiąc, że tam znajdzie dowody jego dla niej uczuć. Ledwo otworzyła, wpada służba i łapie ją jako złodziejkę na gorącym uczynku z rozkazu Augusta. Co za szlachetna zemsta!

Po tem wszystkim, zubożałej, zniesławionej, daje przytułek w swoim pałacu na poddaszu, a żeby ją do reszty upokorzyć, rozkazuje swojemu słuzącemu, żeby się oświadczył o jej rękę.

Oprócz tego wszystkiego jest August trochę i zdrajcą kraju, choć nie widać w jaki sposób go zdradza: końca brakuje, ale na szczęście uratował się jego plan, choć to przynajmniej na osłodę żalu, że wykonanego nie mamy.

(Podczas gdy wesoło bankietują u Augusta, tragarze wynosili z czwartego piętra trupa Anieli, w białej trumnie z pozbijanych desek z czarnym tylko krzyżem na wierzchu, przez schody, a idąc obok drzwi do salonu, gdzie August bankietował z swymi stronnikami, utykają i upuszczają trumnę, która przez drzwi tylko przymknięte wpada do salonu obok siedzącego przy stole Augusta. Wszyscy tam przytomni w osłupieniu i przerażeniu zrywają się z swych miejsc).

AUGUST.

(wołając na służbę)

Preczmi trupa z domu! Słyszysz? Zawołać kogo — stróża, jeśli nie ma komu, tragarza wołać; niech wynoszą trupa!

(Wtem przypominając sobie, dobywa talar z kieszeni i wbiegającym tragarzom go dając, mówi z mocą i głosem drżącym)

Oto talar wzięty za trupa mej matki;
Nim płaci syn — zemsty swej ostatki! . . .

(August, jako minister, pomścił się na wszystkich, którzy mu wydarli matkę, kochankę, zabiwszy temsamem najszlachetniejsze

w nim uczucia. Gdy dokonał zemsty, odkryto zdradę jego, zdradę kraju! Gdy siepacze wpadają do jego mieszkania, porywa za pistolet i z pogardą życia strzela sobie w serce).

Dramat w naturze. Jest to allegorya bardzo allegoryczna, której znaczenia i zamiaru zrozumieć nie można. Rozmawiają tam chmury, stawy, gwiazdy, księżyc, słońce, noc, zorza, drzewa, kwiaty, trawy, motyle, ptaki, błędne ogniki i t. d. Każde z nich ma oznaczać jak się zdaje jakiś rodzaj psychologicznej natury człowieka albo jakiś stan, jakąś warstwę społeczną, a wszystko razem chce może powiedzieć, że w świecie społecznym i historycznym, jak w świecie fizycznym wszystko, pomimo pozornych sprzeczności, jest doskonałą harmonią.

I oto są rzeczy, które dają prawo do imienia poety! do sławy! o które się publiczność dopomina! które Dyrekcyja teatru grać pozwala! Czegóż dowodzi ta czuła sympatya publiczności dla zmarłego mniemanego poety i ta powolność Dyrekcyi? czy złego smaku i upodobania w dziełach niedorzecznych i brzydkich? Nie — dowodzi ona: nieznajomości i łatwowierności. Dowodzi, że nikt z tych, co się o przedstawienie dramatów Magnuszewskiego domagali, dramatów tych nie czytał, że nie czytała ich Dyrekcyja także, bo znając je, nie byłaby pozwoliła na taki wstyd zrobiony swojej scenie, a wszyscy coś kiedyś o Magnuszewskim słyszeli, wszyscy w szkołach jeszcze w tej lub owej Historji Literatury czytali, że taki poeta był, że miał *talent potężny i oryginalny, myśli głębokie, natchnienia ponure, energią nieokrzesaną ale wielką*, i podobnie. Czytali, uwierzyli łatwomiernie i zapamiętali, i do dnia, w którym *Rozbójnik* ukazał się na scenie, przekonani byli święcie, że Polska była istotnie bogatszą o jeden talent poetyczny, „*przedwcześnie zgasty ale niepospolity*“. Tym razem złudzenie może się rozwinąć i fałszywa bezprawna reputacya pękła, dla niektórych przynajmniej. Jeżeli tak, to przedstawienie *Rozbójnika* byłoby szczęśliwym wypadkiem, obróciłoby się na korzyść jeżeli nie Dyrekcyi, to publiczności. Ale wiele to jeszcze zostaje reputacyj podobnych, niezaskuszonych, opartych na nieznajomości i na powtarzaniu jak za panią matką zdań utartych nigdy nie dowiedzionych i nie sprawdzonych! Przykład Magnuszewskiego i jego *Rozbójnika* może nam wskazać dobitnie, do czego, do jakich złudzeń, do jakich fałszów, do jakich śmieszności prowadzi manija chwalenia, literacka lub koteryjna reklama, brak krytyki lub wreszcie źle zrozumiany patryotyzm, który każe wielbić lub udawać, że się wielbi wszystko co swoje. Z tych pierwiastków wyrosła reputacya Magnuszewskiego, zrobiona w swoim czasie przez panów: Majorkiewicza, Wójcickiego, Dzierżkowskiego i t. d., nigdy przez nikogo nie sprawdzona, a przez wszystkich pobożnie i tradycyjnie szanowana.

Na podstawach podobnych opiera się jeszcze wiele podobnych chwał naszej poezyi! Nie byłoby nic złego, owszem byłoby dla naszej literatury szczęściem i pożytkiem, gdyby każdą z nich traf jaki sprowadził do właściwego znaczenia i wartości, każdą zrzucił z ołtarza, na którym stoi nieprawnie wystawiona na admirację pobożnych, jak sławę Magnuszewskiego rozwiało od jednego razu światło dzienne, wydobyć *Rozbójnika salonowego* na widok publiczny z zapomnienia, w którym się dotąd na swoje szczęście ukrywał.

St. Tarnowski.

Mały zastęp naszych autorów dramatycznych powiększa się nieco. W ostatnich czasach przybył doń p. Józef Kościelski, autor dramatów: „Władysław Biały“, „Arrja“ i przysłówia: „do Indyi.“ O p. Kościelskim wspomiano już kilkakrotnie; z okazji „Arrji“ należałoby nam daleko szerzej się o nim rozpisać, jak nam to dzisiaj uczynić wolno, lecz z drugiej strony „Arrja“ okaże się w przyszłym zeszycie *Przeglądu*, czytelnicy sami więc osądzą. Notujemy tu pobieżnie widoczny postęp, jaki uderza słuchacza „Arrji“, znającego pierwszą próbę autora to jest „Władysława Białego.“ „Arrja“ jest już sceniczną i to główną podług nas jej zasługą. Autorowie polscy nie umieją scenicznie pisać. „Arrja“ ma dość żywą akcyę, wiele żywiołu dramatycznego, koloryt z epoki zdjęty, charaktery rysowane z siłą i prawdą, a przeprowadzone do końca loicznie. — Może tylko zarzucićby należało szablonowość postaci Afraniusa, brak życia Petusowi; są to jednak zarzuty nie uchybiające bynajmniej pracy, którą pozwolimy sobie nazwać szkicem a nie skończonym obrazem. Szczegóły pewne, wypracowane ręką śmiałą i dzielną, nie zapewniamy „Arrji“ nazwy dramatu, dzieła równą artystyczną miarą się odznaczającego; powtarzamy, jest to udatny szkic wskazujący nam w autorze pełnego przyszłości ludzi i czasów malarza. Gra artystów przyczyniła się w wielkiej części do powodzenia, jakie miała „Arrja“ na scenie krakowskiej. — Podnieść należy grę p. Hoffmann w roli Messaliny. Była to Messalina, o ile na to kreacja autora pozwalała, jasny kontrast do lirycznej Arrji, którą była p. Ładnowska. Petusa dał p. Ładnowski zupełnie w myśl autora, który powinien być zeń zadowolony równie jak z p. Wardzyńskiego, przedstawiającego Afraniusa z ogniem i właściwą artyście a do tej roli tak konieczną gwałtownością. Inni Rzymianie uzupełniali dobrze historyczną grupę.

W tydzień po „Arri“ ujrzeliśmy „Sfinksa“ Feuilleta. Stugębna fama, zatrudniona nim od kilku miesięcy, zaostrzała naszą ciekawość. Bajki i niebajki prawione przez francuzkie gadatliwe dzienniki o grze panny Croisette w roli tytułowej dochodziły nas bezustannie, pragnęliśmy się przypatrzeć z bliska temu „Sfinksovi“, przekonać się czy taki straszny jak go malują. — Skwapliwa Dyrekcyja w niespełna trzy miesiące po ukazaniu się dzieła tego na deskach teatru paryzkiego uraczyła nas niem w dobrym przekładzie p. Sabowskiego. Jestże tu p. Oktaw Feuillet tym samym p. Feuillet autorem „Montjoye“, „Dalili“ i „Pokusy“? Tak! Nie jestto anatom *à la* Dumas syn, cyniczny obserwator jak Sardou, lub zbyt śmiały a godzien dziś wędzidła robotnik w bluzie jak Meilhac Halevy lub Gondinet. Feuillet został Feuilletem. Jest może więcej nerwowy, trawi go także współczesna gorączka, lecz ma zawsze rękawiczki i nie dotyka się ran cuchnących, nie brodzi w kałużach, nie wala desek błotem. Jestto wyborna fotografia kobiety, Sfinksa z XIX wieku, lecz niewstrętnej; otoczenie jej godne może czasem uśmiechu, wyśmiania, lecz nigdy pogardy, — ona sama nie prosi o litość, ale domaga się odgadnienia i surowego sądu.

Mają dzisiejsi francuscy pisarze jeden szablon kobiety, ubierają ją w przeróżne szaty, każą się gnać w tę lub ową stronę, upaść mniej lub więcej haniebnie — jednak szablon szablonem, ani na włos odeń nie odstępują. Feuillet przy brylantowym błysku dyalogu, wśród jaskrawego ognia scen prawdziwych a efektownych odślonił nam swą bohaterkę, wykutą z dzisiejszego materiału, wykutą dłutem mistrza, piękną, tajemniczą, zda się żywą, istotną. Protektor „moralnego“ teatru“ Paweł Feval nie może się gorszyć kobietą Feuilleta, sfinksem uroczym i ponętym, rzucającym się z otwartymi oczyma w czarną przepaść śmierci. Są takie kobiety, są takie sytuacje — a odtworzył je z talentem słynny akademik.

Cechę najsztubtelniejszego wykończenia miało przedstawienie „Sfinksa“ w naszym teatrze. Ani jednego fałszywego tonu pochwycić nie zdołaliśmy; wszystko szło w porę: obracało się, żyło prawdziwie na miękkich kobiercach; w salonach. Wyraz nieklamanej uznania oddać trzeba p. Hoffmann za przeprowadzenie charakteru Blanki de Chelles. Natura ta, nieodgadniona na pozór, dzika, kapryśna, piękna i słaba, wzniosła, a tak ciągle prawdziwa, znalazła godnego w p. Hoffmann tłumacza. Od pierwszego wejścia do skonu patrzałeś na żywego „Sfinksa“, podziwiałeś tę naturalną, swobodną grę, w której nie było nigdzie przesady lub afektacyi; skon nie miał patologicznych jak u panny Croisette właściwości — był jednak pełen prawdy i tragiczności. — Dobrze oddała pani Parsznicka wdzięczną postać Berty. Pan Ładnowski trudną rolę hrabiego odegrał rozumnie. Całość, raz jeszcze powtarzamy, bardzo dobra. — Po tych dwóch no-

wościach mieliśmy jeszcze ujrzeć *Marynę* Szujskiego, lecz słabość artystów pozbawiła nas tej przyjemności.

Dyrekcji w ubiegłym roku przyznać potrzeba niezwykle hart i rzadką cierpliwość wobec niezliczonych chorób artystów i przeszkód niemniej ważnych. Choroby p. Bendy, p. Hoffmann, p. Szymańskiego i t. d. i t. d., burzyły bezustannie system repertoaru. Mimo tego, mimo niezliczonych innych trudności, widzieliśmy prawie zawsze wykończone przedstawienia, a żadna scena polska nie dała swej publiczności tyle dzieł nowych, mających rzeczywistą wartość; oryginalnych polskich, nie wystawionych na innych scenach, lub obcych, grywanych tylko w pierwszorzędnych teatrach.

C.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 czerwca.

Już to tak zawsze się dzieje od rozbioru, że jedna z dzielnic polskich powołaną jest w danej chwili do odegrania wybitniejszej roli, przedstawiając albo zbiorowe interesa polskie, albo najważniejsze dla społeczeństwa polskiego, dla ducha polskiego sprawy. Nie dawno temu jeszcze, zdawać się mogło, że jeżeli już nigdy, to przecież nie tak prędko do tego posłannictwa powołanem będzie W. Ks. Poznańskie; lecz i tu zawiodły rachuby ludzkie, a dzięki polityce ks. Bismarka, ważność tej prowincyi wzrasta w jednej chwili nadspodziewanie i przypało jej w udziale dziejowe wielkiej doniosłości zadanie, zadanie nie tylko bronienia ale może nawet zupełnego poświęcenia się zarazem dla najżywotniejszych interesów polskości i dla najświętszych w świecie spraw, dla sprawy wolności sumienia, dla sprawy godności ludzkiej, i prawdziwej cywilizacyi, bo porządku tak społecznego jak nieoddzielnego od niego porządku moralnego. Ile razy od rozbioru sprawa polska wybitniejsze zajmowała stanowisko, tyle razy łączyła ją mniej lub więcej silna spójnia z ogólnem położeniem, z najważniejszymi zadaniami lub zagadkami świata i Europy; nigdy przecież tak wyraźnie jak obecnie kiedy w ks. Poznańskiem rozpoczęła się już nie teorytyczna ale praktyczna walka na polu, na którem losy ludzkości mają się rozstrzygnąć, i w sprawie, która obecnie stała się tak wyraźnie osią wszystkich spraw innych i głównym celem wszystkich tego świata zapasów. Bo w samej rzeczy nie tylko w księstwie rozgrywa się obecnie gra o to co przez wieki i do dnia dzisiejszego stanowiło treść ducha i społeczeństwa polskiego, ale zarazem rozstrzygają się najważniejsze zadania ludzkości, obejmujące wszy-

stkie nie tylko interesa, ale i potrzeby moralne i polityczne tegoczesnych społeczeństw, i to właśnie nadaje, że tak powiem, pewien wysoce dramatyczny charakter położeniu, że właśnie ta najmniejsza najbardziej zgnębiona dzielnica polska, pierwsza powołana została stawić czoło czynem wielkiej burzy niszczącej i walącej podstawy społeczne i obalającej cały dotychczasowy stan rzeczy już nie tylko w jego formach ale w jego treści. Czy księstwo podało temu wielkiemu dziejowemu zadaniu? Doprawdy że tu trzeba wezwać na pomoc wiarę w cuda, wiarę w owe nadzwyczajności, które przecież nieraz zdumiawają swoją rzeczywistością w dziejach. Dotąd wszystko, z małemi wyjątkami bezwyznaniowego dziennikarstwa, zdaje się upoważniać do nadziei, że ogół spełni do końca swój obowiązek, z tą godnością i spokojem, wytrwałością i wytrawnością, których przykład dał Arcybiskup Leduchowski a za nim duchowieństwo. W takich wypadkach zbawienia jedynie szukać należy w ściślej spójni między wszystkimi warstwami społecznymi, między ludem, szlachtą i duchowieństwem. Na gruncie stworzonym obecnie przez ks. Bismarka, nie tylko że nic nie przeszkadza lecz przeciwnie wszystko przemawia za tą spójnią, chociażby przed tem w życiu zwykłym odcienia przekonań i zdań dzieliły między sobą ludzi. O duchowieństwie wątpić już nie można, teraz idzie o to aby do końca a nawet do ostateczności wytrwała szlachta wraz z ludem jak lud wytrwał w Chełmskim. Niech wszyscy, którzy myślą i czują w W. Księstwie, niezapominają, że od ich zachowania się, od ich wytrwałości zależne są nie tylko losy jednej części Polski, ale przyszłość ducha i myśli polskiej, a niewątpimy że wtedy bez wachania spełnią do ostatniej godziny swój obowiązek. Świetny mamy tego dowód w deputacyi sejmu prowincjonalnego i przemówienie p. Żółtowskiego do ks. Biskupa Janiszewskiego, jak z drugiej strony w odpowiedzi ks. Janiszewskiego tak spokojnej a godnej widzimy cały program dalszego postępowania dla W. Księstwa Poznańskiego w tych trudnych i trwałych lecz arcyważnych chwilach, program którego trzymać się należy ściśle. Obecne wypadki w W. Księstwie dla tego zawsze napełniają nas otuchą, że ze strony polskiej odbywają się bez frazeologii i nieodłącznej od niej fanfaronady; tę właśnie cechę miało owo pełne znaczenia i treści przemówienie Biskupa Janiszewskiego, które stoi przed nami jako słóp milowy na tej ciernistej drodze.

Po szczegóły ważnych i doniosłych wypadków w W. Księstwie odsyłamy do obszernej korespondencyi z Poznania, umieszczonej w tym zeszycie naszego pisma; niebawem zaś ukaże się w *Przeglądzie* osobny w tej sprawie artykuł. Co do nas, kończąc tych słów kilka zwrócić jeszcze musimy uwagę na Chełmskie i na przykład, który nam tam młodzi dali bracia. Zmiany ostatecznie zaprowadzonemi zostały tam tylko gdzie nie było

oporu lub gdzie opór był słaby; tam gdzie napotkano niezachwianą wiarę i wytrwałość dotąd złowrogich niezaprowadzono zmian.

Wśród zwykłej w tej porze posuchy politycznej z spraw ważniejszych u nas, zapisać jedynie wypadka zmianę znaczącą w ministerium wojny. Nic z tego co obchodzi ogólne interesa monarchii, obojętnem nam być nie może, tem więcej wszystko co się tyczy siły zbrojnej a więc bezpieczeństwa naszych granic, dla którego zawsze a słusznie tak chojnemi okazywali się nasi reprezentanci. Od dawna poważne głosy odzywały się potępiając administrację wojskową i że tak powiemy liberalno-demokratyczny kierunek, który w niej przeważał, pod szkłydlami a raczej za inicjatywą generała Khuna. Jeżeli w ogóle słabe mamy wyobrażenie o dzisiejszym liberalizmie, to tem więcej najzupełniej mu niedowierzamy w sprawach wojskowych i w wielkiej sprawie bezpieczeństwa monarchii austryackiej; dla tego też z pewnem zadowoleniem witamy zmianę zaszłą w ministerium wojny, a z tem większem zaufaniem, że ją nazwać możemy pokojową Custozą; bo zaiste pod względem bezpieczeństwa i siły wojskowej monarchii, ufamy więcej wpływowi znakomitego wodza i krewnego cesarza jak rządowi dualistycznego liberalizmu. Gdyby jeszcze powołanie bar. Köllera na ministra wojny było tylko pierwszym krokiem na drodze prowadzącej do bardziej i w innych kierunkach sprężystych rządów, tem większą obudziło by ono w nas na przyszłość otuchę.

Nie równie mniej pocieszającymi były wypadki, które w ubiegłym miesiącu zaciemniały horyzont polityczny we Francyi. Arcysmutną jest te niemoc Francyi uporządkowania się wewnątrz, arcysmutną dla niej, ale i dla ogólnego położenia europejskiego, bo dopóki nie zapanują tam ład i porządek, dopóki nie zdobędzie się ten naród na inny rząd jak na rząd z dnia na dzień, dopóty trudno dopatrzeć się możliwości uorganizowania się Europy w celu stawienia czoła olbrzymiej a groźnej dla wszystkich wszechpotęgi, która nie tylko zapuszcza swe zaborcze żądze w obce ziemie, ale także i w cudze sumienia. Trudno przewidzieć jak biedna Francya wyjdzie z owego chaosu stronnictw, który pochłania obecnie wszystko dobre, które się jeszcze w tym narodzie zostało, ale to pewna, że coraz bardziej zbliża się chwila, w której najśmielszy najpewniej zapanuje nad położeniem; nie potrzebujemy dodawać, że owym najśmielszym będzie bonapartyzm, który jeżeli przyjdzie do władzy wbrew swoim dawnym tradycjom, zamiast przedstawiać godność i niezależność Francyi w obec obcych, przedstawiałby obecnie upokorzenie i uległość bez granic wobec wrogów, a jedyną rację bytu mógł by mieć w zastąpieniu społeczeństwa znużonego i skołatanego, przed wewnętrzną anarchią, z której nie umieją

go wyrwać inne nierównie godniejsze stronnictwa w skutek braku inicjatywy i energii.

Takiej niezbędnej w rzeczach ludzkich inicjatywy i energii, daje przykład od przeszło roku zastęp ludzi walczących pod dowództwem swojego przedstawiciela w północnej Hiszpanii. Don Carlos jest to jedyny dziś pretendent czynem a nie w abstrakcyi i teorii, i o-to za przykładem tego człowieka, idą jeszcze w dzisiejszych czasach ludzie i walczą i ginąć za ideę, za zasadę, walczą i ginąć na prawdę, jakby dla świadectwa, że i w naszej opoce są ludzie zdolni poświęcić się dla przekonań i że w ogóle są jeszcze piersi ludzkie ożywione przekonaniem. Posądzać Karlistów o cośkolwiek innego jak o wierność zasadzie i sztandarowi, byłoby ludzić się co do stanu obecnego Hiszpanii i przeceniać słodycze panowania nad narodem, który żadnego rządu znieść nie umie, a którego nowoczesna historia w połączeniu z tem co się we Francyi dzieje, tak smutne nasuwa myśli o przyszłych losach łacińskich plemion.

W mieście naszym odbył się dzisiaj wybór najważniejszy bo Prezydenta miasta. Wybór to jak nieraz już mówiliśmy ważny nie tylko dla Krakowa, ale mający także znaczenie ogólnopolskie. Nigdy bowiem niezgodzimy się na to, aby pierwszą w naszym starym grodzie magistraturę zniżyć do wyłącznie lokalnego znaczenia. Z tradycyi i z obecnego położenia Kraków ma doniosłość ogólnopolską, tem samem wszystko co wpływa tu na życie publiczne, a tem samem pierwszy urzędnik samorządowy, obojętnym być nie może dla całej Polski. Czyż potrzebujemy dodawać, że właśnie dla tego po ustąpieniu takiej znakomitości jak Dr. Ditel, nie mógł wybór Rady paść obecnie więcej po naszej myśli jak powołując na tę posadę p. Zybkiewiczza, który w wysokim stopniu ma to poczucie ogólnopolskie, a który świetną i pod wielu względami wielce zosłużoną karierą polityczną zdobył sobie znane zaszczytnie w całej Polsce imię. Nie raz podczas tej pracowitej kariery nie zgadzaliśmy się z p. Zybkiewiczem, a czasem nawet przyszło nam ścierać się z nim, lecz właśnie z tych walk i sporów wynieśliśmy przekonanie nie tylko o jego niezachwianem przywiązaniu do interesów narodowych, ale także o jego gotowości poświęcenia wszystkiego, nawet siebie samego, dla ich dobra, gdy mu to sumienie i przekonanie wskazywały. Są to tak ważne a rzadkie dziś rękojmie, że napełniają nas otuchą co do przyszłości naszego miasta. Wybór dopiero co dokonany nabiera także niezwyklej u nas praktycznej doniosłości, wobec spoczywającej dotąd bezużytecznie półtora-milionowej pożyczki; jest to rzeczywista podstawa dla działalności przyszłego Prezydenta, a zaiste miasto nasze godnem jest, aby te rozporządzalne środki zużytkować dla tem większej jego świetności i odpowiednio do jego tradycyi i przeszłości; tego domagać się ma prawo nie tylko sam Kraków, ale całe spóte-

czeństwo polskie, dla którego, o ile pozostało polskiem, Kraków nie przestanie być nigdy celem pobożnych narodowych pielgrzymek i przedmiotem serdecznej miłości. Że pod tym względem p. Zybkiewicz rozwinie jak największą energię przy najlepszych i najlepiej zrozumianych chęciach, o tem ani na chwilę nie wątpimy. Nie pomylimy się także zapewne twierdząc, że p. Zybkiewicz pojmuje doskonale owo ogólnopolskie znaczenie Krakowa, o którym na początku mówimy, że wie czem dziś Kraków może być i powinien być dla całego narodu, czem może mu przewodniczyć lub dopomagać, że nie zapozna on na chwilę powołania Krakowa pod względem umysłowym, naukowym, artystycznym, jednym słowem, że nie zapozna znaczenia jego dla wiedzy i wykształcenia narodowego, i że tem samem przy innych pracach mających dobro miasta na celu, zdoła on stworzyć tutaj i coraz więcej rozszerzać ognisko życia intelektualnego dla Polski, którego sam będzie jednym z kapłanów.

St. Koźmian.

PRZEGLĄD P O L S K I.

ROK IX.

Zeszyt II. Miesiąc Sierpień 1874.



Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.



W KRAKOWIE
W Drukarni Leona Paszkowskiego
pod zarządem Józefa Zakocińskiego.
1874.

ARRIA

Tragedya w trzech aktach wierszem

przez

JÓZEFA KOŚCIELSKIEGO.

Przedstawiona po raz pierwszy na scenie krakowskiej 17 Maja 1874 r.

OSOBY:

CECINA PETUS	Pan Ładnowski B.
ARRIA, jego żona	Pani Ładnowska.
AFRANUS, jego wyzwoleniec	Pan Wardzyński.
MESSALINA, żona cesarza Klaudyusza	Pani Hoffmann.
LEENA, hetera	Panna Wojnowska.
FURIUSZ KAMILUS SKRYBONIANUS, } Spiskowi	Pan Dłużewski.
PUBLIUS EGNATIUS CELER, filozof } sekty Cyników	Pan Siedlecki.
LIKTOR	Pan Pichor.
1szy Spiskowy	Pan Glikson.
2gi "	Pan Bogucki.
3ci "	Pan Roger.
4ty "	Pan Nowakowski.
1szy Mieszczanin	Pan Ładnowski A.
2gi "	Pan Klepacki.
1 z Ludu	Pan Nowak.

Rzecz dzieje się w Rzymie, za panowania Cesarza Klaudyusza.

Akt I.

SCENA 1.

Atrium w domu Ceciny Petusa.

PETUS, ARRIA.

ARRIA.

Znowu wychodzisz? — już dzisiaj raz trzeci
Kroki swe z domu kierujesz na miasto —
Czyli za wolnem ci skrzydłem czas leci
Tu między przodków posągi?

PETUS.

Niewiasto

Puszczasz już wodze niewieścim przywarom:
Złą jest ciekawość!

ARRIA.

Lecz czułość jest dobrą!

Kiedy cię nie ma tęsknoty się czarom
Bronić nie umiem, nie jestem tak chrobrą.
Tyś domu słońcem, bez ciebie tu lody....

PETUS.

Żono rycerza rzymskiego, o pomnij,
Męża rozliczne wołają przygody,
Miejscem dla niego jest forum i senat...

ARRIA.

Memi świadkami niech będą przytomni
Twoi penaci, że niechęć byś mię nad
Sprawy publiczne przekładał — lecz zawsze
Smutno gdy idziesz.

PETUS.

Są rozłąki krwawsze
Niż te, a przecież dla publicznej sprawy
Ponieść je trzeba — lecz nie myśl ty o tem,
Gwiazdy powrotu nad głową mi świecą.

ARRIA.

Zawsześ mi tak mężki, zawsze tak prawy,
Przecież twe wyjście przeszywa mię grotem;
O ja inaczej marzyłam dziewicą
Pierwsze małżeństwa słodycze!

PETUS.

O dziecię!
Zawsze przy tobie myśl moja, i chętnie
Kroki wyprzedza do ciebie przez brzmiające
Pustką kawedium.

ARRIA.

Więc zostań mi przecie.
Gdybyś ty wiedział jakie w serca tętnie
Chowam dla ciebie pieszczoty gorące
Zostałbyś!

PETUS.

Puść mię — iść muszę.

ARRIA.

Już nocą
Świat się zaciąga, gdzie idziesz? — i po co?

PETUS.

Idę gdzie chodzą Rzymianie — na forum! —
Po co? — pytanie w twych uśmiechach zbyteczne.

ARRIA.

Wszyscy już w cyrku są tak późną porą,
Może tam dążysz?

PETUS.

Igrzyska te sprzeczne
Z moim umysłem, wiesz o tem, krew cenię
Nadto wysoko by klaskać szalony
Kiedy się niecnie rozlewa w arenie:
Niechaj tam chodzi ów motłoch zelżony,
Który krwi łąknie, gdzie strugi jej płyną
Bieży spragniony, bo sam jej zamało
Ma, aby zdławić tyrana!

ARRIA.

Cecino

Kocham cię! — dumnie w tej chwili zadrżało
Rzymskie ci serce — ja kocham cię!

PETUS.

Luba,

Skarbie mój drogi, i ja kocham ciebie.
Jam sądził, że już wymarły kapłanki,
Ciebie ujrzałem — znalazła się zguba.
Reszta to tylko kobiety — w potrzebie
Z nich niewykroisz matrony Rzymianki:
Kocham cię Arrio!

ARRIA.

Więc zostań mój drogi!

PETUS.

Znowu! — o Arrio, swe znając ponęty
Winnaś nie kusić Petusa, gdy nowa

Praca domowe porzucić gna progi.
Żegnaj!

ARRIA.

Więc idziesz! — lecz wracasz?

PETUS.

Bądź zdrowa.

Wracam niebawem, — jeżeli przekłety
Los da powrócić.

ARRIA.

O nieba!

PETUS.

Zaniechaj

Lęku, powrócę.

ARRIA.

Drzę cała od trwogi:
Takiś mi nigdy nie był uroczysty;
Coś mi ukrywasz.

PETUS.

Nie dziecię.

ARRIA.

O niechaj

Słyszę raz jeszcze że wrócisz....

PETUS.

Gdy Bogi

Zechcą, powrócę.

ARRIA.

Przyrzekasz?

PETUS.

O droga!

Wiesz, nigdy ludzki los nie jest przejrzysty. —
 Wolny Rzymianin w tym wieku niesławny
 Skoro swą stopę oderwie od proga
 Przysiądź nie może że wróci, co staje
 Czycha na niego tyrana wzrok krwawy,
 Zwykła to kolej niewoli i nędzy....
 Bądź dobrej myśli mi, Bogom oddaję
 Ciebie i kroki me! (*wychodzi*).

ARRIA.

Wracaj co prędzej!

SCENA 2.

ARRIA (*sama*).

Poszedł — on poszedł okrutny, głos żony
 Jeszcze tak nowy mu w uchu, a przecie
 Głuchy na niego; — niepokój mię srogi
 Gna jakby fury węzami — zasłony
 Unieść się lękam, co kryje kobiecie
 Zamysł mężowski, gdy rzucił jej progi.
 Jeszcze nie wraca? — wszak poszedł dopiero,
 Biedna ma głowa, mój Petus tak prawy
 Miałżeby jaką myśl chować nieszczerą...
 Nie, niepodobna! — publiczne to sprawy.
 Dawne marzenia odżyły mu w łonie,
 Jarzmo mu ciśnie kark rzymski, niezgięty....
 Lecz czemuż by to ukrywał swej żonie?
 Wie żem Rzymianka, że na bój tak święty
 Sama miecz wcisnę mu w dłoń na tyrana,
 Głosu wolności wysłucham bez drżenia,
 Wie ile cierpię, że Rzym znalazł pana!
 Onby nie tał mi nic — Przypuszczenia'
 Straszne — czy miłość by inna, o Bogi!
 Straszno pomyśleć! zaledwie hymenu
 Śpiewy ucichły, miałyżby te progi
 Brzmieć pogrzebnego oddźwiękiem już trenu,

Jabym niezniosła, umarłabym raczej!
 Ha, precz odemnie wy furee zazdrości!
 O mój Cecino, ty broń od rozpaczey.
 Tu przy mem sercu zdroj większy miłości
 Niż pod cyrkowych lubieżnie chlamidą,
 Z sztucznym rumieńcem, barwioną żrenicą...
 Jeszcze nie wraca! — odejdę w komnaty
 Skoro mi chwilę leniwo tak idą.
 Pójdę uzbroić się w broń kobiecą:
 Włosy utrefię, — w szkarłatne się szaty
 Strojniej przybiore, olejków się wonią
 Każę namaścić, — przed taką się bronią
 Ty nie ostoisz, a żeś mię zasmucił
 Musisz mi zostać, — lub wrócić, gdyś rzucił. (*odchodzi*).

SCENA 3.

MESALINA. AFRANUS.

MESALINA.

Wyszedł, powiadasz?

AFRANUS.

Widziałem przed chwilą
 Jako na forum kierował swe kroki.

MESALINA.

Po co?

AFRANUS.

Pozory zbyt często mię mylą
 Abym mógł sądzić.

MESALINA (*rozglądając się*).

Dom macie wysoki,
 Piękny!

AFRANUS.

Mój pan ma dom piękny!

MESALINA.

Tak, jemu

Cezar nie sprostą sam, w domu bogatym
Musi wam dobrze być pewno?

AFRANUS.

Mojemu

Panu jest dobrze!

MESALINA (*spojrzawszy nań badawczo*).

Jak siebie mianujesz?

AFRANUS.

Pan mię Afranem nazywa.

MESALINA.

A zatem

Jesteś niewolnik i służbę sprawujeś?

AFRANUS.

Jam wyzwoleniec Ceciny.

MESALINA.

Goręcej

Za to go kochasz żeć wolność dał?

AFRANUS.

Boska —

Ja go tak kocham, jak wilk kocha rękę,
Która go karmi!

MESALINA.

Pożądasz coś więcej

Okrom wolności?

AFRANUS.

Czy żądam? — to troska

Moja codzienna, nie tobie tę mękę
Znać.

MESALINA.

Cóż więc żądasz?

AFRANUS.

Wszystkiego! — imienia,
Stanu, majątku i szczęścia!

MESALINA.

Nie wiele!

AFRANUS.

Bo czemuż drogę mą los mi zacienia
Gdy innym tylko rozkoszą się ściele!
Petus szczęśliwy!

MESALINA.

Czy dobrym jest panem?

AFRANUS.

Dobrym, i to mię rozdrażnia tem bardziej,
Dba o swe sługi, nie gardzi mym stanem...
O, gdyby ze mną obchodził się twardziej
Zgniótłbym go, tak go nienawidzę!

MESALINA.

Za co?

AFRANUS.

Za co? ha, za to że wolnym, bogatym,
Togę szkarłatną ma, dom pozłocisty,
W domu nadobną małżonkę...

MESALINA.

Dość na tem!

Kochasz się w pani?

AFRANUS.

Pożądam jej raczej.

MESALINA.

Mnie to masz czoło mówić!

AFRANUS.

Nie inaczej ;

Komuż mam prawić o nędzy żywota,
Jeśli nie tobie, co nieznasz tej nędzy:
Tobie istnienia nic snuje się złota,
Nieznasz wśród łona piekielnej tej jędzy,
Która przez zawiść każe nienawidzić
Wszystkich szczęśliwszych.

MESALINA.

Pocynam się brzydzić

Stanem twej duszy, żądzą twego łona;
Tyś wolny przecież, i nie dość ci?

AFRANUS.

Wolny!

Wolność, to także kość z łaski rzucona;
Ongi, gdzie żyje lud męzny i rolny
Przodki me byli królami!

MESALINA (*pogardliwie*).

Barbary!

Roma jest panią, a boskie cezary
Romy panami. — Lecz powiedz Afranie
Czyli to prawda co mówią na dworze,
Że pan twój z Arrią to para gołębi
Tak się kochają, — czy prawda?

AFRANUS (*ponuro*).

Być może.

Szczesny ten gołąb, co zazna kochanie
Nim wzrok wytropi go zdala jastrzębi.

MESALINA.

Słuchaj Afranie, to bogi mi wiodły
Kroki ku tobie: gdy zburzysz to stadło
Dzięki jakiegobądź potwarzy lub sztuce,
Liczyć nie będę sesterców coć rzucę.

AFRANUS.

Jakiż w tem powód?

MESALINA.

Śmiesz pytać mię podły!
(*na stronie*) Ach to uczucie mną całą owładło,
Strasznie, potężnie namiętność mną ciska;
Trzebaż by zmysły ku temu zawrzały,
Który jedyny u łona ogniska
Rozgrzać się nie dba! Petusie mój stały,
Zimny Petusie, wiedz że Mesalina
Przeszkód niezwykła gdy pierś jej niesyta.
(*głośno*) Sądzisz że zdołasz.... to trudne zadanie,
Arria cnotliwa.

AFRANUS.

Lecz Arria kobieta.

MESALINA.

Nędzny!

AFRANUS.

Jak każesz pani, tak się stanie;
Ale zapłata?

MESALINA.

Masz drogę otwartą,
Wszystko przyrzekam....

AFRANUS (*kończąc*).

Lecz mało dotrzymam.
Jednak za cenę tę spróbować warto.

MESALINA.

Podły! słuchając cię płonę, że nie mam
Tutaj ze sobą i różg i liktorów,
Drżałbyś!

AFRANUS (*z uśmiechem*).

I po co? wszak masz senatorów;
Głowy szlachetne, gdy fasce twe koszą
Muszą cię większą napawać rozkoszą
Niżli łeb podły służalca.

MESALINA.

Milcz sługo!

Rzekłam, — mą wolę znasz, działaj skutecznie,
Czynię ci zaszczyt rozmowy zadługo.
Bieżaj w komnaty i pani się grzecznie
Skłoniwszy powiedz, niech przyjsčia niezwleka.
Musi dbać o nią boska, kiedy czeka! (*Afranus wychodzi*)
(*po chwili milczenia*) Arria! tak wątła, i dziecię na poły
Moją rywalką! — czyją? — Mesaliny!
Trudne nie będą zwycięstwa mozoły,
Trudność jedyna — u piersi Ceciny!
Prędzej nie spocznę aż w moich go ramion
Uścisk oplotę, na czoła pogodzie
Śród pocałunków wypiszę mu znamion
Wyraz rokoszy, i żar stopię w lodzie
Mego przesytu! — o dziecię nicości,
Kochać śmiesz, kędy chce boska miłości?...
Walka więc z nami, i walka to krwawa:
W twem sercu płomień, lecz w piersi mej — lawa!

SCENA 4.

MESALINA. ARRIA.

ARRIA.

Boska mię żąda?

MESALINA.

Tak, boska cię żąda.

(*na stronie*) Nędzna, jak piękna! ułóżmy oblicze.

• ARRIA.

Cóż winien dom mój że ciebie ogląda.

Co rozkazujesz?

MESALINA.

Mów raczej: co życzę.

Tyś tu królową, panujesz pięknoscią,

Tobie przystoją rozkazy.

ARRIA.

O boska,

Nie wiem jak w domu cię przyjąć z godnością:

Szczupłe w nim ściany.

MESALINA.

Za szczupłe na tyle

Wdzięków. O twojej piękności pogłoska,

Wbrew wszystkim miasta pogłoskom, nie kłamie.

ARRIA.

Raz jeszcze pytam, co twoje rozkazy?

MESALINA.

Czekaj, wprzód muszę rozeznać, o ile

Silną być umiesz, bo losu cię ramię

Dotąd nie gniozło, nieprawdaż?

ARRIA.

Wyrazy

Ciemne mi, przecież coś w piersi ubodło!

MESALINA.

Biedne me dziecko, wiesz co mi tu wiodło

Kroki?

ARRIA.

Nie pojme.

MESALINA.

Współczucie.

ARRIA.

O Pani!

Petus...

MESALINA.

Czy bardzo ty kochasz Petusa?

ARRIA.

Żali go kocham? — Wenus Amatusa
 Czysta i święta, w synowskim kołczanie
 Nieznalazłaby gorętszej już strzały
 Nad tę, co padła mi serce splomienić!

MESALINA *(żywo)*.

O! ja pojmuję to!

ARRIA *(zimno)*

Wątpię, zapaly

Moje są czyste.

MESALINA *(na stronie)*.

Nikczemna, rumienić
 Muszę się przed nią, ta maska mi ciąży.
 Kto się sprzymierzy z zazdrością — zwycięży!
 Śmiało do dzieła *(głośno)*. O biedne me dziecię,
 Smutno mi patrzeć na ciebie, tak rzewną,
 Maszże przecucie zawodów na świecie?

ARRIA.

Zawód? — o Bogi!

MESALINA.

Jesteśże ty pewną
Że cię mąż kocha?

ARRIA (*na stronie*).

Przed nią się nie zdradzę.
(*głośno*) O tak, jam pewną!

MESALINA.

Zachowaj więc, radzę,
Lekkie omamień obłoczki, inaczej
Trudno się w życiu obronić żalobie.

ARRIA (*na stronie*).

Bogi!.... ja pytać jej? — nigdy! — o raczej
Wolę nie wiedzieć,

MESALINA (*na stronie*).

Jad działa.

ARRIA (*po chwili milczenia*).

Nie mogę!
(*głośno*) Pani, ty wiesz coś?

MESALINA.

Być może, lecz tobie
Wiedzieć nie trzeba.

ARRIA.

Zraniłaś niebogę
Zabij do reszty! (*na stronie*) O hańbo, niewiasta
Rzymska się płaszczę przed kobiet zakałą!
(*głośno*) Mów twe domysły.

MESALINA (*znacząco*).

Domysły?

ARRIA.

Więc pewnoś?—

Nieba!

MESALINA (*na stronie*).

Iskierka już w płomień urasta,
 Żywo rozdmuchać. (*głośno*) Pojmuję twą rzewność,
 Więc przestrzedz pragnę, by tarpejską skałą
 Szczęście nie było twe, z której wśród drzenia
 Spadniesz w bezdenne przepaście zwątpienia.

ARRIA.

Mów, już w kamienność me serce stężało.

MESALINA.

Wiesz kędy Petus?

ARRIA.

Na Forum.

MESALINA.

Za mało
 Znasz jego kroki: twój mąż w tej godzinie
 W Cyrku.

ARRIA.

Ty kłamiesz!

MESALINA.

(*wyniosłe*) On w cyrku!ARRIA (*z rozpaczą*).

Boginie,

Łaski, ratunku!

MESALINA.

Ty bóstwo niewieście,
Skromna ogniska rodziny westalko,
Znasz ty Leenę!

ARRIA (*z pogardą*)

Hetera!

MESALINA.

Po mieście

Tak ją mianuje pospólstwo, rywalką
Rzymskie kobiety, a nasi Rzymianie
Zwą ją boginią, cytarejskiej pianie
Wdzięczni za ród jej.

ARRIA.

Cóż dalej?

MESALINA.

O biedna.

Wątkiem twem sercem jej siły nie złamiesz,
Nad jej potęgą płakała niejedna . . .

ARRIA.

Petus . . .

MESALINA.

Jest w cyrku i przy niej!

ARRIA.

Ty kłamiesz!

MESALINA.

W cyrku zgiełk, wrzawa: jak morza bałwany
Wał się głów ludzkich odbija o ściany
Lawą piętrzącą; niejeden gladiator
Zarył się w piasku w męczarniach konania,
Tygrys niejeden na cios pierś odsłania,

Rycerz, plebejczyk, i kmieć i senator
Woła zwycięzców, z pokonanych szydzi,
Petus jedyny nie słyszy, nie widzi.
Stopy ściskając Leeny, jej wzroku
Szuka swem okiem, wśród fałdów potoku
Barwnej chlamidy twarz ukrył i skronie:
Słów niedosłyszeć, lecz widać, jak płonie!

ARRIA.

Przestań, okrutna!

MESALINA.

Szept wionął naiwny
W cyrku, że Petus twój smak ma przedziwny.
Bo żonę piękną i piękną kochankę.

ARRIA.

Przebóg, to sen jest!

MESALINA.

A znawcy (jest wielu
Znawców), szeptali, że kto raz w jej tkankę
Wpadnie pajęczą, ten chyba u celu
Życia i mienia rozmota tę przedzę.

ARRIA.

Sroga, wszczepiłaś w pierś zazdrości jędzę.
Niechęć ci wierzyć, a jednak ci wierzę.

MESALINA.

Chceszli przekonać się że mówię szczerze,
Chodźmy do cyrku.

ARRIA.

Przenigdy!

MESALINA.

A przecie

Tambyś widziała . . .

ARRIA.

Masz czoło kobiecie
Żywą jej hańbę wskazywać na oczy?
Ja widzieć razem ich... nigdy!... Rzymianka
Nie da sromocie do siebie się zbliżyć:
Można ją zhańbić, nie można poniżyć!

MESALINA.

Zostań więc, gdy tam w lubieżnych warkoczach
Więzy, skroń męża oplata kochanka.
Tak może działa, jeśli to zaleta,
Rzymska matrona, ale nie kobietą!

ARRIA.

Petus, bożyszczu me!

MESALINA.

Wiem, że Leena
Także bożyszczem go zowie.

ARRIA.

Okrutna,
Ty mi urągasz!

MESALINA.

O dziecie, to cena
Mego współczucia? — ja widzę, żeś smutna
Idę więc z radą; chodź, przytul się do mnie...

ARRIA.

Stój, w twojej piersi drga serce nieskromnie!

MESALINA.

Dziecko! a Petus mimo twe pieśszoty
Czyli skromniejszy?

ARRIA.

O Bogi!

MESALINA.

Bądź mężną.

ARRIA.

Ach, więc tak wcześniej sen wysnuł się złoty!

MESALINA.

Słaby rozpacza: ty nieznasz swej siły,
Niewiesz kobieta jak bywa potężną
Skoro zawody jej serce żywiły.
Mnie ufaj, dziecię, a gdy tylko szczerze
Zechcesz, powróci ci Petus.

ARRIA.

Niewierzę!

MESALINA.

Bo nieznasz życia i nieznasz mężczyzny,
W twoim on ręku, gdy chcesz.

ARRIA.

O mów!

MESALINA.

Widzisz,

Piers twoja wrota walką. Z nich każdy łaknący
Wrażeń, szlak życia gdy w nowość nieżywny
Pusty im; szkoda, że tak nienawidzisz
Życia na dworze.

ARRIA.

Przenigdy!

MESALINA.

Ten brzącały

Tęm wieleby cię nauczył.

ARRIA.

Naprzód

Jak godność stradać.

MESALINA.

Naiwne ty dziecko,
Ty wierzysz temu? to tylko ułudy
W które cię Petus kołysze zdradziecko,
Byś, jak za domem żyje, niewidziała.

ARRIA.

Zdrajca! o bogi, jam go tak kochała!

MESALINA.

Właśnie dla tego cię rzucił, spokojna
Miłość małżonki, ta łacniej zniechęca
Mężów, niż miłość namiętnością zbrojna.

ARRIA.

Czemuż nademną los srogi się znęca,
Umrę!

MESALINA.

Żyć będziesz, i żyć dla Ceciny.

ARRIA.

Maszże nań sposób?

MESALINA.

Mam sposób jedyny.
Słuchaj, co pewne, to mało człek ceni,
Co zagrożone, to oburącz chwyta,
Gdy się we wieńcu z piękności promieni
Na dworze jak ty ukaże kobieta,
Będzie wszech spojrzeń ogniskiem i celem;
Chciej błyszczeć, błysniesz

ARRIA.

O nigdy!

MESALINA.

Weselem

Pokryj twój smutek, twój Petus niestały
Legnie u stóp ci.

ARRIA.

O, wolę wiek cały
W smutku przeżyć, przetręsknąć samotna,
Niżli być jako jedna z was, błyszcząca
Blaskiem zwodniczym, z gadziną toczącą
Pierś.

MESALINA.

Miłość męża jest więc bezpowrotną.
Płacz na jej grobie i konaj z tęsknoty:
W życiu ten tylko, kto ginąć chce, ginie.
Żegnaj!

ARRIA.

O zostań!

MESALINA (*na stronie*).

Pokusy jej sploty
Serce zwikłały.

ARRIA (*na stronie*).

Już niewiem co czynię.
(*głośno*) Mówisz więc . . .

MESALINA.

Boleść, to chwila przelotna,
Wróci twój spokój, z nim żądza miłości:
Chceszli, sam Cezar do stóp ci się rzuci,
Sam władzca świata.

ARRIA.

O nadmiar podłości,
Ty śmiesz to mówić!

MESALINA.

Z przyjaźni dla ciebie.

Przeszłość zapomnij, twój Petus nie wróci,
W łożu Cezara być, to być już w niebie:
Wielkość, bogactwa, klejnoty . . .

ARRIA.

Nikczemna

Wychodź!

MESALINA.

Co? — gadzie!

ARRIA.

Kobietu najemna —

Wychodź!

MESALINA.

Mnie mówisz to, żonie cesarza.

ARRIA.

Mówię to jędzy, co skromność znieważa.
Wychodź!

MESALINA.

Zuchwała, wiedz: jesteś już w grobie.

ARRIA.

Wolę grób zacny, niż życie przy tobie.

MESALINA.

Jak grom Jowisza jest gniew Mesaliny.

ARRIA.

Czystość kobiety — mój oreż jedyny.

MESALINA.

Zgniotę na proch cię, gdy stoisz mi w drodze.

ARRIA.

Inną ja drogą niż ty w życiu chodzę.

MESALINA.

Żono Ceciny — chcesz walki, więc walka;
Zginiesz!

ARRIA.

Pojmuję! — tyś moja rywalka!

MESALINA.

Rzekłaś! — ty wiesz, to i żyjesz — zuchwała?

ARRIA.

Wiedząc co cnota — śmiesz stać przed nią cała?

MESALINA.

Nędzny robaku, jam wszelkie przeszkody
W życiu kruszyła, i ciebie powalę.

ARRIA.

Tobie nie można uczynić tej szkody
By cię powalić — bo już jesteś w kale!

MESALINA.

Ha, szal mi dziki pierś całą zażega,
W każdym zakątku mej piersi namiętnie
Wyraz się zemsta echowo rozlega,
Wiesz, jaki płomień drga w piersi mej tętnie!
Spieszę do zemsty, a na pożegnanie
Rzucam ci wyrok śmierci! (*wybiega*).

ARRIA (*za odchodzącą z godnością*).

Niech się stanie!

Zmiana.

SCENA 5.

Plac przed Cyrkiem.

ARRIA, AFRANUS.

ARRIA.

Kędyż jesteśmy?

AFRANUS.

Przed cyrkiem, o pani.

ARRIA

Przed cyrkiem! tam więc, w tej czarnej otchłani,
Zkąd brzmi ryk tłuszczy krwi pianej widokiem,
Zasiadł Cecina, me serce pod stopy
Kładąc heterze! O czemuż się okiem
Wtargnąć nie mogę do wnętrza.

AFRANUS (*na stronie*).

Ukropy

Jadu, zazdrości, jak płat Dijaniry
Pierś jej objęły.

ARRIA (*do Afranusa*).

O powtórz raz jeszcze
Co już mówiłeś; żałoby mi kiry
Serce powlekły, wysłucham bez drżenia:
Tyś wiedział o tem?

AFRANUS (*na stronie*).

Wyrok potępienia

Wydam jej; łzami jej smutku się pieścę,
Zanim ją samą pochwycę w ramiona.
(*głośno*) Pani, rzuć płacze: nie pierwsza ty żona
Zdrady ofiarą.

ARRIA.

Więc prawda!

AFRANUS.

Niestety

Prawda; u łona wszetecznej kobiety
Petus zapomniał o żony pieszczocie.

ARRIA.

Nędzny, poświęcił mię niecnej istocie!

AFRANUS.

Gdyby Afranus był mężem swej pani,
Całoby życie poświęcił li dla niej
Tylko.

ARRIA.

Zuchwały!

AFRANUS (*na stronie*).

Ot krew rzymskich matron!
Lub będziesz moją, lub pastwą Erebu!
(*głośno*) Chodźmy ztąd pani, skończone teatron,
Jakieś postacie wychodzą z przedsienia.

ARRIA.

Jeśli to oni, dzień mego pogrzebu
Nadszedł.

AFRANUS.

Filarów nas skryją półcienia
Tam; spieszmy . . .

ARRIA.

Umysł pewności już bliski,
Potem mogiła!

AFRANUS (*wychodząc za nią, na stronie*).

Wprzód moje uściski!

SCENA 6.

SKRYBONIANUS, EGNATIUS.

SKRYBONIANUS.

Roma.

EGNATIUS.

Legiony.

SKRYBONIANUS.

A to ty, Publiusz,
Już z cyrku?

EGNATIUS.

Dobryś! — dopiero, mów raczej.

SKRYBONIANUS.

Czy Cezar znowu ci wiersze do uszu
Brzęczał?

EGNATIUS.

Ten człowiek mię pcha do rozpaczy.
Przyznaj Furiuszu, że ciężka to sprawa,
Słuchać wciąż wierszy Cezara, i chwalić!

SKRYBONIANUS.

Lecz za to bardzo smakuje ci strawa
Jego wieczerzy.

EGNATIUS.

Nie przeczę.

SKRYBONIANUS.

Więc żalić
Nie masz się prawa. Lecz teraz do celu
Naszej dziś schadzki: cóż wiesz przyjacielu?

EGNATIUS.

Nic!

SKRYBONIANUS.

Tak jak zawsze!

EGNATIUS.

O! bardzo cię proszę,
Wszakże spiskowym co dnia wieści znoszę:
Wczoraj mówiłem że jadłem mureny

Wespół z Cezarem; dodałem ich ceny
By ich oburzyć. Dziś wprawdzie nic nie wiem
Nad to, że znowu jeść będę wieczerzę.

SKRYBONIANUS.

Niecný żarłoku, mię żądza zarzewiem
Pali, by prędzej dojrzały umysły:
Legion germański mój cały!

EGNATIUS.

Ja wierzę,
Bo też to wzięwszy pod rachunek ścisły
Dobrze Cezarem być . . .

SKRYBONIANUS (*z trwogą*).

Milcz!

EGNATIUS.

A dla czego?
Wszak mi wiadomo, że dążysz do tego.

SKRYBONIANUS.

Tobie wiadomo, lecz tobie jedynie:
Naszym spiskowym cień dawnej wolności
Trzeba wywróżyć z popiołów na chwilę
Aby wierzyli.

EGNATIUS.

Rozumiem, Cecinie
W głowie wolności chimery.

SKRYBONIANUS.

Cecina
Wzorem jest rzymskiej wygasłej zacności,
Szuka w marzeniach podstawy, nie w sile.
Lecz marzyciele — rękojmnia jedyna
Spisków.

EGNATIUS (*dobywając tabliczki*).

Pozwolisz, aforyzm ten włożę
W traktat mój nowy (*pisząc*) rękojmnia — wybornie!

SKRYBONIANUS.

Zanim przeszyją Klaudyusza pierś noże
Naszych spiskowych, winienem pozornie
Pragnąć wolności. Posłuchaj Celerze,
Ja w rzymską cnotę już dzisiaj niewierzę,
Wolę poparcie legionów, lecz spisek
Pragnę wyzyskać, wycisnąć cytrynę;
On przygotowuje do sprawy umysły.

EGNATIUS.

Tak jak przed ucztą ślimaków półmisek
Budzi apetyt, rozumiem.

SKRYBONIANUS.

Cecinę
Durzę wolnością, od tego zawisły
Losy me.

EGNATIUS.

Ja bo wolności nie pragnę,
Wiesz, ja każdemu władzcy karku nagnę,
Byleby była biesiadą zapłata.
Milsze z Cezarem mureny, niż owa
Czarna polewka, brukiew Cyncynata,
Republikańska kuchnia jest jałowa . . .
Lecz ty Furiuszu jeść lubisz, a wierszy
Nie piszesz, z twoich sług ja będę pierwszy.

SKRYBONIANUS.

Pierwszy na uczcie.

EGNATIUS.

Więc schadzka dziś jeszcze?

SKRYBONIANUS.

Dziś wieczór: zaraz ci miejsce obwieszczę:
W domu Leeny.

EGNATIUS.

Czy będzie biesiada?

SKRYBONIANUS.

Nie, czas działania nadchodzi już.

EGNATIUS.

Zdrada!

Spisek bez uczty? — bądź zdrów Skrybonianie,
Wolę Cezara nudne wierszowanie
Przy uczcie, niżli bez uczty te spiski,
Bądź zdrów.

SKRYBONIANUS.

Cyniku ty, płaski i niski,
Wolność ci niczem?

EGNATIUS.

Wszystkiem! przy pucharze.

SKRYBONIANUS.

I Petus chciałby owe blade twarze
Piętnem wolności naznaczyć! — marzyciel.

EGNATIUS.

Wiesz, jestem biesiad i pucharów czciciel,
Tak jak i Cezar; lubiłbym go za to,
Gdyby brzydkiego niemiewał zwyczaju
Czytać przy uczcie swych wierszy, ze stratą
Mego humoru; a wiersze w rodzaju
Tych, które Aleksander kiedyś płacił
Choirylusowi; jużbym się zbogacił,
Gdybym za każdy wiersz dostał jedynie
Tysiąc sesterców.

SKRYBONIANUS.

Cezar z wierszy słynie
Lecz nie z hojności.

EGNATIUS.

Niestety! — Bo proszę,
Sąż to tak wielkie przy uczcie rozkosze:
Czy wiersz jonickie ma, czy inne dźwięki,
Czy śpiewa wolność, czy kochanek wdzięki,
Czy harmonijna wnim, czy szorstka strofa,
Po co tem wszystkim nudzić filozofa,
Który nad wszystkie duchowe słodycze,
Stawia mureny, lub dzióbki słowicze!

SKRYBONIANUS.

I kielich częsty.

EGNATIUS.

Przyznaję, i twierdzę,
Żeby miał Cezar ze mnie silną twierdzę
Zamiast spiskowca, gdyby chciał być cichy . . .

SKRYBONIANUS.

„Kogoż wymownym nieczynią kielichy?“

EGNATIUS.

(sięga do tabliczek, potem namysliwszy się).

Mówi Horacy; sentencya już stara.
Żegnaj.

SKRYBONIANUS.

Gdzie idziesz?

EGNATIUS.

Na ucztę Cezara. *(wychodzi).*

SCENA. 7.

SKRYBONIANUS (*sam*).

Gniewem pierś wznosi mi niecny ten cynik!
 Lecz wszyscy tacy: to spisków jest wynik.
 Spisek jak puchar: w dole grzędów błoto,
 To lud, co trzeba poruszyć przez złoto,
 Słowa i podstęp; w górze szumowiny,
 To są wyrzutki ludzkości, z dziedziny
 Wyższej, użyciem popsuci do szpiku;
 Wino w pośrodku, co umysł rozmarza,
 To marzyciele; masz słusność cyniku:
 Cały zaś puchar w mej dłoni: — Cesarza!
 Muszę mieć wielkość! tak jak wielkość czuję,
 O tak, ja puchar ten do dna wychylę,
 Lub się rozmarzę, lub jadłem otruję . . .
 Będę Cezarem, lub prochem w mogile!

SCENA 8.

SKRYBONIANUS, PETUS, LEENA.

PETUS.

Roma.

SKRYBONIANUS

Legiony. Z Leeną Cecina.
 Witaj Petusie, co niesiesz w swej todze!

PETUS.

Togę rozwijam, jedna z niej nowina
 Pada, lecz ważna.

SKRYBONIANUS.

Podnoszę ją.

PETUS.

W drodze
Wpadła mi w ucho brukowa pogłoska:
Cezar do Ostia wyjeżdża.

SKRYBONIANUS.

O troska!
Czyliż to prawda?

PETUS.

Cyrkową nowinę
Stwierdza Leena.

LEENA.

Dziś w ranną godzinę
Palas był u mię.

SKRYBONIANUS (*śmiejąc się*).

Rzezaniec u ciebie.
Ha to rozkoszne!

LEENA.

Rzezaniec w potrzebie?
Lepszy od męża, co znosi kajdany.

SKRYBONIANUS.

Jakoś twój dowcip dziś strasznie spętany.

LEENA.

Nie na dowcipy dziś pora, ciężarna
Doba czynami,

SKRYBONIANUS.

Westalka ofiarna
Dumniej od ciebie nie może spoglądać:
Także ci pilno krew boską oglądać?

LEENA (*żywo*).

Pilno, tak, pilno, by obmyć w posoce
Krwawej, me życie zbrukane. Nie wiecie
Wstydu kajdany jak ciężkie kobiecie:
Bezwstyd, to także tyranii owoce.
Działać co prędzej!

SKRYBONIANUS.

Dziś jeszcze nie w porę.

LEENA.

Pora, to woli towarzysz.

SKRYBONIANUS.

Nie można;
Jeszcze legiony do buntu nie skóre.

LEENA.

Ciebie kochają żołnierze.

SKRYBONIANUS.

Za złoto,
Które im rzucam.

PETUS.

O Roma, sieroto!
Takżeś już niska, i podła, i zdrożna,
Że tylko kupić cię złotem, nie wskrzesić
Słowa piorunem, wolności zakłęciem!....

SKRYBONIANUS (*szydłerczo*).

Jesteś, Cecino, i będziesz dziecięciem.
Prawem i zacnem — lecz dzieckiem; od kiedy
Ludem u ciebie służalców czerechy?
Z czasów gdy imię Romy zwyciężało
Lud rzymski wymarł — pospólstwo zostało.

PETUS (z zapalem).

Obudź w pospółstwie, co nurza się w kale
Świątą wolności iskierkę, płomienie
Cnót bohaterskich zabłysną wspaniale!
Taką potęgą wolności!

SKRYBONIANUS,

Marzenie!

Wierzysz w powrotny więc blask republiki?

PETUS.

Gdybym niewierzył — umarłbym!

SKRYBONIANUS,

To trzody!

Słyszysz te na cześć Cezara okrzyki!

(*Słysząc za sceną okrzyki*).

PETUS.

Jutro ustąpią okrzykom swobody. (*po chwili milczenia*).

Twoja Furiuszu rodzina oddawna

Jak Rzym odwieczny, tak była przesławna.

W rodu zacnego potomku walecznym

Kładłem mą wiarę, wolności rękojmię.....

Czyliż zawiodłem się? czyliżby sprzecznym

Był z twym umysłem dźwięk! wolność i sława?

SKRYBONIANUS.

Przestań!

PETUS.

Niech głos mój do wnętrza cię dojmie:

Czyś ty uczciwy, czy tylko ambitny?

SKRYBONIANUS (z zapalem).

Jak ty nie zacny jedynie, lecz szczytny,

Tako swobody mnie świętą jest sprawa!

PETUS.

A więc działajmy!

SKYBONIANUS.

Działajmy?

LEENA,

I z siłą!

PETUS.

Jutro Rzym wolny, lub wolnych mogiłą!

SCENA 9.

(Lud tłumnie wychodzi z Cyrku. W głębi widać przechodzącego Cezara poprzedzonego liktorami).

LUD.

Cezar niech żyje!

Inny tłum w głębi.

Niech żyje!

LIKTOR.

Ustąpcie,

Boski tu kroczy.

LUD

W kawały nas rąbcie

Jeśli rozkaże sam boski!

ARRIA.

(wychodząc śpiesznie z ukrycia),

Co prędzej

W progi domowe! — o czemuż nie zbladło
Światło mych źrenic przed takim widokiem!*(do Afranusa)*

Ty idź Afranie za niemi, ni krokiem
Ich nieopuszczaj, aż dojdiesz tej przędzy.

LUD.

Cześć Cesarzowi!

AFRANUS (*do Arrii*).

Chociażby mi padło
Iść aż do czarnych Awernu otchłani,
Pójdę za nimi.

ARRIA,

Idź, twoja cię pani
W domu z tęsknotą wygląda (*wychodzi*).

LUD (*na prozdzie sceny*).

Niech żyje
Cezar!

SKRYBONIANUS (*z ironią*),

Czy słyszysz jak wolny lud wyje?

LUD (*za oddalającym się Klaudyuszem*).

Synu Jowisza, o boski Klaudyuszu,
Żyj nam sto wieków!

MIESZCZANIN 1,

Meherkle! cyrkowe
Sprawy to rozkosz najwyższa.

MIESZCZANIN 2.

Połowę
Życia dla cyrku, a pół dla Cezara (*przechodzą*).

PETUS.

Chodźmy ztąd.

SKRYBONIANUS.

Widzisz że wolność jest mara?

PETUS.

Nigdy!

SKRYBONIANUS.

Lud sam ci to syczy do uszu,

LEENA.

Widok ten burzy mię, serce mi ściska.

PETUS.

Chodźmy ztąd (*wychodzą*).LUD (*w oddaleniu*).

Boski, chleba i igrzyska!

(*zastona spada*).

AKT II.

SCENA 1.

*Atrium w domu Leeny.*SKRYBONIANUS, PETUS, LEENA, SPISKOWI, *później*
EGNATIUS.

1 SPISKOWY.

Miasto opuszcza, powiadasz.

SKRYBONIANUS.

Dziś jeszcze.

2. SPISKOWY.

Złe to jest omen.

3. SPISKOWY.

Przecucie złowieszcze.

4. SPISKOWY.

Źle gdy się wszystko po myśli nie klei.

1. SPISKOWY.

Kiedyż powróci!

SKRYBONIANUS.

Wiesz, Ostia, to jego

Pobyt najmiłszy.

2. SPISKOWY.

Ja nie mam nadziei.

3. SPISKOWY,

Rzućmy te spiski!

4. SPISKOWY.

I jam zdania twego.

Pani tych progów jest miłą ta zwłoka.

LEENA.

Czemuż?

4. SPISKOWY.

Bo dłużej nas będziesz oglądać.

LEENA.

O co się niedba — to trudno pożądać.

1. SPISKOWY.

Ha, ha, dziś jakoś spoglądasz z wysoka!

2. SPISKOWY.

Czyż prokonsula sycylijskich łąnów
Masz za kochanka?

LEENA.

Nienawiść tyranów

To mój kochanek, a wy jego sługi!

Sługi trwożliwe i nędzne, nie strugi
Krwi okrażają wam serca, lecz wody
Mętnej kałuże!

3. SPISKOWY.

Ot prorok swobody!
Jam jest za zwłoką.

4. SPISKOWY.

Tak, zwłoka jedyna
Skutku rękojnia.

LEENA.

Co mówi Cecina?

PETUS.

Ten tylko mężem, kto depce przeszkody.
Cezar opuszcza dziś miasto, tem lepiej
Niechże się dzisiaj grób nad nim zasklepi,
Niechże to będzie nam hasłem do czynu:
Mamy sztylety!

SKRYBONIANUS.

A on serce gminu.

PETUS.

Mamy odwagę!

SKRYBONIANUS.

A on pretorianów.

PETUS.

Wolność nas wiedzie!

SKRYBONIANUS.

A jego liktory.

PETUS.

Więc niejednego Rzym, tysiąc ma panów!
 A w zamian syna nieznajdzie dziś, który
 Herkulesową prawicą tej hydrze
 Gotów kark strącić stugłowy!

KILKU SPISKOWYCH.

Niech żyje
 Petus Cecina, on wolność nam wydrze
 Z paszczy tyrana!

1. SPISKOWY.

Mnie serce już bije
 Zemstą!

INNI SPISKOWI.

Za tobą my wszyscy, z radością!

PETUS.

Za mną nie, bracia: ze mną — za wolnością!
 Tylko po trudach jest drogą ich cena...

EGNATIUS (*wchodząc*).

Tu was znajduję.

SKRYBONIANUS.

Witaj nam Celerze,
 Wracasz więc?

EGNATIUS.

Knę się na brodę Silena,
 Że mię i wściekłość i rozpacz już bierze:
 Wiecież, wieść jaką wam niosę, kwiryçi?
 Cezar wyjechał!

KILKU SPISKOWYCH.

Zapóźno!

INNI SPISKOWI.

Bogowie

Strzegą go!

EGNATIUS.

Mówcież, czyście tu już syci,
Będzież wieczerza? — bo post nie na zdrowie.

1. SPISKOWY.

Zawód to ciężki.

2. SPISKOWY.

Igraszka to losu!

EGNATIUS.

Tak, ja sądziłem, że nieprzetrwam ciosu:
Sądźcie co tracę: wielbłądzie dziś nogi
Miano podawać! — to cios nadto srogi!

3. SPISKOWY.

Bogów go strzeże przedwiecznych przyczyna!

4. SPISKOWY.

Wszystko stracone!

EGNATIUS.

Te wina, te wina!
Baczcie, co Cezar ma w swojej piwnicy:
Wszystko to tracę: Chioskie, Lesbijskie,
Nasze, z złożonych Falernu winnicy,
Dalej Setyńskie, Masyskie, Cypryjskie,
Nawet Kampańskie, ziołami zaprawne,
Wszystko to tracę; i stoły zastawne
Mózgiem od strusiów, języczkiem od pawi,
Dalej.....

SKRYBONIANUS.

Milcz brzucha służalcze, on prawi
Duby, gdy nasze popsuly się szyki!

EGNATIUS (*żołósnie*).

Ach, a jakież to z papug paszteciki!
Nie, ja nie strawię — nie przeżyję raczej!

SPISKOWI.

Radź nam Furiuszu, radź!

SKRYBONIANUS.

Obywatele

Gnuśny się tylko oddaje rozpaczy,
Nie ten co wyższe przed sobą ma cele.
Pierwszy krok spisku zawodem się znaczy,
Drugi tem pewniej postawić wypada,
Wątek my tylko stracili dziś, nie tor;
Później podejmiem go.

1. SPISKOWY.

Dobra to rada!

SKRYBONIANS. (*do Egnatiusa*).

Mówże Publiuszu, jam żołnierz nie retor.

EGNATIUS. (*pocichu*).

Tak po dawnemu, wiem, (*głośno*) Obywatele!
Uczta nie zawsze przysmakiem się ściele,
Czasem jarzyną nikczemną, tak w świecie:
Co dnia niemożna zabijać Cesarzy,
Przysmak to rzadki i cenny, a przecie
Sprawia bogowie że pora się zdarzy
Na to przydatna. Cel jeden przed nami:
Wolność! O święty ten dźwięk jest nam znany!
Nasi Ojcowie rządzą królami,
Dzisiaj nas króle okuli w kajdany!
Hańba i wstydzie, dziś wolni kwiryci
Niczem nie różni od służalców roty:
Ongi wolności, dziś sromu niesyci...
Czas więzy zerwać!

SKRYBONIANUS.

Zkąd zapal ci taki!

EGNATIUS (*do Skrybonianusa po cichu*).

Milcz, toż to tylko retoryczne zwroty.
(głośno) Grecki filozof niepomnę już jaki,
 Mawiać miał zwyczaj, że człowiek to zwierzę
 Jest polityczne — ja temu niewierzę,
 Owszem ja twierdzę nim dowód rozpoczę
 Dalszy, że człowiek jest zwierzę żarłoczne.
 Więc odkładając napóźniej naradę
 Piękna Leeno, wiedź nas na biesiadę!

1. SPISKOWY.

Dzisiaj to sprawa najlepsza.

2. SPISKOWY.

W istocie!

LEENA.

Hańba wam wieczna, czyliż więc kobieta
 Ma was do czynu zagrzewać! — podnieta
 Cnoty wymarłaż wam w piersi? precz żale
 Nad mem z hańbieniem — wyście niżej w kale!

EGNATIUS.

Ja w królobójczej tu szedłem ochocie,
 Teraz ochotę mam batlom kark skrećać!

PETUS.

(który z ponurem milczeniem przysłuchiwał się, występuje naprzód).

Znowu więc tyran nad nami się znęcać
 Będzie, i słońce wolności kwirytów
 Jeszcze niebłyśnie na stropie błękitów!
 Bracia Rzymianie, Kwiryti! jeżeli
 Można was jeszcze zwać takim imieniem,
 Jeśli w potomkach, co tak znikczemnieli

Cnota ojcowska nie nikłym jest cieniem;
 Wyraz niewola, jeżeli nam sromy
 Budzi rumieńców i miecz w dłonie wciska,
 Jeżeli żyjemy by ginąć dla Romy,
 Nie żeby konać wśród cyrków igrzyska;
 Jeżeli jesteśmy Rzymianie, niech chwała
 Z ojców cnót synom uplecie wawrzyny;
 Myśl rzymska sama niegdyś zwyciężała,
 Czyż bezsilnemi już rzymskie dziś czyny?
 Na toż dla Romy ginęły Deciusze,
 Na toż tyranom śmierć niesły Scewole
 Aby ich synów znikczemniałe dusze
 Piętno niewoli nosiły na czole!
 Spełnmy powinność, choć sroga i twarda;
 Jeżeli nam niczem niewola i wzgarda,
 Jeżeli nie wzruszą nas hańby ogromy
 Umrę, lecz powiem wprzód: nie ma już Romy!

1. SPISKOWIEC.

Jest Roma! — żyje! — ty prowadź Cecino!

2. SPISKOWIEC.

Wszędzie za tobą!

3. SPISKOWIEC.

Śmierć niecnym Cezarom!

4. SPISKOWIEC.

Wolnej krwi w żyłach strumienie nam płyną!

1. SPISKOWIEC.

Rzeczypospolitej my wierni sztandarom.

PETUS.

Dziś więc działajmy, nim blade świtanie
 Szczyt kapitolu zrumieni — powstanie

Nasze niech słońce wyprzedzi, i strwoży
Blaskiem tyranów.

*Afranus ukazuje się w głębi i niepostrzeżony przecho-
dzi przez scenę).*

SPISKOWI.

Dość niecnej obroży!

PETUS.

Tobie, Furiuszu oddaję legiony;
Ty zaś Pulcherze idź w Rzymu ulice
Lud przygotować! — Rzym będzie zbawiony
Gdy w naszym ręku; nim z Ostia przybieży
Klaudysz, już słońcem wolności oświecę
Forum i senat; gdzie piersi rycerzy
Murem dla miasta, tam silna obrona!

SPISKOWI.

Petus niech żyje!

EGNATIUS (*dobywając tabliczek*).

Rycerzy pierś murem....
Muszę zapisać! — kto wie, w miejscu którym
Zdać się to może.

SKRYBONIANUS (*do Egnatiusa*).

Publiusz, korona
Skoro Cezarów na skroni mi spocznie
(*wskazując na Petusa*).
Pierwszym mym czynem śmierć jego!

EGNATIUS.

Niezwłocznie!

Drugim zaś czynem olbrzymia biesiada
Ale bez wierszy. — Jam twój.

PETUS.

Towarzysze!

Teraz każdemu na miejsca wypada
Ruszyć wskazane; żegnajcie — do świtu!

SPISKOWI.

Żegnaj; — żegnajcie. (*zabierają się do wyjścia*).

EGNATIUS.

Ja ledwie już dyszę

Z głodu.

1. SPISKOWY.

Żegnajcie!

2. SPISKOWY.

Popiersie Ceciny
Na kapitole zabłyśnie u szczytu.

3. SPISKOWY.

Zwawo do dzieła.

4. SPISKOWY.

Skroń jego wawrzyny
Zwieńczą!

PETUS.

Żegnajcie!
(*spiskowi tłumem wychodzą*).

EGNATIUS (*wychodząc*).

Nikt mi nie uwierzy
Gdy powiem żeś szedł spać dziś bez wieczerzy!

SCENA 2.

*(w domu Petusa).*PETUS *(sam)*.

Dobrze mówiłeś Furiuszu! to trzoda!
 Mimo zapalu na święte zakłęcia
 W piersi zamarła im wolność, swoboda;
 Czemuż więc nadal ich gnać wolnych torem,
 Czemu nie rzucić tego przedsięwzięcia?
 Wolność się w sercu nie zaszczepi chorem!
 Tak, lecz me godło: przez wolność do cnoty.
 Wolność dopiero uszlachetnia męży.
 To co zbutwiałe — pogrzebią przewroty,
 To co zamarło — zbudzone — zwycięży!
 Niech się więc spełnią fatalne wyroki,
 Czy los zawodem zasłynie, lub czynem,
 Czy wolność czyli śmierć powiedzie kroki:
 Żyłem Rzymianin — umrę Rzymianinem!
 Umrzeć! — dziś kiedy istnienia znam wagę!
 Arria! — kapłanka ogniska rodziny....
 Precz takie myśli; — niech Rzym ma przewagę:
 Arria Rzymianką, — i żoną Ceciny.
 Dzisiaj niepokój jej serce rozbiera,
 Pójdę rozproszyć jej mary tęsknoty.
 O przodki moje, jak trudny szlak cnoty!
 O bogi! czemuż szczęśliwy umiera!

SCENA 3.

PETUS. MESALINA.

MESALINA *(wchodząc)*.

Sam jesteś?

PETUS.

Nigdy! — spojrz w Atrium do koła

To przodków moich posągi — ja z nimi
 Wiodę rozmowy; patrz, uchyl tu czoła;
 Tamten konsulem był, ów zaś z dzikimi
 Scyty wojował, ten był tryumfator,
 Ów w druidyczne z Cezarem wszedł gaje,
 Ten po nad Nilem przed boską kłękł Hator?
 A wszyscy wolni Rzymianie!

MESALINA (*z ironią*).

Wyznaję
 Cześć dla twych przodków najgłębszą, lecz sądzę,
 Żeś w inny sposób zwykł gości przyjmować
 W tak starożytnym twym domu.

PETUS.

Wrzecządźce
 Moje nie kłamią, witając przychodnia;
 Me roztargnienie wybaczysz, o boska.

MESALINA.

Czyż nieprzestaniesz mar nikłych piastować?
 Wiecznież ci w duszy wolności pochodnia?

PETUS.

Dzisiaj mi w duszy wolności jest troska!

MESALINA.

Szczytny twój umysł Cecino, kobieta
 Tylko jedynie ta pojąć cię zdoła,
 Co nosi piętno wielkości u czoła.

PETUS.

Rzymska matrona: — to Arryi zaleta.

MESALINA (*na stronie*)

Arria — przeklęta! — (*głośno*) Twa Arria, to dziecię,
 Wątle i słabe, lada cios ją skruszy,

Tyś winien serce wynurzyć kobiecie,
Co siłę wdzięków łączy z hartem duszy.

PETUS.

Niegdyś Rzymianka w Rzymiankę z tej stali
Była ukutą....

MESALINA.

A dziś Rzym się żali
Że niema córek!

PETUS.

I synów nie stało!

MESALINA.

Tyś takim synem, o męży ty wzorze
Czemuż że takich jak ty w Rzymie mało,
Tyran by zadrżał na tronie, i z ręki
Puchar wypuścił rozpusty, który mu
Wszechmoc nalewa, a który w swym torze
Wiedzie pijaństwo nadużyć!

PETUS.

Te dźwięki
W ustach twych Pani?

MESALINA.

I jam córką Rzymu!

PETUS.

O nie, nie córką, tyś tylko mu panią!
Rzym ci nie matką, lecz raczej otchłanią
Niecnych rozkoszy.

MESALINA.

Cecino, przez litość,
Przestań!

PETUS.

Dziś wstydnych rozrywek cię sytość
W dom mój sprowadza i kładzie ci w usta
Cnoty wyrazy.

MESALINA (*dumnie*).

Jam diva Augusta!

PETUS (*tak samo*)

A jam jest synem tych, co Rzym dzierżyli
Gdy jeszcze nie znał Augustów!

MESALINA.

W tej chwili
Strasznie mię karzesz za życia rozkosze:
Pomnij, kajdany wy — ja djadem noszę;
Dłoń wam kajdany, mnie głowę djadem
Więzi — a nie wiesz jak strasznym to jadem
Czoło zatruwa ta sroga przepaska!
Mego oblicza ty nie znasz, bo maska
Kryje je płocha.

PETUS (*z ironią*).

Więc także ukrywa
Wstydu rumieńce, — bo nie znać ich!

MESALINA.

Bogi!
W ustach twych wżgarda mi ciężka, zelżywa,
Tak, jam nikczemna i kalam twe progi.
Lecz kto mię strącił w tę otchłań? — Rzymianie!
Kto mi rozpusty dał cel? — stanowisko!
Gdyby nie niskie przedemną pełzanie
Nigdybym sama niepadła tak nisko.
Nie wiesz jak Rzym się wydaje z wysoka
Podłym i małym; dla królów się oka

Świat cały płaszczy i karli — o gdybyś
Stanął na szczycie, już więcej nigdybyś
Dziwić się nie śmiał, że królom ochota
Często przychodzi, pod stopę zgromadzić
Świat cały, potem go strącić do błota,
Lub wszystkie głowy na jeden osadzić
Tułów — by jednym je sprzątnąć zamachem!
Patrzże więc raczej z litością i strachem
Na stanowisko, co takie wyradza
Zdradne ponęty!

PETUS.

Najwyższą jest władza
Nad własną piersią.

MESALINA.

O słuchaj Cecino,
Słuchaj, i we mnie krwi rzymskiej potoki
W łonie się burzą i zemstą zapłyną!
Wolność miłujesz? — ja także! — bez zwłoki
Chcesz, mieć ją będziesz!

PETUS.

Wiem o tem, gdy zechcę
Rzym będzie wolnym!

MESALINA.

Nie — duma cię łechce,
Nie skoro zechcesz, lecz skoro ja pragnę.

PETUS.

Nigdy na twoją nie wstąpię ja drogę.

MESALINA.

Ty znasz co chceszli — a ja wiem co mogę!
Gdy zechcę wszechświat do stóp twoich nagnę!

PETUS.

Ty?

MESALINA.

(zbliżając się doń, tajemniczo).

Dziś słyszałeś w przyjaciół twych gronie
Wieść, która umysł do czynu podusza:
Że ptaszek frunął i że pusta klatka,
Nie wierz, co mówi pospólstwo o tronie.
To fałsz.

PETUS *(zdumiony)*.

Więc Cezar?...

MESALINA.

Tej wieści ja matka!

Ja wieść rozniosłam, że Cezar opuszcza
Miasto, by pewniej osłonić me czyny:
Tak jak wyjechał — tak może nie wrócić.
Chciej, a nie wróci! — kapłanką Eryny
Będę dla Rzymu. A wolność ocucić,
Wszakże to twoją zaskarbić podziękę.

PETUS.

Ty byś zechciała wolności dać rękę?
Ty?

MESALINA.

Ja! — małżonka Cezara Augusta!

PETUS.

Serce twe pełne sideł, usta zdrady;
Jakież rękojmie twe?

MESALINA.

Wiesz co Lokusta?

PETUS.

Nie wiem.

MESALINA.

A przecież bez światłej jej rady
Mało się rodzin dziś w Rzymie obchodzi:
Ona to w tyglach z ziół branych w kocycie
Parkom na pomoc napoje te rodzi,
Których na wieki ukaja użycie.

PETUS.

Ha, trucicielka!

MESALINA.

Nie, raczej lekarka.
Jednych uleczą jej napój z żywota,
Innych uleczą z obecności wrogów.]
Patrz, skoro zechcesz, maleńka, ta czarka
Z tylu wielkości potęgi i złota,
Słowem z Cezara, uczyni wędrowca
Do bezpowrotnych Acherontu progów.
Rzym w twojem ręku, wybieraj!

PETUS.

Trucizna!

Sztylet nie lepszy?

MESALINA.

Krew świadkiem sztyleta,
Jad, to milczący powiernik grobowca.

PETUS.

Ha! precz odemnie, — to zradna podnieta,
Precz! ja nie umiem zabijać milczący!

MESALINA.

Niczem ci wolność więc, niczem ojczyzna?

PETUS.

Precz — twój mię oddech owionął gorący.
Duszno mi!

MESALINA.

Słuchaj, na grobie Klaudyusza
Wzniosą ci ołtarz jak ojcu ojczyzny.

PETUS.

Precz, mego serca mi duma nie wzrusza.

MESALINA.

Żywot twój w czyny bogaty i żyzny
Cnotę pierwotną Rzymowi powróci,
Będziesz szczęśliwy, — ja z tobą Cecino!

PETUS.

Co?

MESALINA (*na stronie*).

O! nie zdradzę mu jeszcze mej chuci;
W mej on już mocy.

PETUS.

Podstępna gadzino!
Jad w piersi sączysz!

MESALINA.

W Lukula ogrodach
Trzecia wigilia gdy ciemność rozniesie
Czekam cię, — czarny niewolnik na wschodach
Wskaże ci drogę.

PETUS.

Nie przyjdę.

MESALINA.

Tam wskażę

Ci, jako życie Cezara na kresie
Woli twej, lepiej wolności ołtarze
Wzniesć sam, niż oddać je w ręce czeredzie
Tych Epigonów, co nazwę Kwirytów
Noszą jak ciężar.

PETUS.

Idź, twoich zachwyków
Władza, — mych kroków ku zbrodni nie wiedzie!

MESALINA (*na stronie*).

Przyjdzie, jam pewna! (*głośno*) Mąż kroki swe wodzi
Jako chce; teraz cię rzucić się godzi,
Druga wigilia — bądź zdrów Filemonie,
Idź twoja Baucis tam we łzach już tonie
Idź ją pocieszyć. — Rycerzu wolności
Żal mi cię, czeka cię burza zazdrości. (*wychodzi*).

PETUS (*pogrążony w myślach*).

Puchar truciźny! — i tak już kończyli
Wrogi wolności. — Myśl moja się sili
W pokus labirynt zdradziecko zwickłana.
Precz takie myśli; do Arrii, — to rana
W sercu najgłębsza! — O Roma! — dziś słońce
Tryumf oświeci twój, — mnie, szczęścia końca!
(*odchodzi*).

SCENA 4.

MESALINA. AFRANUS.

AFRANUS.

Poszedł

MESALINA.

Cóż żądasz?

AFRANUS.

Co żądam! ja sędzę
Że już niebawem w mej kiesce pieniądze
Twoje zabrzęczą.

MESALINA.

Więc Arria?....

AFRANUS.

Nie jeszcze!
Wszakżeś mi rzekła: gdy zburzę to stadło
Liczyć nie będziesz sesterców.

MESALINA.

Mów żwawo.

AFRANUS.

Słońce już szczęścia nad niemi pobladło,
Jeszcze chwil kilka a zgaśnie.

MESALINA.

Złowieszcze

Twoje wyrazy!

AFRANUS.

Zakończy się krwawo
Miesiąc miodowy!

MESALINA.

Sfinksami twe słowa.
Przestań mię trudzić.

AFRANUS.

Dziś twoje wyrazy
Arrii głęboko zaryły się w duszy:
Petus, to u niej jestestwa połowa.

MESALINA.

Wiem o tem, — dalej....

AFRANUS.

Zazdrości więc skazy
Swoim oddechem rzuciłaś na gładką
Snów jej zwierciadła powierzchnię.

MESALINA.

Zagadką

Dotąd....

AFRANUS.

Posłuchaj, zazdrość wszystko kruszy.
Ledwie cię kroki uniosły, — aliści
Arria samowtór rzuciła te progi
Spiesząc do cyrku, ażali się ziści
To coś jej rzekła.

MESALINA.

Kto był z nią?

AFRANUS.

Ja pani.

MESALINA.

Ha, byłam pewną!

AFRANUS.

Spełniły wnet bogi
Twoje życzenia, ujrzała Cecinę... .

MESALINA.

Z Leeną?

AFRANUS.

Tak jest, z heterą.

MESALINA.

Wybornie!

Ty mnie nie łudzisz?

AFRANUS.

O boska, niech zginę
Jeśli nie rzekłem ci prawdy pokornie.

MESALINA.

Więc zniweczone już szczęście jest dla niej!
Tryumf!

AFRANUS.

Lecz jeszcze nie skończył twój sługa.

MESALINA.

Cóż jeszcze więcej?

AERANUS.

O, sprawa to długa:
Arria miotana zazdrością i bólem
Śledzić mi męża kazała.

MESALINA.

O Bogi!

Kędyż cię powiódł?

AFRANUS.

U Apijskiej drogi
 Dom pewien przyjął go, choć raczej ulem
 Zwać by go trzeba, tak ludźmi roiła
 Przedsień się jego.

MESALINA.

Nieszczęsna, zdradziła
 Męża!...

AFRANUS.

To dom był Leeny; rozpusty
 Płaszczem pokrywa zdradzieckie zamysły.

MESALINA.

To fałsz, to złuda.

AFRANUS.

Nie, złudy me prysły
 Bom słyszał wszystko: — wymownemi usty
 Pan mój spiskuje....

MESALINA.

To płonna jest mara
 Twej wyobraźni!

AFRANUS (*kończąc z przyciskiem*).

Na życie Cezara!

MESALINA (*na stronie*).Nieba! wie wszystko! (*głośno*) To tylko pogłoska.

AFRANUS (*stanowczo*).

Nie, to jest pewność. Więc teraz, o boska
Wierzysz, że stadło zburzone: Cecina
Zginie.

MESALINA.

Zuchwały! nie waż się....

AFRANUS.

Godzina
Jego ubiegła — tu woda stanęła!

MESALINA.

Podły, niecnego nie spełnisz ty dzieła;
Petus żyć musi.

AFRANUS (*zimno*).

On zginie!

MESALINA.

Niech żona
Jego zastygnie, pozwalam!

AFRANUS (*jak wyżej*).

Przeciwnie,
Arria żyć będzie, a Cecina skona.

MESALINA.

Ty prędzej skonasz!

AFRANUS.

Mylisz się, żyć będę,
Żyć przy jej boku, w rokoszy — przedziwnie,

MESALINA.

Podły, śmierć ciebie, ja jego posiędę!

AFRANUS.

Wiem o twojej chuci, lecz moja mi droższa.

MESALINA.

Krew moja gniewem miotana, nie spocznie
Aż nie zastygnie twe życie, ty słuگو!

AFRANUS (*z ironią*).

Cóż, o jednego że będziesz uboższa
Gacha, — żałoba trwa twoja nie długo:
Jutro się nowe wesele rozpocznie.

MESALINA.

Bładej ofiarą jesteś Libityny,
Spoczniesz w jej łożu!

AFRANUS (*z dzikim śmiechem*).

Nie, w łożu Cecyny!

MESALINA.

Ha, gadzie — mnie śmiesz urągać! — Auguście!

AFRANUS.

Bezwstyd z szacunkiem nie może iść w parze:
Ja ciebie w dłoni mam, znam ja ołtarze
Twojej rozpusty, znam chuci czeluście,
W których ukrywasz przed okiem słonecznym
Życie zbrukane podmuchem wszetecznym.
Ja cię mam w dłoni, gdy zechcę djadem
Twój, razem z głową za tym pójdzie śladem,
Co zdobił czoło Julii!

MESALINA.

Zuchwały!

AFRANUS.

Skoro ja zechcę, sam Cezar struchlały,
 Śmierć twą drżącemi poleci mi usta,
 Znam twoje schadzki w Lukula ogrodach,
 Znam potajemne rozmowy Lokusty.

MESALINA (*na stronie*).

Nieba!

AFRANUS (*z ironią*).

Więc sądzę że w moich mi godach
 Ty nie przeszkodzisz — gdy twoich nie przerwę!

MESALINA (*na stronie*).

Na kapitole zbrojoną Minerwą
 Klnę się, trucizna ta lub jego zniszczy,
 Lub mnie uśmierci! — (*głośno*)
 Zawczasie ci błyszczy
 W oczach tryumfu pochodnia — o! klnę się,
 Czy los zwycięstwo mi — czy śmierć przyniesie,
 Żywa czy martwa, po jakiej bądź cenie,
 Twoje wieczyste zdobędę milczenie! (*wybiega*).

SCENA 5.

AFRANUS (*sam*).(*mówiąc za odchodzącą*)

Trwoga mię mija, a groźba nie płoszy!

(*wracając na przód sceny*).

Ha, jaka rokosz! — ja, sługa nikczemny,
 Syn niewolnika, deptany gad ziemny,
 Takie obelgi w twarz ciskać, — i komu?
 Pani wszechświata! — o nadmiar rozkoszy!

Mieć ją pod nogą i deptać bez sromu....
 Jabym Rzym cały tak pragnął pod błotem
 Moich sandałów zgnieść, i plwać mu potem
 W twarz! w twarz wybladłą tych dumnych Kwirytów.
 Ha, co za rokosz! — ja skarby mam w łonie,
 Skarby tajemnic! — nie jeden ze szczytów
 Spadnie wielkości i w falach utonie
 Czarnych kocytu: choć wszystko ma, złoto,
 Perły, bogactwa... ja skinę: zgubiony!
 Ja dzisiaj panem — ja Rzymu istotą,
 Ja wszystkich trzymam, ja, sługa wzgardzony!

SCENA 6.

AFRANUS ARRIA.

ARRIA.

Ledwie powrócił już poszedł! — o mroku....
 Pękni mi serce w boleści natłoku!
 Tyś mego smutku powiernik jedyny,
 Chodź tu Afranie, ja w domu Ceciny
 Dłużej nie będę rozbudzać krokami
 Echa, co pustką mi dźwięczy, daleko
 Pójdę ztąd, w domu rodziny ze łzami
 Myśleć o szczęściu rozbitem!

AFRANUS.

Więc wieko
 Zapuść grobowca na przeszłość, i drogę
 Nowem rozpoczniż uczuciem.

ARRIA.

Czyż mogę!
 Ty sam widziałeś jak ja go kochałam,
 Tobie więc mogę dziś mówić bez dumy,
 Odkąd mię rzucił na wieki skonałam,
 Przecież go kocham — dziś, mimo że tłumy

Heter z uczuciem mem dzielą się ze mną,
Kocham, choć czuję że jestem nikczemną!

AFRANUS.

Zbierz zmysły pani, przelotne to bole.
Młoda i piękna, twe serce jak pole:
Które gdy burzą nawałnica zrosi
Tem bujniej nowem się szczęściem zakłosi.

ARRIA.

Nigdy!

AFRANUS.

Znam nigdy to, co znaczy później!
Młodość ma prawa swe.

ARRIA.

Nie znasz Rzymianki!
Jednej my tylko rodziny kapłanki.
Tyś niewolnikiem, więc czujesz to luźniej;
Rzymskiej krwi córka odmienne zna ognie:
Los może złamać ją, lecz jej nie pognie!

AFRANUS.

Ha, waszej dumy to wieczny warunek:
Wolna Rzymianka! czy sądzisz że z gliny
Innej lepiona niż my, gminu syny?
Sądzisz że mniej jest namiętny całunek
Sługi? uścisków że gminnych poloty
Mniej są rozkoszne niż męża pieścizoty?

ARRIA.

Lękam się ciebie!

AFRANUS.

Dlaczego? — bo ręce

Mam spracowane — i wzgrzeblęj sukience
Staję przed tobą, nie w todze ozdobnej
Brzegiem szkarłatnym!

ARRIA.

Te oczy, ta mowa!
Trwożysz mię....

AFRANUS.

Petus nie z gliny osobnej
Tworzon, ani też na barkach mu głowa
Silniej twierdzona niż minie.

ARRIA.

Co to znaczy?

AFRANUS.

Po co masz tonąć we łzach i rozpaczy:
Łzy, źrenic blaski zagaszają ponętne,
Rozpacz jak robak na próchno ci stoczy
Serce, co jeszcze uczucia namiętne
Chowa na długie lat pasmo.

ARRIA.

Wyrazy
Twoje pozbyły zwykłego szacunku,
Miarkuj się.

AFRANUS.

Sądziś że służalcze oczy
Ślepe na wdzięki, że w piersi my głazy
Mamy, nie serca krwią żywą nabiegłe....

ARRIA.

Milcz podły!

AFRANUS.

Słuchaj, dziś dzień obrachunku,
Okaż jak długi płacą się zaległe:
Zemsta w twem ręku, w obecnej godzinie,
On ciebie zdradził, gdy zechcesz — on zginie!

ARRIA.

Przebóg!

AFRANUS.

Ha, trwoży cię może stan wdowi,
Pociesz się, moje ramiona spragnione
Pieszczot, w objęciach mych szczęście ci wznosi
Swoje uśmiechy.

ARRIA.

Penaty zelżone
Twemi wyrazy, niechaj architrawy
Złamię nad tobą i na proch cię skruszą!
Nędzny służalcze, ja pani twa, — krwawy
Złożysz rachunek.

AFRANUS.

Ja całą cię duszą
Kocham, o Arrio, precz maski służalcze!
Mam siłę aby przełamać twój opór,
Jeśli pieszczotą twej dumy niezwalczę
Jedna mi jeszcze zostaj broń — topór!

ARRIA.

Uderz! — śmierć wolę nad hańby rumieniec
Przed podłym sługą!

AFRANUS.

Nie ciebie uderzę! —
Żywą mieć będę cię, żywą, i szczerze

Piersь twą łabędzią oplotę we wieniec
Ramion lubieżnych!

ARRIA.

Bogowie, ratunku!

AFRANUS.

Ha, choćbym skonać miał w pierwszym całunku
Mieć ciebie będę — na trupie drgającym
Męża, — w uścisku oplotę cię wrzającym,
Ha,....

ARRIA.

Tyś szalony! — Cypryjska dziewico
Ratuj!

AFRANUS.

Tyś moja!

ARRIA.

Nad godność kobiecą
Nie mam ja broni, lecz wiedz niewolniku
Że tobą gardzę!

AFRANUS.

Ha, znać w tym okrzyku
Rzymską niewiastę! — Niebaczne ty dziecko
Dumne a słabe, ty sama mi w dłoni
Broń przeciw sobie złożyłaś zdradziecką.

ARRIA.

Co?

AFRANUS.

Tak, ty sama: zazdrości ci jady
Serce skalały; sądziłaś że goni
Petus hetery? — ha, ha, on mamidła
Goni wolności, a jego mi ślady

Twoim wskazane rozkazem, jak w sidła
 Ptaszka wpędziły tajemnie; bądź pewną,
 Że go nie puszcę, aż złote mu skrzydła
 W dłoni mej znowu przetopię na złoto! —

ARRIA.

Bogi! to sen jest!

AFRANUS.

O cnoty królewno,
 Twoje to dzieło, ja z tobą z ochotą
 Łupem się dzielę, — bądź moją! —

ARRIA.

Precz podły!
 Bogi, czyż próżno was wzywać na świecie,
 Gdy nie wy, któż mię uwolni!

AFRANUS.

Rzuć modły;
 Niebios wrzeczadze przed łzami nie prysły.
 Słuchaj, nie umiem ja w ucho kobiecie
 Kłaść słów pieściwych, drażniących tak zmysły,
 Jako dłoń piewcy strun drażni milczących
 Echo; mistrz żaden wyrazów gorących
 Kiełznać nie uczył mię, tak jako Romy
 Młodzież lubieżną; to mówię czem dusza
 Dzwieczy, więc słuchaj i porzuć te sromy.
 Petus spiskuje na życie Klaudyusza;
 W mem ręku węzeł tajemnic: bądź moją,
 Oto jest cena milczenia — całunkiem
 Zawrzesz mi usta.

ARRIA.

Rozpacze mi stroją
 Serce to gniewem, to znowu frasunkiem....
 Podły, — a raczej ja podła! zdradziłam
 Męża i Rome!

AFRANUS.

Rzuć skargi te, wyłam
Myśli z pod zgryzot zakłęcia, w mem łonie
Chroń się od żalu.

ARRIA.

Ha, prędzej te dłonie
Sztylet pochwyć Lukrecyi i ostrze
W piersi obmyj z rdzy tylu wieków,
Prędzej nademną swe cienie rozpostrze
Nieubłagana Orkusu konieczność,
Niżli me serce upadnie do ścieków,
Gdzie dyszy podła twych chuci wszeteczność.
Śmierć, śmierć po stokroć!

AFRANUS.

Śmierć, ale nie tobie!
Śmierć, lecz Cecinie! mnie hymen pochodnie
Przy ogniu stosu zapali, co zwłoki
Jego pochłonie; — grób bywa głęboki!
Ja w jego łożu, a on w zimnym grobie!
Roskosz!

ARRIA.

O nadmiar podłości i zbrodni!
Precz, precz mi z oczu!

AFRANUS.

Ty wiesz, delatorom
Cezar nowiny opłaca sowicie;
Ha, karki skrócić tylu senatorom,
Ha, złoto osiąść i mienie ich, — życie
Pocznę dopiero!

ARRIA.

Litości!

AFRANUS.

Szalona!

W proch mię zdeптаłaś, skałałaś pogardą!
 Przyjdiesz u nóg mych się czołgać skruszona,
 Dumę uniżysz, wyniosłą i hardą....

ARRIA.

Przestań....

AFRANUS.

Bądź moją, — i tak będziesz moją! —

ARRIA.

Nigdy! — bogowie mię mężstwem uzbroją.
 Ha, ja Rzymianka, drzę przed niewolnikiem!

AFRANUS.

Żmijo, rozdrażniasz mię wiecznie tym sykiem.
 Chciałaś! — Kwiryckiej krwi strugi popłyną.
 Matki Rzymianki po synach w żałobie
 Komu złorzeczyć będą? — mnie? — nie, tobie!
 Gdy głaz grobowy spadnie nad Ceciną
 Żadna z mych ramion nie wyrwie cię siła,
 Musisz być moją! (*wybiega*).

ARRIA (*w najwyższej rozpaczy*).

Ha, jam Rzym zgubiła!

Zasłona spada.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

Akt III.

Atrium w domu Ceciny, jak w akcie pierwszym.

SCENA 1.

ARRIA (*sama*)

Petus nie wraea! — mię gnają tęsknoty
Jakby Eumenid strasznemi węzami,
Serce w swych tęsknic okręcając sploty:
Bogi! — to może sen tylko mię mami! —
Ja męża zdradzić? — ja sprawę wolności
Zdradzić? — o strasza zaciekłość zazdrości!
Ja to sprawiłam, ja, dawnych Rzymianek
Córka, tak dumna ze rzymskiej mej cnoty!
Bogi, śmierć dajcie; śmierć wolę od tkanek
Cienkich a silnych pająka zgryzoty.
Ha, czyliż nie ma już z nikąd nadziei?
Dzika zaciekłość błyszczała w źrenicach
Sługi namiętnych! — o strasza kolei
Losów igraszka: ja w cnoty krynicach
Ducha kąpałam, a dzisiaj mię cnota
Pcha ku przepaści! — bogowie, natchnienia!
Penaty, czyście wy tylko z kamienia! —
Czyli pod czaszką nie tryśnie ze złota
Myśl wam od złota zimnego jaskrawsza,
Myśl wybawienia? — do waszej pomocy
Trwożna uciekam się! — Strasza ty nocy,
Czyliż jutrozenka zakończy cię krwawsza? —
Jeżli potrzeba wam, bogi podziemne,
Krwawej ofiary, o weźcie me serce,
Serce skażone zazdrością, nikczemne,
Serce, co w jednej rozdzieliło iskierce
Łunę straszliwych pożarów i wżgliszcza
Zmienia marzone wolności bożyszczą.

Weźcie mię Bogi — lecz chrońcie Cecinę!
 Chrońcie i Romeę; — w tę straszną godzinę,
 Ja wam ślubuję: gdy krew musi płynąć,
 Nich moja płynie — byle samą ginąć!

(zrywa się)

Kroki zbliżają się! — Petus! o Bogi!
 Kędyż on? — przy nim nieczułabym trwogi.
 Ginać, lecz przy nim! — ha, czyżby siepacze?
 Nie, to krok jego, więc na bok rozpacz!

(rzuca się ku wejściu, wchodzi Mesalina).

SCENA 2.

ARRIA, MESSALINA.

ARRIA *(cofając się z przerażeniem)*.

Ty!

MESALINA.

Ja, zbawczyni Petusa, u Ciebie,
 Coś go zdradziła szalona!

ARRIA.

Zbawczyni?
 Ty mej przychodzisz urągać boleści.
 Twoje zwycięstwo, mię Orkus dziś grzebie
 Ciesz się tryumfem.

MESALINA.

O pełna ty cześci,
 Cnoty i dumy, rzymianek ozdobo,
 Na cóż twa cnota, dziś Roma cię wini
 Żeś ją zdradziła dla niecných poddmuchów
 Jędzy zazdrości; żeś własną osobą
 Śmiesznie zajęta, w ciaśniejszych łańcuchów
 Romeę okuła ogniwa.

ARRIA.

Okrutna!

Twoją dziś rzeczą urągać i szydzić,
Moją umierać — lecz i nienawidzić
Ciebie do końca!

MESALINA.

Do końca być butna,
Dumna i słaba, tak, słaba, bo pomnij.
Ile ci winy nieść padło nad miary:
Ciebie o zdradę obwiniają potomni,
W twojem ja miejscu na ostrzu sztyleta
Dziśbym szukała ratunku — i kary!

ARRIA.

Śmierć?

MESALINA.

Śmierć wybrałaby mężna kobieta,
Nie ty! — (*na stronie*) Bogowie przyjaźni mej sprawie
Ja ją usunę i jego wybawię
Jednym zamachem!

ARRIA (*zamyślona*).

Śmierć! — innaż już droga
Dla mnie zaparta? — czyż tylko ta brama
Z labiryntowych wywiedzie mnie splotów?...
Siebie gdy zgładzę, czyż zbawię Cecinę?
Nie! (*głośno*) Nieznam co to jest przed śmiercią trwoga,
Lecz śmierć ukarze — nie zgładzi mą winę;
Nie, ja żyć muszę, mnie pali ta plama,
Żyć, aby Romyę wybawić od grotów
Zdrady nikczemnej!

MESALINA.

Wybawić? — bezsilna!
Płacz tobie tylko przystoi i jęki;
Zbawiać — rzecz moja; — i dziełu tej ręki
Petus zbawienie zawdzięczy.

ARRIA (*radośnie*).

Promienie
Widzisz nadziei? — o błagam...

MESALINA.

Niemylna

Moja nadzieja. O słaba i płocha
 Wiedz, zbawić może boska, kogo kocha,
 Lecz do niej jego należy istnienie.
 Któraż słuszniejsze doń prawa z nas stawia:
 Ta, co go zdradza — czy ta, co go zbawia!

ARRIA.

Ty, ty jedynie i wielka i wzniosła.
 Jeśli go zbawisz, jam twa niewolnica:
 Miłość, co w serce głęboko tak wzrosła
 Jako w opoce srebrzysta krynica,
 Stłumię, i niedam wybuchnąć jej z łona
 Jasnym strumieniem — i łono me w głązy
 Zaklnę na wieki!

MESALINA.

Matrono bez skazy

U nóg mych, tryumf!

ARRIA.

Tak, jestem skruszona!

Tyś zwyciężyła (*kłęka*) więc ratuj go póki
 Czas jeszcze: spieszny czyn, jest czyn podwójny.

MESALINA.

Więc dokazałam nareszcie tej sztuki:

Ty u nóg moich!

(*gniewnie*) Gdyby nie Cecina

Prędzej na dłoni włos wyrósłby bujny,
 Prędzej strop niebios się zapadł błękitny,
 Prędzej Feb wóz swój na inne pchnął tory,
 Niżby cię moja zbawiła przyczyna!
 U nóg mych miejsce twe wiecznie.

ARRIA.

Topory

Wolę liktorów nad szydną twą mowę.

Tryumf zupełny twój, lecz niezaszczytny:
Strzeż się nadużyć go!

MESALINA.

Ha, tracisz głowę
Sądząc pokora twa że mi potrzebna,
Nie ty Ceciny, on wyrzekł się Ciebie,
Czynisz ofiarę z miłości? oddawna
Petus ją oddał mi z sercem.

ARRIA (*z oburzeniem*).

Haniebna

Potwarz to!

MESALINA.

Teraz ukazesz mi siebie
W świetle prawdziwem, pokora twa jawna
Maską li była.

ARRIA (*jak wyżej*).

Wiedz, tobą Cecina
Równie pogardza!

MESALINA.

A przecież godzina
Nocy tak późna ogląda go jeszcze
U mnie! więc żegnaj, bo czeka stęskniony
Mego powrotu.

ARRIA.

O bogi złowieszcze!
I ja się przed nią zniżyłam do prośby!
Zadrzyj, za tryumf znikomy i krótki
Straszny ci odwet gotuję.

MESALINA (*wyniosłe*).

Twe groźby
Mnie obojętne jak błagań twych tony.

ARRIA.

Petus spiskuje — więc zadrżij, dziś rano
 Zbudzą cię dźwięki wolności pobudki:
 Szybkie działanie wybawić nas zdoła,
 Wiem, co rzymianki nakłada mi miano,
 Co czynić padło, gdy ofiar kraj woła!

MESALINA (*z trwogą*).

Co czynić myślisz, szalona?

ARRIA.

Kraj zbawić!

A z nim Cecinę. Tyś płocho sądziła
 Że umiem tylko na jękach czas trawić?
 Poznasz co serca rzymskiego jest siła,
 Poznasz i zadrżysz!

MESALINA.

Szalona, raz wtóry
 Zgubisz Cecinę, on zbawion już.

ARRIA.

Tobie

Wierzyć nie będę!

MESALINA.

Posłuchaj, w tej dobie
 Podły Afranus wszedł na szlak ponury,
 Co wiedzie w czarne Awernu jaskinie.

ARRIA.

Zginął!

MESALINA.

Już Minos na sądy go woła.

ARRIA.

Afran nieżyje!

MESALINA.

Nie pierwszy zuchwalec

Co mi urągał — tak jako on ginie.
 Jady, co tchnęły śmierć w Lokusty ziola,
 Wraz z nim zabiły tajemnic tych wątek.

ARRIA (*radośnie*).

Życie, nadzieja, to sen jest!

MESALINA.

Padalec
 Wrócił do gadów, zkąd wziął i początek,
 Ale się nie ludź zbawieniem pozornie,
 Dziś tajemnica w mem ręku!

AFRANUS (*wchodząc*).

Wybornie!

SCENA 3.

ARRIA, MESALINA, AFRANUS.

MESALINA.

Ty żyw!

AFRANUS.

Czy ja żyw? — ha, więcej sto razy
 Niż kiedykolwiek.

MESALINA.

Zkąd wracasz?

AFRANUS.

O boska,
 Ja wracam z miejsca, gdzie moje wyrazy
 Dzisiaj się złotem ważyły!

ARRIA (*zatlamiując ręce*).

O troska!

MESALINA.

Stało się.

AFRANUS.

Teraz ja panem w tym gmachu!
Dał mi go Cezar, ze wszystkim, co mieści.
(*do Arrii*)

Słyszysz? ze wszystkim! — ja panem twej cześci.
Gdy odepchnęłaś kochanka, masz pana,
Dał mi cię Cezar . . . ha, ha, ha, nieborak
Byłby Rzym cały mi oddał ze strachu,
Trząśł się jak listek, Egnatius jak dworak
Zbladł, aby w trwodze nie zostać za panem.
Ha, to wybornie, aż zaschły mi usta
Tak ich zajęła ma powieść, i dzbanem
Wina pokrzepił mię sługa.

MESALINA (*szybko*).

Więc piłeś?

AFRANUS (*swobodnie*).

Piłem.

MESALINA (*jak wyżej*).

Spragniony?

AFRANUS.

Oszczędzać nie chciałem
Wina Cezara.

MESALINA.

Ha, zbladłeś jak chusta.
Dzięki wam, bogi!

AFRANUS (*strwożony*).

Co znaczy ta mowa?
Przebóg, co znaczy . . .

MESALINA (*wyniosłe*).

Nikczemny, ty żyłeś!
Dzisiaj cię ciemność pochłonie grobowa.

AFRANUS.

Przebóg, trucizna!

MESALINA.

Ha, dumnym ty szaleń
Niesion, sądziłeś że można bezkarnie
Boskiej urągać?

AFRANUS.

O srogie męczarnie!
Tak, czuję, jady wżerają się w trzewy,
Piekło! — pragnienie! ha z piekła ty jędza
Zginiesz wraz ze mną i poznasz me gniewy!
Dzisiaj wraz z moją stanęła twa przędza,
Parki! nożyce niech nóż mój zastąpi.
(*rzuca się ku niej*)

MESALINA (*dumnie*).

Uderz, jeśli śmiesz!

AFRANUS.

(*z wniesionym sztyletem gotów rzucić się na Mesalinę, zatrzymuje się, wacha się chwilę onieśmielony jej wzrokiem, nareszcie sztylet wypada cofającemu się z ręki*).

Nie mogę — ha żmija,
Jadem nietylko — lecz wzrokiem zabija!

MESALINA.

Moim zamysłem bogowie nie skąpi!

AFRANUS.

Śmierć, śmierć! — ja czuję ją — czuję okrutną,
Ziębi mię, pali — rozdziera mię skrycie . . .

Umrzeć! — dziś właśnie, — dziś, kiedy rozrzutną
 Dłonią los posiał, co przez całe życie
 Łaknął niewolnik: — bogactwo i miłość!
 Umrzeć dziś właśnie! — o bogi podziemne
 Łaski — ratunku! — jak pali, — jak dławi...
 Dziś, — dziś umierać — o sroga zawilość!

ARRIA.

Straszny to widok!

AFRANUS (*przerzywanym głosem*).

O! życie nikczemne
 Wróćcie mi bogi — służebne kajdany
 Wróćcie, byle żyć! — ha, ogień mię trawi...
 (*zrywa się*).
 Siły! — choć tyle — choć tyle, by ostrze
 W piersi utopić tej jędzy! — nie mogę!
 Śmierć! gdy myślałem miłością owiany
 Żyć — żyć w rozkoszy, — o srogie męczeństwo...
 Wody! — powietrza, — umieram — przekleństwo!
 (*pada i kona*).

ARRIA.

Straszno — on skonał!

MESALINA.

Niewczesną rzuć trwogę,
 Ciemność, co nad nim swe skrzydła rozpostrze
 Skryje i spisku osnowę; — wygrana
 Moja!

ARRIA.

Myśl płacze się zgrozą zwiłkana...
 Petus — gdzie Petus w tej strasznej godzinie!

MESALINA.

O trwożne dziecię — ty proś Afrodyty
 Aby w mej piersi trwał ogień niesyty:
 W dniu gdy go kochać przestanę, — on zginie!

SCENA 4.

ARRIA, MESALINA, LEENA (*wbiega spiesznie*).

LEENA.

Kędyż Cecina?

MESALINA.

Leena!

ARRIA.

Hetera!

LEENA.

Serce mi w piersiach, głos w krtani zamiera;

Kędyż Cecina?

(*sposztrzega Afranusa*).

Trup, przebóg!

MESALINA.

On wiedział

Za wiele, — umarł!

LEENA.

Zapóźno, — tajemny

Zamysł już wszystkim znajomy na dworze.

MESALINA.

Śmierć czyni między nim a zdradą przedział:

Któż jego podłość podejmie?

LEENA.

Nikczemny

Znalazł się. Cynik Egnatius w pokorze

Widząc ratunek, by zmylić domysły

Zdradził rzecz całą.

ARRIA (*w rozpacz*).

Ostatnie więc prysły

Moje nadzieje!

MESALINA.

Przekleństwo!

LEENA.

W pośpiechu
Biegłam tu, niosąc ostatni ratunek.

ARRIA.

Ty? — nas ratować?

LEENA (*z goryczą*).

Tak, ja! córa śmiechu,
Łatwych rozkoszy i uciech kapłanka
Zbawię Cecinę! — Niekiedy całunek
Furtę otwiera, przez którą Rzymianka
Z całym swej cnoty rynsztunkiem nie przejdzie.
Trzeba uciekać!

ARRIA.

Gdzie?

LEENA.

Nim słońce wejdzie
Łódź nas uniesie skrzydlata, — legiony
W Galii pochopne do buntu, na czele
Wojsk Petus wróci zwycięzki, zbawiony . . .

(*do Mesaliny*)

Przebóg, ja mówię przed tobą!

MESALINA.

Mów śmie!e!

Sprawa Ceciny nam wspólna.

ARRIA (*na stronie*).

O wstydzie!

Z nas trzech, ja jedna nieszczęścia sprawczyni
Stoję bezsilna — a jego zbawczyni
Niecna hetera!

LEENA.

O życie tu idzie,
 Pośpiech nas zbawi, na moje skinienie
 Nawa gotowa — ja dążę do brzegu.
 Uprzedź Cecinę . . .

MESALINA.

Ja z tobą — powaga
 Moja osłoni was, — spieszmy.

LEENA.

W szeregu
 Zbirów jam silna, a moja odwaga
 Nad zdradę śmierci przeniesie milczenie.

ARRIA.

Spiesz, — tu zaułkiem wkrótce, niewstrzymana
 Staniesz u rzeki.

LEENA.

Więc prowadź!

ARRIA.

Ty miana
 Godnaś bogini!

LEENA.

(wychodząc za Arrią)

Na później podzięki.

MESALINA.

Życie dar drogi, choć z nieczystej ręki.

SCENA 5.

MESALINA, PETUS.

PETUS (*wchodząc do siebie*).

Próżno czekałem w ogrodach Lukula.
Może tak lepiej; dłoń moja przytula
Chętniej pod togą miecz niżli truciznę.

MESALINA (*do siebie*).

Niewie nic jeszcze, więc wieścią mu bryznę
W pierś niesposobną. (*głośno*) Cecino!

PETUS.

Ty pani

U mnie? — gdym ciebie . . .

MESALINA.

Czekałeś w ogrodach!

Czemuś nie został tam raczej w przystani
Pewnej, twój spisek zdradzony w zarodach.

PETUS.

Przebóg — co mówisz!

MESALINA.

Trucizna, o której

Marzysz że piersi Cezara rozorze

Inne dziś dzieło spełniła:

(*wskazuje trupa Afranusa*) Patrz!

PETUS.

Sługa

Mój, Afran!

MESALINA.

W tej piersi ponurej

Cała się spisku odbiła osnowa,
Trzeba ją było uleczyć, już zdrowa
Na wieki.

PETUS.

Prędzej mów . . .

MESALINA.

Sprawa to długa:
Dosyć: twój zamysł nie tajny na dworze.

PETUS.

On więc delator.

MESALINA.

Nie, — własna twa żona!

PETUS.

Arria, — przenigdy!

MESALINA.

Zazdrością żywiona
Wzrok niewolnika wysłała na zwiady
Płocha twa Arria, a wiesz kędy ślady
Twe prowadziły.

PETUS.

O bogi!

MESALINA.

Me dłonie
By ciebie bronić, w kocytu go tonie
Chętnie strąciły.

PETUS

Co począć w tej dobie?

MESALINA.

Patrz kędy miłość cię wiodła, — na grobie

Stoisz, rzuć ścieżkę tę, zwróć się, — na innej
Kwitnie ci szczęście.

PETUS.

Zapóźno!

MESALINA.

Bezczynny
Żywot zakończysz śmiercią bezowocną,
Jako ofiara bezmyślnej zazdrości;
Zwróć się, — dłoń moja podeprze cię mocno,
I w mojej piersi źródło znajdziesz miłości.

PETUS.

Co słyszę!

MESALINA.

Z serca płynące wyznanie.
Taić nie pora. Mój władco i panie
Kocham cię! — moim bądź, będziesz zbawiony!

PETUS.

Zmysły zbierz . . .

MESALINA (*w uniesieniu*).

Mogę! do ciebie me zmysły
Całe przylgnęły! Tyś sądził szalony
Że ja bez celu popieram zamysły
Dumnych twych dążeń, jam w tobie widziała
Miłość jedynie, co w sercu mem pała!

PETUS.

Żądzę mów raczej, — i nie słów imieniem
Czystej miłości — występnych twych ogni.
Odstąp odemnie!

MESALINA.

O słuchaj, schronieniem
Moja ci miłość bezpiecznem, więc pognij

Przeszłość, tak jako miecz nieużyteczny
Pognij i porzuć daleko od siebie,
I miasto ginąć bez chwały, bądź w niebie
Ze mną rozkoszy!

PETUS.

Twój oddech wszeteczny
Krew mi rozburza gniewliwie.

MESALINA.

W Lukula
Skrzyję ogrodach cię, a ranną dobą
Nie już spiskowca wywiodę lecz króla!

PETUS.

Czułem do ciebie odrazę, dziś tobą
Gardzę!

MESALINA.

Cecino, raz jeszcze cię błaga
Pani wszechświata, jak żebrak łaknący,
O jedną iskrę miłości, zniewaga
Mija mię, z twoich bo ust brzmi, ziębiący
Wyraz twej wzdęty przy strasznym płomieniu
Piersi mej, nagle przetapia się w żary
Żądy namiętnej, i pali mię więcej:
Im więcej gardzisz, tem kocham goręcej!
Słuchaj, śmierć czeka cię w trwodze i drzeniu,
Śmierć z ręki kata — a ceną ofiary
Serca twojego jest rozkosz i życie.
Przy mnie zapomnisz o marach przeszłości;
Niosę ci miłość, potęgę, użycie
I ubóstwianej ziszczenie wolności.
Tak, gdy jej żądasz, ha, choćby na świecie
Całym wymarła, ja znajdę dla ciebie,
Znajdę ją, z śmierci popiołów odgrzebię
I blask jej Romie postawię przed oczy....
Cóż niepodobnem być może kobiecie,
Co jak ja kocha, jak ja szczęście goni!

Wszystko co drogiem ci w życiu, roztoczy
 Dłoń moja w poprzek gościńca żywota.
 Rzekłam, — wybieraj, czy śmierci ci toni
 Uścisk jest miłszy — czy życia ujęcia!
 Mów, kędy pójdziesz?

PETUS.

Tam gdzie wie dzie cnota!
 Choćby zawiodła mię w śmierci objęcia!
 Odstąp odemnie!

MESALINA.

O Eumenid węże!

PETUS.

Nie takim szlakiem chodzą Rzymskie męże:
 W czasach gdy imię Romy za grot stało,
 Patrz, jeden okrył się wieczystą chwałą
 W boju zwyciężkim, ten inny wśród ludu
 Słynał mądrością, ów, zacny cel trudu,
 Państwem kierował; z Katonem ów cnocie
 Sławę zawdzięczył, a każdy ją w pocie
 Czoła osiągał zaszczytnym — nikczemnie
 Żaden nie zdobył jej, podłą frymarką:
 Jam jest ich synem — więc odstąp odemnie!

MESALINA.

Przestań gdy życie ci miłe, bo czuję
 Jako zastyga już uczuć mych lawa
 W głąz nienawiści. Drżysz, będę ci parką
 Nieubłaganą!

PETUS.

Nić parki się snuje
 Tak długo póki jej starczy przedziwa;
 Miłsza mi śmierć jest niż podła obawa
 Aby żywota mi przedzę zelżywa
 Nić hańby miała przedłużyć!

MESALINA.

Szalony!

Kładłam pod stopy ci wielkość, korony
 Kładłam wszechświata, tyś nogą zuchwała
 W proch je potoczył, i śliną pogardy
 Skroń moją dumną skaziłeś, o hardy
 Sługo ty śmierci, ofiaro nicości,
 Całą ci duszą śmierć niosę, jak całą
 Duszą ci niosłam rozkosze miłości.

Zginiesz! (*Arria wchodzi*).

ARRIA.

O bogi!

PETUS.

Lecz zginę, jak zawsze
 Romy synowie ginęli.

ARRIA (*występując między niemi*).

Wraz ze mną!

MESALINA.

Ha, na twój widok znów jędze mi krwawsze
 Piers rozburzają! co, ty jeszcze żywym!
 Spełnię twą wolę! jak chciałeś — cnotliwym
 Będziesz umierał! (*wybiega*).

PETUS.

A ty — żyć nikczemną.

SCENA 6.

PETUS ARRIA.

ARRIA.

Strasznie, — więc wszystko stracone!

PETUS.

Krom cnoty!

ARRIA.

O mój Cecino, jam ciebie zgubiła!

PETUS.

Nie ty, o luba, przeznaczeń to siła.

ARRIA.

Nie, o nie jeszcze, nim śmierci nas sploty
Razem ogarną, do końca się życia
Słabej czepiajmy kotwicy, istnienie
Twe jeszcze Romie potrzebne, z rozbicia
Życie, skarb drogi, wynieśmy!

PETUS.

Po cenie
Cnoty, prawości? — za droga ta cena.

ARRIA.

Każda nam chwila grób kopie pod nogą:
Spieszmy, hetera wżgardzona, Leena
Zbawia nas, nawa na znak jej gotowa
Jeszcze przed świtem twe losy uniesie:
Tą co ja wskażę — ty możesz iść drogą!
Spieszmy....

PETUS.

Zawiłość znow budzi się nowa.
Nie, na żywota wolę stanąć kresie,
Niż na początku, tułactwa!

ARRIA.

Początek

Zejdzie się z końcem niebawem, na czele
Wrócisz legionów; zerwany dziś wątek
Jutro podejmą wolności mściciele.

PETUS.

Mówisz, Leena....

ARRIA.

U brzegu za nami

Czeka.

PETUS.

Los tak chciał! penaty, za wami
 Moja tęsknota będzie życia celem:
 Idę tułaczem, — powrócę mścicielem (*chce wychodzić*).

SCENA 7.

CIŻ I SKRYBONIANUS.

SKRYBONIANUS.

Ledwie zdołałem tu dopaść, Cecino
 Jesteś szlachetnym i prawym, wiem o tem,
 Rzymskiej ci w żyłach strumienie krwi płyną:
 Ty mię nie zdradzisz!

PETUS.

Ja zdradzić cię?

SKRYBONIANUS.

Zwrotem
 Zręcznym zdołałem się wymknąć: stracone,
 Wszystko, lecz mego nie wymien nazwiska
 Choćby pytali, nie wymien!

PETUS (*do siebie*).

Zelżone

Dusze zdradzają się kiedy śmierć bliska.

SKRYBONIANUS.

Ha, ja marzyłem o sławie, potędze...

PETUS.

A ja o Romie!

SKRYBONIANUS.

Dziś los rwie tę przędzę!
Żegnaj Cecino, na twoje marzenie
Miejsca na ziemi nie było.

PETUS (*zatrzymuje go*).

Zaczekaj;
Skoro o własne tak dbasz wybawienie,
Uchodź wraz ze mną.

SKRYBONIANUS.

Wraz z tobą?

PETUS.

Nie zwlekaj!
Nawa nas czeka, za Leeny sprawą,
Spieszmy.

SKRYBONIANUS.

Leeny? — więc nie wiesz o niczem?

ARRIA.

Straszne przeczucie pierś porze obawą.
Cóż przyjdzie słyszeć!

SKRYBONIANUS.

Leena pojmana
I przed Cezara stawiona obliczem,
Nad niecną zdradę, na łaskę tyrana
Zgon dobrowolny przeniosła.

ARRIA.

O bogi!

SKRYBONIANUS.

Piers swą niewieścią przeszła bez trwogi
Mówiąc: me usta nie zdradzą nic, rana
Niechaj za usta dziś świadczy, hetera
Żył niktzemnie, niech wzniośle umiera.

ARRIA.

Przebóg! co czynić!

SKRYBONIANUS.

Niebawem już strażę
W twojem kawedium zadźwięczę zbrojoną
Stopą, więc żegnaj.

ARRIA.

Śmierć naszą obroną.
Śmierć wśród święcone penatów ołtarze.

SKRYBONIANUS.

Krok Mesaliny ich wiedzie, co z wieścią
Przyszła, że całą chcesz unieść ztąd głowę.

ARRIA.

Straszno: miłością zdradzony niewieścią,
Giniesz niewieścią dziś zemstą!

PETUS.

Grobowe
Bogi wołają mię, a Rzym w niewoli!

ARRIA.

Śmierć dzisiaj winną z niewinnym zespoli.

SKRYBONIANUS.

Żegnaj, lecz nie zdradź mojego imienia.

PETUS.

Idź, sługo życia.

SKRYBONIANUS (*zwracając się*).

O przebóg, przedsienia
Dźwięczą krokami.

ARRIA.

To śmierć blada puka.
Gdzie życie wzorem; zgon będzie nauka.

SCENA 8.

CIŻ, MESALINA, STRAŻ PRETORYAŃSKA.

MESALINA.

Otóż są, czynicie powinność.

ARRIA.

Bezczelna,
Ty ich prowadzisz!

MESALINA.

Wszak rzekłam: śmiertelna
Moja nienawiść, komu zaszczyt czynię
Walki, ten śmierci już plonem

ARRIA.

Boginie
Czyste i święte i penaty domu
Niechaj w tej walce rozstrzygną dziś, komu
Z nas dwóch przystoi się szczyć z wygranej,
Tobie zwyciężkiej, czy mnie pokonanej.

MESALINA.

Gardzę szermierką słów. Hej centurionie
W lochów Mamertu najczarniejszem łonie,
Jego mieszkanie; więzów nie żałujcie,
Taki mój rozkaz, do dzieła więc!

ARRIA.

(rzucając się między straż a Cecinę).

Stójcie!

Podłych siepaczów nie dotkną go dłonie.

MESALINA.

Tyś go zdradziła!

ARRIA.

I ja go obronię!

MESALINA.

Ty?

ARRIA.

Jest potęga co twej naigrawa
 Władzy, skarb wolnych, ucieczka szlachetnych,
 A tą potęgą jest Charona nawa.

MESALINA.

Śmierć!

ARRIA.

Lecz śmierć taka nie jest dziełem świetnych
 Chuci twej piersi, to wolnych, śmierć wolna
 Tyś takiej śmierci bezwstydną, niezdolna.

MESALINA *(do straży)*.

Żywo

Wiążcie go.

ARRIA.

Stójcie! my śmierci już żniwo,
 Lecz nie ty będziesz żniwiarką; — Cecino
 Jam cię zdradziła, ja drogę ci wskażę,
 Tu kędy w ciebie surowe się twarze
 Przodków wpatrują, niech wolną zapłyną
 Krwią, naszych wolnych penatów ołtarze,

Śmierć nie wygnaniem nam, ale dziedziną;
 Los srogi wszelką gdy wolność osłania,
 Jednej nie wydrze — wolności konania!

(dobywa sztylet).

MESALINA.

Co czynić myślisz!

ARRIA.

Uciec od sromoty!

(do Petusa)

Za mną Cecino w próg śmierci!

PETUS.

I cnoty!

Arrio, ty mężtwo mi wracasz.

ARRIA.

To krzepi

Serce, niech się więc dziś Orkus zasklepi,

Po nad wolnemi — wprzede dniu niewoli!

Ha, *(przebija się)*.

PETUS.

Arrio! *(do Mesaliny)* Nędzna!

ARRIA.

(słabnącym głosem podając Petusowi sztylet).

Za mną, śmierć nie boli *(kona)*.

PETUS

(przebija się i pada obok niej).

Zastona spada.

RZĄD PRUSKI

I KSIĄDZ PRYMAS LEDÓCHOWSKI.

Kiedy się czyta w historyi wieków średnich o wielkich walkach władzy świeckiej z duchowną, o cesarzach lub królach ciągnących wyprawą na Rzym, o papieżach zagrożonych, zmuszonych do ucieczki, albo do przeniesienia stolicy swojej tam, dokąd przenieść ją chciał taki władca świecki dla własnej wygody, żeby ją mieć pod swoim okiem i ręką, trudno jest wyobrazić sobie, jak świat europejski mógł wyglądać w takim rozdarciu sumień, w takiej sprzeczności obowiązków, w takiej walce zasad. Nasze walki polityczne lub społeczne, w wybuchach swoich gwałtowniejsze zapewne i krwawsze, o ileż są w powodach swoich płytsze, a do ukończenia łatwiejsze! W najstraszniejszych nawet, jak francuzki *Terreur* lub *komuna*, walczą z sobą tylko dwie zasady jednego porządku, dwa pierwiastki, dwie siły tej samej natury: którakolwiek zwycięży, choćby gorsza, to po zwycięstwie siła rzeczy sprowadzić musi równowagę, spokój, prędzej lub później, ale niechybnie normalny stan i byt społeczeństwa. Ale kiedy do walki staną dwie zasady, dwie siły, z których każda ma inny początek, inną naturę, i inny zakres, wtedy przewidzieć koniec i spokój przywrócić trudniej, bo powodem starcia jest zawsze i bez wyjątku nieznanomość swojej natury i swego zakresu u jednej ze stron wojujących, celem jest zmiana tego zakresu, a on właśnie zmienić się nie może. W walkach politycznych i społecznych cel może być osiągniętym. Przypuśćmy,

że w całej Europie zwycięża naraz socjalizm i urządza ją po swojemu, przypuścemy, że ten stan rzeczy przyjmuje się i trwa, a bez logicznej niedorzeczności będziemy sobie mogli wyobrazić, że ludność zmieniła wprawdzie wszystkie formy i warunki swego życia, ale w tych nowych znalazła jeszcze możność życia i równowagę. Inaczej kiedy państwo wdziera się w zakres władzy kościelnej. Wtedy garnie ono pod siebie porządek rzeczy od niego niezależny, odmienny pochodzeniem i naturą: władza kościelna nie może z niego ustąpić nic, bo ustąpiwszy cokolwiek, straciłaby wszystko, zaprzeczyłaby sama sobie, podpisałaby sama na siebie dekret niewoli i śmierci. Cel przez władzę świecką dopiętym tu być nie może: wyobraźmy sobie potęgę Aleksandra, Cezara, i Napoleona dodane do siebie, pomnożone dziesięć, sto, tysiąc razy. Taka potęga zdoła prześladowaniem wymusić na słabszych posłuszeństwo wyjątkowe i pozorne, zapędzić kościół do katakomb; na swoim nie postawi, spokoju i równowagi dla swego porządku rzeczy nie przywiedzie, bo nad sumieniem i umysłem ludzkim nie panuje. To jest punkt jedyny na świecie absolutnie wolny, do którego rozkaz ani szpieg nie ma wstępu, nad którym bagnet i dział Kruppa nie ma mocy; milczeć i znosić może długo, ale nie podda się nigdy, protestować będzie zawsze, a poczekawszy na sposobność podniesie nową walkę. Władza świecka, która chce przykazywać ludziom jak mają wierzyć, jak religią swoją pojmować, a wynikające z niej obowiązki praktykować, która pod siebie chce zagarnąć rzeczy wiary i sumienia, lub to co jest ich koniecznem narzędziem, kościelną organizacją, jej niezależność i zakres jej praw i obowiązków, może na chwilę złudzać się że do celu swego trafiła, ale opór sumienia przekona ją zawsze, prędzej czy później, że pokusiła się o to czego ani zatrzymać ani nawet osiągnąć nie może. A jak natura sił walczących tak i ich broń jest różna, i dla tego koniec tem trudniejszy nierównie niż w świeckich zapasach. Siłą zbrojną można zagładzić wszystkie zewnętrzne znaki przeciwnika, zamknąć, zabrać, lub zburzyć kościoły, niedopuszczyć publicznych nabożeństw, sprawić że ksiądz nie będzie ubiorem różnił się od świeckiego, to można; ale ten sam ksiądz w świeckiem odzieniu, nocą przekradać się będzie do domów, nauczać katechizmu, chrzcić, spowiadać, odprawiać mszę, podawać komunię, wszak nieraz już tak było; ale gdzieś, choćby w katakumbach będzie prawnie obrany Papież,

będą rozproszeni po świecie, ukryci, przez niego ustanowieni biskupi, a ludzie będą im wierzyć, kiedy powiedzą, że państwo nie ma prawa wtrącać się w sprawy Kościoła, będą ich słuchać kiedy powiedzą *non possumus et vos non potestis*, myśleć, wierzyć i robić jak tamci żądają.

A taka walka bez wyjścia, dla tego że bez wyjścia tak trudna do zrozumienia, do wyobrażenia sobie, kiedy się o niej czyta w historii, toczy się dziś, w naszych oczach, w oświeconej, postępowej i wolnej Europie. Nie widać wprawdzie wielkich dramatycznych scen średniowiecznych: Grzegorza umierającego na wygnaniu, bosego Cesarza ze stryczkiem na szyi w Canossie, Aleksandra III depcącego po hardym niemieckim karku w portyku św. Marka; ale każdy z nas może powiedzieć: „vedi in Alagrio entrar lo fiordaliso e nel vicario suo oltraggiar Christo..“ Tego tylko nie ujrzymy, żeby papież złożył tyarę jak Celestyn, albo żeby się dał zawieść do jakiego niemieckiego Avinionu. Ale z tą różnicą scen efektowych i malowniczych, dzieje się w naszych oczach to samo i gorzej: gorzej, bo przedmiot sporu sięga dalej w zakres władzy kościelnej i głębiej w samą istotę religii; gorzej, bo wtedy chodziło o poddanie władzy kościelnej pod świecką (a do tego świecką katolicką), dziś o zupełną dezorganizacyą Kościoła; gorzej, bo wtenczas żaden świecki monarcha nie przyznawał sobie prawa sądzenia kto jest katolikiem, a kto nim nie jest; gorzej, bo nawet w sławnej sprawie inwestytury chodziło cesarzom o utrzymanie charakteru świeckiego wasalstwa biskupów, ale o tem żaden z nich nie pomyślał, żeby mógł złożyć biskupa z jego kościelnego urzędu, żeby przez swoich urzędników mógł sam sprawować wykład i naukę religii, żeby on sądził o tem kto ma lub nie ma być wyświęconym na księdza, żeby księdza którego biskup odsunął a *divinis*, on mógł na urzędzie zatrzymać i dać mu pozwolenie do odprawienia mszy i udzielania Sakramentów. Niekrwawe dotąd i ciche, jest to prześladowanie dzisiejsze najgłębsze i najprzewrotniejsze jakie Kościół w ciągu swej historii, w prześladowania podobno dość obfitej, miał do zniesienia.

A chwała wynalazku, miło to pomyśleć, należy się Prusom. Bo czy to nie pociecha dla polskiego serca, że Prusak gorszy, zawziętszy wróg Boga niż był niegdyś rzymski Cezar? i czy myśląc o tem, w tej strasznej chwili stósownej tylko do śpiewania

Miserere albo i *de Profundis*, mimowolnie nie dobywa się z piersi radosne, tryumfalne *Magnificat*, czy zdaleka nie widzi się chwili w której danem nam będzie ujrzeć i powiedzieć: „*fecit potentiam in brachio suo, dispersit superbos, deposuit potentes de sede.*“

Koniecznością było logiczną i historyczną żeby to prześladowanie Kościoła, najcięższe, wyszło od nich, od tego rządu i państwa, które z protestantyzmem na świat przyszło, protestantyzmem rosło i żyło, i protestantyzm, przynajmniej na stałym lądzie Europy, w siebie pochłonawszy, strawiło i przeistoczyło. A nie mówimy tego w uczuciu goryczy, niechęci, fanatycznej nienawiści do protestantów, tem mniej w chęci ubliżenia im; bynajmniej; jeżeli co dla nich czujemy, to współczucie. Wiemy dobrze, że nie protestanci nas prześladowają lecz państwo, a widzimy, że kiedy my w naszej wolności tylko i w naszych prawach, to protestantyzm zagrożony jest przez to samo państwo, choć nie tak widocznie, w samej swojej istocie, w samym pierwiastku swego życia. Ale kiedy protestantyzm wyłamał się z jedności i z pod powagi Kościoła, wtedy fatalnie skazał się na supremacyą państwa, sprzedał mu prawa starszeństwa, oddał mu się w niewolę, i zasiał ziarno tej pokusy panowania nad sumieniami, której dziś uległ rząd pruski. Nie dlatego tylko, choć także i dlatego, że zwierzchnictwo kościelne i świeckie zostawił w jednym ręku panującego, ale dlatego głównie, że zachował pozorną, materyalną, zewnętrzną jedność swego Kościoła, a zniósł jedność rzeczywistą i prawdziwą, jedność wiary. Dopóki trwały walki religijne XVI i XVII wieku, utrzymywała się ta jedność dogmatyczna protestanckiego Kościoła siłą antagonizmu z Kościołem powszechnym: ale odkąd te ustały, umysł ludzki, wyswobodzony (jak chcą protestanci) z pod wszelkiej władzy nauczającej i wykładającej wiarę, musiał tę jedność zatracić. Powstało tyle w nim kościołów ile jest ludzi, z których każdy myśli i wierzy jak chce. Zewnętrzna jedność pod świecką zwierzchnością ani mogła ani potrzebowała temu przeszkadzać: o jedność wiary, o niezmiennosc nauki nie chodziło jej, chodzić nie mogło; o tem w wyznaniach protestanckich nie może być mowy; każdy zaś wierny zosobna, przestając na tem że wolno mu wierzyć i myśleć jak chce, znosił obojętnie jakąś pozorną jedność i władzę, która mu nigdy ciężżyć nie mogła. Powstał więc z tego rozkład zupełny protestanckiego

Kościół; jedności wiary i nauki w nim, władzy duchownej, wyższej, od Boga pochodzącej i jemu tylko odpowiedzialnej nie było; została więc w protestanckiej Europie jedna tylko władza, i jedna zorganizowana siła: Państwo. Widząc się jedyną u siebie władzą, nie wierząc i nie wiedząc, w moc swego protestanckiego wychowania, że może być obok niego, a w rzeczach wiary nad niem, władza inna od Boga samego pochodząca i postanowiona, państwo takie protestanckie musiało wreszcie dojść do pojęcia siebie jako władzy jedynej i nieograniczonej, to jest: ograniczonej prawami i konstytucją, ale nie naturą swoją i nie co do zakresu i co do pojęcia siebie jako najwyższej na świecie zasady. Cała historia Prus od wzmożenia się brandenburskiego Margrabstwa w wojnach religijnych, myśl w swoich dociekaniach i konkluzjach, czyn w swoim dążeniu i w swoich środkach, filozofia Hegla i polityka Fryderyka: wszystko świadczy, że to państwo ma się za najwyższą zasadę, za ideę absolutną, i nie pojmuje, że cokolwiek innego może się uważać za zasadę nie już wyższą ale tylko równą, że może celom państwa stawiać opór, naprzeciw jego prawom stawiać prawa swoje, i władzy jego zwierzchniczej, zupełnie, absolutnie, we wszystkich życia kierunkach i stosunkach nie uznawać. — To pojęcie i to dążenie do absorbcyi wszystkiego przez państwo, było w Prusiech zawsze, a jeżeli dotąd nie wystąpiło nigdy tak stanowczo i groźnie, jeżeli mianowicie na polu religijnem, pomimo starć chwilowych władzy rządowej z kościelną, nie tylko nie przyszło do otwartej wojny, ale owszem był spokój i zgoda z Kościołem katolickim, to nie dlatego jakoby dążność do opanowania Kościoła była czemś nowem i świeżem, ale dla tego naprzód, że w dwóch, królach ostatnich, zwłaszcza w Fryderyku Wilhelmie IV było wiele zmysłu moralnego, wiele uczciwości, wiele wierności zaprzysiężonym prawom drugich i obowiązkom królewskim: powtóre dlatego, że liberalizm ówczesny (przed rokiem 1848) wierzył jeszcze w to co mówił, że wolność w dobrej wierze szanował, a co za jej rękojmię uważał tego i przestrzegał; i kiedy uznał za taką „wolność wyznań i opiekę prawa nad niemi,“ to gwałcić tej wolności nie chciał; wreszcie i dlatego, że Prusy wówczas były słabsze, widziały do koła siebie państwa potężniejsze od siebie, i nie były się jeszcze nauczyły patrzeć na siebie

jako na siłę pierwszą i jedyną w Europie, żądać żeby ją wszystko uznawało, wszystko przed nią ustępowało.

Ale przyszła chwila, że Bóg historyczny Hegla, wcielony w Prusy, obejrzawszy się około siebie mógł powiedzieć jak Farys, „oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.“ Od Karola W. nie było w Europie takiego dnia żeby w niej jedna tylko stała potęga. Karol V, pan Niemiec, Hiszpanii, Włoch, Flandryi i Ameryki miał współzawodników których się lękać musiał: Napoleon zdeptał całą Europę, ale z dawnej jej równowagi tyle przecie zostało, że mogła przeciw niemu złożyć się koalicja. Dziś Europy niema, jak powiedział jeden z dyplomatów współczesnych, i pruski Farys „wyciągnawszy przeciw światu ramiona nie uprzejme,“ mógł mówić sam do siebie: „zda się, że go ze Wschodu na Zachód obejmę.“ I w tej chwili to państwo dążące zawsze do apoteozy własnej, musiało dojść do niej ostatecznie i zupełnie, i dać jej wyraz. Niemiecka duma i pruska idea wszechmocy państwa, upojona tryumfem, nie mogły pojąć, przypuścić, pozwolić, żeby oprócz nich było coś jeszcze na ziemi.

Wyteżyło się ich oko
Tak daleko tak szeroko,
Że więcej świata zasięga
Niż jest w kole widnokręga,

a zatem okiem pożądlivem myśl żarłoczna i chciwa leciała, wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu,“ aż tam dostrzegła punktu jednego wolnego, który jej mówił: mnie nie dosiędziesz, siły jednej, która mówiła: mnie nie zwalczysz, dalej nie pójdziesz, ziemię zmocujesz, może i zwojujesz, ale od „niebios szczytu“ wara. To ujrzawszy, Prusy wydały wojnę.

I.

Bo to nie prawda co mówi rząd i parlament i dziennikarstwo niemieckie, jakoby Sobór watykański był dał powód do walki i konieczną ją uczynił. „Nie nasza вина“ wołają Prusy głosem swoich ministrów, swoich liberalnych mowców, swoich dzienników, i swojego Kanclerza — „myśmy zaczepki ani zerwa-

„nia nie szukali: dowód najlepszy naszego umiarkowania, naszej „sprawiedliwości, naszej dobrej woli względem wszystkich, w tym „długim a błogim pokoju, którego Kościół katolicki pod skrzy- „dłem naszej opieki używał. Ale odkąd Papież przez Jezuitów „popchnięty zażądał nieograniczonej władzy nad sumieniami i „umysłami a Sobór mu ją przyznał, dekretując *Nieomyślność* i „ogłaszając ją za dogmat, odkąd tem samem zmieniała się i na- „tura i zakres władzy kościelnej i stosunek jej do katolików, „odtąd musiał się zmienić i nasz stosunek do niej. Żadna bo- „wiem władza świecka, jeżeli chce być i zwierzchnicze swoje „prawa wykonywać, nie może pozwolić na to, by jej liczni pod- „dani mieli gdzieś, po za nią, zwierzchnika innego, który się nie- „omylnym mieni, przez to zupełnego posłuszeństwa wymaga, a „nakazać im może, jeżeli mu się spodoba, rzeczy z naszym po- „rządkiem, zamiarem i prawem niezgodne. Dogmat Nieomyślno- „ści nie tylko zmienia konstytucyą katolickiego Kościoła, bo „znosi samodzielność biskupów i oddaje ich wraz z dyecezyami „pod absolutną władzę papieża, ale nie zostawia władzy świeckiej „najmniejszej rękoi, że jej zwierzchnictwo będzie szanowaniem „a jej prawa przestrzeganiem; owszem i ją także, wraz z wszyst- „kiem innem poddaje pod wolę czy kaprys nieomylnego papieża. „Dla własnego więc prawa, bezpieczeństwa, i niepodległości, ale „i dla naruszonych praw i organizacyi samego katolickiego Ko- „ścioła, my przeciw tym zmianom wystąpić i niezależność swoją „zabezpieczyć musimy: i skoro władza kościelna zmieniła naturę, „zmienić nasz stosunek do niej, a zmieniony obwarować nowemi „prawami poręczającemi naszą zwierzchniczą władzę, prawami „których konieczność wywołana przez Rzym sam i dogmat Nie- „omyślności wynika z położenia rzeczy.“

Tak tłumaczy rząd pruski swoje stanowisko, a rzecz dzi- wna, znajduje się wielu, wielu katolików nawet, którzy mu nie zupełnie może, ale trochę przecież uwierzyli. „Istotnie“, mówią, „przy nieomyślności papieża, żaden rząd, żadna konstytucya, za- „dne stanowienie ani wykonywanie praw, słowem żadna niepod- „ległość państwa, nie może być pewną ani trzech dni istnienia. „Jeżeli państwo na przykład konstytucyą swoją uznaje i gwaran- „tuje wolność druku, a nieomylny papież ogłosi ją za rzecz złą „i bezbożną, wypadnie chyba stósować konstytucyą do jego woli „i zdania: jeżeli podstawą wolności jest równouprawnienie wy-

„znań, a papież postawi przeciw niemu swoje nieomyłne *veto*, „cóż wtedy? czy odbierać różnowiercom prawa polityczne, żydom „prawa posiadania ziemi? Nie mówiąc już o tem, że władza kościelna może katolickim obywatelom państwa zakazać po prostu przestrzegać tych lub owych jego praw, lub też nawet nieposłuszeństwo tym prawom im nakazać. Istotnie, trudno państwu „w takich warunkach żyć i utrzymać się, i dziwić się nie można, „że pruskie chciało się przeciw nim zabezpieczyć.“

Wszystko to polega na sofistycznym przekręceniu pojęć, na umyślnem przeniesieniu kwestyi z jej właściwego pola na inne, co jedni ze świadomością zręcznie wykonali, czem drudzy, pozorami złudzeni, łatwowiernie omamić się dali. Bo nie przecząc że rozgraniczenie zakresu praw między Kościołem a państwem i dobre określenie ich wzajemnego stosunku, jest sprawą najtrudniejszą i najzawilszą na świecie; nie przecząc iż i władzy kościelnej może się zdarzyć że przestąpi swój zakres a wkroczy w koło praw i zwierzchności władzy świeckiej, i że w takim razie władza świecka bronić się ma prawo i obowiązek, powiedzieć tylko trzeba to, że przez ogłoszenie dogmatu Nieomyłności papieża, ten wzajemny stosunek państwa i Kościoła w niczem się nie naruszył i nie zmienił; w zakresie, w praktyce, w skutkach, pozostał jakim był przedtem. I nie wchodzimy tu wcale w teologiczną stronę rzeczy, nie będziemy nawet przypominać że ogłoszenie tylko a nie rzecz ogłoszona, dekret Soboru a nie przedmiot nauki i wiara w tym względzie, jest rzeczą nową. Owszem, dajmy na to przez chwilę, że o Nieomyłności papieża w rzeczach wiary nikt dotąd w Kościele katolickim nie słyszał, że to wymysł zupełnie nowy, wynalazek zdradzieckich Jezuitów, ambitynych kardynałów i papieża ubóstwiającego swoją zasadę a choćby i osobę, postawmy się wbrew historii i prawdzie, zupełnie na stanowisku przeciwników: to i cóż? czy nam to co pomoże? czy zdołamy wtedy dowieść, że przez ten dogmat nowy, Kościół zmienił zakres swojej władzy i swój stosunek do państw? Bynajmniej. Czy była kiedy w Kościele katolickim chwila, w którejby papież nie był widomą głową tego Kościoła, namiestnikiem Chrystusa? Nie. Czy kiedykolwiek można było papieża za głowę Kościoła nie uznawać, a pomimo to katolikiem zostać? Nie. Czy uznając go za głowę Kościoła, godziło się kiedy katolikowi być mu nieposłusznym, wierzyć inaczej jak on wierzy i naucza, nie robić

tego co on nakazuje? Nie. Czy jedność katolickiego Kościoła, która jest nie tylko jego cechą, ale jego samą istotą, nie zaszła się zawsze na tem, że miał papieża, który tę jedność wiary i nauki przechowywał i utrzymywał, a tę jedność Kościoła w sobie skupiał i wyrażał? Czy nie wynikało z tego, że papież, głowa Kościoła, następca Piotra, namiestnik Chrystusa, mając w swoim ręku klucze i urząd „pasienia owiec moich“ w moc nieprzerwanej sukcesji apostolskiej władzy, sam jeden tylko miał moc udzielania łask boskich, którą na biskupów przelewał? Czy nie zawsze tak było, że ten tylko mógł odprawiać mszę, spowiadać, dawać śluby, kazać, udzielać komunii, słowem być księdzem, kogo na księdza wyświęcił biskup prawnie przez papieża postanowiony? Czy nie zawsze papież, pośrednio czy bezpośrednio, miał prawo przyznawać przedstawionemu władzę biskupią, nawet w tych pierwszych czasach, kiedy zgromadzenie wiernych wybierało kandydatów na biskupów? Czy bez papieża lub jego zastępcy, można kiedy było być katolickim biskupem a pośrednio (przez biskupa) bez papieża być księdzem? czy można było bez niego katolikowi być ochrzczonym, bierzmowanym, rozgrzeszonym, ożenionym i tam dalej? Nie; nigdy, przed ogłoszeniem dogmatu Nieomyślności jak po niem, nigdy! A z tego wynikało że skoro papież był Głową Kościoła i szafarzem łask sakramentalnych, więc do niego należało wybierać i mianować te organa i kanały, które one do świeckich wiernych się dostawały; z tego wynika, że nikt inny w to jemu się mieszać nie miał prawa, i że wszystkie te dalsze organa transmisji łask, jemu podlegały i winne były posłuszeństwo.

Taka była wiara, nauka i praktyka Kościoła katolickiego zawsze, na takiej się opierał stosunek Kościoła do wszystkich państw świeckich. Po ogłoszeniu Nieomyślności wiara i nauka pozostała jaką była zawsze, praktyka takąż pozostać musi, a wynikający ztąd ów stosunek także zmienić się ani potrzebuje ani powinien, i Kościół zmian nie zaprowadza i nie wszczyna.

Nie o tę mniemaną też a państwu niby tak groźną *nowość* Nieomyślności chodzi rządowi pruskiemu w prześladowaniu dzisiejszem: to pozór, wykręt i fałsz; ale chodzi mu o to, że w chwili swoich zwycięstw i wszechmocności, nie chce i nie może znieść obok siebie zasady i potęgi innej, która śmie się zasadą wyznawać, śmie twierdzić że ma swój byt i swoje prawa, któ-

rych odstąpić ani zaprzeczyć nie chce i nie może, że ma swoje przyrodzoną z bożej łaski władzę, która może jemu posłuszeństwa odmówić a sobie je nakazać, która jednym słowem śmie być, chociaż Prusacy pokonali Austryą i Francją i założyli Cesarstwo niemieckie.

„Oprócz mnie miało nie być nikogo na ziemi“, a ktoś się jeszcze znajduje! ktoś mówi że z ramienia bożego ma prawo nauczać, działać, nawet rozkazywać! Na to nie pozwolę. Historyczna idea Prus, od reformacyi po szczeblach coraz wyższych idąca do urzeczywistnienia, wewnątrz pochłonęła wszystko, wszystko sobie służebnem uczyniła, zwyciężyła wszystko co jej na zewnątrz rozpręzać i rozpierać się nie dawało, została tylko jedna zasada, jedna siła, bezbronna, bezcielesna, czysto moralna, ale odważna, karna, zorganizowana, a w swoim boskim początku czerpiąca i ducha, i przekonanie, że nic ze swego ustąpić nie może. Tą ostatnią, jedyną dziś w Europie zasadą i siłą był Kościół katolicki; tej Prusy obok siebie znieść nie chcą. Rozprząd ją, zdeorganizować, żeby zniweczyć, i żeby na prawdę „oprócz mnie nie było już nikogo na ziemi“, oto powód i cel dzisiejszego prześladowania. A we wszystkich prawach, na których ono się wspiera, jest myśl nie zabezpieczenia zwierzchności państwa od zbytnej przewagi Kościoła, ale myśl dezorganizacyi, rozkładu i śmierci Kościoła.

Zaczęło się to równocześnie prawie z wersalskimi tryumfami lub wkrótce po nich. Ksiądz jeden w dyecezyi warmińskiej, Wollmann, a do tego nauczyciel religii, jak Döllinger, odszczepił się od Kościoła, nie przyjął dekretu Soboru, nie chciał uznać Nieomyślności. Tem samem wyłamał się z pod władzy i wystąpił z jedności Kościoła. Książę biskup Krementz nie mógł odszczepieńcy uważać za katolika, ani pozwolić żeby religii katolickiej nauczał człowiek, który inaczej wierzy jak papież i Kościół. Zawiesił go i z katedry usunął. Zdawało się dotąd, że do katolickiego biskupa należy sądzić kto w jego dyecezyi jest wiernym a kto nie, i kto może wiary katolickiej prawowiernie nauczać; zdawało się także, że jeżeli nauczyciel taki wierzy i naucza dzieci katolickie katolickiej religii inaczej jak katolicki Kościół, to biskup ma prawo nauczania tego mu wzbronić, nie przeszkadzając bynajmniej, żeby młodym protestantom udzielał nauki religii według protestanckiej wiary. Ale rząd pruski zdecydował

inaczej. Co za zgroza! co za ograniczenie przyrodzonej wolności człowieka, karać go za jego religijne przekonania! Co za zuchwałe wdzierstwo władzy kościelnej usuwać z posady nauczyciela, który przecież jest przydzielonym do szkoły rządowej, przez rząd płatnym jego urzędnikiem! To oczywiście prześladowanie, oczywiście pogwałcenie praw państwa! I za co jeszcze? Czy za to może, że ofiara sprzeniewierzyła się swojej religii? Bynajmniej, za to owszem, że jej wierną została! Wollmann pozostał katolikiem prawdziwym, takim jak niedawno jeszcze byli wszyscy, a Papież, Sobór, Biskup warmiński i wszyscy inni odszczepili się, stworzyli sobie nową religię: oni to heretycy, apostaci, neo-katolicy, którzy gwałtem i prześladowaniem chcą katolików prawowiernych do swojej wiary przymusić. Państwo takiego zgorzelenia dopuścić nie może: sprawiedliwość, konstytucya, wolność poręczona wszystkim wyznaniom, nakazują mu wziąć prześladowanego w opiekę i zasłonić go od okrucieństw świętej inkwizycyi?

I w poczuciu tego prawa, tej misyi i obowiązku, rząd pruski nie tylko rzeczonoego Wollmanna na nauczycielstwie religii zachował, ale co więcej ministeryalnym ukazem (jak słusznie nazywa deputowany Reichensperger w mowie swojej na sesyi z 10 grudnia 1873) polecił, żeby dla wszystkich uczniów katolickich wykład religii przez Wollmanna był obowiązkowym, pod zagrożeniem wszystkich zwykłych kar aż do wydalenia ze szkoły. Jest więc, na początek, młodzież katolicka zmuszona uczyć się swojej religii od człowieka, który jej nie wyznaje a naucza innej! Jest więc z jednej strony najoczywistsze prześladowanie sumień, jest ze strony drugiej najzuchwalsze wdarcie się w prawa władzy kościelnej, skoro rząd oświadcza że człowiek przez biskupa za odszczepieńca uznany, katolikiem jest i religii katolickiej nauczać może i ma. A kiedy Biskup zrobił użytek ze swego prawa i apostatę z Kościoła wykluczył, exkomunikował, rząd wytoczył Biskupowi proces, uznał go winnym, i za karę przestał mu wypłacać dochodów! Naturalnie! Biskup kiedy ogłasza że ktoś katolikiem być przestał i ze swojej owczarni go wyklucza, wykracza przeciw wolności sumień i wyznań, gwałci konstytucyą: „przecież każdemu wolno myśleć i wierzyć jak mu się podoba!“ — „Z pewnością wolno, tylko katolikiem być nie może kto wierzy inaczej jak papież i Kościół!“ — „Nie. Katolikiem jest każdy, jakkolwiek wierzy, jeżeli tak chce i mówi on i

rząd pruski, a biskupom o tem rezonować i rozstrzygać zasię.“

Za tym pierwszym krokiem poszły inne, równie samowolne, równie zaprzeczające prawom Kościoła, a stawiane systematycznie i sięgające coraz głębiej w samą istotę katolickiego Kościoła i życia.—Najmniejszym jeszcze z tych gwałtów nazwalibyśmy wypędzenie Jezuitów. Wypędzić zakon, który choćby tylko jako stowarzyszenie ma przecież swoje prawa, wypędzić go kiedy nie złego nie zrobił, praw krajowych w niczem nie przestąpił, wypędzić bez sądu i wyroku, wielu obywateli pruskich skazać przez to samo na wygnanie bez innej winy jak że byli Jezuitami, to i prześladowanie religijne i ograniczenie wolności ludzkiej straszne, i nawet haniebne pogwałcenie własnej konstytucyi, własnego kodeksu nawet, który przecież nie pozwala usuwać obywateli z kraju bez winy, bez oskarżenia, bez procesu, bez wyroku. Ale ten gwałt choć straszny, dla Kościoła był jeszcze ciosem najmniej niebezpiecznym: nigdy jeden zakon, choćby najpożyteczniejszy, Kościołowi do życia niezbędnym nie jest. I wypędzenie Jezuitów było szkodą dla Kościoła, bezprawiem i gwałtem na nim dokonanym, ale zostawiało mu jeszcze możność życia i pełnienia jego funkcji. Lecz skończywszy z zakonem, który ma tę chwałę, że w przeszłym jak w naszym wieku, bezwyznaniowość i wszechwładne państwo zaszczycają go szczególną swoją nienawiścią i że od niego swą walkę z Kościołem zaczynają, rząd pruski sięgnął dalej i przyłożył siekierę do korzenia katolickiego życia. Jeżeli we wszystkich szkołach księża będą naukę religii wykładać lub ją nadzorować, jeżeli po wiejskich szkołkach, ochronkach i t. p. te lub owe religijne stowarzyszenia wychowywać będą dzieci w wyobrażeniach katolickich, rzecz prosta, że w przyszłych pokoleniach będziemy znowu mieli katolików uznających papieża za Głowę swego Kościoła, nie zaś dobrych obywateli pruskich, absolutnie posłusznych i poddających wszystko, nawet wiarę i sumienie pod wolę i władzę państwa. Na to znowu przystać nie można: więc naprzód, znosi się sekcyja katolicka w ministerjum wyznań, która wprowadzie z protestantów była złożona, ale była osobna, a do rady wzywała podług zwyczaju niektórych katolików, (tak zwanych mężów zaufania), z głosem nie stanowczym, lecz tylko doradczym. Potem następuje zakaz utrzymywania szkółek lub uczenia po szkołach, dla zgromadzeń zakonnych męskich czy żeńskich, których celem właśnie jest uczenie

po szkołkach (Schulbrüder und Schulschwestern). Wkrótce znów nowe prawo oddało naukę religii w szkołach świeckich pod wyłączny dozór państwa; wreszcie, rzecz najdalej sięgająca, najbardziej zasadnicza, samowolne złożenie biskupa z urzędu (a raczej mówiąc po katolicku samowolne nie dopuszczenie go do pełnienia jego praw i obowiązków, bo złożonym z urzędu przez państwo przecież być nie mógł). Ksiądz Namszanowski, biskup agatopolski in partibus i naczelny kapelan armii, za trzechdniową nieobecność urlopem nieusprawiedliwioną (jeździł podobno na zjazd biskupów do Fuldy i ztąd kara zemstą), rozporządzeniem ministeryalnem z urzędu swego złożony. Ależ wojskowego kapelana, który wojskowej karności przestrzega, władza świecka ma wszelkie prawo oddalić? Nie samowolnie, nie bez porozumienia z właściwym biskupem, nie bez zgody papieża, jeżeli armia uważa się jako dyecezya, a ten kapelan pełni obowiązki biskupa.

Ograniczenie więc katolickiego wychowania przez zakaz szkółek zakonnych i odjęcie władzy duchownej dozoru nad nauką religii; ograniczenie wolności katolickiego życia i Kościoła przez wypędzenie zakonu; pierwszy atak na organizacyą i hierarchią Kościoła przez tak zwane złożenie biskupa z urzędu; dalej pogwałcenie już najbezcenniejsze wolności praw Kościoła i wdarcie się państwa najoczywistsze w atrybucyę władzy kościelnej, przez uznanie, wbrew tejże, odszczepieńca Wollmanna katolikiem, i przez pozostawienie go na katedrze religii; ucisk sumień katolickich prawdziwie bezprzykładny przez nakaz dzieciom katolickim uczenia się religii katolickiej od apostaty i wyklętego: oto kroki przeciw Kościołowi, któremi się bawił rząd pruski przez ciąg roku 1871 i 1872. A doprawdy można powiedzieć, że on się dopiero bawił; w porównaniu z tem co miało nastąpić była to igraszka, droczenie, sprzeciwianie się Kościołowi nie jego prześladowanie; rekonensans lub co najwięcej, pierwsze tyralieńskie strzały, nie bitwa.

A do takiej bitwy, i to do walnej, regularnej, stanowczej gotował się tymczasem rząd pruski: gotował swoje tak zwane *prawa majowe*, które są atakiem najsilniejszym i najmądrzej, najsystematyczniej obmyślanym na samodzielność, wolność i organizacyą Kościoła, które to wszystko z gruntu niweczą, a najwewnętrzniejsze, najbardziej duchowne sprawy Kościoła oddają

pod jedyną i najwyższą władzę państwa. I od uchwalenia tych praw dopiero rozpoczęło się na dobre to prześladowanie religii, którego uprzywilejowanym teatrem jest dotąd Wielkopolska, a pierwszą i najchlubniejszą ofiarą ksiądz prymas Ledóchowski.

Jest tych praw cztery, że o ostatnich, tegorocznych nie wspomnimy. Jedno orzeka o *kształceniu księży i obsadzaniu posad duchownych*, drugie o *władzy dyscyplinarnej kościelnej i o ustanowieniu królewskiego trybunału do spraw kościelnych*, trzecie o *granicach i użytku kar kościelnych*, czwarte wreszcie o *wystąpieniu z Kościoła*. To ostatnie, wyrachowane oczywiście na to żeby katolikowi niewiernemu przejście na inne wyznanie lub na bezwyznaniowość uczynić jak najłatwiejszem, najwygodniejszym, najprzyjemniejszym, bo wymaga od niego tylko oświadczenia przed miejscowym sędzią, doniesienia władzy kościelnej i formalnie spisane go protokołu (nie żądając nawet ani pełnoletności ani przyzwolenia rodziców lub opiekunów od małoletniego), jest jeszcze najmniej szkodliwe: czy w ten czy w inny formalny sposób odszczepi się człowiek, który się odszczepić chce, to dla Kościoła rzecz najobojętniejsza.

Inne znoszą zwierzchność papieża, znoszą wolny zarząd dyecezyi przez biskupów, znoszą karność kościelną i dążą do tego, żeby z Kościoła katolickiego w Niemczech zrobić inny pod względem artykułów wiary nie rzymski i powszechny, ale narodowy niemiecki, a pod względem organizacji poddany państwu tak jak każda gałąź spraw świeckich, jak skarbowość, administracja lub policja.

Nie wdając się w obszerny i gruntowny praw tych rozbiór, tylokrotnie już w Izbie pruskiej wyświeconych, musimy przecież niektóre ich postanowienia przytoczyć, żeby czytelnikowi przypomnieć co to jest za zamach na prawa i na samo istnienie Kościoła.

I tak na przykład, prawo o *kształceniu księży i obsadzeniu posad duchownych* rozporządza w paragrafie 4tym, że do objęcia jakiegokolwiek duchownego urzędu potrzebne jest świadectwo dojrzałości z jednego z gimnazyj niemieckich, trzy lata studyjów teologicznych na uniwersytecie niemieckim, i wreszcie egzamin rządowy. Napozór troskliwość chwalebna o naukowe wykształcenie duchownych: naprawdę zaś dążność widoczna żeby ich kształcić po za wszelkim wpływem duchownym i katolickim, żeby dostać księży, którzy w duchu anti-katolickim uczeni a do

zależności od władzy kościelnej za młodu nie przyzwyczajeni, nie mieliby świadomości ani poczucia kościelnej jedności i karności, nie byłiby w żywym związku ze swymi przełożonymi a tem mniej z Rzymem, a przez to staliby się powolnemi w ręku rządu narzędziami, gotowym materiałem na zamierzony Kościół narodowy. Dowodzą tego wyraźnie paragrafy następne (6, 7 i 8), które orzekają: że przez czas trwania tych trzechletnich studyów teologicznych na uniwersytecie żaden kandydat nie może być w seminarium; że w wyjątkowych razach nauki teologiczne pobierane w seminarium mogą zastąpić studia uniwersyteckie, *jeżeli Minister oświecenia uzna wykształcenie seminaryjskie za dostateczne*, a wyjątek ten stanowi się dla seminarjów istniejących w miejscu gdzie nie ma uniwersytetu lub przy nim teologicznego wydziału, i tylko dla uczniów urodzonych w okręgu dla którego seminarjum było założone. Egzamin rządowy ma dowiedzieć przedewszystkiem czy kandydat obeznany jest należycie z filozofią, historją i literaturą niemiecką. Teologia katolicka wykładana na uniwersytetach protestanckich, ów minister decydujący czy seminarjum może taką teologiczną naukę zastąpić, w końcu egzamin państwowy, który sam jeden mógłby odjąć powołanie duchowne, gdyby ono komuś po tak długich studyach antychrześcijańskich zostało: wszystko to obrachowane na to żeby kandydata wyzwolić z pod dozoru jego duchownej władzy, a następnie żeby go uczyć i zmusić do nauczania się historii ze stanowiska rządowego i protestanckiego, żeby znał Hegla zamiast śgo Augustyna, Büchnera, Vogta i Moleschotta zamiast Tomasa z Akwinu. Żeby zaś zgubne katolickie wpływy zgola już nieszkodliwemi uczynić, a wychowanie duchownych oddać ze wszystkiem pod światły i zbawienny kierunek rządu, oto co prawo stanowi: (§ 9): „Wszystkie zakłady służące do wychowania „duchownych (konwikta, seminarja) (czy to dla młodzieży, czy „dla kleryków, czy dla kaznodziei, czy dla księży) stoją pod dozorem państwa. W zakładach tych odbywają się rewizye przez „komisarzy rządowych wyznaczonych na to przez naczelnego prezydenta prowincyi. We wszystkich tych zakładach (§ 10) taki „tylko nauczyciel nauczać może, którego nominacyi rząd się nie „sprzeciwia.“ A w jakich to razach i na jakich zasadach rząd sprzeciwić się ma prawo, to zaraz zobaczymy. W końcu, zakazuje prawo (§ 14) odtąd zakładania wszelkich konwiktów i se-

minaryów mniejszych, i przyjmowania nowych uczniów do zakładów takich już istniejących, i grozi odebraniem funduszków lub zamknięciem zakładu w razie nieposłuszeństwa.

Może kto powie że państwo żąda tu tylko słusznie sobie należytej miary wpływu na wychowanie księży i ich mianowanie na posady, że nie jest to oburzające, owszem naturalne i sprawiedliwe, żeby władza duchowna nie mianowała na urzędy kościelne osób, którym się rząd jako niechętnym i niebezpiecznym sprzeciwia? Druga część tego samego prawa, ta która mówi o obsadzaniu posad duchownych, objaśnia tę sprawiedliwość i to umiarkowanie:

„Władza duchowna (§ 15) obowiązana jest donieść naczelnemu prezydentowi o każdym kandydacie, którego na jakąkolwiek posadę przeznaczą. Prezydent ma prawo sprzeciwić się nominacyi w przeciągu dni trzydziestu.“ Sprzeciwienie to jest prawem, jeżeli proponowany kandydat nie posiada prawem przepisanych warunków, albo *„jeżeli zachodzą okoliczności, które przypuszczają pozwalają, że tenże kandydat może nie działać w duchu praw państwa i rozporządzeń rządowych i porządek publiczny zakłócać“*....

Skutki praktyczne tego niewinnego paragrafu mogą być takie, że ksiądz będzie znany z gorliwości i wierności, a prezydent dlatego właśnie uzna go niebezpiecznym; ksiądz da się słyszeć naprzykład ze zdaniem że Reinkens nie jest biskupem katolickim, a prezydent znajdzie że on stanął przez to w sprzeczności z duchem i prawami państwa i nie dopuści go do plebanii. Nie mówiąc o prawie, nie mówiąc o wolności Kościoła, ale tylko o stronie praktycznej, to tak niejasno i elastycznie sformułowane prawo sprzeciwienia się nominacyi, zdaje dyccezyą zupełnie na łaskę, samowolę i kaprys urzędników.

Jeżeli to pierwsze prawo ogranicza wolność Kościoła i zarząd spraw jego czyni wprost niemożliwym, to drugie, o *władzy dyscyplinarnej*, wyrachowane jest na to, żeby rozprządnąć i rozłożyć zupełnie organizacyą Kościoła. Postanowione jest ono naprzód na to, żeby ludzkość, a zwłaszcza księży zabezpieczyć *„od straszego despotyzmu Kościoła“*, od klątw naprzykład, z których biskupi robią użytek *„tak częsty i tak niesprawiedliwy“*, żeby takie nieszczęsne ofiary, jak Wollmann naprzykład, zasłonić od prześladowania, od wykluczenia z Kościoła!

W tym celu stanowi prawo (Tyt. II. § 10), że od wyroku władzy duchownej służy skazanemu na karę księdzu prawo apelowacy do władzy świeckiej. Naprzykład zawiesi biskup księdza dla herezyi, dla złego życia, zabroni mu ołtarza, konfesyonau, ambony: ksiądz apeluje do trybunału dla spraw kościelnych, który jeżeli zechce, znosi wyrok biskupa, a winowajcy pozwoli odprawiać mszę, kazać i spowiadać. Ksiądz się ożeni dajmy na to (śluby cywilne zaprowadzone będą wkrótce a sakrament kapłaństwa ich nie obchodzi), biskup go usunie i ekskomunikuje: trybunał uznaje, że biorąc żonę nie popełnił uczynku opisanego w kodeksie jako karygodny i każe mu nadal pozostać księdzem, proboszczem i t. d.

Wyroki zaś władzy kościelnej, o ile potrzebują władzy rządowej do wykonania, otrzymają takową tylko w takim razie, jeżeli rząd uzna to za stosowne (§ 1). Nie dość na tem: zdarzyć się może że ksiądz chociaż grzeszny, ale jeszcze wierzący, podda się swojej władzy i od wyroku jej apelować nie zechce. Czuła troskliwość rządu bierze go w takim razie w opiekę, mimo jego woli i zaślepienia, i w takim razie apeluje za niego prokurator. Ale nie tylko w sprawach sądowych ma państwo prawo wtrącania się w zakres i postanowienia władzy duchownej: ma ono po prostu prawo złożenia księdza z urzędu kiedy mu się podoba. „Na wniosek właściwych władz rządowych, mogą duchowni (§ 24) być złożonymi z urzędu przez trybunał dla spraw kościelnych. O rozpoczętem postępowaniu „uawiadomić należy przełożoną władzę oskarżonego, ażeby ta ze „swojej strony rozpoczęła postępowanie celem złożenia go z kościelnego urzędu.

„Jeżeli oskarżony (§ 25) nie ma nad sobą żadnej władzy „przełożonej duchownej w obrębie państwa niemieckiego (naprzykład jeżeli jest arcybiskupem podległym już tylko papieżowi), „w takim razie ma być wezwanym do dobrowolnego „złożenia swego urzędu.“

A jeżeli go nie złoży? Jeżeli powie, a to jest właśnie przypadek arcyb. Ledóchowskiego, że dobrowolnie biskupstwa swego opuścić nie może, tylko jedynie na rozkaz papieża? To nic: to wtedy prawo późniejsze skaże takiego opornego biskupa na wygnanie po odbyciu kary, stolicę jego uzna za wakującą, a rząd obsadzi ją kim innym, katolickim biskupem Reinkensem naprzykład.

Tytuł czwarty, o *ustanowieniu trybunału dla spraw kościelnych*, trybunału złożonego z jedenastu członków, (z których sześciu przynajmniej sędziów w czynnej służbie, wszyscy mianowani przez króla, między którymi nie ma ani jednego duchownego, może nie być ani jednego człowieka świeckiego tego wyznania, którego sprawy będą się tam sądzić), uzupełnia to prawo i koronuje je, bo tworzy urząd, któremu Kościół podlegałby musiał daleko bardziej aniżeli podlega w Rosyi tak słusznie osławionemu katolickiemu kolegium petersburskiemu, nie mówiąc już o tem, że w owem kolegium zasiadają przecież, chociaż nieprawnie, i księża katoliccy.

Ale z całego prawa najciekawszy jest paragraf pierwszy. Stanowi on, że „władzę dyscyplinarną nad księżami sprawować może tylko władza kościelna *niemiecka*.” Jakaż być może ta władza kościelna nie niemiecka? Nie biskupi oczywiście, ci są lub uważają się za duchownych niemieckich. Taka władza poza obreębem Niemiec jest tylko jedna, papieżka, i o niej to mówię, ją ma na celu rząd pruski. Stanowi on że papież nie ma prawa strofowania lub ukarania księdza (a zapewne nikogo innego) w obreębie niemieckiego państwa. Odtąd czy Luter założy nową religię, czy Döllinger odszczepi się od dawnej, czy jaki nowy Gebhardt Truchsess pojmie żonę, papież nie może żadnego upomnieć, żadnego ukarać, jemu do tego nie? Odwieczny despotyzm Rzymu, pod którym świat jęczał w ucisku i ciemnościach, w Niemczech przynajmniej zniesiony: parlament uchwalił a król podpisał, że papież nie ma władzy nad katolikami w Niemczech!

Trzecie prawo, „o *użytku kar kościelnych i jego granicach*” zawiera także niektóre postanowienia godne uwagi, jak na przykład że kar czysto kościelnych, które skutków cywilnych za sobą nie pociągają, nie wolno jest nakładać za czynności, które się prawom pruskim nie sprzeciwiają: a nie sprzeciwia im się ani herezya, ani nieposłuszeństwo władzy kościelnej; więc księdza dajmy na to, któryby w herezyą popadł, a przez biskupa suspendowany, dalej swój urząd sprawował, nie wolno ekskomunikować. Nie wolno także kar kościelnych, nawet tych na które prawo pozwala, publicznie ogłaszać. Zaprawdę, każde z tych postanowień, kiedy się nad niem zastanowimy, wystarcza żeby dowieść jak daleko wymierzony jest zamach na Kościół i jakim w skutek tego musi stać się jego położenie pod rządem pruskim.

Ale zastanowienie to pozostawiając czytelnikowi, nim przejdziem do tego, co jest właściwym tej pracy przedmiotem, chcemy jeszcze wyrazić tu jedno zdziwienie: oto zdziwienie, że są ludzie którzy wierzą lub myślą, naprzód, że Kościół sam wywołał wszystkie kroki rządu pruskiego przeciw sobie; powtóre, że kroki te nie są prześladowaniem, lecz tylko konieczną i należną miarą wpływu państwa na sprawy kościelne; w końcu, że Kościół w tych warunkach i prawach doskonale i swobodnie żyć może.

Co do wywołania walki przez Kościół sam naprzód, powtarzają to Prusacy wszyscy bez końca, od wielkiego Bismarka poczynawszy a skończywszy na ostatnim parlamentarnym mowcy i ostatnim pokątnym publicyście. Ale powtarzając bez końca co mówią, jakież fakta przytaczają? Oto wszyscy zgodnie na dowód że byli przez Kościół do walki zmuszeni wymieniają rzecz jedną, wszyscy tę samą, i wszyscy tylko jedną: *agitacyą wyborczą!* Przy wyborach do parlamentu i do sejmu pruskiego katolicy starają się przeprowadzić jaknajwięcej swoich kandydatów, my się musimy bronić! Jak żeby staranie to nie było każdemu dozwolone? jak żeby walka wyborcza nie była rzeczą powszednią i konieczną tam gdzie jest system reprezentacyjny? Jak żeby ona była buntem, rewolucyą, wojną domową? A gdyby nawet ta walka wyborcza przez katolików prowadzona wiodła do zajść i bójek, czego nigdy nie było, to uprawniałaby rząd do użycia przeciw niespokojnym policyjnych ostrożności i środków, wreszcie środków karnych, ale nie do gwałcenia własnej konstytucyi, nie do prześladowania ich religii, nie do rozprzegania ich Kościoła. To, że i rząd, i parlament pruski, chcąc koniecznie powód walki na katolików zwalić, innego powodu wynaleźć nie mógł i nie umiał i tym jednym tylko wojuje, to dowodzi najlepiej że katolicy nie dali żadnego.

To jedno. A drugie, czy Kościół istotnie nie wziął rzeczy zbyt gorąco? czy nie mógł praw tych przyjąć może, postarawszy się o częściowe ich zmiany? czy nie mógł wynaleźć jakiegoś półśrodka, jakiegoś *modus vivendi*, i zostać w spokoju? Czy musiał wystąpić tak szorstko i ostro i gotować sobie położenie tak ciasne a bez wyjścia?

Na to odpowiemy w dwóch słowach. Król saski albo król bawarski, albo którykolwiek inny panujący w Rzeszy niemieckiej jest dziś tylko wasalem króla pruskiego, który repre-

zentuje go za granicą, dowodzi jego wojskiem i t. d., wszak prawnie? A gdyby teraz parlament niemiecki uchwalił, że temu królowi bawarskiemu lub saskiemu niewolno jest mianować lub usunąć urzędnika, administracyjnego, sądowego, policyjnego, jakiegokolwiek, bez poprzedniego doniesienia o tem rządowi pruskiemu, bez jego zgody i pozwolenia; gdyby taki urzędnik saski lub bawarski przez swój rząd do odpowiedzialności pociągnięty, ukarany, oddalony, miał prawo apelacyi do Berlina i wbrew swemu królowi mógł być na swoim urzędzie utrzymanym; gdyby minister który go ukarał lub oddalił, sam za ten swój krok odpowiadać miał przed sądami pruskimi i mógł przez nie złożonym być z urzędu, a król jego odbierał uprzejme wezwanie iżby mu władzę odebrał: — pytanie, czy wtedy ten król bawarski i saski nie krzyknąłby że mu wydzierają resztki jego samodzielności, że w takich warunkach ani on królem, ani jego kraj niepodległym krajem być nie może? Czy nie zebrałby co mu jeszcze zostało honoru, godności i siły żeby zaprotestować, wyjść w pole, i zginąć raczej niż takie poddaństwo przyjąć? Czy w całej Europie nie rozległby się krzyk oburzenia na gwałt, bezprawie i nieznośną sytuacją, nieznośniejszą chciwość władzy i arrogancyą Prus?

Albo, weźmy inne porównanie, gdyby jaki rząd katolicki — w czasach kiedy takie jeszcze były — wydał przeciw różnówiercom prawa takie jakie dziś przeciw nam są wydane: gdyby rabin naprzykład który się ochrzcił, ogłosił prawdziwym żydowskim rabinem? gdyby duchownym protestanckim zabronił uczyć się teologii w protestanckich seminariach, ale zmuszał słuchać jej po swoich katolickich uniwersytetach, gdyby protestanckim dzieciom pod karą wypędzenia ze szkoły nakazał uczyć się religii protestanckiej od protestanta, który przeszedł na katolicyzm?... Nie podobnego nigdy nie było, ale gdyby, — czy nie krzyczelibyście wszyscy że w tym katolickim ucisku i prześladowaniu wytrzymać, ba — żyć nie można? że ono gwałci naturę rzeczy i wszystkie prawa — sumienia, natury, rozsądku, narodów i Boga?

A od Kościoła katolickiego żądacie żeby się tym prawom poddał, żeby szukał w nich jakiegoś *modus vivendi*? Otóż sprawiedliwość! Nie, żadna społeczność, choćby najbardziej świecka, jeżeli ma niezależność w najskromniejszym zakresie, jeżeli ma do niej prawo, jeżeli ją i cześć i godność swoją chce zachować, na

takie warunki życia zgodzić się nie może: walczyć musi, w walce choćby zginąć miała, to zginąć zawsze lepiej niż zabić się własną ręką, i tą ręką podpisać nie tylko swoją śmierć, ale swoją hańbę. Tak byłoby gdyby Kościół był społeczeństwem świeckiem, gdyby był Bawaryą lub Saksonią: cóż dopiero kiedy jest czem jest! Że rząd pruski zapomina, że liberalizm europejski nie wie i nie wierzy, to nie dziwnego, ale ci którzy żądają od Kościoła poddania się i *modus vivendi*, że ci zapominają o jego pochodzeniu boskiem, to dziwniejsze. „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je i t. d.... Co wy rozwiążecie będzie rozwiązaniem“... „Ty jesteś opoką“ i „Paś owce moje“— do kogo to było powiedziane? Do Tyberyusza może? do Heroda? do starosty Piłata? Do państwa? do władzy świeckiej? Nie: do apostołów, i oni jedni mają prawo boskich rzeczy nauczać i boskie łaski wiernym podawać, a po nich, w moc apostołskiej sukcesji, papież, biskupi i kapłani: i dla tego biskup który nie jest z mocy papieża postanowiony, nie jest prawnym biskupem i jurydyceki nie ma żadnej; dlatego przez takiego udzieloną kapłanom władza jest żadna, bo on sam jej nie mając, nie mógł jej udzielić; dlatego przez niego lub przez księży przezeń wyświęconych sprawowane nabożeństwa, msze, sakramenta są bluźniercze i świętokradcze. Dlatego także, dlatego że ta sukcesja apostołskiej władzy od papieża tylko wychodzi, z niego na biskupów spływa, a przez tych pośrednio na kapłanów przechodzi, dla tego papież tylko ma prawo instytuowania biskupów, tylko biskup prawo wyświęcania księży i przeznaczania ich na kościelne urzędy. A jeżeli i papież i biskupi znoszą się w takich razach z rządami świeckimi, to nie dlatego żeby rządowi przyznawać mieli prawo, ale że chcąc żyć w zgodzie i porozumieniu, wybierają ludzi obu stronom przyjemnych i posiadających zaufanie obu. Ale tę rzecz boską, jaką jest transmisja władzy apostołskiej zwracać z jej odwiecznego prostego koryta, a chcieć ją przeprowadzić na władzę świecką, i mówić: odtąd, choć was Bóg posłał byście nauczali narody, wy u mnie i odemnie macie się uczyć tego co ich będziecie nauczali; odtąd bez mego pozwolenia żaden z was drugiemu łask Ducha Śgo nie przeleje; odtąd macie mi zdawać sprawę ze wszystkich waszych czynności, a ja rzeczy waszej, wiary i karności sędzią będę; odtąd, ja, który żadnego z was księdzem ani biskupem

zrobić nie mogę, będę mógł was z waszych kościelnych urzędów składać:—to jest prześladowanie jakiego jeszcze nie było. Wszakże ten tylko ma prawo kto posłał, a Chrystus mówi wyraźnie „*Ja was posyłam*“! On posyła, a odwołuje król pruski. Owszem, i posyła także: czyż nie posłał Reinkensa? nie ogłosił go biskupem katolickim? nie udzielił mu Ducha ścią? To nie żart i nie przesada, że głębszego prześladowania nigdy nie było. Rzymscy Cezarowie zabijali, ale nie decydowali nigdy przynajmniej kto jest katolikiem i biskupem a kto nie. Po rzymskich, najsrozsze w dziejach Kościoła prześladowania były w Irlandyi angielskie a w Polsce rosyjskie, ale tak Anglia jak Rosya gwałtem tępiąc wiarę katolicką a swoje szerząc, nie przysyłały przecież nigdzie swoich anglikańskich lub prawosławnych biskupów mówiąc: „oto jest biskup katolicki.“ Kto nam nie wierzy niech posłucha świadków niepodajejranych protestantów mówiących przeciw tym prawom w Izbie berlińskiej, albo najmniej już dla religii katolickiej stronnicego, nieprzyjaciela bóstwa Jezusa Chrystusa, Renana.—Renan mówi (*Revue des deux Mondes*, 15 lutego 1874 str. 767 *La Crise religieuse en Europe*): „Prawa „majowe z roku 1873 ograniczają biskupa w wolnym wyborze „księży, nakładają mu przepisy, o jakich Kościół nigdy nie sły- „szał, utwierdzają wdzierania się państwa (i to państwa herety- „ckiego!) w kształcenie i wychowanie księży, i za nic nie ma- „ją nauki o udzielaniu łask sakramentalnych, która jest samą „podstawą katolicyzmu. Książd katolicki nie jest urzędnikiem, „któregoby można złożyć lub innym zastąpić. On ma misję, „ma władzę których mu udziela biskup, a przez związek biskupa „z papieżem otrzymuje prawo rozdawania sakramentów, udziela- „nia łask, których skarbnicą jest Kościół. Taka jest nauka ka- „tolicka.“... Domagamy się dla siebie, dodaje Renan, prawa nie wie- „rzenia w nią, walczenia z nią sposobami które uznajemy za stoso- „wne, ale domagamy się nie mniej stanowczo dla katolików pra- „wa wierzenia w to, co im ich Kościół do wierzenia podaje, i „stosowanie się w praktyce do wiary którą wyznają.“

Oto człowiek nieuprzedzony przecie, nie katolik, nie chrześcijanin nawet, który wyznaje, że prawa pruskie krępują wolność Kościoła, przewracają jego organizacyą. Czyż w obec tego znajdują się jeszcze katolicy którzyby twierdzić mogli, że Kościół powinien był postąpić inaczej, łagodniej, ustąpić? Nie, ustępując

byłby on sam na siebie podpisał wyrok śmierci, gorzej, bo byłby się zaparł sam siebie; Kościół któryby dobrowolnie poddał się zwierzchnictwu państwa, pozwolił mu chować mianować i usuwać księży, któryby przystał na zerwanie związku z papieżem, zeszedłby na drogę, na której końcu zostałby kościołem narodowym co do dogmatu, urzędem administracyjnym czy policyjnym co do stanowiska, ale Kościołem katolickim pod jednym czy drugim względem byłby przestał. Historia uczy, że ilekroć Kościół dopuszcza państwu wtrącać się w zakres spraw duchownych i zbytecznie ulega, tyle razy fatalnie, jak żeby za karę i na przestrożę, schodzi na niegodne jego stanowisko. Za Józefa II. Kościół poddał się takiemu „modus vivendi“, a co się z niego stało, to niech odpowiedzą jego dzieje i stan w Austrii, w Galicji między innemi, w pierwszej połowie naszego wieku i dziś jeszcze!... A czemuż są prawa józefińskie w porównaniu z dzisiejszemi pruskimi? Tamte chciały Kościół poddać pod kontrolę państwa, ale obalać go, zmieniać jego natury nie myślały. Jeżeli tamte o tyle mniej złe, przyniosły w skutku religijny, moralny i umysłowy upadek i poniżenie Kościoła, to dokądże zaprowadziły go modus vivendi z temi? Dokąd? do zerwania z Rzymem, do zmiany wiary, do stanowiska policyjnego urzędu, do kościoła narodowego z katolickimi formami nabożeństwa i z królem pruskim za widomą głowę, czyli do zaparcia się siebie, swego boskiego pochodzenia i posłannictwa, do odstępstwa, do hańby, do nicstwa.

Tego Kościół zrobić nie mógł. Zmuszony do walki, musiał ją przyjąć, jak ją tylokrotnie przyjmował.

II.

Biskupi niemieccy zrobili co byli powinni i co jedynie zrobić mogli. Uprzedzając uchwalenie praw, ułożyli na zjeździe w Fuldzie dwa akta, memoriał do rządu, i okólnik do wiernych (2 maja 1873). W obu tych dokumentach tłómaczą powody, dla których prawom tym poddać się nie mogą, objaśniają ich naturę i skutki, do rządu zanoszą prośbę żeby projektów swoich zaniechał, wiernych zaś upominają, cokolwiek się stanie, o wierność, ale i o spokój, o cierpliwość, o uległość władzy świeckiej we wszystkim gdzie się jej ta należy. Odwaga i powaga

tych oświadczeń jest wielka, i wielkie też wrażenie jakie one robią. Bo nie może tu chodzić o rzeczy małe, jeżeli zebrany episkopat całego państwa przemawia do wiernych tak, jak żeby nie był pewnym czy drugi raz będzie mógł do nich mówić, jak żeby im w ostatniej chwili przed prześladowaniem zostawiał na długo może ostatnią naukę, ostatnią wolę: „Odkąd Konstantyn W.“, mówią biskupi, „nawrócił się do chrześcijaństwa.... nie było „czasów, w którychby Kościół tak wszelkiej pomocy był pozbawiony i tak wszelkiemi zagrożony niebezpieczeństwami jak w chwili „obecnej. A tu nie tylko mamy na oku dzisiejsze uciski, lecz „i to co nam w przyszłości zagraża. Jeżeli Kościół Chrystusów „obraný będzie z przynależnej mu wolności, jeżeli życie publiczne, „prasa, i piśmiennictwo tchnąć mają samą niemal niewiarą i „lekceważeniem albo nienawiścią, przeciw chrześcijaństwu i Ko- „ściółowi, jeżeli młodzież kształcić się ma w szkole i nauce co „rozbrat uczyniły z chrześcijaństwem, jeżeli pod naciskiem tych „okoliczności duchowieństwo coraz bardziej będzie wymierało, albo „też i ono owiane i porwane duchem czasu popsuje się,—naówczas „i wiara chrześcijańska, miłość i zgoda chrześcijańska, obyczaj „chrześcijański, muszą upaść i zniknąć nawet i tam gdzie wszy- „stko to dotąd tak silnie stoi, jak wśród naszego ludu. A wtedy „nic już nie wstrzyma owego zepsucia i zniszczenia, o którym „bez zgrozy pomyśleć nie możemy. Musielibyśmy chyba nie „mieć żadnego rozpoznania, żadnej wiary, żadnej miłości, ow- „szem musielibyśmy zapomnieć zupełnie przestróg i rozkazu „naszego boskiego Zbawiciela, gdybyśmy w tym tak ciężkim „czasie nie uciekali się do modlitwy itd.“

Memoryał zaś do rządu, obszerniejszy daleko, biorący pod rozbiór wszystkie po szczególe postanowienia praw projektowanych i ich skutki, tłumaczący w czem one wolność Kościoła i sumienie katolickie obrażają i dla czego Kościół przyjąć ich nie może, tak kończy: „Z głębi serca prosimy, tak w interesie państwa jak Kościoła, tych wszystkich, którzy znajdują się u steru rządu, jako też tych którzy na sprawy państwa wpływają, prosimy i zaklinamy, aby Kościołowi katolickiemu tak w królestwie pruskim jak i w Cesarstwie niemieckim wrócili pokój, bezpieczeństwo prawa i powszechnej wolności, i ażeby nam gwałtem nie narzucali ustaw: *których wykonanie nie da się pogodzić z zaprzysiężonemi obowiązkami urzędu biskupiego, ani też możli-*

wem jest dla jakiegobądź kapłana i wiernego katolika dla tego, że stoi w sprzeczności z sumieniem.“ W ciągu osnowy tłumaczenie bardzo gruntowne i wyinowne, że wszystko co rząd mówi o przeciwieństwie Kościoła katolickiego z dobrem państwa, o jego niechęci i niebezpiecznych celach jest czystym fałszem, wymyślonym dla upozorowania prześladowania. Nigdy Kościół państwu pruskiemu na zawadzie nie stawał, owszem pełnił jego prawa, popierał jego dążności jak długo mógł, katolicy byli wiernymi i uległymi poddanymi, a w patryotyzmie protestantom wyprzedzić się nie dali. Jeżeli więc rząd twierdzi, że dla tego musi objąć ster wychowania księży, żeby im dać narodowego ducha, to niewłaściwie rzecz nazywa. Nie o narodowe wychowanie też idzie, bo takie księża katolicy mieli zawsze i mają, ale o przeprowadzenie ich (dają biskupi do zrozumienia choć wyraźnie nie mówią) do narodowego kościoła.

Po tym akcie, położenie stało się bardzo dramatycznym. Biskupi zapowiedzieli, że praw projektowanych, gdyby uchwalonemi zostały, słuchać nie mogą i nie będą: rząd wniosków nie cofnął. Ze strony katolickiej dyskusya, w której głównym mowcą był pan Reichensperger, była świetna, bardzo poważna i godna, wolna od namietności, wykazywała jak na dłoni, że prawa wniesione gwałcą nie tylko prawa Kościoła i sumień, ale coś jeszcze nadto co w oczach rządu i parlamentu jakąś wagę przecieć mieć powinno, konstytucyą pruską. Ale większość odpowiadała z tą arrogancją lekceważącą, jaką często odznaczają się parlamentarne większości, a która mówi: „wszystko jedno, prawnie czy nie, uchwalimy bośmy większością.“ A gdy uchwalili, wtedy już tylko patrzeć było, gdzie nastąpi pierwsze zderzenie, gdzie pierwszy grom uderzy.

Naturalnie w ten konduktor do którego wszystko złe zawsze ciągnie, w Polskę! — Polski biskup pierwszy musiał stawić czoło rządowi; z duchowieństwem i dyecezyą swoją pierwszy poniósł prześladowanie.

Kiedy nuncyusz Ledóchowski miał obejmować arcybiskupią Stolicę gnieźnieńską i poznańską, był między Polakami strach i smutek z powodu, że jak dość powszechnie mniemano, w tym rzymskim dygnitarzu i dyplomacie nie zostało nic polskiego. Istotnie przybył on z widocznym zamiarem strzeżenia kościelnych tylko interesów, a uczucie narodowe nieraz nawet

mimowolnie zadrasnął. Nie rozumiał naprzykład, i prywatnie dyecezanów swoich wypytywał dlaczego Polacy stronią od dworu pruskiego, zakazał księżom, a pamiętamy wszyscy ile mu to zaszkodziło, wpływać na ruch wyborczy (zakaz, który o ile do samej polityki się stosuje, jest zupełnie usprawiedliwiony, a dziś kiedy rząd pruski mniemaniami agitacyami wyborczymi usprawiedliwia prześladowanie katolików, wydać się musi tym nawet, co nań powstawali bardzo szczęśliwem wydarzeniem, bo odbiera rządowi ostatni i jedyny pozór). Wreszcie, on także jeździł do Wersalu z tym adresem, który nowemu niemieckiemu Cesarzowi sprawę Papieża polecał, a byliśmy z tych którzy krok ten Księdza prymasa najbardziej uczuli. Zdawało nam się, czytelnicy *Przeglądu* może to sobie przypomną, że naiwność była za wielka żądać pomocy dla Papieża od protestanta, dla dobrej sprawy od Króla pruskiego. Zdawało nam się wreszcie, że Polakowi lepiej było w domu pozostać, a tam posłać, jeżeli już ktoś jechać musiał, którego z biskupów niemieckich. Ksiądz Prymas sądził inaczej. On widział przedewszystkiem ucisk i niebezpieczeństwo Ojca Chrześcijaństwa; on czuł się jedynie i wyłącznie biskupem; i od tego rządu, pod którym go Bóg postawił a który wówczas nie dał był jeszcze jawnych dowodów swej nieżyczliwości dla Kościoła, on uważał za swój obowiązek żądać pomocy dla Namiestnika Chrystusowego. Z tą wiernością, z jaką dzisiaj broni Kościoła, nie ważąc co go za to spotka od rządu, on bronił Kościoła i wówczas, nie ważąc co go spotka od opinii. I jeżeli o tym jego kroku wspominamy dzisiaj, to dla tego żeby przypomnieć i pokazać tem jaśniej jak dalece byli w błędzie ci wszyscy, i my z nimi, którzy księdza Prymasa mieli za charakter uległy i władzy hołdujący, a powtóre, żeby w tem przypomnieniu znaleźć dowód jak opór Kościoła musiał być koniecznym i nieuniknionym, kiedy on, tak do ostatka powolny, musiał stanąć oporem. O jego stałości i godności nikt już dziś wątpić nie może, nawet nieprzyjaciele, nawet potwarcy; ale dla jego chwały u Polaków było zrządzeniem potrzebnem i szczęśliwem, że w walce obecnej stałość jego i godność objawiła się naprzód w sprawie i obronie polskiego języka. Prawdziwa i błogosławiona solidarność interesu katolickiego i polskiego stwierdziła się raz jeden więcej samą siłą rzeczy, która wskazała jasno i wyraźnie, że kto jeden z nich prześladować

zacznie ten na prześladowaniu drugiego skończy, a kto jednego z nich chce bronić, ten i drugiego bronić musi.

Prawa majowe były dopiero projektem, a już rząd pruski zajął się troskliwie religijnem wychowaniem nie tylko księży ale i świeckich poddanych; odsunął proboszczów nie tylko od dozoru nad szkołami, ale nawet nauki religii udzielać i dozorować im zabronił w Wielkopolsce a dotego nakazał uczyć się religii po niemiecku. Rząd roztropny i zręczny umie przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie: w tym razie błogi skutek rozporządzenia miał być ten, że dzieci nie będą umiały katechizmu, a będą miały sposobność i po polsku więcej zapamiętać i po niemiecku więcej się nauczyć. Na punkcie tego rozporządzenia stanął ks. Prymas po ras pierwszy w otwartej sprzeczności z rządem. Dotąd podpisał był tylko z innymi biskupami pospółu dwie protestacye Fuldańskie; teraz wystąpił sam przez się, w sprawie swojej dyecezyi jako jej zarządca, i nie tylko rozkazowi ministeryalnemu się oparł, ale ogłosił rozkaz wprost przeciwny. Dnia 23 lutego 1873, wydał Arcybiskup okólnik do księży nauczycieli religii w obu swoich archidyecezyach. W okólniku tym, tłumaczy naprzód dla czego nauka religii udzielaną być winna w języku dla dzieci najzrozumialszym: „Religii uczymy działwę,“ mówi, „aby religią poznała, nie zaś dla tego aby jej wykład miał ułatwić nabycie znajomości języka niemieckiego. Używać tej nauki w tym ostatnim celu byłoby z naszej strony świętokradzkim „ubliżeniem najwyższej powadze i godności, do których ma prawo „wiara i moralność?“ Donosi dalej, że przedstawiał i prosił, nawet samego króla, ażeby religii i młodzieży krzywdy tej nie wyrządzano, ale odpowiedzi nie odebrał. Wreszcie stawia się na gruncie swojego prawa: on jeden stanowić ma o tem jak religia ma być nauczana w jego dyecezyi: „Sposób w jaki nauka wiary katolickiej powinna być katolickiej działwie udzielaną, w katolickim Kościele, nie cywilne lecz duchowne władze określają i „stanowią, ponieważ Zbawiciel powierzył obowiązek nauczania „ludzi w wierze Apostołom swoim i ich następcom biskupom, nie zaś świeckim osobom, gdy rzekł *Euntes docete*.“ Po tem wszystkiem następuje konkluzya energiczna, jasna, stanowcza w myśli i w słowach, aż miło:

Na podstawie^o poprzedzających przeto uwag i powodów, przesyłam Wam następujące objaśnienie co do rozciągłości udzielonej Wam przeze mnie koniecznej misyi, i nakazuję zarazem niniejszem abyście tej misyi granice uszanowali, i w żadnym razie, pod żadnym pozorem przekroczyć ich się nie ważyli.

Wolno Wam przeto w moc odebranej kanonicznej misyi, po pierwsze: udzielać młodzieży szkolnej nauki religii we wszystkich klasach, poczynawszy od najniższej aż do sekundy wyłącznie, nie inaczej jak tylko w tym języku, w którym dotąd jej udzielacie, to jest w ojczystym języku większości uczniów.

Dalej, jeżeli w zakładach, w których po polsku tę naukę wykładacie, znajduje się także nieznaczna liczba dzieci katolickich po niemiecku z domu mówiących, wolno wam, w moc tejże misyi, pouczać te ostatnie dzieci w ojczystym ich języku, jakoście to dotychczas wszędzie czynili.

Nakoniec ponieważ młodzież polska, gdy do sekundy dojdzie, już tyle po niemiecku umie, że jest wstanie bez wielkiego bardzo wysilenia wykład niemiecki zrozumieć, a zkadąd, gdy do sekundy dojdzie, już najważniejszych rzeczy do nauki religii należących wyuczyć się mogła, a nadto zmuszona obecnie do składania egzaminu dojrzałości w przedmiocie religii po niemiecku, nieco wyćwiczenia potrzebuje: oświadczamy Wam, że tymczasowo i dopóki smutny, a nader dla wolności sumień uciążliwy prąd dzisiejszy się nie zmieni, czego za łaską Bożą z wielką ufnością prędko oczekujemy, w moc tejże samej misyi kanonicznej, wolno Wam będzie, ulegając bolesnej konieczności, od Wielkiejnocy w sekundzie i w prymie przedmiot Waszego wykładu w niemieckim języku uczniom podawać.

Co się zaś tyczy odjętego proboszczom prawa udzielania a nawet nadzorowania nauki w szkołach, naucza i rozporządza Arcybiskup, że skoro nauczanie to, pomimo wszelkich przeciwnych rządowych nakazów czy zakazów, nie może przestać być obowiązkiem pasterza, przeto winni księża nauczać religii po za szkołą. Oba te postęпки zyskały najzupełniejszą i najchwalebniejszą aprobacją w papieżkiem Breve do Prymasa z dnia 24 Marca 1873 roku.

Ten pierwszy opór, zapisany głęboko w pamięci rządu i przytoczony jako akt otwartego nieposłuszeństwa między motywami w wezwaniu Prymasa do złożenia arcybiskupstwa, na razie kroków przeciw niemu nie wywołał. Był wprawdzie proces już wytoczony przez prokuratorę, jednak z Berlina polecono odstąpić od niego, zachowując się na później. Ale prześladowanie choć nie na osobie Prymasa, rozpoczęło się zaraz kiedy bo-

wiem nauczyciele religii przez rząd zapytani czy chcą się trzymać rozkazu świeckiej czy duchownej władzy, oświadczyli się z posłuszeństwem tej ostatniej i natychmiast wszyscy zostali usunięci, nauka religii i nabożeństwa szkolne zawieszone, a dyrekcye szkół otrzymały polecenie starania się o nowych nauczycieli religii. Jacy to mogą być nauczyciele, którzy religii uczą z ramienia rządu pomimo woli Biskupa i wbrew jemu, tego tłumaczyć nie trzeba. Zaczęło się więc, tu i owdzie przymusowe nauczanie religii przez ludzi, którzy jako oporni Kościołowi, w zgodzie z tą religią być i prawdziwie wedle jej ducha nauczać jej nie mogli, lecz w duchu innym, tem samem, fałszywym. A jeżeli to prześladowaniem nie jest, to cóż nim będzie? Ale niebawem nadszedł maj, z nim sankcya wiadomych praw, i co zatem szło, konieczność dla biskupów sprzeciwienia się albo boskiemu albo pruskiemu prawu.

Zaledwo prawo „o kształceniu duchownych“ dostało sankcya, zaraz wszyscy Biskupi odebrali wezwanie (27 maja 1873) od prezydentów prowincyj, żeby zdali sprawę ze stanu swoich seminaryów, ich funduszków, planu nauk, domowego porządku, liczby młodych kleryków i t. d. Biskupi, stósownie do wszystkich swoich oświadczeń, stósownie do swego sumienia i obowiązku, musieli odpowiedzieć, że do wykonania praw majowych ręki przyłożyć nie mogą. Arcybiskup gnieźnieński i poznański odpowiedział (10 czerwca), że dla seminaryów swoich potwierdzenia nie żąda i nie potrzebuje, bo „urządzenie ich i byt w Prusiech wyraźnie poręczonemi zostało przez ogłoszenie Bulli *de salute animarum* z 6 lipca 1821 r., za najwyższym rozkazem z 23 sierpnia 1823 r. w zbiorze ustaw, jako prawomocny statut Kościoła katolickiego w Prusiech, zamieszczonej.“ Skoro więc w zakładach tych kandydaci stanu duchownego mają być przysposobieni do prawdziwie budującego religijnego życia, żeby następnie biskup mógł im spokojnie powierzyć część swoich obowiązków, zatem urządzenie tych zakładów, współnauczyciele, i t. d. muszą zależeć wyłącznie od biskupa, a wszelkie na tem polu ograniczające rozporządzenia władzy świeckiej miałyby ten skutek, że Kościół nie mógłby całkowicie i sumiennie posłannictwa swego pełnić. Z tego wynika, że Arcybiskup ze względu na niepodległość Kościoła żądaniu prezydenta zadość uczynić nie może, i wymaganych informacji o swoich dwóch seminaryach odmawia.

Może kto pomyśli, że w tym razie mógł postąpić inaczej, że nareszcie rządowi dziwić się nie można, jeżeli chce wiedzieć kto w seminariach naucza i jak i czego: więcej zaś rząd nie żądał. Był więc w postępkach biskupów opór i przesada, był brak pojednawczego ducha, przy którym możeby rzeczy niebyły zaszczyt tak daleko? Doprawdy? Tak sądzą niektórzy. Na szczęście są dokumenta z których jasno pojąć mogą, o co rządowi chodziło, że nie o proste uwiadomienie, ale o zupełne, w duchu przeciwnym nauce i karność kościelnej, przekształcenie seminariów. Dnia 24 lipca 1873 odpowiada znowu prezydent Günther na streszczone powyżej oświadczenie Prymasa, i donosi mu, że seminaryum poznańskie w swoim dzisiejszym stanie pozostać nie może. Dla czego? Nietylko ze względu na prawa majowe, ale choćby tylko przez filantropią, przez zdrowe zasady pedagogiczne, przez litość wreszcie nad biednymi uczniami. „Nadewszystko przepisy które zabraniają uczniom swobodnych stosunków między sobą i ze światem zewnętrznym, czynność i żywotne jej objawy pod ciągłym dozorem trzymają, i poddają ich ćwiczeniom duchownym w takiej mierze, że duchowna i moralna samodzielność wychowawców musi być na szkodę narażona, te są do zatrzymania nadal niepodobne.“ Naturalnie: skupienie wewnętrzne, surowa czujność nad sobą, ścisłe przestrzeganie godzin, cześć Bogu oddawana w kościele i cicha modlitwa w seminaryjskiej celi, to musi młodego człowieka przytłumić i ogłupić. Ani umysł, ani charakter, ani nawet nabyty rozum rozwinać się nie mogą, jeżeli ten młodzieniec będzie zawsze tak samo i między tymi samymi ludźmi żył, to samo zawsze słyszał, oddychał dusznem zamknięciem powietrzem, wciągał w siebie same ciasne kościelne pojęcia, modlił się godzinami i czytywał to tylko, co mu przełożony da do ręki. Zatem wolność: otworzyć bramy seminaryum, niech młodzież duchowna wyjrzy na świat szeroki, nie kępować jej godzinami, nie przeszkadzać czytać co chce, niech poznaje życie, wszędzie gdzie ono jest, od parlamentu do knajpy, niech się uczy filozofii od Büchnera lub Vogta, teologii od Straussa, niech literaturę niemiecką, estetykę, sztukę poznaje wszędzie gdzie można, w teatrze na przykład: wtedy będzie jakaś nadzieja wyrobić księżę z umysłem oświeconym i wytrawnym, samoistnym charakterem. I czyż te korzyści nie więcej warte od regulaminów, pedantycznych przepisów? i cóż szkodzi że kleryk czasem prze-

trzymać godzinę i zapóźno wróci do seminarjum, jeżeli tego czasu nie tylko nie stracił ale użył tak dobrze!....

Oto jest sens słów i cele myśli rządu pruskiego. Zdeorganizować, otworzyć seminarja, żeby młodzież wyprowadzić na wszystkie pokusy niebezpieczne dla wiary i dla obyczajów. Czy na to miał arcybiskup pozwolić? czy przesadził gorliwością, czy działał pod wpływem uporu i fanatyzmu kiedy pozwolić nie chciał?

Alé jak Kościół tak i rząd przy swoim obstawał. Prusacy nie ustępują, *siła przed prawem* się nie cofa, a czas już dawno przeszedł, kiedy bywali „sędziowie w Berlinie.“ Prymas odmówił tak zwanej reformy seminarjum w duchu rządowym i seminarjum zostało zamknięte; 21 sierpnia zawiadomiono Prymasa, że od końca wakacyj, od 23 września 1873, zakład ten przestaje istnieć, iż odtąd w diecezyi jego, nowi księża kształcić się i święcić nie będą. Prymas w krótkim piśmie oświadczył tylko, że powiedziawszy już tyle razy dla czego ustąpić nie może, powtarzać powodów swoich nie widzi potrzeby.

„Ograniczam się przeto na przesłaniu uroczystej protestacyi przeciwko temu nowemu gwałtowi Kościołowi katolickiemu, moim obu archidiecezyom, gnieźnieńskiej i poznańskiej, owieczkom moim i mnie wyrządzonemu, zastrzegając sobie i moim archidiecezjanom prawo upomnienia się o wynagrodzenie za szkody i za krzywdy, jakiegośmy doznali.

„Ponieważ zaś nie godzi się Chrześcinninowi używać gwałtu przeciw rozporządzeniom rządowym, nawet gdy się czuje uciśniony i dotknięty w najświętszych prawach swoich, dla tego oświadczam, że po upływie wakacyj, seminarjum duchownego w Poznaniu na nowo nie otworzę, pełen otuchy, że Bóg, który w dniu swoim przychodzi z wszechmocną pomocą uciśnionemu swemu Kościołowi, i te czasy ciężkich dopuszczeń i nawiedzeń w miłosierdziu swoim skrócić raczy.

Przyszłość jest w ręku Boga, a sprawa Kościoła jest Bożą sprawą; więc w ręce Najwyższego z ufnością składam sprawę mojego seminarjum, tej szkółki przyszłych sług Jego.

Czy trzeba tłumaczyć czem jest zamknięcie seminarjum i że jest skazaniem duchowieństwa na wymarcie, jak nieraz skazywano na wymarcie w niektórych krajach zakony, zamykając im nowicyaty? że i rzeka wyschnęłaby musiała gdyby jej źródło zatkać lub osuszyć? A takim źródłem właśnie dla Kościoła są seminarja, bez których nie może być księży, bo żaden pra-

wowierny biskup nie wyświęci kleryka wychodzącego z uniwersytetu z rządowym patentem na teologa, jeżeli przez kilkoletni pobyt w seminarium nieda mu dostatecznej rękojmi. A zatem, w skutku tego zamknięcia seminarium, w przyszłości parafie bez księży, tudzież rodzący się bez chrztu, rodziny bez ślubu, umierający bez wiatyku, żyjący i umierający bez spowiedzi. Prawda, że straszno jest czytać w dziejach rewolucyi francuzkiej o tych latach bez biskupów, księży i sakramentów; prawda że czytając mówi się, dzięki Bogu, że nas na takie próby nie wystawił? Jest jakaś powieść czy poemat francuzki na tem osnuty, że stary Biskup uwięziony i umierający, wyświęca młodego kleryka któryby wolał księdzem nie zostawać, ale jest jedynym który wyświęconym być może, i poddaje się. Ta dramatyczna sytuacja wiele łez w swoim czasie wycisnęła w Europie. A dziś ta poetyczna fikcja, dziś ta straszna przeszłość opowiadana w historii może się stać rzeczywistością. Seminaria zamknięte, biskupi po więzieniach, kościoły w przyszłości albo zamknięte albo oddane samozwańcom, których wierny katolik za księży uznać nie może, kanoniczna misya przerwana, a zejście łask boskich z nieba na ziemię przez sakramenta zatamowane. Sakrament kapłaństwa jest kamieniem węgielnym całej budowy, bez niego, z wyjątkiem chrztu, ustają wszystkie. Oto jest doniosłość zamknięcia seminarjów, oto jego cel. Oto zarazem i dowód i miara jak głęboko sięga pruskie prześladowanie. A zważyć warto i pomyśleć jak to jest naturalnem, że terror rządowy niemiecki upojony swoim tryumfem i siłą, robi to samo z Kościołem co robił rozszałały krwią terror rewolucyjny francuzki. Dowód to jeden więcej, że rewolucya, czy we frygijskiej czapce czy w koronie, z jednego wychodząc punktu, ubóstwienia siebie, do podobnych dojść musi rezultatów.

Zamknięcie seminarium było najsroższym skutkiem prawa o kształceniu duchownych, ale nie jedynym, i dla rządu pruskiego wcale nie dostatecznym. Księża jeszcze są, sprawują sakramenta, nauczają, a więc wiara katolicka pomimo wszystkiego, gotowa się jeszcze, czas jakiś, może i długi utrzymać. Jeżeli ma być od niej pokój, to trzeba coś wymyśleć iżby ona wcale nauczana nie była. Wprawdzie po szkołach uczą religii nauczyciele rządowi, wprawdzie księżom do tej nauki wtrącać się nie wolno ale cóż z tego kiedy po za szkołą, po kościołach, po zakry-

styach, po domach, dzieci uczą się katolickiego katechizmu? Na to państwo pozwolić nie może, to uwłacza jego zwierzchniczym prawom. Jeżeli chcą się uczyć swojej religii, dobrze, a e niech się jej uczą w moich szkołach i od moich ludzi.

Widzieliśmy że kiedy Rząd nakazał uczenia religii po miecku i władzy duchownej wszelki wpływ na te naukę odebrał, ksiądz prymas Ledóchowski polecił proboszczom ażeby prywatnie religii nauczali ¹⁾. Teraz (17 września) zostało to zakazaniem, a każdy uczeń któryby po za szkołą nauki religii słuchał, ma być wypędzonym ze szkoły. Skutki tego gwałtu, położenie nim zgotowane dla dzieci i rodziców, ocenia Dziennik Poznański:

„Cóż wobec podobnego postępowania powiedzieć i zrobić? Dzieci nasze nie mogą wzrastać bez nauki religii, która jest zarazem nauką i podstawą moralności praktycznego życia. Dzieci nasze nie mogą być zmuszane, prawnie i konstytucyjnie przynajmniej, bez dopuszczenia się gwałtu, jakiego się dopuszczała Moskwa pędząc nahlajką unitów Litwy i Rusi do cerkwi, — pobierać naukę religii od nauczycieli, którym nie władza duchowna, lecz niekompetentna w tej mierze władza świecka kwalifikacyę do tego przyznaje. Trzeba więc i nie pozostaje nic innego, jak obmyśleć dla dzieci naszych sposób udzielania nauki religii przez kwalifikowanych do tego od władzy swej przełożonej duchownych na innej drodze. To wyraźny i pierwszy obowiązek względem naszych dzieci.

„Wobec władzy świeckiej natomiast, przekraczającej według najsumienniejszego przekonania naszego, ludzkiego i prawnego, swe atrybucye, wkraczającej niepowołanie podobnemi reskryptami w dziedzinę zagwarantowanej względami ludzkości i konstytucyą wolności sumienia, cóż nam pozostanie? Szczerze powiedziawszy *żaden skuteczny środek* aż do zmiany systemu naczelnego w rządach państwa, zmiany, której dotąd oznaczyć trudno, ale która jest nieuniknioną jako naturalne następstwo panującej dziś gorączki...”

Postępowanie zaś księdza Prymasa w całej tej sprawie tłumaczy najlepiej własna jego, bardzo energiczna i stanowcza odpowiedź Prezydentowi Güntherowi.

¹⁾ Dopad i tu wypada że ksiądz arcybiskup w przezorności swojej wydał zawczasu dla duchowieństwa instrukcyę, w której pouczał, że tam gdzieby działki nie mogły być należycie, dla przeszkód zewnętrznych, w religii kształcone, trzeba wyszukać osób pobożnych, któreby w wioskach i osadach zwłaszcza odleglejszych, działkę zbierały i katechizmu uczyły. Warto także zapisać, iż okólnik ten wielkie gniewy w sferach rządowych wywołał.

„W swoim szanownem piśmie z dnia z dnia 17 b. m. doniósł mi JW. Pan, że w porozumieniu z p. Ministrem rozporządzone zostaje, by tak nazwane szkoły prywatne, przezemnie zalecone dla wykładania religii uczniom katolickim wyższych zakładów szkolnych, zamknąć jak równie przymusowe postępowanie przeciw duchownym, którym powierzyłem wykład religii, zaprowadzić i wzbronąć uczniom pod zagrożeniem wydaleni z gimnazyów uczęszczania na rzeczone lekcye religii. Z najgłębszym smutkiem widzę z tych rozporządzeń, że królewskie władze nie nabyły jeszcze dotychczas przekonania, iż nauczanie wiary katolickiej i bliższe oznaczenie, w jaki sposób wykład ten ma się odbywać. Kościołowi nie zaś świeckiej zwierzchności Boski Założyciel Kościoła powierzył. Tego prawa Kościół katolicki nigdy złożyć nie może, inaczey samby zniweczył żywotność swoją i zdradziłby swoje wniosłe powołanie, dla tego to udzielał on zawsze tym, którym powierzał nauczanie prawd zbawienia, osobnej misyi, niezbędnej do tego urzędu. Prawda, królewskie prowincjonalne Kolegium szkolne postawiło w piśmie swoim ostatniem z 9 sierpnia b. r. nr. 3105 twierdzenie, że dopiero w nowszych czasach zwierzchność duchowna występować zaczęła z uroszczeniem, że *missio canonica* jest potrzebna, i że nie można bez uszczerbku, dla praw państwa, uznać konieczności zezwolenia kościelnych zwierzchników na mianowanie nauczycieli religii. Owóż, aby odeprzeć takie pojmowanie rzeczy, wystarczy, jak sądzę, gdy zwrócę na to uwagę, że *missio canonica* jest tak dawna, jak sam Kościół, albowiem opiera się ona na słowach Zbawiciela: „*Idźcie, nauczajcie wszystkie narody,*“ a także: „*jako mnie Ojciec posłał i ja was posłałem* i t. d.

„Skoro tylko księża przezemnie do udzielenia religii w wyższych zakładach naukowych obu moich archidiecezji umocowani, zostali oddaleni z posad, a wykład ten innym, świeckim nauczycielom, którzy takiego upoważnienia odemnie nie otrzymali, w części powierzono; byłem w sumieniu znaglony i biskupią moją powinnością zniewolony, zaradzić istniejącej potrzebie w taki sposób, aby młódź katolicka owych zakładów naukowych, miała sposobność kształcenia się w prawdach zbawienia za pośrednictwem jedynie do tego uprawnionych posłanników Kościoła. Uważałem za mój obowiązek zwrócić na te nieuniknione następstwa baczność rządu w mojem bezpośredniem przełożeniu do J. C. K. Mości z d. 31 grudnia r. z.; po kilkakroć też razy wracałem do rzeczowego przedmiotu w pismach, jakie miałem sposobność wymienić w tej samej sprawie z król. prow. Kolegium szkolnem. Z tem większą przeto stanowczością widzę się zmuszony odeprzeć, jako całkiem nieuzasadniony zarzut, jakoby obmyślane przezemnie środki nie wypływały z rzeczywistej potrzeby, lecz przeciwnie miały na celu ubezwładnienie rozporządzeń rządowych. Zkądinąd, gdyby rzeczywiście, jak to pismo, które mam obecnie przed oczyma, nie przytaczając szczegółowych faktów, wzmiankuje, księża wykładający po za godzinami szkolnemi religię, próbowali na uczniów zgubny, karności zagrażający wpływ wywierać,

zaraz, jak o tem JW. Pan może być przekonany, skorobym otrzymał zawiadomienie i skoroby mnie doszły jakieś bliżej oznacone fakta, nie omieszkałbym stósownie do potrzeby złemu zaradzić. W każdym jednak razie podobne wypadki, przypuszczając, że rzeczywiście zaszły, nie mogą na żaden sposób posłużyć ku usprawiedliwieniu rozporządzeń, wydanych przez JW. Pana, a tak krzywdzących prawa Kościoła i moich Dyecezan.

„Wychodząc z tego wszystkiego, co poprzedza, nie mogę przyznać wysokim Władzom prowineyonalnym prawa zakazywania księżom, by młodzieży w prawdach wiary nie ćwiczyli, również nie mogę przyznać im prawa zakazywania dzieciom i to pod zagrożeniem kary, by na wykłady nauki religii uprawnionych przedstawicieli Kościoła nie uczęszczali, gdyż przez to zmusiłoby się rodziców, albo do pozbawienia całkowicie dziełek swoich nabycia nauki religii, albo do zezwolenia, aby ją pobierały od osób, które do tego przez zwierzchność duchowną nie są unocowane i tem samem nie dają żadnej rękojmi, że ich nauczanie z nauką Kościoła całkowicie się niezgadza.

„Tego rodzaju postępowanie ze strony władz rządowych pociągnęłoby za sobą koniecznie nieznośny ucisk dla sumień, i muszę przeto stanowczo wymagać, aby mi nadal w należącym do mego obowiązku pielęgnowania wykształcenia religijnego katolickiej młodzieży szkolnej moich obu archidyecezyi, żadnych nie stawiano przeszkód.“

Ale pierwsze z praw majowych nie o samem tylko mówiło wychowaniu duchownem. Widzieliśmy jakie w tej jego części kryły się zamiary i jakie z niej wyniknęły kroki rządu, odjęcie władzy kościelnej wszelkiej kontroli nad nauczaniem religii w szkołach, zakaz nauczania jej po za szkołą, zamknięcie seminaryum; widzieliśmy także ile razy Arcybiskup gnieźnieński i poznański musiał się tym postanowieniem nowego prawa sprzeciwić. Ale była jeszcze druga jego połowa, mówiąca o obsadzaniu posad duchownych, a ta nie mniej od pierwszej i z nią równocześnie, musiała stać się źródłem obfitem coraz nowych między władzą kościelną a świecką kolizyj. Prawo pruskie mówiło, że biskup nie ma prawa przeznaczyć księdza na żadną posadę bez opowiedzenia się prezydentowi i bez pozwolenia tegoż; prawo kościelne mówiło, że w wyborze swoich podwładnych i pomocników biskup nie może być ograniczonym; oczywiście każde wakujące probostwo musiało stać się powodem starcia, każde obsadzenie probostwa przekroczeniem *prawa*, powodem do

oskarżania i procesu. Wszyscy biskupi pod rządem pruskim musieli koniecznie prędzej czy później znaleźć się w tej kolizyi,— na pierwszy ogień miał pójść Arcybiskup gnieźnieński.

Zawakowało probostwo w starym sapieżyńskim Wieleniu, o którym długo zapomniano, a który odtąd stał się głośnym i będzie nim, w historii polskiego Kościoła, jako powód pierwszego wydanego Prymasowi procesu, a zatem pierwszy powód jego uwięzienia. Prawo majowe nakazywało żeby imię kandydata doniesionem było prezydentowi, żeby przez sześć tygodni parafii nie oddawać nikomu, ale czekać czy nie nadejdzie *Einspruch* (veto) pana prezydenta, a dopiero gdyby to się nie stało, instalować księdza na probostwie. Ksiądz prymas, który wspólnie ze wszystkimi biskupami przed ogłoszeniem praw zapowiadał, że nie będzie mógł ich się trzymać, który po ich ogłoszeniu również wspólnie z innymi oświadczył, że się do ich wykonania przyłożyć nie może, bez opowiedzenia się rządowi, przyjął prezentę udzieloną księdzu Arendtowi i *instytuował* go na to beneficjum. Nareszcie! Nareszcie był fakt materyalny dotykający, podpadający doskonale! pod paragraf i pozwalający sformułować oskarżenie: nareszcie doczekał się rząd pruski upragnionej sposobności, mógł wystąpić przeciw arcybiskupowi z tą energią i bezwzględnością, która mu jest właściwą, mógł dać Kościołowi naukę, pokazać, mu co to znaczy opór, i złamać go.

Pierwszy ten pozew ciekawy jest przez swoją niezręczność, oskarżając usprawiedliwia prymasa, sam przyznaje, że on inaczej postąpić nie mógł, kiedy mówi że księdzu Arendtowi instytucji kanonicznej na probostwo sam ze swojej władzy udzielał „*bo tak chcą kościelno-prawne zasady.*“

Prymas wezwany, żeby się przed sądem stawiał w oznaczonym dniu i godzinie, oczywiście nie stanął, bo jurysdykcji sądu świeckiego w rzeczach duchownych nad sobą uznawać nie mógł: skazany więc zaocznie na karę pieniężną, a prócz tego wezwany, znowuż pod zagrożeniem takiejże kary, żeby innego kandydata na probostwo wieleńskie przedstawił. Na takie to wezwanie odpowiedział Ksiądz prymas pismem z 25go sierpnia 1873 które i stanowisko Kościoła w tej sprawie, i jego własną nieuległość i powagę, najlepiej objaśnia.

„Mam zaszczyt odpowiedzieć uprzejmie JW. Panu na pismo z d. 9 b. m., że probostwo w Wieleniu stosownie do przepisów prawa kanonicznego, które każdego biskupa, każdego kapłana i każdego wiernego w sumieniu obowiązują, w należyty sposób przezemnie obsadzone zostało. X. Arendt był przez patrona kościoła na rzeczzone beneficjum przedstawiony, przezemnie za uzdolnionego do sprawowania obowiązków proboszczowskich uznany i w następstwie instytuowany na toż probostwo. Na podstawie tej instytucji, która jest czynem czysto kościelnym, nabył wymieniony wyżej X. Arendt prawa do wykonywania pasterskich obowiązków w obrębie powierzonej mu parafii; z drugiej zaś strony podjął odpowiednie zobowiązanie, tak, że ma powinność dla gminy powierzonej jego kierownictwu i jego pieczy wszystko czynić. usilnego dokładając starania, czego potrzeba dusz wymaga. Powinnością jest jego, urząd swój osobiście sprawować, przyświecać swojej gminie nauką i przykładem, nabożeństwo urządzać, święte sakramenta rozdelać i za swoje owieczki ofiarę świętą sprawować. Każdej z tych powinności odpowiada prawo rzeczywiste. Jakoż do niego tylko należy rozporządzać wszystkiem, co urząd pasterski stanowi, tak, że jak to przepisują ustawy kościelne, żaden inny ksiądz bez jego wiadomości i przyzwolenia nie może w obwodzie parafii jakiejkolwiek czynności parafialnej wykonywać. W końcu wypływa ztąd, że na wszystkich parafianach ciąży obowiązek nie dopuścić, żeby jakikolwiek inny ksiądz, krom ich prawego pasterza, urzędowe czynności duchowne przedsiębrał i wykonywał

„W takim położeniu rzeczy i gdy rozdawnictwo urzędów kościelnych niewątpliwie do władzy kościelnej należy, ciężkobym naruszył obowiązki mojego biskupiego urzędu, zawiniłbym bardzo przeciw przynależnej Kościołowi Bożemu samodzielności w sprawach odnoszących się do wyłączonego jego zakresu, gdybym bez istotnej kanonicznej podstawy, jedynie, aby życzeniom władz świeckich zadość uczynić, X. Arendta za pozbawionego dobrze nabytych praw uznał i zaprzeczył mu uprawnienia do wypełnienia przyjętych względem gminy wieleńskiej zobowiązań, albo mu stawiał w tej mierze przeszkody.

„Kiedy Chrystus Pan rozsyłał Apostołów swoich, aby w Jego imieniu i z Jego ramienia opowiadali ewangelią, chrztu świętego udzielali i sprawowali sakrament pokuty, nie udał się On do ówczesnych świata mocarzy, aby ich prosić o przyjęcie i zatwierdzenie dla owych wysłańców. Podobnież gdy Pan Jezus dał Kościołowi swemu pełnomocnictwo wysyłania bezustannie robotników do winnicy swojej, nie uczynił tego powołania zależnem od przyzwolenia ludzkiego. Kiedy państwo uznaje prawną udzielność Kościoła i szanuje Boskie przepisy, zajścia, jak zajście obecne, wydarzyć się nie mogą; oprócz tego porozumienie między państwem i Kościołem we wszystkich okolicznościach, w których obie strony rzeczywisty mają interes, łatwe jest bardzo do osiągnięcia, jak tego najbliższa przeszłość ostatnich lat dwudziestu dostatecznie dowodzi; jednakże, skoro tylko państwo wszechwładzę swoją rozciąga nawet

na rzeczy, które do najwewnętrzniejszej istoty Kościoła, do jego Boskiego ustroju, do dziedziny wiary i do karności duchownej należą, skoro tylko państwo rozporządzenia swoje, wdzierające się w właściwy obręb praw kościelnych, opatruje sankcją kar i środków przymusowych, wtedy zaiste nie pozostaje nic innego biskupom, jak w pokorze i zanfaniu w pomoc Bożą powtarzać ciągle: *non licet*.

„Tak samo widzę się obecnie zmuszony na pismo JW. Pana z d. 9 b. m. odmówić dać odpowiedź, albowiem jak to już wyżej wyłożyłem, nie godzi mi się pełnego prawa, przysługującego 'X. Arendtowi, prawa na podstawie kanonicznej instytucji opartego, do probostwa wielńskiego, nadwierać i odejmować mu pełnomocnictwo do wykonywania wszystkich duchownych czynności urzędowych i praw przysługujących mu w obrębie parafialnego ustroju, aby w następstwie, odpowiadając życzeniu JW. Pana, do innego obsadzenia rzeczonego miejsca przystąpić. Raczej muszę oświadczyć, że X. Arendt jest i pozostanie jedynym prawym pasterzem w Wieleniu i że jego oddalenie z tego urzędu tylko na drodze przewidzianego przez prawo kościelne postępowania i tylko z kanonicznych powodów nastąpić może.

„Jeżeli zaś rząd cesarsko-królewski mniema, że biskupi się mylą, kiedy obstają przy wyłącznej kompetencji Kościoła w niektórych sprawach, to niechaj opór ten wytoczy przed Głową najwyższą Kościoła katolickiego. Skoro zaś Święta Stolica Apostolska rozstrzygnie, biskupi chętnie i z wszelką gotowością poddadzą się najwyższej dla każdego wierzącego katolika i w rzeczach wiary i moralności nieomyłnej powadze.“

Dokument ten przytaczamy w całości dla tego że określa on stanowisko i postępowanie Księdza prymasa w wielu wypadkach podobnych. Oczywiście, za każdą najmniejszą zmianą w jego dyecezyach musiała nastąpić taka *nieprawda*, przez niego dokonana nominacja: za tą nowe oskarżenie, nowy proces, nowe kary pieniężne, które skazany obłożony sekwestrem płacił, albo raczej za niego sobie płacono zabierając mu i sprzedając na licytacji sprzęty, konie i t. p. W ciągu tego, zdobył się rząd na kroki energiczne i przeciw księżom *nieprawnie* instytuowanym. Rozporządzeniem swoim z dnia 24 października 1873, polecił minister wyznać wszystkim prowincjonalnym urzędom, ażeby „każda czynność urzędowa, bez różnicy czy się do niej odnoszą następstwa cywilne lub nie, stanowiła istotę przekroczenia przewidzianego w § 23 ustawy z dnia 11go maja r. b. Chcąc zatem zmusić owych duchownych bezprawnie ustanowionych do zaprzestania swych czynności, trzeba żeby każda ich czynność urzędowa stawała się natychmiast przedmiotem śledztwa kar-

„nego, i żeby duchowni byli nieustannie trapieni coraz nowemi „karami, dopóki nie poddadzą się ustawom.... Niezbędna za- „chodzi potrzeba dla utrzymania prawnego porządku, dać uczuć „owym duchownym całą surowość prawa.“

Rząd pruski jest logiczny: prześladowanie nie mogło zatrzymać się na biskupach, ale musiało spaść na wszystkich księży im posłusznych i ścigać ich z jakąś szczególną, krzyżacką zaciętością. Ale to wskazuje zarazem nie tylko rozciągłość, ale i głębokość tego prześladowania; bo w logicznem następstwie takiego rozporządzenia w krótkim czasie może nie zostać ani jednej parafii, której proboszcz nie byłby skazanym i uwięzionym, ani jednego kościoła przy którym ksiądz mógłby zostać i nabożeństwo w nim odprawiać.

Rozpatrując się w aktach należących do tej sprawy, mnie ma się prawie widzieć dramat ręką biegłego mistrza ułożony; tak w miarę trwania sporu i zbliżania się katastrofy, mnożą się zajścia, tak wzmagają się zawziętość napaści z jednej strony a siła i stałość z drugiej, tak wciąga się w sprawę coraz większa liczba wpływów, interesów, uczuć, obowiązków, namietności i osób. Ze strony pruskiej, im więcej przypadków wyświęcenia, mianowania, lub przeniesienia księży, tem większa zaciętość landratów, sędziów, dyrektorów policyi, prezydentów i ministrów; tem bardziej jedni drugim dodają ducha i ochoty wmawiając w siebie że ustąpić nie mogą: tem silniejsze domagania się opinii o energię i złamanie oporu, tem głośniejsze krzyki niemieckiego dziennikarstwa przeciw prymasowi wołające na rząd: *Tolle, crucifige!* Z katolickiej strony tem liczniejsze składają się prymasowi oświadczenia czci od duchowieństwa; wiernych jego dyecezyi, od katolików obcych (stowarzyszeń i prywatnych), od biskupów niemieckich i zagranicznych, tem silniejsze słowa poparcia i pociechy od Ojca Śgo. Rząd pruski, wierny zawsze jak się pokazuje swoim tradycjom, a hołdami temi rozdrażniony i upokorzony, jak niegdyś sam przez policyę swoją wymyślił konspiracyą w Poznańskim, tak i teraz, nie gardzi środkami godnymi Bäremsprunga i Posta, przejmował i zatrzymywał korespondencyę księdza prymasa. Ciekawy jest pod tym względem list jeden arcybiskupa mechlińskiego ks. Déschamps, w którym tenże skarży się Arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, że pisał do niego wiele razy, ale odpowiedzi nie odebrał, „*znać listy zagi-*

nęty.“ Rzec to znana że w godności i szlachetności używanych środków, żadne plemię pod słońcem Prusakom nie wyrówna. Zatrzymywano listy, bo naprzód, te oznaki uszanowania i współczucia gniewały rząd, a powtóre, bo sądzono naiwnie, że one mogą utwierdzić prymasa w jego *zasłепieniu i uporze*. Próżne złudzenie. Nie potrzebował ani utwierdzenia ani zachęty ani rady, ten co w swoim sumieniu i charakterze znajdował niemyślną wskazówkę jak mu postępować należało. Wiedząc co go czeka, gdy zobaczył ten długi szereg wytoczonych sobie procesów z których każdy oczywiście musiał się skończyć skazaniem, gdy obliczył że na kary pieniężne, których dobrowolnie płacić nie chciał, nie było już ruchomości, żeby koszta tych kar opędzać, bo wszystkie sprzedane na licytacji wpłynęły do kas rządowych (złoto do złota!) i gdy widział bliską chwilę, w której zamkniętym będzie w więzieniu, rozporządził wszystko w obu dyecezyach, mianował zastępców, w szczegółowych postanowieniach zapowiedział, że nie chce żałoby kościelnej, zakazuje demonstracyi i zajęć burzliwych, zaleca spokój, słowem, zostawił jak żeby testament, i czekał.

Ale przed uwięzieniem zaszedł jeden jeszcze wypadek, gorszy, zuchwalszy, bezczelniejszy od wszystkich poprzednich. Kiedy przed sądem w Poznaniu toczył się proces o mianowanie księdza Arendta proboszczem w Wieleniu i bliski był końca, naczelny prezydent prowincyi poznańskiej Günther, przed innym sądem wytoczył inny proces: proces przed trybunałem świeckim o złożenie biskupa z duchownego urzędu. Przezorność pruska, która stanowiąc prawa majowe nie przepominała i o trybunale dla spraw kościelnych, któryby procesa ze spraw tych wynikłe po myśli rządowej sądził, po raz pierwszy stwierdzić miała swoje praktyczność.

Prezydent wezwał prymasa do złożenia arcybiskupstwa, prymas odmówił: wezwanie i odmowa najlepiej znamionują i walkę samą, i środki walczenia, i walczące potęgi.

Język którym rząd pruski przemawia dziś do Kościoła, przypomina bardzo ten którym przemawiał niegdyś do Rzeczypospolitej polskiej: ten sam duch umiarkowania i spawiedliwości, te same wysokie pojęcie swoich obowiązków względem Boga i sumienia, i własnych poddanych, ta sama niewinność i smutna konieczność występowania przeciw krnąbrnym i niebezpie-

cznym, ta sama hypokryzja bezczelna, która w notach Buchholza i w manifestach Fryderyka Wilhelma II mówiła z przystojną wielkiemu państwu powagą a państwu chrześcijańskiemu przystojną słodyczą: „Baranku, mącisz mi wodę“. — „Biskupie mącisz mi wodę“ pisze pan prezydent Günther, „*podobało ci się* zająć względem praw obowiązujących stanowisko, którego „*ścierpieć nie mogę*: *podobało ci się*, kiedy rząd wyzwolił naukę religii w szkołach z pod niezdolnego dozoru władz duchownych a powierzył ją ludziom oświeconym i na wysokości umiejętności stojącym, w liście pasterskim ten krok dobroczynny naganić: *podobało ci się* krytykować wypędzenie Jezuitów, *podobało ci się* pasterzu najemny i niewierny, pozbawić trzodę sobie powierzoną nauki religii, może i samego dusznego zbawienia, bo kiedy rząd dobroczynny urządził wykłady religii, *chciał* katolikom dać sposobność poznania jej, tyś się uparł *żeby* uczoną była po polsku, i tą zuchwałością sprawiłeś, *niestety*, że tysiące młodych dusz kształci się i dojrzewa bez znajomości Boga i wiary! A za to podstępnie, chytrze, złośliwie, *nakazałeś* uczyć religii po kościołach i prywatnych domach, *żeby nią swoje osobiste cele* (sic) osłaniać i młodzież wciągać *w zamęt stronnicych politycznych zapasów*.“

„Cóż dopiero gdy wyszły prawa majowe. Nie dość żeś *przeciw* nim bluźnić sobie pozwalał, aleś się im nieraz i uczynkiem sprzeciwił! Kiedy rząd *chciał* seminaryum twoje wziąć *pod* swoją najmiłościwszą opiekę, a krnąbrnością twoją *zmużony* zamknął je, nazwałeś to *gwałtem*! Gwałtem także *rewizyą* domu demerytów w Osiecznie? Co więcej, ty biskup *miarowałeś* plebanów, *przenosiłeś* księży z miejsca na miejsce, *święciłeś* ich, choć wiesz, że z króla i praw majowych łaski *atrybucye* te należą do mnie prezydenta! I ci księża *przykładem* twoim do buntu wciągnięci, śmiał msze odprawiać, chrzczyć, *dawać* śluby, spowiadać, jak *żeby* ślub przez nich dany był *ważnym*, jak *żeby* dzieci z takiego mniemanego małżeństwa *zrodzone* mogły być dziećmi z prawego łoża? Nie: dzieci *rodziców*, których związek był pobłogosławiony przez ciebie *heretyczną* i tobie podwładnych buntowników, to pokurcze i podrzutki które ani do nazwiska ojca ani do spadku po nim prawa *nie* mają. A ty, patrz co robisz; rozprzęgasz rodzinę, *rozwalasz* wszystkie podstawy społeczeństwa, państwa i Kościoła! Bi-

„skupie, macisz mi wodę, i dla tego wzywam cię żebyś swój „urząd pasterski do ośmiu dni złożył.“

Z pod tych zdradzieckich sofizmów i bezczelnych kłamstw wygląda taka otchłań nieszczęść jak niegdyś z groźb, które Prusy w świętem oburzeniu rzucały polskim *Jakóbinom* i polskim *fanatykom*; żeby nie, tylko to oświadczenie, że śluby przez księży biskupowi posłusznych zawarte, będą w oczach państwa i prawa nie ważne, że jeżeli katolik ożeni się tak jak mu nakazuje jego wiara, i sumienie, to jego dzieci nie będą dziećmi prawemi! To jest po prostu zakaz żenienia się, bo tak jak chce rząd, przed jego księżami katolik ożenić się nie może: wtedy, w obec swego Kościoła i swego sumienia on żyłby w niezrządzie, jego żona nie byłaby żoną, dzieci nie prawemi. I to jeden tylko szczegół, jeden drobny skutek praw pruskich, które prześladowaniem nie są, nie; są wolnością sumień, są równością wyznań w obliczu prawa i równą dla wszystkich opieką, są sprawiedliwością, ludzkością i cywilizacją!

Ale co za straszne położenie biskupa, który taką przyszłość przewiduje, wie, że wiernych dyecezyi swojej na takie skutki naraża, a przecież oszczędzić im tego nie może! A czyż mógł złożyć swój urząd biskupi, złożyć go królowi pruskiemu, kiedy go od Boga odebrał, wyznać przez to, że władza biskupa nie z sakramentu płynie, ale z urzędu, nie apostolską jest sukcesyą, lecz gabinetową nominacyą? Czy mógł powiedzieć: oto ja Bispup katolicki wierzę, że mam łaskę od Boga a obowiązek i prawo od jego Zastępcy, łaski tej Bożej i władzy nie tracę, choćbym sto razy stracił łaskę króla pruskiego, i zaraz potem, dlatego, że tak wierzę, jedno i drugie u stóp króla złożyć? Czy takie „*accipe Rex quae non dedisti*“ nie byłoby nie już bojaźnią niegodną, ale odstępstwem wiary i zdradą Kościoła? Rycerskiemu wojownikowi bito medale i stawiano posągi za to, że „honor Polaków od Boga mu powierzony jemu jednemu chciał oddać“ — a miałaby biskup powiedzieć: „Bóg powierzył mi honor, „i zbawienie tych ludzi, a ja oddam je królowi pruskiemu!“ Nie: odpowiedź jego na wezwanie rządu jest wspaniała, spokojna, poważna, jasna jak sama prawda, a jeżeli dla długości swojej na medalach i posągach pisaną nie będzie, tę ma zaletę że całe stanowisko i naukę Kościoła w tej mierze zwięzłe, jasno, i zupełnie tłómaczy:

Zaczyna prymas swoje pismo do naczelnego prezydenta od tego, że tylko rząd który religii katolickiej nie rozumie, może żądać od biskupa żeby urząd swój złożył:

„Pismo p. naczelnego prezesa z dnia 24 b. m. jeżeli z jednej strony wielkim mnie napęliło smutkiem, bo nowe zapowiada Kościołowi w dycecyjach moich ciosy i ciężkie zwiastuje wiernym Chrystusowym mojej pasterskiej pieczy powierzonym, cierpienia i krzywdy; to z drugiej strony wielkiego we mnie wzbudzić nie mogło podziwienia. Od czasu bowiem wypowiedzianej przez rząd królewski wojny przeciwko świętej katolickiej wierze w krajach poddanych berhu Najjaśniejszego naszego Monarchy, stokrotną już miałem sposobność przekonania się, że urzędnicy obecni państwa nie pojmują czem jest wiara święta, którą my katolicy wyznajemy, i rozumieć nie są w stanie, jakie ona na swych wyznawców nakłada obowiązki.

„Ztąd też tylko wynika, że p. prezes naczelny, w wyżej wzmiankowanej odezwie wzywa mnie do złożenia arcybiskupiej mojej godności i dodaje, że jeżeli tego w ciągu ośmiu dni nie uczynię, o złożenie z arcybiskupstwa postara się u trybunału świeckiego w Berlinie.

„Urząd biskupi z przywiązaniem do obowiązków i prawami, od Boga przez ręce Jego Namiestnika na ziemi, odebrałem. Władzę więc przez samego Boga mi udzieloną (*Spiritus S. posuit Episcopos regere Ecclesias Dei*) rządę częścią Kościoła Śgo, która mi naznaczoną została przez Ojca Śgo. Tego posłannictwa żadna świecka potęga zniweczyć nie jest zdolna. Może bezwątpienia przemoc potężnych uniemożliwić biskupowi swych obowiązków świętych wykonywanie, może mu uczynić niepodobnem używanie praw jemu przysługujących, ale zrzucić go z duchownego urzędu, tego dopiąć nie jest w stanie, bo człowiek władzy kościelnej od Boga pasterzom dusz nadanej zniweczyć nie jest mocen.

„Nie może więc być mowy o złożeniu mnie z arcybiskupstwa przez jakikolwiek trybunał państwowy, i wszelkie tego rodzaju zakuszenie nie będzie miało przed Bogiem, przed Kościołem i przed katolickim światem znaczenia. Potrafiono tylko materyalnie uniemożliwić mi obowiązków moich wypełnienie, i pozbawić mnie używania mych praw, które jednak nigdy prawami mojemu nietykalnymi być nie przestaną. Podobnież żaden trybunał państwowy uwolnić mnie nie jest w stanie z obowiązku wypełniania powinności kościelnego mego urzędu.“

Przyznaje potem, że dobrowolnie i za przyzwoleniem Papieża wolnoby mu wprowadzić było biskupstwo złożyć, ale oświadcza, że tego nie uczyni, i tłumaczy dla czego:

„Co się tyczy dobrowolnego mego ustąpienia z arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i poznańskiego, to chociażby takowe w danych okolicz-

nościach za zezwoleniem Ojca Śgo nastąpić mogło, sędzę jednak, że i p. prezes naczelny i rząd królewski dostatecznie poznać mnie mogli, aby powzięli przekonanie, iż takiego czynu w obecnych stosunkach nigdybym nie miał czoła się dopuścić. Niegodnybym był dostojenstwa duchownego, którem mnie Bóg obdarzył, gdybym dobrowolnie opuszczał mą trzódkę w chwili, gdy jest na łup niedowiarstwa herezyi, i schyzmy wystawiona. Obowiązkiem moim jest bronić duchownych dóbr dyecezyan moich, ale nie usuwać się przed groźbą cierpień wszelkiego rodzaju, a chociażby i utraty życia. *Bonus Pastor animam suam dat pro ovibus suis. Mercenarius autem et qui non est pastor — videt lupum venientem et dimittit oves et fugit.*

„To p. prezesowi naczelnemu oświadczam, co do ustąpienia mego z arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i poznańskiego i co do rzekomego złożenia mnie z mej arcybiskupiej godności. A jakkolwiek uważam za rzecz zbyteczną, zajmować się szczegółowo punktami, przez p. prezesa naczelnego dotkniętymi w piśmie z dnia 24 b. m., ponieważ wyczerpujące już z mej strony odbrał w tych sprawach odezwy; to jednak pozwolę sobie uczynić niektóre ogólne uwagi nad ostatnimi wywodami p. prezesa naczelnego.

I tutaj, w zakończeniu odzywa się prawdziwie, jak który z dawnych ojców Kościoła, Śty Ambroży do Teodozyusza na przykład, kiedy dziękuje za wyliczenie zarzuconych sobie występstw, widząc w nich tyleż świadectw, że obowiązek swój pełnił sumiennie, i kiedy z uczuciem pokory dla siebie, tryumfu dla sprawy Kościoła mówi: „Bóg wybiera małuczkie, aby zawstydził potężne.“

Zestawia p. prezes naczelny niektóre z ważniejszych czynności pasterswa mego, spełnionych od września z. r. aż do obecnej chwili, i w nich znajduje dostateczne powody do umotywowania dziwnego zaprawdę wniosku, skreślonego w końcu jego odezwy. Nie byłbym się nigdy odważył sam wyliczyć te szczegóły, dające świadectwo o sumienności mego biskupiego działania. Jest to owoc łaski Bożej, pokrzepiającej słabe siły człowieka i dopomagającej mu do wypełnienia trudnych często powinności jego stanu. Dziękuje jednak p. prezesowi naczelnemu za to świadectwo dane wierności mej względem Boga i względem przepisów Jego prawa. To świadectwo i całkiem zasłużone, a nadzwyczaj zaszczytne daje p. prezes naczelny całemu duchowieństwu mojemu i wszystkiemu ludowi mej pasterskiej pieczy powierzonemu. Takie świadectwo zawarte w urzędowym piśmie p. prezesa naczelnego, chlubą okryje przed całym światem kapłanów i wiernych obu moich archidiecezyj. Z pierwszych bowiem, dwóch zaledwie swej wiary się zaparło, a może nawet bez całkowitej świadomości o tem, co czynili, a

z pomiędzy świeckich ludzi nie wiem, czy wielu więcej wiarołomnych swemu Bogu i swemu Kościołowi się znalazło.

Prawda, że p. prezes naczelny inaczej się na to zapatruje i widzi wadę w tem, co wierzącego człowieka przed Bogiem i przed ludźmi najwięcej uszlachetnia; aleć to jego zapatrywanie natury rzeczy nie zmienia. Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa ówczesni urzędnicy pogańscy za buntowników uważali tych, co oddając Cesarzowi co jest cesarskiem, pierwej Bogu, co jest Boga, oddawali; smutno widzieć, że i teraz niepojętem dla mnie rozumowaniem, pan prezes naczelny uważa za niebezpiecznych dla państwa nas katolików, jeżeli obowiązków naszych względem Boga i Kościoła gwałcić nie chcemy, aby nie wystawiać dusz naszych na wiecznie potępienie.

W inny jeszcze i bardzo wielki błąd popada p. prezes naczelny, gdy mniema, że stałość duchowienstwa i wiernych w zasadach katolickiej prawdy i niezłomna ich wytrwałość na drodze obowiązku pomimo niesłychanego ucisku, jakiemu podlegają i najdotkliwszego prześladowania, że ta stałość, mówię, i ta niezłomna wytrwałość, dziełem jest mych wpływów i mej przewagi. Nie, panie prezesie naczelny; są to owoce wielkiej łaski i miłosierdzia Bożego; żaden bowiem ludzki przykład i żadne ludzkie zachęty tak wielkich i wspaniałych skutków sprowadzić nie są zdolne. Bóg tylko jeden to spawia, bo stoi napisane „*Infirmi mundi elegit Deus, ut confundat fortia.*“

To słowo, (oby prorocze!), to ostatnie jakie przed uwięzieniem swoim wyrzekł do swoich prześladowców, do swoich wiernych, do Papieża, do Kościoła i narodu. Zanim bowiem proces o złożenie z arcybiskupstwa wytoczony przez prezydenta prowincyi przed trybunałem dla spraw kościelnych mógł się rozstrzygnąć, uwinął się sąd poznański z wyrokiem „za nieprawne obśadzenie posad duchownych,“ i skazał Księdza prymasa za nominacją księdza Arendta i rozmaite inne, na około 30,000 talarów kary, albo na dwa lata więzienia.

Nie będziemy tu powtarzać znanych szczegółów tego uwięzienia: te rozstawione warty, ten doktór w pogotowiu przyprowadzony, żeby zeznał czy stan zrowia skazanego nie sprzeciwia się wywiezieniu i uwięzieniu: to pomieszczenie więźnia między złoczyńcami (*równouprawnienie* z którego tak się cieszyły niemieckie dzienniki), cała ta piękna *poprawność* i *ściśłość* postępowania posunięta tak daleko, że arcybiskup przez czas długi nie mógł mszy ś. odprawiać a sam sobie musi pokój zamiatać, to wszystko dowody *sprężystości*, którejby głupi Polak lub płochy Francuz wstydził się jak nieszczęścia, ale które od Prusaka nikogo za-

dziwić nie mogły. Przypomnimy więc tylko że w tym pamiętnym czasie rząd pruski posunął prześladowanie Kościoła tak daleko, jak przedtem nie było przykładu, zażądał dla państwa zakresu władzy, jakiego ono dotąd nie żądało nigdy. Bo że biskupów wypędzano, zamykano po więzieniach, zabijano, że biskupów heretyków na katolickich stolicach osadzano, to prawda. Ale tego nie było nigdy ani w cesarskim Rzymie, ani w sekciarskim Bizancyum, ani w *świętym* Petersburgu, żeby trybunał świecki biskupa z jego kościelnego urzędu składał, ani żeby rozkaz królewski człowieka innej wiary katolickim biskupem kreował i ogłaszał. „Argumenta i sofizmata“ jak mówi Pius IX w encyklice z 21 listopada 1873, „wydobyte są ze starej heretyków spiżarni“ ale fakt jest nowy i pruski, i będzie pamiętny. Prusacy wiedzą zapewne, bo to naród czytający i oświecony, że „kiedyś, mieszkaniec Nowej Zelandyi usiedzie na złamanym łuku londyńskiego mostu i będzie ztamtąd szkicował ruiny kościoła Ś. Pawła, a Kościół katolicki wtedy jeszcze żyć i trwać będzie“: otóż Zelandczyk ten, zwiedzający ciekawie ruiny Europy, jak my dziś zwiedzamy Teby lub Palmyrę, jeżeli z wyspy, która dziś jest Anglią, przejedzie na ląd stały, nie znajdzie nad Spreą tyłu szczątków wielkości co nad Tamizą, ale to im zaręczyc możemy, że usiedzie na stopniach zwałonego posągu Fryderyka lub nowo wzniesionego monumentu wojny francuskiej, popatrzy na Berlin, pomyśli i wspomni: „to tu był ten król co „heretyków mianował katolickimi biskupami, a biskupów prawodziwych wyrokami swoich sądów składał ze stolicy!“ a co niegdyś mówił Śty Chryzostom, co dziś za nim powtarza Pius IX (encykl. 21 listopada 1873), to w myśli doda ten człowiek zrodzony w czasach, kiedy nie będzie Prus ani może Europy, ale Kościół będzie: „Gdzież są owi nieprzyjaciele? Milczenie i pułstynia po nich. Gdzie Kościół? Bardziej niż słońce jaśnieje. „Co było ich, znikło: co do niego należy, jest nieśmiertelne.“

Po uwięzieniu księdza prymasa Ledochowskiego okrzyk tryumfu w obozie pruskim i bezwyznaniowym: otośmy pokazali naszą siłę, oto my górą, oto się nas przelekną choć niektórzy, i ustąpią, i robi się raz przecie koniec z tym Kościołem, i „oprócz „nas nie będzie nikogo na ziemi.“ Z tem hasłem zgodna konsekwencya i energia w dalszem postępowaniu: Z oficyałów przez Prymasa jako zastępców zostawianych a Kościołowi wiernych i

wstępujących w ślady swego pasterza, jeden uwieziony (gnieźnieński, ksiądz Wojciechowski) drugi (poznański, ksiądz biskup Janiszewski), obłożony mnogimi karami lada dzień do więzienia pójdzie ¹⁾. Po parafiach księży niedopuszczani do pełnienia obowiązków, oskarżani, sądzeni, skazywani: kilka kościołów już zamkniętych, nauka religii ustała, a jeżeli jest, to tajemna, a w Berlinie kują na krnąbrnych nowe coraz prawa. Zeszłoroczne okazały się niewystarczającymi: cóż z tego, że prymas Ledóchowski w więzieniu? Nie ustąpił ani on ani nikt inny: wiecznie go trzymać w Ostrowie nie można, bo choć prawo skazuje na sto blisko lat więzienia, on i w więzieniu jest arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim, urzędu nie złożył, a katolicki upór i bunt zawsze go za duchownego zwierzchnika uważać gotów. Pokazuje się z tego jasno, że jest potrzeba praw nowych, któreby nadużyciu temu położyły koniec. I uchwała się tedy, że duchowny, skazany przez trybunał dla władz kościelnych, jeżeli jeszcze prawo swoje wykonywać zechce, po odbyciu kary, ma być za granicę odwiezionym, wygnanym i obywatelstwa pruskiego pozbawionym. Podpalacz, morderca, kiedy w kryminalne czas swój odsiedział, nie przestaje być obywatelem kraju: wolno mu iść i mieszkać gdzie chce, urząd któryby go bez innego powodu i wyroku z kraju wydalili, dostałby nagane za pogwałcenie prawa, liberalna opinia niemiecka krzyczałaby w niebo głosy na nieludzką i niesprawiedliwą: ale czego przeciw podpalaczowi i mordercy uczynićby się nie godziło, to przeciw księdzu a zwłaszcza biskupowi wolno, wymaga tego prawo, sprawiedliwość, wolność, i cywilizacja.

Ale jeżeli z jednej strony energia pruska nie folguje, to z drugiej nie słabnie także katolicka stałość. Na radośne krzyki dzienników odpowiadają akcesy, i zbiorowe oświadczenia wszystkich dekanatów gnieźnieńskich i poznańskich do kapituł, wyrażające wierność, posłuszeństwo, i gotowość do wytrwania. Na kłamstwa i sofizmata rządowe i parlamentarne, jest prawda we wspianym okólniku podpisanym przez wszystkich biskupów niemieckich w miesiącu lutym 1874. Akt ten ułożony zaraz po uwiezieniu arcybiskupa Ledóchowskiego jest naprzód protestacją przeciw temu gwałtowi, jest poleceniem do

¹⁾ Dziś już wywieziony nie wiadomo dokąd.

katolików jak się zachować mają jeżeli więcej biskupów i kapłanów, lub wszyscy, ulegną podobnemu losowi ¹⁾, jest wreszcie jeszcze raz opowiedzeniem całej sprawy, oświadczeniem przed

¹⁾ „Mogą rychło nadejść czasy, a dla wielu z was już nadeszły w których wy czcigodni kapłani pańscy dowieść musicie, że rzeczywistymi jesteście kapłanami, którzy nie tylko tajemniczą ofiarę nowego testamentu spełniać, lecz również gotowi są na wzór swego boskiego mistrza sami siebie oddać w ofierze za prawdę, nanki i wolność Kościoła bożego.

„Mogą nadejść czasy, w których ustanowieni przez Ducha Śgo prawowici biskupi lub wyznaczeni przez nich zastępcy, nie będą mogli rządzić Kościołem Bożym. Tak jest, mogą nadejść czasy, iż gminy katolickie będą bez dusz pasterzy, bez nabożeństwa. Dopóki wtedy jeszcze ukochani dyecezyjanie będziecie mieć sposobność słuchać mszy św. u prawowitego kapłana i otrzymywać św. Sakramenta, czyńcie to tem gorliwiej i nie lękajcie się żadnych utrudnień, ani powinności, Od kapłana zaś, który z waszym biskupem i najwyższym pasterzem Kościoła nie ma współnictwa trzymajcie się zdaleka.

„Jeżeli bez waszej winy pozbawieni będziecie św. ofiary i św. Sakramentów, ale w wierze stać będziecie niezłomni, wtedy łaska Boża zastąpi wszystko. Umacniajcie się wtedy nawzajem w wierze. Wychowujcie i ćwiczcie wtedy chrześcijańscy rodzice wasze dzieci z podwojoną gorliwością w wierze katolickiej, aby w tejże wierze wytrwały i wy sami mogliście po czasach próby spojrzeć na nie bez żalu.

„Drugie nasze napomnienie, nasz wyraźny rozkaz w imie Boga, naszego Zbawiciela, jest ten: żaden ucisk, żadna krzywda, jakie znosić musicie, niepowinny was nigdy poruszać do grzesznego gniewu, nigdy was skłaniać do naruszenia choćby w najmniejszej części czci i winnego posłuszeństwa dla władzy i chrześcijańskiej miłości dla waszych współobywateli. Odznaczajcie się owszem właśnie teraz przedewszystkiem wiernością dla obowiązku, gdyż teraz najukochański nadszedł czas, gdzie czynem dowieść musicie jak szczerze i na serio trzymamy się obowiązków naszych nie tylko względem Boga i sumienia, lecz i względem państwa i władzy świeckiej. Tak powinniśmy, napomina nas apostoł, odierać obwinienia tych, którzy się z nas najgrawiają, i raczej krzywdę znosić, niż krzywdę czynić.

„W końcu — jest to nasze ostatnie i najważniejsze napomnienie: Nie bądźcie nigdy chwiejni w waszej ufności w Bogu i wszystkie wasze nadzieje pokładajcie w modlitwie. Uciekajcie się w tym czasie, gdy w świecie żadnej nie znajdujemy pomocy do Boskiego serca waszego Zbawiciela, który świat zwyciężył i nieopuszcza nas; jest ono niepokonaną twierdzą i zawsze otwo

Bogiem i ludźmi, że nie Kościół walkę wywołał, że nie on sięga po to, co nie jest jego. Wreszcie na prawa cesarskie jest papieskie *non possumus* odzywające się coraz głośniej i coraz groźniej: a fakta mu świadczą kiedy mówi, że ten pruski „modus vivendi“ który mu ofiarują, to jest „modus nocendi“ i „modus auferendi, modus destruendi, modus occidendi (Allokucya z dnia 19 czerwca 1874), a da Bóg, że stwierdzą fakta i ostatnie jego słowa. „Jak wsparł Bóg jednego Piusa w zniweczeniu „pychy tureckiej, jak wsparł innego Piusa w rozchwianiu wielkiej dumy cesarskiej, tak niech teraz wesprze mnie najmniej „szego Piusa; i jak zwyciężył apud insulas Echinadas, jak zwyciężył apud Savonam, tak niech nadejdzie dzień, w którym zwycięży apud Sanctum Petrum.“

To przypomnienie Savony musi brzmieć nieprzyjemnie w uszach tych, którzy dziś stoją na takim szczycie potęgi, jak w swoim czasie pierwszy Napoleon. Kiedy ten był panem Europy, a papież więźniem, ktoby był przypuścił że jeden z nich umrze w swoim Watykanie, drugi na wyspie stej Heleny? W tych snach wszechmocnej potęgi, któremi rozkosznie odurzają się pruscy mężowie stanu, myśl o Piusie VII i Napoleonie musi czasem odzywać się jak fałszywy złowrogi akord, zjawiać się na chwilę jak nagła, dręcząca zmiana w scenach ich widzenia. Ale któżby zważał na takie przestrochy i przeczucia: to niegodne umysłów celnych, wielkich ludzi, niepokoić się widziadłami przeszłości, kiedy przyszłość do nich należy! Ba i gdzież prawdopodobieństwo, gdzie możliwość zmiany i upadku? Kto dziś ma taką armią, kto strategiczną głowę Moltkiego, dyplomatyczną Bismarka i jego żelazną wolę, kto dziś silny jak Prusy? Za Napoleona była jakaś Anglia, jakaś Austria, jakaś Rosya, i przeciw niemu wielki duch germański: dziś „oprócz „Prus nie ma nikogo na ziemi“, i nie bać się o przyszłość dlatego, że jakiś starzec nad grobem grozi sądem bożym, lub że jakaś rozmarzona głowa polskiego poety, dziecinnego jak jego

rem stojącą ucieczką w każdej potrzebie. Temu Boskiemu sercu, pełnemu miłości i zlitowania oddajmy i ofiarujmy siebie samych i wszystkie naszej pieczy poruczone dusze na zawsze i po wszystkie czasy, docześnie i wiecznie. „Okólnik z lutego 1874.“

naród, pociesza się upadkiem Rzymu i nowym Cezarom w obłąkaniu swoim podobnie prorokuje?

I tu chadzali w purpurze i złocie
 Niesprawiedliwości,
 A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie
 Nad prochem ich kości.
 I tu mawiali: „Wytracim narody,
 „Roma jedna będzie.“
 — Patrz po ich cyrkach jak pasą się trzody
 I bluszcz pełza wszędzie.
 A tchnęli jednak tą siłą bez granic
 Co światu przykładem;
 Ale przepadli, bo struli się na nie
 Własnych zbrodni jadem.“

I na to zważać? W sam raz dla dzieci lub starych kobiet: mąż godzien tego imienia, swego wieku i narodu nawet gardzić tem nie raczy, *guarda e passa* i idzie naprzód, na przebój, „*siła przed prawem, przez krew i żelazo*.“ Co się dziś dzieje w Wielkopolsce, przypomina zupełnie stosunki kościelne jak je uporządkowała Rewolucya francuzka, z tą różnicą, że dzięki Bogu, księży *assermentés* dotąd nie ma. Ale jak wtedy, innych, to jest prawdziwie katolickich, rząd nie uznaje. Wszyscy młodzi księża wyświęceni już po ogłoszeniu praw majowych, są podług nich nieważni, bo uczyli się teologii w seminaryum nie na uniwersytecie: którykolwiek z nich idzie na parafię, czy jako proboszcz czy jako wikary, dostaje się i do więzienia, z czego wynika, że już dziś są miejsca pozbawione księdza, nabożeństwa, sakramentów, są kościoły zamknięte. A co będzie dalej? Co będzie jak rząd jeszcze księdza biskupa Janiszewskiego uwięzi? jak naśle jakiegoś biskupa czy administratora ze swego ramienia? Wtedy zmieniają się role, i jak dziś rząd, tak wtedy katolicka ludność i księży przez niego święconych i instalowanych uznawać nie zechce, nie będzie mogła. Wtedy przyjdzie czas, jak mówi okólnik biskupów, że wierni zostaną bez mszy, bez spowiedzi, bez komunii: że do tego idzie, że rząd na drodze swojej się nie wstrzyma, na dowodach nie brak. Wszakże kiedy trybunał berliński *złożył* prymasa Ledóchowskiego z arcybiskup-

stwa, wezwał rząd kapituły by wybrały Wikaryuszów. Kapituły odmówiły, *non possumus*, a wszystkie dekanaty obu dyecezyi pośpieszyły z oświadczeniem, że stoją przy nich wiernie, i zostawionych przez prymasa zastępców słuchają. Co się stanie, przewidzieć nie trudno: wszystko na co patrzymy to dopiero „Initia malorum.“ Oporne kapituły pójdą do więzienia, rząd *zmuszony ich oporem*, sam zamianuje nowego mniemanego arcybiskupa, a jeżeli między katolikami nie znajdzie się (co daj Boże) ani jeden tak podły, słaby i niewierny, któryby się na świętokradztwo takie odważył, to znajdzie się zawsze jaki „stary katolik prawdziwy“, to Reinkensa przyśle rząd, z biskupstwa posuwając go na arcybiskupstwo. Dlaczegoż nie? Wszakże rząd, dawno postanowił, że on jest biskupem katolickim. Tylko wtedy katolicki lud, pamiętny upomnienia biskupów prawdziwych, trzymać się będzie zdala od takich, którzy nie są w jedności z Kościołem i jego głową; wtedy co będzie, to niech rządowi pruskiemu powie nie Polak, nie katolik, ale zacięty wiary i Kościoła wróg, ten sam raz już przytoczony Ernest Renan:

„Wypędzać proboszczów i biskupów, to nie prowadzi do „niczego, jeżeli rząd nie przyzna sobie prawa mianowania innych „na to miejsce. Ale tacy księża, (czy rząd pruski o tem pomyślał?) dla wiernych księżami nie będą. Msza przez nich odprawiana będzie świętokradztwem: rozgrzeszenie przez nich dane grzechem. Narzucać katolikom takich księży, których ich sumienie odrzuca jako odstępców, to znaczy nawodzić ich do „złego, do grzechu: rzecz najgorsza, błąd najgrubszy, jaki państwo popełnić może. Czy rząd pruski zapomniał o konstytucyjnym duchowieństwie francuzkiem, o tych urzędowych kościołach, które wiecznie pustką stały, a o tych księżach opornych „do których wierni skradali się nocą, w tajemnicy z niebezpieczeństwem, ale licznie, żeby się przed nimi spowiadać, od nich „przyjąć komunią? Któż może nie wiedzieć i nie rozumieć, że „na mszy rządowego księdza nie będzie nigdy nikogo? Wierni „będą od niej stronić jak od zgorszenia i grzechu, bezwyznaniowi ani protestanci na nie nią nie pójdą. Pojąć trudno jakim „sposobem politycy tak zręczni i przenikliwi jak pruscy mogli „popełnić błąd tak gruby.“ I dodaje jeszcze, że „nigdy Ludwik XIV w najsurowszych swych rozporządzeniach przeciw „protestantom nie posunął się tak daleko. Był twardym, nawet

„okrutnym, ale nie chciał rządzić protestanckimi konsystorzami, „ograniczać ich w wyborze ministrów, lub gwałtem narzucać takich, którzy przeszli na katolicyzm. Oczywiście jest rzeczą, że „w sprawach religijnych, a zwłaszcza katolickich, Prusacy nie „mają ani takiej bystrzoty, ani takich dokładnych wiadomości, „jak w sprawach dyplomatycznych lub wojskowych. Jest to „odrębny porządek rzeczy, który im jest zupełnie obcy, o którym nie mają dokładnego wyobrażenia.“

Bodaj czy te ostatnie słowa nie trafiają w sam środek rzeczy. Gdyby rząd pruski, w chwili kiedy się zabierał do walki z Kościołem był sobie jasno zdawał sprawę z rozmiarów i z doniosłości oporu, jaki przeciw sobie musiał wywołać, kto wie, czy przy swojej rozwadze i przezorności nie byłby się zatrzymał w zapędzie. Są wskazówki, które wnoszą pozwalają, że rząd radby, nie wahając się, ani cofając, podniesioną walkę uśmierzyć. Dowodzi tego ogromna różnica w jego postępowaniu z duchowieństwem polskim a niemieckiem. Prawa majowe i dodane do nich nowelle są dla wszystkich, ale tu inaczej, tam inaczej stosowane: nieubłagane w Wielkopolsce, łagodniej w Niemczech. Powaga państwa, jego prawa, jego zwierzchność, jego władza, wymagały koniecznie żeby trybunał dla spraw kościelnych złożył arcybiskupa gnieźnieńskiego ze stolicy, żeby kapituły wezwać do wyboru Wikaryuszów, żeby w razie oporu kogoś nowego narzucić. Arcybiskup koloński jest także w więzieniu, i za to samo co tamten, a przecież dotąd trybunał jego nie składa, kapituła nie odbiera rozkazu, żeby wybierała zastępcę. Czegoż to dowodzi? Oto że w krajach niemieckich rząd uląkł się jednak tego co zrobił, że nie chce posuwać rzeczy do ostatecznego kresu, że myśli spuścić cokolwiek z bezwzględnej sprężystości, w nadziei, że katolików uspokoi z czasem, uspi, przejedna. Ale, tu, gdzie oprócz sprawy Kościoła z państwem jest także i sprawa narodu przeciw narodowi, i pruska nieśmiertelna nienawiść, tu prześladowanie wyteżone jest jak może być najbardziej, bo prześladowuje się nie księdza tylko i nie tylko katolika, ale i Polaka, bo rozprzega się i rozkłada nie tylko Kościół, ale i narodowość.

To więc powód, dla którego nasz prymas i nasze duchowieństwo pierwsi i najsrożej są ścigani. Ale w wyrachowaniu swoim rząd pruski się pomylił, i musi, choćby już i nie chciał,

prześladować zarówno wszystkich katolików w swoim państwie. Cofnąć się, odwołać prawa majowe, ustąpić? Tego on zrobić nie może: zrobi kiedyś, zwyciężony, złamany, upokorzony, bo i na niego da Bóg przyjdzie kiedyś dzień Canossy a przynajmniej Fontainebleau. Ale teraz nie; teraz już jego powaga, jego władza istotnie jest stawiona na kartę, i dla niej rząd musi prawa swoje utrzymać i wykonywać. A czy je ostrzej czy łagodniej wykonywać zechce, dopóki ich nie cofnie, z oporem biskupów, z ich niezłomnem *non possumus* spotka się koniecznie na każdym kroku. Zawsze odpowiedzą mu to, co już powiedzieli, że gdyby nawet „Kościół miał zginąć w ich kraju, to lepiej żeby „zginął od obcej przemocy, niż gdyby miał zgnieć odstępstwem „i podłością sług swoich.“ Zmartwychwstaje się z pod gromu — nie zmartwychwstaje z pod sromu.

Wdał się więc rząd pruski w walkę bez wyjścia, racze z jednym wyjściem, którem jest jego, prędzej czy później, prze-grana. Bo i ta nadzieja, na której on dziś rachuby swoje opiera, i ta go zawiedzie. „Pius IX jest stary, tak rozumuje duch pruski, i długo już pożyć nie może: po jego śmierci ogłosimy zaraz że wybór następcy jest nieważny, bo dokonany był wbrew dotychczasowej praktyce, na podstawie zleceń zmarłego (czy tak będzie lub nie, wszystko jedno, ale tak się powie). Cesarz niemiecki więc nie uzna papieża wybranego przez kolegium kardynałów, król włoski zrobi zapewne to samo; a żeby już było na świecie gdyby ani prośbą ani groźbą, ani próżnością, ani słabością ani ambycją ani pieniędzmi nie dało się choć kilku, choć najmniej kardynałów odciągnąć i do innego wyboru nakłonić: historia Kościoła uczy, że bywały wybory przeciwne i bywali anti-papież: czemuż co udawało się dawniej, nam dziś udaćby się nie miało? Kandydata na anti-papę, który z góry przysięże, że nas słuchać będzie, przecież znajdziem i biskupów, którzy mu się poddadzą, a lud katolicki częścią gwałtem zmuszony ulegnie, częścią się przyzwyczai, i rzecz będzie skończona.“

Rachuba piękna, lecz mylna niestety, bo oparta znowu na gruntownej nieznajomości tego porządku rzeczy, o który właśnie chodzi. Że się znaleźć mogą niewierni kardynałowie i biskupi, że się znajdzie anti-papież, to być może. Ale cóż ztąd? Przypuśćmy, że schizmę rząd pruski potrafi wywołać, ale tego nie sprawi, żeby sumienie katolickie między temi dwoma wyborami

i temi dwoma papieżami pomylić się mogło, żeby mogło uwierzyć, iż sukcesya apostolska 'schoǳąc z jednego następcy Śgo Piotra na drugiego, przechodzić powinna przez ręce króla pruskiego. I wtedy więc walka się nie skończy, wzmoże się tylko, i wtedy nie otworzy się wyjście, i Prusy poznają po czasie, że wydając wojnę Kościołowi zapchały się same dobrowolnie w wąwóz ze wszechstron zamknięty, z którego nikt jeszcze zwycięzko nie wyszedł.

A więc tryumfujemy? Intonujemy *Hosanna i Te Deum*, bo choć długo to potrwa, i wielu z nas zwycięztwa nie doczeka, to ich zguba na końcu pewna i niechybna? O nie tak śmiało! Ich zguba, to prawda, choć może daleka, ale konieczna, bo *„bramy piekielne nie przemogą go“* i *„Ja będę z wami aż do skończenia świata.“* Ale tryumf Boga i Kościoła choć naszym tryumfem być może, to nim być nie musi, a czy naszym będzie, to zależy od naszego zachowania się w walce.

Jest się już dziś czem cieszyć, jest z czego zaczerpnąć odwagi i nadziei, to pewna, bo znaki zmiłowania boskiego i rządów Opatrzności są nad naszym europejskim światem widoczne bardzo. Zdawało się że ten, „Boga nieprzyjaciół stary“ wszystko już pokonał, wszystko zdeptał, że nikt mu się nie oprze, i odtąd on sam w księdze dziejów ryć będzie krwią i żelazem, „że ród człowieczy ma być w więzy kuty.“ Polskę rozebrał, austriacką potęgę nadszarpał zrazu, potem ją cicho toczył pokryjomu aż stoczył, obalił, i za bramy Niemiec wyrzucił, Rzeszę pochłonał, wreszcie ten miecz, którym się działy gesta Dei w Europie z omdlałej ręki Francuza wytrącił; i jak Attyła, któremuby się zachciało być Cezarem Augustem, żadnym Chalonenem nie wstrzymany, włożył sobie cesarską koronę na głowę. Taki przed nim strach, że nikt się ruszyć, nikt w Europie z drugim naradzić się nie śmie. Z ogłupiałym uśmiechem podziwu patrzy na jego postępy Anglik, ze swej wyspy, ciesząc się że do niego pożar przez morze nie dojdzie: „I car patrzy błady „z po za lodów“; a ten przeczuwa przynajmniej, biorą go jakieś

dreszcze niepokoju; wszyscy inni, na ziemi, powaleni. I w tej chwili, kiedy żadnej już na niego siły ni rady nie było, on sam dobrowolnie, wypowiedział wojnę tej sile, która jedna jeszcze była, która będzie zawsze, a której nikt jeszcze nie zwyciężył. Czy to nie wyraźne zrządzenie boskie? czy w tem dobrowolnem, nie potrzebnem, niepojętem wyzwaniu Kościoła przez państwo pruskie, nie znać tego zaślepienia i obłądu, które Bóg zsyła na przemożnych i hardych, *cet esprit d'imprudence et d'erreur* który w tym razie tak słodko jest powitać jako *de la chute du Roi funeste avant coureur*. I czy nie wyraźna także, bardzo wyraźna, palcem bożem dla nas wszystkich pisana wskazówka, jaką siłą i bronią walczyć z nim, in quo signo zwyciężyć go można?

Jest się więc czem cieszyć: i nietylko z katolickiego, nie tylko z ogólnego europejskiego stanowiska, ale i z naszego polskiego także. Byliśmy na ziemi jak jeszcze nigdy, na samem dnie przepaści. Przegrana Francyi, nie dlatego żebyśmy na nią liczyć mieli, ale dlatego, że Prusy po niej zostały jedyną w Europie i wszechmocną potęgą, była dla nas strasznym ciosem. Przywaleni całym ciężarem ich nienawiści posługującej się ich siłą, przez wszystkich odstąpieni i zapomnieni, byliśmy skazani na śmierć cichą przez uduszenie. Naraz, oni wydali wojnę Kościołowi, a pierwszym placem boju był nasz kraj, pierwszą ofiarą nasz Prymas. U nas Kościół cały ujrzał się prześladowanym, i cały u nas bronić się musi. Przez tego Biskupa, którego za nieswojego uważała, którego jak służalca i Prusaka lżyła, przez jego stałość i prześladowanie, Polska zwróciła na siebie oczy i znalazła przymierze katolickiego świata, który się w niej zagrożonym zobaczył. I ta jedyna siła, jaka jeszcze w świecie została, musi uznać wspólność interesu swego z naszym, wspólność nieprzyjaciół, musi siebie broniąc bronić i nas, musi nam być wierną — jeżeli my jej wierni będziemy. O jakże wobec tego mizerne i głupie, jak nie polskie wydają się te liberalne niby polityki, te półśrodkowe restrykcyje, te półgębkiem wyjąkane obrony Prymasa i Kościoła, w których pół tylko jest obrony, a pół oskarżenia, tem samem pół tylko oskarżenia a pół usprawiedliwienia Bismarka! Jak smutne wydają się te dzienniki, liberalne niby i wolności chciwe, które na prześladowanie śmiało i głośno krzyknąć się boją, bo to tylko prześladowanie katolików,

które do prześladowanych się przyznać, przy nich otwarcie stanąć nie mają odwagi, bo to księża i Biskupi ultromontanie, obskuraneci, niepostępowi; Albo jak smutno (i jak lichy!) wyglądają te niby polityczne konsyderacye, których dowoli naczytać się można w niektórych pismach poznańskich. „Nie należy nam wdawać się w tę sprawę i za Kościołem obstawać, bo Kościół prędzej czy później pogodzi się z państwem, a nasz narodowy interes poświęci.“ Nie mówiąc już o tem, że fakta zaprzeczają tej na pozór patryotycznej ostrożności, bo z powodu języka polskiego właśnie ksiądz Prymas wszedł w pierwszą kolizyą z rządem, to jak krótki trzeba mieć wzrok w rzeczach politycznych (krótki, jeżeli nie umyślnie krzywy), żeby nie widzieć tego, iż zgoda między Kościołem a państwem zrobić się może chyba wtedy, jak państwo będzie bardzo osłabione i upokorzone, bo przedtem ona nie ustąpi, a Kościół też ustąpić nie może. Kto więc tak płytko rzeczy oblicza, ten pozbawia się sprzymierzeńca i jego obrony na czas walki, na to żeby po walce znaleźć się w bardzo oziębłych stosunkach z mocniejszym, a na słabszym przecież nic nie wskórać.

Gdyby więcej było nam zostało polskiego ducha, zmysłu i tradycyi, widzielibyśmy gdzie nasze dobro, widzielibyśmy gdzie wolność, a gdzie ucisk, i wszyscy, katolicy czy protestanci, byle uczciwi, byle Polacy, stalibyśmy jak jeden przy Kościele przeciw Prusakom. Gdyby trochę w nas zmysłu politycznego, uczulibyśmy że nasze miejsce i nasz zysk tam gdzie nasz jedyny możliwy sprzymierzeniec, interes katolicki w całej Europie. Ale my jesteśmy jedni wychowani w biurokratycznych zasadach Józefinizmu, drudzy w demokratycznych teoriach roku 1846, jeszcze inni w dzisiejszym bezwyznaniowym wiedeńskim lub berlińskim liberalizmie, a przez te wszystkie wpływy takeśmy już stracili tradycyą i zmienili naturę polską, że instynkt patryotyczny już nam dość wyraźnie nie wskazuje, gdzie jest interes polski, a sam instynkt zachowawczy nie ostrzega gdzie życie a gdzie zguba.

I otóż dla czego zawczasu się cieszyć, dla czego z ufnością winszować sobie nie mamy odwagi. Nie jesteśmy pewni naszego własnego zachowania się w tej walce, z której Kościół zwyciężąc w Prusach zwyciężonych wyjść musi, a my zwycięzcami wyjdziemy wtedy tylko, jeżeli będziemy odważni, wytrwali i wierni. A nie o to strach czy ten lub ów, prześladowany wystraszony, korzy-

ścią ujęty, sprawy wiary i Kościoła nie odstąpi; odstępstwa takie smutne są ale niemal konieczne, i trudno sobie podchlebiać, żeby się bez nich zupełnie obejść mogło; one też, o ile wyjątkami zostaną, na koniec sprawy nie wpłyną. Ale obawą przejmując nas właśnie ogół, stan opinii i przekonań, tak u nas w Galicyi jak i w Wielkopolsce, o ile z pisanych i drukowanych symptomatów poznać go można: ta trwożliwa ostrożność, żeby prześladowanych broniąc nie narażać się postępowym i liberalnym, żeby się nie wydać wstecznym i ultramontańskim, ta bojaźń żeby się z katolicyzmem zbyt nie wiązać, nie solidaryzować; te błędne zdania jakoby Kościół żądaniom pruskim akomodoować się mógł i był powinien, a obstawał przy swoim przez opór i fanatyzm tylko: to są znaki niewiadomości i obojętności, które nam nie pozwalają ufać na pewne, że w tej sprawie zachowamy się tak, jak tego wymaga po nas wierność Bogu i wierność ojczyźnie, dobro Kościoła i przyszłość Polski. I nie o tych tylko jednych jesteśmy niepokojeni, którzy pierwsi i lada dzień będą wystawieni na próbę, nie o Wielkopolan samych, ale i o tych na których próba podobna choć później i choć lżejsza zapewne, przyjść może, o Galicyą. Chodzi nam zaś przedewszystkiem nie o duchowieństwo poznańskie, i nie o lud wiejski, ale o nas niby oświeconych i wykształconych co się sami radzi inteligencyą kraju nazywamy, czy w tem położeniu dość inteligencji mieć będziemy. Od tego wiele, niemal wszystko zawisło. Że duchowieństwo poznańskie całe, z nader małemi wyjątkami może, próbę swoją wytrzymać świetnie, na to liczyć można z pewnością; ale ta próba właśnie skończy się dla niego więzieniem lub wygnaniem, i bez przesady, trzeźwo, nie strasząc się próżno a umyślnie, przewidzieć można że parafie zostaną wcale bez księży lub co gorzej, z księżmi przez rząd pruski nasłanymi. I tu dopiero przychodzi rola „Inteligencji kraju,“ a przedewszystkiem szlachty polskiej po wsiach; wtedy skutek jaki walka religijna wyrzuci na nasze losy, złożony będzie w jej ręce. Lud wielkopolski jest bardzo katolickim, i nie ze zwyczaju tylko, ale już z przekonania, on rządowych księży nie przyjmie, będzie wołał obchodzić się bez żadnych, do czasu przynajmniej. Ale pozbawiony swoich proboszczów, którym wierzy, nie będzie miał u kogo rady i pomocy szukać, tylko oczywiście pójdzie po nią do dworu. Od tego zaś, co tu zobaczy i usłyszy, zależeć będzie religijna i patriotyczna

siłą i jedność prowincyi. Jeżeli lud pozna, że dwór tak jak on czuje, myśli, i wierzy, jeżeli zwłaszcza ujrzy, że w wrzasku czynnego prześladowania nie już duchownych, ale wszystkich katolików, (do czego tam prawdopodobnie przyjsć będzie musiało) pan na prześladowaniu tyle cierpi co i chłop, i ani siebie oszczędza ani jest oszczędzanym, wtedy bardziej niż dotąd uzna w nim kość z swoich kości i ducha ze swego ducha, wtedy z ufnością, z przywiązaniem, przystanie do niego jako do starszego, do wyższego, i będzie go słuchał bo będzie mu wierzył, i będzie go kochał za to, czego dotąd jeszcze w Polsce nie było, lub było za mało, za wspólne cierpienie, za jednaki ucisk szlachcica i chłopą. Tego związku szlachta pod rządem rosyjskim zawrzeć i cierpieniem swoim przypieczętować nie może; tam prześladowują i zabijają chłopą unitę, a szlachcica, innego obrządku, zostaje na boku.

W Wielkopolsce szlachta ma większe pole i większą misję do spełnienia. Nie długo może czekać, a powtórzą się tam sceny chełmskie, wypędzanie ludu bagnetami z kościołów na zamknięcie skazanych, lub bagnetami pędzenie go do kościołów oddanych nieprawym kapłanom. Jeżeli do tego przyjdzie, i jeżeli wtedy lud wiejski w spokojnym, chrześcijańskim oporze swoim nie będzie opuszczony, jeżeli w gromadzie takiej wojskiem otoczonej będą nie sami chłopci tylko, ale i szlachta, wtedy wróżyć można nie tylko większą dzielność i łatwiejsze zwycięstwo na polu religijnem, ale i wyrobienie, zahartowanie, podwojenie sił narodowych i związanie ich na zawsze religijnym węzłem. Takiego węzła między klasami nie było dotąd i dlatego byliśmy tak słabi.

I przeciwnie, gdyby broń Boże miało się stać inaczej, wtedy Wielkopolska sama w sobie rozłożona, poszłaby łatwo, i wtedy już bez ratunku, na łup pruskiego żarłocstwa.

Lud wiejski, u którego uczucie religijne jest bądź co bądź żywsze niż uczucie patryotyczne, gdyby w sprawie Kościoła ujrzał się odstąpionym, opuszczonym przez szlachcica, w którym uznaje bardziej niż w sobie samym reprezentanta polskości, gdyby go widział o Kościół obojętnym, i dlatego wolnym od prześladowania, lub broń Boże rządowi powolnym, wniósłby z tego, że panowie mają swój interes, który nie jest tem samem, co inte-

res katolicki, że mu jest przeciwny, i zniechęciłby się nie do swojej wiary, ale do narodowości i jej sprawy.

A drugi późniejszy skutek taki: lud prosty, jakkolwiek wierny i gorliwy, zostawiony sam sobie, długo w oporze swoim nie wytrwa. On braku nabożeństw, sakramentów, odpustów, długo znieść nie zdoła: tak będzie tęsknił, tak będzie pragnął, że jeżeli go ktoś nie wesprze, nie pokrzepi, on wreszcie znużony, zmartwiony, pójdzie na mszę przez fałszywego księdza odprawianą, zanieś mu dziecko do chrztu, zwłoki ojca do pochowania, bo bez mszy, bez chrztu, bez kościelnego pogrzebu obejść się nie potrafi, będzie zbyt nieszczęśliwy! A wtedy Prusy wygrają znowu, wtedy założą jakiś kościół z katolickimi formami, ale swój, rządowy; a co przy takim kościele stanie się z polskością poznańskiego chłopca, co nadewszystko z jego duszą? Jego patriotyczna przyszłość tak dobrze jak jego religijna wytrwałość i wierność, zawisły dziś od wierności, wytrwałości i gorliwości religijnej Wielkopolskiej szlachty.

A na tę, czy ze wszystkiem liczyć można? o Boże daj żeby tak było! Po raz to pierwszy od lat i wieków dajesz tę sposobność, ten „jeden tylko, jeden cud“, że „z szlachtą polską polski lud“ znaleźć się może na jednym polu walki i to najwyższem, znaleźć się może zupełnie, całym sercem, całą siłą, a jak się raz tak spotkają, tak obok siebie ujrzą, to się już i nie rozłączą — bo w Tobie, Panie, będą złączeni! Po raz pierwszy także, kiedy już ziemskich środków i nadziei zabrakło, zstąpiłeś do walki Ty sam, który zwyciężonym być nie możesz! O daj nam tej sposobności zwycięstwa z rąk nie puścić, daj nam uchwycić się Twojej tarczy i Twojej chorągwi z mocą, ze stałością, z wiarą; daj nam wszystkim razem stanąć przy Tobie i cierpieć za Ciebie; daj nam o Panie, „świętymi czynami wśród sądu Twego, samych zbawić siebie.“

Lat temu blisko tysiąc, narodziła się Polska na tej samej małej piędzi ziemi, która dziś już prawie zalana, ledwo wyziera jeszcze z pod potopu. I wtedy waliły na nią z dwóch stron fale te same, a odparła je i życie sobie na wieki zabezpieczyła niczem tylko krzyżem. Szcherbiec Chrobrego zaszedł daleko na wschód i zachód, ale przedtem musiała spłynąć woda chrztu z głowy Mieczysława, a z ran świętego Wojciecha krew męczeńska na tę samą ziemię pruską. O gdyby teraz, w tej chwili

ostatnich, śmiertelnych zda się zapasów miało się powtórzyć coś podobnego? gdyby ta sama ziemia, która niegdyś była gniazdem orła miała stać się i stosem tego Fenixa, którego przepowiadał ksiądz Marek? Kto wie? jej wróg i ciemieżca wyzwiał dziś Boga do walki, a ona choć na ziemi najmniejsza i najsłabsza, ducha prawie oddaje w szponach największego i najmocniejszego, ona walczy przecież po tej stronie, po której walczy i Ten, co zwyciężyć może późno, ale nie zwyciężyć nie może. Niechże tylko ona pamięta, że żyje się tem, z czego się powstało; że jak przed wiekami chrzest Mieczysława dał Polsce możność życia, dziś możność odzicia przyjsć jej może z tego bierzmowania, do którego powołani jesteśmy, byleśmy je tylko przyjęli. Duch św. Wojciecha znalazł się w jego następcy i w całym Wielkopolskiem duchowieństwie; oby w nas świeckich znalazł się duch Mieczysława, a wtedy, da Bóg, sprawdzą się ostatnie przed więzieniem słowa prymasa Ledóchowskiego, zostawione nam jak żeby z natchnienia na pociechę, naukę i wzmocnienie ducha: *elegit Deus infirma ut confundat fortia.*

St. Tarnowski.

Korespondencya z Poznania.

Poznań, 28 lipca 1874 r.

W sprawach kościelnych z każdym dniem rozwijają się następstwa praw majowych i systematycznego prześladowania, jakie książę Bismark wziął sobie za zadanie reszty życia swego. Procesy następują po procesach. Okładają duchownych grzywnami, skazują na więzienia i więżą, wszystkich dokuczliwości administracyjnych obficie nadużywają. W tej chwili wywieziono delegata apostolskiego w Gnieźnie, księdza Korytkowskiego, a delegata apostolskiego w Poznaniu, ks. biskupa Janiszewskiego uwięziono, na skutek kar wyrzeczonych przeciw niemu na drodze sądowej i administracyjnej. — W więzieniu, oprócz Najprzewielebniejszego księdza Arcypasterza, siedzi już od kilkunastu tygodni zastępca oficjała gnieźnieńskiego, ks. kanonik Wojciechowski i około dwunastu wikaryuszów. Nie cytuję ich nazwisk, bo osobistości więźniów zmieniają się ciągle. Dzienniki niemieckie nie przestają denuncyować i szkalować, groźbami bez miary szafując. Wszystko to przecież na duchowieństwo nie wpływa. Trzyma się ono wiernie drogi, jaką mu ks. Arcybiskup słowem i przykładem wskazał i na jakiej usunięci dziś gwałtownie zastępcy ks. Prymasa je utrzymywali.

W *Przeglądzie* waszym oceniliście, jak należy znaczenie przemowy ks. biskupa Janiszewskiego do deputowanych prowincjonalnych; teraz inny fakt powinien zwrócić na siebie całą uwagę waszą. Deklaracye duchowieństwa przystępującego jawnie i uroczyście do oświadczeń obu kapituł, które jak wiadomo, odmówiły Rządowi mianowania Administratorów, są wspaniałym objawem i gorącością życia kościelnego i odwagi wobec istotnych

i blizkich niebezpieczeństw. Księża dekanatami przysyłają akcesa swoje. Do tej chwili, na 40 dekanatów w obu archidiecezyach, 36 akcesa nadeszło i ogłosiło; można się spodziewać, że i tych niewiele, które się dotąd trochę ociagały, pójdzie za innemi. Oczywiście, że te rzeczy zależą od dziekanów i że tam, gdzie dziekani mają prawdziwie ducha Bożego, rzeczy podobne najłatwiej do skutku przychodzą; gdzie zaś ze względami ludzkimi rozspierać się potrzeba, tam idzie wolniej. Wszyscy też u nas ze szczególnem uznaniem powtarzają nazwiska księży dziekanów Michalaka, Danielskiego, Koszutskiego, Krempcia. Röhra, Frieskego i Rześniewskiego: co nie znaczy żeby i innych nie wynoszono, jak na to zasługują. W ogóle, w duchowieństwie panuje duch prawdziwie kapłański. Nikt się nie łudzi, nikt małodusznie o ustępstwach nie myśli, nikt się zwrotu w polityce nie spodziewa; ze spokojem, pogodą i determinacją oczekują wszyscy dopuszczeń Bożych, które nad nami zawisły.

Lud jest, jak oczywiście, usposobiony jak najlepiej; bałamuca go tylko i ze strony rządowej i ze strony liberalnej. Ze strony rządowej tłómaczą mu, że tu nie chodzi o wiarę ani o Kościół, tylko o zatarg z duchowieństwem nieposłusznem Monarsze i niechęcąc się wyrzec opłat od chrztów, pogrzebów itp. Niedawno, w bliskości Pleszewa, żandarm pouczał gromadę ludzi wiejskich o stosunkach obecnych. Kiedy mówił, że nietrzeba słuchać księży i szlachty, włościanie kiwali głowami niedowierzająco. Dopiero, kiedy wziął się na sposób i jał im wykladać, że „jużciż Arcybiskup musiał zawinić, kiedy go Król do więzienia zamknął,“ że Król sprzyja wierze katolickiej, a księża dlatego tylko opierają się Rządowi, że Rząd opiekuńczy względem ludu, chce ich pozbawić *jura stolae*, zaczęli się namyslać i niegodziwy posiew byłby się przyjął, gdyby się nie był znalazł zaorny ksiądz, który potrafił zachwianym położenie rzeczy z prawdziwej strony wystawić.

Niemna dziś w całym podobno świecie zupełnie jasnych horyzontów; więc i na naszym widnokregu pojawiły się czarne punkta, które nas boleścią i zgrozą przejmują. Że rząd nieprzyjaźny chce znieść niższe klasy, to nie dziwnego; gorzej, że mu swej rękę podają. Dziennikarstwo nasze dzieli się, jak wiadomo, na dwa obozy o wybitnych różnicach: z jednej strony *Kurier*, *Orędownik*, *Przyjaciół ludu* i *Pielgrzym* pelpliński wywiesiły chorągiew katolicką i statecznie trzymają się pojęć kościelnych; z drugiej *Dziennik* i *Wiarus* wierne tradycyi liberalizmu kosmopolitycznego (a może idąc po cichu za wskazówką europejskiej massoneryi) wybrały właśnie chwilę obecną, aby rozbrat uwydatnić i postawić jakiś dziwny systemat dotkrynerski i połowiczny niby, a jednak w gruncie pełen niechęci i nieprzyjaźni wszystkiemu, co żywotne i silne w katolickim Kościele. W środku stoi *Gazeta Toruńska*, która przez dziwną niekonsekwencją, choć w sprawach europejskich zajmuje stanowisko radykalne i choć posługuje się

liberalnemi maksymami i ma wszystkie liberalne narowy, trzyma jednak u nas z Kościołem i w każdej ważniejszej chwili serdeczne dla pokrzywdzonych lub uciśnionych katolików pokazuje uczucie. — Stanowisko liberałów poznańskich, którym dawno wykazywano, że opuścili drogi katolickie i zapomnieli katechizm (na co się zawsze oburzali), dziś naraz odślonione zostało. *Dziennik* po zruceniu z urzędu ks. Arcybiskupa zastrzegł się, że on i jego przyjaciele (*Dziennik* używa, jak to zwyczajem u liberałów innego sposobu mówienia: on zawsze naród i siebie identyfikuje i przemawia w imieniu narodu) do żadnych experimentów pociągnąć się nie dadzą; za co mu przyklasnęła cała prasa — rządowa i żydowska. Później gniewał się, że urzędnicy duchowni obu konsystorzów usunęli się po zamianowaniu komisarzy rządowych, domagając się od nich, aby przez wzgląd na dobro narodu, do którego majątek kościelny należy, dalej służbę swoje pełnili. Ciągłe, wedle wyrażenia *Posener Zeitung* puszcza on prąd zimnej wody na wszystkie gorętsze objawy życia katolickiego. Silił się, żeby zmniejszyć znaczenie odwiedzin deputowanych prowincjonalnych u ks. biskupa Janiszewskiego, które *Przeгляд* tak zacnie zrozumiał i tak wysoko postawił; nie umieszcza zazwyczaj dokumentów odnoszących się do walki państwa z Kościołem u nas; teraz właśnie nie drukuje oświadczeń duchowieństwa obu archidiecezji, które co najmniej choćby dlatego są ważne, że są objawem jednej z najświatlejszych części ludności krajowej ¹⁾. O uwięzionym księdzu Prymasie wspomina z uszanowaniem ale bardzo chłodno: już o nim źle nie mówi, boby to było zbyt nieprzyzwoicie, ale radby, aby jak najmniej mówiono. Co więcej, ze stanowiska mniemanych narodowych pożytków, chce aby się w towarzystwie polskiem jak najweselej bawiono i nasuwa ciągle sposobność do rozrywek; on, co niegdyś tak żarliwym był apostołem żałoby narodowej, głośno się dziś cieszy i przyklaskuje, kiedy na jakiejś majówce przemysłowców, kupców i rozmaitych naszych stowarzyszeń ochoczo tańczowano.

Systemat naszych liberałów w tej całej sprawie wypowiedział dosyć śmiało istniejący od półtora roku a założony w celu obalenia Orędownika, *Wiarus* ²⁾). Pismo to wychodzące trzy

¹⁾ Kiedy sobie wspomnimy, jakie gniewy w jednym z waszych radykalnych dzienniczków wywołała świeżo ta okoliczność, że *Czas* te deklaracje stale powtarza, to niepodobna wstrzymać się od przypuszczenia, że deklaracje te nie są na rękę Massoneryi europejskiej i że o nich wspominać nie pozwala. *Przyp. koresp.*

²⁾ *Wiarus* zmienił już redakcyą. Był on pierwaj wydawany przez bezwzględnych radykałów, których posądzano, że ręce w „*Reptilien-fond*“ maczają; obecnie wydają go ludzie

razy na tydzień i przeznaczone dla klas średnich, wystąpiło z manifestem, że „trzeba zerwać z polityką Rzymu“ i że, kiedy władza duchowna i duchowieństwo tej polityki dalej się trzyma, trzeba się na bok usunąć!... Cóż lepszego mógłby poradzić sam książę Bismark? To też *Kurier* i *Orędownik* napiętnowały słusznie takie stanowisko, jako odstępstwo w czasie bitwy, jako haniebny okrzyk *saue qui peut*, jednym słowem, jako zdradę, i oświadczyły *Wiarusowi*, że nie teraz Kaimowego znaku z jego czoła nie zmaże. *Wiarus* jednak upiera się przy swojej teorii i ciągle napomina, aby nie łączyć losów narodu z losami Kościoła, „który już w tej samej formie nigdy się nie odrodzi i który, jeśli jako Fenix z popiołów swoich odżyje, to odżyje nie polskim tylko niemieckim Fenixem.“ Wogóle liberaliści nasi słabych i nieoświeconych ludzi na jedno nędzne a trafiające do płytkich przekonań łowią rozumowanie. Mówią oni: Kościół pogodzi się z państwem, a pogodzi się kosztem narodowości; jeśli więc przyjmujemy udział w walce, Kościół nas później na łup państwa zostawi. Więc dla niegodnego przypuszczenia, któremu cała historia głośno zaprzecza, którego fałsz oczywisty wykazuje choćby świeża walka w Wielkopolsce, ci ludzie niesumienni, i sami wśród boju zbiegają z pod chorągwi, i drugim doradzają dezercją! Kto u nas potrafi oddzielić interes narodu od interesu Kościoła i coś zostanie z naszej narodowości od chwili, gdy wiary się wyrzeczem? Coby powiedziano o człowieku, który w przypuszczeniu, że dom jego spalić się może, sam ten dom burzył zawczasu i samochcąc na życie bez dachu i na ostateczną nędzę się narażał? A jednak nasi liberaliści to czynią i czynią z wszelkim rozmysłem. Kiedy widzimy jak w każdej ważniejszej chwili znaczna część społeczności naszej nie chce upornie zrozumieć obowiązków swoich i fałszywie drogi swoje wykrzywia, jak lekomyślnie zrywa z istotną tradycją i z całą logiką wzniosłej historii naszej, boleść serce ogarnia.

Ale dziś nie pora poddawać się smutkom i zwątpieniom, bo dziś chwila walki brzemiennej w następstwa dla narodu całego.

blizko z *Dziennikiem* związani i zdaje się mu służyć jakby do osławiania publiczności z teoryami, których *Dziennik* nie śmie jeszcze wyraźnie bronić. Tymczasem dawni redaktorowie *Wiarusa* założyli pismo jawnie bezwyznaniowe, *Ognisko*. Nie chcemy tych ostatnich posądzać, ale prosta logika wskazuje, że Rząd tak przebiegły jak pruski, musi obecnie pracować, aby nas rozdzielić. Cóż tedy nas rozdwaja i co najbardziej wyraźnemu interesowi rządu pruskiego odpowiada? Oczywiście, wszystko, co zniechęca do Kościoła katolickiego, albo od udziału w walce Kościoła wstrzymuje. (*Przyp. Koresp.*)

Dzięki Bogu, w tej walce mamy wodzów, którzy trzymają wysoko chorągiew prawdy, mamy doświadczonych i pełnych odwagi szermierzy, a nasz lud tak pobożny, tak wierny Kościołowi, tak głęboko rozumiejący jego związek z duchem i życiem narodem, stanowi zastęp ogromny, wobec którego liberaliści i doktrynerzy, mówiący jeszcze po polsku choć już po polsku nie czujący, są garstką tylko i garstką pozostaną.

* *

Kronika bibliograficzna *).

I. TEOLOGIA I PISMA RELIGIJNE.

Encyklopedia Kościelna ks. Michała Nowodworskiego podług teologicznej Encyklopedyi Wetzera i Weltego, z licznemi jej dopełnieniami (całość tomów 14). Tom III. Warszawa. Nakładem Przegl. Kat. 1874, str. 688. 8vo, cena 14 złp. 20 gr.

Grabowski ks. German. Pamiątka z Łagiewnik z Nowenną do Śgo Antoniego. Warszawa, druk. Czerwiński i Spółka. 1874, str. 108, 16o, cena 1 złp.

Grzesznik do Boga, czyli sposób utrzymania grzesznego człowieka w należytych uczuciach ku Bogu i Świętym. Książka do nabożeństwa dla wszystkich stanów. Pelplin, nakł. Jana Nep. Romana. 1874, str. 478, 24to cena 10 sgr.

Honorat O. Kapucyn. Nabożeństwo Wielkopostne, zawierające sześć odmiennych sposobów odbywania drogi krzyżowej, na sześć tygodni Wielkiego postu, Gorzkie Żale i różne pieśni pobożne przez wiernych w tymże czasie najczęściej używane. Warszawa, druk. Jaworskiego Jana 1874, str. 178, 16o cena 2 złp.

*) Brak miejsca zmusza nas odłożyć *Przegląd literacki*, jaki zwyczajnie podajemy, do następnego poszytu. W obecnym rozpoczynamy *Kronikę bibliograficzną* z r. 1874, którą i nadal stale umieszczać zamierzamy, a która ma na celu zawiadamiać czytelników o wszystkich dziełach lub broszurach wychodzących po polsku lub z piśmiennictwem polskiem związanych. Zbytecznem ostrzegać, że katalog ten nie jest wcale zaleceniem pism nim objętych.

Kegel T. ks. Dziennik z Pielgrzymki do Ziemi Św., spisany w Gąsowie 1873. Pelplin nakł. J. N. Romana 1874, str. 405, 24to cena 14 sgr.

Kożuchowski Antoni ks. Nauki Majowe ku czci Niepokalanej Boga Rodzicy, miane w Żytomierzu. Warszawa, nakł. Glücksberga, 1874, str. 116, 8vo cena 3 złp. 10 gr.

II. HISTORIA I UMIEJĘTNOŚCI POMOCNICZE.

Akademii umiejętności w Krakowie wydawnictwa:

1. Wydawnictwa komisji historycznej:

a) Starodawne prawa polskiego pomniki. T. III (jako dalszy ciąg tomów I. i II., wydanych w r. 1856 i 1870 przez Ant. Zygm. Helcla): *Correctura statutorum et consuetudinum regni Poloniae, anno MDXXXII decreto publico per Nicolaum Taszycki et socios confecta. Ex rarissima editione authentica opera Michaelis Bobrzyński nunc iterum edita.* Kraków, 1874, str. 288, 4to cena 5 złr.

b) *Scriptores Rerum Polonicarum* (Pisarze Dziejów Polskich) T. II. Kroniki Bernarda Wapowskiego z Radochowiec, kantora katedr. krak. Część ostatnia, czasy podługoszkowskie obejmująca, 1480—1535. Z rękopismu będącego własnością hr. Wiktora Baworowskiego wydał życiorysem Wapowskiego i wyjątkami z współczesnych historyków objaśnił Dr. J. Szujski, c. k. prof. hist. pol. na Uniw. Jag. Sekr. gen. Akademii Um. Kraków, 1874, str. 364, 8vo cena 3 złr.

2. Pamiętnik Akademii umiejętności w Krakowie. Wydział filologiczny i historyczno-filozoficzny. Tom I. zawiera: 1) Dr. Zygmunt *Samolewicz*: Studya platońskie. I. Hippias większy. — 2) Maurycy hr. *Dzieduszycki*, człon. zwyczaj. akad.: Rys dziejów kościoła katolickiego w Szwecyi. — 3) Dr. Wojciech *Kętrzyński*, koresp. akademii: O narodowości polskiej w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich. Studium historyczno-etnograficzne. 3) Dr. Zygmunt *Węclewski*, człon. zwyczaj. akademii: O poëzyach Andrzeja Krzyckiego. Kraków, 1874, str. 250, 4to cena 6 złr.

3. Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego akad. um. T. I. Kraków 1874, str. 314, LXXXVHI, 8vo cena 3 złr.

4. Rocznik zarządu akademii umiejętności w Krakowie. Rok 1873. Kraków 1874, str. 192, 8vo cena 1 złr. 50.

Boniecki Michał. Szkice historyczne. Książęta szląscy z domu Piastów, przyczynek do historyi rodzin panujących w Polsce zebrane i ułożone przeważnie z niemieckich źródeł.

Część III. od 1610—1675. Warszawa, druk. Berger J. 1874, str. 108, 8vo cena 6 złp.

Brafmann. Żydzi i Kabały. Dzieło wydane w języku rosyjskim w Wilnie w r. 1870 przez żyda przechrzczonego na język polski, przełożone i przerobione przez K. W. Lwów, nakł. Dobrzański i Groman, 1874, str. 156, 8vo cena 1 złr. 50 c.

Genty Ach. Mitologie i Religie. Tłom. Józef *Siellawa*. Lwów, nakł. A. J. Rogosz 1874, str. 210, 12o cena 80 c.

Guthe H. Geografia powszechna z 43 drzeworytami w tekście. Przekład z drugiego wydania 1872 r., porównany z trzeciem z 1874 r., pomnożony oryginalną pracą odnoszącą się do Słowiańszczyzny. Warszawa, nakł. Orgelbrand. 1874, str. 112, 8vo cena 24 złp.

Hirschberg Dr. Alex. O życiu i pismach Justa Ludwika Decyusza 1485—1545. Lwów, nakł. aut. 1874, str. 132, 8vo cena

Kantecki Klemens. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły. Opowiadanie historyczne. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt 1874, str. 99, 8vo cena 1 złr. 20 c.

Kraszewski J. I. Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799. Studya do historyi ducha i obyczaju. T. II. od r. 1788—1791. Poznań, nakł. Żupański, 1874, str. 447, 8vo cena 3 tal. 10 sgr.

Kruczkiewicz Dr. Bronisław. Rozprawa o cenzurze Apisza Klaudyusza Ślepego (312—308 przed Chr.), oparta na materiale czerpanym ze źródeł rzymskich i greckich. Odbicie z pisma: „Sprawozdanie Dyrektora c. k. Gimnazyum Św. Anny w Krakowie. Kraków, nakł. aut. 1874, str. 71, 8vo cena 50 c.

III. PRAWO I PISMA POLITYCZNE.

Biblioteka umiejętności prawnych. Warszawa, nakładem Red. 1873—1874. *Serya I.*

- a) Przepisy o hipotekach czyli Wykład prawa hipotecznego obowiązującego w Królestwie Polskiem przez Ksaw. *Józefowicza* dla byłych kursów prawnych przygotowany i przez St. Zawadzkiego przejrzany i poprawiony 1873, str. 261, 8vo cena 2 rsr.
- b) Zasady kodeksu Napoleona w związku z nauką i jurisprudence, przedstawione przez J. I. *Delsola*, Dra praw, adwokata przy sądzie apelacyjnym w Paryżu. Przekład dopełniony pod redakcją *Mściława Podlewskiego*, według drugiego wydania francuzkiego 1873, str. 497, 8vo cena 4 rs.

c) Wykład postępowania karnego niemieckiego Dra Alberta *Zachariae* przełożył *Mikulski* Leop. 1874, str. 250, 8vo cena 15 złp.

Bobrzyński Michał. O dawnem prawie polskiem, jego nauce i umiejętnemu badaniu. Odbitek z pisma „Niwa”. Warszawa, 1874, str. 87, 8vo cena 3 złp. 10. gr.

Dutkiewicz Walenty. Zbiór praw sądowych, przez Ex-kancлера Andrzeja Ordynata Zamoyskiego ułożony i w r. 1778 drukiem ogłoszony; a teraz przekowany z domieszczeniem zródeł i uwag tak prawo, znawczych jak i prawodawczych. Warszawa, druk. Orgelbranda 1874, str. 964, 8vo cena 33 złp. 10 gr.

Jeleński Jan. Nasz świat finansowy. Warszawa, druk. Opiek. domow! 1874, str. 36, 13. cena 1 złp. 20 gr.

Kasperek Dr. Franciszek. Usiłowania najnowsze około reformy prawa międzynarodowego. Kraków, druk. L. Paszkowskiego, 1874, str. 75, 7vo cena 1 zlr.

Kasznica Józef. Kilka uwag z powodu niektórych pism filozoficzno-prawnych, wydanych w ostatnich latach. Warszawa, odbicie z Gazety sądowej, 1874, str. 67, 8vo cena 2 złp.

IV. FILOZOFIA I KRYTYKA.

Libelt Karol. Filozofia i krytyka T. I. Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej. Drugie wydanie T. I. Część krytyczna. Poznań, nakładem Żupańskiego 1874. str. 248, 8vo.

Ochorowicz Julian. O zasadniczych sprzecznościach, na których się opiera cała nasza wiedza o wszechświecie. Odczyt publiczny miany w Warszawie d. 29 października 1873. Lipsk druk. Metzger i Wittig. 1874. str. 34, 8vo. Cena 2 złp.

V. PEDAGOGIA.

Benoni Dr. Karol. Rys geografii i historii powszechnej dla wyższych klas szkół średnich i do nauki prywatnej T. I. Z. 1. Lwów, Karol Wild, 1874, str. 112, cena tomu 2 zlr.

Borkowska A. z R. Powieści i opowiadania dla młodego wieku z 4 rycinami. Warszawa, druk Gaz. Lek. 1874, str. 287, 8vo, cena 6 złp. 20 gr.

Borkowska A. z R. Marya Klementyna Sobieska, opowiadanie poświęcone młodemu wiekowi. Warszawa, druk. Gaz. Lek. 1874 str. 127, 12, cena 4 złp.

Borkowska A. z R. Wakacje Janka i Zosi, opowiadania o znakomitych wynalazkach przemysłu i sztuki, cudach przy-

rody i wypadkach codziennego życia z 47 rycinami. Warszawa, druk. Gaz. Lek. 1874, str. 248. 12, cena 6 złp.

Campe J. H. Robinson Cruoe, przekład z niemieckiego. Warszawa, nakład. Glücksgerga 1874, str. 81, 4to rycin 6 kolor. cena 6 złp.

Castillon A. Po szkolnym roku. Powieść naukowa dla dzieci, przetłóm. Chęciński Jan. Warszawa nakład. Sennewalda 1874. str. 335, rycin 37, cena 8 złp.

Chmielewski J. Grzecznym dzieciom na wiązanie. Opowiadania, wierszyki i powiastki przez J. Chmielewskiego, K. Wojciechowskiego, A. Ślędzińskiego i Pannę J. S. Kraków nakład. Korneckiego. 1874, str. 80, 16. cena 25 c.

Dzieduszycka A. Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1874, str. 335, 8vo cena 9 złp.

D.....a Zofia. Pamiętnik Ewuni. Warszawa, nakł. Red. Kron. Rodz. 1874, str. 146, 12. cena 4 złp.

Hoffmannowa. Druga książeczka Helenki, powieści dla dzieci poczynających już czytać gładko. Warszawa nakł. Gebethner i Wolff, 1874, str. 122, rycin 8, 12. cena 5 złp.

Dziekoński T. Wiązanie dla moich wnuków. Pierwiastki czytania jako zachęta do nauki. nakł. Unger i Bauerski, 1874 str. 249, 16, cena 2 złp.

VI. MEDYCYNĄ, UMIEJĘTNOŚCI PRZYRODNICZE I ŚCISŁE.

Biblioteka 50 tomowa za 6 rsr. Serya II. T. I. *Marrey E. J.* Machina zwierzęca (Ruch przenośny na ziemi i w powietrzu, z drzeworytami) przekład W. Niewiadomskiego. Warszawa, nakł. Przegl. Tygod. 1874, str. 112 8vo.

Biblioteka umiejętności lekarskich. Warszawa, nakł. Gaz. Lekarskiej.

T. I. Anatomia opisowa ciała ludzkiego, przekład dzieła: „Lehrbuch der Anatomie v. Hoffmann“ Erlangen 1870, przez Dr. Kazimierza *Gurbskiego* z 392 drzeworytami w tekście. 1874, str. 811 8vo cena 50 złp.

T. II. Chirurgia Operacyjna opracowana przez Dra Jana *Kwaśniewskiego* i Dra Józefa *Wszębora* z 414 drzeworytami w tekście 1874, str. 442 8vo. cena 28 złp. 10 gr.

T. III. Patologia i terapia szczegółowo. — Choroby narządu oddechania (I. Jamy nosowej; II. Krtani i tchawicy; III. Guczołu tarczowego; IV. Grasicy). Przekład dzieła prof. *Ducheka*, „Handbuch der speciellen Pathologie und Therapie.“ Erlangen 1873 przez Dra Ludw. *Pogorzelskiego*. 1874, str. 210, 8vo cena 13 złp. 10 gr.

Brodowski Wincenty Dr. Działanie ścieśnionego powietrza na organizm w stanie zdrowia i choroby. 1 ryciną. Warszawa, nakł. Gaz. Lek. 1874, str. 44. 16.

Dobieszewski Dr. Zygmunt. Medycyna społeczna. Prace komisji przeciwcholerycznej berlińskiej r. 1873. Plan poszukiwań naukowych w celu wyśledzenia przyczyn cholery i zapobiegania takowej. Warszawa, nakł. wydawnictwa „Medycyny“ 1874, str. 27, 8vo cena 20 kop.

Engestrom hr. Wawrzyniec. Karol Lineusz. Życiorys z portretem. Warszawa, nakł. Red. Kron. Rodz. 1874, str. 85, 16, cena 1 złp. 20 gr.

Flammarion Kamil. Opowiadania o nieskończoności. — Lumen — Historia Komety. — W nieskończoności, tłumaczenie z francuzkiego Hieronima *Kuczalskiego*. Warszawa, nakł. tłómacz 1874, str. 342, 16 cena 1 rsr. 50 kop.

Hr. S. Jak pielęgnować chorych, Przewodnik lekarski dla ochronek i domowego użytku. Poznań nakł. aut. 1874, str. 82, 8vo cena 7 i pół srg.

Kamiński Antoni Odrowąż. Prawdy wstępne do nauki przyrody. Warszawa, nakł. aut. 1874, str. 166 rycin w tekście 45, 8vo cena 6 złp. 20 gr.

Kramsztyk Zygmunt. Jędrzej Śniadecki. Teorya jestestw organicznych wobec dzisiejszych pojęć o życiu (z portr. Śniadeckiego) Warszawa, nakł. Orgelbranda, 1874, str. 87, 8vo cena 4 złp.

Krasuski Michał. Rzut oka na układy planetarne, przyszłość człowieka i ziemi. Lwów druk. Dobrzański, str. 63. 8vo cena 60 cent.

VII. AGRONOMIA I UMIEJĘTNOŚCI TECHNICZNO PRZEMYSŁOWE.

Czepiński Michał. O uprawie wina w ogrodach, z 2 tabel. i fig. Warszawa nakładem Fryze i spółka, 1874, str. 83, 8vo, cena 4 złp.

Górski Lndwik. Nasze błędy w gospodarstwie folwarcznem. Warszawa, druk J. Unger, 1874, str. 93, 16mo cena 3 złp. 19 gr.

Grauwen H. D. Praktyczne zastosowanie teoryi żywienia inwentarza z uwzględnieniem miar i wag dziesiętnych. Podał August **Lubowski**. Wydanie drugie poprawione i powiększone. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolfa, 1874, str. 112, 8vo cena 4 złp.

Henrich Jan. Przewodnik dla cieśli, obejmujący cały zakres ciesielstwa, z 299 drzeworytami w tekście. Podług najlep-

szych dzieł obcych, z zastosowaniem się do potrzeb i zwyczajów krajowych. Warszawa, nakł. Gebethner i Wolff, 1874, str. 278, 8vo, cena 6 złp. 20 gr.

Jarmund Stanisław. Zasady budowy i utrzymania kolei żelaznych. T. I z atlasem, tabl. XXVI, Lwów nakł. aut. 1874, str. 214, 8vo, cena 8 złr.

VIII. DZIAŁ LITERACKI.

Bałucki Michał. Poezye, Kraków, Red. Kraju. 1874. str. 257. 1 złr. 60 cen.

Bełza Władysław. Poezye, wyd. zupeł. Lipsk. Brockhaus, 1774, str. 273, 1 talar.

Berstein A. Feigela Magid, czyli Kobieta Kaznodzieja, obrazek z życia prowincjonalnego Żydów. Warszawa. Druk Lewenthala. 1874, str. 151, 8vo, cena 4 złp. 20 gr.

Brodziński Kazimierz. Pisma Wydanie zupełne, poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopisów, staraniem J. I. Kraszewskiego. T. VII. Synonimy polskie, rozprawy, urywki. Poznań, druk. J. I. Kraszewskiego, 1874, str. 151, 8vo, cena 4 złp. 20 gr.

Bykowski Jaxy P. Skarby Prababki, powieść. Warszawa, nakł. Glücksberga, 1884. T. I. str. 164, T. II. str. 189. 8vo, cena 10 złp.

Chotkowski ks. Władysław. O Myszeidzie, Jgn. Kraskiego. Odczyt z dnia 26 stycznia 1874 roku w Tow. Przem. Poznań. Poznań. nakładem Żupańskiego, 1874 roku str. 38, 8vo, cena 7½ sgr.

Czerwieński Bolesław. Kilka uwag nad „Odą do młodości,” Adama Mickiewicza. Lwów nakł. Tow. Brac. pom. 1874, str. 23, 8vo, cena 32 c.

Eljasz Walery. Szkice z podróży w Tatry. Poznań i Kraków, nakł. Red. Tyg. Wielk. i aut. 1874, str. 182, 16mo cena 2 złr. 50 cen.

Gąsiorowski Albert. Adam Mickiewicz od wyjazdu z Petersburga i Pan Tadeusz. T. I. Wadowice, nakł. aut. 1874, str. 192, 8vo cena 1 złr. 30 cen.

T. T. J. (Jeża), Hryhor serdeczny, powieść. Poznań, nakładem Żupańskiego, 1884 roku, str. 200, 8vo, cena 1 tal. 10 sgr.

Jeż Teodor Tomasz. Ofiary, powieść. Warszawa nakł. Gebethner i Wolff, 1874, T. I. str. 240, T. II. str. 310, 16mo. cena 12 złp.

Kierkor A. H. O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich (odezwy publiczne w Muzeum technicznym przemy-

słowym w Krakowie) Kraków, nakł. L. Paszkowskiego, 1874, str. 356, 8vo, cena 2 złr. 50 c.

Kolberg Oskar. Krakowiaki i Mazurki z okolic Krakowa. Kraków, nakł. aut. (odbitcie z dzieła: „Lud“) 1874, str. 139, 8vo, cena 1 złr. 40 c.

Kraszewski J, I. Sieroce dole, powieść. Warszawa, nakł. Glücksberg, 1874, T. I., str. 286, T. II., str. 122, cena 9 złp.

Ciąg dalszy nastąpi.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 lipca.

Można powiedzieć, że w tym roku nie ma wcale martwego sezonu w politycznym świecie; — w naszym kraju mamy wprawdzie nowy objaw apatii, gdyż posłowie najbardziej powołani i uzdolnieni do czynnego politycznego życia składają mandaty, a w Berlinie i Wiedniu ucichły na czas jakiś dwie główne fabryki praw konfesyjnych, ale ktoby myślał, że dla tego w Europie już się nic nie dzieje, bardzoby się mylił. Jeżeli komu tak się zdaje, winne temu nie czasy, lecz czasopisma, bo nie Europa, ale tylko redaktorowie i korespondenci pism europejskich rozprószeni po rozmaitych wodach i kąpielach używają pokoju. Walka, która przestała toczyć się w Izbach, wre tem zacięciej na otwartem polu, czy to z krwi przelewem w nadbiskajskich górach, czy wężniej krwawy sposób na reszcie horyzontu Europy. Prawdą jest poniekąd to co głoszą całe chóry pism liberalnych, że coraz jest widoczniejszą konspiracja przeciw całemu dzisiejszemu *porządkowi społecznemu*; jest w istocie coraz większa wspólność działania zastępów uczciwych ludzi przeciw gniożącej z góry *liberalnej* przemocy, tylko że nie zmówiona, ale naturalna. I między strzałem Kullmana a tem co się dzieje w Hiszpanii jest pewien związek, tylko w całkiem innem znaczeniu, jak chce tego n. p. organ p. Bismarka *Nord. d. Allgem.*

I w Niemczech i w Hiszpanii widzimy po jednej stronie niby porządek państwowy, a w rzeczy samej tylko absolutyzm niszczący wszelkie wolniejsze i swobodniejsze życie, środkami na jakie tylko zdobyć się może ludzka, powiedźmy raczej szatańska przewrotność, — a z drugiej strony zwiększający się i coraz lepiej zorganizowany zastęp ludzi, upomina się o swoje prawa. Ta

tylko zachodzi różnica, że w Hiszpanii jest on już w polu, w obozie, w krwawej walce; w Niemczech zaś ćwiczy się dopiero w pasywnym oporze, ale i tam zdaje się mieć coraz jaśniejsze poczucie nie tylko swojej krzywdy, lecz i swojej siły. Dość przypomnieć jak niemieckie katolickie pisma przyjęły ostatni gwałt pruski, zniesienie katolickich stowarzyszeń, aby się o tem przekonać, a wykrzyk *Germanii* rzucony w twarz przeciwnikom: „Historia nie zapisze żadnych zwycięstw po wszej stronie“ jest jakby echo słów ostatniego manifestu Don Karlosa: „Nie bitew tyle zwycięstw.“

Piękny jest najświeższy manifest Don Karlosa, z prawdziwie królewską dumę i wielką wiarą w przyszłość, naznacza on Hiszpanii „przodownictwo w pracy nad odrodzeniem szlacheckiej rasy łacińskiej, jako przedniej straży chrześcijańskiej cywilizacji na obu kontynentach“, ale czyż można dziś już dzielić z nim tę pewność z jaką mówi: że ci którzy nie przyjmą znaków pojednania będą zmuszeni jutro poddać się twardym warunkom zwycięzcy?

Choć znowu prawda, że gdy się czyta manifest Dorregaraja odsłaniający w całej grozie czem jest pochód wojsk republikańskich, jakiemu towarzyszą okrucieństwa i zniszczenie, wstępuje otucha, że Bóg pozwoli koniec temu położyć.

Republikanie zachowują się jak bandyci, to też nie można brać za złe Karlistom, że ich jako bandytów traktują, a jakkolwiek bolesne są szczegóły walki w Hiszpanii, łatwiej wytłumaczyć choćby największe okrucieństwa otwartej wojny, jak nowy sposób wojowania wymyślony w Niemczech. Sposób to humanitarny, to prawda, bo tam jednym strzałem do Bismarka, i to ślepym, zdobywa się całe królestwo, i daje się hasło gnębienia najniebezpieczniejszego stronnictwa dla nowożytnego państwa. Postęp w Niemczech niesłychany, — przed dwoma laty sławny zamach Westerwella wystarczył zaledwie na to, żeby przeprowadzić jedną uchwałę w Izbie i zamknąć jeden polski zakład w Poznańskim; dzisiaj strzał Kullmana podbija do reszty Bawaryą i daje sposobność do pogwałcenia zaprzysiężonej wolności stowarzyszeń już nie tylko w Poznańskim, ale w całych Niemczech, nie wyjmując Berlina. Poznańskie już od dawna było po za prawem, ale w Niemczech dotychczasowe kroki cesarskiego Rządu miały zawsze choć pozór legalności, zawsze była jakaś choćby w ostatniej chwili ad hoc ukuta ustawa, która je legalizowała; — dziś już i tam z tą praktyką Prusy się rozminęły, i teraz już wszędzie pod ich berłem rządzi kłamstwo poparte gwałtem i gwałt poparty kłamstwem.

Otóż ci właśnie, co takie zamachy jak w Kissingen mają na zawołanie, to są najszczerzy sprzymierzeńcy hiszpańskiej Republiki, i ten jest związek między tem, co się dzieje w Niemczech i za Pyreneami. Kullmann, którego dzienniki berlińskie

zrobiły — karlistą, jest tym sposobem zapewne bezwiednym, ale faktycznym sprzymierzeńcem Serrana.

Coraz śmielej zagrzewają wszystkie liberalne dzienniki rząd pruski do porzucenia zasady nieinterwencji względem Hiszpanii; rozstrzelanie Smitha podnoszą do wysokości casus belli, słysząc nawet, że kilka fregat niemieckich wypłynęło z Kiel i Friedrichshafen ku południowi. Zdaje się jednak, że od czasu ogłoszenia Cesarstwa niemieckiego pokaże się tu po raz pierwszy, że przecież jeszcze nie same Prusy są na świecie. O losie Hiszpanii rozstrzygną Anglia i Rosya.

A Francya? Francya zawsze jeszcze szuka pana. Nie dawno odezwał się znowu Henryk V.: „Jestem gotów dzisiaj jak byłem gotów wczoraj.“ Tym razem jednak nawet rząd skonfiskował manifest Chamborda. Mesaż Mac-Mahona z 9 Lipca był jakby nań odpowiedzią. Prezydent oświadczył że swój septenat bierze całkiem na seryo, i zaklął Zgromadzenie narodowe w imię najwyższych interesów, aby bez zwłoki zajęło się kwestyami, które dłużej zawieszonemi być nie mogą. Zgromadzenie odpowiada na to 3-tygodniową niedecyzją; wstręt przed każdą zasadą i wszelką odpowiedzialnością dominuje nad wszystkim. Jednem słowem panuje tam w tym samym stopniu *bezwyznaniowość polityczna* jak gdzieindziej religijna. — Przedyskutowano z kolei wszystkie możliwe formy rządu i w końcu dzisiaj największą szansę zdaje się mieć wniosek za kilkumiesięcznem odroczeniem Izby. A cóż kraj na to? „Kraj“ — pisze *l' Univers* — „jeśli się nie rozgniewa, to z pewnością będzie się śmiał.“

Kongres bruxelski, zwołany przez Rosyą, przyszedł więc do skutku. Niektóre projekta rosyjskie co do ustalenia wojennego kodexu międzynarodowego są najlepszą miarą upadku Europy, bo między innemi n. p. taka propozycja, żeby sam fakt wkroczenia armii do cudzego kraju wystarczał, aby wszyscy urzędnicy byli obowiązani do pełnienia rozkazów najeźdźcy, a poddani do płacenia mu podatków, tak jakby swemu rządowi, by tym sposobem, jak mówi projekt rosyjski, wojnę tylko na czysto-wojskową akcją ograniczyć, to już wygląda prędzej na drwiny niż na artykuł kodexu międzynarodowego. I z czemś podobnem można już dziś w Europie wystąpić nie wystawiając się na śmiech powszechny! Prusy naturalnie idą w zgodzie z Rosyą w tej mierze; one już i tak nieraz wedle tego paragrafu niespisanego jeszcze nowożytnego prawa międzynarodowego postępowały w anektowanych krajach. Anglia tylko z wielkimi restrykcjami przystała na udział w bruxelskim kongresie, — już to od niejakiemu czasu Anglia zaczyna sobie przecie przypominać, że mniej odległą jest od europejskiego kontynentu niż od Ameryki i wschodnich Indyi, i daje coraz wyraźniej swój głos słyszeć i w czysto europejskich sprawach, tylko czy to nie jest już trochę za późno?!

Zasługuje to zewszecchiar na najżywszą[!] uwagę i uznanie, że jedynym stanowczym głosem przeciw propozycyom rosyjskim, usiłującym ułatwić i ulegalizować drogi zdobywcom i najeźdcom, były dwa memoriały austriackie ogłoszone w *Timesie* stające w istocie w obronie prawa narodów.

Doskonale licuje się z tem wielkiem humanitarnem przedsięwzięciem rosyjskiem, dalszy przebieg rosyjskiej walki z naszym Kościołem. Na głos Ojca Świętego w obronie Unitów chełmskich, postarał się Car po swojemu by odpowiedzieć w czasie bytności swojej w Warszawie. Przeszło 60 parafij wiejskich umyśliło zrobić podanie i wysłać do stolicy deputacyę. Policya rozstawiła czaty i rzadko który z Pragi mógł się przedrzeć do Warszawy; zatrzymywano, więziono odsyłano i zredukowani do 3ciej części delegowani, ledwie wynaleźli jakąś kobietę, która mogła się dostać do cesarza i oddała prośbę. Na tę prośbę Cesarz przez enerał-gubernatora Kotzebuego dał odpowiedź, „że prośby ludności o zniesieniu wydanych przez zwierzchność dyccezyalną rozporządzeń spełnione być nie mogą, i że Jego Cesarska Mość raczy być przekonany, że ludność grecko-unicka, oddawna rumska (!) zawsze wierna tronowi, wyswobodziwszy się od nieszczęsnych błędów i źle myślących podszeptów, zbijających ją z drogi właściwej, nie zaniecha ukrzepić się w swych starodawnych zwyczajach, swych obrzędach nabożeństwa, i okazać się podawanemu posłuszną i spokojną, jak Najjaśniejszy Pan przywykł widzieć ją do czasu obecnego.“ Ta odpowiedź po odjeździe cesarza znalazła swój komnetarz. Wielu księży unickich, którzy dotąd byli internowani, kazano wywieźć w głąb Rosyi, wielu parafian, którzy odnaczali się wiernością i do wierności pobudzali, uwięziono, żeby zaś zapobiedz, by Unici nie znajdowali pociech religijnych w kościołach łacińskich i zmusić do chodzenia do cerkwi, najbliższe kościoły parafialne zamknąć kazano. Te nowe jednak ciosy nie zachwiały bynajmniej odwagi i wierności zacnych Chełmiaków; — z tą prostą i silną wiarą, która im dozwoliła wytrzymać strzały żołnierzy rosyjskich, wytrzymali i gniew carski i obojętność reszty Europy. Odkąd unia w Polsce nastała, nigdy dyccezya chełmska nie wyszła ze związku duchownego z Rzymem, nawet w chwili gdy jak w XVI wieku cała Ruś polska wróciła do schyzmy. Snać tradycya dawna żyje do dziś dnia, bo chłopci chełmscy powtarzają sobie: „Wszystko to przemienie i rząd cesarski przemienie, a Bóg zostanie i my zostaniemy!“

Ign. Skrochowski.



PRZEGLĄD P O L S K I.

ROK IX.

Zeszyt III. Miesiąc Wrzesień 1874.



Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.



W KRAKOWIE
W Drukarni Leona Paszkowskiego
pod zarządem Józefa Zakocińskiego.
1874.

MORALNOŚĆ I WIEDZA

JAKO CZYNNIKI W HISTORII.

Prelekcyja J. Szujskiego, miana w czerwcu 1874, na korzyść Towarzystwa
Śgo Wincentego à Paulo w Krakowie.

Przedmiot dzisiejszego wykładu nasuwał się prelegentowi niejednokrotnie. Wyzywały do podjęcia przedmiotu dosyć zagęszczone między publicznością i młodzieżą książki, wyzywały niektóre pisma peryodyczne, szczególnie warszawskie, od lat kilku objawiające kierunek mocno zdaniu prelegenta przeciwny w sprawie, która go jako trudniącego się historią obchodzić musiała. Chociaż wzięty z zakresu filozofii a mianowicie filozofii historii, mniemam, że się nadaje do prelekcyi publicznej; dotyka bowiem spraw najrzeczywistszych, najpowszechniejszych, w samych abstrakcyach gubić się niepotrzebuje a godzien jest zaiste zająć uwagę publiczności.

Długo wieki była historyyografia raczej kunsztem pisarskim lub czynem obywatelskim, jak umiejętnością, dziejoznawstwo zaspokojeniem ciekawości, wskazówką dla mężów politycznych raczej, niż powszechnym przedmiotem nauki. Najznakomitsze dzieła historyczne, jakie nam przekazała starożytność i średnie wieki Tucydides czy Tacyt, Grzegorz Turoneński, czy Froissart, Machiavelli czy Długosz powstały z bezpośredniego, że się tak wyrażę,

potrącenia piszącego, do przedstawienia bliższej lub dalszej przeszłości; niesie je też indywidualność autora, opiniami swemi i sądem wybitna, na współczesnych szczególnie wypadkach znamię swoje wyciskająca. Wszystkim tym ludziom przyświecało Ciceronijskie o historii zdanie, że jest mistrzynią życia. Niepojmowali dziejopisarstwa i dziejoznawstwa w oderwaniu od życia, jako nauki dla siebie. Obok nich, w pewnem już do dzisiejszego pojęcia zbliżeniu spotykamy erudytów historii, zbieraczy, uczonych zajętych pisaniem jej z książek i opowieści drugih, często pod wpływem potężnym znakomitych osobistości; a jeżeli niedorastają oni wielkości dziejopisarzy pierwszej kategorii, w kunszcie przedstawienia rzeczy często od nich są wyżsi. Takimi w starożytności są greccy pisarze historii rzymskiej, takim Liwiusz takimi średniowieczni i humanistyczni kompilatorowie dziejów. Erudycya ta, połączona z krytyką ściślejszą w wieku XVII wydała te ogromy prac historycznych, jakimi zadziwiają nas Baroniusz i kontynuatorowie, Bollandyści i kongregacya Benedyktynów ś. Maura, erudycya ta wydała pierwsze zbiory historyków, których ogromne foliały każą do dziś dnia podejmować trud podwójny, intelektualny szukania i czytania, fizyczny dzwigniania kilkunastufuntowych książek.

Rozpatrując się w tej erudycyi historycznej, do dziś dnia po największej części użytecznej i niezbędnej, widzimy wprawdzie, że ona istnieje dla siebie, że potrącenia do życia i ruchu od samej siebie odbiera, że szukanie prawdy faktów, sprawdzanie autentyczności dokumentów np. jest jej pobudką i czynnikiem ożywiającym, ale nie widzimy jeszcze dążenia do objęcia nagromadzonych faktów w jedną całość, przejętą myślą do nich przystającą, ustawienia ich w pewien system umiętny, który dzisiaj spotykamy. W historyach powszechnych po dziejach czterech monarchij starożytnych: babilońskiej, assyryjskiej, perskiej macedońskiej i królów żydowskich, następują zwyczajnie systemem średniowiecznym: *Vitae Imperatorum et Pontificum* jako główne tło historyczne, zresztą rozbiegają się dzieje w historie szczegółowych królestw, około tego wielkiego ogniska. Jest to ogólny szablon dziejowy, nieprzerwany podziałem na wieki średnie i nowożytne, z oznaczeniem tylko naczelnego w dziejach wypadku, przyjścia Chrystusa, jako dzielącego historję na dwie wielkie połowy.

Temu stanowisku historii, jako czynu dokonywanego piśmem, dzieła sztuki i stylu i dzieła pracy uczonej, odpowiadało długie wieki i przyjmowanie jej przez społeczeństwo. Masy, nie tylko najniższe, ale średnie, żyły bez znajomości historii; korporacje, stany, zakony poprzestawały na swojej własnej, wciągając do niej tylko fakta wielkie lub zbliżone ich dotyczące; żywy zmysł dla dziejów miawały tylko wyżyny społeczeństwa, panujący i mężowie stanu, dostojnicy świeccy i kościelni. Ci zaś pojmowali ją przedewszystkiem jako naukę praktycznego życia lub jako uświetniający przybór wysokiego stanowiska, które zajmowali. Tak np. manuskrypt Długosza, który długie czasy na druk czekał, znajdował się w kopiach u wielu najznakomitszych rodzin polskich, dostępny tylko tym, którzy byli powołani wiedzieć coś więcej, niż tłum szlachty, kontentujący się Bielskim i Kromerem, a potem laśda lichą i niesmaczną kompilacją historyczną. Tak należało do edukacji czytanie historyków, ale nie systematyczny historii wykład, nauka historii poszczególnych, szczególnie rzymskiej, ale nie całości dziejów.

Rozpatrując się też w wielkiej masie literatury historycznej, widzimy w niej albo umyślne albo naiwne niejako niewychodzenie po za masę krytycznie lub mniej krytycznie zestawionych faktów; umyślne, gdy obawa obrazy jakiej potęgi społecznej autora wstrzymuje, naiwne, jeżeli się zagrzebał w erudycji i po za książki nigdy kombinującą myślą wyjść nie umiał. Uwaga nad historią, badanie praw historii znajdujemy długi czas nie w historii samej, ale w naukach, które podówczas wyższe zajmowały stanowisko, w książkach, które niepochoǳiły od historyków erudytów w ścisłym tego słowa znaczeniu. Na czele myślicieli, obejmujących całość i cel historii znajdujemy ś. Augustyna w dziele *de Civitate Dei*, ś. Tomasza z Akwinu, kreślącego porządek moralny chrześcijańskiego świata, postać Dantego, twórcy komedy Boskiej, stawiającego się jako sędzia minionych pokoleń. Najgłębsze historyczne prawdy doświadczałne złożył Machiavelli w swoim Książęciu; zapatrywań ponurych kalwinizmu szukaćby należało w rzadkiej książce Vireta: *Le monde a l'empire*, a dociekając np. wyobrażeń polskich o dziejach i ich przeznaczeniu, przyszłoby rozpatrywać się w Modrzewskim, Orzechowskim i Skardze. Hobbes i Monteskiusz praktyczni politycy, powiedzieliby nam więcej pod tym względem niż

urzędowi historyczni erudyci. Nareszcie pierwsi dwaj mężowie, którzy dali początek pojmovaniu historyi w odniesieniu jej do najwyższych zagadnień człowieka i ludzkości, którzy w masę faktów starali się wnieść nie mechaniczny, ale wewnętrzny ład jednej myśli, Bossuet i Vico, nie liczą się wcale do historyków, pierwszy z nich był teologiem, mówcą, księciem Kościoła, mężem stanu, pedagogiem delfina Francyi, drugi księdzem także, humanistą raczej niż historykiem.

Discours sur l'histoire universelle Bossueta i *La scienza nuova* Jana Chrzciciela Vico, uchodzić też mogą słusznie za pierwsze próby traktowania historyi, jako osobnej, w sobie samej zamkniętej nie nauki, ale umiejętności. Przyznał to Vico zowiąc dzieło swoje umiejętnością nową: *scienza nuova*. Przyznał i Bossuet mówiąc w wstępie swego dyskursu do Delfina: Aby wszystko zrozumieć w historyi, trzeba znać stósunek jednej do drugiej historyi, trzeba znać porządek czasów, następstwo państw i wiekuiste istnienie religii, bo na następstwie państw a wiekuistości religii polega cała historia świata.

Problem postawiony przez Bossueta i Viconę stanął od-tąd na porządku dziennym umysłowości europejskiej. Najbliższem głosem dziełem jest tu: *Essai sur les moeurs* Voltaira, zapatrywania Roussa złożone w jego paradoksalnej rozprawie o wpływie wiedzy na obyczaje, rozprawka Kanta: *Ideen zur allgemeinen Geschichte in weltbürgerlicher Absicht* (1784) i współczesne co do roku wydania, dzieło Herdera *Ideen zur Philosophie des Geschichte*. Za wpływem tego ogólnego, filozofującego kierunku musiała się zmienić historyografia, musiała wyjść z epoki erudycyjnej, specjalizującej, w epokę łączącą zapatrywania filozoficzne na całość biegu dziejów z przedstawieniem faktów a przez to samo zbliżać się do stanowiska osobnej, zamkniętej w sobie, jeden wielki dział objawów świata uogólniającej umiejętności. Wybijała też dla niej godzina, gdy miała się stać udziałem masy wykształconych, obudzić powszechny interes, by zająć przez długi czas najpopularniejsze między naukami stanowisko.

Rzecz zaiste interesująca jak wyglądały te pierwsze, do Kanta i Herdera sięgające wyobrażenia filozoficzne o historyi, a więc o celu dziejów ludzkości, o prawach niemi poruszających.

Przejdziemy je w krótkości, zwracając następnie uwagę na to, co je wszystkie charateryzuje.

Bossuet daje pierwszy wyraz pojęciu, które świat katolicki, z mniejszemi lub większemi odmianami o historii rozwijał. Dwa czynniki są głównym dziejów wątkiem: czynnik władzy i czynnik religii, jeden zmienny, drugi stały. Kieruje nimi siła nadprzyrodzona, Opatrzność, niełamiąca ludzkiej woli i samodzielności, ale mieszącą się w każdą czynność ludzką. „W czynnościach ludzkich“ wypowiada tu myśl zarówno niezmiernie prostą, jak niezmiernie głęboką, „jest coś, czego człowiek nigdy nieprzewidzi i nieobliczy, jest to owe coś tajemnicze, które służy za narzędzie Bogu do wykonywania swego opatrznosciowego rządu.“ A więc Opatrzność, Opatrzność dotykająca śmiercią mocarzy, gotujących światu przewroty niezmiernie, Opatrzność ukrywająca w łonie społeczeństw nieznane czynniki kary lub dźwignienia się! Czyni to zaś Opatrzność wedle sprawiedliwości swojej, wedle wielkich praw moralnych nakreślonych i objawionych ludzkości. Nazwał to p. Laurent doktryną fatalizmu katolickiego.

Podnosząc na wielu miejscach dogmat Opatrzności, występując przeciw fatalizmowi Epikura, Machiavella, Hobbesa i Spinozy, osobiwszy prawowierności i poganizmu mieszaniec, niejasny a często sprzeczny z samym sobą w swojej Scienza nuova, Vico wprowadza w filozofię historii doktrynę nawrotów (*ricorsi*). Każdy naród ma swoje epoki, które przejść musi, historia idzie temi samemi nawrotami, wieku półbogów, wieku bohaterów i wieku ludzi, aby dziwną koleją znowu zaczynać od początku. Na dnie tej doktryny obok wspomnień klasycznych o wieku złotym i następnych, tkwi przekonanie, że istotą dziejów jest podleganie naturalnym tylko prawom i dla tego to pozytywistyczne filozofie historii lubią Viconę uważać jako protoplastę.

Co Vico natrącał do tego przyznał się otwarcie Montesquieu w „*Esprit des lois*.“ Nie mówi on wprawdzie o nawrotach, bo nie mówi o samej historii, ale traktowanie przez niego społeczeństwa ludzkiego jest tylko wykazaniem, że ono w całości zależy od warunków fizycznych, w których żyje, obraca się w kole możliwości, które mu okoliczności wskazują. Ci co dzisiaj wojują potęgą klimatu, jako nowém odkryciem, niech zajrzą do

Montesquiego budującego na fizycznych własnościach ziemi niezmienną dolę dziejową.

Vico i Montesquieu wskazują przynajmniej jedno z praw, które w życiu ludzkości zaprzeczyć się nie da, które na narodach wybija piętno swoje. Cóż robi Voltaire? Duch przeczący i burzący, żyjący jedynie w atmosferze polemicznej i szyderskiej, Voltaire poświęca swój *Essai sur les moeurs* polemice z pojęciami chrześcijańsko - katolickimi. Używa on po raz pierwszy broni, któraby się dzisiaj trywialną wydać musiała, broni, którą posługują się ateści uliczni, szyderstwa z mniemanych Opatrzności rządów. Krucyaty przypisuje krzykliwemu mnichowi Piotrowi d'Amiens, reformację kłótni Augustyanów z Dominikanami, sprowadza największe wypadki do intrygi drobnej, skandalicznej, nikczemnej: z nerwowem rozdrażnieniem stawia ślepy fatalizm przeciw Opatrzności bożej.

Herder, głowa entuzjastyczna a pełna sprzeczności, stawiając raz w wymownych słowach rządu Opatrzności, nie chce ich wszakże mieć po za ludzkością, ale w ludzkości, odstępując też od myśli Bossueta, koniecznie zapadać musi w naturalizm Montesquiego, a nawet miejscami wfatalizm Voltaira. Rozwija szeroko i trafnie wpływ przyrody na człowieka a w smutnym humorze nazywa pracę dziejową ludzi męczarnią Ixyona, Syzyfa i Tantala. Natura ludzka zawsze jedna, po tysiącu wieków będziemy takimi, jakimi jesteśmy obecnie.

Kant zlekka dotykający filozofii historii, zamykając to pierwsze niejako koło myślicieli, protestant, rzecz dziwna wraca do Bossuetowskiego postulat Opatrzności. Nie pojmuje on przypuszczenia rządów Opatrzności w naturze, jeżeli ich się nie widzi w dziejach świata, chociaż sprawdzenie ich tamże daleko większym ulega trudnościom. Ten rząd musi mieć cel, tym celem musi być **postęp**. Jako takie cele postępu zakresła Kant w kilku pisemkach społecznych rewolucyi francuzkiej: rzeczpospolitą, religię wolną od węzłów ortodoksyi i to nazywa założeniem Królestwa Bożego na ziemi.

Po raz pierwszy, w ustach pruskiego filozofa, spotykamy się tu ze słowem **postęp**. Nie znał tego pojęcia Bossuet, Vico, Voltaire, nie wypowiedział jeszcze Herder, a w ciągu XVI, XVII i XVIII w. niebrakło zapatrywań wręcz odwrotnych, że ludzkość niepostępuje, ale upada. Pomimo nowej nauki, którą nieśli:

Luter, Kalwin i jego uczeń Viret uważali świat za upadający. Doktryna Vicony wprost była przeciwna postępowi, Rousseau tęskniąc sentymentalnie za *état sauvage* widział w postępie nauki nieszczęście człowieka. Herder wyklucza możliwość wskazywania drogi postępu, twierdzeniem, że historia przyszłości przewidywać nie może. Starożytność złoty wiek kładła po za sobą, średnie wieki spodziewały się wielokrotnie tylko — końca świata. Zkądże ta nowa idea wprowadzona w myślenie o historii, idea której genezę tem bardziej zbadać warto, że dzisiaj jest tak potężną.

Nie jest to wcale pomysł Kanta. Słowo *progrès* w znaczeniu postępu ludzkości, jako celu jej i drogi, wyłęgło się właśnie we Francji. Pierwszy użył go Turgot w „*Ebauche d'un discours sur le progrès humain*”, a odtąd w gorących dniach przed i wśród rewolucji francuskiej stało ono jako sztandar, przeciwko *prejugés*, przeciwko przesądowi. Nie trzeba było obszernych dzieł, aby się przyjęło; droga, po której Francja kroczyła, zasłana ruinami dawnego świata, potrzebowała wielkiej dewizy, która jako błyskawica przebiegła Europę i królewieckiego filozofa obudziła z abstrakcyjnej zadumy.

Tą dewizą stał się *postęp*, nie postęp nauk, nie postęp moralności, nie postęp handlu, przemysłu, pracy ludzkiej, ale to uznanie, że to co się dzieje, dobrze się dzieje, że to co się działo, gorzej się działo, że wszystko co było należy oceniać wedle chwili pewnej, którą się za dodatnią, wprost do wysokich celów prowadzącą uważa. Na takie śmiałe twierdzenie nie zdobyły się liczne poprzednie wieki w historii i rzeczywiście z tej strony rzecz uważając je przypomina się owo biblijne: *Eritis sicut Deus scientes bonum et malum*.

Na pierwszy rzut oka jest to teoria najbardziej do Bossuetowskiej zbliżona. Dzieje ludzkości nie są prostym trafem, nie są tylko panowaniem sił natury — mówi jedna i druga — dziejami ludzkości kieruje myśl wyższa — mówi jedna i druga. Tylko że Bossuet myśl tę zostawia u Boga w uczuciu wiary i nadziei: rewolucja francuska oddaje ją ludziom, opatrując generację swoją przymiotem nieomylności w dążeniach i myślach. Ale nie podlega wątpliwości, że jeżeli co, to zmieszanie w idei postępu pierwiastku chrześcijańskiego fatalizmowi przeciwnego, z eudajmonizmem pogańskim i najponętniejszą z namiętności u-

mysłowych pycha, że to zmieszanie mówię przyczyniło się walcie do bezprzykładnie szybkiego rozszerzenia idei postępu w świecie, do oparcia na niej wszystkich wyobrażeń o świecie i dziejach.

Na niej oparł się też od razu cały podział dziejowego obszaru. Na straży wieków średnich stanął Chrystus, na straży nowych Kolumb, Guttenberg i Luter, najnowsze otwierała rewolucya. Z ideą postępu w ręce łatwo było odnaleźć podziały, chociażby sprzecznej często natury: Konstantyn W., Karol W., koniec wojen krzyżowych, westfalski pokój. Co przy teorii Bossueta w dwie wielkie rozpadało grupy, co przy teoriach naturalizmu układało się w grupy powstających i upadających państw i narodów, to teraz weszło z łatwością w gotowe szablony, mierzące przeszłość wedle tego, jak ona obecny wiek postępu przygotowała. Kult też postępu wprowadził w historję ten eklektyzm w sądach, mieszający najprzeciwniejsze żywioły razem, podnoszący kolejno do znaczenia gotujących drogi pańskie osobistości wykluczające się nawzajem, wyrzucił *de facto zasady* z historii. Wprowadził on za to, oparte, chociaż tylko na wielkiej hipotezie, zestawienie i objęcie całości dziejów, jako organicznej całości, stał się dla niej owym owocem dobrego i złego, od którego spożycia, jako umiejętność żyć zaczęła.

Ogólnik postępu musiał się oczywiście stać przedmiotem szczegółowego studjum historyczno-filozoficznego. Podniesiony na ziemi francuskiej zajmował on szczególniej filozofię niemiecką, używany jako punkt widzenia dziejów w sposób najrozmaitszy. Nie ma systemu filozofii w Niemczech, któryby jeżeli nie osobnego dzieła, to przynajmniej właściwych zapatrywań w tem wielkiem a trudnem dziale myślenia nie posiadał. Hegel nazwał starożytność tezą, średnie wieki antytezą w historii, w rozwoju germańskiego żywiołu, jako żywiołu wolności, zapowiadał syntezę wieków nowszych. Szelling przeprowadzając postęp świadomości przez naturę do człowieka, w dziejach widział stopniującą się świadomość od Oryentu do Grecyi, od Grecyi do Rzymu, od pogańskiego Romanizmu do indywidualizmu Chrześcijaństwa, w samymże pojmowaniu Chrześcijaństwa w przeciągu ery Chrystusowej, widział w średnich wiekach fazę zwaną Petrynizmem (katolicyzm), w nowszych Paulinizm (w reformacyi) a przewidywał epokę ś. Jana (religii wolnej opartej na Chrześcijaństwie). Po katolickiej stronie w Niemczech modyfikowali te teorye

Schlegel Fr., Windischmann, Molitor i Görres, odziewając teorię postępu w szaty mistyczne, ratując wywodami filozoficznymi dogmata Kościoła. W Polsce kierunek ten filozofii niemieckiej najwięcej obudził filozoficznej myśli; świadkiem Krasiński i Cieszkowski, układający na kanwie Hegla i Szellinga pierwszy: Trzy myśli Ligenzy, drugi Prolegomena zur Historiosophie i Ojcie Nasz, stawiający po idealizmie germańskim, jako antytezie realizmu starożytności, syntezę przyszłej epoki woli, natężonego czynu. Przypominam tu legendę Krasińskiego z kardynałem, rozpoczynającym epokę trzecią, gdy kontuszkowa szlachta nad głową św. Pawła trzyma walącą się świątynię rzymską. Nie waham się nawet do tej kategorii historyzoficznych kombinacji policzyć messyanizmu Mickiewicza, chociaż ten tak absolutnie w trzecim tomie prelekcyi obszedł się z Heglem, Szellingiem i filozofią niemiecką w Polsce.

W jedynej prawie sprzeczności z teorią postępu, kreślącą przeszłe a zapuszczającą się w przyszłe drogi świata, była w Niemczech Szopenhauera filozofia prowadzona dzisiaj przez Hartmanna. Wbrew panującemu w filozofii niemieckiej optymizmowi, stawia Szopenhauer najskrajniejszy pesymizm jako charakterystykę doli świata, broni chrześcijańskiego dogmatu upadku człowieka, stawiając jako najwyższą demagalię umysłu zapadnięcie w stan indyjskiej bezwoli, ratującej od czułości na złe w świecie i ludzkości. Dziwna zaiste protestacya przeciw gorącemu postępowemu optymizmowi.

Nazwaliśmy powyżej tę całą seryę zapatrywań historyzoficznych pomieszaniem antyfatalistycznego pojęcia chrześcijańskiego Opatrzności z eudajmonizmem pogańskim i pychą ludzką, stawiającą własną drogę jako drogę nieomylną, Bożą, Opatrznościową. Chrześcijańska idea łagodziła złe tego kierunku, wiodła do wielkich pomysłów, do prac i usiłowań naukowych potężnych a nieomylnymi się może, jeżeli tej poruszającej myśli historyzoficznej przypiszemy potężny rozwój nauki historii i wielką jej popularność. Poczucie, że to, co się w dziejach działo, działo się dobrze i zmierzało ku lepszemu jeszcze, zwrócić musiało umysły do pełnego życia i chęci zrozumienia życia, badanie przeszłości, do gorącego jej zamiłowania, do rozpatrywania jej krytycznego we wszystkich kierunkach, któremu często brakło należytego przedmiotowego spokoju, ale które bądź co bądź mnó-

stwo faktów odczuty i zrozumiany na jaw wydobyło. W Niemczech, we Francyi, w Anglii, w Polsce do niedawna historia była przeważnie i największy interes budzącem badaniem, a badanie to — poświadczyć tu mogą protestancy pisarze o Kościele katolickim, odbywało się z naukowym punktem honoru, aby dotrzeć do prawdy i niezataić prawdy.

Z drugiej strony przyznać należy temu kierunkowi, że w gruncie na racjonalizmie oparty, miał szeroko otwarte oko na niezmierzoną chrześcijaństwa wielkość, miał wagę w sobie, niepozwalającą mu jeszcze mieszać go z Budaizmem lub nauką Konfucjusza, miał w Szellingu i filozofach i poetach — myślicielach polskich, poczucie ideału, poczucie tego, czego ludzkości brakuje, co ją rozrywa i co ją boli, co przewalczonem i zmienionem być musi, stawiał wielkie postulaty, czy kościoła śgo Jana Szellinga i Krasieńskiego, czy epoki woli Cieszkowskiego, czy dociągnięcia moralnego w messyanizmie. I spoglądając dzisiaj, w jakich sferach snuje się myśl filozoficzna naszych pigmejów po dziennikach pozytywnych, musimy z epoką tą, niestety, minioną opłakiwać ludzi, którzy mieli pierś nie podług miary krawcy, lecz Fidiasza. Jeżeli też i wśród nich niepodobna nie dopatrzeć pewnej apateozy fatalizmu czynów dokonanych, jeżeli chylą głowy przed ludźmi, których uważają za ludzi Opatrzności, to wybierają przynajmniej olbrzymów, że tu wspomnę Mickiewiczowski kult Napoleona!

Połączenie to atoli dwóch sprzeczności nie mogło pozostać długotrwałem. Upadły w ciągu wypadków systematy historyzoficzne Niemców, a jeżeli kiedy, to dziś, uśmiechnąć się każdy musi nad epoką syntetyczną des Germanenthums als des Zeitalters der Freiheit z kościołem śgo Jana reprezentowanym chyba przez Reinkensa! I jak idea postępu *de la déesse raison* stała niegdyś na rewolucyjnym ołtarzu w postaci Fryny starożytnej, tak naga, kategoriyczna wyszła po raz drugi z głowy francuzkiego myśliciela Augusta Comta, niepoznana zrazu w świecie żyjącym eklektyzmem Cousinów i Villemainów, ale potężniejszą prostotą swego twierdzenia, odsuwającego wszelkie niewłaściwe związki.

Comte wywiódł naczelną formułę systemu z tego, co w filozofii abstrakcyjnej było w mgłę tonącym szczytem budowy. Filozofia niemiecka budowała od abstrakcyj logicznych do histo-

ryozofii, Comte od historyozofii zaczął. Naczelna formuła o trzech dobach bytu ludzkości teozoficznej, metafizycznej i pozytywnej, przypominająca poniekąd Viconę i wiek Bogów, bohaterów i ludzi, jest najkrótszą, najprostszą historyozofią, jaką kiedykolwiek podano światu. Jest ona niezawodnie absurdem, ale absurdem kolosalnym, konsekwencyą żelazną z przyjęcia postępu wyprowadzoną. Skoro minęła epoka wiary w to, czego rozumem osiągnąć nie można, powinna mieć prekluzyjny termin epoki, w której się kuszono, aby osiągnąć tego rozumem, od tego terminu zaczyna się pozytywizm, epoka w której myślenie zastosowano do tego przekonania. Jeżeli zaś koniecznie potrzeba jakiegoś kultu, miejmy prawdziwy, kult siebie samego, kult ludzkości.

Szczerze i brutalnie, nielogicznie co do faktów dziejowych, ale co do pojęcia pewnej chwili dziejowej, jako uznającej się na drodze doskonałości i prawdy, ściśle logicznie! Napróżno też sili się p. Lanrent wykazać wszystkie pyszałstwa, dzieciństwa, niedouctwa Comta, stojące tuż obok wywodów nieubłaganej logiki: Comte wskazać mu zdoła cały szereg ludzi, jak Littré, Buckle, Draper, Hartpole - Lecky, Stuart, Mill, Spencer, Lewis, którzy lepiej przygotowani budowali na logicznej jego podwalinie, może w poprzednikach Viconie, Voltairze i Kancie, wyróżnić to, co mu torowało drogę, upoważniało do zuchwałego twierdzenia.

Wyłączając mistrza, z ogromnym zasobem przeczytanych książek a żadnym znajomości życia, bierze się Buckle do dzieła, aby myśl pozytywną w historii bliżej określić i przeprowadzić. Dwa są czynniki w historii, mówi: moralność i wiedza, działające wśród niezliczonych wpływów ziemi klimatu na ludzkość. Pierwszy mało się zmienia, drugi okazuje widoczny postęp. On też jako postępujący wedle praw niezmiennych, może wieść do zrozumienia, uporządkowania, rozkładu przestrzeni dziejów. Postęp ten wiedzy odbywa się kosztem dwóch powag, powagi religii i powagi władzy — *ergo*: upadek religii i władzy jest postępem. Tak zamyka się poczet filozofii historii rozpoczęty od twierdzenia Bossueta, że historia jest widowiskiem dwóch czynników, religii i władzy, że stałość pierwszego, zmienność drugiego główną jej treść stanowi. Kończy się fatalizmem praw natury i fatalizmem prawa postępu wiedzy. Postęp wiedzy,

uznający że religia jest tylko wytworem spłoszonej objawami natury wyobraźni, że władza jest tylko przewencyjnym środkiem przeciwko niedość rozszerzonym pojęciom, co rozumne a co przez to samo dobre; musi doprowadzić do chwili, gdy wiedza wyprze całkowicie religią i przewencyjny środek władzy, przynajmniej tam, gdzie na to prawa natury pozwolą.

Nie w tych pociągniętych, lub koniecznie wyciągnąć się dających konsekwencyach spoczywa siła przekonywająca systemu Buckla. Spoczywa ona na nowości i zadziwiającej często zręczności dowodów, że nie ma w historii prócz fatalizmu prawa natury i fatalizmu prawa postępu wiedzy. Ale dowody te podane są kosztem rozbicia i unicestwienia tego, co się dotąd historią nazywało. Naród po narodzie bierze Buckle pod anatomiczny i fizyologiczny rozbiór, nie idąc za postępem czasu, za następstwem wielkich epok historycznych, ale używając metody, którą przyrodniczą nazywa i którą jako jedyną do przeprowadzenia historii na stopień i stanowisko umiejętności ścisłej wskazuje. W wszechstronném obejmowaniu faktów ekonomicznych, społecznych, intelektualnych; w pozostawieniu na boku politycznych jest owa siła imponująca umysłom, szczególnie młodym, które zapominają, że historia oddawna niezaniebdywała pierwszych, pomimo że na przednim planie stawiała drugie. Zapominają, że właśnie w tem odrywaniu od naturalnego ich gruntu, w tem zestawieniu ryzykownym rzeczy odrębnych, ginie istota historii, polegająca na położeniu i wytłumaczeniu wszystkiego w czasie i miejscu, że jeżeli w uwzględnianiu czynnika wewnętrznego nie ma nowego odkrycia, w oderwanem jego traktowaniu i zestawieniu jest oczywiste dla prawdy niebezpieczeństwo.

Ale nie chcemy się spierać o metodę i nie powiemy, aby nie z metody Buckla do umiejętności historii przenieść nie należało. Przeszła ona ogniową próbę w samemże dziele jego i poparła bardzo silnie fałszywe z gruntu zapatrywanie, wynikłe z chęci uporządkowania ogromnego obszaru wiedzy nabytej: poleciała się tą obroną fałszu tak, że w służbie prawdziwszych pojęć potężniejsząby się ukazać musiała. Bardzo być może, że wielkie bezdroża, na które Buckle pojęcie historii zaprowadził, wpłyną na świadomych lepiej zadania historii, że cofając się z drogi abstrakcyi, której w ubiegłej epoce filozofii i nauki nadużyto, wrócą do opartej na samych faktach ścisłości, że liczyć

się będą więcej ze zdobyczami wiedzy na polu przyrody, o ile te wkraczają w świat ludzki. Bardzo być może, że jak na pogańskiej nauce starożytności wzrosła najświetniejsza myśli chrześcijańskiej epoka, tak z przyswojeniami środkami dzisiejszego pozytywnego, niezawodnie pogańskiego kierunku, wystąpi po raz wtóry nauka chrześcijańska, przyjmująca zdobycze prawdy i ustawiająca je do harmonii z tą prawdą, o której zapomniano.

Nie metoda powtarzamy, ale założenie jest w Bucklu fałszem, który obala całą jego budowę, założenie, o którym nie wiadomo, czy poprzedziło budowę, czy też wynikało z ducha człowieka, nieprzypatrującego się nigdy życiu a szukającego najprostszego środka uporządkowania nagromadzonej z książek wiedzy. Przypuściwszy z Bucklem, że czynnik moralności nieulega prawom postępu (wedle nas podlega on innym prawom) niepodobna się zgodzić na wykluczenie tego czynnika od rozpatrywania historycznego, odsądzenie go od prawa stanowienia o budowie i rozkładzie dziejów. Dajmy na to, że jak powiada Buckle, wiedza postępuje a moralność fluktuacyjnemu ulega ruchowi, to pierwszym obowiązkiem badacza było zastanowić się, dla czego znacznemu stopniowi wiedzy towarzyszy często nadzwyczajny upadek przeciętnej moralności, dla czego przy niskim jej stopniu może być znaczna suma moralności, dla czego epokom niedoucstwa towarzyszą zwyczajnie najopłakańsze skutki, dla czego w czasach upadku moralności i wiedza upadać musi, wiedza która z moralnych pobudek czerpie swoje siły, nowych potężnych zyskuje pracowników. Chwile rozkwitu wiedzy, potęgi umysłowej są w dziejach tak sporadycznie rozsiane, jak chwile wyższej moralności, zdarzają się wśród trudniejszych, słabną wśród korzystniejszych warunków: nie pomoże nic, jeżeli nie ma boskiej iskry twórczej w piersiach ludzkich, jeżeli pierwiastek mądrości zastąpi sama tylko szkolarska rzemieślniczość, jeżeli polihistoryzm, wielowiedztwo, zastąpi pierwiastek twórczości i natchnienia, jeżeli przyjdzie chwila przeżuwania pełna zarożumiałej pewności siebie, ale razem czczości wewnętrznej,

A przytem walne pytanie, co jest wiedza, co jest treścią wiedzy u Buckla. Tu przekonywamy się, że pojęcie jego jest czysto dogmatycznym, że to tylko nazywa wiedzą, co się przyczyniało i przyczynia do zbliżania epoki pozytywizmu Augusta Comt'a; z jednej strony zdobycie coraz większej liczby faktów

rozumowych, doświadczalnych, postęp nauk na doświadczeniu opierających się, z drugiej wykluczenie wszystkiego, co mówiło o stósunkach człowieka do jego najwyższych zagadnień i w imię tych zagadnień rozwiązanych nakładało mu obowiązki. Wiedza jest racjonalnem odrzuceniem tego, o czem się dowiedzieć racjonalnie nie można, postęp jest oparciem życia na tem odrzuceniu. A jeżeli też myślenie wszystkich wieków aż do Comt'a i Buckla twierdziło inaczej na mocy faktów i doświadczeń ludzkich i dziejowych? Jeżeli pierwszym najpowszechniejszym faktem, który wpada w oczy każdemu badaczowi rzeczy ludzkich jest właśnie fakt, że człowiek i ludzkość nieobywały się nigdy bez religii i władzy, że wszelka wiedza, która przeczyła istnieniu tych dwóch czynników była teoretycznie chybioną a praktycznie zgubną, jeżeli sam system pozytywny kierunkiem swym negującym religię i władzę jest właśnie dowodem, iż o potędze tych czynników wie, a więc jest religijnym i powagowym o tyle, że sam chce dogmatyzmem swoim despotycznym zastąpić religię i powagę władzy? Co wtedy? Czem jest ujeżdżanie Buckla na wojnach religijnych, na zgubności nietolerancyi średniowiecznej, objawiającej się w stósach i więzieniach inkwizycyi, jeżeli przeciwko tym klęskom, przeciwstawi się klęski, jakich doznała ludzkość przez działalność czynników, zbliżonych do racjonalnej jego drogi, czynników podnoszących omnipotencję państwa, kruszącego względy religijne, omnipotencję społeczeństwa, depcącego powagę religii i władzy; jeżeli miasto nietolerancyi, mającej za sobą pobudkę moralną zgromadzenia ludzi około jednej prawdy, żąda despotyzmu idei, opartej na przeciwnem faktom historyi, ocenieniu natury ludzkiej, jakoby jej postęp polegał na wyzbywaniu się czynników religii i władzy?!

Bierze zatem Buckle nie wiedzę, ale jedno przejściowe, skrajne, chwilowe pojmowanie wiedzy, jeden niemożliwy postulat tejże, jako miarę postępu, jako drogowskaz historyi. Jego tylko szukając, widzi jego korzyści i pożytki polegające na podniesieniu ekonomicznego dobrobytu, społecznego równouprawnienia, usunięciu pewnych zabytków średniowiecznego barbarzyństwa, a tracąc z oka inne czynniki nie widzi jakie ujemne strony pociągał za sobą ich upadek i ich lekceważenie, o jakie straty przywiedziona została ludzkość zaprzaństwem religijnych i moralnych postulatów. Uszedł oka jego fakt bijący, jak przy sto-

sunkowo ogromnym zasobie wiedzy o faktach doświadczalnych przy zastósowaniu ich w życiu, istnieć może najwyższa nieporadność w tysiącznych stosunkach życia społecznego, które na wiedzy o faktach doświadczalnych oprzeć się nie mogą, w stosunkach rodzinnych i wychowaniu pokoleń, w wzajemnem stosunku warstw społecznych i ekonomicznych, antytez bogactwa i pauperyzmu, w stosunkach politycznych wracających na wielką skalę w epokę panowania siły fizycznej, bez uwzględnienia jakiegokolwiek moralnego kodeksu. Czyliż to w wieku wielkich zdobyczy eksperymentalizmu, w wieku ułatwionych komunikacyi przez koleje i telegrafy, w wieku, gdzie cała waga tych ułatwień przyczynia się do doskonałości funkcyi społecznego organizmu, nie jest zadziwiającym fenomenem ta niezmierna bezsilność ludzka w urządzeniu się społecznem i politycznem, tak że owe zdobycze rozumu prowadzić się zdają do coraz sroższych, nie dających się przewidzieć i obliczyć zawikłań i kataklizmów? Z góry powiadam, że zdają się prowadzić, bo zdobycze rozumu eksperymentalnego same przez się, uważam zawsze za dobre i zbawienne, ale dla tego, że są niewystarczające, dla tego, że fizyczną dotąd stronę świata, człowieka i społeczeństwa objęły, że śmiały negować moralną: nie mogły one zaćmić blaskiem swoim epok, gdzie ich było mniej, ale więcej wiedzy faktów moralnych. jako ważniejszych, trudniejszych i konieczniejszych dla człowieka.

Jeżeli to rozumowanie jest prawdziwe, jeżeli wiedza, jak ją pojmuje Buckle, nie jest prawdziwą wiedzą, ale częściowem jej tylko pojęciem, najistotniejsze zadania z oka spuszczaćcem, jeżeli polega na negacyi faktu zajmującego nierównie więcej miejsca w historii, niż eksperymentalizm zwyczajny przyczyn fizycznych, w cóż się obraca cała budowa? Zaiste nie pozostaje z niej nic, prócz zalet metody, użytej do jednego szeregu wyrwanych dowolnie faktów a nieużytej do olbrzymiej całości tych faktów.

Jeżeli zaś prawdą jest, że wiedza eksperymentalna faktów fizycznych, fakta moralne na drugi plan usuwająca, od usunięcia powagi religii i władzy postęp swój a względnie postęp świata zależnym czyniąca, wiedza niosąca wielkie zresztą zdobycze i wielkie wynalazki, istnieć może obok cofnięcia się ludzko-

ści w czasy twarde, żadnego z zagadnień społeczeństwa nierozwiązujące, owszem płaczące ją w coraz nowe zawikłania, jeżeli przyczynia się nawet do nich o tyle, o ile przeczy wszystkiemu po za sobą, jeżeli ludzkość pod każdym względem z trwogą musi spoglądać w przyszłość tych zawikłań, jeżeli przy niej widzimy srogie objawy dysharmonii w jednostce i zamętu w masach, jeżeli zastosować się do niej da wiersz Sofoklesa:

Biada tej wiedzy, co się nie zda wiedzącemu:

gdzież wtedy teorya postępu, gdzie uprawnienie, aby wzrostem tej wiedzy mierzyć całą przyszłość, aby od jej postępu zależnym czynić postęp w przyszłości? Czy nie nasuwa się zupełnie inne oznaczenie punktu dziejowego, na którym стоимy? punktu z którego patrząc raczej Schopenhauerowski pesymizm, niż optymizm Kanta, Hegla, Comte'a i Buckla praw nabiera: myśl, że skoro przy takich zasobach racjonalnych istnieć może taki obłąd, takie niepoznanie natury ludzkiej, taka niewytłumaczona niczem ślepotą, kroczenie dalej fatalne w konsekwencji tego obłądu musi być drogą do przepaści? Czyli cały rozkład dziejów w myśl postępu wiedzy emancypującej się z pod powagi religii i władzy nie da się w takim razie zestawić z rezultatem coraz większego *minus*?

Pierwszy krok: wiek reformacyi, rzucenie się na powszechność powagi kościelnej, rozbicie idei jednolitości chrześcijaństwa.

Drugi krok: wiek l'etat c'est moi, podniesienie idei omnipotencji państwa, wyższego nad względem moralne — aż do podziału Polski; rozbicie idei rządu chrześcijaństwa.

Trzeci krok: wiek rewolucyi, podniesienie idei omnipotencji społeczeństwa, rozbicie idei władzy chrześcijańskiej.

Czwarty krok: wiek komuny i pochodzenia od małpy; podniesienie idei gminy przeciw spo-

łeczeństwu, a raczej jednostki, która wy-
powiada społeczeństwu wojnę dopóki
jej dobrze nie będzie, która też woli
pochodzić od małpy, aby od Boga nie
pochodziła.

Czy powtarzam, nie da się sprowadzić teorya postępu, jeżeli się jaskrawych barw używa, jeżeli idąc za przykładem Buckla idzie do skrajności, do karykatury panowania petroleum? Co wtedy z wiedzą się stanie, skoro petroleum nie lubi tak bibliotek i dzieł sztuki? Kto ją będzie uprawiał i czy przypadkiem jako niepotrzebna powaga nie pójdzie za religią i władzą?

Zaiste! teorya postępu Szellingów, Cieszkowskich, Krasińskich, Mickiewiczów, skromniejsza, wychodząca z poczucia, że ludzkość chociaż wie wiele, powinna jeszcze odbyć jakieś wielkie stadya udoskonalenia moralnego, teorya, która przewidywała i prorokowała kataklizmy, będące koniecznym skutkiem radykalnego pojęcia postępu i wiedzy, o ileż była głębszą, szczytniejszą, rozumniejszą i dalej widzącą!... Mogła ona tu i owdzie wpaść w koleję, którą dziś z brutalną narysowano konsekwencyą, ale nigdy i nigdzie nie wyparła się poczucia wielkiego idealnego dążenia, które wyssała z nauki chrześcijańskiej; mogła mieć chwile dumy, pychy nie miała.

Dziwna też rzecz, że dzisiaj, w kraju, który może najgłębsze pod względem historyozoficznym wydał rezultata, w kraju gdzie poeci prorocze prawie wobec tego, do czego dzisiaj teorya postępu doszła, zajmują stanowisko, urwała się nagle nić myślenia w tym kierunku a importowany towar pozytywizmu i Buckleizmu szerzyć się zaczyna. My w szczególności winniśmy być lepiej, niż ktokolwiek przeciwko niej uzbrojeni — a nie widać walki i odporu w tym kierunku. Zapewne nie wystarczyłoby tu przejęcie stanowiska przez filozofów i poetów naszych zajętego, poddałby je należało krytyce, uwolnić z naleciałości obcych, ale to, co by pozostało, wystarczyłoby zawsze na utorowanie drogi do głębokich zagadnień, które pochód dziejowy nastęcza.

Odrzucając teoryę postępu od pewnej chwili dziejowej wstecz i naprzód historyę oceniającego, jaką jest teorya w czasach rewolucyi francuzkiej powstała, należałoby przedewszystkiem

uznać i badać: 1) czynnik fizyczny, jako materyalną podstawę historyi, jako jej *przestrzeń* nie zapadając w oplakany błąd, aby wszystko fatalizmem tego czynnika tłumaczyć, 2) czynnik oczywistego postępu doświadczalnej wiedzy, rezultat prosty i konieczny *czasu*, w którym się historia odbywa, bogacący pokolenia spuścizną doświadczeń przeszłości, 3) czynnik moralny, którego uznaniem przez Buckla fluktuacyom należałoby nakreślić a przynajmniej starać się nakreślić prawa, 4) czynnik nareszcie najwyższy, Opatrznościowy, który jak Bossuet głęboką uczynił uwagę, jest tem tajemniczem coś w czynnościach ludzkich, które myli wszelkie rachuby i kieruje nawą dziejów wedle woli wyższej, wieczystej. Cztery te czynniki mają to do siebie, że fizyczny i moralny stają wbrew, intelektualny i Opatrznościowy przemawiają *za* ruchem postępu dziejowego. Jak rozum ludzki zdobywa z czasem prawdę faktów a nie złudę, tak w Opatrznościowym rządzie jest rękojmia, że jest postępem ku dobremu, skoro jest, skoro istnieje. Ale gdy cel i miara tego dobrego jest ostatecznie tam, zkąd dane warunki fizyczne, prawa moralne i możność rozumowego rozwoju, dociekanie prawa postępu nie może się odbywać, nie można tego celu i miary określać wedle chwilowego zapatrywania się ludzi na przeszłość i przyszłość, ale należałoby w tem dociekanii uwzględnić wszystkie czynniki wedle ich ważności wzajemnej, wedle ich stósunku do siebie i oddziaływania. Wtedy wypowiadał tu moje indywidualne przekonanie, okaże się w historyi postęp, ale postęp ku gloryfikacyi Boga i praw Bożych, postęp ku temu, co raz Kant genialnie natrącił, ku sprawdzeniu Opatrzności. Wtedy okaże się, że to co dzisiaj alfą i omegą postępu nazywamy, jest tylko jedną fazą dalej w tem mierzeniu się ducha ludzkiego z duchem Bożym i prawami Bożemi, postępową, bo zbliżającą chwile ich uznania. Największa idea chrześcijaństwa, uniwersalizm katolicki płomiennemi głoskami zapisanym jest w dziejach. Naturalniej niż w inny sposób dzielą się one na epoki, znaczone zjawieniem się pogańskich potęg do materyalnego lub moralnego boju z chrześcijaństwem, potęg z zamierzchłych czasów historyi pochodzących lub budzących się w piersi człowieczeństwa. Cesarstwo rzymskie i potop ludów aryjskich, mahometanizm, zmartwychwstały klasycyzm i jego skutki w myśli ludzkiej, panteizm dzisiejszy i niezmierny rozrost faktycznej wiedzy badającej każ-

dy zakątek ziemi... wszystko to, kolejno, epokami dąży do mierzenia się z prawdą moralną chrześcijaństwa, do zastąpienia jej i wyparcia. Jest to nieuchronne, Opatrznościowe, bo objęcie tego wszystkiego i pokonanie *w czasie*, jest celem i zadaniem chrześcijańskiej prawdy. W tém też znaczeniu można mówić o postępie i badać jego prawa.

BEZKARNOŚĆ.

Zanim głos sami w tym przedmiocie zabierzemy, podajemy naprzód kilka spostrzeżeń o bezkarności nam udzielonych :

„*Justitia firmatur solium; — justitia fundamentum regni; — justitia elevat gentes, miseros autem facit populos peccatum; — sine justitia, quid sunt regna, nisi magna latrocinia.*“ — Podobne sentencje, a moglibyśmy ich przytaczać bez końca, świadczą, że po wszystkie czasy ród ludzki w sprawiedliwości widział główne źródła życia, zdrowia i potęgi społeczeństw, że z jej brakiem państwa i społeczeństwa upadają. Po wszystkie też czasy, pojęcia sprawiedliwości i kary były w umyśle ludzkim nierozłączne i nigdy sprawiedliwości inaczej nie przedstawiano jak tylko z mieczem w ręku. Im lepsze zdrowie w narodzie, tem większa w nim musi być miłość prawa, tem goręcej pragnąć musi przywrócenia jego panowania, ilekroć zostało obalone i tem silniej domagać się ukarania jego burzycieli.

* * *

Jak zaprzeczenie kłamstwu koniecznem jest dla wyznania i stwierdzenia prawdy, tak kara jest stwierdzeniem sprawiedliwości; bez niej sprawiedliwość jest czemś mglistem i niepewnem, co jeszcze nie wcieliło się w życie. Kara jest potrzebą obrazowego sumienia publicznego, i to jest nierównie wyższy i zacniej-

szy tytuł jej istnienia, niż owe względy czysto utylitarne, jakie dzisiejsi moralisci stawiają, postrachu na złych ludzi lub ich poprawy, jakkolwiek i te względy mają swoją wagę. Gdzie kara nie idzie w ślad za występkiem, tam sumienie publiczne cierpi głód, albo gdzie tego głodu nie ma, tam znać, że zmysł sprawiedliwości zagasł w społeczeństwie, że społeczeństwo nachyla się ku upadkowi.

* *

Karność i rzadność, bezkarność i anarchia są to synonimy. Naród który karać nie umie, nie potrafi się rządzić, i choćby też miał zapewnione wszystkie inne warunki bytu, choćby świecił męztwem, patriotyzmem i poświęceniem rozpaść się musi, gdy karać przestanie; musi zdać rządy innemu narodowi, który chociaż wielu jego cnót publicznych jest pozbawionym, ale tę tylko nad nim posiada wyższość, że miecz sprawiedliwości umie krzepką trzymać dłonią. Naród taki może obudzać najserdeczniejsze sympatyje i do pewnego stopnia szacunek, ale ufności nie wzbudza, bo nie daje rękojmi, że sobie sam wystarczy. A jak zupełne zaniechanie wymiaru sprawiedliwości, prowadzi państwo do ruiny niechybnej, tak znowu samo zelżenie kary zbyt znaczne, odejmuje mu siłę i znaczenie. Mówiąc o konieczności kary śmierci, De Maistre dodaje: „Nietylko nienależy jej znosić, ale mniemam, że każde państwo które ją zniesie u siebie, stanie się, o ile to od niego zależy, państwem drugiego rzędu. Narody pierwszorzędne po wszystkie wieki na śmierć skazywały i jeśli się nie mylę, podobnie i nadal skazywać będą.“

* *

Jak do każdego państwa, tak i do dziejów naszych zasady wyżej przytoczone dadzą się żywcem zastosować. Jeśli wszelka kara w ogólności, to przedewszystkiem kara za zbrodnie stanu szła u nas w parze ze zdrowiem i z mocą rządowego elementu. Nieunikniona w wieku XV, jeszcze dość często zdarzająca się choć już niemało utrudniona w wieku XVI, w XVII stuleciu a bardziej jeszcze w XVIII prawie wcale się nie napotyka. Też same zbrodnie, które pod jagiellońską dynastją pociągały za sobą banicyą, infamią i śmierć, za królów elekcyjnych, a zwłaszcza

od śmierci Batorego, najczęściej nie były już karane, a później, smutno powiedzieć, znajdowały swych obrońców a nieraz oficjalne, uroczyste usprawiedliwienie. Byłoby rzeczą wielce nau czającą gdyby ktoś chciał ułożyć paralellę rosnącej słabości państwa wraz z bezkarnością za zbrodnie. Przykładów historycznych tu niebrak; wyliczać wszystkich nie mamy czasu; kilka celniejszych, które na pamięć nam przychodzą, podamy.

Opowiada Długosz pod r. 1432 że starosta ziemi kujawskiej, Mikołaj Tumigrała z Sękowa, który w czasie wojny z Krzyżakami, wydał im zamek nieszawski, na rozkaz króla uwięziony i pod sąd stawiony na sejmie w Sieradzu, *choć się tłómaczył, że nie miał dość siły, by zamek obronić*, czci i życia pozbawiony został.

Za Zygmunta starego, podobnegoż losu za podobną zbrodnię doznał Radwanowski. Ten gdy zamek Ornetę w Warmii położony, oddał Krzyżakom, na sejmie piotrkowskim od czci był odsądzony, co w prawie polskiem równo ze śmiercią znaczyło, bo każdemu służyło prawo zabić infamisa. Potrafił on jednak umknąć do Lwowa, jak powiada Bielski pod r. 1521 „tam tułając się, z desperacyi, sakrament Ciała Pańskiego ukradł i żydom sprzedał, za co potem spalony był. Innych też szlacheiców dwanaście, jego towarzyszków, od czci odsądzono.“

*

*

*

Za zabójstwa prywatne śmiercią u nas nie karano, ale grzywnami i więzieniem na dnie wieży, rocznem albo dwurocznem. Nie była to lekka kara jeżeli z ścisłością była wykonana; wszakże wielu naszym monarchom i celniejszym mężom stanu zdawało się koniecznem ją obostrzyć i za rozmyślne zabójstwa karę śmierci nałożyć. Projekt taki wielokrotnie za Olbrachta i Zygmunta I. na sejmy był wnoszony, ale nigdy jak mówi Modrzewski „większość po dobrej stronie nie stanęła.“ Mnożyły się też w kraju zabójstwa, o co trzykrotnie w mowach swych, króla, senat i rycerstwo tenże Modrzewski upominał, uroczyście ich strofując „za tę pogardę prawa bożego, które zabójców na gardle karać rozkazuje.“ — W r. 1538, gdy wniesiony na sejm projekt gardłowy upadł większością głosów, Zygmunt August jeszcze wówczas młodzieniaszkiem i tylko tronu będąc następcą radził, żeby na zabójców wydać uchwałę do sentencji każdego

z posłów zastósowaną, to jest iżby głowy tych, co za grzywnami wotowali, grzywnami ubezpieczyć, a przeciwnie karą śmierci bronić życia tych, którzy za taką karą się oświadczyli. Ta rada, jakkolwiek żartobliwie podana, możeby i dziś jeszcze znalazła trafne zastósowanie przy projektach o zniesieniu kary śmierci, które w parlamentach wciąż się zjawiają. — Porównano jak królowie z jagiellońskiej rodziny, pragnął Batory karę śmierci na zabójców nałożyć, ale widząc że nie złamie w narodzie wstrętu do tej zbytniej jak mniemano surowości, tego przynajmniej przestrzegał, aby istniejące prawa z całym rygorem były wykonywane, i w tym celu wydał okólnik do starostów grodowych, aby skazanym na więź żadnych ulżeń nie czynić.

* * *

Ale wróćmy do zbrodni publicznych. Dwa przykłady takich zbrodni znane są z epoki króla Stefana. Podczas wojny z Iwanem Groźnym odkryto, że jeden z panów litewskich zanego rodu, Grzegorz Ościk, z Radziwiłłami spokrewniony, tajemnie się z Moskwą porozumiewał, od niej listy i posłańce odbierał, a w listach, które do Cara pisywał, obiecywał zgładzić króla. Naradziwszy się z przybocznymi panami radnymi, król kazał go uwięzić, a gdy przetrząśnięto jego mieszkanie, znaleziono blankiety z podpisami i pieczęciami różnych senatorów, kształtnie podrobionymi, dla tem lepszego u Moskwy udania, jakoby wielu miał swojej zbrodni uczestników. Gdy rzecz do senatu została wniesiona, w obecności którego król odprawiał tego rodzaju sądy, obrońca dowodził, że obwiniony nieprawnie został uwięzionym i odpowiadać nie ma, przywołując na to prawo słuzące szlachcie, że bez pozwu należytego sądzoną być nie może. Argument taki wiele panom radnym dał do myślenia: wzdragali się pierwsi stawiać przykład ubliżający wolności szlacheckiej i byli zdania, aby Ościk z wolnej nogi odpowiadał. Przemogło na szczęście zdanie tych, którzy raczej zwracali uwagę na czas, w jakim zbrodnia została popełniona i że kiedy król w obozie prawie przebywał, wojną będąc zaprzątniony, sąd ten nie za zwyczajny, ale za wojskowy poczytany być winien. Widząc Ościk, że już od sądu się nie uwolni, począł uręczać, że choć dawał nieprzyjacielowi nadzieję odebrania królowi życia, nie czynił tego z jakiejś, broń Boże, nienawiści, ale z niedostatku, długami będąc

trapiony, które pieniędzmi moskiewskimi spodziewał się zapłacić; prosił przeto pokornie, aby mu tę winę odpuszczono. Nie to jednak nie pomogło i garuło dać musiał.

Drugi wypadek z tej epoki o wiele głośniejszy i różnorodnie opisywany, przedstawia rząd mądrego króla w zapasach z rosnącym nierządem, rząd jeszcze zwycięzki, ale już po raz ostatni. Awanturnik wysokiego pochodzenia, Samuel Zborowski, który senatora zacnego rodu zabił podczas sejmu, na zamku i pod bokiem królewskim, skazany na banicję, skorzystał ze zmiany króla, aby wrócić do kraju, nie cichaczem, ale publicznie, z hałasem i niematem prawu urąganiem; gdy zaś poufnie od króla został upomniony, aby się z kraju wynosił, pospołu z braćmi na życie królewskie umawiać się począł. Nie dość na tem, razem z kanclerzem państwa, który jako starosta grodowy do Krakowa na sądy jechał, chciał i ten warchoł do stolicy swój wjazd uczynić. Czyniąc zadosyć powinności i nie mogąc dłużej znosić takiego lekceważenia praw i powagi Rzpltej, kazał go pojmać Zamoyski i z wiedzą króla i celniejszej Rady, jako zwykłego zbrodniarza stracić. Ledwo się o tem wieść rozeszła, zerwała się tak wielka w Rzpltej burza, takie gniewy i taka nastąpiła wrzawa, że jej echo przez trzy wieki trwające, jeszcze do uszu naszych dochodzi i w niefortunnych rehabilitacjach banity od czasu do czasu dziś jeszcze się przedłuża. Wyrzekano „*na tak srogie tyranstwo*,” płakano „*nad zgniebioną w osobie Samuela Rzpltą*,” kazano wiązać się, „*aby wolność publiczną zastąpić od niebezpieczeństw, na które była narażoną*.” Po województwach, zwłaszcza gdzie silniejsi byli dyssydenci, rwano sejmiki albo podwójne odprawiano wybory; były i takie, które posłom swym dały zlecenie „*podciągnąć pana kanclerza pod sąd za zabójstwo Samuela*.” Król nie dał się spłoszyć krzykami, i owszem sprawę dalej prowadząc, kazał na sejm wnieść proces braci Samuela o zbrodnicze zamachy obwinionych. Burzyła się po zwyczaju Izba poselska, ale Senat dotrwał przy prawie i powadze majestatu, snać dzielnością królewską ujęty; dopomagała mu też pewno do tej rezolutności gwardya węgierska, którą król miał na swoje rozkazy i która w świeżej potrzebie z Moskwą tak znaczne oddała usługi.

*

*
*

*

Był to ostatni, całkowity nad anarchią tryumf. Bo choć i później zdarzały się z nią walki uwieńczone zwycięstwem rządu, jednak nigdy tak stanowczem, aby winowajcy odnieśli to, na co zasłużyli. Zazwyczaj rząd miał dosyć siły, aby zwyciężyć, nie miał jej, aby ukarać. Zwycięzcy nie pozostawiała inna rola, jak wspaniałomyślnie przebaczyć; buntownicy wracali spokojnie do domów, tylko w Rzpltej nigdy odtąd spokoju nie było. Taki właśnie przebieg walki zdarzył się w słynnym rokoszu Zebrzydowskiego, o którym z kolei wspomnieć nam przychodzi.

Statkiem i odwagą królewską, w bitwie pod Guzowem, zwycięstwo przechyliło się na dobrą stronę, rokoszanie na głowę pobici; Herburt z wieloma ujęty, Djabeł Stadnicki pospiesznie na Ruś ucieka, Zebrzydowski przez trzy miesiące kryje się w celi klasztornej; tylko Radziwiłł Janusz, choć z dobrze podszarpianemi hufcami, ratuje się na Litwę, by tam nowe robić zaciągi i albo odwetu poszukać, albo przynajmniej zapewnić sobie bezpieczeństwo. Król dał polecenie Chodkiewiczowi ścigać Janusza. Wprawny wódz żwawo za niedobitkami następował i tak zręcznie ich pocztami swemi ścieśnił, że Radziwiłł w żaden sposób o swojem wzmocnieniu i wojny domowej odżywieniu myśleć nie mógł. Nie stracił przeto rezonu ani przeświadczenia o nietykalności swojej osoby. Gdyby Batory był siedział na tronie, możeby pan podczaszy litewski i pan wojewoda krakowski przypłacili głową swą butę, albo co najmniej banicyą, ale za Zygmunta inne były czasy: panowie Rada bardzo w pierze urosła. Zebrała się na nieszczęście taż Rada i na nią panek zuchwały wyprawia dworzanina swego ze skargą — na Chodkiewicza. Powiada tedy w swym liście, że czekając skutecznego uleczenia uraz Rzpltej, o wznawianiu rzeczy i zbieraniu gromad nie myślał, ale spokojnie w swoim domu chciał siedzieć. „Tymczasem wiadomość wzięłem (pisze on), że *prywatny mój nieprzyjaciel*, któremu, jako żywom, nietylko przyczyny żadnej ale i okazji do niechęci nie dał, *sieci na mnie narzucać począł*. I kiedym widział... że zamiast na postronnego iść nieprzyjaciela, on wojsko zbierać i *in centro* królestwa na Podlasiu, gęścińce wszystkie niemal zajmując, rozkładać począł, przyszło mi też radzić o sobie, i ludzi nie do zaczepki, lecz na odparcie gwałtu, według ziemiańskiego przemożenia mego, przysposobić, jakobym w sieci te na się zastawione, z ubliżeniem honoru mego lada-

jako siebie wciągnąć nie dał.“ A zabiegając w tej ostatniej chwili, aby co szkodliwego na Rzpltę nie przyszło (śmie to pisać po dwuletnim rokoszu), odzywa się do panów radnych, „abyście wspomniawszy sobie na przodków moich szczerze i szczęśliwie względem Rzpltej posługi, zabezpieć temu raczyli, iżby mnie szlachcicowi w wolnej Rzpltej urodzonemu i prawem żadnem nie przekonanemu, krzywda w niczem się nie działa.“ Posłaniec zaś w imieniu pana swego dodał: „Oświadczam się książe przed Bogiem, oświadczam przed Waszmościami, że przyczyny daję, lecz przymuszony na koń siedzieć, a przykładem przodków swoich i trzymając się zwyczaju swego, nieprzyjacielowi placu nie ustąpi.“

Tak przemawiał do senatu zwyciężony i do ostateczności już prawie przywiedziony buntownik. A cóż senat na to? . . . Coby począł w takim razie senat wenecki lub jakaś inna najwyższa magistratura krajowa. Kazałaby postąpić jakby tego wymagały powaga rządu, prawo i bezpieczeństwo Rzpltej. Ale u nas inaczej: *uściskajmy się i niech będzie temu koniec!* Słusznie przestrzegał X. Piotr Skarga naszych mężów stanu: „Nie kuście się o weneckie rządy, bo weneckich rozumów nie macie.“ Senat wyprawia dygnitarza „*obu stronom przyjaznego*.“ aby hetmana z Radziwiłłem pojednać. Wprawdzie odpisując Januszowi uprzedza go Senat, że Chodkiewicz nie z prywatnej jakowejś zemsty, ale z rozkazaniami J. król. Mości na niego następuje, nie mniej przecież i o tem donosi, że hetman otrzymał polecenie, aby się już więcej Radziwiłłowi nie przykrzył, ale do zgody i do braterskiego afektu podał rękę. I tak się stało. Radziwiłł w odpisie swym senatowi przyrzekł wszelką powolność, z Chodkiewiczem pojednał się powierzchownie; potem, jakoby dla słabości zdrowia, nie mogąc osobiście jechać do Krakowa, króla za bunt listem przeprosił. „Zakończyła się (pisze historyk, z którego te szczegóły wyjmujemy) ta dwuletnia scena ogłoszeniem powszechnej amnestyi, to jest zwyczajną w Polsce wszystkich publicznych gwałtów, zuchwalstwa przeciw królowi i niesprawiedliwości satysfakcją. Poszedł kraj w ruinę, rozlało się krwi obywatelskiej wiele, interesa publiczne, mianowicie inflantskie, zgoła zaniedbane; panowie zaburzywszy kraj, dali sobie dobre słowo nie serce. A mądry pomyślał: „na co było tyle zachodów, kiedy każdy przy swoim został.“

I odtąd też każdy przy swoim zostawał, choćby niewiedzieć jak w Rzpltej warcholił i niewiedzieć ile względem Rzpltej zawinił; i odtąd też nie było zdrady, nie było tak ciężkiego przeciw ojczyźnie zaniedbania lub wzruszenia pospolitego pokoju, któreby za sobą karę pociągnęły. Za Władysława IV, pan Samuel Łaszcz chodził w delii, którą dla fantazyi podszyl dekretemi bannicyi na siebie wydanemi, a było ich trzydzieści kilka. — Za Jana Kazimierza, Radziejowski Szweda a za nim trzech innych nieprzyjaciół na Rzpltą sprowadził, ojczyznę popchnął w przepaść nieszczęść, z której się już więcej nie dźwignął; przez ciąg sześcioletniej wojny, przez tego łotra wywołanej, stracił kraj czwartą część swej ludności z wojny, głodu, powietrza a najbardziej. że się za granicę wynosiła, szukając pewniejszego przytułku. Niemniej dlatego spotkała go niechybna amnestya, „ta zwyczajna w Polsce gwałtów publicznych satysfakcya;“ i owszem ledwo się wojna skończyła, ułaskawiony zdrajca jechał do Sambułu w randze ambasadora J. kr. Mości. — Na początku tej wojny szlachta wielkopolska, w 20,000 zebrana, zawarła na swoją rękę pokój ze szwedzkim jenerałem, nie troszcząc się wcale o króla i rząd jego. i dając w ten sposób najhaniebniejszy przykład do tylu innych równie haniebnych w epoce tej odstępstw. I to uszło bezkarnie. — Smoleńsk, najpierwszą w Polsce fortecę Rzpltej, wrota od wschodu, której Zygmunt III przez trzy lata dobywał. Filip Obuchowicz z Lipy, wojewoda smoleński, poddał carowi (1654), mając przeszło 4000 doborowej załogi; zaczęła Moskwa po całej Litwie wnet się rozlała. Kasały go za to „po grubiańsku“ *Zoile*. „Nie gniewaj się Waszmość (pisze jeden z nich), że ja tobie tytułu wojewody smoleńskiego nie daję, bo dając go, zelgałbym; kiedyście bowiem Smoleńsk oddali, toście i tytuł swój przedali. *Lepiej było panie Filipie, siedzieć tobie w Lipie*. A teraz gorzej się z tobą stało, niż gdybyś w nowy kozuch ubrany, ugrzązł w gęstem błocie, bo wpadłszy w złe rozumienie i obmowy ludzkie, w sromotę, siedzisz jak dzieciół w dziupli spruchniałego drzewa: Co my durni ludzie w kozuchach siedm lat niegdyś Smoleńsk zdobywali, to wy mądrzy ubrawszy się w sobole, za czternaście niedziel go oddali. Powiadają ludzie, że za mniejszą winę nastraszono nieboszczyka Ościka, za to tylko, że nieostrożnie karteczkę do Moskwy napisał. A my i cara w nogę całowali i grosze pobrali, a bez mała nie minie nas to,

co z tantym się stało. Pan Gosiewski nie wiele po łacinie umiał, a jednak z mniejszym ludem, z mniejszym aparatem wojennym i z mniejszą żywnością Smoleńsk obronił. — Nie sprawdziły się groźby „*paszkwilantów*,” jakoby los Ościńska miał dotknąć pana wojewody. Wprawdzie zapozwano go przed sąd sejmowy, ale sejm nie miał czasu zajmować się taką fraszką; byli też ludzie, co go zasłaniali i do końca życia zasłonili. A we dwa lata po śmierci Obuchowicza wyszła konstytucya sejmowa, która z potomków jego i spółwinowajców wszelką zdjęła odpowiedzialność. „Ponieważ *ex manifestis probationibus* (słowa są uchwały sejmowej z r. 1658) i z inkwizycyi *per scrutatores* na teraźniejszym sejmie *clare patuit*, iż *non ex aliquo conductamine* z nieprzyjacielem . . . ale z pewnych defektów . . . zamek smoleński w ręce nieprzyjacielowi przeszedł, przeto jako sukcesorów wojewody smoleńskiego tak i obywateli smoleńskich *liberos et innocuos pronuntiamus*.“

Były więc „defekta,” ale nie znaleziono ich godnemi kary; bezkarność i anarchia stały się odtąd systemem Rzpltej, zaczęły i owe „defekta” wracać musiały, z których zawsze jakaś szkoda na kraj się rozlewała. I odtąd, czy hetmani odmawiali posłuszeństwa królowi i na swą rękę z postronnymi prowadzili negocyacye, czy podskarbiowie bogacili się groszem publicznym z krzywdą ubogiej Rzpltej, czy w czasie wojny umawiano się z zewnętrznym nieprzyjacielem naprzeciw własnemu monarsze, a wewnątrz kraju trapiło zajazdem spokojnych obywateli; — wszystko uchodziło płazem. tonęło w braterskiem *kochajmy się*, — wszystko zamazywała jakaś pacyfikacya lub ogólna amnestya, a wreszcie na wszystko znajdował się nieomylny sposób: *liberum veto* i zerwanie sejmu, ta najwyższa bezkarności sankcyja!

*

*

*

Pierwszą najszczytniejszą funkcją każdego rządu, od Boga nań włożoną, jest straż sprawiedliwości „aby ci (jak mówi jeden z ojców Kościoła), których nie wstrzymuje bojaźń kary Bożej, grozą miecza świeckiego do poszanowania praw przymuszani zostali.” Od tego wysokiego zadania żaden rząd bezkarnie uwolnić się nie może. Jak armia, która się bić nie chce, staje się motłochem godnym pogardy, jak Kościół, który zaniedbuje modlitwy i ofiary przestaje być Kościołem i godzien jest aby go

ludzie zdeptali, tak też i rząd, który sprawiedliwości nie strzeże, sprowadza na siebie i na swych poddanych klęski nieobliczone, nie ma racyi bytu i drugiemu miejsca ustąpić musi. Tak się też stało i z dawnym rządem Rzpltej: ustąpił miejsca sąsiadom. — Wszystkim pamiętna jest głośna sprawa zabójstwa owej młodej pani, która stała się bohaterką jednego z najpiękniejszych poematów polskich. W dawnych trybunałach naszych nie było kary na możliwych winowajców, więc i tym razem omal nie skończyło się wszystko na podarku dwóch wsi, którymi ojciec zabitej chciał się pocieszyć z łaski zabójcy. Ale w tym czasie, ziemia ruska, gdzie ta zbrodnia została spełnioną, przeszła pod obce panowanie. Nowa monarchini, Marya Teresa, kazała ściśle jej dochodzić, trybunał ogłosił wyrok śmierci. A gdy sprawca jej trucizną od haniebnego śmierci wołał się uwolnić, cesarzowa kazała wyrok na trupie wykonać. — Podobnie w epoce pierwszego rozbioru toczył się w Warszawie głośny proces królobójców. Opinia publiczna, jak to u nas zwyczajne, wzięła ich w swą opiekę; widziała w nich, jeśli nie bohaterów godnych uwielbienia, to w każdym razie godnych litości, i nie oni też, ale król zdawał się być winnym. Nie śmiał Stanisław August domagać się na nich kary, owszem sam za ich ułaskawieniem przemawiał, i dopiero na stanowcze żądanie obcych rządów, Austrii i Rosyi, jeden z królobójców swą zbrodnię gardłem przepłacił.

* * *

Moglibyśmy i poza czasy dawnej Rzpltej przeciągnąć ten bolesny obraz naszej opłakanej niemocy w wymierzaniu sprawiedliwości. Wszystkim wiadomo, jak w czasie wojny 1831 r., rząd nie ukarawszy jak należało generała Jankowskiego i jego towarzyszy za ciężkie uchybienia wojenne, rozdrażnił w stolicy opinią publiczną, zaszczerpił nieufność, wywołał podejrzenia zdrady i w ten sposób, mimowolnie, dał początek owej pamiętnej nocy 15 sierpnia, która koniec położyła powstaniu. Był to jeszcze jeden dowód, że owa chorobliwa, nieporadna miękkość, ów zakorzeniony system bezkarności, który najlepsze siły rozstraja i trwoni, przeżył u nas czasy upadku kraju. Ale na co się przyda minionych dziejów smutne rozpamiętywanie, kiedy i dzień dzisiejszy nie mniej dostarcza przykładów. Owszem dzisiejsze przykłady jeszcze smutniejsze jeśli to być może od dawnych. Bo dawniej

choć publiczne zbrodnie uchodziły bezkarnie, prywatnych zazwyczaj dosięgała kara, — dziś i to już wątpliwe. Dawniej mówiono: małych złodziei wieszają, wielcy bezpiecznie biegają; dziś i wielkim i małym nic złego się nie dzieje. *) Nie przeczymy, że była w dawnych wiekach zbyt sroga kara, zresztą twar- dością życia i obyczajów dość usprawiedliwiona; ale chociaż mogły być potrzebne pewne zwolnienia, to jednak nie do tego stopnia, aby odjąć karze należną jej grozę a społeczeństwu nieodzowny na złych hamulec. Nie przeczymy, że w dawnym systemie więziennym pożądane były pewne reformy, ale jednak nie tak daleko, aby więzienia zmieniać w wygodne dla złoczyńców pomieszczenie, aby one wszystkie ich potrzeby w taki sposób zaopatrywały, jakiego nie zazna człowiek biedny, z mozołem na chleb swój zarabiający. Nie dawno temu pisał z więzienia lwowskiego młody złoczyńca do matki swojej, chwając się jak mu na niczem; nie zbywa, jak się z nim dobrze obchodzą, jak rad jest, że się tam dostał. „O mój synaczku, odpisała mu matka, pilnujże się, abyś tak dobrego miejsca nie stracił.“ To też nie u nas zwyczajniejszego nad to, że gdy złoczyńca swą karę odsiedzi, opuściwszy więzienie postara się, by doń wrócić czem prędzej **).

*

*

*

*) Wartoby większą uwagę zwrócić na tę chorobliwą litość, która się zawsze lituje nad zbrodniami, nigdy nad społeczeństwem. W procesach kryminalnych spostrzedz można, że byleby winowajca miał coś szlachetności, zaraz sympatyę wszystkich kobiet pozyska; już gotowe go bronić i uniewinniać i wpływ ich bywa tak silny, że nieraz swego dokazą. Właściwe to uczucie, że się do indywiduum przywiązuje i zasada nawet najwyższa o tyle tylko doń przemawia, o ile przez indywiduum bywa reprezentowana. Ta okoliczność sprawia, że natury uczuciowe do wymiaru sprawiedliwości najmniej są zdolne. Sprawiedliwość jak polityka musi wyłącznie przestrzegać zasady, a wszelkie na tem polu zboczenie ciężko przypłacić potrzeba.

**) Nie idzie o to tylko, aby więzienia uczynić twardszemi, choć i to ze wszelkich miar potrzebne, ale i o to, aby one istotnie dążyły do umorabienia skazanego. W ten tylko sposób więzienia odpowiedzą swemu nazwisku: dom po- prawy i kary. Na tem polu w więzieniach galicyjskich,

Instytucja przysięgłych, która zabezpieczając los niewinnych, miała zapewnić na winowajców należną karę, wymierzoną już nie wedle martwej skali poszlak lub dowodów, ale według żywego sumienia sędziów, stała się w naszych czasach i nie w jednym podobno kraju, prawdziwem *refugium pectorum*. Bywają wyroki, które świadczą że w sumieniu przysięgłych zasady prawa i moralności głęboko zostały zachwiane, i że ci, którzy rygorem kary mieli wzbudzić poszanowanie dla własności, rodziny, władzy i Kościoła, sami dla tych najwyższych w każdym narodzie instytucyj bardzo małe mają poszanowanie. Bywają przysięgli, których orzeczenia każą żałować, że winowajca pociągnięty został do odpowiedzialności; bo jeżeli źle jest zostawić występki bez kary, to stokroć gorzej doczekać się wyroku, że on na karę nie zasługuje. Sędzia, który w ten sposób pełni swój urząd wysoki, nierównie winniejszy jest od złodzieja lub mordercy. Bo ci choć kradną i zabijają to jednak pokryjomu i tem samem jakieś jeszcze uznanie sprawiedliwości oddają; tamten przeciwnie, wobec światła i z władzą najwyższem otoczoną dostojenstwem, albo zupełnie zbrodnie uniewinnia albo tak lekko się z nią obchodzi, że sama kara staje się do zbrodni podniętą. Że takie wyroki są dla sumień ludzkich zgorszeniem, dla organizmu społecznego trucizną, tego zbyt często dowodzić; ale jeżeli niewolno jest sędziów i sądy oddawać pod sąd, to zaprawdę domagać się wolno i należy, aby je zastąpiono innemi, bezpieczeństwu publicznemu lepiej odpowiadającemi.“

I.

Przypadek który nazwiemy szczęśliwym, zapoznał nas z powyższemi od niechcienia na papier rzuconemi notatkami, jednego

z wyjątkiem Wiśnicza, wszystko jest jeszcze do zrobienia. Byłoby rzeczą nader pożądaną, aby sejm krajowy zajął się tym przedmiotem i wyznaczył komisją z ludzi sumiennych, specjalnych do zbadania stanu więzień i projektowania ich reformy. Ogłoszone niedawno prace hr. Andrzeja Zamoyskiego o *systemie więzień irlandzkich*, byłyby nader szacowną wskazówką dla takiej komisji.

z przyjaciół *Przeglądu Polskiego*, a głębokiego badacza dziejów ojczyźstych. Zbyt one odpowiadały wewnętrznemu naszemu usposobieniu, jakiemuś uczuciu, nie umiającemu znaleźć na zewnątrz wyrazu, a przecież trapiącemu zakątek ducha, w którym siedziła sumienia, aby mogły pozostać w tece autora; wydobyliśmy je też z niej i dzielimy się niemi z czytelnikami naszymi. Jednocześnie stały się one dla nas ową kroplą, która przelewa napełnione naczynie owem czemś, które tak często w życiu nadaje formę tłoczącym się uczuciom i gromadzącym się myślom, owem *fiat* niezbędnem czy to w wielkich czy małych rzeczach, jednem słowem uporządkowały one owe trapiące nas uczucia, owe tłoczące się myśli o nowej chorobie dzisiejszego organizmu społecznego, którą odczuwaliśmy a którą dwa określają wyrazy — nowoczesna bezkarność! Mniemamy, i zaiste nie mylimy się, że nie sami odczuwamy ową chorobę, lecz że raczej to nasze poczucie jest tylko następstwem ogólniejszej, powszechniejszej potrzeby całej pozostałej jeszcze gromady uczciwych ludzi, której pierś szlachetną przytłacza to samo co nas oburzenie i przerażenie na widok owego społecznego objawu nowoczesnej bezkarności.

Bolesne i smutne sprawia wrażenie, bolesne i smutne budzi uczucia powyższy zwrot do dziejów naszych i to stopniowe a jednoczesne rozwijanie się w naszym narodowym organizmie, wskazanego tam złego z upadkiem politycznym, z upadkiem ojczyzny. Bolesne i smutne, aby nie powiedzieć rozpaczliwe, bo przypomina wyrażnie, że przyczyna główna upadku nie tkwiła tyle w zewnętrznych okolicznościach, jak raczej w wewnętrznym organizmie, nie tyle w otaczającym nas świecie jak w świecie nas samych, nie tyle we wrogach jak raczej w największym z wrogów, gdy wrogiem jest, w sobie samym, nie tyle w nieprzyjaznych wypadkach jak w własnym narodowym charakterze. Nie zewnętrzna to choroba trapiła nas i do śmierci doprowadziła, lecz choroba krwi zakorzeniona, a której jeżeli nie całą treścią to najważniejszym, najstraszniejszym objawem, była nie wątpliwie owa bezkarność, w której rozmiłowaliśmy się, jakby w jednej ze swobód Rzeczypospolitej, do której nawykliśmy tak, iż jej zatrutej atmosfery nie byliśmy już w stanie odczuć, a która przecież truła i toczyła ciało ojczyzny aż się w kilka części rozpadło!

Widzimy z powyższego rysu dziejów naszych jak stopniowo bezkarność powiększała się i wzmacniała z upadkiem narodu, z upadkiem społeczeństwa i ze zbliżaniem się ostatecznej katastrofy. Była ona oznaką, symptomem upadku, była owym zwiastunem zawalenia się gmachu i widocznym dla niezaslepionych dowodem, „że jest coś chorobliwego w Danii.“ I w samej rzeczy do tego stopnia doprowadzona, rozwielniająca się zuchwale wobec sumienia publicznego, tak iż stała się nie wyjątkiem, ale zwykłym stanem społeczeństwa, była ona już zarazem przyczyną i skutkiem osłabienia ogólnego, rozprzężenia wszelkich węzłów, prostracy i zgnilizny, po których nastąpił, bo nastąpić musiał, rozkład czy też jak go dzieje nazwały, rozbiór. Strasznie, bezprzykładnie w historii upadło to społeczeństwo, upadł ten naród, który przecież tysiąc lat o własnych stał siłach, nie bez chwały i względnej wielkości; upadł nie dla braku przymiotów i cnót, których mu najzaciętsi wrogowie nie zaprzeczają, lecz w skutku zbytniego rozwielnienia się w nim pewnych zabójczych wad a więcej jeszcze w skutku miękiego z nimi obchodzenia się, niedostatecznej walki, zbyt słabej przeciw złemu reakcyi, a między temi wadami, kardynalną bezsprzecznie była owa bezkarność, której bogdaj czy nie bezpośredni następstwem był nie tylko straszny, ale pod wielu względami sromotny upadek.

Niewprawny budowniczy oglądając stary gmach nie łatwo rozpozna czy pewny i bezpieczny; umiejętny i wytrawny, wypowie pod tym względem stanowcze zdanie, a to dla tego że pierwszy nie potrafi rozóżnić porysowań murów, drugi umie odgadnąć doniosłość każdego z nich. Są porysowania w murze bez znaczenia i doniosłości, które nie zatrwożą wprawnego oka umiejętnego budowniczego, są to bowiem po prostu porysowania ścian, nieuniknione następstwa czasu, dające się łatwo naprawić, są inne przecież, które zwrócą jego uwagę, zastanowią go i w końcu nakażą mu odsądzić budynek od dalszego użytku, grożą one bowiem zawaleniem, bo sięgają aż do fundamentów, których osłabienie ich jedyną przyczyną.

Któż z myślących ludzi patrząc na dzisiejszy gmach społeczny, który pomimo ciągłych gorączkowych napraw i hosmanowskich upiększeń, wciąż trzeszczy i co chwila, to z tej to z owej strony grozi głowom mieszkańców, nie starał się zbadać

jego rzetelnego bezpieczeństwa i rzeczywistej trwałości, nie starał się dociec czy i o ile ozdoby jego nie ukrywają bliskiej katastrofy zawalenia? Wielką sztuką w tem badaniu jest właśnie rozróżnienie zewnętrznych bez doniosłości porysowań od tych, które od fundamentów pochodzą, a jeżeli nie godzi się ani też jest uczciwem i użytecznem straszyć lokatorów fałszywemi alarmami, to z drugiej strony zbrodnią jest nie przestrzedz ich o porysowaniach świadczących, że podwaliny zgniłe, lub że się rozpadają.

Nie raz już przyszło nam w tem piśmie, zwrócić uwagę na oznaki zatrważające a raczej zapowiadające upadek dziejowo bliski, dzisiejszej apoteozowanej cywilizacji. Wprawne i zdrowe oko wśród wszystkich świecideł, któremi otoczono tę cywilizację, dostrzeże niewątpliwie osłabienia, opadnięcia, zgnilizny, dostrzeże onych porysowań sięgających aż do fundamentów a każde wprawne i zdrowe ucho, wśród gwaru reklam i szabasu uwielbień świata dzisiejszego dla siebie samego, dosłyszysz pewnych szmerów i odgłosów świadczących o obsuwaniu się murów. Między temi licznemi oznakami, nad któremi nie dalej jak w zeszłym roku zastanawialiśmy się na tem miejscu, coraz wyraźniej, coraz straszniej i tragiczniej odrysowuje się na murach gmachu owa bezkarność, na którą przychodzi nam dziś zwrócić uwagę, a która zaista nie jest nieznaczącem i bez doniosłości porysowaniem ścian, lecz szczeliną idącą od fundamentów do szczytu, a świadczącą o rozpadaniu się podwalin. Bezkarność, to ta sama (aczkolwiek, jak to okażemy niżej, stokroć niebezpieczniejsza obrzydliwsza i gorszego nierównie pochodzenia) która była zapowiedzią upadku Polski, coraz bezczelniej rozwiela się i zdobywa sobie przeważne miejsce, już nie w jednym narodzie, ale w całym organizmie społecznym naszego świata żyjącego dzisiejszą cywilizacją, pod wpływem górujących wyobrażeń, przekonań i obłędów, słowem pod wpływem tegocześnie go liberalizmu, wszechpotężnego, bezwzględego, despotycznego — maszyny tyrana. Władca ten dzisiejszych wyobrażeń i przekonań ludzkich wśród upojenia wszechwładzy nie powinienby odwracać lub zamykać oczów na owe *mane tekel fares* odrysowujące się coraz wyraźniej na ścianach, jego od złota kapiących gmachów, tem więcej — a może przemówi to do jego bezwyznaniowych i wolnych od przesądów pojęć — że nie są to ani

przepowiednie ani kabalistyczne znaki, lecz objawy naturalne, dające się rozumem zmierzyć, dające się poniekąd podciągnąć pod matematyczne formuły, a świadczące, że budowlę grozi niebezpieczeństwo. Jedną z takich oznak jest bezwątpienia owa nieraz zdumiewająca nowoczesna bezkarność. Wszechwładni dzisiejsi, ci którzy przewodniczą i podlegają zarazem liberalizmowi, którzy wyzyskiwać przez niego, usiłują go o ile się da wyzyskać i tą grą ciągłą są chwilowemi panami świata, ci wszyscy nareszcie, którzy rozkoszują w dzisiejszej cywilizacji i dzisiejszych wyobrażeniach i którzy palą przed nimi jakby przed bożyszczami kadzidła, a którzy z takim upodobaniem naigrawają się bezustannie z Polski i jej przeszłości, niech spojrzą na upadek Polski, na Polskę upadłą, której nie oszczędzają kopnięcia osła i niech się zastanowią nad jej historią, już nie z nienawiścią do niej, ale ze zwrotem do dzisiejszego ogólnego stanu społeczeństwa; niech rozważą, powyższe szczegóły jej dziejów, a przekonają się może wtedy sami, że wkradająca się w ich bezwyznaniowo-liberalne społeczeństwo bezkarność, nie jest czem innem jak złowrogą dla nich i ich dzieła zapowiedzią; im większy jej stopień, tem pewniejszy, tem prędszy koniec tego porządku rzeczy, który duma i pycha ludzka mniemają być coraz doskonalszym i silniejszym. Jeżeli bezkarność w jednym narodzie była oznaką jego upadku, o ileż w łonie ogólnej cywilizacji jest ona sroższego zamętu i straszniejszych kataklizmów zapowiedzią! Jak porysowanie murów jest skutkiem innego złego, które tkwi w podwalinach, tak samo wielka dzisiejsza rysa społeczna bezkarności ma swoją głębszą przyczynę.

Jednem z głównych znamion świata dzisiejszego jest coraz większe, niemal już dziś zupełnie pomieszanie pojęć moralnych. Od chwili jak nie tylko, że powstała, ale wolny a poniekąd tryumfujący ma bieg idea, że społeczeństwo obejść się może bez religii, pomieszanie to było nieuniknionem, osiągnąć ono musiało wszystkich kierunków życia, a tem samem i wielkiej sprawy, sprawiedliwości na ziemi; ludzie puszczeni samopas, bez wiary i obawy wyższych, nadprzyrodzonych czynników, pozostawieni sami sobie, bez przewodnika, bez nici Ariadny, w wielkim labiryncie świata moralnego, błąkają się w nim i we wszystkich jego zakątkach — błądzą. Jedyną podstawą moralną w naszym świecie była idea chrześcijańska, wiemy ile dołożono

usiłowań, jak wciąż jeszcze zawzięcie pracuje się nad jej usunięciem, a im to dzieło dalej postępowało i postępuje, tem większy musiał powstawać chaos i zamęt w wyobrażeniach i przekonaniach, tem większy, że jak już dawniej zauważaliśmy, nie zastąpiono ani też nawet pomyślano o zastąpieniu owej niezbędnej, bo jedynej podstawy, inną, nową, lepszą. Kierunek ten niszczący, jedyną podstawę moralną świata, bez troski i zamiaru zkańdolkowiek, zastąpienia jej inną, jest najwyższym a jedynym w dziejach wyrazem destrukcyi. Działanie tej ultradestrukcyjnej dążności sprowadzić musiało chaos w dziedzinie moralnej, jakby podobnie silny destrukcyjny kierunek w dziedzinie materyi i tam sprowadził i temu to powstałemu już chaosowi przypisać należy nie tylko pomieszanie wyobrażeń o słuszności i niesłuszności o poczuciu prawa i sprawiedliwości, ale także zachwianie się samej sprawiedliwości w jej najwyższej czynności, w wymiarze kary. Trudno zaiste wymierzać karę, gdy się nie ma jasnego i pewnego pojęcia o karygodności, gdy się jest zachwianem w przekonaniu o tem co karogodnem, gdy się nie ma zdrowego niezamąconego wyobrażenia o odpowiedzialności człowieka już nie tylko wobec społeczeństwa, ale przede wszystkim w obec wyższego prawa moralnego. Inaczej zaś być nie może, od chwili jak ludzkość stała się sama sędzią nadprzyrodzonych praw i pozbyła się wszelkiej wyższej reguły życia, tak niezbędnej dla podpory jej wrodzonej słabości i niemocy. Wszystko na tym świecie dziwnie się z sobą wiąże i spaja, a od chwili jak rozpowszechniło się przekazanie że społeczeństwo ludzkie istnieć może bez pomocy wyższych czynników, to jest bez jakiejkolwiek nadprzyrodzonej religii, szerzy się też nieznacznie, powoli, ale nie mniej wyraźnie i przerażająco jakieś chorobliwe poczucie, że obejść się ono może bez sprawiedliwości i bez kary, a tak bezwyznaniowość i bezkarność są rodzonemi siostrami a obsługują je ci sami kapłani. Bezwyznaniowe prawodawstwo doprowadzić musi ostatecznie albo do prawnego mordu, albo do bezkarności. I zważmy że jeżeli w jednym kierunku przeważające dziś wyobrażenia bezwyznaniowo-liberalne, pozbawiając społeczeństwo i człowieczeństwo wszelkiej religii, doprowadzają destrukcyą człowieczeństwa aż do zwierzęcości, to z drugiej strony do tego samego dochodzą następstwa wprowadzając bezkarność, która także jest znamię zwierzęcości, zwierzęta bowiem żyją bez sprawiedli-

wości i kary pozbawieni w życiu swem ograniczonem wynikającego z nich bezpieczeństwa, dla tego, że im je dać nie może wyższa moralna siła.

Przecież pomimo przewrotności, kłamstwa, upadków i spośleń, natura ludzka, jak ma w sobie samej uczucie konserwacji ochraniające ją od materyalnych niebezpieczeństw, tak samo posiada w sobie coś co ją broni i ochrania przed ostatecznem zezwierzęceniem; to coś, jest stokroć większem i silniejszym w zbiorowem człowieczeństwie, które się zwie społeczeństwem; ile razy ludzkość zbliża się do granic zwierzęcości, tyle razy w skutku owego czegoś tkwiącego w niej samej, a które jest po prostu wstrętem przed zbydłęcieniem, odskok jej jest gwałtowny; zbaczając bezwiednie, jak w dzisiejszej epoce, z drogi człowieczeństwa kroczy jakis czas drogą prowadzącą do zezwierzęcenia, aż dojdzie do ostatniego kresu, do granicy, od której cofa się instynktownie z przerażeniem, to cofnięcie się w tył, jest naturalną, nieuniknioną reakcją. Podobny nie zbyt dawny przykład mieliśmy po zwierzęcych wypadkach, pierwszej wielkiej rewolucyi francuskiej. Nim jednak dojdzie się do kresu, postępuje się ową drogą zwierzęcenia zwykle nieznacznie, niespostrzeżenie, bezwiednie, lecz zawsze i niezmiennie, wkracza się na nią tam, gdzie niknie z przed oczu społeczeństwa drogoskaz moralny, wiara i religia. Tak się stało w starym świecie, gdy poganizm stracił swą moc moralną, tak się stało przed rewolucją francuską, kiedy filozofia ośmieszyła dogmatyczną wiarę. Natura ludzka jednak i w owych chwilach nie przestaje być ludzką, naginanie bowiem, nie jest przeistoczeniem, pozbawiona podstawy moralnej do której nawykła, instynktownie szuka jakiegokolwiek i gdziekolwiek, całkiem bez niej obejść się nie może i albo wtedy odszukuje jej u źródła wszelkiej prawdy, to jest w Bogu, jak się to stało przy upadku Rzymu, albo w chwilach, w których odwraca się od Boga a Bóg od niej, odnajduje ją w sobie samej, jak przed rewolucją francuską, kiedy religią zastąpiła mania filozoficzna; w pierwszych wypadkach ludzkość wkracza na wielki gościniec swoich przeznaczeń, w drugim zmierza nieco tylko dalszą drogą do owego punktu, do którego wcześniej czy później dochodzi a na którym przedstawiający się jej obraz zwierzęcości tak ją przeraża, że się w tył cofa.

Przy powtórnym szturmie przypuszczonym obecnie do idei chrześcijańskiej, szturmie dotąd tak pomyślnie prowadzonym acz jeszcze nie zwyciężkim, dostrzedz możemy objawów podobnych a potwierdzających nasze rozumowanie. Ludzkość w znacznej już części pozbawiona wiary zdrowej, silnej w dziedzinie świata moralnego, pozbawiona religii płynącej od Boga, zachwiana jednym słowem w swoich przekonaniach chrześcijańskich, doprowadzona do wiary w kłamstwo społeczeństwa, bez religii nadprzyrodzonej, a więc bardziej niż kiedykolwiek pchnięta na drogę prowadzącą do zwierzęcości, instyktownie, nerwowo, chwyta się przecież, jakichś pojęć wyższych, źle określonych, zbałamuconych i zamaczonych, jak zbałamucenie i zmaczonemi są jej wyobrażenia, lecz dzielących ją choćby na chwilę od królestwa zwierząt i tak sama, wytwarza sobie jakąś wiarę, w którą nie wierzy, lecz radaby z biedy w nią wierzyć, jakąś, jeżeli już nie boską, to ludzką religię, I oto zamiast prawdziwych pojęć wyższych i moralnych, zamiast odwiecznego stosunku, człowieka do Boga, a z niego dopiero wynikającego stosunku człowieka do ludzi, wytwarzają się owe chorobliwe, źle określone, śmieszne i zgubne a przecież nie pozbawione smętności i tęsknoty za czemś wyższem, wyobrażenia humanitarne i filantropijne, które tak przeważny, tak złowrogi i tak stanowczy wywierają wpływ na sprawę, którą się zajmujemy, że je nazwać możemy chrzestnemi rodzicami bezwyznaniowej bezkarności.!

Zastąpienie religii boskiej religią ludzką, musi zawsze pociągnąć za sobą nienniknione następstwa, a bliżej nierównie od religii ludzkiej do zwierzęcenia, jak od religii boskiej do ludzkiej! Stan wytworzony potrzebą chwilową a instyktowną, religii ludzkiej, jest to stan wyjątkowy, chorobliwy, chorobliwemi też zawsze muszą być wszystkie jego objawy. Już pod koniec wieku zeszłego, przytępiony zmysł religijny i moralny tak dobrze w rządach jak masach, zgłuszył tę zasadę, że kara jest expiacją występku i wywołał tę przesadną nad winowajcą litość, wobec której, nie ma litości ani nad ofiarą ani nad społeczeństwem. Dziś zaś w skutku wpływów humanitaryzmu i filantropii, w zamian uczucia sprawiedliwości opartego na zasadzie moralnej, wyrodziła się pewna sentymentalność nerwowa, pewna czułościowość i miętkość ochrzczona nazwą ludzkości! Karę za winy zastąpiła wyrozumiałość dla ułomności ludzkich, która

zwolna przeistaczać się poczyną w sympatyę dla winowajcy, a zamiast wielkiej i silnej zasady przebaczenia i łaski, zapanowało gorszące pobłażanie, które niczem innem nie jest, jak tylko u-uświęceniem na tej ziemi występku.

Chorobliwy ten wpływ chorobliwych uczuć i przekonań, jest bezpośredniem następstwem podkopania i zepsucia podwalin społecznych, i ogarnia on powoli, łagodnie, ale niemniej podstępnie, a coraz wyraźniej, dziedzinę sprawiedliwości społecznej a rozliczne jego korzenie wybujały w przerażający swoją potwornością kwiat, bezkarności. Zgubne, fałszywe, mylne pojęcia, których początek wskazaliśmy, wsiąkają we wszystkie części ciała społecznego i zarażyły już samą siedzibę sprawiedliwości. Z postępem i pod wpływem destrukcyjnych prądów dzisiejszej Europy, choroba bezkarności, rozszerza się coraz dalej, a jak dawniej rozprzegła ona i wywróciła nasz organizm polityczny tak dziś szarpie i niweczy ostatnie węzły społeczeństwa. Sprawiedliwość bowiem będąc reprezentowaną i wykonywaną przez ludzi, nie może ochronić się przed ogólnym wpływem górujących wyobrażeń i one to czynią ją coraz więcej pobłażliwą, humanitarną, filantropijną a ostatecznie ani karzącą ani karcącą. Doczekaliśmy się tego, że we wszystkich kierunkach swej działalności, sprawiedliwość przemienia się zwolna w instytucję dobroczynną dla złoczyńców.

Jakże przerażająco sofistycznym jest zawsze wpływ idei, których początek nie w prawdzie, ! Owe humanitarne i filantropijne idee, które zastąpić nadal mają wszelką wiarę i religię, powstały jedynie z apoteozy ludzkości, owego człowieczego bóstwa, stworzonego wycieńczoną wyobraźnią racjonalizmu; a przecież w naturalnym swym biegu dochodzą one do następstw i wyników, które niczem innem nie są jak tylko zamachem na ową ludzkość. W wymiarze sprawiedliwości i kary, doprowadzają one do osłaniania i oszczędzania złoczyńcy i zbrodniarza, do ochraniania ich, a tem samem nie tylko że krzywdzą ofiary, ale poniekąd dają premię za nowe zbrodnie i bezprawia, mnożą je tem samem, a tak powstałe w imieniu ludzkości, zadają same sobie kłam sromotny, bo oszczędzają jednostki ze szkodą i narażeniem bezpieczeństwa ogółu, owej ludzkości — Boga !

I tak się też dzieje. Zdenerwowana i obałamucona społeczność dzisiejsza wysila się we wszystkich kierunkach, aby złoczyńcę

ochraniać i skutki zbrodni jego uczynić mu jak najmniej przykre. Nie tylko w prawodawstwie, ale w całej działalności sprawiedliwości widoczną, wyraźną jest ta dążność, poczynawszy od filantropijnych urządzeń więzień, aż do narzucającego się wszędzie obcesowo społeczeństwu, zniesienia kary śmierci. Te względy rozliczne, ta pobłażliwość czułościowa, ta nieroztropna wspaniałościowość dla złoczyńców, ta troska o ich wygodę zarówno jak o bezpieczeństwo ich gardeł, to bezkarność legalna, uznana, zawotowana przez parlamenta, to już na dzisiejszem społeczeństwie zdobyty niejako przez złoczyńców przywilej; a tak w skutku dziwnej, lecz słusznej sprawiedliwości, owej wyższej rzeczy ludzkich, wiek który zniósł, wszystkie i wszystkich przywileje stworzył je jedynie dla złoczyńców. Gorsza jednak i bardziej przerażająca bezkarność innej natury i treści swita już na widnokręgu dzisiejszej cywilizacji. Mamy tu na myśli ową dążność w samym wymiarze sprawiedliwości uniewinnienia, lub przynajmniej oszczędzenia, już nie oskarżonego, ale winnego, dążność ułagodzenia i doprowadzenia do *minimum* kary. Kierunek ten sprawiedliwości coraz wyraźniejszy, bo wpływ na nią wyobrażeń filantropijnych wpływ atmosfery przesyconej humanitaryzmem coraz większy; nie tylko w urządzeniach i w prawodawstwie czuć się on daje, ale w samym wymiarze sprawiedliwości, w praktyce, a zawsze i nieodmiennie działa on na korzyść przestępcy, i uczy tłumaczyć na dobre tak sam występki, jak jego przyczyny i powody, ze szkodą społeczeństwa. Pod wpływem owych wyobrażeń sędziowie jakiegokolwiek oni są, drżą coraz więcej przed odpowiedzialnością, dla tego że nie mają o co ją oprzeć, że brak im potężnej podpory moralnej, a owo: *nie chcę brać na moje sumienie*, tak zwykłym jest obecnie, dla tego właśnie że sumienia coraz mniej w świecie, że zastępuje je czułościowa a sofistyczna filantropia. I zważmy dobrze, że nie jest to wcale owa szlachetna i łatwa do zrozumienia obawa ukarania niewinnego, którą sędzia zawsze winien być przejęty, nie tu obawa zbyt srogiego, zbyt nieludzkiego obejścia się z przestępcą, ze złoczyńcą, ze zbrodniarzem, którego wina, została uznana, dowiedziona, do której nawet sam się przyznał. Ludzie moralnie tak zmaleli, tak nisko upadli, że nieczują w sobie ani mocy, ani powagi, ani powołania, ani namaszczenia do karania. Nie tylko nieśmiało uderzyć ale nawet brak im siły do podniesienia ręki

dla wymiaru sprawiedliwości. To zawachanie się w wymiarze kary, nie w obec wątpliwości, lecz wobec dowiedzionego, uznanego czynu, pozostanie jednym z najbardziej charakterystycznych rysów epoki, a droga fałszu tak jest pochyłą, że nieznacznie lecz nie mniej znacząco, wachanie to zamieniać się poczyną w jakieś współczucie dla przestępcy, którego inaczej pojąć ani wytłumaczyć sobie nie można, jak tylko tajemną sympatją pokrewnych dusz, lub czemś w rodzaju *Wahl-Verwandschaft*. — Czyżby już świat, tak nisko upadł, iżby wszelkie wyłamanie się z pod prawa, choćby pięścią lub siekierą, choćby wytrychem lub wytrychowem sumieniem, miało znaleźć współczucie w tyłu pokrewnych duszach, żeby aż zabrakło surowych sędziów? W logicznem następstwie, niewątpliwie, dla zbyt wielkiej ilości przestępców nie byłoby sędziów.

Do czegoż to publiczne naigrawanie się za sprawiedliwości przez sprawiedliwość samą doprowadzić może, jeżeli nie do zabicia jej w samej istocie i treści, a więc do zastąpienia jej obroną osobistą i doraźnym wymiarem kary, czyli powrotem do stanu dzikości lub zwierzęcości. Sprawiedliwość weszła na drogę prowadzącą ją do samobójstwa. Srogie pomiatanie prawem, którego byliśmy i jesteśmy świadkami, dosięgło samej siedziby prawa i sprawiedliwości, a zasada i poczucie prawa poniewierane i zgębione w wielkich sprawach tego świata, zamierają i gasną w ognisku, bo w piersi sędziego.

Jeżeli dawniej oskarżano pochopnie sądy i sędziów o zbytnią surowość i srogość kar, przypisując je potężnym wpływom lub stronnicości, to zaiste dziś zawsze i nieodmiennie posądzićby ich można i to z większą może słusznością o pobłażanie, o względy o jakąś skrytą dla zbrodniarzy i przestępców, niewytłumaczoną sympatię, posądzićby ich można o uległość i schlebianie wyższym i potężnym wpływom, tylko że nie w wymiarze kar, ale raczej w zawieszeniu miecza sprawiedliwości i o schlebianie tem i uleganie wszechpotężnym wyobrażeniom wieku i epoki, a zarazem o obawę tak dziś strasznej niepopularności.

W prostem następstwie owej tegoczesnej plagi, owej zarazy bezkarności, dojść musimy do tego, że zbrodnia się rozwieli, zyska niejako prawo obywatelstwa, zbrodniarze mnożyć się będą, a w końcu zabraknie kata. Będzie to ostatnim wyrazem tej

destrukcyjności, która jak tkwi w wielu wyobrażeniach dzisiejszych, tak samo znajduje się w łonie bezkarności.

Bezkarności w samej sprawiedliwości towarzyszy inna, ściśle z nią złączona a jeszcze może groźniejsza, jaszczce wyraźniej zwiastująca upadek, bezsilność moralną i zgniliznę, bezkarność ze strony opinii publicznej; ona to oddziaływa tak zgubnie, tak chaniebnie na wymiar sprawiedliwości. Dzisiejsza tak nazwana, opinia publiczna staje niezmiennie po stronie nie tylko obwinnego ale winnego, nie tylko winnego ale skazanego, nie tylko skazanego, ale i unikającego kary, ona go otacza swemi skrzydłami opiekuńczemi i w imieniu liberalizmu i filantropii, zdaje się wołać do sędziów; nie karzcie, jeżeli nie chcecie być potępionymi. W każdym niemal procesie głośniejszym, znika wnet z widowni pokrzywdzony, a głównym bohaterem dramatu, który skupia całą sympatyę widzów, staje się krzywdziciel. A tam i w tem gdzie zwykła sprawiedliwość osiągnąć nie może, lecz gdzie opinia publiczna ma moc karcenia i karania, czyż widzimy wymiar sprawiedliwości! Zaniechano go, i nie ma już ludzi, którymby nie podawano ręki, nie dlatego zaiste aby nie było takich, którymby ręki podać nie należało, ale dla tego, że nie ma już takich, którzyby jej nie podawali. Obydwie te bezkarności schodzą się w jednym celu w jednej myśli, a raczej bezmyśli, bo ich początek ich przyczyna ta sama, brak podstaw moralnych obydwie podają sobie ręce, aby powoli zatrzeć różnicę między winowajcą a niewinnym, między zbrodniarzem a cnotliwym, między złoczyńcą a uczciwym człowiekiem i sprowadzić w praktyce i życiu ten sam zamęt, który już istnieje w wyobrażeniach i pojęciach, a którego ostatnim demokratycznym wyrazem, będzie równość wobec sprawiedliwości tych którzy ją gwałcą z temi którą ją szanują. Lecz i tu jak zwykle, równość będzie złudną i teoretyczną, bo nie wątpliwie zbrodniarze będą mieli nad niewinnymi wielką wyższość i przewagę i w końcu utworzą zbyt potężną kastę, najstraszniejszą oligarchię. A zaprawdę jak w słynnej powiastce Voltaire zebrał w Wenecyi grono zróconych królów i książąt, tak samo dziś już możnaby zgromadzić u jednego stołu liczny zastęp głośnych, a na wolnej stopie żyjących przestępców i zbrodniarzy. Nie dziś tylko ale zawsze, zbrodnia i występki nieraz unikały kary i swobodnie żyły na świecie, lecz dawniej dla braku dowodów, dla zbiegu okoliczności, w skutku

szczęścia czy zrzeczności, nigdy jak obecnie w skutku i pod zasłoną wyobrażeń i pojęć przeważających, z dobrodziejstwa filantropii, nigdy jeśli były przekonane, dowiedzione lub same się wyznaniem stwierdzały; i właśnie ta bezsilność, ta niemoc, czy też ta łagodność sprawiedliwości dla dowiedzionej, udowodnionej wyznanej zbrodni lub przestępstwa, stanowią treść i odrębne znamie dzisiejszej bezkarności, jest to bezkarność legalna jak legalne są wszystkie bezprawia obecnych czasów. Nie jest to jak dawniej oszukaniem lub uniknięciem sprawiedliwości, lecz przeciwnie, sama sprawiedliwość potępia a nie karze, lub wymierza pazorną karę pozbawioną siły karcenia. Bezkarność tak dalece jest w powietrzu, w atmosferze, w usposobieniu ogółu, że najczęściej nawet tam gdzie sprawiedliwość zdobywa się na karę, zwykle znów, jakiś dziwny zbieg okoliczności, wstrzymuje lub przeszkadza jej wykonaniu; nie tylko sędziowie, ale i strażnicy więzień pomagają bezkarności. Ucieczki z więzień, ich ułatwienia stają się coraz częstszymi i coraz zaszczytniejszymi, a osłoniętymi są także bezkarnością; niemoc sprawiedliwości coraz widoczniejsza we wszystkich kierunkach. Dwa takie gorszące, a głośne przykłady naigrawania się z kary mieliśmy w tych czasach; ucieczkę Rocheforta z towarzyszami w zbrodniach komuny i świeżą ucieczkę Bazaina. I w jednym i w drugim wypadku stokroć lepszem było zaniechanie procesu, jak dopuszczenie aby dramat odegrany z całą teatralną grozą, zakończył się krotofilą; i tu i tam powody oskarżeń i wyroków, nie dozwalały nie przypuszczały półśrodków, lecz wymagały dla zdrowia ducha publicznego, dla zbawienia publicznej moralności i ochronienia społeczeństwa, przykładowego, surowego, bezwzględного ukarania. Co za przykład gorszący, co za dowód niemocy, jakie zabrnęcie w zgniliznie! oskarżyć, skazać obywatela, za mordy i pożogi, wojnę domową, i najochydlniejsze zbrodnie w ojczyźnie, oskarżyć, skazać marszałka Francji za zdradę i niewypełnienie obowiązków wobec nieprzyjaciela, a przecież rzeczywiście i ostatecznie dozwolić im korzystać najzupełniej z dobrodziejstw bezkarności! A właśnie tak się stało, takiego zgorszenia jesteśmy świadkami i Rochefort podżegacz komuny i Bazaine działacz ochydnej kapitulacji Metz, mogliby dziś powiększyć owe grono dostojnych zbrodniarzy na wolnej stopie, o którym wyżej wspominamy. I jeden i drugi stali się bochaterami bezkarności, i jeden i drugi

stali się tylko głośniejszemi, Rochefort wydaje jak przed tem humorystyczne manifesta do Francyi i do ludzkości, Bazaine używa dalej tytułu marszałka i ściska się z Prusakami. A publiczność a opinia publiczna chciwie patrzy się na to widowisko na te wyścigi bezkarności z małemi przeszkodami; ciekawość zagłusza w niej wszelkie inne uczucia, a zręczność ucieczki zaciera pamięć ochydnej kapitulacyi i zbrodniczych pożarów. Jest to jednym słowem przedrzeźnianie się, jakiś wielki a potworny grymas bezkarności wobec idei prawa i zasady sprawiedliwości.

I w jakich to czasach w jakiej epoce, wśród jakich górujących i panujących wyobrażeń, szerzy się i rozwiela bezkarność? Oto wtedy kiedy materyalizm góru, kiedy walka o byt jedyną zasadą, a jedynym ideałem dobry interes. Jeżeli przestępstwo a nawet zbrodnia zawsze i wszędzie będą w skutku bezkarności, mniej lub więcej dobrym interesem, któż się przed niemi dziś cofnie? A z drugiej strony w nieuniknionem następstwie, cnota i poszanowanie prawa staną się najgorszemi, najnieodrzeczniejszemi interesami, o ile akcy tamtych pójdą w górę, o tyle tych spadną. Któż nie cofnie się dziś z przerażeniem przed złym z góry interesem? Kto? Mała gromadka uczciwych dla uczciwości, którzy zaiste niepocieszną odgrywać będą rolę zawsze oszukanych i wyśmianych. Bezkarność będąc podwójną ze strony sprawiedliwości i ze strony społeczeństwa, ze strony sędziów i ze strony opinii publicznej, kurs akcyj nieuczciwości pędzony jest do góry treibhauzową temperaturą, gdy przeciwnie akcy uczciwości ulegają chronicznemu *krachowi*. Sprawa kryminalna, sam kryminał, złodziejstwo, oszukaństwo, kradzież nie mówiąc już o *schwindlu*, tem najwykwintniejszym przestępstwie, nie odcinają dziś bynajmniej sprawcy od społeczeństwa, znajduje on w niem sympatyczne dusze, i dostateczną dozę pobłażania aby w jej atmosferze żyć pogodnie. Co więcej, ileż to razy podobna chwilowa i przypadkowa przeszłość nie przeszkadza wcale kierować później opinią, moralizować społeczeństwo, obrzucać błotem uczciwych ludzi i słuszne sprawy. Jeżeli przestępstwo, jeżeli zbrodnia nawet, staną się w dzisiejszych czasach, wśród dzisiejszych wyobrażeń, dobrymi interesami, nie wątpić zaiste pod karą śmiesznej naiwności, że się mnożyć i rozszerzać będą w nieskończoność. Nie inaczej już tłumaczoną bywa bezkarność

przez łaknące dobrych interesów warstwy, a owe słowa fryzjera powiedziane z powodu wyroku w głośnej a zbyt bolesnej w naszym kraju sprawie, winny swoją szczerością baczną na siebie zwrócić uwagę, „za połowę tej sumy, rzekł on, chętnie bym siedział dwa razy tyle.“ Otóż i gotowy dobry interes. Tak więc bezkarność schodząc się z przeważającymi właśnie wyobrażeniami, apetytami, żądzami, ideałami, stanowi wspólnie z nimi nieobrachowaną siłę destrukcyjną, tem skuteczniej działającą, że przedmiot w który uderza właśnie jest tej natury, że nie znosi jej pocisków i najprędzej pod niemi runie. Świat dzisiejszy, przeważnie materyalny, przeważnie oparty nie na ideach lecz na interesach, wymaga i potrzebuje dla swego bezpieczeństwa i istnienia, kredytu, zaufania, opieki, a któż bardziej, a któż więcej zdolny je zniszczyć, zachwiać, zniweczyć, jeżeli nie bezkarność? A gdzież bardziej grasuje ona obecnie, jeżeli nie w świecie interesów i w idealnej krainie *schwindlu*, nie przystępnej ani dla represyi ani dla kary? Im bliżej więc przypatrujemy się apeteozowanej cywilizacyi dzisiejszej, tem wyraźniej dostrzegamy, że sama w sobie i przeciw sobie, w głównych swych wyobrażeniach i kierunkach nosi żywioły i narzędzia destrukcyi, tem lepiej widzimy i rozpoznajemy porysowania, których przyczyna w fundamentach. I zaiste nie mała to pociecha, nie małe zadowolenie nawet wyznajmy *Schadenfreude*, a wielka nadzieja, dla wszystkich, którzy nie zaślepieni jej ułudnym blaskiem, nie dali się zaprzadcz do jej zwycięskiego rydwanu, dla wszystkich tych którzy nie są zwycięzcami lecz zwyciężonemi chwili obecnej, a którzy jak my padli ofiarą bezprawia, pierwszej i głównej przyczyny bezkarności.

Zważmy dalej o ile tu akcya i reakcya są silne. Jeżeli z jednej strony bezkarneść jest skutkiem i następstwem pomieszczenia wyobrażeń i pojęć, pojęć o prawie i słuszości, to z drugiej strony, ona znowu nadzwyczaj dzielnie dopomaga do dalszego i coraz większego zamętu. Nic może w tak wysokim stopniu nie mąci wyobrażeń, jak wpływ bezkarności i zawsze jest ona złe i musi być na złe tłumaczoną, bo będąc pobłażaniem a nie łaską, nie przebaczeniem, niszczy dobry i drogocenny wpływ tamtych tak dalece iż rzec można że bezkarność zabija przebaczenie, czyniąc z wyjątku regułę.

Wedle przeważających dziś wyobrażeń, co gorsza, wedle szerzącej się praktyki, czego niestety nie jeden mieliśmy przykład,

dziwna a zgubna wyrabia się teorya o okolicznościach zwalnających, która w wysokim stopniu pogorsza bezkarność. Przeszłość zaszczytna człowieka, jego wykształcenie, wpływ moralny, który wywierał, zaufanie które wzbudzał, stanowisko jego poprzednie, są to zwykle dziś nieobciążające, lecz zwalnające okoliczności, a przecież im stanowisko moralne było wyższe, tem upadek jest większy, im wpływ był znamienitszy, tem odpowiedzialność jest większa, im zaufanie było znaczniejsze, tem krzywda jest większa, a tem samem bezkarność zgubniejsza; tak jest bo im wyżej się ona wznosi, tem głębiej dosięgają jej skutki w społeczeństwie, a przykład złego u góry jest mniej szkodliwym i niebezpiecznym jak przykład bezkarności. Wykształcony, prawy, moralnie wyższy, obudzający zaufanie człowiek, popełnia zbrodnię, odpowiedzialność jego za nią jest tem samem niezaprzeczenie większa, jak tych, którzy niżej od niego stoją moralnie, osłaniająca go więc bezkarność jest szodliwsza i prosta, zdrowa loika ludowa wybornie to rozumie i wyrozumuje; sami słyszeliśmy jak wobec podobnego przykładu, posługacz wysłany z małą sumą pieniężną na pocztę z przestrogą, aby ją oddał, a nie zniknął z nią, odpowiedział żartobliwie, a przecież z głębszą myślą: „Jeżeli za tysiące skazano uczonego pana na rok, to przecież mnie za kilkanaście reńskich nie by nie było.“ U dołu jest jeszcze poczucie odpowiedzialności, które dlatego, że u góry zacierają się coraz więcej, mącą się i bałamucają w tak zgubny sposób prawdziwe pojęcia, obciążających lub zwalnających okoliczności. I zaprawdę zastanawiając się nad dzisiejszym stanem rzeczy, nie raz ma się jakby przecucie nowej wierzy Babel, około której nastąpi ostateczne i zupełne pomieszanie już nie języków, ale wyobrażeń, z którego dopiero powstanie nowy porządek moralny, jak z chaosu powstał świat materyalny.

Dziwne zdumiewające są doprawdy niektóre objawy dzisiejszej, nowożytnej bezkarności; o ile zniechęca ona pokrzywdzonych do sprawiedliwości, do poszukiwania jej lub odwoływania się do niej, o ile budzi w nich zwątpienie coraz większe o wymiarze sprawiedliwości, o tyle z drugiej strony napęłnia ona przestępców i zbrodniarzy nieograniczonem do niej zaufaniem. Rozczulającym jest zaprawdę dzisiejsze zaufanie przestępców do sędziów, rozczulającemi są te coraz częstsze oddawania się w ręce sprawiedliwości, i szczere, otwarte, lojalne, odważne zeznania winy.

Nikt i nic nie obudza większego zaufania w winowajcy jak sprawiedliwość! Dawniej przestępca, zbrodniarz krył się, uciekał, szukał schronienia w nieprzystępnych miejscach w lasach i górach, między dzikimi zwierzętami, przepływał ocean i uciekał do Ameryki; dziś przeciwnie zbrodniarz czuje się niejako bezpiecznym i nie ma nic pilniejszego do zrobienia, jak oddać się w ręce sprawiedliwości, jak zapisać się do więzienia, jak szukać schronienia, legalnej opieki tam, gdzie dawniej czekała go sroga lub straszna kara. I czyż nie widoczny, niezatrważający to, dla nieuprzedzonych a zdrowo się patrzących, dowód, zwiększenia się potężnienia bezkarności!? Stokroć moralnie wart był jeszcze więcej ów zbrodniarz, który czuł ciężar swej winy, który jej wyznać nie śmiał, który drżał, ukrywał się przed sprawiedliwością, od tego który swobodnie wyznaje winę i opowiada ją sądowi jako zdarzenie życia, którego następstwa uregulować, ulegalizować, złagodzić jest rzeczą tegoż sądu, w którego objęciach schrania się z całym zaufaniem; w tamtym był jeszcze wstyd zbrodni i jej groza, w tym jest bezwstyd występku. O tak, stokroć lepsza moralnie, ucieczka do Ameryki, krycie się po lasach i górach, jak proste, na pozór odważne, a oparte na dobrze wyrachowanej i ugruntowanej nadziei bezkarności, oddanie się w ręce sprawiedliwości. W każdym razie ucieczki i krycie się zbrodniarzy, nierównie lepiej świadczyły o stanie społeczeństwa i o sprawiedliwości sądów, jak dzisiejsze wyznania i oddawania się. Darmo, sąd to nie konfesyonał, przed którymby zbrodniarz nawet miał odwagę wyznać spełniony czyn. I rzeczywiście owa łatwość przyznawania się do zbrodni, owa pochopność do oddawania się w ręce sprawiedliwości, to po prostu cynizm zbrodni, jak wobec owych wyznań, mniejsza lub większa pobłażliwość sądów, jest tylko cynizmem bezkarności. Zbrodniarze i przestępcy szukają bezpieczeństwa i schronienia na łonie samej sprawiedliwości, bo ono przepełnione współczuciem i pobłażaniem dla nich. Zamiast grozy i przerażenia, które w winowajcach obudzała sprawiedliwość, widzimy teraz między niemi a jej trybunałem jakieś poufaleści, pewną kokieterię i zamianianę oznak dziwnej, niepojętej sympatii. Owa chęć okłamania sprawiedliwości, którą z taką goryczą wyrzucał Brid-oison oskarżonemu, stała się zupełnie zbędzną i niepotrzebną, bo szczere i otwarte wyznanie winy jest najkorzystniejszym wybiegiem.

I kiedy wszystko to dzieje się i rozkrzewia pod godłem ludzkości, to zaprawdę mniemaćby można, że ludzie i bogi tej cywilizacji i tego świata, w którym do tego stopnia skrzywione są wyobrażenia, już szaleją. Ileż to bowiem ofiar, ofiar z tej ludzkości, pociąga za sobą pobażanie dla jednego zbrodniarza. a ileż ubywa bezpieczeństwa dla tej samej ludzkości, w imieniu której wstrzymuje się ręka sprawiedliwości w wymiarze kary. Daremne usiłowania! Wasza bezkarność nie oszczędzi ani jednej ofiary, nie zmniejszy ich statystyki o jedną cyfrę, nie ujmie jednej kłęski, mnożyć tylko będzie i pierwsze i drugie i już zagraża nowymi karami, nowymi przewrotami ludzkości w imieniu której chcecie ją wznieść do wysokości zasady. Dziś, gdy więcej jak kiedykolwiek wojna tysiące pochłania ofiar, kiedy niezliczone maszyny cywilizacji, dziennie znaczną liczbę ludzkich istot poświęcają na ołtarzu postępu, wy boicie się przez ludzkość ścinać głowę zbrodniarza lub zawiesić na nim kajdany! Sofiści w teorii i sofisci w praktyce, nie jesteście nawet litościwymi, ale po prostu miękkimi, zdenerwowanymi, bezsilnymi moralnie, i we wszystkich niemal kierunkach, przerażająco niedorzecznymi!

I cóż pomoże zawieszenie w imieniu waszych teorii i filantropijnych czułości, miecza sprawiedliwości, skoro statystyka — a ją przecież szanujecie — nie wykaże przez to mniej wypadków śmierci nienaturalnej i ani jednej kropli krwi oszczędzonej. Znosicie karę śmierci na zbrodniarzy, lub unosicie się względem nich wspaniałomyślnością a okrutnymi jesteście dla pokrzywdzonych, oto patrzcie: potrzeba kary jest tak konieczną, tak mądrą, tak niezbędną, tak nieodłączną od natury ludzkiej i układu tego świata, że ludzie, gdy jej zabraknie przez innych, sami ją sobie wymierzają, że sami na sobie wykonywują karę śmierci, po za waszemi teoryjami, po za waszemi sofizmatami i po za waszemi plecami. Wobec, jeżeli nie już w skutku bezkarność, mnożą się z każdym dniem samobójstwa i zaprawdę trudno nie odczuwać jakiegoś związku mistycznego a może nawet filozoficznego, między samobójstwami a bezkarnością. Niewątpliwie są one często, zbyt często w tych czasach, jakby bezwiedną tęsknotą za słuszną karą, wygnaną z tej ziemi, są objawem owego tak silnego uczucia ludzkości, potrzeby kary i zaiste nie wymowniej nie potępia bezkarność, jak owo doraźne wymierzanie ka-

ry przez człowieka na samym sobie. Smutny, straszny, przerażający objaw czasów i pojęć, ale ściśle związany z całym prze-wrotem moralnym, którego jesteśmy świadkami, a w którym tak ważną rolę zaczyna odgrywać bezkarność. Gdzie ustają działać prawa naturalne i rządzić ludźmi, tam występują objawy przeci-wne naturze, a wobec bezkarności coraz częstszem staje się samobójstwo, które zwykle jest tylko samogwałtem kary.

I nie ludźmy się, tegoczesna bezkarność, nie jest bynaj-mniej złem chwilowem, przemijającym, przypadkowem, nie usta-nie ona ani tak prędko, ani tak łatwo, bo jest następstwem ogólnych wyobrażeń, prądów, atmosfery otaczającej; dalej i dalej dokonywać będzie w swoim kierunku destrukcyjnego zadania, aż wywoła, jak wszelka destrukcyjność reakcyę. Nie jest ona ani przypadkową, ani chwilową, bo jest następstwem szeregu wyż-szych przyczyn, nie jest porysowaniem ściany, ale jest rysą ma-jącą swój początek w podkopaniu i osłabieniu fundamentów. Usuwaące się, podkopane, wyjęte z podwalin społecznych cegły chrześcijańskie, oto przyczyny — jak wielu innych — tak i tego porysowania gmachu; społeczeństwo pozbawione jedynej dziś moralnie racjonalnej, po za racjonalizmem, podstawy, podstawy chrześcijańskiej, błądzi, bałamuci i bredzi, jak w wielu innych, tak i w dziedzinie sprawiedliwości. Bezkarność jest prostem lo-gicznym następstwem, coraz gwałtowniejszego wyrugowania idei chrześcijańskiej przez wyobrażenia chwilowe i to do tego stopnia jest prawdziwem, iż w znacznej części a w niezliczonych wypa-dkach, przypisać ją jedynie należy zacieraniu się przekonania przed innemi chrześcijańskiego o wolnej woli człowieka a tem samem o jego odpowiedzialności; gdzie nie ma wolnej woli, tam winy być nie może, tam kara jest niesprawiedliwością, zaprze-czenie tem samem wolnej woli, czyli usunięcie podstawy chře-szcijańskiej, bardzo słusznie i logicznie, pociąga za sobą bezkar-ność. Liczne zaiste przytoczyć byśmy mogli przykłady, pobła-żania i bezkarności, wynikające jedynie z zaprzeczenia wolnej woli człowieka, liczniejsze niewątpliwie są przypadki popełnio-nych zbrodni w skutku zaparcia się jej. Wśród mnogich wy-pazków bezkarności, w które nasze czasy obfitują, opowiadano nam jeden, godny swoją potwornością szczególnej uwagi. W Ne-apolu służąca pewnej księżny ukradła wspaniałe jej brylanty w zmowie z jakimś Frontinem, który zapanował nad jej sercem,

stawiona przed sąd, uniewinniona została, gdyż sędziowie uznali że niepodobna jej było się oprzeć podwójnej fascynacyi miłości i brylantów, Dokąd podobna teoria doprowadzić może łatwo pojąć, wiedząc jak ludzie skłonni są zawsze ulegać tym dwom fascynacyom. Między miłością a brylantami znajduje się bezsprzecznie cała skala przestępstw i zbrodni! Czyż owe motywa neapolitańskiego sądu nie wprowadzają nas już w krainę *absurdum*, owego *absurdum* do którego zawsze dojść się musi we wszystkim, lecz przedewszystkiem w wyrokach o sprawach ludzkich, skoros ię odepchnie zasadę wolnej woli.

Bezkarność wynikająca z osłabienia i podkopania przekonań religijnych, jest jedną z najstraszniejszych, najdalej w swoich następstwach sięgających, bo nie wątpliwie, nastaje ona w chwilach w których religia najmniej działa na ludzi, na ich namiętności w których jest zupełnie w tej mierze bezsilną; więcej niż w innych w takich, epokach winnaby sprawiedliwość ludzka już dla samego bezpieczeństwa społeczeństwa, poskramiać, ukrócać a więc karać i karcieć złe skłonności człowieka, a Montesquieu, który raczej przemawiał za łagodnością, jak za surowością ustaw mówi: „*moins la religion sera réprimante, plus les lois civiles doivent réprimer*,” tymczasem związek istniejący między czynnikami destrukcyjnymi jest tak ścisły, że właśnie bezwyznaniowość i bezkarność spotkały się z sobą w naszej epoce i że wtedy kiedy religia przestała być *réprimante*, prawa jednocześnie stały się niezdolnemi *de réprimer*.

Głównym jednak znamieniem tegoczesnej bezkarności na które szczególnie zwrócić chcemy uwagę, bo ono właśnie wykazuje jej chorobliwość, nie jest wcale mniejsza lub większa łagodność ustaw, lecz właśnie zastosowanie, słowem praktyka. Wiadoma jest i niezaprzeczona to prawda, że nie da się nic bezwzględnie powiedzieć o surowości praw, zależną ona jest od tysiąca okoliczności, od klimatu, obyczajów, stanu społeczeństw; lecz ich zastosowanie i wykonanie jest bezwzględną prawdą i jednym z ogniw stowarzyszenia ludzkiego; a właśnie w zastosowaniu i wykonaniu coraz więcej rozwiela się bezkarność, i to do tego stopnia, że równa surowe ustawy z łagodnemi, a nawet staje się krzyczącą i gorszącą ich zaprzeczeniem. Lepiej stokroć nie mieć i nie pisać ustaw, jak żeby one służyć miały bezkarności i znowu przytoczymy tu słowa jednego z głęb-

szych w tych rzeczach myślicieli; Montesquieu który sam nie w jednym kierunku dał początek wyobrażeniom i pojęciom dzisiejszym, mówi: „Qu'on examine la cause de tous les relâchements, ou verra qu'elle vient de l'impunité des crimes, et non pas de la moderation des peines.“

Rzecz godna uwagi, że w czasach w których tak się wzmożło wyobrażenie o potędze państwa, rozszerza się bezkarność, że w czasach w których polityka nie straciła ze swej bezwzględności, sprawiedliwość staje się uwzględniającą, łagodniejszą i słabszą. A przecież jeżeli bezwzględność w polityce konieczną jest dla bezpieczeństwa państwa, to tem konieczniejszą jest bezwzględność sprawiedliwości. Nie możemy inaczej nazwać bezkarności, jak tylko zamachem na społeczeństwo, bo już bez względu na wszelkie moralne wyobrażenia i prawa, prostą i widoczną jest rzeczą, że wymiar sprawiedliwości, że jej następstwo kara jest niezbędną dla materialnego bezpieczeństwa społeczeństw, bezkarność więc która się wylęła pod wpływem przeważających dziś wyobrażeń, jest zamachem społeczeństwa na siebie, jest dalszem dziełem destrukcyi dzisiejszej cywilizacyi, dzisiejszego świata.

Prawda to tak jasna tak przejmująca, że każdy wyższy umysł, choćby najwięcej i najsilniej idący z prądem dzisiejszymi dostrzega jej. Wybornym znakomitym do tegoczesnej bezkarności komentarzem pozostanie mowa ks. Bismarka przy rozprawach o zniesieniu kary śmierci. Człowiek ten który ręką olbrzyma popchnął skarłowaciałe plemię dzisiejsze w kierunku destrukcyjnym, jasno zapatrywał się przecież, na chorobę bezkarności i piętnował ją wyrazami zdradzającemi wyższy umysł. Dostrzegł on — to jego słowa — że w całym usposobieniu tych którzy przemawiają za zniesieniem kary śmierci, przeważa jakaś chorobliwa troska otoczenia większą opieką przestępcy niżli ofiarę. A dalej dodawał: „owa obawa odpowiedzialności gdy idzie o skazanie na śmierć bliźniego, jest chorobą naszych czasów wciąż grasującą, która dosięga szczytów społecznej hierarchii; niemniej jednak słusznie i logicznie inaczej nazwać jej nie mogę, jak tylko niezdrową czułościowością obecnej opieki.“ Widział więc ten przenikliwy umysł, jasno, wszystkie punkta tej kwestyi, dostrzegł że skłonnością wieku jest osłanianie przestępcy, że szkodą ofiary, że owa łagodność jest tylko obawą odpowiedzialności i zapewne nie-

popularności i że pobłażanie jest tylko chorobliwą, nerwową czułościowością, nie zaś siłą moralną lub cnotą; lecz czego może ks. Bismark nie domyślał się, oto że owa bezkarność ma głębszą przyczynę i że nie jest czem innem, jak tylko następstwa pomiatania i pogwałcenia zasady prawa w wielkiej dziedzinie spraw ludzkich, że wypowiedziane czy nie, lecz wykonywane słowa „siła przed prawem“ musiały doprowadzić w dziedzinie sprawiedliwości społecznej do bezkarności, bo loika rzeczy ludzkich i ich na siebie oddziaływanie nie jest i nie może być pozbawione kary, bo w tej dziedzinie nie panuje ani na chwilę bezkarność, a zabicie uczucia prawa w świecie siłą, pomiejszało, zniweczyło lub osłabiło wszelkie działanie prawa we wszystkich kierunkach. A tak zbyt często widzieć można jasno a przecież działać na korzyść ciemności, a nawet podkopywać własne dzieło, bo zaiste żadne choćby ponajpotężniejsze państwo nie obejdzie się bez sprawiedliwości i wymiaru kary, a bezkarność grozić mu będzie zawsze upadkiem podobnym do upadku Polski

Siła przed prawem i bezkarność rodzone to siostrzyce, które cokolwiek by czyniono aby je rozłączyć, podadzą sobie zawsze ręce, bo jak mówi indyjski filozof: „Niech tylko niedołężny monarcha, przestanie karać, a skończy się na tem że silniejszy usmarzy, słabszego.“

(Dokończenie nastąpi),

St. Koźmian.

HOMER W POLSCE.

PRZEGLĄD POLSKICH TŁOMACZEŃ HOMERA

z powodu przekładu *Odyseji* p. *Lucyana Siemieńskiego*.

I.

Literatura klasyczna.

Odtąd już wielki Homer zamieszka na polskiej ziemi. Dotychczas znajdował gościnny przytułek w izbie szkolnej i w samotnym zakątku uczonego, teraz otworzą się dlań najskromniejsze dworki i najwspanialsze pałace. Wszystkich bez wyjątku oświećszych Polaków pożądanym będzie gościem i miłym towarzyszem. Zawdzięczać to mamy p. *Lucyanowi Siemieńskiemu*. On to wprowadza tego gościa do domów naszych i do serc naszych, on otwiera nam bramy wspaniałej świątyni, o której wiedzieliśmy, że jest, którą nawet wielbić uczyliśmy się od lat dziecięcych, choć jej podwoje były dla nas zamknięte.

Przekład *Odyseji* p. *Lucyana Siemieńskiego* jest nie tylko pomnikiem dziełem talentu poetyckiego, jest on oraz czynem krzepiącym wiarę w siłę i żywotność narodu, jest zasługą narodową i ludzką.

Któż z nas nie zna imienia Homera, kto o dziełach jego nie słyszał? Nawet w czasach najmniej skłonnych do uwielbiania utworów ducha Bogiem natchnionych, nawet u ludzi, jeśli nie z lekceważeniem to z obojętnością na nie patrzących, nikt

nie dostrzegł pokuszenia się o zdarcie uroku z wielkich pieśni Homera. Kto nie umiał ukorzyć się, kto nie rozumiał, ten milczał. Ale czyż to wystarczy? Czy dobra o kimś opinia nie powinna nas tembardziej zachęcić do szukania bliższej znajomości? Homera nie dość znać z imienia, lecz potrzeba go czytać, nie dość słyszeć pochwały i chwalić — potrzeba go pokochać.

Niestety nie sprzyjały naszemu pokoleniu stosunki. Młodzież po dziśdzień w większej części ziem polskich, a u nas do niedawna, w obcym ucząca się języku, wynosiła ze szkoły tylko niechęć do klasycznej literatury. Dzięki nieudolności systemu czy też nauczycieli nauczono się w najlepszym razie zasad gramatyki, które każdy w dwa lata po ukończeniu nauk skrupulatnie zapominał — a nie poznawano tego wszystkiego, co uszlachetnia duszę, kształci smak i budzi zamiłowanie do prawdziwej piękności. A jeśli nie korzystała z tych skarbów młodzież, ucząca się w gimnazyach i uniwersytetach, to cóż powiedzieć o innych?

Niechęć ta w dalszem następstwie jeszcze więcej krzewiła się i rosła. Narzekania rodziców, podsycane niemilemi wspomnieniami z szkolnej ławy, albo zupełnym brakiem takich wspomnień, że biedne ich dzieci niewiedzieć po co i dla czego zamęczają nieznośną łaciną i jeszcze nieznośniejszą greką — narzekania głośnie i ciche, publiczne i przy domowem powtarzane ognisku, nie tylko zabijały w naszych dzieciach resztki zamiłowania, ale spowodowały powszechną prawie niechęć przeciw gimnazyom i wywołały potrzebę zakładania szkół realnych, które wnet przepełniły się i całym zastępom młodzieży naszej zamknęły na zawsze przystęp do tego wiecznie jasnego i pięknego przybytku piękności, ludzkości i cywilizacji.

Jest to znaną cechą barbarzyństwa, że zamiast budować na tem, co przekazała przeszłość i praca wieków, zburzyć ją pragnie i zatrzeć jej ślady. Ignorancya pomija ją obojętnie — barbarzyństwo śmiertelną niesie zagładę. Opierając się na dzikiej sile gdziekolwiek przeczuwa wyższość, usuwa ją zgnięść. Kto chce grzeszyć, musi zabić sumienie. Tem się tłómaczy zburzenie tysiąca miast, pożar tylu bibliotek i przybytków sztuki i krew tylu tysięcy męczenników. Czy ta niechęć, owszem to lekceważenie cywilizacji, która bądź co bądź opiera się na tradycjach i dziełach starożytnego świata, miałaby zwiastować

powrót barbarzyńskiego kierunku? Miejmy nadzieję, że tak nie będzie. Czy zerwawszy z tradycją zdoła świat stworzyć sobie nową cywilizacyą, nowe warunki rozwoju i bytu? Dałby to Bóg! Czy źródłem tej niechęci nie jest także nieprzyjaźń dla Chrześcijaństwa, nie chcemy rozstrzygać.

W każdym razie Chrześcijaństwo ocaliło i przechowało nam zabytki cywilizacyi starożytnej. Chrystus przyszedł, nie żeby burzyć, lecz żeby ludzkości błakającej się po manowcach przeczuć, wskazać jasną i pewną drogę wiodącą do Boga. W przeciwieństwie do ignorancyi i barbarzyństwa, chrześcijaństwo będąc światłem i miłością wszystko to co dzikie a zwycięskie hordy zniszczyć pragnęły, i byłyby z pewnością zniszczyły, a co zresztą rozsypać się było mogło i niepowrotnie zagać przez zdziczenie i zepsucie pogańskiego świata, przyniosło do swego łona powołując do nowego życia — a już w piątym i szóstym wieku po Chrystusie jedynym było piastunem oświaty.*)

Toż szczęścił Bóg wielkiej pracy i wielkiemu dziełu. Gdziekolwiek zatknięto krzyż, rozjaśniała się ciemność, dokądkolwiek przyniesiono *dobrą wieść*, przynoszono oraz miłość, łagodność, kulturę. Ile przy tem wielkiem i świętem ognisku rozgrzało się serc i zapłonęło ogniem najczystszej poświęcenia — ile duchów wyniosło stamtąd twórczą siłę natchnienia, o tem świadczy każda karta historyi, świadczą na każdym kroku pomniki nieprzemijającej piękności i niespożytej trwałości.

Narzekają niektórzy, że ta cywilizacya jak mówią *łacińska* nie sprzyjała rozwojowi oryginalnej literatury i wywołała tylko naśladowaną, „nanośną“, szkolną. Naród, powiada Mochenacki, przyszedł wprowadzić do uznania samego siebie, ale nie w swoim jestestwie i nie miał w literaturze wyciągniętej na widok massy wszystkich swoich wyobrażeń, krótko mówiąc przyszedł w tym względzie do cudzej refleksyi. Nie da się wszakże zaprzeczyć, że najbardziej oryginalnych i najznakomitszych dzieł twórcy kształcili się na starożytnych wzorach; owszem możnaby powiedzieć, że tylko tacy pisarze posiadali

*) Porównaj: W. S. Teuffel. Geschichte der röm. Literatur, 2te Aufl. Str. 902, 1029 i 1083.

ten artystyczny spokój i tę doskonałość formy, która zapewnia nietylko nieśmiertelność imienia lub pomysłu, ale i nieśmiertelność dzieła. Czy Dante byłby tak wysoko się podniósł po nad falę wieków, pochłaniającą tyle samorodnych talentów i tylu oryginalnych samouków, gdyby był nie znał na wskrós starożytnej literatury? Czy Schiller nie zawdzięcza zamiłowaniu i studjom w tym kierunku wielu najpiękniejszych utworów swego talentu? Czy Goethego, przyświecającego nam taką powagą ducha, takim poetyckim rozumem i taką subtelnością artysty, nie wykarmiły Muzy greckie i nie kształciły pomniki starożytnego Rzymu? I nasi pisarze szesnastego wieku, wieku złotego, dlatego przeżyli tylu późniejszych i dlatego po wszystkie czasy będą w rękach czytelników umiejących ocenić prawdziwą piękność, pomimo, że tłómaczyli, naśladowali, przerabiali — bo mają klasyczną powagę, która im zresztą wcale nie przeszkadza być narodowymi. I pod tym bowiem względem nie oceniano ich słusznie. Mojem zdaniem nietylko Mikołaj Rej, o którym lubią powtarzać, że na szczęście nie umiał dobrze po łacinie (choć sam poczciwy Rej wcale w tem szczęścia nie widział i przez całe życie „przegryzował“ się jak mógł) nietylko Rej, ale wielki Jan Kochanowski, Klonowicz, Szymonowicz i inni, nawet po łacinie piszący, byli tak dobrze narodowymi pisarzami, jak Mickiewicz, Słowacki, Brodziński, a nierównie więcej, niż cały zastęp tych nowszych, co nas tak nudzą niemilosierdnie swą gorzką i ślamazarną pieśnią, której wprawdzie nie uczyli się na starej lutni Pindara, ale na jakiejś gęśli nowszego wyrobu francusko-niemieckiego.

Co innego jest szkoła, a co innego natchnienie. Szkoła nie da natchnienia, ale da to, czego natchnienie koniecznie potrzebuje, ażeby się w piękne i trwałe przyoblekło kształty — a natomiast w krainie sztuki natchnienie bez szkoły było zawsze bezsilne. Można uczyć się rysunku w akademii rzymskiej, można być uczniem mistrza włoskiego lub francuskiego, a stem-wszystkiem mając talent i miłość rodzinnej ziemi zrobić posąg Kochanowskiego, Skargi, Mickiewicza tak jakby największy rzeźbiarz francuski lub włoski nie zrobił. I pomimo wszystko, co wielki Mickiewicz mówił w czwartym kursie literatury o literaturze ludów słowiańskich, o mesyanicznej literaturze przyszłości (IV. 129 i d.) i o traktowaniu dzieł literackich w szko-

łach, pomimo jego twierdzenia, że u nas niejedno znakomite dzieło może uchodzić równie za poemat i za pamflet, za kazanie i za artykuł dziennikarski, ośmieliłbym się twierdzić, że przetrwa wieki i zawsze będzie czytany tylko taki poemat, który nie jest pamfletem i że tylko takie kazanie odpowie swemu zadaniu, które się wzniesie po nad styl i ton dziennikarski. Takie mixtum compositum może dogadzać chwilowej rzeczywistej czy urojonej potrzebie lub upodobaniu narodu, może nawet na razie jak chwast przytłumić zdrowe ziarno, ale wieki późniejsze, ale ludzie dojrzałego smaku i historia literatury pominą je milczeniem lub wzgardą.

Co więcej, nie uważałbym za zuchwałość twierdzenia, że ten sam Mickiewicz, ten największy z naszych poetów i najwyższy z naszych geniuszów, dlatego przerósł tylu innych poetów, może równie wielkim obdarzonych talentem i wielkim sercem, że więcej od nich się uczył, że lepiej i dokładniej od nich znał literaturę grecką i rzymską. Uczeń Grodka, profesor literatury łacińskiej w Kownie i tyle lat później w Lozannie wiele zaprawdę miał warunków, ażeby zostać tem, czem jest. Kochał i widział Boga, kochał ojczyznę, przeszłość jej i przyszłość, „czuł i cierpiał za miliony“, łany i puszcze litewskie, dla innych głuche jemu mnóstwem głosów szeptały do ucha; miał jasny, zdrowy, rodzimy chłopski rozum, a przytem uczony był i klasyk więcej niż się niejednemu zdaje. Pytam się, czy mógłby był napisać takiego Pana Tadeusza, gdyby był doskonale, ale doskonale nie znał Homera? Stworzył on dzieło wiekopomne, oryginalne, narodowe, ale nim je stworzył, był uczniem Homera, tak jak i autor Hermana i Dorothei.

Jeśli czego szkoda, to tego, że ucząc się łacińskiego języka, za mało nauczyliśmy się greckiego. Niezmiernie ciekawą byłaby historia języka greckiego w Polsce. Nie mamy dostatecznych źródeł, aby w tej sprawie stanowczo powiedzieć słowo. Zdaje nam się jednak, że i w szkołach przeważnie na język łaciński zwracano uwagę i że niewielu naszych autorów dokładną znajomością greckiej literatury poszczycić się mogło. Jeśli kiedy, to w szesnastym wieku może najwięcej. Nie ulega przynajmniej wątpliwości, że Kochanowski i Szymonowicz umieli dobrze po grecku. Z tegowiecznych poetów powiedziećby to

można tylko o Mickiewiczu i o Brodzińskim. Jeśli zaś literatura łacińska przyczyniła się tyle do oświecenia narodu i tak dobrą była dla pisarzy szkołą, o ileż lepiej i korzystniejby było, gdyby czerpano wprost ze źródła. Powszechnie znaną bowiem jest rzeczą, że Rzymianie, pominąwszy naukę prawa, we wszystkich innych kierunkach, nawet w dziejopisarstwie byli uczniami Hellenów.

Nie mając ruchliwej i wszechstronnej tychże fantazyi, mieli wszakże siłę i wytrwałość woli i umieli myśleć trzeźwo i bystrze. To sprawiło, że naśladowac tworzyli przecież dzieła doskonałe i mające dość żywotności, ażeby narodom przez długie wieki służyć za pokarm pożywny i zdrowy.

Gniewa się i oburza na Rzymian Mochnacki (Liter. Str. 146 i d.), że wzgardzili swoją uczciwą, ojczystą tradycją i ojczystą wiarą, dowcipy i rozumy swoje na helenizm wysilając, i że odstąpiwszy od swojej narodowości rozmiłowali się w jałowym naśladowstwie i odłożyli na bok wieść swoją bohater-ską i narodowe podanie, podobni owym ulubieńcom fortuny, tak zwanym od Francuzów *parvenus*, co przyszedłszy z ubóstwa do bogactwa, swego rodu się wyrzekają, a daliby połowę mienia za to, żeby go na wieki głucha zatarła niepamięć (str. 149). Nieco niżej zaś mówiąc z przekąsem o *Eneidzie* mniema, że naciągnięcie trojańskiego podania ku pierwiastkom Rzymu nie czyni Vergilego jeszcze oryginalnym poetą. Być może, ale czyni go Rzymianinem kochającym swoją przeszłość i naciągającym z konieczności stare podania, ażeby ją tem większą opróżnić chwałą, a nie parweniusem wypierającym się swego pochodzenia. Zapomniał zresztą Mochnacki, że Rzymianie w chwili, gdy Muzy greckie pierwsze na ich ziemi stawiały kroki, byli narodem nieokrzesanym, nieoświeconym i mającym już wprawdzie piękną tradycją, ale nie mającym jeszcze żadnej oświaty ani literatury. Literatura grecka ułagodziła obyczaje i obudziła zamiłowanie do zajęć umysłowych. Nie można zapominać, że pominąwszy zabytki dramatyczne, o których bardzo mało wiemy, pierwszym właściwie poetą rzymskim był niewolnik, później wyzwoleniec *Livius Andronicus*, nauczyciel języka greckiego i łacińskiego, który dla uczniów swoich nieudolnym saturday wierszem przetłómaczył *Odyseję*, i że pierwszy jako pisarz większą pozyskał sławę *Ennius*, którego

Annales znowu wbrew temu, co Mochnacki o rzymskich pisarzach mówi, opiewały wprawdzie stare rzymskie podania od przybycia Eneasza do Italii aż do jego czasów (szóstego wieku od założenia miasta), ale jako dzieła sztuki były tylko słabym cieniem epepei Homera. Pomimo to naród z wdzięcznością i czcią, a historia z szacunkiem wspomina imię Enniusa, jak pierwszego zwiastuna oświaty, który rzymskiej poezji i rzymskiemu językowi wskazał i utorował drogę, po której przez długie wieki kroczyły. To, co o nim mówi Mochnacki, że pierwszy z Rzymian w niwecz obrócił starą italską poezją, jest, zdaje mi się, frazesem, a prawdą jest, że pierwszy z Rzymian w łacińskiej mowie greckie naśladował hexametry i to mu też wszyscy (oprócz Mochnackiego) za zasługę poczytywali, pomimo, że ten hexameter „niezgrabny był i kulawy.“

Dodać jeszcze należy, że jak wszędzie, gdzie obce uczynają czytać utwory, i w Rzymie czytano i tłómaczono najpierwej nie dzieła prawdziwie klasyczne, lecz lekkie fabrykaty dowcipu greckiego najnowszych czasów. Nawet mowcy n. p. kształcili się nie na pomnikowych dziełach Demostenesa, a raczej na mowach helleńskich retorów z Małej Azji. Po nitce wszakże łatwo już było dojść do kłębka i niebawem w otoczeniu każdego możnego Rzymianina znajdujemy filozofów, poetów i nauczycieli greckich. Są tam między magnatami rzymskimi ludzie, którzy starają się o takich towarzyszków helleńskich dla próżności i mody, są między ostatnimi i tacy, którym przedewszystkiem chodzi o kawałek chleba, ale zdarzają się i ludzie wyższego nastroju, umiejący imponować swoim chlebobdawcom: u Lukulla jest Antiochos, u M. Crassa Alexander Polyhistor, u L. Pisona Philodemos i t. p. *) Niebawem wszechwładnie zapanował język grecki we wszystkich towarzystwach wyższych, a kto nie umiał po grecku, czytał tłómaczenia. Pomimo to wszystko wśród przemożnego wpływu obcych rozwijał się i kształcił język łaciński, a wkrótce nabrał takiego wdzięku i takiej gibkości, że najsubtelniejsze zagadnienia filozofii i najdelikatniejsze zwierzenia miłości wyrazić nim było można — i już z początkiem wieku ósmego, a zatem w sto kil-

*) Teuffel j. w. str. 256.

kanaście lat po Enniuszu, nastały złote dla literatury rzymskiej czasy.

Jeżeli starałem się wykazać dobroczynny wpływ literatury greckiej, która nawet w takim, jak Rzymianie, narodzie, najmniej mającym zamiłowania do poezji i najmniej artystycznej intuicji, tyle pobudziła talentów, tyle umysłów nawróciła ku idealnej krainie piękna i sztuki — to dlatego, ażeby dowieść, jak wiele byłby nasz naród zyskał, gdyby znając dziecko poznał był i matkę, gdyby krzepiąc się napojem zaglądał był do źródła — słowem gdyby się więcej i z większym zamiłowaniem zajmował był literaturą grecką.

W ostatnich nawet czasach formalną wypowiedziano jej wojnę i powszechnie nawoływać zaczęto, że już czas wykluczyć ją z programu nauk szkolnych. Niejeden uczeń gimnazjum, czytając pod ławką liche tłumaczenia Darwina lub Haeckla albo Bibliotekę Powieści i Romansów, niejeden ojciec nie czytający nic oprócz tandetnych dzienników, niejeden matka z łąką w oku patrząca na synka drzemiącego — nad grecką gramatyką, wzdychali do co rychlejszego „zniesienia“ nauki greckiego języka — niektórzy kandydaci na aptekarzów i laicy klasztorni uwalniali się od niej — a nawet obiegała dość głośna wieść, której wszakże ludzie, mający poszanowanie dla zdrowego rozumu kierujących sprawami szkolnemi, wierzyć nie chcieli i nie mogli, że język grecki będzie nadobowiązkowym w szkołach przedmiotem.

Z tem większą serca pociechą zapisać należy, że z drugiej strony znaleźli się zacni ludzie, co inaczej patrzeli na tę sprawę, że znaleźli się uczeni i poeci, którzy, obojętni na poklask tłumu, nie oglądając się ani na zyski ani na powodzenie chwilowe, najlepsze swe siły poświęcili pracy około obznajomienia nas z literaturą grecką. Szereg pracowników dotychczas nie liczny i bardzo wiele do zrobienia pozostało, ale i to co jest, dobre na początek. Z czasów niepodległości mamy bardzo mało i to przeważnie z literatury łacińskiej. Nie rozumiano dawniej zadania i właściwego celu tłumaczeń i zdawało się autorom, że mogą dowolnie wypisywać, przerabiać, przekręcać, jak im potrzeba. Na lutni Kochanowskiego odezwała się często nuta elegików rzymskich, Szymonowicz w sielankach całe ustępy żywcem z Teokryta tłumaczył, Andrzej Wargocki

nazwał dzieło Juliusza Cezara „Pamiętnikiem o wojnie francuskiej,” Jan Zawicki nie wspomniał, że Jeftes jest dziełem poety szkockiego, Piotr Ciekliński naginał Trinumusa do polskich stosunków i t. d. Nawet z przekładów Horacyusza w ósmym nastym wieku niepodobna poznać prawdziwego oblicza tego poety. Natomiast poważniej pojął zadanie tłumacza Adam Naruszewicz (Dzieła Tacyta). Większa część tłumaczeń, mianowicie poetów, w pierwszej ćwierci XIX wieku, n. p. straszny przekład Horacego przez *Fijałkowskiego* lub liczne a nieudolne przekłady Homera, o których niżej będzie mowa, niepotrzebnie przysgniatają pułki biblioteczne. Od lat kilkunastu dopiero podjęli się tłumaczeń pisarze powołani i przygotowani. Prof. Małnecki dał nam *Elektre*, prof. Szujski dwie tragedye Aischylosa i dwie komedye Arystofanesa, a w Rysie dziejów literatury świata niechrześcijańskiego budził zamięłowanie do literatury klasycznej, prof. Motty tłumaczył Wergilego (Bukoliki), Arystofanesa (Chmury) i Horacego (Satyry i Listy), prof. Bronikowski przełożył Platona i Xenofonta, Erazm Rykaczewski dzieła Cycerona, Kazimierz Kaszewski kilka tragedyj Sofoklesa — a największe na tem polu położył zasługi prof. Zygmunt *Węclewski*,*) który uzbrojony lepiej od wielu innych wstąpił w szranki już nie tylko jako profesor i tłumacz, ale i jako uczony filolog. Zasługi jogo, których liczba jeszcze nie dopełniona, bo z każdym niemal rokiem przybywa nowych, zasługi powszechnie uznane choć jeszcze nieocenione dostatecznie, nadały mu przednie w tym zawodzie stanowisko. Są to także budowniczy pracujący nad podwalinami gmachu przyszłości naszej. Czas już powiedzieć sobie, że jeden dobry filolog stokroć więcej pożytku i chwały narodowi przyniesie, niż wielu miernych poetów i bardzo wielu fabrykantów powieści. Tego dotychczas nie chciano zrozumieć i dlatego tyle młodych sił zmarniało, tyle zdolności, a najpiękniejsze pola pracy narodowej i humanitarnej leżały odłogiem. Nie z oręza słynąć będą

*) Tłumacz Sofoklesa, Eurypidesa, Arystofanesa i całego Aischylosa, autor wybornego Podręcznika historii literatury greckiej i bardzo wielu rozpraw w tym przedmiocie, w Bibliotece Warszawskiej i w Dodatku do Czasu, autor słownika łac.- i grecko-polskiego i t. p.

Niemcy i nie z podbojów, po których tylko pamięć pozostanie smutna, ale z nauki swojej i pracy. Nie strumieniami krwi liczą się zasługi narodów.

Z powyższego pobieżnego wykazu widzimy, że najczęściej zwracali na siebie uwagę tragicy greccy. Homera tłómaczył w ostatnich czasach tylko prof. Antoni Bronikowski. Może odstręczała pisarzy naszych trudność przedsięwzięcia, wymagającego, żeby być zarazem dobrym poetą i dobrym filologiem i poświęcić kilka a nawet kilkanaście lat pracy, a może niezwykle niepowodzenie poprzedników. Aż żal zbiera człowieka, gdy popatrzy na te grube tomy, na których jest nazwisko Homera, w których jednak nie ma Homera. Tyle tam włożono pracy, trudu, mozół, tyle dobrych chęci, a jednak praca poszła marnie i chęciom nie dopisały zdolności.

II.

Tłómacze Homera.

Najzdolniejszym z nich, a przynajmniej najgładszym, najlepszym pisał wierszem i najczęściej miał warunków, żeby być czytany, Franciszek *Dmochowski*. Jego *Iliada* wydana po raz pierwszy w r. 1800 (w Warszawie) doczekała się kilku wydań, ojcowie a raczej dziadowie nasi zachwycali się nią, a Juliusz Słowacki uczył się podobno na niej czytać. Jeszcze w r. 1831 upoważył się ktoś w *Rozmaitościach* lwowskich twierdzić, podobnie jak niegdyś Klopstock o niemieckiem tłómaczeniu Vossa, że gdyby nawet text pierwotny zaginął, z tłómaczenia Dmochowskiego odtworzyliby go można — czem niesłychanie gorszy się (i słusznie) czeński tłómacz *Odyssei* Ant. Liska,*) który w odwet powiada, że praca Dmochowskiego „welmi lichâ“ podług francuskiego dokonana tłómaczenia i że Dmochowski wcale nie umiał po grecku. Bartoszewicz utrzymuje toż samo i dodaje,

*) Homérowa *Odyssea*. Prelozena od Ant. Lisky, Prefekta gymnasiálního w Bochni Halické. W Praze 1844.

że Dmochowski tłómaczył z przekładów łacińskich i psuł arcydzieła już raz przez innych zepsute. Może się obaj nie mylą: zdaje się bowiem, że Dmochowski miał pod ręką przekład łaciński i francuski; że nie miał greckiego, to pewna. Pozwalam sobie przytoczyć jeszcze zdanie Bartoszewicza (Hist. Liter. str. 435): „Dmochowski jest rymotwórcą bardzo gładkim, często ma nawet dużo siły, robił to co zdawało się mu, że umiał, a właśnie przekładać poezye i samemu tworzyć, nie dla niego to była praca. Język piękny i polski, wiersz potoczysty, nie okupią rzeczy, jeżeli tłómacz wziął się do niej bez należytego przygotowania, jeżeli nie miał zmysłu do pojmowania piękności. Tak mianowicie źle wyglądają jego *przekłady tłómaczeń* Homera. Prawda, że rzadko którakolwiek z literatur posiada tłómaczenie Homera tak wymuskane i tak nadobne pod względem formy, jak polska, ale mimo to *ducha wieszczą greckiego nikt nie pojmie z tłómaczeń Dmochowskiego*. W Iliadzie są swojego rodzaju piękności, jest koloryt pieśni gminnej na wielką skalę nuconej, pełen prostoty i wdzięku. Dmochowski zaś z bohaterów na pół bajecznych starożytności, szorstkich i surowych, porobił jakieś nowożytnie postaci *salonowe i grzeczne*.“

Zdanie to wydało się nam cokolwiek za gorąco kapane. Sąd Bartoszewicza często bardzo bystry i trafny, czasami bywa zanadto doraźny, opiera się na sympatyj lub antypatyj, na złym lub dobrym humorze. Zajrzeliśmy więc do podręcznika p. Adama Kulickowskiego, który ma tę zaletę, że nie lekceważy zasługi i nie spuszcza się na siebie samego, lecz zwykle jakieś poważne plecy ma za sobą. Otóż czytamy tam (str. 222), że Iliada Dmochowskiego „w mistrzowskiej polszczyźnie *ducha greckiego dobrze oddaje*.“

Co tu z tem zrobić? Co o tem myśleć? Oczywiście: albo jeden z dwóch powyższych autorów nie czytał Homera w oryginale, albo każdemu z nich w innej postaci przedstawił się ten biedny duch grecki, o którym zresztą rozmaite bajki opowiadają, bo wszyscy o nim słyszeli, ale go mało kto widział. Sumienna to rzecz oceniać dzieła poprzedników, którzy pracowali jak mogli a zawsze w poczciwej myśli. Widzieliśmy młokosów pomiatających zasługą ludzi i dzieł, których nie rozumieli, patrzeliśmy na mrówki pełzające na posągach i żalowaliśmy świtu, który urągał wczorajszemu południu nie wie-

dząc, że za parę godzin nowe go zaćmi południe. Zrobić więc w takim razie potrzeba jak Odysseus, który chcąc się przemknąć między Skillą a Charybdą, parę miłych poświęcił towarzyszków; potrzeba poświęcić parę dni czasu i czytać Dmochowskiego z oryginałem w ręku. Nam się zdawało, że p. Kulickowski się pomylił, a zdanie Bartoszewicza przyjaćby można w łagodniejszej formie. Tłómaczenie towarzyszyło pierwotworowi jak słaby i niewyraźny cień, bo zasłaniał Homera tłumacz francuski czy łaciński; często cienia nawet nie było widać, często jakieś koszlawe przybierał kształty. Homer opowiada, Dmochowski deklamuje, Homera wiedzie prostota do najwyższej poezyi, Dmochowskiego wyszukana gładkość do toku prozaicznego. Kardynalne wady naszego tłumacza krótko streścić się dadzą: nie tłumaczył z oryginału i nie był poetą. Co mi tam po ładnym człowieku bez serca i bez ducha, co po pięknym puharze, jeśli wino ladajakie, co po gładkich wierszach, jeśli w nich nie ma poezyi! Jedna wszakże pozostaje zasługa podniesiona już przez Bartoszewicza: język jego jest polski — a i to nie zawsze się zdarza — i jeśli czytelnicy Dmochowskiego nie poznali prawdziwego Homera, to przynajmniej uczyli się cenić wdzięk i piękność ojczystego słowa.

Nierównie łatwiej uporać się z pocziwym Jackiem Idzim Przybylskim. Nic nie wiemy o życiu jego oprócz tego, że długo żył i dobrze mu się powodziło na świecie, bo dzieła swe wydawał własnym nakładem i z nauczyciela szkół ludowych został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego — mamy dowody, że był niezmiernie pracowitym człowiekiem, a domyslać się możemy, że bardzo wiele miał czasu. Może nikt nie przypomina nam Syzyfa tak, jak ś. p. Jacek. Dźwigał biedaczysko ogromne bryły i toczył je do góry mozolnie, a one spadały i spadały w przepaść zapomnienia i teraz jako osobliwość oglądać je można w bibliotekach. Miał on być uczony, umiał prawie wszystkie języki europejskie, oprócz Homera, Wergilego, Owidyusa, Horacego, tłumaczył Camoensa *Luzyadę*, Milтона *Raj utraccony* i t. d. — jest tego tyle, że drugiemu nie wiem czy starczyłoby czasu to wszystko porządnie przepisać — ale na nie się to nie zdało. Z próżnego nikt nie należy. Wziął się był nawet do tłumaczenia proroków i stąd krążył o nim znany wierszyk:

Wiesz, dlaczego Jeremiasz płakał całe życie,
Choć go nie zawsze ścigał wyrok Boży? —
Oto jako prorok wiedział należycie,
Że go Przybylski na polskie przełoży.

Jakżeby dopiero Homer płakać musiał!

Sfabrykował on jakie sto tysięcy wierszy, ale ani w jednym nie ma śladu poezji. A cóż dopiero powiedzieć o języku, z którym obszedł się prawdziwie po barbarzyńsku, kując dziwne i niesłychane wyrazy. Homera przekładał z greckiego, choć zaglądał zapewne i do tłumaczeń, ale bardzo często text źle rozumiał lub umyślnie przekręcił. Zgroza pomyśleć, że był profesorem języka greckiego. Ale prawda, wszakże i Fiałkowski uczył łaciny w akademii! Ciekawa a czasem zabawna byłaby rzecz, gdyby kto zebrał wszystkie ukute przez Przybylskiego wyrazy; Bartoszewicz powiada, że niektóre przyjęły się i są w powszechnem używaniu. To wiem, że czytając Przybylskiego nieraz serdecznie uśmiechnąć się można. Mam go i teraz przed sobą. Może nie znudzi się czytelnik, jeśli ze względu na to, że książka już dziś mało komu jest znana, przytoczę parę ustępów. Oto n. p. tytuł *Odyssei (zachowuję pisownię)*:

Pamiętka dziejów bochatyrskich z wieku grayskoscroskiego w śpiewach Homera i Kwinta według pierwotworów greckich Słowianom dochowana. Tom IV i V. *Odysseja Homerowska ku czci Ulisa Laertowicza z Itaki* . . . przekładania Jacka Idziego Przybylskiego (*tu sześć wierszy notujących godność tłumacza*). Pierwsza połowa: Ulis w drodze. Druga połowa: Ulis w domu. W Krakowie. W drukarni Greblowskiy R. 1815. Nakładem Przełożyciela-Wydawcy.

Na odwrotnej stronie czytamy:

— Homerze! Smirna, Chija(!) Argi(!) Salamina,
Rod, Kolofon, Ateny chcą cię mieć za Syna.
Obyś mógł, w mym języku *czytany ze smakiem*
Zdawać się myy Oyczyźnie rodzonym Polakiem!

J. I. P.

Jakie tu zacne i pocziwe chęci! ale niestety nikt nie mógł czytać ze smakiem tego, co z obrażeniem smaku było napisane. Ciekawsza jeszcze jest ostatnia stronica pierwszego i drugiego tomu *Odyssei*. Czytamy tam dwa małe ustępy z *Homeracego* „Do mądrych o *Homerze* piszącym *Odysseję*“ i „Do literatów o potrzebie i użytku czytania.“ Pod tem zaś w tomie I rzecz niezmiernie zabawna:

Do Trwonnika
wierzącego w brzuch; a nie ceniącego książek.

Na co ci znać *Ulisa* albo *Penelopę*?
Ty za tuzin dukatów kupisz ostryg kopę!

A przy końcu tomu II:

Zwrot *Myśli na Czerkiesa*
sądzącego o pismach, których nie czytał.

Co mi za *Literat*,
Który czytać nie rad!!!

Nad tem dwa aniołki, a pod tem wielka pieczętka z koroną i literami J. I. P.

Wszystko to niewinne jest, *Homerowi* nie uwłacza i nie szkodziłoby tłumaczeniu. Ale samo tłumaczenie! Potrzebaby być złośliwym i mieć wiele czasu, żeby z pośród rażących ustępów najjaskrawsze wybierać. Oto jedną ręką przerzucam karty na chybi trafi, a drugą wypisuję, co się nasunie. N. p.

Z ks. I. *Bochatyra* niech wielbią, *Muzo!* usta twoje,
Co chytrością zasłynął, już zniszczywszy *Troję*,
A różne w błędnych drogach przewidzając kraje
Poznał wielu narodów grody i zwyczaje. . .

Z ks. V. Blisko głębokie morze, trudno stanąć nogą!
I tu nie *zdołę* uciec przed zagładą srogą!
Tu mię wał porwać może i rozbić o skałę!
Próżny będzie mój *usił*, zgubi wyyscie śmiałe

.
 Ulis się znów nurkuje w największym usile.

Z Ks. VIII.

Śpiewam jak się Mars kochał w Wulkanowskim domu,
 Odkąd spółki z Wenerą zaczął pokryjomu.

.
 (Mars) Zwiedza dom Wulkanowski z chęcią zabaw szczerą,
 Bo sobie życzył z piękną poigrać Wenerą.
 Ona przyszła od ojca *Saturnicza* świeżo
 I siedziała, miłosną zajęta kradzieżą.

.
 Luba, teraz się w domu nasyćmy rozkoszą,
 Gdy chromego Wulkana *szczudła* ztąd wynoszą.
 On pewnie gdzieś na Lemnie o tym czasie bawi,
 Gdzie barbarским językiem Lud Syntyjski wrzawi.

Albo jeszcze niżej czytamy: (*Bogowie pójdźcie zoba-
 czyć*)

Jak mię hańbi Wenera Jowiszówna płocha!
 Że ja chromy, więc ona Szkodzę Marsa kocha!
 Mars jest gładki i zdrowy i siła w nim tęga;
 A ja na nogi chramam, słaby niedołęga!
 Nie on winien, lecz winni rodzice oboje.
 Czemu na świat wydali rozwiozłą dziewczęję?

Proszę te wiersze przeczytać w oryginale albo u pana Siemieńskiego. NB. ostatnie dwa wiersze opiewają w oryginale: „ale temu nikt inny nie winien, tylko rodzice oboje, o bogdajby mię byli na świat nie wydali!“ (Od. VIII. 311 i 312).

Ks. XI. w. 397—8 „Naczelniku Atreycze! cny Agamemnonie!
 Jakże cię śmierć *długospa* (?! *τρυγχεῖς*) zdybała przy zgo-
 nie? i t. d.

A duch Agamemnona odpowiadając woła:

Wielokunsty Ulisie! godny Laertczycu!

W księdze znowu XVII przemawia Teoklimenos do Penelopy: Przewielebna Ulisa Laertczyca żono! *)

W ks. XI (Tantal) Stał w jeziorze; a woda *pod wąsem*
mu ciekła.

(*Herkules*) W niebie *gładkołytej Heby* dostał żony,
Co jest córą Jowisza i stronnej Junony

W ks. XIII: Ulisa tak ucieszył grunt ojczyzny miły,
Iż klęknął i całował żywniej ziemi bryły.

Prześliczna scena, gdy stare psisko poznaje Odyssa, tak wygląda u Przylbyskiego:

„Tam leżał stary Argus, już kleszczów igrzysko;
Jednak poznał Ulissa, stojącego blisko.
Kasi mu się ogonem, *stoczy oba uszy*,
Patrzy, pragnąc *potuchy*, choć z miejsca nie ruszy.

A w księdze XXIV namysła się Odyseus:
„Czy uściskać rodzica i wszystko mu zjawić,
Czy też jeszcze na chwilę wstrzymać całuch czuły,
A wprzód badać i różne napomknąć szczegóły.“
Aż mu się lepszym zdaje *postępek wybadczy*,
Gdy szczypliwiemi słowy Laerta dośwadczy.
... Jemu obrotny Ulis z zimną krwią odpowie:
„Ufaj, oycze! i trwogi nie rój sobie w głowie.
Pójdźmy teraz do chaty zasilić się z przodu,
... W tem Haliters Mastorozyc miesza się do rady,
Ów sędziwy Bochatyr; a Wieszcz w pełny sile,
Co wszystkie rzeczy widział *i z przodu i w tyle*.

*) Podobnie w „Bärbarze“ Felińskiego „Szanowna Izabello itd.“

Lecz czas już zamknąć książkę; obawiam się, czy i tak nie nadużyłem cierpliwości czytelników, zwłaszcza znających to tłumaczenie; nieznającym chciałem pokazać, jaką to straszną rzecz z najpiękniejszej zrobić może nieudolna ręka, jaka to krzywda dla poety i dla narodu, — a jaka znowu zasługa tłumaczyć tak, jak p. Lucyan Siemieński.

Winienem dodać, że Dmochowski i Przybylski tłumaczyli rymowym wierszem trzynastozgłoskowym.

Jeżeli wielka i rozumna myśl Przybylskiego przyswojenia naszej literaturze arcydzieł obcych rozbiła się o brak warunków niezbędnych do jej wykonania, to znowu z tłumaczeniami jego nawet porównywać się nie godzi Staszycowego przekładu Iliady, który jest po prostu nieszczęśliwym dziwactwem. Wolno było Karolowi V bawić się po trudach życia zegarkami i t. p., dla czegożby nie miało być wolno Staszycowi bawić się na starość Homerem; tylko że zabawka drugiego wcale nie dziecinna a więcej szkodliwa i Homer mógł zawołać jak owe żaby w bajce: „Dla was to zabawka — nam idzie o życie.“ — I nie tylko odebrał mu życie tłumacz, ale tak go pokiereszował, że poznać trudno.

Miłoby nam było dowiedzieć się z biografii, że ten rozsądny polityk, uczony przyrodnik, znakomity obywatel i wspaiałomyślny przyjaciel ludu, lubił w wolnych chwilach przebywać w sferze ideału, że kochał poezję, a nawet tłumaczył Homera i innych poetów — i stokroć byłoby lepiej, gdyby pisarz żywota z żalem dodał takie n. p. słowa: „Na nieszczęście, autor nie zadowolony z swej pracy spalił ją“ — albo „Na wielką stratę literatury, rękopis zaginął“ lub coś podobnego. Byćby to łatwo mogło i znamy autorów, którym przy każdym pożarze regularnie parę dzieł i to najlepszych przepadało — ale tu niestety stało się inaczej i Iliada leży przed nami in 4to (jako szósty tom dzieł). Wprawdzie jestto książka rzadka i jeszcze w r. 1844 narzekał czeski tłumacz w przedmowie do *Odysei*, że nigdzie dopytać się jej nie mógł, choć mówiąc nawiasem nie bardzo dopytywać się musiał, bo mieszkał w Bochni, a stamtąd nie daleko do Biblioteki Jagiellońskiej, — lecz był czas, kiedy wiele złego zrobić mogła, i czytana w niejednym domu odstręczyła na zawsze od wielkiego pie-

śniarza. Z poezją to tak jak z wojskiem n. p. Widzieliśmy już królów, co całe życie kochali się w wojsku i bawili się niem, a przegrywali na głowę jedną bitwę po drugiej.

Nie pomogła też Staszycowi miłość i cześć dla poety, którą widać ze słów przedmowy. „Czucia Homera, duch jego, wielkie myśli, wielkie rysy uczyniły go nieśmiertelnym, u wszystkich narodów zdziwieniem, u wszystkich uczonych wzorem, dotąd jeszcze nie zrównanym.“

Z przedmowy najciekawszym jest ustęp o pisowni. Przed r. 1830, gdy zaczęto myśleć o jej ustaleniu, był zwyczaj bardzo dobry, że pisarze w przedmowie usprawiedliwiali swojej w tej mierze zasady. Teraz zwyczaj ten zapomniany, co zapewne stąd pochodzi, że wielu pisarzy nieprzezwykły ma wstręt do gramatyki i nie każdy potrafiłby wytłómaczyć, dla czego tak a nie inaczej pisze. Wymysł akcentowania (kreskowania) samogłosek przypisuje Staszyc drukarzom Niemcom i nazywa szkodliwym, coby się nie bardzo podobało ks. Małinowskiemu i jego zwolennikom — niecierpi liter „nieprzyjemnych, *nosałnych*“ *ą* i *ę* i z tego powodu (bo innego prócz antypatyj osobistej nie ma) pisze *dzwienk* zamiast *dźwięk*, *mineło* zamiast *minęło* — przyjmuje wbrew wielu dawniejszym pisarzom *j*, *i*, *y* — słusznie pragnie uleczyć język srogo pokaleczony przez pisanie *bydź*, *dadź*, *) zamiast *być*, *dać*, — gniewa się nareszcie na Niemców, przez których nieszczęsne sąsiedztwo polubiliśmy „zbytne konsony“ *sz* i *cz* i radzi pisać *czcość* zamiast *czczość* *szeście* zamiast *szczęście* i t. p.

Wiele tam dziwactwa, parę zdrowych i dobrych pomysłów, ale nie tu miejsce zastanawiać się nad nimi.

Bałamutne jest zdanie Staszycy o tłumaczeniach, „w których duch pisarza, czyli on był Greczyn, Łacinnik, Niemiec lub Francuz, tak się dać czuć powinien, jak *gdyby był Polakiem*.“ Owszem właśnie do tego idzie, ażeby duch pisarza nie zmienił się i pozostał w przekładzie tem czem jest, byle język tłumacza był polski, swobodny i nie wyglądał jak Grek lub

*) Teraz znowu zagnieżdża się mylny sposób pisania *bąć* zamiast *bądz*.

Rzymianin w kontuszu... Jedna z największych trudności w dobrem tłumaczeniu — mówi Staszyc — jest dokładne rozróżnienie *geniuszu języka od geniuszu autora*. Rozwiązanie tej trudności potrzebuje w tłumaczu wielkiego stopnia znajomości języka, przenikliwości i rozsądku. Bez tych najczęściej oszukują się sami tłumacze. Tam, gdzie mniemali wytłumaczyć autora, oni wytłumaczyli tylko język.“

Niestety zacnemu tłumaczowi ani jedno ani drugie się nie udało.

Tłumaczy on zupełnie swobodnie, czasem tak jakby pisał dzieło oryginalne tylko na ten sam temat, nagina i przekręca jak mu się podoba — a przedewszystkiem zawsze wierzy celowi życia swego, żadnej nie zaniedbuje sposobności, ażeby podać narodowi zbawienny obrok duchowny lub rozsądną uwagę. I tak zaraz z początkiem księgi I, gdzie są słowa: „Tak spełniła się wola Zeusa — od kiedy poróżnili się sporem Atreides, wódz mężów i boski Achilles.“ — Staszyc podaje *abstractum* „Od wieków wyroki te Bogow!

*Skoro się poczną kłótnie dwóch ziemskich mocarzów *)*.

Nawet w „Treści“ pojedynczych pieśni dogadza tej pocziwej chęci swojej; zaraz n. p. w I księdze: ... „Smutny przykład przez Homera z czułością wystawiony, *jak waśń możnych, jak błahe swary królów mogą rzucić całe narody na nieszczęścia i zgubę*; albo w ks II: „Szczególniejszy sposób, którym Homer maluje pospolstwo. To również za jego czasów, jak teraz więcej według zmysłów, niż podług rozumu sądziło. — W ks. V: „Wielki i pełen dowcipu i głębokich myśli obraz wygnania z ziemi okrutnego Boga wojny Marsa.“

Co do rodzaju wiersza, jakiego używał Staszyc, pisze wspominany przez nas A. Liska, choć jak sam wyznaje tłumaczenia tego nie widział, że to hexameter. Podobnie twierdzi Safarzik w swojej „Geschichte der Slawischen Sprache und

*) Zachowujemy tu pisownię Staszycy, który nawet o nigdy nie krępuje. Zresztą w całej rozprawie pisownia nasza (prof. Małeckiego) o tyle niezachowana, że wszędzie, gdzie powinno być *é* jest *e* — z winy składacza.

Literatur“, że Przybylski Homera „wierszem oryginału przełożył.“ Liszka powiada, że o tem Przybylskiemu ani się śniło. Wierzę, ale nie śniło się i Staszycowi. Pokazuje się, że nie tylko u nas autorowie „Dziejów literatury“ powtarzają pacierz za panią matką, która, nb. sama często pacierza nie umie. Że Staszyc tłómaczył hexametrem, o tem czytaliśmy i w polskich książkach, bo czyż to zresztą koniecznie do zbawienia potrzeba wiedzieć co to hexameter, albo wiedząc zaglądnać samemu do książki.

Tymczasem Staszyc tłómaczył wierszem trzynastozgłoskowym, tylko nie rymowanym i nie rytmicznym i to zupełnie własnego wynalazku, choć mniemał, że zdąża za wzorem obcych poetów. „Angielscy i włoscy pisarze — powiada — używać zwykli w takich dziełach wiersza wolnego, nierymowanego. Nasz język ma równie jak angielski własność stopniującego się słów wiązania, czyli zajmowania się jednego słowa sylab z poprzedniego lub z następującego słowa sylabami, a w tem zajmowaniu się sylab ma pewne *prozody*, czyli *głosomiaru* prawidła. Nadto ma równą samogłosek jak włoski obfitość. Tych pewne „*ustosunkowania*“ nadawałyby takowym wierszom dosyć poetycznej *dźwięczności*. Przytem w takowym gatunku wiersza, dla dania mu pewnej oznaki kończenia się miary jego, czemużby nie można ukończać te wiersze na wzór kadencyi wierszy francuskich.“

Podałem ten ustęp dosłownie, lecz w pisowni dzisiejszej, ażeby nie utrudniać czytelnikom zrozumienia. Zrozumie, kto będzie mógł. Co do mnie, uważam: Staszyc nie rozumiał dobrze rytmiczności i nie miał w uchu rytmu, a dzieło jego jest często po prostu prozą pokrajaną na wiersze, z których każdy trzynaście ma zgłosek.

Oto kilka próbek:

Ks. I (początek)

Bóstwo! technij rym, co będzie gniew nucić Achilla:
Gniew, który łzami, *swoją* krwią Grecya zlała;
Gniew, co tylu rycerzy *dusz* w ciemne umarłych

*Wgrzążył bezedno; sępom, żarłocznym psom chrobrych
Miotał ciało!*

Ks. III.

(Helena) Szła potulnie, gdzie *miłości Bostwo* *) ją wiedzie

.

Tam podaje jej krzesło miłość przy uśmiechu (!!)

a na jej wyrzuty:

„Przestań kochana żono, rzekł jej (Paris) przestań żądlą
Twęj nielitości zwiększać strapienia mei duszy.

Prawda: Minerwy zdradą *zwalczył Menelao*

Mam i ja Bogów; mogę zwyciężyć go jutro.

Rzućmy te mowy. Wroćmy do *słodszych uczuciów*.

— — — — — Miłość tchnęła w nich chęć jedną.

Na roskoszy usiadła obok męża słaniu!!

Do najlepszych jeszcze należy ustęp następujący: (w oryg.
w. 154 ks. III)

Co się Helena tylko zbliżała ku bramie,

Spostrzegłszy ją starcowie tak rzekli do siebie:

„*Dalibog (!!!) niedorzeczy i sarknąć*, (ὡς νέμειται) że Grecy,
Trojanie bitwę toczą dla takiej kobiety.

Pienkna jak Bostwo . . . Przecież, niechby powrociła;

Ocaleje przynajmniej naszych dzieci reszta.

Tak radząc między sobą starcowie prawili,

Gdy wtem wchodzi w *utworze* Bogów cud pienkności:

„Zbliź się tu, rzekł w głos Pryam, kochana zbliź corko!

Miło mi tak cię nazwać. Nie tyś winą tego:

*) Tak zawsze zamiast Afrodite; podobnie Hebe-młodości bóstwo i o innych Bogach. (Pisownia Staszycowa zachowana).

Co cierpię, Bogow karą. Ich wolą ta woina.
 Chodź, przy mnie siadaj: obacz pierwszego ztond męża:
 Rozpoznasz twoie krewne, twoie przyiacioly.“

Ks. VI.

*Schodzi się z nim (Hektorem) Teb krola Eeyona corka,
 Hoynie posażna żona, czuła Andromaka;
 Z nią na ręku (?) piastwani, miłości zaręcze,
 Dziecie piekne, jak wschodząc pierwsze zory ranne.*

Niech nas Pan Bóg broni od posądzenia, jakobyśmy chcieli przez to, co się powiedziało, ubliżać zasługom wielkiego i szlachetnego męża. Zapisala je historia złotemi głoskami dla pamięci i nauki potomnych, ale niestety poezya na historyą oglądać się nie może. Zamiarem naszym było wskazać, że można być, jak mówi Szekspir, bardzo dobrym człowiekiem a złym grajkiem, że największy nawet uczony liche wiersze pisać może i że przez tłumaczenia Staszica ani literatura się nie wzbogaciła, ani Homer nie mógł stać się popularnym w Polsce.

Potem na długo o nim zapomniano. Nastąpił czas najpiękniejszego rozkwitu narodowej, oryginalnej literatury. Mickiewicz z całym orszakiem zajaśniał na naszym niebie. Nie czas to był na tłumaczenia, i nie było ich potrzeba; szczęk oręża, nadzieje, zawody, rozproszenie, tułactwo nie pozwalały na tak spokojne i chłodne zatrudnienie. Dopiero dobrze po r. 1840, gdy się skończył niejako krótki, ale najświeższy okres poezyi, można było znowu o Homerze pomyśleć. Pomyślał też *Klemens Żukowski*. Imię to wcale u nas nie znane. w historyach literatury nie wspominane, a książka jego w r. 1847 wydana jest prawdziwą rzadkością; wyznajemy, że spotkaliśmy się z nią dopiero w Bibliotece Jagiellońskiej, a egzemplarz był bardzo zaszanowany. Zapomnieli o niej wszyscy, nie zapomniął tylko z pewnością pan Estreicher. Nic też to nie jest wielkiego: tłumaczenie *Odyssei prozą* *), a jednak myśl była dobra, i niezarzutna. O tłumaczeniu prozą myśleli

* Homera *Odyssea*, z greckiego na polski język przełożona przez Klemensa Żukowskiego. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego 1846 (na okładce r. 1847).

już dawniej Niemcy, myślał nawet Goethe, pomimo, że mieli znakomity przekład Vossa, który wieki przetrwa i będzie na zawsze pomnikiem niemieckiej pracowitości i niemieckiego talentu. Zasługi jego dla niemieckiej literatury są niezmierne, stworzył on i do niezwyklej doskonałości doprowadził hexameter niemiecki, był nawet co do budowy wiersza mistrzem Goethego, wielki uczony, szlachetny patriota, pełen prostoty i uczucia poeta. Rozumiał Homera, jak żaden może tłumacz na świecie, przelał go wierszem na podziwienie zasługującym i słusznie go Niemcy Herosem tłumaczyli nazywają — a jednak, i z jego przekładu nie można poznać Homera takim, jakim jest w przedziwnej, w bezprzykładnej swojej prostocie. Nie urobił Voss ani jednego wiersza, ani jednej myśli, ani jednego słowa, gdyby tak kto przetłumaczył biblią, uznałby ją Kościół za autentyczną — a przecież, choć słowa te same, inny ton, inna nuta, inny nastrój. Już to nie ów ślepy śpiewak mityczny, któremu tak od serca i od niechcenia pieśń płynie, przemawia do nas, poufale i po przyjacielsku, lecz górny wieszcz z prostego gęslarza, głosem podniesionym, słowem pełnem powagi, ale i patosu. Różne się na to składały przyczyny, najważniejsza jest ta, że tłumacz ciągle pamiętać musiał, żeby nie chybić w budowie hexmetru i to mu odebrało swobodę. Uznali to w Niemczech najwięksi nawet wielbicieli Vossa. „Przekonałem się, mówi jeden z późniejszych tłumaczy, jak nawet Voss przy całej swej wierności stał się niewiernym, jak często przymus wierszowy zawiódł go do wyższego, patetyczniejszego nastroju, którego nie zna pierwtwór.“

Warto też posłuchać, co w tej sprawie mówi Goethe A. m. Leben III Th. str. 46.: „Szekspir tłumaczony prozą naprzód przez Wielanda, potem przez Eschenburga mógł jako lektura powszechnie zrozumiała i każdemu przystępna prędko się rozpowszechnić i zbawienne wywołać skutki. Szanuję rytm i rym, bo przez nie dopiero poezja staje się poezią, lecz właściwie skutecznem i prawdziwie kształcącym jest to, co pozostanie z poety tłumaczonego prozą, to jest czysta i zupełna jego treść (Gehalt *). Zwłaszcza dla młodzieży bardzo są pożąda-

*) Odtąd już tylko streszczam zdanie Goethego, czytów. podł. kieszonk. wyd. Cotty w 36 tomach z r. 1867 T. XII.

ne prozaiczne przekłady, młodzież bowiem często po za dźwiękiem słów i spadkiem zgłosek nie dostrzeże głębokiej treści najszlachetniejszego dzieła. Zwracam więc uwagę, czy nie byłoby dobrze pomyśleć przedewszystkiem o tłumaczeniu prozą Homera; oczywiście musiałoby ono być godnem stanowiska, jakie dziś niemiecka literatura zajmuje. Osobliwie polecam tę myśl naszym zacnym pedagogom. Dla ogółu będzie proste i niewyszukane tłumaczenie zawsze najlepszem. Owe krytyczne przekłady, współzawodniczące z oryginałem są właściwie zabawką dla uczonych.“

Na innem miejscu pisze:

„Prozaiczne tłumaczenie uważam za bardzo pożyteczne przedsięwzięcie. Nasunęła mi się uwaga, nad którą się zdumiewałem. Z takiego tłumaczenia poznać dopiero tę nadzwyczajną lakoniczność poematu, tę czystość, oszczędność, prawie skąpstwo w przedstawieniu wzbogaconem przymiotnikami a ożywionem przez rytm.“ Tyle Goethe.

A że w Niemczech dość rzucić dobrą myśl, a zaraz znajdują się i wykonawcy, więc wnet pojawiły się tłumaczenia prozą, z których najwięcej rozpowszechnione, choć nie doskonałe jest Zaupera, a nowsze i dokładniejsze Freunda. Znaleźli się i tacy, co tłumacząc hexametrem chcieli poprawiać Vossa, mianowicie oczyścić go z pewnych prowincjonalizmów i archaizmów (n. p. Donner) — ale z tymi bogdaj czy nie stało się tak jak z Karpińskim, który tłumacząc psalmy chciał poprawiać Kochanowskiego.

Widzimy stąd, że myśl Żukowskiego była dobra, ale cóż kiedy wykonanie nieosobliwe i o tyle nie dopełniające życzenia Goethego, że nie było godne ani Homera, ani stanowisko, jakie już wówczas literatura polska zajmowała. Zdaje się, że Żukowski przeznaczał swą książkę dla szkół, że chciał zaradzić praktycznej wygodzie uczących się, bo starał się tłumaczyć ile możności dosłownie i wiernie, ale i Homer zaginął w rozwlekłym i zanadto prozaicznym toku i język polski nie zawsze wyszedł obronną ręką. Nie mógł sobie mianowicie dać rady z epitetami, chciał tłumaczyć je dosłownie, a przecież często zmieniał dowolnie i tworzył rzeczy dziwnie niesmaczne.

I tak Afrodite, którą Homer stale nazywa *złotą χρυσήν*, albo *mile uśmiechniętą* (φιλομειδής) Żukowski nazywa *piękną*. Menelaus διοτρεφής (np. IV. 26), jest u niego Menelejem *od Jowisza wychowanym* ¹⁾, ξανθός *światłowłosy*; πότνια Ἥρη (n. p. IV. 513) u Żukowskiego (str. 85) *szanowna Juno* φίλον ἦτορ (IV. 481) u Żuk. (str. 84) *Kochane* ²⁾ *serce*. φίλη τροφός (II. 361) Kochana mamka; εὐκνήμιδες (II. 402) pięknie *obóci* (!) ³⁾ χαλκοχιτώνων (IV. 496) miedzianą zbroję mających; νηυσὶ δολιχῇ ρέεμοισιν (IV. 499) z okrętami długie wiosła mającemi... ἦμος δ' ἡριγένεια φάνη ροδοδάκτυλος ἥως tłumaczy Żuk. (str. 182). Kiedy zaś rano rodząca się zajaśniała *różowych palców zorza*; na str. 39. Eurykleja rozplakana *lecącemi* odezwała się słowy (ἔπεα πτερόεντα προσηύδα II. 362 ⁴⁾ i t. p. i t. p.

Tłumaczenia tedy Żukowskiego, jakkolwiek opierającego się na dokładniejszej znajomości greckiego języka, ani z przyjemnością czytać ani do nauki bez znacznych poprawek z korzyścią użyć można. Niemała i nie łatwa to zresztą rzecz tłumaczyć nawet dla szkoły; filologia wymaga bezwarunkowej ścisłości, język polski także upomina się o swoje prawa. Grecki język jak wiadomo, ma mnóstwo złożonych wyrazów: Niemcom łatwa z tem sprawa, bo mają ich jeszcze więcej, ale język polski nie lubi ich, a często ścierpieć nie może. Jeszcze w szkole to jakoś ujdzie, jeśli uczeń poradziwszy się słownika ⁵⁾ przetłumaczy n. p. *euknemis* (εὐκνήμις) *nagolenicami dobrze opatrzone*: ma on wyraz grecki przed sobą i nie uczuje tak ociężałości, jaką mu nadał w przekładzie — ale jeśli się to czyta w książce i jeśli za każdy z tych kilkuset złożonych wyrazów trzy albo cztery znajdziemy, czy nie nabierze przez to Homer przykrej jakieś obrzękłości, zagrażającej wodną puchliną? A już zgoła w poezyi (to jest w tłumaczeniu wierszem) straszliwie to będzie wyglądać! I w tej mierze za wielką zasługę

¹⁾ Bronikowski podobnie „Zeusa chowanku Menelo.

²⁾ Bronikowski: *luba*. ³⁾ Bronikowski: *nagoleniopancerni*.

⁴⁾ Bronikowski i Siemieński dobrze tłumaczą (*lotne słowa*).

⁵⁾ Oprócz słownika prof. Z. Węclewskiego mamy już teraz dobre specjalne słowniki do Homera p. Łazarewicz. Na rzetelny szacunek zasługują takie prace. Potrzeba nam także komentarzy do klas. autorów. Oprócz prac Jerzykowskiego i Sobieskiego nie mamy żadnych.

uważam panu Siemieńskiemu, że rzecz gdzie się dało uprościć, języka polskiego nigdzie nie skrzywdził, greckiemu nie ubliżył, a gdzie węzła ani rozwiązać ani rozciąć nie było można, tam węzeł po prostu zostawił. Tak n. p. wspomniany wyraz euknemis tłumaczy „knemidny“. Kto nie zrozumie co to jest, zaglądnie tylko raz do słowniczka na końcu umieszczonego i łatwo się oswoi z tym stałym i specyjalnym przymiotnikiem Achajów i wioślarzy (II. 402), a nie znudzi się rozwałkowaniem przymiotnika na trzy wyrazy i mniej nad tem myśleć będzie niż nad „*nagoleniopancernym*.“

Jeszcze jedną wspólną tym wszystkim tłumaczom wadę zaznaczyć potrzeba, a to, że do Grecyi zawsze na Rzym jeździli i bóstwa rzymskie przenosili do Grecyi, czyli inaczej powiedziawszy greckie nazywali po rzymsku. Zeus jest u nich zawsze Jowiszem, Here Junoną, Hermejas Merkurem, Atene Minerwą, Ares Marsem, Afrodite Wenerą a u Staszica nawet Boginią miłości (choć Homer nigdzie a nigdzie tak jej nie nazywa *).

Prawda, że jest to w naszej literaturze grzech pierworodny, datujący się jeszcze od Reja i Kochanowskiego. Przez trzysta lat wszyscy tak pisali i każdy wiedział co Jowisz, o Zeusie zaś mało kto słyszał, a Wenus stała się nawet bardzo popularną, choć Afrodity nikt nie znał. Lecz jeżeli wolno było poetom zapożyczać się w porównaniach i opisach w mitologii rzymskiej, nie wolno było tłumaczom mającym przed sobą tekst grecki i Zeus powinien był zostać Zeusem a Hermes Hermesem. Panowie Bronikowski i Siemieński wady tej oczywiście uniknąć musieli, pierwszy jako uczony filolog, drugi jako pełen smaku poeta.

Tłumaczenie *Odysei p. Bronikowskiego*, które wyszło w dwanaście lat po przekładzie Żukowskiego to jest w r. 1859 w Poznaniu, nie podobało się publiczności. Jest to jednak praca innej już miary i wartości, niż wszystkie poprzednie. Ten „odłamek dumań myślą w martwe zagnanego światy“ uczonego

*) Co innego że *jest* nią i u Homera. Porównaj prześliczny ustęp w Iliadzie, gdzie Zeus Afrodycie nie wojnę każe się parać, lecz miłemi sprawami małżeństwa. V. 428.

jest dziełem już nie tylko prawdziwej dla wielkiego poety miłości, ale i doskonałego roznmienia jego języka. Troskliwość o ten język i usiłowanie, ażeby każdy wiersz polski zawierał to samo, co grecki, żeby w każdej pieśni tłumaczenia było tyle wierszy ile jest w oryginale, trudności zresztą rytmiczne i skrupulatna dbałość w zachowanie rytmu sprawiły, że język polski nie zawsze mogąc podążyć za greckim, wygląda niekiedy, jakby kulał lub chodził na szczudłach — i to jest, zdaje mi się, główną przyczyną, że książka w szerszych kołach nie pozyskała sobie czytelników, a u literatów ocenienia, na jakie zasługuje.

Tłumacz ma zresztą właściwy sobie, odrębny, może nie dość jasny, cokolwiek trudny, styl, do którego nawyknąć potrzeba. Pozna to czytelnik już z kilka ustępów przedmowy:

„Na treściwsze uwagi objaśniające, przydatne tu i owdzie wprawniejszemu czytelnikowi a pożądane dla potocznego, wydaniu, do nieco ścisłej już pod względem zewnętrznego przybrania skromności przyniewolonemu, nie postarczyło nakładowego zasiłku. Przychylni skrzętej usilności przyjaciele dali, odnośnie dosyć; uprzykrzać się odleglejszemu tejże, łaskawemu groszowi, toż w dobach kiedy przeciwne takim podobno ulubował obroty, zgoła nie nadawało się literackiemu kwestarzowi, tego nadto konwentu. Za nawrotem, może i nie tak dalekim, podtylej sobie *fantazyi* wieku w ogniskach Duchowości, ku nadobniejszym znów umiłowaniem, podążą w podskok za nią okoliczne i t. d.“

Oto kilkanaście wierszy z tłumaczenia Bronikowskiego:

Ks. I. 32—43. „Przebóg! jakże to teraz bogów śmiertelni
winują!

Z nas bo mówią że klęski na nich spadają, wždy sami!
brojeń swoich szaleństw nad los boleści zdzierzają.

Jako zaraz Aegisthos przeciw losowi Atridy
pojął żonę ślubioną, jego zaś zgładził, gdy wrócił,
świadom zguby swej strasznej; bośmy mu naprzód zwieścili,
Hermejasą wysławszy, strzelca celnego Argosa.
ni tamtego zatracać ni téż ślubić małżonkę,
gdyż z Oresta nań pomsta przyjdzie zabójstwa Atridy,
kiedy w lata dojrzeje i zatęskni swej ziemi.

Tak przemawiał tam Hermes, ale umysłu Aegistha

nie zgiął życzliwy — więc teraz wszystko gromadnie
wypłacił.“

Jeszcze parę wierszy:

Ks. IX. 409—411. Na to odpowiadając słowy lotnemi odbija:

„*Kiedyś sameś a nikt ci gwałtu się zadać nie kusi,*
wybiedz chorobie przez Zeusa *zstanej* wielkiego nie możność.
w. 445 (wychodził kozieł) obciążony swem runem i *mną my-
ślącym w dodatku.*

W 511. ten przepowiedział, iż kiedyś spotka mię wszystko
to oto,

iżę dłońmi Odyssa *zbawion* zostanę *spojrzenia.*—

w: 532 (wrócić) w gmachy *mocno działane* (οἷον ἐκτίμενον).

Ks. XVII. w 388—391.

Ale z wszystkich tyś zawsze jest najdotkliwszym tu gachów
dla Odyssa czeladzi, a przed inuymi ci dla mnie.

Wszak ja nie dbam, dopóki Penelopeja rozumna
żyją jeszcze w tym zamku bogom też rowien Telemach.

Nie trudno spostrzec, że to co razi w tych wierszach
wynikło przeważnie z metrycznych trudności. Pan Bronikow-
ski chciał i budowę wiersza zbliżyć się do oryginału, ale rzecz
to w naszym języku niezmiernie trudna, prawie niepodobna. Bu-
dowa wiersza greckiego polega jak wiadomo na iloczasiu i
akcentu nicuwzględnia: w naszym zaś języku iloczasu nie ma,
choć są ślady, że niegdyś był, i wszystkie głoski wymawiają
się jednakowo to jest krótko. Są tylko zgłoski akcentowane i
nieakcentowane, do akcentu więc stopę wiersza stosować i na-
ginać potrzeba. A że mało mamy wyrazów daktylicznych (— ∪ ∪)
przeto bardzo trudno utworzyć hexameter czyli sześciomiar
daktyliczny

— ∪ ∪ | — ∪ ∪ | — ∪ ∪ | — ∪ ∪ | — ∪ ∪ | — ∪

Główna średniówka czyli cezura przypada zwykle po pią-
tej półstopie (penthemimeris) to jest po pierwszej długiej zgło-
sce w trzecim daktylu, albo też w trzecim daktylu po pier-
wszej krótkiej (κατὰ τρίτον τροχαῖον).

W każdej z powyższych sześciu stóp z wyjątkiem piątej (gdzie to nader rzadko i to w umyślnym celu się zdarza) może poeta łaciński lub grecki zamiast *daktylu* (— ◡ ◡) położyć *spondeus*. U nas i tego zrobić nie można, a jeśli się zamiast spondeu (— —) położy *trochaeus* (— ◡) albo nawet ◡ —, to nie będzie to już hexameter, lecz wiersz inny choć bardzo do niego zbliżony. Takiego wiersza ku wielkiemu niezadowoleniu czeskiego tłumacza *Odysei* *) użył Mickiewicz w wspaniałej Powieści *Wajdeloty*:

Skąd Litwini wra cają z nocnej wra cają wy ciecзки

Różnica jest więc ta, że w trzeciej stopie zamiast daktylu *zawsze*, a w pierwszej czasem przypada *trocheus*, a średniówka zaś niezmiennie dzieli wiersz na dwie równe płowy. Takim samym wierszem tłumaczył prof. Marceli *Motty* *Satyry* i *Listy* *Horacego*, a prof. Antoni *Bronikowski* *Odyseję*:

Tak za sypiał tu boski srogo doświadczań O dyssej

Ucho polskie nie nawykło do takiego wiersza i jeśli czarowna potęga słowa Mickiewiczowego tudzież głęboko wzruszająca treść jego Powieści uczyniły go nawet pięknym i nie dały uczuć trudności, to dla innych już mniej będzie miało wyrozumiałości i sympatyj. Stąd pochodzą narzekania niektórych czytelników, że wiersz *Bronikowskiego* jest twardy, szorstki i z trudnością się czyta.

Pomimo to przekład ten *Odysei* nie zbutwieje na pułkach bibliotecznych, lecz w najpóźniejsze lata będzie w rękę nauczycieli greckiego języka i używać go będą w pomoc uczący się i uczeni. Taki też zapewne był skromny a pożyteczny cel szanownego tłumacza.

Co innego już zgola jest tłumaczenie trzeciej księgi *Iljady* Jana *Kochanowskiego*, drukowane w dziełach jego pod tyt.

*) P. Mickiewicz najslawniejsi basnik w swém Wallenrode, po diwny sobie utworil hexameter.

„*Monomachia Parysowa z Menelausem*“, Powinniśmy byli o niem wspomnieć na samém czele, bo Kochanowski o trzy prawie wieki wyprzedził wspomnianych tłumaczy. Nie uczyniliśmy tego umyślnie, ażeby sobie ułatwić przejście od prozaicznych przekładów Homera do przekładu Odyssei przez poetę dokonanego. Pierwszy poeta był oraz pierwszym tłumaczem i wskazał następcom, że i przekładami arcydzieł obcych gardzić literatura nie może i niepowinna, gdyż są one prawdziwym jej wzbogaceniem — wskazał, co przedewszystkiem i jak tłumaczyć powinni poeci.

Ktokolwiek porówna przekład Kochanowskiego z oryginałem, przekona się, że jest wierny i każdą myśl dobrze oddaje, żadnej nie pomija *). Są i u niego pewne niedokładności, jest pewna dowolność. Z epitetami i wyrazami złożonymi nie robi sobie skrupułu, a jednak każdy wyraz choć dowolny jest stosowny i ładny. Białoramienna Helena jest u niego *piękną*; Aleksandra nazywa *gładkim* lub *śmiałym*, chociaż u Homera ma stały przymiotnik „podobny Bogu“ (θεοειδής), ale czy jest wyraz na świecie, któryby doskonalej charakteryzował uwodziciela Heleny, nazwanego w Iliadzie kilkakrotnie najpiękniejszym z postaci (εἰδός ἄριστος), niż „gładki“? — W wierszu 16 niewłaściwie tłumaczy (Τρωσὶν μὲν προπαύλειν), „przed Trojany uciekał“; wiersz 39, w którym Hektor nazywa Parysa nieszczęsnym Parysem (Δύσπαρις), kobieciarzem i t. p., zbywa Kochanowski słowami: „Parysie zelżony“; miłe dary, które miał od złotej Afrodyty, każe mu tłumacz pięknej *Dianie* zawdzięczać; miłosne jego zapamiętały (przy końcu księgi) w skromniejszych wyraża słowach: — ale z drugiej strony czy można pięknie tłumaczyć jak „oszczep ustalony“ (δούρε κεκορυθμένη χάλκῳ) — I schronił się przed śmiercią między swoje chutnie ¹⁾ — krew przed strachem do serca z oblicza

*) Nawiasem wspominam, że co do liczby wierszy bardzo mała jest różnica między oryginałem a tłumaczeniem. W greckim tekście III księgi jest wiersz 461, w przekładzie Kochanowskiego 455.

¹⁾ ἄψ δ' ἐπάρων εἰς ἔθνος ἐχέετο κῆρ' ἀλεείνων w oryg. w. 32.

uchodzi ²⁾). — Nie zeszło nic wodzowi temu na osobie. Ale serca i siły nie masz ³⁾ — A nad przystojność bracie nic nie występujesz ⁴⁾ — *Niezarzutne* (ὤζα ἀπὸ βλητῶν) są rzeczy, które z nieba dadzą; A tego nikt swą pracą nie pozyszcze sobie itd.

Co tam wiele mówić: geniusz jest zawsze geniuszem i na wszystkim, czem się zajmie, wycisnie swoje piętno. A co to za polszczyzna, a jaka woń, jaki urok w tych prostych nie szukanych i nieuczonych słowach! Opieramy się pokusie przytoczenia ustępów — musielibyśmy bardzo wiele przytoczyć; zbyteczna to nareszcie: dzieła Kochanowskiego są w każdym domu polskim *).

Przekład Jana z Czarnolesia jest dziełem wielkiego poety i klasyka. Mamy jeszcze inny fragment Iliady, tłómaczony przez znakomitego czasów naszych poetę. Na nieszczęście wielki ten poeta, największy może mistrz słowa za mało był klasykiem. Mamy tu na myśli ustęp z Iliady (492 wierszy z księgi pierwszej) ogłoszony w pośmiertnem wydaniu dzieł Juliusza Słowackiego nie drukowanych za życia. Jako takie uchylają się one właściwie od krytyki; oceniając poetę powinno się właściwie rozważać tylko te dzieła, które sam wydał, albo do wydania przeznaczał. Papiery pozostałe są materiałem raczej dla biografa niż dla krytyka. Stemmwszystkiem mały ten ustęp Iliady jest rzeczą w swoim rodzaju genialną. Nigdzie może tak wyraźnie nie przebijają się znamiona talentu autora „Balladyny“. Nie jest to tłómaczenie, ani nawet takie, jak Dmochowskiego, to jest z innego dokonane tłómaczenia. Słowacki nie miał przed sobą oryginału, miał tylko może przekład jaki francuski, a może tylko, jak podejrzewam, Dmochowskiego. Chciał po swojemu, to jest przesłicznie ale i zuchwale, powiedzieć to, co Dmochowski powiedział; słowem parafrazował,

²⁾ ἄψ τ' ἀνεχώρησεν, ὧχρός τε μιν εἶλε παρειάς. w. 35.

³⁾ (καλός) εἶδος ἔπ' ἄλλ' οὐκ ἔστι βίη φρεσίν, οὐδέ τις ἀλκὴ. w. 45.

⁴⁾ Ἐκτορ, ἐπαι με κατ' αἶσαν ἐνείκεσας οὐδ' ὑπὲρ αἶσαν w. 59.

*) Jest pilna potrzeba nowego starannego i krytycznego wydania dzieł Kochanowskiego — wszystkie dawniejsze wyczerpane. Należałoby nawet za jednym zachodem zrobić dwie edycye, jedną zupełną a drugą dla młodzieży.

tworzył oryginalnie na temat przez Homera i to nie z pierwszej podany ręki. Słusznie uważa prof. Małecki, na którego zdanie z przyjemnością powołać się możemy, że robota ta była niejako stylistycznym przygotowaniem do „Króla-Ducha“, że poeta chciał się wprawić w stylu pełnym prostoty i powagi. Sam Homer nie gniewałby się za tak genialną parafrazę jego dzieł, ale nie uznałby tego za tłumaczenie tak jak i my nie możemy sobie życzyć, żeby w takiej postaci Homera naród nasz poznawał, obawiamy się bowiem, że poznałby Słowackiego, a nie Homera.

„Achilla gniew — i klęski zeń spadły na Greków
Śpiewaj *Bogini* — *Bogów spiewaczko i wieków!*“

Prześlicznie to brzmi: „Bogów spiewaczko i wieków“ — ale cóż, kiedy Homer ani razu tak Muzy nie nazwał.

Podobnie „*przed czasem*“ tylu mężów zgładził,
„Przed losem i przed bożym upokorzył tronem,
Naprzód Achilla z czarnym skłóciwszy Memnonem.

albo:

Był mór i z trupów całe urosły kurhany.

.

Ujrzał się sam — w cierpiącym ludu ukarany itp. itp.
Bardzo to ładne, ale w Homerze tego nie znajdzie *).

III.

H o m e r.

Tak więc po r. 1874 nie mieliśmy prawdziwego Homera; nie miały go i inne ludy słowiańskie, a szkoda była wielka,

*) Prof. Małecki wspomina o nieogłoszonym jeszcze przekładzie Jana Zborowskiego. Przekładu tego nie znamy, a z kilku podanych wierszy trudno osądzić. Ustępy z Homera i innych poetów tłumaczył także profesor *Szujski* w „Rysie Dziejów literatury“. Przekłady dzieł mylnie Homerowi przypisywanych pomijamy.

i zdawało się, że jeżeli gdzie, to w Słowiańszczyźnie najlepiej powinien być zrozumiany i najwięcej czytany. Mianowicie świat Odyssei coś dziwnie słowiańskiego ma w sobie. Nie lubimy naciąganych porównań, a jednak trudno nie dopatrzyć rysów uderzającego podobieństwa, trudno nie dosłyszeć dźwięku jakiejś znanej rodzinnej nuty, chociaż o tyle, tyle wieków wstecz cofnąć się potrzeba.

Ten Odysseus żadną nie złamany burzą, pod żadnem nieupadający nieszczęściem, cierpliwie znoszący wszelkie utrapienia, przemyślny, obrotny, przebiegły, pokorny, gdy potrzeba, mściwy gdy nadarzy się sposobność, czasem jak to mówią z głupia frant, a zawsze pamiętający o swoim mieniu i przy-sporzenie dobytku *chytrze mądrze a nie wielkiem kosztem* *), nie dowierzający ludziom a nawet własnej żonie, choć słyszał o tylu dowodach wierności — i wracający do miłej ojczyzny pomimo tylu przeszkód i ponęt — czyż nie przypomina nam w wielu rysach twardej, łykowatej, cierplivej natury naszego Rusina, który w długiej niedoli nauczywszy się pokory i cierpliwości zegn timer się dziesięć razy a złamać się nie da, *niby milczy a wszystko wie*, do celu swego dąży powoli a wytrwale, nie ufa ludziom, nie wierzy nawet przyjaciołom — a przecież kocha ludzi, dla rodziny, dla przyjaciół wszystko poświęci — do swojej ziemi i wiary przywiązany gorąco?

A ten wierny pocziwy pastuch Eumaios i ta rzewna, czuła, cicha piastunka Eurykleja — co to o dobytek pański więcej dbają niż o siebie — a dziecko pańskie kochają jakby swoje i z łzą serdeczną w oku po krótkim nawet rozstaniu całują jasne oczka (świątełka) i główkę i rączki ukochanego panicza — czy nie przenoszą niejednego z nas myślą na Ruś w lata dziecięce, które na zawsze zapisały w miłej pamięć podobnie prawie takie same postacie?

Nawet *Iros*, ów żebrak zuchwały, co żebractwo uważa za swoje powołanie i za uczciwy zawód, a dawanie mu jałmużny

*) Naprzykład jakże sławnie przymawia się do Alkinoas, żeby go obdarzył. Spodziewa się podarków nawet od Polifema, cieszy się że Penelopeia zręcznie kosztowne dary od zalotników przed samą ich śmiercią uzyskać umiała i t. p.

za ludzki obowiązek — czyż to nie tenże sam, znany nam dobrze „król dziadów“ z Kochawiny lub Poczajowa?

A znowu stukilkunastu tych bujnych zalotników, zalegających dwór Penelopei, choć, jak sami wyznają, każdy z nich mógł sięgnąć po rękę szlachetnej i posażnej panny, czy to nie oczywista rzesza onych butnych panów naszych, co to tak do cudzych zalecać się żonek, chociaż tyle pięknych nudzi się panien — dobijać się o rękę kobiety, która mogłaby być ich matką, dlatego, że jest znacznej posiadłości dziedziczką — prześiadywać gnuśnie po sąsiedzkich dworach i wypróżniać cudze zasoby pomimo, że w domu byłoby aż nadto, gdyby gospodarka nie szła marnie przez ich własne niedbalstwo — a nareszcie podczas konkurów do królowej nie pogardzać także stosunkiem z pannami minorum gentium, w guście tych dwunastu, które Telemach na rozkaz ojca jak gołębnice na sznurku obwiesił? — A przecież rycerska to krew! Lepiej zginąć, niż się ukorzyć. W imię rycerskości wyrzucają Odyssejowi, że zabija bezbronnych, a gdy dostali trochę broni, walczą do ostatka — bezskutecznie, bo Bóg pomagał Odyssejowi, lecz żaden się nie upokorzył i litości nie wzywał, i padają jeden po drugim bez życia, ale z honorem!

Więcej kosmopolitycznym jest typ miękkiego śpiewaka, który z wstrętem śpiewać musi zuchwalcom i wzdryga się patrząc śmierci w oczy — i owego Keryxa, niby jakiego lojalnego urzędnika, co wierny władzy, ulegać musi przemocy. —

Specjalnie grecką najdawniejszych czasów postacią jest Peneleoopia; przynajmniej późniejsi poeci nie okazywali skłonności do wiary w dwudziestoletnią cnotę, a u nas zachowała się stara, czasów Bolesławowskich sięgająca pieśń gminna (porównaj *Lilie* Mickiewicza), która powiada, że nawet jednoroczny termin był za długi. Cożkolwiekby, Penelopeja jest jedną z najwspanialszych i najpiękniejszych kreacji poetyckich — to też gdzie imię jej nieznane, gdzie nie stała się synonimem małżeńskiej wierności i cnoty?

Czy ustęp o przemianach Proteusa nie przywodzi nam na myśl bajek ludu naszego o („niewymownym“) djable, który przerzuca się w czarnego barana to znowu w koguta, to mażią się rozleje? Fantastyczne nareszcie powiastki o owych olbrzymich ludożercach, o Lotofagach, Kikonach, Syrenach i t. d.

czy nie przypominają niejednym rysem baśni, któremi niańki bawią dzieci w długie zimowe wieczory?

Ale mniejsza o podobne porównania i przypomnienia — każdy wysnuwać je może dowolnie i za małoby to było, ażeby zając wszystkie umysły i wszystkie narody. Z innych i ważniejszych względów pozyskał Homer jednomyślne uwielbienie.

Ileż to ludzkości, ile szlachetnych uczuć w tych bohaterach Homerowych, nawet wśród szczęku oręża, wśród koniecznego w długich wojnach zdziczenia! Jakież łagodne światło etyczne rzucił poeta w Iliadzie na morze łez i krwi! — Jaka tam gotowość do śmierci, lekceważenie niebezpieczeństwa, przekonanie, że jeteśmy marnym prochem i w proch się obrócim.

Jako liście marne są ludzie — pełni siły spożywają owoce ziemi — a za chwilę padną bez duszy. (Ilias. XXI. 464. Porównaj także VI. 146).

Nawet w tym srogim na pozór i namiętnością gniewu uniesionym Achillesie jaka łagodność w sercu, jaka przystępnosć dla najszlachetniejszych uczuć, jaki smętny i pełen rezygnacyi pogląd na świat, na życie, na ludzi! „O gdyby zagięły — woła — kłótnia i gniew, który i rozsądnego do złych czynów wiedzie, i słodszy niż miód rośnie i podnosi się w piersi człowieka jak dym.“ (Il. XVIII. 107—110). „Ach na cóż się zdał bolesny płacz — pociesza Priama — już to tak bogowie przeznaczyli biednym śmiertelnym cierpieć na ziemi.“ (Il. XXIV. 524). Będę spoczywać, gdy umrę, teraz chciałbym pocziwają sławę pozyskać — rzecze do matki (XVIII. 121). — Wiesz — mówi Antilochos do Menelausa — jaka to zuchwałość i duma w młodym człowieku! (Il. XXIII. 589). Wnet wojnę przesycą się ludzie, w której tyle kłósów pada na ziemię pod ostrzem żelaza, a żniwo tak małe. (Odys. do Achil. Il. XIX. 221.). I w Odyssei utrapionym wyrzywa się z piersi posępna skarga: „Nie nie ma gorszego dla ludzi nad ciągłe tułactwo. Dla zaspokojenia głodu tyle znosimy trudów i cierpień.“ (Od. XV. 342). Ze wszystkich stworzeń na ziemi najnędzniejszym jest człowiek. (Od. XVIII. 130). Żywot ludzki mija jak chwila. (XIX. 328). Prędko starzejemy się w nieszczęściu. (XIX. 360). Żelazo samo ciągnie do siebie człowieka.“ (XIX. 13) i t. d.

Proszę sobie przypomnieć jeszcze z Iliady (VI. 123—236) ową prześliczną rozmowę Glaukosa z Diomedesem wśród naj-

większej wrzawy wojennej. Nim uderzyli na siebie, „Kto jesteś najlepszy! z ludzi śmiertelnych, nie widziałem cię dotychczas w zaszczytnej walce, a teraz wszystkich wyprzedzasz, pragnąc ze mną się mierzyć — woła Diomedes. *Dzieci to nie-szczęśliwych*, co w moje dostają się ręce! Chyba jesteś który z bogów i z nieba przyszedłeś — a! z bogami niebieskimi jabym nie walczył. Nawet ów potężny Lykurgos nie długo żył, gdy przeciw bogom się podniósł. . . . — „Tydeusa synu — odpowiada Glaukos — na co mię o ród mój pytasz? *Jako ród liści, jest ród człowieka*. Liście wiatr zwieje na ziemię — a gdy przyjdzie wiosna — nowym liściem lasy porosną. Tak też i rody ludzkie: jeden rośnie, a drugi ginie! . . . Hippolochos jest mym ojcem — on wysłał mię pod Troję i bardzo, bardzo mi nakazał, żebym się zawsze odznaczał i był między pierwszymi i wstydu mym ojcom nie zrobił.“

Słyszając to ucieszył się dzielny Diomedes; natychmiast zatknął oszczep w życiodajnej ziemi i słodkimi przemówił słowa:

„A jeśli tak, to tyś mi starym druham od ojców — gościli u ciebie nasi ojcowie — i my, gdy do domu wrócimy, odwiedzimy się nawzajem. A teraz omijajmy się w walce — dość ja mam Trojan do pokonania przy boskiej pomocy — dość i tobie nastreczy się Achajów, których będziesz mógł zabijać, ile sił starczy. Zamieńmy zbroję, nim się rozejdziemy, ażeby i inni widzieli, żeśmy druhy od ojców!“ — — Jeżeli te piękne, z serca idące słowa przejmują każdego, to coś dopiero powiedziec o prawdziwie wzruszającym pożegnaniu Hektora z żoną i dzieckiem (w tej samej księdze w. 407—493). — Ze łzami woła Andromache: „Niedobry! zgubi Cię Twoje męstwo, nie masz litości nad dzieckiem malutkiem i nademną, która wkrótce będę wdową po tobie; rychło zabiją Cię bowiem Achaje uderzając tłumnie, a mnie lepiejby było, gdy Ciebie nie stanie, zstąpić pod ziemię — bo już nie będzie dla mnie żadnej pociechy — tylko cierpienie i smutek. Ani ojca już nie mam — ani matki; ojca zabił Achilleus, matkę uprowadził w niewolę, a gdy ją za okupem wypuścił, umarła w komnacie. Siedmiu braci miałam w domu — i wszyscy jednego dnia do Hadesa poszli — wszystkich zabił Achilles.*) — Hektorze! tyś mi te-

*) Porównaj *Powieść Wajdeloty*.

raz ojcem i matką i bratem i miłym małżonkiem — więc zmiłuj się i zostań na wieży, ażebyś sierotę nie uczynił dziecka a małżonki wdową*).

„Ach i mnie to wszystko ciąży na sercu — odpowiada bohater — lecz obawiam się, żeby nie powiedzieli Trojanie i Trojanki, że jak niedołęzny unikam wojny. Zresztą własne nie pozwala mi serce, bom się nauczył być zawsze mężnym i walczyć między pierwszymi, dla sławy ojca mego i mojej. Dobrze ja to wiem w sercu i duszy: przyjdzie dzień, gdzie runie święte *Illos* i *Priamos* i lud *Priama*! Ale nie tyle mi ciąży smutek Trojan, ani nawet *Hekaby* ani *Priama*, ani braci, których mam wielu i dzielnych — że w proch upadną pod rękami nieprzyjaciół: ile twój smutek, gdy cię który z zbrojnych Achajów płaczącą powlecze i dnia wolności pozbawi. I dla innej prząść będziesz w *Argos* i wodę nosić ze źródeł *Messeidy* i *Hyperei* — bardzo niechętnie, ale ciężka cię zmusi konieczność. I wtedy powie niejeden patrząc na łyzy lejącą: Oto małżonka *Hektora*, który był najdzielniejszy w boju między Trojan, gdy pod *Ilion* walczano.“ Tak powie niejeden — a tobą na nowo ból zaszarpie, że nie masz już twego męża, aby dzień niewoli od Ciebie odwrócił. Ale niech mię raczej mogiła przykryje, niż miałbym twoje wołanie usłyszeć i dowiedzieć się o twem porwaniu!“

„To rzekłszy wyciągnął ręce do dziecka — ale chłopczyna z krzykiem tulił się do łona mamki, bał się bowiem oblicza ojca miłego i przeląkł się żelaza i hełmu. I uśmiechnął się ojciec miły i matka czcigodna. Zdjął więc *Hektor* hełm błyszczący z głowy i położył na ziemi, a potem całował swe dziecko i kołysząc je na rękach modlił się do *Zeusa* i do innych bogów: O *Zeusie* i wy inni bogowie, pozwólcie, żeby ten mój chłopczyna jak ja odznaczał się wśród Trojan i dzielnie rządził, i żeby kiedyś powiedziano: lepszy ten o wiele od ojca. . . .**)

*) Porównaj Mickiewicza Powrót Taty:

Nie róbcie małych sierotami dziątek
I młodej małżonki wdową.

**) Porównaj: Hermann und Dorothea: „dass er dem Vater nicht gleich sei, sondern ein Besserer.“

„To rzekłszy położył dziecko na rękach miłej małżonki — a ona okrywała je fałdami swej sukni — *przez łzy uśmiechając się*. Żal ogarnął Hektora, gdy to zobaczył, pogłaskał ją ręką i rzekł: Biedaczko! nie smuć mi się zanadto, wszak nikt do Hadesa nie pójdzie, gdy mu los nie przeznaczył. Przeznaczenia zaś nikt nie uniknie, ani zły ani dobry, gdy się już raz urodził. . . .“

Łaskawy czytelnik zechce otworzyć jeszcze ostatnią księgę Iliady, mianowicie w tem miejscu, gdzie Pryam z pomocą Hermesa przybywa w nocy do namiotu Achillesa, ażeby go prosić o wydanie zwłok syna (wiersz 477 i nast.). Niedostrzeżony zbliżył się do Achillesa, objął jego kolana i całował ręce, te straszne, mężobójcze ręce, co mu tyle synów zabiły. Zdumiał się Achilles, osłupieli wszyscy patrząc na przybyłego, a on błagał o zwłoki syna i zaklinał Achillesa na pamięć ojca, który także starością przygniecion, może ucisku doznaje, a nie ma komu nieszczęścia od niego odwrócić. Gdy skończył żałosną prośbę, wziął go Achilles za rękę i łagodnie od siebie odsunął. Obydwaj głośno zaczęli płakać. A gdy się napłakali do woli, podniósł Achilles starca i żal mu było siwej głowy. „Ach nieszczęsny! — zawołał, ach wieleż ty już cierpień w duszy przetrwałeś! Jak mogłeś się odważyć tu do okrętów achajskich przyjść sam — i przed oczy człowieka, który tyłu i tak dzielnych zabił ci synów?! *żelazne ty masz serce!*“

Może nie pogniewa się na nas łaskawy czytelnik, żeśmy ośmielili się przypomnieć mu tych kilka ustępów, dających się czytać po sto razy, a zawsze z jednakowem zajęciem, może zechce wyrozumieć pobudki, które nas do tego skłoniły. Szkoda tylko, że musieliśmy przytaczać tłumaczenie lub streszczenie własne i to prozą, bo niestety p. Siemieński jeszcze Iliady nie przetłumaczył. Pragnęlibyśmy zwrócić powszechną naszego społeczeństwa uwagę nie tylko na ten nieporównany urok najczystszej i najgłębszej poezji, ale i na tę znajomość serca ludzkiego, na tę prawdę w przedstawieniu, na tę małostkową charakterystykę ludzkiej duszy. Pomimo trzydziestu wieków dzielących nas od owego świata i czasu, znajdujemy takie same jak dziś uczucia, myśli, wyobrażenia, znajdujemy to, co jest czy-

sto ludzkie, co się wszędzie powtarza i ani od czasu nie zawisło, ani od miejsca ani od narodowości.

Bóg, człowiek, ziemia — oto trzy słowa, które nigdy nie przeminą — uwielbianie Boga, miłość człowieka, przywiązanie do ziemi — oto trzy idee, które nigdy się nie starzeją i nadają zawsze poezji ten urok nieprzemijający i tę cechę uniwersalną, ludzką, dla wszystkich przystępną. Wszystkie wielkie dzieła tym trzem ideom, z których dwie drugie są właściwie wynikiem pierwszej, bo pierwsza jest początkiem wszelkiej miłości, zawdzięczają nieśmiertelność. — Wszystkie inne, co się do nich nie wzniosły, prędzej lub później spadały w przepaść zapomnienia. Homer wzniosł się do nich, jak tylko na ośm wieków przed Chrystusem najwyżej wnieść się było można, i dlatego żyje, dlatego trafia do wszystkich serc, podnosi wszystkie dusze. Zadziwiające jest to tęskne wyglądanie i pragnienie Boga, to wrywanie się serc ku Niemu, słowem ta pobożność poety. Zaprawdę przebaczyć potrzeba, że dziecięca owego wieku natura szukając Boga — wyobrażała go sobie zmysłowo, czasem dziwacznie, często niewłaściwie lub błędnie. Homer sam stworzył Grekom bogów (jak mówi Herodot II. 53) a stworzył na podobieństwo ludzkie — cóż dziwnego, że tyle ludzkich mają znamion? Któż za złe weźmie dziecku, jeśli biedne szukając ojca, zbłąka się płacząc i nawet powiedzieć nie umie, kto jest ten ojciec, jak się nazywa, gdzie mieszka? Czy przeto dziecko to nie pragnie znaleźć i nie kocha swego ojca?

Otóż Homer i świat Homera to owo dziecko szukające ojca i ciągle wołające: Ojcze! Ojcze! Wszystko ci ludzie odnoszą do Boga — wszystko co mają, mają z Jego łaski, wszystko czego pragną, spodziewają się pozyskać tylko za Jego pomocą, własnej sile nie ufają nigdy, a jeśli kto zaufał, zawsze się zawiódł — (dość przytoczyć oprócz wspomnianego Lykurgosa, olbrzyma Polifema, który choć był synem Pozeidona, urągał bogom i srodze ukarany został od człowieka mizernego, jednak boskiej ufającego pomocy); przy każdej sposobności wzywają imienia bogów, w każdej uroczystej chwili modlą się do nich, nigdy nie wezmą pokarmu i napoju do ust nie ofiarowawszy nieśmiertelnym! Dowodów na to nie potrzeba — dowodem jest cała Iliada i Odysseja. Oto kilka zdań

zebranych na prędcie: Zabijesz mnie, powiada Hektor do Achilleśa, jeśli ci pozwoli (da) bóg (Il. XXII. 285) — i ginie potem, *bo go opuścił* Foibos Apollon (wyraźnie *opuścił go* Il. XXII. 213). „Gdybym ich zabił za Zeusa i twoją pomocą (Odys do Ateny Od. XX. 42). Atene odpowiada: Choćby 50 zastępów zasadziło się na cię, przy pomocy boga wszystkie pokonasz (XX. 49). „Powinien się był modlić do nieśmiertelnych, nie byłby nadbiegł ostatni.“ (Antilochos do Achilla XXIII. 546). Teukros nie trafił gołębia na igrzyskach, bo nie ślubował Apollinowi hekatombi (Il. XXIII. 864). Echepolosowi bóg dał wielki majątek (Il. XXIII. 298). W Odyseji czytamy: Leży tam z łaski bogów bogaty dobytek w komnatach (XI. 341); piękność i rozum bóg daje (XX. 70). Telemacha pod nieobecność ojca wychowali bogowie (XIV. 175). Niech bóg broni od tego (XX. 344). Oby Zeus spełnił gościu twe słowo i t. d. i t. d.

Jakże to wszystko przypomina lud nasz kochany, ludek Boży, co cię zawsze w imię Boga pozdrowi i pożegna, co imię Jego nie tylko na ustach ma ale i w sercu. „Niech będzie pochwalony“ oto jego pokłon; „Jeśli Bóg da doczekać, jeśli Bóg pozwoli“ — oto słowa towarzyszące jego planom; Czyż to domek? „Naprzód Pana Boga a potem mój“ odpowie — „ma tam Pan Jezus dziesięć zagonów“ — oto właściciele jego majątku. — Jakże przytem wyglądają te dzisiejszych mędrców rozumy, co chcąc stracić Boga, same lecą w przepaść, jak upadłych aniołów tłumy — jakże przy tem nędzne są owe młokosy, co to zobowiązują się nie wymówić nawet wyrazu Bóg — śmieszne robaki! I dziwić się nam, że jeden z największych myślicieli naszego wieku, jak wspomina p. Siemieński, nazwał Homera przedmową do Ewangelii, a Mickiewicz *więcej chrześcijańskim, niż wielu chrześcijańskich pisarzy*.

Może dobrze będzie przypomnieć, co powiedział w III kursie Literatury: „Należy autorom niezmiernie skrupulatnie i bogobośnie używać świata nadprzyrodzonego. W tej mierze sztuka chrześcijańska grzeszyła najgorzej. Homer pod tym względem jest dotychczas — jeśli się tak godzi powiedzieć — najbardziej chrześcijańskim. U niego wszystko naprzód dzieje się w niebie, w krainie duchów, potem zstępuje na ziemię, wykonywa się przez ludzi. Ludzie nie są wszakże narzędziem ślepem, mogą pójść za natchnieniem wyższem, albo je odepchnąć

i to stanowi całą tajemnicę ich powodzenia lub niedoli. Stąd też bohaterowie Homera są daleko naturalniejsi, lepiej dają się nam pojąć od bohaterów Tassa lub tegoczesnych poematów i romansów. Wojownicy Homerowscy mają dni pomyślne i nie-szczęśliwe, chwile odwagi i trwożliwości niepojętej dla nich samych. Często któryś z nich, opuszczony przez bóstwo wspierające, traci nagle serce i wyznaje to otwarcie — ucieka nawet z pola bitwy. Jest to rzecz naturalna.“

Z tej miłości Boga wypływają i wszystkie inne cnoty świata Homerowego: uczczenie domowego ogniska, srom i honor domu, a nadewszystko owa święta gościnność, co każe przyjąć gościa nie pytając kto jest i skąd przychodzi, nie oglądając się, czy koło niego dostatnio czy ubogo. Nawet żebrakowi w łachmanach otwierają się drzwi na oścież i siada do uczty razem z królami, bo często bogowie w postaci takich nędzarzy chodzą po ziemi badając serca ludzkie. Gdy Antinoos zuchwale stołkiem ugodził Odyssa — żebraka, odzywa się jeden z młodzieży:

Złeś zrobił Antinoju ciskając w nędzarza;
Nużby to był niebianin, jak nieraz się zdarza,
 Że Bóg przybrawszy postać wędrownego dziada
 Grody, włości przebiega i naocznie bada
 Zbrodnie ludzkie i cnoty bogobojnej duszy?

(Tłou.acz. Siemieńskiego str. 429 w oryg. XVII. w. 483—487).

Nie jestże to jakby przeczuwanie tego, co Pan Jezus powiedział, że przyjdzie do nas w postaci nagich i głodnych — i cokolwiek biednym uczynimy dobrego, Jemu uczynimy? — Nie jestże to jakby pierwsza z tych pobożnych legend, jakie między ludem naszym krążą, że święci nawiedzają chaty jako ubodzy i błogosławieństwo niosą domowi, w którym mieszka litość i człowiekowi, którego serce nie zamyka się przed nędzą?

Zważywszy to wszystko nie będziemy się dziwić wielkiemu znaczeniu i wpływowi Homera. Dzieła jego nie tylko „wzbudzały heroizm cnoty wspomnieniem dawnych bohaterów, nie tylko wpływały na uczucia i imaginacyą synów Grecyi, co po-
 legli pod Termopilami“ — jak mówi Mochnacki — ale wywie-
 rały one nieskończony, ciągły i stanowczy wpływ na ukształce-

nie i oświatę, na literaturę i sztukę, na obyczaje i na politykę — słowem na cały byt i rozwój, na całą historią Hellenów. Nie tylko Hellenów! Dawno minęła ich wielkość, dawno przyszedł i' dla nich ciężki dzień niewoli ($\deltaούλιον \etaμαρ$) — a Homer zawsze tym samym opromieniony blaskiem, tą samą otoczony czcią, ten sam wywiera wpływ i wywierać nie przestanie! We wszystkich szkołach na świecie brzmią jego słowa — we wszystkich krajach coraz nowe wychodzą edycje — we wszystkich filologach uczonych ma komentatorów. Przodują w tej pracy Niemcy. I zaprawdę wielką część tego, co na szacunek zasługuje u Niemców, narodu mającego wiele wrodzonego lub koleją wieków wyrobionego barbarzyństwa i patrzącego zawsze cudzej grzedy i cudzego chleba, wielką cześć zawdzięczają studyum klasycznym. Dość wskazać na Monachium, owe jakoby odrodzone Ateny.

Szanujemy głęboko filologów niemieckich, uchylamy czoła przed ich pracą, zdolnością, zasługą. Jedna tylko nasuwa się nam wątpliwość. Czy ich wzrok bystry przez długie natężenie czasem nie stępsiał, czy patrząc daleko, nie stali się niekiedy krótkowidzącymi? Tak się nam zdaje przynajmniej co do Homera. Najpierw powiedzieli i ciągle utrzymują Niemcy uczeni, że Homera nie było, że był tylko spójca ($\text{"Ομηρος} = \text{ὁμοῦ} + \text{ῥο}$), zbieracz rozumny i estetyczny, który w całość liczne spoił pieśni. Strach, zbiera pisać o tej skórze, jak powiedział niegdyś Klonowicz. Taka wymierzona przeciw nam małym i bezbronny armatura najściślejszej nauki, najgłębszej badawczości, że trudnoby się odezwać i odwaga opuszcza człowieka. Na szczęście jednak i my mamy ciężkie działa na swoją obronę, i my mamy wielkie, może większe niż najuczeńsi gramatycy co do tej sprawy powagi za sobą. Schiller, Goethe, Hegel *) powiedzieli, że barbarzyństwem jest uważać poemata Homera za zręczne spojenie luźnych utworów. za doskonałą łataninę z różnych kawałków. Wprawdzie Wolf i Lachmann i inni wielcy uczeni są przeciw nam; za nami zaś oprócz znacznego zastępu filologów wszyscy świata poeci, a ci wiedzą najlepiej, jak się tworzą

*) Co do tej rzeczy odwołać się muszę do dawniejszej pracy: „Uwagi nad Panem Tadeuszem.“

dzieła artystyczne i czują, że nie pomoże tu zbierana drużyna. W samych Niemczech sprawa ta nie rozstrzygnięta. Połowa wydawców i połowa badaczy oświadcza się za jednym twórcą, za jednym Homerem. Bądźcobądź żadna strona w tym sporze nie może się jeszcze pochlubić stanowczem zwycięstwem — i nikt pewnych i niezbitych nie zdoła podać dowodów: — można zatem albo wierzyć, albo nie wierzyć. To pewna, że Homer na tem nic nie stracił, jeżeli nie zyskał. Spór zajmował najzdolniejsze umysły, wywołał najgorętszą polemikę, spowodował do najgruntowniejszych badań. Tym sposobem — chcąc zaprzeczyć Homerowi egzystencji lub chcąc jej obronić — szukając pojedynczych pieśni, lub dowodząc jedności, coraz nowe odkrywano piękności i wszyscy bez różnicy opinii używali rozkoszy w tej słonecznej świątyni.

Pisać w tej sprawie jest to zaprawdę wodę nosić do morza albo sowy do Aten, jak mówi greckie przysłowie; odsyłamy zresztą do pięknej przedmowy p. Siemieńskiego, którą radzibyśmy, żeby każdy wbrew panującemu u nas zwyczajowi przeczytał. Dla prostego rozumu aż nadto dostateczne i jasne jak słońce są dowody następujące, które w najściślejszej podamy zwięzłości. Nie ma przykładu wielkiego artystycznego utworu, któryby z rozmaitych złożył się urywków. Grecy mieli niezawodnie bardzo wielkie poczucie i zmysł artystyczny — byli zresztą bliższymi Homera i właściwsiymi sędziami, a jednak wierzyli wszyscy i zawsze w jedność kompozycji pomimo, że tyle mieli kłopotu w zebraniu, uporządkowaniu i spisaniu autentycznego tekstu, który podawany ustnie wielu zmianom ulegał. Cóż łatwiejszego, jak wszystkie miejsca, uważane powszechnie za wtrącone później, wszystkie dodatki i powtarzania się, przypisać rapsodom wygłaszającym często pojedyncze pieśni osobno, i dla dokładniejszego zrozumienia powtarzającym ustępy z innych pieśni, a dla przypodobania się słuchaczom dodającym parę wierszy mogących im pochwalić. Wszystkie pieśni zresztą nie były spisane, lecz przechowywane w pamięci przechodziły z ust do ust, z ojca na syna. Cóż naturalniejszego, jak pewne przekręcenia lub samodzielne a mniej udolne uzupełnienia zapomnianych miejsc? Nie da się uzasadnić niewiara w możliwość utworzenia i zachowania w głowie tak wielkich poematów. Słusznie powołuje się p. Siemieński na serbskich gęślarzy i na

Ramayanę i dowiedzioną jest rzeczą, że w Atenach w czasach późniejszych, gdy dzieła Homera już spisano, byli ludzie wygłaszający z pamięci całą Iliadę i Odyseję. Nie tak trudno to pojąć — ileż to uczniów naszych umie całego Wallenroda na pamięć, a znaleźmy młodego chłopaczka, który nauczył się całego Pana Tadeusza i doskonale wygłaszał. Nie mały miał zapewne z tymi wtrąconymi ustępami kłopot *Peisistratos*, zabrawszy się w towarzystwie kilku poetów, mianowicie *Onomakritosu*, do ostatecznego zredagowania epopei Homerowych, a jednak i jego posądzają, że kilka wierszy podrobionych wsunął na korzyść Aten. Chcąc uniknąć nowego rozkawałkowania i pobałamucenia i wiedząc że tylko całość zaspokoi estetyczne pragnienie słuchaczy, rozporządził, żeby odtąd podczas *Panathenaiów* poemata Homera wygłaszano tylko w całości i w porządku właściwym — a ponieważ jednemu nie starczyłoby było sił, więc rapsodowie kolejno zmieniać się mieli (ἐξ ὑπολήψεως). Pomimo to pozwalano sobie później rozmaitych wsuwek i dodatków (t. z. dyaskenazy) i wiele mieli pracy około przywrócenia recenzji *Peisistratosa* uczeni alexandryjscy, między którymi odznaczał się *Zenodotos* z Efezu,*) *Aristofanes* z Bizancjum a najwięcej uczeń tegoż, sławny *Aristarchos*.

Żadnemu z tych mężów uczonych i bardzo bystrym obdarzonych wzrokiem na myśl nie przyszło, że Homera nie było, albo że dzieła jego są zręcznym zlepkim. Wszakże nie tylko do zdania znakomitych krytyków odwołać się możemy; nie małej wagi i to, co sądzili o tem późniejsi wielcy myśliciele i poeci greccy. Otóż o ile wiemy każdy z nich tego samego był przekonania, a byłoby — jak mówi Ameis — może więcej niż śmiałością odmówić kompetencji takiemu Platonowi lub Sofoklesowi i pomyśleć, że spojone kawałki byliby uważali za organiczną całość, a rozstrojone i ze wszystkich stron zerbane dźwięki za najpiękniejszą harmonią.

Najdoskonalszym wszakże dowodem, jak uważa p. Siemieński, są same dzieła. Taka w nich organiczna jedność, takie pewne i jasne dążenie do celu, taka artystyczna budowa,

*) Jemu przypisują podział epopei Homerowych na 24 księgi każda.

taki związek pojedynczych części, że nie wiele wyrzucić a nie dodać (chyba luźne wiersze lub małe ustępy) nie można.

Pan Siemieński zaznaczając jedność poematów a mianowicie *Odyssei*, może za wiele ustępuje przeciwnikom swego zdania co do *Iliady*.“ W *Iliadzie* — czytamy na str. 24 przedmowy, dość było powiązać ze sobą pieśni wojenne, pierwotnie wyśpiewane przez samych bohaterów z pod Troi lub wkrótce ułożone po tej wyprawie — dość było je porządkiem powiązać, a niektóre rozszerzyć dodatkami — a epos złożyło się samo przez się; jedność bowiem działania leżała w samym przedmiocie! Wszystko skupiało się około Troi i jej zdobycia!“ Czcigodny tłumacz *Odyssei* przebaczy mi, że się głośno za *Iliadą* upomnę z powodu tego ustępu. *Iliada* tak samo „nosi cechę świetnej i zupełnej kompozycji“ jak *Odysseja* i tak samo w jednej zrodziła się głowie — cała od początku do końca. Nie około zdobycia Troi, lecz około gniewu Achilla skupia się tam cała akcja. Owszem wcale pocie nie idzie o dziewięcioletnie koleje wojny przed tym gniewem i o jej koniec, gdy gniew ustąpił. Początek i powód wojny napomknięty nawiasowo — o zbuzzeniu Troi wspomina dopiero *Odysseja*, w *Iliadzie* zaś tylko z kilku luźnych słów i przeczuć domyślać się go można. Agamemnon obraził Achilleśa, Achilles poskarżył się matce-bogini i wstrzymał się od walki; matka uprosiła u Zeusa zadośćuczynienie dla syna — Zeus obiecał i odtąd wszystkim tak kieruje, ażeby obietnicy dotrzymać. Grecy ponoszą nieustanne klęski — największe bohaterstwo bezowocne — Hektor dociera do okrętów achajskich, zagraża im pożarem — upadek bliski i konieczny — Agamemnon błaga o pomoc, ofiaruje dary, przysięga, że branka nie tknięta — dumie stało się zadość — zwycięstwo wrogów oburza Achilleśa — pozwala walczyć najmilszemu Patrokłowski. Ginie Patroklos, połowa jego duszy, brat nad braty. Musi więc pomścić druha — idzie do boju — zabija Hektora, znieważa jego ciało. — Same ciężkie, straszne, bolesne zdarzenia — umysł potrzebuje uspokojenia — więc igrzyska nad grobem, więc ostatnia pociecha dla biednego Pryama, wydanie zwłok syna i uczciwe ich pogrzebanie — oto osnowa poematu. Jakie tu pieśni wojenne miał wiązać poeta, jakie wyśpiewać mieli sami bohaterowie? Tu wszystko śpiewa sam poeta, tu właściwie nawet nie ma

pieśni, tu są tylko obrazy, opisy, opowiadania. Wierzę, że ludowe pieśni opiewały waleczność Hektora, Achillesa, Ajaxa, Homer jednak czerpał z nich tylko, lecz ich żywcem nie wciął, bo u niego jest tylko to, co koniecznie do powyższego wątku potrzebne, bez czego nie byłoby poematu, tylko kronikar- i apisek, że gniew tak się zaczął a tak skończył. Chcąc przedstawić klęski Greków, które zsyła Zeus dla dogodzenia prośbie Tetydy, czyż nie musiał nam poeta rozsunąć szerokiego walki obrazu — czyż nie musiał na tym obrazie przedstawić głównych zapaśników? Nawet owa księga dziesiąta, owa Doloneia, którą krytycy niemieccy za całkiem zbyteczną i podsuniętą uważają, wydaje mi się koniecznym, a nawet ładnym ustępem całości. Te światła nocne, ten niepokój w stanowczej chwili — ten ruch w obozie i w namiotach — ta epizodyczna walka — czyż to nie piękne uzupełnienie? Czem w Iliadzie te pojedyncze walki — te arysteje — tem są w Odyssei owe liczne przygody podrózne, owe bajki o dziwnych krajach i ludziach, owe opowiadania i pieśni przy ucztach. Jedne i drugie są ładnem i koniecznem zapełnieniem próżni między początkiem a końcem. Co do budowy zaś artystycznej nie sędzę, żeby Odysseja była wyższą; owszem w Iliadzie więcej potrzebował poeta sztuki i siły właśnie dlatego, że scena się nie zmienia, że zdarzenia powieści o wiele dłuższej, *) ciągle na jednej i tej samej odgrywają się równinie trojańskiej, a jedynem urozmaicheniem jest przenoszenie nas do Olimpu na radę bogów, lub przeplatanie powiastkami z ich życia. Pomimo to poeta opowiadający zrazu spokojnie i powolnie, w drugiej połowie coraz żwawszym spieszny krokiem i coraz większe budzi zajęcie, tak że od ostatnich kilku ksiąg oderwać się nie można. Pomijam już to, że siła natchnienia, że polot poetycki w Iliadzie nierównie jest większy. Tyle o powyższem zdaniu, które zresztą sam p. Siemieński ułagodził kilkakrotnem oświadczeniem, że i Iliada nie mogła wyjść jak z jednej piersi.

Szanowny tłumacz przychyła się następnie do zdania t. z. Chorydizontów (χορυδίζοντες — dzielący), jedynego zdania mającego oparcie i w starożytnym świecie, że Iliada i Odysseja są

*) Iliada ma 15,693, Odysseja 12,123 wierszy.

utworami dwóch różnych poetów, dwóch Homerów — i że Odysseja jest dziełem, co najmniej, o sto lat późniejszym. O to już mniejsza, nie uznano wszakże konieczności bezwarunkowego przyjęcia zdania Chorizontów. Różnica nie jest ani tak wielka ani tak rażąca, żeby nie można uważać Odyssei za dzieło późniejszych lat tego samego autora. Przynajmniej nie wszystkie argumenta tych, co przyjmują dwóch, przemawiają do przekonania i możnaby się bronić. Z wiernego odmalowania miejscowości nie wiem czy można wnosić na pewne, że Iliada w Małej Azji, a Odysseja w zachodniej Grecyi powstała. Mógł, musiał nawet poeta znać Azyą tak dobrze jak Grecyą, ażeby zachować miejscowy koloryt. Obraz miejscowości, na której się akcja odbywa, byłby martwy, gdyby jej nie znał poeta. Mógł on podróżować „w krainie swych poematów“ — mógł w Małej Azji urodzić się a później przenieść do Grecyi. Że lew w Iliadzie bardzo często, a w Odyssei tylko kilka razy służy za przedmiot do porównań, łatwo da się tem wytłómaczyć, że w Iliadzie, opiewającej walki i męstwo, stokroć więcej do tego sposobności. Podobnie o szarańczy nie mógł poeta wspominać w Odyssei, jeśli w Grecyi była nieznaną. Bóstwa także nie tak bardzo różnią się w epepejach. Wojowniczy Ares w Odyssei nie ma co robić, wojenna Pallas-Athene pełna spokoju i rozumu — bo nie ma wojny — a chcąc ulubieńcom swoim pomagać — pomóc im tylko może rozumną radą, chociaż, skoro nadarza się sposobność, pomaga i siłą, bo bez jej pomocy nie byłby Odysseus pokonał stu kilkunastu zalotników. Pozejdon sroży się ciągle i gwałtownie na Odyssa, a tem samem nie uznaje woli Zeusa, który go chce do ojczyzny miłej doprowadzić. Tytany pokonane już dawno — była już o nich powieść w Iliadzie, więc na co miała się w Odyssei powtarzać.

Nie powiedziałbym także, żeby w Iliadzie obyczaje były grube i dzikie. Owszem najpiękniejszych, najszlachetniejszych uczuć skarby znaleźć w niej można — jak o tem świadczą przytoczone wyżej trzy ustępy. Zalotnicy także ulegają temperamentowi, może więcej i podlej od bohaterów Iliady, bo postanawiają zabić *skrycie* syna królowej, której niepożądanymi są gośćmi. Bohaterowie łąją się w Iliadzie najgrubsze słowa, to prawda — ale i ów pastuch nie bardzo grzecznie przemawia do Odyssa, a o wielkiem prostactwie i namiętności takiego

jak Antinoos młodzieńca świadczy rzucanie stołkiem i kością na biednego starca, który nie do niego przyszedł na łaskę. Żeby bohaterowie Iliady o prawach małżeńskich żadnego nie mieli wyobrażenia, tego już żadną miarą, nie chcąc ich skrzywdzić, przyznać nie można. Czy może być dziś nawet piękniejszy i czulszy stosunek małżonków, niż Hektora i Andromachy, a nawet Achilles wyraźnie powiada (Il. IX. 341—2): *że każdy dobry i rozumny człowiek kocha i szanuje swoją małżonkę*. Że branki w namiotach widzimy — to już tak bywało, i zarówno w Iliadzie jak w Odyssei uważano branki za najlepszą część zdobyczy wojennej. I dziś na życie obozowe nieraz przez szpary patrzyćby potrzeba. Jest wprawdzie wzmianka w Odyssei, że Odysseus zdala się trzymał od Euryklei, bo się bał żony, ale właśnie podniesienie tej okoliczności świadczy, że tam rozmaicie bywało. Nie bardzo nareszcie lepsze owe wdawanie się zalotników z służebnymi pannami i konszachty owej Fenicyanki z przybyłymi żeglarzami. Stokroć szlachetniejszy jest Agamemnon, który odebrawszy Achillesowi Bryzeidę, przecież za swoją własność jej nie uważa.

Większa zawistość ludu od królów tłómaczy się stanem wojennym i to na obcej ziemi, gdzie koniecznie większa karność potrzebna. Zresztą i Agamemnon zwołuje wojsko na naradę (n. p. wtedy, gdy wnosi, żeby wrócić do domu). W Iliadzie nie może być mowy o handlu, bo nie pora potem, chociaż znajdują się luźne wzmianki. Woły zastępują monetę — ale i moneta jest znana i Achilles między innemi nagrodami zapaśniczemi kładzie i dwa talenty.

Śliczne są słowa, które tak się podobały Faesemu, wydawcy dzieł Homera (XXII. 412): „Nie godzi się unosić radością — nad zabitymi“ — ależ z drugiej strony nie bagatela tak za parę godzin sto kilkanaście dusz własnoręcznie wysłać do Hadesu. Że przedmioty porównań w Iliadzie ze świata zmysłowego, w Odyssei zaś z umysłowego są wzięte, zdaje się rzeczą dość naturalną, bo w Iliadzie zmysły ciągle były zatrudnione i mało było czasu na umysłowe refleksye.

Że wyraz „sztuka, rzemiosło (τέχνη)“ i kilka jeszcze innych w Odyssei kilkanaście razy, w Iliadzie tylko raz znajdujemy, nie dowodzi niczego, a że sztuczne przerabianie kruszców w Iliadzie doskonale jest znane, przekonywa tarcza Achillesa,

prawdziwe dziwo sztuki, przekonywają piękne i ozdobne zbroje kosztowne kielichy i kotły. Nie podbija mię również to co *Faesi* przytacza, że wyrazów „gospodyni domu“ (δῆσποινα) lub „gospoda“ (λέσχη)*) nie ma w Iliadzie, bo skąd się tam miały wziąć — a już zgoła nudnem zdaje mi się podnoszenie tej okoliczności, że o bursztynie (ήλεκτρον) nic nie wie Iliada. Wygląda to tak, jakby kto twierdził, że Konrad Wallenrod o kilkaset lat wcześniej musiał być napisany, niż Pan Tadeusz, bo ani razu nie ma tam wzmianki n. p. o biórku lub o kawiarce!

Że nareszcie w Odyssei więcej zabobonności i bajek, to wcale nie przemawia za znacznie późniejszym jej pochodzeniem, zdawałoby się bowiem, że z postępem czasu nie przybywa zabobonów i bajek. Jedyne sprzeczności są te: Syn Achillesa *Neoptolemos* jest w Iliadzie dzieckiem i nie występuje na scenę — w Odyssei zaś walczy pod Troją; żoną Hefajsta jest w Iliadzie „czysta i piękna“ Charis, w Odyssei zaś przeniewiercza i nieskromna Afrodite. Na to odpowiadamy. Jeśli ten drugi Homer tak umiał trafić w ton poprzednika, tak się wszędzie do niego stosował, wspominając o takich tylko zdarzeniach wojny trojańskiej, o których nie ma wzmianki w Iliadzie i t. p., to byłby niezawodnie i tej uniknął sprzeczności. Choćby więc Odysseja innego poety była dziełem, powyższe dwie wzmianki za późniejsze wtręty uważać potrzeba. Może który z późniejszych rapsodów, wygłaszając Odysseję przed potomkami Neoptolema wtrącił wzmiankę, że był pod Troją (czego w Iliadzie uczynić nie mógł, bo tam wyraźnie zaznaczono, że Neoptolema nie było); może znowu inny dla przypodobania się słuchaczom, między którymi mogło być wielu wojowników, wtrącił ustęp o romansie boga wojny z najpiękniejszą boginią?

Przyznaję, jest to mój domysł — ale i większa część tego, co napisano w tej materii, jest także domysłem — i jeśli uwagi nasze nie dają dowodu, że Odysseja i Iliada jednego miały autora, to z drugiej strony uwalniają nas od konieczności przypuszczenia, że miała ich dwóch.

*) Takich wyrazów jest zresztą więcej, n. p. θῆλος, λίτρον, ὄγκιον, κλίσιον i t. p. Gorszy się także *Faesi* II. III. 441 i nast. — a zapomina o bardzo podobnym ustępie w Odyssei XXIII. 254 i 300.

IV.

Siemieński.

Jakkolwiekbydz, nie bardzośmy radzi, że i nas uniósł ten prąd polemiczny, żeśmy zapragnęli bogdaj pobieżnie bronić swego zdania; inny bowiem zupełnie cel naznaczyliśmy tej pracy. Chcieliśmy wskazać na pilną potrzebę dokładnego i u nas obznajomienia się z Homerem, chcieliśmy dotychczasową obojętność narodu uniewinnić brakiem dobrych tłumaczeń i zaznaczyć, że odtąd już nie będzie się czem zasłaniać, bo obdarzył nas p. Siemieński tłumaczeniem Odysei, jakiego żaden inny nie posiada naród. Kto przegłównie przekłady w innych językach — przekona się, że nie uprzedzenie, nie miłość własna podyktowała to śmiałe twierdzenie. Owszem to jedno tylko mamy uprzedzenie: że naród nasz w stosunku do zdolności, jakimi go Bóg obdarzył, zrobił za mało — i zawsze jeszcze roboty niechętnie się ima. Zaprawdę w czasach naszych dziwnem zjawiskiem, w utrapieniach naszych dziwną pociechą jest książka, którą p. Siemieński po czterdziestokilkuletniej pracy w zawodzie autorskim niesie nam w darze. W pokoleniu naszym na próżno oglądaliśmy się za poetą, coby takiego dzieła dokonał; wyrosną da Bóg! i z pośród ludzi dzisiejszych poważni uczeni, sumienni pisarze, szlachetni obywatele — ale w poezyi bogdaj czy kto wawrzyny zdobędzie. Jedyna więc była nadzieja w owej starszej generacyi, z Mickiewiczem i jego kierunkiem żywą tradycją związaney, w owych ludziach, których kołysał szczerk oręża, wychował zapał, nie złamał zawód. — Co do Homera, od lat kilkunastu wszystkich oczy zwracały się na pana Siemieńskiego; pojedyncze pieśni ogłaszane w rozmaitych czasopismach, przyjmowano z zachwyceniem, z upragnieniem wyglądano całości. Zawsze jednak trapiła nas myśl, że szanowny tłumacz dzieła nie dokończy, że znuży się trudnościami, że mu inne zajęcia przeszkodzą. Jeszcze w r. 1859 gderał Bartoszewicz, że p. Siemieński nie wytrzyma w pracy i że już nawet nie chce poświęcić się Odysei. Obawa Bartoszewicza okazała się na szczęście płonna, świadczyła jednak, jak wielkie do tej pracy przywiązywał znaczenie. Od tego czasu pojawiały się

w „Bibliotece Ossolińskich,” w „Przeglądzie Polskim,” w „Kłó-sach” coraz nowe pieśni — nadzieje coraz bliższe były urze-czywistnienia, radość nasza coraz większa. Nareszcie z końcem roku zeszłego pojawił się pierwszy zeszyt, a z końcem czerwca r. b. cała Odyseja w bardzo ładnem wydaniu była w naszych rękach. Wielkie to i zdumiewające w dzisiejszych czasach dzieło. Mimowoli przypominają się nam słowa Iliady o Ajaxie lub o Hektorze, że lekko podniósł ogromny kamień, jakiegoby i dwóch najsilniejszych z ludzi dzisiejszych nie dźwignęło, i cisnął nim z łatwością.“ (Il. XII. 381 i 449).

Jakie warunki złożyły się na doskonałość dzieła, które się tylu nie udało poprzednikom? Odpowiedź nie trudna. Naprzód i przede wszystkim pan Siemieński nie jest ani wierszo-ani rymo-pisem, lecz jest w najlepszym tego słowa znaczeniu poetą, który swoją drogą bardzo ładnym włada wierszem. To pierwszy i nieodzowny warunek; poeta koniecznie i tylko poeta tłumaczyć powinien. Bardzo delikatnie i skromnie, nie chcąc siebie wynosić a kogo innego dotknąć, natrąca o tem sam p. Siemieński w przedmowie: „Jedni tłumaczą prozą, drudzy wierszem — a mnie się zdaje, że tu potrzeba przede wszystkim poezyi, elementu nie dającego się niczem zastąpić.“ Poeta tylko dokładnie może wsłuchać się w dzieło wieszczą, które chce w swoim powtórzyć języku, zrozumieć każde uczucie jego serca, każdą myśl jego duszy, każdy polot fantazyi — zrozumieć, pokochać, przetrwać, nim się weźmie do tłumaczenia. Nie dość na tem, musi on zaprzeć się swojej indywidualności i twórcę oryginału więcej kochać niż siebie samego. W przeciwnym razie najzdolniejszy poeta nie stworzy dobrego przekładu. Mie-liśmy doświadczenie na Słowackim, którego ustęp z Iliady nosi piętno tłumacza a nie Homera.

Następnie potrzeba koniecznie bardzo rozległych studyów i bardzo dokładnej znajomości oryginału, ażeby się z jego twórcą zupełnie zrósć i spoufalić. Nigdy nie byłby p. Siemieński przełożył Horacego tak znakomicie, że nawet filologowie z zawodu w rozprawach swoich przytaczają jego tłumaczenie,*) gdyby nie znał był doskonale ducha całej poezyi, całej litera-

*) N. p. prof. Z. Węclewski w rozprawie o posagu Augusta w Tygodniku ilustrowanym z r. 1873.

tury rzymskiej. Tak też tłómacząc Homera, nie tylko jego dzieła miał p. Siemieński przed sobą; — widać wyraźnie, że poznał piękną starożytną jego ziemię za pomocą studyów archeologicznych, że badał nie tylko historią ale i obyczaje, nie tylko język ale i *geniusz* języka — słowem że starał się zgłębić ducha Hellady, przyświecającego tak pięknie wszystkim wiekom i ludom. Ile tu potrzeba cierpliwej miłości, ile wytrwałej pracy, ile siły, żeby nie utracić poetyckiej świeżości — ile nareszcie talentu, żeby przed oczyma czytelników ukryć ten móżół i oszczędzić im patrzenia na przygotodawczy aparat — nie łatwo to ocenić! Owszem im dzieło doskonalsze, tem mniej się nad tem zastanawiamy, tak jak patrząc na piękny marmurowy posąg nie liczymy, ile on uderzeń młota kosztował, ile nauki i znajomości rysunku, ile cierpliwości. Pan Siemieński i w tej mierze stworzył arcydzieło: jego *Odyseja* czyta się tak łatwo, tak swobodnie jak najdoskonalszy utwór oryginalny, i tem różni się od bardzo wielu innych tłómaczeń naszych i zagranicznych. Docierać do textu ile się da najbliżej — a nie oddalać się od swobody oryginalnej kompozycji — oto była, jak sam p. Siemieński powiada, myśl, która mu przewodniczyła, którą świetnie wykonał. Poprzednicy albo się zbyt oddalili od oryginału i stali się niewiernymi, albo zbyt się zbliżali i utraciwszy wszelką swobodę i samodzielność, zrobili swą pracę wymuszoną, nudną i niewolniczą.

Czego jeszcze wymagał przekład Homera — to niezmiernego bogactwa języka, szerokiej skali stylistycznej, wielkiego zasobu wyrazów. W skromnym i niepodniesionym głosie Homera jest jednak wielka siła, w prostych i niewyszukanych słowach wielka powaga i bogactwo. Do tego nie łatwo się nadaje język dzisiejszy — za lekki, jak słusznie uważa p. Siemieński — ażeby dźwigać cyklopejskie kamienie homerycznej powieści — musiał go więc tłómacz zasilić nietylko własnymi z dawnych czasów skarbami, ale i poradzić się czasem matki starosłowiańskiej, czasem pobratymczych języków — a gdzie i to nie wystarczyło, na własnem a szczęśliwem polegać natchnieniu. Widzieliśmy, jakich dziwactw pozwalali sobie dawniejsi tłómacze, chcąc oddać myśli i wyrazy oryginału. Pan Siemieński i pod tym względem bogatszym rozporządzał funduszem, niż bardzo wielu innych najzdolniejszych nawet poe-

tów, a fundusze te zbierał jeszcze za młodu. Bardzo prawdziwe są przytoczone już słowa Bartoszewicza, że w dziełach Homera jest koloryt pieśni gminnej na wielką skalę nuconej, pełen prostoty i wdzięku. Do wyśpiewania takiej pieśni w naszym języku przygotowywał się p. Siemieński oddawna i jeszcze z powodu nieporównanego tłumaczenia Rękopisu królowońskiego ślicznie powiedziano o nim, „że obmył język polski w żywym rodzinnem źródle Słowiańszczyzny, biorąc żywcem niektóre wyrazy i zwroty czeskie i ruskie.“ I istotnie przyznać potrzeba, że w tych starodawnych pieśniach czeskich jak i w Wyprawie Igora na Połowców, tłumaczonej przez p. Bielowskiego, wiele jest wdzięku, prostoty i siły Homerowej.

Stemwyszystkiem i tu podwójne groziło niebezpieczeństwo: zbytne zasilanie się staropolskim językiem mogło nadać tłumaczeniu cechę archaistyczną, dla dzisiejszych ludzi nie całkiem przystępną — zbytne znowu czerpanie z słowiańskich źródeł mogło zagrozić duchowi polskiego języka. Pan Siemieński tak dalece uniknął tych niebezpieczeństw, że i domyślić się ich trudno; szczęśliwie tworzył lub pożyczął wyrazy dobre i jędrne, a nic dla nas nie mające obcego — słowem język wzbogacił. Odyseja p. Siemieńskiego jest nie tylko arcydziełem tłumaczeń, jest ona także wielkim pomnikiem polskiego języka, jest żywym świadectwem jego bogactwa.

Oto kilka przykładów: Wyraz *ženich* n. p. znaczący tyle, co pan młody, oblubieniec, konkurent, dziś już mało komu jest znany, ale znany on jest wszystkim słowiańskim językom, a i u nas używał go *Seklucyan* (Testamentu nowego część I w Królewcu 1551. Joann. 11.) i *Budny* (Biblia 1572. Math. 25. 1.).

Kuban wydać się może w Odysei wyrazem może trochę zanadto dzisiejszym i że tak powiem parweniuszowskim — a jednak trudno mieć coś przeciw niemu. Znany on w Polsce w potocznym życiu oddawna, jakkolwiek u autorów znajdujemy go dopiero w XVIII wieku. (Zabłocki: Zabobonnik i Teatr Polski (Warszawa. Dufour) 43, c, 48 i 51, 33). Pomijam już, że w tłumaczeniu Odysei bardzo dowcipnie użyty.

Wyrazu „*witeź*,” często powtarzającego się (ἥρως) nie wszyscy słyszeli, a jednak dobry to znajomy wszystkich słowiańskich języków w znaczeniu: junak, rycerz, młody krzepki bohater, w języku *windyjskim* tyle co jeździec (eques), a z na-

szych autorów zna go w szesnastym wieku Piotr *Zbylitowski* i bardzo często używa Jakób *Żebrowski* (Przeobrażenia Owidyuszowe 292, 197, 220, 354 i w innych wierszach).

Wyraz *czarnogrzywy* (zamiast czarnowłosa, czarnoloki *καρχαίτης*) zastanowił nas i wydał się za śmiałym — ale cóż robić, kiedy i tutaj p. *Siemieński* Piotrem Kochanowskim i Władysł. Stan. Jeżowskim zastawić się może. (W *Jeruzalem* wyzwolonej: „owi grzywowie, co czupryny w tyle noszą, przód podgoliwszy, jak grzywy.“ — *Jeżowskiego* Ekonomia wierszem. Kraków 1648. E. 1. ludzie niby grzywiaści, z włosami nad karkiem).

Wełna w znaczeniu *fala* niezwykle zdaje się licencją — a jednak i u nas i w Słowiańszczyźnie ma oparcie.

Przymiotnik *miedny* nie zna w jęz. polskim Linde, utworzony on jednak na wzór windyjskiego *meden* (= aereus — *χαλκείος* — kruszcowy).

Przymiotnika „*tabunny*“ (tabunna Troja) w Lindem wcale niema, w Słowniku Wileńskim w innem podany znaczeniu (= od tabuna, stepowy, n. p. tabunne konie), nie można wszakże stanowczo twierdzić, że niewłaściwie utworzony. Jeśli od *czyn* pochodzi czynny, a od *piorun* piorunny (Zeus), można przypuścić i tabunną w znaczeniu „mającą tabuny“.

Słowo *liszyć* wprost z ruskiego zdaje się pożyczonem, co zresztą wcale nie jest grzechem, bo najlepsi nasi pisarze zasilali się ruskimi wyrazami — a wždy ma ono starą tradycją i w naszej literaturze. Używali go Klonowicz, Żebrowski, Otwinowski, Potocki; u Żebrowskiego czytamy raz (Owid. 54) nawet „*łyszysz się*.“ Podobnie *brechać* i t. p.

Wybornie także tłómaczy p. Siemieński wyrazy złożone i epiteta, a swoboda, jakiej sobie czasem pozwala, nigdy nie ubliża poecie i nie psuje jego myśli: Athene n. p. mająca stały przymiotnik „*glaukopis*“ (*γλαυκῶπις*), jest u p. Siemieńskiego raz jasno- lub sowio-oką, to znowu błękitno- lub modro-oką, a nawet Zeusa córą o oczach błękitnych — ale czyż to nie jedno i to samo, a tylko urozmaicone wyrażenie? W niektórych miejscach nadaje poeta osobom inny epitet, niż właśnie tam mają w oryginale, ale zawsze tylko taki, którego Homer o tych osobach używał — a tej swobody nawet Voss nie uważał za wzbronioną. W innych razach musiał tłómacz jeden

przymiotnik (n. p. εἰσπρετής) dwoma wyrazić słowami, chociaż dziwnie pięknie to nieraz wypadło (n. p. *wino* dające wesołość i zdrowie), ale za to czasem dwa greckie w jednym zamyka; Menelaos nazwany n. p. *grzmigłosem*. Wyraz utworzony wybornie i zupełnie zgodnie z duchem naszego języka (n. p. wyrwidąb, waligóra, nosiwoda, liczykrupa) a myśl oryginału doskonale oddaje (βούην ἀγαθός). Znajdą się wyrazy mniej może malownicze i wierne n. p. ciężkonogi (zawsze o wółach εἰλίπους) — inne znowu tłómaczone dosłownie, a jednak i w polskim języku brzmią bardzo ładnie, n. p. Artemis złototonna i łuczniczka, Hermes wieścionośny, morze pustynne, serce nieużyte (ἀπηγής), równolatek (ἐμηνιαίη), Pozeidon ziemiostrzęsca, rzeszowódca i t. p.

Bardzo zmyślnie zostawił p. Siemieński greckie wyrazy: Keryx, chlaina (chlen) i chiton. Oddać tego w innym języku nie można, a każdy wie, że keryx to niezupełnie to samo co woźny, jak chcieli inni tłómacze — i że nie ma u nas odzieży nakształt chleny lub chitona — więc na co wymyślać, albo pisać takie nudziarstwa, jak „suknia wierzchnia“ lub coś podobnego.

Zdania jak n. p. Co ślina ci przyniesie — bajesz hardy baju XVIII. 392. — Szpakamiś ty karmiony, nie do kształtu głowa V. 182. — Ty zaś chłopcze z postawy *zuch i nieułomek* III. 199. Łepak to nie lada. Człek niebity w ciemię. — Wolałbym raczej od razu morską wodą zalać sobie duszę XII. 350. — Niech im powiem słówko — patrz, tam stoi! a w puch cię zrąbie pokojówko XVIII. 338. — zdania takie nie tłómaczone dosłownie a jednak bardzo dobrze i z przedziwnem zacięciem oddające myśl oryginału, uważać może będą niektórzy czytelnicy za zanadto nasze, zanadto polskie. Jest coś zażem, ale jeśli mi wolno polegać na własnem zdaniu, uważałbym je właśnie za prawdziwie homerowskie zasoby naszego języka i za bardzo szczęśliwe ożywienie przekładu, świadczące o pełnem mocy panowaniu nad przedmiotem. Homer nie przestał być ani na chwilę Homerem, a zdaje ci się czasami, że czytasz Pana Tadeusza.

Co do rodzaju wiersza sam p. Siemieński z początku wahał się, chcąc przekład i pod tym względem uczynić doskonałym; ostatecznie wybrał trzynastozgłoskowy. Wybór

ten za najszcześliwszy uważamy i za najlepszy. Jeśli nie można tłómaczyć hexametrem, bo jak widzieliśmy nikt go dotychczas w naszym języku nie stworzył, to najlepiej już oprzeć się na tradycji całej naszej poetyckiej literatury. Począwszy od Jana Kochanowskiego aż do Adama Mickiewicza wszyscy poeci używali w poezji epickiej wiersza trzynastozgłoskowego. Wierszem tym pisany Pan Tadeusz, pisana Marya, pisana Wojna chocimska. Niektórzy tylko n. p. Syrokomla próbowali także wiersza jedenastozgłoskowego, ale dla Homera wiersz ten nieśtósowny — zanadto słaby i lekki. Ma więc wiersz trzynastozgłoskowy w epopei polskiej uznane prawo obywatelstwa, tak jak hexameter w greckiej i rzymskiej. Mógłby się może kto martwić, że nie zawsze można w jednym wierszu polskim pomieścić to samo co w greckim, który ma zgłoszek piętnaście lub szesnaście, że potrzeba będzie posuwać się do wiersza następnego, że liczba wierszy przez to niepomieranie urośnie. Pan Siemieński dowiódł, że i w tej mierze nie uległ trudnościom. Tłómaczenie jego zawiera w każdej księdze tylko o kilka a najwięcej o kilkanaście wierszy więcej niż oryginał, a bardzo często w polskim wierszu mieści się cały grecki. I tak n. p.

I księga ma w oryginale wierszy 444 u p. Siemieńskiego 467

II	"	"	"	"	434	"	"	452
III	"	"	"	"	497	"	"	510
XI	"	"	"	"	639	"	"	654
XII	"	"	"	"	453	"	"	462

i w tym stosunku wszystkie inne.

Jeśli zważymy, że każdy wiersz polski przynajmniej o dwie zgłoski krótszy od greckiego, to nie trudno nam będzie obliczyć, że Homer w tłómaczeniu nic a nic na zwięzłości swojej nie stracił.

Tłómaczenie p. Siemieńskiego oddaje wszędzie wiernie myśl oryginału i świadczy o bardzo gruntownem tegoż rozumieniu, a niektóre myśli tak jasno wyraża i z taką prostotą, że nawet czytanie greckiego tekstu bardzo ułatwia. Kilka uwag, które nastreczyły nam komentarze, ośmielamy się podać w przypisku.*) Różnice są bardzo małe i pochodzą często bądź z in-

*) *Argidobójca* Hermes str. 53 ἀργειδούτης zamiast *Argos bójca*, jak zresztą jest wszędzie, żadną miarą uzasadnić się

nej recenzji tekstu, bądź też z rozmaitego pojmowania dotyczących ustępów. Dalecy jesteście od narzucania szanownemu tłó-

nie da. Jeżeli chodzi o względy prozodyczne, możnaby prawidłowo powiedzieć: *Argusobójca*.

Bożek mojem zdaniem wszędzie powinien być zamieniony na *bóg*. W zdrobniałym tym wyrazie jest pewien rodzaj lekceważenia, którego Grecy nie mieli dla swoich bogów.

Grek — Grecy. Wyraz ten, jako Homerowi zupełnie nieznan i obcy, i w tych kilku miejscach, w których jest użyty, prosilibyśmy koniecznie zamienić na Achajowie, Achaje — lub Argejowie, Argiwy.

Nestor z Gereny. Możeby lepiej: z *Gerenii* albo *Gereński*.

Ks. IV. w. 26. διατρεφῆς może za śmiało tłóm, „O mój jasny Panie.“

Podobnie *w. 74* Ὀλυμπίου „Olimpijskiej Mości.“

Ks. IX. w. 234. ἵνα οἱ ποτιδῶριον εἶη. Siem. str. 236. na kuchnię (?) paliwo.

Str. 238. „Jeśli mi chętka przyjdzie zjeść was, zrobię swoje.“ Wiersza tego w oryginale nie ma. Takie słowa byłyby ich naprzód przygotowały na późniejszą straszną niespodziankę.

W. 408. δόλω οὐδέ βίηφι — „zdradą (podstępem) a nie gwałtem.“ W tem οὐδέ jest umyślna dwuznaczność. Polifem rozumie a nie, Kiklopowie zaś ani.

W tłómaczeniu p. Siemieńskiego str. 242 „to nie gwałt, lecz zdrada“ może nie dość przebija się ta dwuznaczność.

W. 426. ἰοδνεφῆς εἶρος *ciemnofioletowa*, albo w ogólności *ciemna* wełna. Siem. str. 243. *kasztanowate*.

W. 528. γαίρως Siem. str. 247. *ziemioburco*. Pozeidon nazywa się tylko *opasującym ziemię* albo *ziemiotrzęscą* (ἐννοσίγαιος), nigdy *ziemioburcą*. Możeby już lepiej, chociaż także nie całkiem dobrze: *ziemiodzięzco* (dzierżyć w znaczeniu trzymać).

Ks. X. w. 10. περιστεναχίζεται ἀλλῇ „Odgłos z całego domu rozlega się w podwórzu.“ Tak H. Rumpf i Ameis. P. Siem. tłómaczy podług więcej uznanej konjektury Schäfersa, którą Nitzsch polecił, a Bekker i Faesi przyjęli (ἀλλῇ = ἀλλήσει) „fletni odgłos brzmiał w przysionkach.“ I jedno i drugie nie psuje myśli.

W. 209. κατὰ δ' ἄμμε λίπον γρόωντας ὅπισθεν „zostawili nas (w tyle) rozplakanych.“ Siem. str. 259: „żałując nas, cośmy zostali.“

W. 228. θοεγγώμεθα θᾶσσον, Siem. str. 260 nie dość szczęśliwie „wołajmy, niech gada.“

maczowi tych kilku drobnostkowych uwag, mamy bowiem przed oczyma przykład krytyków i recenzentów warszawskich, którzy

W. 398. ἡμερσίης γόος tęskny (rzewny) płacz, płacz z rozrzewnienia. Łazarewicz: płacz z tęsknoty. Siem. str. 266. „płacz z radości.“ Słów „po tak ciężkiej męce“ w oryginale nie ma. Tłómaczenie to jednak nie psuje myśli.

W. 399. θεὸν δ' ἐλέαιρε καὶ αὐτὴ „nawet Kirkę zdjęła li-tość.“ Siem. str. 266. „Kirka płacze z nimi.“

W. 404. ἐν σπήεσσιν πελάσσετε. Siem. str. 266. „niech w dołach *zakopię*.“ Ma być: „niech w grotach złożą“ — ale to drobnostka.

Ks. XI. w. 50. αἷματος ἄσσαν ἔμεν. Siem. str. 277. „krwi tej lizać.“ Wolimy dosłownie: „do krwi się zbliżyć“ albo nareszcie: „krwi tej pić.“

w. 171. πανηγύριος. Dosłownie nikomu nie udało się ładnie przetłómaczyć tego pięknego przymiotnika śmierci. Siem. zupełnie wolno ale ładnie „nieprzespana“ (str. 282).

W. 325. Διονύσου μαρτυρήσει. Siem. str. 288 zmieniając myśl: „ubila, jak świadczy Dionyzos o tem“. Powinno być: „na poświadczenie Dionyzosa“ (że od ojca swego z Krety wprowadzoną została; bóg ten chciał dziewicę dla siebie pozyskać). Ameis Odyssee i Nägelsbach hom. Theol. II. 26.

Str. 289. Wojsk argejskich cierpienia i twe osobiste

Otoż wyznaj mi szczerze, niech wiem prawdę czystą.

Tu i w kilku innych miejscach przymiotniki rodzaju żeńskiego zakończone w 4 przypadku liczby pojedynczej na *ę*. Można łatwo zmienić położywszy zamiast *cierpienia* — „niedolę“ (i twą osobistą — prawdę czystą). Prosimy o to głównie ze względu na szkołę, gdzie czasem objaśniając n. p. poezye Pola lub Syrokomli wielki się ma kłopot z takimi nieprawidłowościami.

W. 339. ἕκαστος δ' ἑμμορε τιμῆς znaczy: Każdemu przypada w udziale zaszczyt (którego mój dom doznał przez przybycie tak znakomitego gościa). Ameis. — Siem. str. 288. zmieniając myśl: „wolno uczcić go każdemu.“ Łatwo poprawić.

W 424. βῆλλον opuściłem (ręce z bezsilności), ἀποθνήσκων περὶ φαγάνῳ umierając na mieczu (który Aigistos tak głęboko zapchał, że musiał go w piersi zostawić). To tłómaczenie (Ameisa) zdaje się najlepszem. Inaczej Faesi — zupełnie też inaczej p. Siem. str. 291: (jam) za miecz schwycił — ona wydarła i sobie — precz poszła. Słów „ona wydarła“ w oryginale nie ma. Za mniej szczęśliwe uważamy słowa: „sobie precz poszła.“

chcieli poprawiać Mickiewicza. Pan Siemieński sam uzna najlepiej, czy potrzeba poprawić lub zmienić jakie słowo w następnym wydaniu.

Na to drugie wydanie nie długo czekać będziemy, i nie tylko na drugie. Będzie ich bardzo wiele od najwspanialszych aż do najtańszych — jesteśmy o to spokojni, bośmy się przekonali, że naród pomimo narzekania literatów prawdziwie wielkie dzieła zawsze uznaje i ocenia. Z naszej strony tylko o jedno prosimy szanownego tłómacza, o najrychlejsze wydanie dla młodzieży z opuszczeniem kilku małych ustępów.

Odysseja p. Siemieńskiego będzie niezawodnie książką szkolną, będzie zwłaszcza prawdziwem dobrodziejstwem dla szkół, w których Homera po grecku czytać nie można.

Ks. XII. w. 26. *κακορραγίη* — *ἀλγύττε*. Siem. str. 304 „przez szaleństwo nie popadli w błędy.“ Ma być: „przez złośliwą zdradę nie cierpieli.“

Ks. XIII. w. 198. Siem. str. 311: „po bokach *macnął się*.“ Możeby lepiej zmienić na „uderzył się.“ (Wyrazu *macnąć* nie zna Linde ani Słown. Wil.).

Str. 335. „Kiedym z Argami.“ Może lepiej: „Gdy z Argiwami.“

W. 435. *μεμολυμένα καπνῷ*. Siem. str. 340 „w dymie wędzone“ wolelibyśmy koniecznie zmienić na „dymem zbrudzone.“

Ks. XIV. w. 37. *ελάχισ* — o mało. Siem. „co tylko.“

W. 214. „Ale sądzę że patrząc na ściernę poznasz (jaki był kłos) t. j. choć jestem nędzny, poznajesz, że nie zawsze takim byłem. Siem. str. 351. może nie dość dokładnie: „Dziś jestem, jakbyś patrzył na gołe ściernisko.“

Ks. XV. str. 374. Czy nie dałoby się jak zrobić, żeby zamiast *Eosa* było wszędzie *Eos*?

W. 271. *θεοειδής*. Siem. dowolnie „pięknego lica.“

W. 326. Gościu, skąd ci takie myśli w głowie? — Siem. str. 377. może zanaadto poufale: „jakaż znowu ugryzła cię mucha?

W. 388. *τῷ δ' ἄνδρὶ* sprzedali temu (mężowi), a on. Siem. str. 378. sprzedali komuś, który.

W. 460. Niedokładnie „naszyjnik złoty, bursztynowy. Podobnie potrzebaby dodać spójnik w ks. XVII. 37. str. 413. „podobna Artemidzie, złotej Afrodycie.“

Ks. XVIII. w. 217. Wiersza: „I każdy w tobie widzi całą gębą pana“ w oryginale nie ma.

Pan Siemieński wzniosł Homerowi wspaniały i niespożyty na polskiej ziemi pomnik — a powiedzmy, wzniosł go i sobie. Jak długo język nasz żyć, naród istnieć, myśleć i kształcić się nie przestanie, Odyseja będzie w każdym polskim domu bardzo blisko, może tuż koło „Pana Tadeusza.“ Wszystkie drzwi otworzą się dla niej i wszystkie serca i wszyscy już bez trudu czerpać będą z tego czystego i jasnego źródła prawdy, piękności, poezyi.

Czy wolno jeszcze wypowiedzieć ciche a serdeczne życzenie, żeby tłumacz Odysei obdarzył nas i *Iliadą*, czy nie będzie to objawem onej nienasyconej chciwości, która im więcej dajętem więcej pożąda? Wolimy na razie w podziękę zawołać z Odyssem

σοὶ δὲ θεοὶ τόσα δοῖεν, ὅσα φρεσὶ σῇσι μενοινᾷς.

Niech Ci Bóg da, czego sobie w sercu swem życzysz!

a do szanownych czytelników z Plautem: Powstańcie i dajcie poklask! — Plaudite atque exsurgite!

Hugo Zathey

Korespondencya z Poznania.

Z powodu artykułu w ostatnim poszycie zamieszczonego o walce Rządu pruskiego z Kościołem, odebraliśmy list z Poznania, i pomimo pochwał jakie zawiera, nie wahamy się go tu podać dla kilku punktów, które prostuje i uzupełnia:

Poznań, w sierpniu 1874 r.

Z artykułu, który hr. Tarnowski Stanisław w ostatnim numerze *Przeglądu* zamieścił, widzę, że znamienity ten pisarz pojął gruntownie i rzetelnie ocenił tak przebieg spraw naszych kościelnych, jak równie całe postępowanie księdza Prymasa Ledóchowskiego. Wielka mu się za to wdzięczność należy. — W czasach zakłóconych, jak niniejsze, nieocenioną wyrządza przysługę, kto prawdę głosi śmiało, bieg spraw uczciwie rozjaśnia i wskazuje gdzie obowiązek.

Wiedziony poczuciem prawości, pan Tarnowski zrozumiał wiele i odgadł wiele. Nie wstrzymało go nawet od uznania prawdy to, że i *Przegląd* pierwiej na niektóre okoliczności inaczej się zapatrywał. Mamy jednak przekonanie, że gdyby wszystkie szczegóły były mu wiadome, nie wahałby się on pójść jeszcze dalej w obronie niesłusznie spotwarzanego księdza Prymasa. Sam on niezawodnie ucieszy się, gdy się dowie, w jakich warunkach podróż się odbyła, i to mnie skłoniło przesłać Redakcyi *Przeglądu*, ku potwierdzeniu, a zarazem sprostowaniu sądów pana Tarnowskiego, kilka afirmacyj o podróży wersalskiej.

Czas, żeby wiedziano;

1) że ksiądz Prymas nie pojechał do Wersalu ani z własnego popędu, ani na rozkaz z Rzymu, i że udał się tam, o czem zresztą wspomniał już p. Gerlach w broszurze swojej, na objawione z Wersalu życzenie;

2) że adresa kapituł wziął z sobą w tym celu, aby odrazu stanowisko swoje oznaczyć;

3) że doskonale przyjęcie, jakiego doznał, pokazuje, iż wtedy jeszcze ks. kanclerz nie był ostatecznie zdecydowany na stanowczą zmianę w swojej polityce;

4) że Ojciec ś. z tego się głównie ucieszył i za to dziękował, że ks. Prymas utrzymał niezachwiane stanowisko rzymskie i od zapatrywania się samejże Apostolskiej Stolicy w niczem nie odstąpił.

Na teraz tyle powiedzieć podobna. Później, kiedy się wyjaśni cała sprawa, jeszcze się w piękniejszym świetle postępowanie ks. Prymasa ukaże.

My jesteśmy przekonani, że chociaż dzisiaj nie wszyscy rozumieją i oceniają jak należy wielkie usługi przez księdza Prymasa oddane, przyjdzie, i to niedługo, chwila, zupełnej sprawiedliwości.

Chwilę tę wyprzedził pan Tarnowski. Niechże mu będzie za to cześć, na jaką zasłużył.

Przegląd Literacki.

Publikacye Akademii Umiejętności kładziemy na czele miesięcznego naszego sprawozdania. Dla wewnętrznej swej wartości i pochodzenia swego pierwszeństwo się im należy.

Poczet tych publikacyi niemały, zważywszy że Akademia zaledwie od roku istnieje. Mamy przed sobą pięć sporych tomów, prace w nich zawarte dotyczą wyłącznie historyi, archeologii, filozofii i prawa, a więc z tak nazwanego działu nauk moralnych, wiemy jednak, że prace w oddziale nauk matematyczno-fizyczno - medycznych z równą skrętnością były traktowane i obrabiane. Plon więc dla nauk niemały, i po kilku latach pracy tak usilnej jaką była pierwszego roku można się spodziewać pocieszających rezultatów. Nikt nam nie będzie śmiał bryznąć w oczy zarzutem, że się wleczeni zaledwie za postępem nauki, nie przyczyniając się w niczem do niego.

Za wielką bogdaj czy nie za największą zasługę Akademii poczytujemy wydanie części *Kroniki Wapowskiego* od roku 1480 to jest od roku, na którym się kończy kronika Długosza do roku 1535, który zarazem jest rokiem zgonu autora. Wapowski nigdy dotąd w całości drukowanym nie był, nawet w tym urywku jaki się przechował: to jest od roku 1380. Malinowski w tłumaczeniu polskiem dociągnął swoje

wydanie do roku 1463, Akademia wydała teraz część od roku 1480 do r. 1535 brakuje jeszcze lat od roku 1463 do roku 1480, które niebawem jak nas poucza przedmowa do wydanego właśnie fragmentu, mają być drukiem ogłoszone, tak posiadać będziemy raz całość drukowaną znanego dotąd urywku z dzieła Wapowskiego, człowieka wykształceniem i kunsztem pisarskim wyżej stojącego od Długosza i dwóch swoich bezpośrednich poprzedników Miechowity i Justyna Deciusa.

Ogłoszony fragment stanowi drugi tom: *Scriptorum rerum polonicarum* i wraz z dopełnieniem z ruskich i niemieckich kronik zabiera 363 stronnic in 8vo.

Pamiętnik Akademii Umiejętności Tom I in 4to str. 249 zawiera prace: Zygmunta Samolewicza, Studya platońskie i Hippias większy; Maurycego hr. Dzieduszyckiego, Rys dziejów Kościoła katolickiego w Szwecyi. Dr. Wojciecha Kętrzyńskiego, o narodowości polskiej w Prusach Zachodnich za czasów Krzyżackich; Dr. Zygmunta Węclewskiego, o poezjach Andrzeja Krzyckiego.

Praca Dra Kętrzyńskiego u wielkiej publiczności wywoła zapewne najwięcej zajęcia. Dowodzi on gruntownie, że Prusy Zachodnie od najdawniejszych czasów były przez Polaków zamieszkałe, że Polacy nie byli ludnością napływową, jak to utrzymują Niemcy, którzy przedstawiają Prusy jaką odwieczną siedzibę rasy germańskiej, że Polacy dopiero po zdobyciu Prus na Krzyżakach tam się osiedlili, a nawet część niemieckiej ludności po miastach i prawie wszystką szlachtę biegiem czasu spolonizowali. Z dokumentami w ręku dowodzi im autor jak się miały rzeczy przed przjściem tamże Krzyżaków i w czasie ich panowania. Autor nie przeczy żeby sporadycznych osad niemieckich w Prusach przed przyjściem Krzyżaków nie było, ale to pewna, że większość mieszkańców stanowili Polacy, że dużo ich w czasie panowania krzyżackiego uległo prądowi germańskiemu i dopiero po odzyskaniu Prus przez Polaków do narodowości dziadów swych wróciło. Nazwiska cytowane osad i szlachty przed i podczas panowania krzyżackiego, znajdujące się po różnych dokumentach, z tej epoki pochodzących, dostatecznie przekonywują nieuprzedzonych o tej prawdzie. Nadzwyczajnie ciekawe są cytacje autora jak Krzyżacy nazwiska osad i familii polskich przekreślali i jak dziś Niemcy na tem przekreśleniu się opierając, pochodzenie ich niemieckie wywodzą; przytoczymy tu kilka na chybił trafił: Brzezie nazwali Brusse, Kitnowo Keythen, Woythen von Keythen to Wojtko Kitnowski, Ivan von der Brusse to Jan

Brzeziński, Bursztyn nazywał się u nich Förstenau, a Scibor Bursztynowski Stibor von Förstenau, Orłowscy herbu Sas nazywali się von Orlan, Głażejowscy herbu Doliwa von Glazaw, Klaudko de Cryczin ma znaczyć z Krzykos, von der Damerau nazywano Dąbrowskich, Elsenau Elżanowskich, Glauchen Gołuchowskich, Mortangen Mortęskich, Schweinchen Swinkow, von der Frantze Frąckich, Wantsche Węzów herbu Wąż i t. p.

Artykuł hr. Maurycego Dzieduszyckiego o *stanie Kościoła katolickiego w Szwecyi*, bezpośrednio wprowadzie Polski nieobchodzi i nie jest osnuty na dokumentach nie znanych dotąd jeszcze, a zatem nie bardzo może kwalifikujący się, ażeby umieszczać go w Pamiętniku Akademii Umiejętności zawsze z przyjemnością i pożytkiem odczyta go każdy. Nie jednego uderzy, jak wrogość wiary katolickiej jednego zawsze i tego samego środka się chwytają do wywrócenia Kościoła rzymskiego, pozbawiając go naprzód stosunków z Rzymem i zamieniając duchowieństwo na czynowników władzy świeckiej. Gustaw Waza nim słowo reforma Kościoła wymówił, owszem kiedy jawnie wyrzekął się kacerstwa i wszystkim oświadczył swoje przywiązanie do Kościoła, postanowił, ażeby biskup bez zezwolenia państwa nie ważył się proboszczów i kapelanów mianować, jak równocześnie tym zakazał bez zezwolenia władzy świeckiej obowiązki swego stanu wykonywać. Prawa majowe ks. Bismarka od takiego samego rozporządzenia zaczęły podkopywać Kościół. W Szwecyi przyjęcie tych praw bez wielkiego oporu, bo mało kto domyślał się do czego one zmierzają, zaprowadziło do szymy, ks. Bismark taki sam cel sobie wytknął jak niegdyś Gustaw Waza. Jak się będzie miało proboszczów własnego wyboru i własnej kreacji, wtedy ostatnie słowo wypowiedzieć nie będzie trudno. Przykład Szwedzki powinien być nauką na dzisiejsze czasy. Nim się przeprowadzi rzecz, trzeba sobie naprzód stworzyć do jej przeprowadzenia stosowne narzędzia, o te narzędzia teraz ks. Bismarkowi przedewszystkiem idzie, reszta zrobi się samo z siebie.

Co nas w tym artykule nie mile uderza, to niepoprawność stylu i masa błędów drukarskich, germanizmy w nim nie rzadkie, jak np. na stron. 49 wiersz 17 od dołu: dał się koronować w Upsali od arcybiskupa Waleryana, a błędy drukarskie zaciemniają nieraz sens jak: Sam nawet Beudo biskup Skary Magnus (stronnica 111 16 wiersz od dołu) zdawałoby się, że Beudo Magnus biskup Skary, tymczasem ma być, jak się zdaje przynajmniej: pseudo biskup Skary. Familia namiestników szwedzkie Sture nazywana jest wszędzie Stare.

Akademickie wydania od takich usterków powinny być wolne, żadnemu wydawnictwu nie poczytują tego za zaletę, a już najmniej temu, gdzie się ma nadzieję znaleźć wzory nie tylko co do merytorycznego traktowania przedmiotu, ale także co

do formy. Nie lepsze jest także wyrażenie str. 54 wiersz 10 od dołu: Magnus lubo podobno *nie bez nagany wobec brata*, zyskał najlepsze na tronie imię. Zamiast *nie bez nagany w stosunkach z bratem*.

Niejasnym jest także autor, gdzie mówić mu przychodzi o stosunkach społecznych i tak na stronnicy 42 tłumaczy, że *bonde* oznacza kmiecia wolnego z jakich dotychczas składa się największa część ludności. Taki *bonde* w r. 1150 sprawuje rządy namiestnicze w imieniu króla Swerkara, którego jest przez żonę córkę króla Jnego wnukiem, a już w sto lat później Magnus I występuje jako dobrodziej stanu kmiecego, „który, długo uciśkany, zawdzięcza mu zniesienie poddaństwa i różnych danin.“ W sto lat stosunki nie mogłyby się do tego stopnia zmienić. Kmieć Eryk, uznany przez Kościół świętym, ożenił się na początku stulecia o którym mowa z córką królewską, sprawował władzę namiestnika królewskiego, a pod koniec tego stulecia już kmiecie byli w poddaństwie i to długiem, z którego ich wyzwalać było potrzeba?! to jakoś pogodzić się nie da. Zapewne wyraz *bonde*, oznaczający dziś kmiecia, w wieku XII miał inne znaczenie.

O dwóch filologicznych pracach: Dra Samolewicza i Dra Węclewskiego przez specjalistów bardzo cenionych, tutaj mówić nie będziemy.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Tom I in 8vo stron 314 oznaczonych liczbami arabskimi i 88 liczbami łacińskimi. Zawiera w sobie prace: Dra Karola Mecherzyńskiego, A. H. Kirkora, Dra A. Sokołowskiego, Dra M. Bobrzyńskiego, J. M. Sadowskiego, Dra J. Szujskiego, B. Kalickiego, Dra A. Bojarskiego.

Sprawozdanie A. H. Kirkora o poszukiwaniach archeologicznych w okolicach Babie i Kwaczały, jest nadzwyczajnie ciekawe, z powodu odkrycia śladów mieszkań nadwodnych odnoszących się do bardzo dalekiej starożytności. Jestto z kolei drugie odkrycie mieszkań nadwodnych (Pfahlbauten) w Polsce; pierwsze odkrył zasłużony archeolog Dr. Józef Łepkowski, w majątku swego teścia Karola Liebelta nad jeziorem Czeszowskim, — Dr. *Sokołowski* zamieścił rozprawę: Projekt rozbioru Polski w XV wieku. Praca ta opiera się wyłącznie na Grünhagena zbiorze dokumentów: *Geschichtsquellen der Hussitenkriege*, wydanym w Wrocławiu w r. 1872.

Jako wiadomość, że taki projekt w czyjejs głowie się zrodził w wieku piętnastym, należy go znać historykowi. — Na seryo traktować go nie można, jak nikt go ze współczesnych nie traktował, a najmniej podobno twórca jego ce-

sarz Zygmunt Luxemburski, który w podlegających mu krajach rady sobie dać nie mógł, a już o postronnych podbojach nie mógł nawet marzyć. Projekt ten, do którego wykonania oprócz twórcy jego należeć mieli: wielki mistrz zakonu, kilku drobnych książątek szlążkich i 6 miast łużyckich, nie był nigdy przez mających w nim brać udział ratyfikowany, a o siłach dostatecznych na jego wykonanie mowy nie było. Siły całych Niemiec nie wystarczały do zastąpienia własnych ognisk od napadów Husytów. Węgry na samo przypuszczenie, że Zygmunt chce posiłkować Wielkiego Mistrza przeciwko Polsce, powiedzieli mu, że na tę wojnę nie dadzą ani grosza jednego ani jednego człowieka.. Zakon militarnie i finansowo był zbankrutowany. Zostawiali książątka szlążcy w niezgodzie ustawicznej pomiędzy sobą, a tak rozdrobnieni, że nie jeden z nich zazdrościł losu szlachcica polskiego o miernej fortunie. Że Zygmunt nienawidził Władysława i Polaków, to rzecz znana, żeby myślał o przeprowadzeniu tego projektu, posądzać go nie można, bo już wtenczas nie o lekkomyślność, ale o brak pięciu klepek w głowie pomówićby go trzeba. Władysław w tym czasie, kiedy projekt ten stanął, dosyć życzliwym się zdawał ruchowi husyckiemu, synowiec jego Zygmunt Korybut w 2500 koni posiłkował rokoszanie czeskich; otóż w bezsilnym gniewie cesarz ogłosił swój projekt sądząc, że przynajmniej takie zrobi on na królu polskim wrażenie, że synowca z Czech odwoła i pokój z Krzyżakami, znośny dla tych ostatnich zawrze, za jaką znowu przysługę obiecali mu Krzyżacy przysłać posiłki przeciwko Husytom. Innego celu projekt nie miał, i z tego stanowiska na niego, według naszego zdania, zapatrywać się winno.

Przyczynek do historii dziejopisarstwa polskiego w XVII wieku przez *Bernarda Kalickiego*, rzuca jaskrawe światło na publicystykę ówczesną, do której należała przedewszystkiem współczesna historia. Jeżeli dzisiaj piszą bezkarnie największe brednie i oszczerstwa na ludzi zasłużonych w kraju i wybitne rodem i majątkiem zajmujących stanowiska, wówczas panowała druga ostateczność, nawet prawdy o ludziach możnych a współczesnych zbliżka obchodzących, wypowiedzieć nie można było bez ściągnięcia niebezpieczeństwa dla swego życia lub zdrowia. Łubieński, biskup płocki, człowiek poważny wiekiem i stanowiskiem, napisał historię współczesną, drukowaną po śmierci autora, kosztem i staraniem brata arcybiskupa gnieźnieńskiego. W historii tej, przy opisie bitwy guzowskiej, autor nie bardzo pochlebnie wyraził się o ojcu hetmana Stanisława Koniecpolskiego; nie pochwalił też Stanisława Lubomirskiego za jego zachowanie się w całym tym akcie, a ten znowu był szwagrem Koniecpolskiego. Hetman nie mógł na pierwszym senatorze mścić się za niedyskrecję brata; listownie dał mu tylko boleśnie uczuć, jak srodze mu się nie podobają rzeczzone ustę-

py; z kim innym byłby się zapewne inaczej obszedł, a hetman był popędliwy i wrażliwy.

Korrektą w Rozprawach tak samo niedbała jak i w Pamiętniku: W artykule Dr. Sokołowskiego zamiast: król polski, wydrukowano pruski, a w artykule B. Kalickiego inicjałami zapewne oznaczone tytuły Stanisława Koniecpolskiego, k. k. h. w., wypełniono: kanclerz koronny, hetman wielki, zamiast: kasztelan krakowski i hetman wielki. Błędów tych nie podnosilibyśmy, gdyby nie chodziło o wydawnictwo staraniem akademii uskutecznione.

J. N. Sadowskiego artykuł: Obecny sposób zapatrywania się na zabytki epoki Spiszowej, jeżeli nie odznacza się oryginalnością pomysłów własnych autora, zapoznaje nas z pomysłami najznakomitszych archeologów w ocenieniu zabytków spiszowych tak co do ich starożytności, jak i pochodzenia. Szwed Nilson, Węgier Kiss i Czech Wocel są tu powagami pierwszorzędnymi, ich pomysły są i dla naszego archeologa ideami kierującymi w badaniach przez niego przedsięwziętych. Artykuł odznacza się starannością obrobienia i jasnością wykładu tak pożądaną przez wszystkich, a szczególnie przez ludzi нефachowych. Według teorii Nilsona spiże najwytworniejszej roboty, znajduwane w Europie, są najdawniejsze i pochodzą od Fenicyan; zabytki mniej okazałe są prawdopodobnie wyrobem miejscowym. Czem więcej takowe do fenickich ozdoboń zbliżone, tem dawniejsze; czem mniej udałe, tem więcej zbliżone czasem do nas; naśladownictwo bowiem czem bliższe było pierwowzorów, tem do nich było podobniejsze. — Wielka drogość cyny w starożytności jest także dla archeologów skazówką starożytności bronzowych zabytków; czem mniej ceny a więcej miedzi, tem dawniejszy zabytek; gdzie z miedzią połączony jest ołów i cynk, to dowód, że przedmiot pochodzi już z bliskich czasów epoki żelaznej, a może nawet jej współczesny.

Teoria ta obala dawniejszą powszechnie przyjętą doktrynę, która ozdobniejsze zabytki poczytywała za późniejsze, uważając je za postęp miejscowej przemysłu.

Starodawne prawa polskiego pomniki. Tom III. Correctura statutorum et consuetudinum regni Poloniae anno MDXXXII decreto publico per Nicolaum Taszycki et socios confecta. Ex rarissima editione authentica opera Michaelis Bobrzyński nunc iterum edita. In 4to stron 290.

Zygmunt Stary pragnąc ujednolicić prawa obowiązujące w Polsce, gdyż dotąd prawie każde województwo, każda ziemia miały swoje prawa pisane i zwyczajowe ztąd zamęt w sądownictwie, arbitralność i przekupstwo — zalecał od r.

1520 na każdym sejmie, aby korekturę praw przeprowadzić, sprzeczne z sobą prawa znieść i nowemi je ustawami zastąpić. Wybrano wreszcie w r. 1532 sześciu komisarzy do ułożenia projektu do prawa ogólnego, na podstawie dotychczasowych statutów i zwyczajów, ich pracą powstał projekt znany powszechnie pod nazwą Statutu Taszyckiego, który na sejmie r. 1534 został odrzucony podobno głównie winą Piotra Kmity i Piotra Zborowskiego, nie chcących przeprowadzenia jednego prawa dla wszystkich, aby tem swobodniej samolubne swe widoki przeprowadzać mogli. Jako projekt do praw, statut tak nazwany Taszyckiego w usiłowaniach prawodawstwa polskiego znakomite zajmuje miejsce swą jasnością i konsekwencją. Przyjęcie tego projektu mogło Polsce inny los zapewnić, od anarchii ją uwolnić, do szanowania praw zmusić. Przedruk tego statutu, dzisiaj nadzwyczaj rzadkiego, napisanie wstępu do niego przez Dra Bobrzyńskiego, młodego, utalentowanego i zamkniętego w pracy prawnika i historyka, wyjaśniający genezę statutu i jego fatalny koniec, jest prawdziwą przysługą oddaną polskiemu prawoznawstwu. Akademii winniśmy wdzięczność za przyspieszenie tego wydania.

Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok 1873 in 8vo str. 159.

Jest to historia powstania, ukonstytuowania się i wewnętrznej manipulacji Akademii Umiejętności. Rocznik nie zawiera żadnych rozpraw literackich.

Z wyliczonych tutaj prac czytelnik może się przekonać sam o prawdziwości słów naszych powiedzianych na wstępie, że Akademia w przeciągu jednego roku swego istnienia dokonała prac mnogich i pożytecznych i jeżeli dotychczasowa energia zawsze jej udziałem będzie, w krótkim czasie naukowość polska zaważy na szali ogólnego postępu i rozwoju nauk.

Inne prace, chociażby pierwszorzędną miały wartość naukową, pomijamy z powodu, że takiego interesu, jak cytowane, dla szerszej publiczności mieć nie mogą. Zresztą ludzie oddający się wyłącznie pracom naukowym, na naszym sprawozdaniu nie poprzestaną, ale sami z wydawnictwem akademickiem zapoznać się zechcą.

Żydzi i Kahały. Dzieło wydane w języku rosyjskim w r. 1870 przez Brafmanna (żyda przechrzczonego) na język polski przetłóżone i przerobione przez K. W. Lwów, nakładem drukarni J. Dobrzańskiego i K. Gromana 1874 8vo str. 156.

Zapowiedziane wydanie tej broszury więcej budziło ciekawości, niż na to trześć jej zasługiwała. Nowego w niej nie ma nic, czegoby dotąd chrześcijańska ludność, a przynajmniej wykształcone jej warstwy nie wiedziały. — Czem jest kahał i Bet-Din, wiedzieli wszyscy. Że kahał sprzedaje swoim współwyznawcom prawo eksploatowania osób i majątków chrześcijańskich, znane pod nazwą hazaka, jeżeli się odnosi do własności, a meropie jeżeli przedmiotem eksploatacyi jest osoba chrześcianina, to także nie jest nowością. Bezwątpienia gdyby wiadomość o hazace i meropii po raz pierwszy stała się publiczną i jawną za pośrednictwem tej broszury, efekt, jaki wydawca jej starał się osiągnąć, byłby całkowity a może nawet przeszedłby jego oczekiwanie. Znane już powszechnie ustawy żydowskie, jakkolwiek świadczące o nienawiści żydostwa do wszystkiego, co nieżydowskie, już dla tego, że są znane, efektu nie budzą, tem bardziej, że stosunki dzisiejsze ekonomiczne i społeczne nie pozwalają praktykować je na wielką skalę. Dawniej chrześcijanin, na którego żyd nabył hazakę lub meropię, nie znajdował konkurentów między żydami, jeżeli chciał sprzedać swój majątek lub swoje płody, co musiało koniecznie na obniżenie cen wpływać, czyli inaczej: musiał swój dobytek na pół darmo sprzedawać, a znowu gdy chciał pożyczyć, nie mógł dostać pieniędzy tylko od tego, który sobie na niego wyrobił meropię, co potęgowało lichwę, dzisiaj komunikację i instytutu kredytowe obie te instytucye żydowskie podkopały, jeżeli nie umozębniły. Nie hazaka i meropie dzisiaj jest straszną dla chrześcijaństwa, ale potęga ich kapitałów i nieuczciwie prowadzony handel. Weźmy tylko nasze stosunki miejscowe krakowskie. Konkurencyja kupców chrześcijańskich jest niepodobna z żydami. Po największej części a przynajmniej w wielkiej części u kupców żydowskich sprzedają się towary poniżej cen fabrycznych; handel taki gubi producenta, gubi konkurenta chrześcijańskiego; żydom na dobre wychodzi: ogłaszają bankructwo z swymi wierzycielami ugadzają się jak mogą i pod inną firmą znowu ten sam handel dalej prowadzą. Kupiec żydowski przychodzi do dobrobytu, jeżeli 6 do 7 razy zbankrutował. Ugadza on się zwykle z producentem za 60%; sprzedawał niżej 20%, zyskuje na tej samej operacyi 20%, a jeżeli udało mu się sprzedać swój towar drożej, co nie rzadko bywało, tem większy jego zysk przy każdym bankructwie. Jakież dopiero miał zyski, jeżeli sprzedawał towar podły, zalecając go jako najznakomitszy, przytem czyniąc kupującego mimochodem uważnym na różnicę w cenach u niego a u kupca chrześcijańskiego za jeden i ten sam towar. Niektórym tak dobrze ta spekulacyja szła, że nie potrzebowali nawet bankrutować, aby się dorobić. Nie mówimy tego o wszystkich kup-

cach żydowskich; znamy wielu ludzi uczciwych i zacnych, niestety między swymi współwyznawcami są oni wyjątkami. Któż wstąpiwszy do restauracyi lub piwiarni ogródkowych nie był napastowany przez kramarzy żydowskich, ofiarujących mu cygarniczki, skarpetki, chustki do nosa, mydełka, zapalki i t. p.? wszystko to nabyć można za połowę, a czasem i poniżej połowy rzeczywistej wartości. Przedmioty te pochodzą po największej części ze sklepów, które w krótkim czasie zamierzają bankrutować. Taki handel musi przemysł chrześcijański rujnować i żydom ostatecznie panowanie nad światem oddać. Ten brak uczciwości i honoru przebija wszędzie. Niech małoletni potrzebuje 20—30 złr., żaden mu żyd nie pożyczyci, chociażby wiedział, że pożyczający oddać może i chce; ten sam małoletni dostanie 1000 złr. od tego samego żyda, jeżeli mu da weksel, o którym żyd z pewnością wie, że jest sfałszowany; bez kahała ma on już meropię na niego na całe życie. Fałszerstwa zwykle nie insynuuje ten, który pieniądze daje, ale zwykle jakiś drugi pośrednik, którego osoby i imienia zwykle sobie lichwiarz nie przypomina, gdy sprawa przypadkiem dostanie się przed sądem. Dodajmy do tego wielką solidarność między żydami, od której nawet nowo wychrzczeni nie są wolni, przez ciotki, stryjów, związani ze społecznością żydowską mianowicie jeżeli do ochrzczenia się powodem był interes a nie przekonanie. Ileż to rodzin przyjęło chrzest, aby utrzymać się przy szynkach, jeżeli na przykład wyszła gdzie ustawa, że żydom szynków trzymać nie wolno! Neofita w ten sposób pozyskany dla chrześcijaństwa, prawie większą jeszcze pałał ku niemu nienawiścią, niżeli będąc żydem. Niebezpieczeństwo dla chrześcijaństwa i chrześcijan istnieje.

Przed kilku laty podaliśmy sprawozdanie z francuskiej książki: *Le fuif le judaïsme et la judaïsation des peuples chrétiens*. W niej francuski autor wypowiada obawy, jakie grożą francuskiej społeczności od żydów, gdzie ich jest i mniej co do liczby i mniej solidarnie z sobą związanych, stanowiąc przeważnie ludność napływową. Przed tem niebezpieczeństwem społeczność chrześcijańska ratować się może tylko solidarnością wszystkich i wielką uczciwością klasy kupieckiej chrześcijańskiej.

Wydawca niniejszej broszury zdaje się upatrywać jedyny ratunek na to niebezpieczeństwo w ślubach cywilnych żydów z chrześcianami i narzeka bardzo, że żydzi we Francyi poleceniom cesarza Napoleona I, aby na trzy małżeństwa żydowskie przynajmniej jedno było mieszane — zadosyć nie uczynili. Polecenie takie, jeżeli było, bo tego nie wiemy, wymaga naprzd, aby tak żydzi jak chrześcianie zostali bezwyznaniowymi i jeszcze wtedy byłoby śmiesznością, boby przypuszczało, że trzeci żyd z kolei musi pokochać się w nieżydówce, a gwał-

tem najwyuzdańszego despotyzmu, gdyby ustawa koniecznie do tego zmuszała. My bezwyznaniowości nie chcemy ani u żydów ani u siebie; wyznanie nie tylko reguluje stosunek ludzi z Bogiem, ale także stosunki ludzi między ludźmi; formie religijnej odpowiadają formy społeczne. Jeżeli katolicyzm najbardziej odpowiada formie monarchicznej, protestantyzm republike, to bezwyznaniowość prowadzi wprost do komuny. — Przykład Francyi i Hiszpanii dowodzi najlepiej, że republika na gruncie katolickim ustalić się nie może, ale niech ona raz znajdzie furtkę do Niemiec, a grunt znajdzie już uprawiony dla siebie. Kokietowanie ks. Bismarka, ministra królewskiego, z republikanami Francyi i Hiszpanii, przemawia za naszym twierdzeniem; obawy, jakie Niemcy mieć mogli przed Republiką, upadną, skoro największy ich mąż stanu obozowi republikańskiemu daje pierścionek przed monarchią.

Wędrówki Delegata. Szkice humorystyczno-obyczajowe przepisał Jordan. Serya pierwsza i druga. Warszawa nakładem Gebethnera i Wolfa.

Autor dotrzymał przyrzeczenia zapowiedzianego na okładce: jego szkice są naprawdę obyczajowe i humorystyczne, nawet figle i concepta nie nowe umie odpowiedzieć z werwą i humorem. Formą *Wędrówki Delegata* przypominają *Wędrówki Oryginała* Korzeniowskiego, tylko w Korzeniowskim jest więcej sentymentalności, w Jordanie satyry. Szczególnie pierwsza serya obrobiona jest z zamiłowaniem, druga jakkolwiek także ma swoją wartość literacką i obyczajową; pisana już na zamówienie księgarskie; nie ma w niej tego życia, co w pierwszej, tej swobody i naturalności, jaką w pierwszej części zniewała odrazu czytelnika. Zawsze w Jordanie, mniejsza czyto pseudonim, czy prawdziwe nazwisko, zyskuje powieściopisarstwo utalentowanego pracownika, W dotychczasowej swojej pracy wystawia on tylko ujemne charaktery, ale w tych wadach się nie lubuje, nie idealizuje ich, przeciwnie, budzi do wielu wstręt, okrywa śmiesznością, na czytelnika działa on dodatnio, poprawić go powinien zawsze, rozśmieszy często.

Przedmiotem szkiców szczególne wady ludzkie na polskim zrodzone gruncie, a więc mające już typ i charakter narodowy. Wady te już raz, nie sto razy były obrabiane przez moralistów i satyryków, widzieliśmy je upersonifikowane w kreacjach powieściopisarzy i dramaturgów, nie dziwnem więc, że nie jedna kreacja naszego autora przypomina fizyognomią, giestami, a nawet sposobem wysłowienia się kreacje dawniejsze, nie jedna z jego figur na pierwszy rzut oka wydaje się, że to dawny znajomy, jednakowoż czem dłużej się z nią przestaje, różnice między nią a dawną znajomością występują co

raz silniej, a w końcu przekonywamy się, że to postać podobna, ale nie ta sama, że to indywidualność zupełnie inna.

O jednym panu Hanibalu z Blichtrowa nie możnaby tego powiedzieć, to już figura podług patronu wycięta, autor nie umiał jej nadać jednego oryginalnego rysu. Inaczej się już rzecz ma z p. Kalasantem z Sobkowic; tak dosadnie skreślonego egoizmu pozazdrościć można autorowi. Wyborny jest pan Doliwa z Kuflowa i cała ta pijacka szajka i ten Feluś Baryłkiewicz jeżdżący od komina do komina, pożądany w wielu miejscach a wszędzie gospodarujący jak u siebie w domu; bawi on swoich amfitryonów opowiadaniem śmieszności ich sąsiadów; częste opowiadania te są pełne humoru, szkodliwe nigdy. A ma Baryłkiewicz czasami koncepta dowcipne. Do pana Doliwy np. gdzie pijatyka jest na porządku dziennym, przyjeżdża sekwestrator. Jak się go tu pozbyć a niedopuszczyć zajęcia. Naturalnie że wina i pochlebstwa nie żałowano, Feluś nawet przypomniał sobie że znał jego ojca, posesyonatu, karmazyna co się zowie; wszystko to bardzo ujmowało sekwestratora, który był synem mieszczańskim, ale od swojego odstąpić nie chciał, bo przełożony surowy, wymagał punktualności w służbie. „Jutro muszę być z powrotem w powiatowym mieście i wykazać się protokołami, że nie próżnowałem“ mówił sekwestrator do zgromadzonych; wszystkie prośby braci szlachty i odezwy do solidarności szlacheckiej nie miały skutkować. Sekwestrator pił, całował się z nimi, płakał, że w tym wypadku pomódz nie może. Tak zeszło mu jakoś do nocy. Kiedy pijatyka jeszcze trwa, wpada furman sekwestratora do pokoju z płaczem i krzykiem: że konie ukradli. Konie, to była najsłabsza strona sekwestratora; gotów był sobie odmówić objadu a koniki nakarmić; bata u niego nie wolno było użyć, nigdy kłusem koni nie puścił, aby się nie męczyły; słabość tę miał on tylko do koni swoich; jeżeli jechał obcemi to ich nie żałował bynajmniej. Wiadomość o skradzeniu koni jak grom uderzyła w sekwestratora, powstał ogromny hałas, sekwestrator furmana zbił na kwaśne jabłko, szlachta pijana żałowała skradzionego, radziła coby robić należało. Gdy takie zamieszanie, Feluś każe wprowadzić dwa najlepsze konie ze stajni gospodarskiej, radzi sekwestratorowi sięść na jednego, na drugim niech jedzie furman, może będzie można złodzieiów dognać, pruska granica tylko o dwie mile a złodzieje zwykle tam z kradzionymi końmi się udają. Rada była jedyna. Furman i pan jego puszczają się konno za złodziejami. Drogi im nieubywało, bo tu ciemno, oczy wykół, do tego deszczyk gęsty kropił bez przerwy. Jezdzący koni nie żałowali, sekwestrator harapem podganiał swojego i na furmana co chwila woła, aby nieszczędził. Świtać już zaczynało, a pogoń daleko jeszcze była od granicy. Ale pozwólmy niechaj autor sam koniec opowiada:

W tem spragniony wierzchowiec Frąsia, na widok wody w rowie, zarżał...

— Wielmożny panie... takuchny głos jak naszego biczowego kasztanka.

— Bodajes przepadł, gamoni! — odrzekł gniewnie sekwestrator — jeszcze mi będziesz jego przypominał!

Po chwili, na widok kupki siana, odawał się znów wygłodniały wierzchowiec sekwestratora.

— Wielmożny paniczku!... ale takuchny głos jak naszego licowego.

— A podajes zaniemiał, gapiu! — krzyknął zniecierpliwiony sekwestrator, któremu wspomnienie licowego rozkrwawiało serce doreszty; — i zaciąwszy biczem szkapę, znów go w lekki truchcik wprowadził.

— Panoczku, ja już nie mogę zdążyć... mój szkapa ustał do dna i na prawą nogę upada.

— Wał go co się zmieści, a ruszaj.

— Ale on się może schwacić i zdechnie.

— A to niech zdycha... to nie mój. Widzisz go jaki miłosierny!

W samej rzeczy wierzchowiec chłopaka kulał już porządnie, a obydwom koniom boki tak zapadły, tak były zmarnowane, zbite, zziajane, że litość brała patrzeć.

Dzień też robić się już zaczął na dobre.

Nagle chłopak spał się na strzemionach, zegnając znakiem krzyża świętego.

— Co tobie gapiu? spytał sekwestrator. Będziesz tu może pacierze odmawiał?

— Wielmożny panie... dopuszczenie Boże, czy co!...

— No cóż znów?

— A dyć wielmożnego pana koń, to ma takuchny konopiaty ogon i pręgę bez grzbiet, jak nasz licowy.

— Co ty bajasz?

— A i ta łysina taka sama.

— Bój się Boga! — krzyknął sekwestrator — i twój szkapa ma taką łysinę jak nasz biczowy... Wykręć-no się, ośle... Jezus Marya! i taki sam szczurzy ogonek!... To mój koń!

— I to nasz koń! — zawołał chłopak.

Stanęli obaj jak wryci, wpatrując się w swe własne konie, na których mniemanej zguby szukali.

Trzeba bowiem wiedzieć, że cała scena skradzenia koni była prostym figlem Baryłkiewicza, który, obiecawszy panu Doliwie tak zatrudnić sekwestratora, iżby ten w nocy protołku zajęcia sporządzić nie mógł, wpadł na myśl szatańską wyprowadzenia koni ze stajni przed nosem chrapiącego po

wódce parobka, a narobiwszy później hałasu o złodzieju, podstawił sekwestratorowi do pogoni własne jego konie.

— Boże! moje szkapiętka... co się to z nich porobiło! — wołał, wychodząc z osłupienia sekwestrator. Cóż to za lichy się stało?... Może się tobie, osle, przyśniło, że ci konie skradli, narobiłeś hałasu.

— Ale wielmożny panie, przecie dokumentnie widziałem.

— Coś widział?

— No... że koni nie było.

— Jak to, czyś wstawał do nich w nocy?

— Nie wstawałem, bo to wej zaraz z północksia się zrobiło.

— Więc kiedyś gamoniui nie wstawał, zkądżeś się dowiedział że skradli?

— A no ktoś mi we śpiku krzyknął nad uchem, że kasztany skradzione — ja się też zerwałem na równe nogi, zaświeciłem latarkę... patrzę... koni niema.

— Cóż dalej?

— A no dalej, jak widzę że niema koni, tak też zacząłem krzyczeć że koni niema.

— Ale cóż dalej?

— A no, wielmożny pan przecie wie najlepiej co dalej, bo dalibóg wielmożny pan na mnie ręką żałował.

— Ale dlaczego-żeś gapiu krzyczał, że konie skradli?

— A no, bo koni nie było.

— A zkądże się, gamoniui, tu wzięły?

— A no... to już jest chyba sprawa złego ducha... W imię Ojca i Syna!... Wielmożny panie, ja już przy tych koniach nie będę służył, bo to nieczyste stworzenia.

— Ja ci tu dam nieczyste stworzenia! moje kasztanki nieczyste stworzenia! Tylko ty mi się tu rusz od koni! Przecież trzeba teraz coś zrobić z niemi, bo bydłeta jak Bóg Bogiem pozdychają.

— A no, trza się wrócić nazad na piechotę i konie za sobą ciągnąć.

— A gdzieś jesteście!... ja tych dróg nie znam wcale.

— Wielmożny panie, a dyć my z granicy kuflewskiej nie wyjechali; ot tamte krzywe topole za górką...

— Co ty bajesz? myśmy może już w Prusach... co najmniej z pięć mil zrobiliśmy.

— Wielmożny panie... ja już nie wiem... ja za służbę dziękuję... to jakiś czart szkapami kręcił... Przecie to tam za groblą Sobkowice... a to tu za górką kuflewski dwór.

Sekwestrator poznał okolicę... cichaczem przeźegnał się, także nawpół ze strachem, i w milczeniu poprowadzili za sobą ledwie wlokące się konie do Kuflewa.

Za powrotem do Kuflewa dzień już był wielki; o protokole nie można było myśleć, trzeba powracać do miasta — szlachciś zyskał kilka dni zwłoki; nie uratowało go to od zguby, ale pocieszać się mógł jakiś czas ulubionym polskim frazesem: „jakoś to będzie“, a awantura sekwestratorska także mu humoru nie psuła.

W seryi drugiej wybornie także skreślony jest adwokat starej daty, kręt co się zowie, kogo może namawia do procesowania się, dawny jego szkolny kolega, u którego bawi, usłuchawszy jego rady dziesiątki miał procesów. „poczekaj kochaneczku nasmaruję ja mu rachuneczek“ mawiał do przyjaciela. Skończyło się że przyjaciel poszedł z torbami. Wabik karczmarz należy także do bardzo małych kreacyj. Kończymy nasze sprawozdanie o tej książce podziękowaniem autorowi za już i prośbę o jeszcze.

L. Powidaj.

Kazimierz Jarochowski. — *Dzieje panowania Augusta II. od wstąpienia na ziemię polską Karola XII. aż do elekcji Stanisława Leszczyńskiego (1703—1704)*, — Poznań. 1874 r. 644 str. in 8vo majori.

Poważna historyczna praca, o której dzisiaj donieść chcemy czytelnikom *Przeglądu*, jest dalszym ciągiem dawno już rozpoczętych przez szanownego autora *Dziejów Augusta II.* — Ośmnaście lat temu wyszła część ich pierwsza, obejmująca początkowych lat pięć tego panowania; dzisiaj, jak widzimy, przybywa nam historya dalszych lat dwóch przeszło. Kiedy nasz historyk zabierał się do swego dzieła już wybór przedmiotu poczytywano mu za odwagę, tak chwalić jeszcze siebie ciągle i świetnych stron tylko przeszłości naszej szukać potrzebowaliśmy wtenczas. On sam pisał w przedmowie swojej, że „patriotyczne pióro dotychczasowych historyków polskich, omijało ten tragiczny ustęp przeszłości naszej, pełen ciemnoty i zgrozy wiek Sasów, jak zabobonny wieśniak mogiłę samobójcy o północnej godzinie.“ Pan Jarochowski już wówczas widział w tej epoce ścisły związek z obecnością naszą, i jakkolwiek dla uczuć jego mogła ona i musiała być bolesną, uznał, że była najbardziej pouczającą, i zakładając sobie zbadanie przyczyn naszego upadku, za wyłączny ją przedmiot swych poszukiwań obrał. Jeżeli w ciągu tych lat kilkunastu, które nas dzielą od ukazania się pierwszej jego książki, postąpiliśmy o tyle, że nie lękamy się szukać w przeszłości źródeł naszej niedoli, i taki wybór przedmiotu już nie wymaga odwagi, jeżeli z rosnącą ciągle gorliwością rozpatrując się w ostatnich przedrozbiorno-

wych czasach, zdobywamy się nawet na męstwo obwiniania przedewszystkiem siebie samych, to niemuiej przeto wielka wytrwałość na raz obranej drodze, jakiej niezbity dowód w nowej swej pracy złożył szanowny autor, wszelkiego godną jest uznania, tem bardziej, że ona to zawsze do arcytrudnych naturom naszym cnót należała. Niezaprzeczony pisarski jego talent mogły inne, miłsze i wdzięczniejsze nęcić przedmioty, liczne i poważne a zupełnie różnego rodzaju zatrudnienia, jakim się prócz tego oddaje, nie jednemu na jego miejscu nierazby pióro wytrąciły z ręki; on pomimo to wszystko nie wyrzekł się swojego smutnego i bolesnego zadania, i to przez lat blisko dwadzieścia. Jakżeby tego nie uszanować i takiej nie przyklasnąć pracy! Bliższe znowu w poważnej książce rozpatrzenie się pokazuje nam, jak żmudnych zachodów jest ona owocem, i widząc, że się na nią prócz książek i źródeł drukowanych, składały przedewszystkiem skrzętnie przezierane archiwa państwa w Dreźnie, Stockholmie i Kopenhadze, oraz rozmaite rękopisma polskie, w archiwum grodzkiem poznańskim i w bibliotece Rogalińskiej przechowane — nie dziwimy się, że ta praca przy innych zatrudnieniach tyle lat szanownemu autorowi zająć musiała.

Sposób, w jaki swej pracy dokonał, autor sam we wstępie określa. „Historyk tej epoki — powiada on — znajduje się w położeniu wędrowca zbłąkanego w ciemnym lesie wśród nocnej zawiei. Biada mu, jeżeli się puści przed blaskiem jutrzejnki jakąkolwiek drogą, jeżeli błędny ognik weźmie za przewodnie światło, jeżeli w fantastycznych kształtach nocnych cieni dopatrzy się łątowiernie bezpieczne schronienie zapowiadającej chaty leśnika. Pozostaje mu tylko odczekać z rezygnacją świtu, by przy pewnem świetle białego dnia przekonać się o mylności dróg, jakie mu nocna niecierpliwość raz po raz wskazywała. W podobnem, powtarzamy, położeniu znajduje się historyk opowiadanej przez nas epoki Biały dzień archiwalnej prawdy, światło bijące z fizyonomii ludzi i wypadków przekona go, jakby się mylił, gdyby mglistą szarugę chciał sobie rozwidnić błędnymi ognikami jakichbądź, choćby najprawdziwszych na pozór doktryn, choćby najpoważniejszą tradycją uświęconych wyobrażeń o ludziach, czynach i wydarzeniach. Historykowi owej epoki pozostaje, jak naocznym świadkom wstrząśnięć natury i dopuszczeń bożych, jak Tucydyclesowi skreślającemu obraz ateńskiej dżumy, jak Pliniusowi opisującemu wybuch Wezuwiusza i ostatnie dni Pompei, rola *opowiadacza*. Serca i rozumu narodowego nie ma z kim zespolić. Każda doktryna, każda myśl, każdy człowiek, każdy wypadek okaże się niestety przy bliższem opatrzeniu w charakterze nie światła, lecz błędnego ognika.“ Stosownie do tego określenia autor szukał mozolnie białego, jak powiada, dnia archiwalnej prawdy i ze

zdobytą w tych poszukiwaniach znajomością wypadków, często drobnych nawet, opowiada je kolejno, nieraz dzień po dniu, z wielkim spokojem, nie wykluczającym wcale życia, i w tem jest właśnie tego dzieła zasługa i wielka jego wyższość nad pierwszą, przed kilkunastu latami ogłoszoną częścią tej pracy; ale w tem zarazem, że się na roli opowiadacza ograniczył, że na smutny przebieg wypadków zapatrywał się jak na ateńską dżumę lub zniszczenie Pompei, a nie poszukał prawdziwego, ciągle bijącego ich źródła, leży ujemna strona tej pełnej wysokich zalet pracy. Zastanowimy się nad nią przez chwilę.

Różne są rodzaje historycznego, jeżeli tak powiedzieć można, kunsztu. Macaulay w jednym ze sławnych swoich *Essays* powiada, że dziejopis jak pejzażysta powinien na niektóre punkta w swoim obrazie całe zgromadzić światło, a inne w półcieniu lub w dalekim zostawić przezroczu, i że na tem całe jego zależy mistrzostwo. Być może, iż to sposób niebezpieczny, i w mniej biegłym od angielskiego historyka rękę, zamiast uwydatniać i rozświecać prawdę, może ją nieraz przyćmić i zgłuszyć, a rysom przeszłości nadać kształty karykatury; niemniej przeto zaprzeczyć się nie da, że tak pojmujący swą sztukę pisarz staje się dla czytelnika jakby tą z gwiazdą nad głową postacią Grottgera, co to ująwszy za rękę młodego artystę, stawia go kolejno przed całym szeregiem wielkich, wykończonych obrazów, połączonych wyższą ideą, a pozostawiających w duszy niezatracalne wrażenie, obudzających mnóstwo uczuć i myśli, uczących i podnoszących zarazem. Autor „Dziejów Augusta II od 1702 do 1704 r.“ inaczej rozumiał swoje zadanie; on wyraźnie postanowił, z zatloną przy archiwalnej pracy pochodnią, oprowadzić czytelnika po wszystkich o ile podobna zakątkach swojej widowni, strzegąc się wszędzie mocnych światła i cieniów; zyskała może na tem wierność opowiadania, osłabł, przynajmy, jego urok. Nie robimy z tego zarzutu naszemu historykowi, zaznaczamy tylko jego metodę, jakby drogę, po której opowiadanie swoje prowadzi; odnosi się to zaś przedewszystkiem do pierwszych rozdziałów dzieła, gdzie uwaga autora na kilka punktów jednocześnie zwrócona, każe je czytelnikowi zbyt często wspólnie oglądać, a pilnując się chronologicznego przytem porządku, nieraz jednego nie dokończywszy obrazu, zwraca się ku drugiemu, aby później znowu raz i drugi do pierwszego powrócić, nie dając temu czytelnikowi dostatecznego wytchnienia, aby się całość w pamięci jego złożyła. Dodajmy wszakże, iż sam rodzaj przedmiotu, zmienność usposobień szlacheckich, nieraz drobiazgowemi wywoływana przyczynami, a stanowiąca jakby tło odgrywającego się dramatu, doradzała niejako tę metodę. W ostatnich rozdziałach, gdy się akcja przyspiesza, staje się i pendzel naszego autora śmielszym, mocniejszym i jakby bardziej obrazowym.

Powiedziawszy we wstępie, że praca jego jest dalszym ciągiem dawniej ogłoszonej, autor uważa uprzednie wypadki za dostatecznie czytelnikowi znane, i odrazu prawie rozpoczyna swe opowiadanie, poświęciwszy tylko pierwszych stron trzydzieści bliższemu zapoznaniu się z głównymi postaciami, mającemi wystąpić na pole działania. Naczelne w szeregu ich miejsce zajmuje i słusznie „siedmioletni na ziemi polskiej gość a tak pamiętnie na niej gospodarujący“ Karol XII; za nim idzie całe jego otoczenie, osiwieli w boju jenerałowie, sześćdziesięcioletni kanclerz Piper z sekretarzem Hermelinem itd.; nie brak i wesołych towarzyszy młodzieńczych figlów króla i awanturnicznych jego wypraw i przygód: szwagra, księcia Fryderyka holsztyńsko-gottorpskiego, koniuszego Harda i nieodstępного pazia Klinkowströma. Widzimy dalej owego żołnierza szwedzkiego, najkarniejszego wówczas, najlepiej wyćwiczzonego na świecie, który postawą nie imponował jednak; „ludzie mizerni — jak mówił naoczny świadek Otwinowski — wpół nadzy, na lichych szkapach,“ ale którzy, według słów autora, robili na współczesnych takie wrażenie, jak w pierwszych tego wieku latach na wielkopolskiej ludności zwyciężczy z pod Austerlitz i Jeny. Po takim przejrzeniu szwedzkiego obozu przychodzi kolej na polskie dygnitarstwo, i tu spotykamy najprzód główniejszych nieprzyjaciół Augusta II, zaczawszy od Sapiehów i Radziejewskiego, do Leszczyńskich, Sobieskich, Hieronima Lubomirskiego i wielu podrzędniejszych; dalej między przyjaciółmi znowu królewskimi, niecierpianego przez szlachtę Przebendowskiego, wojewodę Gałęckiego, Żałuskiego biskupa, a wkrótce wielkiego kanclerza, podkanclerzego lit. Szczukę; w. hetman kor. Jabłonowski w tej chwili dogorywa; z polnych: Sieniawski trzyma się na uboczu, litewski Wiśniowiecki gotów ucierać się ze Szwedem, ale nie jako z najeźdźcą, lecz tylko jako ze sprzymierzeńcem i stronnikiem Sapiehów.

„Cała prawie Polska — mówi w końcu autor — gotową była patrzeć bez żalu w tej nieszczęsnej chwili na pogrom Sasów i Augusta, tu i owdzie, życzyć go sobie nawet stanowczo... tłumy szlachty szeregowały się według okolic około wojewodów, kasztelanów i osobistości wpływowych, jako około naturalnych filarów, a z tych żaden prawie dla Augusta nie był pewnym i bezpiecznym.“ Wojsko koronne było zupełnie dla sprawy królewskiej zobojętniałe, a chłopska pożoga szalała na Ukrainie, gdzie bunt przez Paleja i Samusia rozplamieniony był właśnie w tej chwili zwyciężkim.

Właściwe opowiadanie rozpoczyna się od chwili, gdy Karol XII doczekawszy się nareszcie niecierpliwie wyglądanej poprawy dróg, w początku marca 1702 r. zwija swój obóz pod Bilewiczami i puszcza się w głąb Polski, — gdzie w sapieżyńskich stronnikach znajduje pierwszych adherentów. Już wtenczas

nosi się on z myślą detronizacyi Augusta II, którą wkrótce w urzędowym wypowiedzi manifestie, obrachowanym zręcznie na namiętności i wyobrażenia szlacheckie; nazywając Augusta już tylko elektorem saskim, zarzuca mu nieprawność elekcyi, jemu, Sasom i nieprzyjaciołom Sapiechów wszystkie klęski kraju przypisuje, a oddzielając stanowczo interes króla od interesu Rzpltej, tej ostatniej stateczną swą przyjaźń zapewnia, powołując się na płynącą w jego żyłach krew jagiellońską. — Szukający naturalnie obrony August, odzywa się ze swej strony do narodu, stara się uzyskać poparcia Rzpltej, która znowu żadna przedewszystkiēm pokoju, wyznacza delegatów dla układania się z królem szwedzkim. Bolesny zaprawdę obraz! Walczący z sobą cioteczni ukoronowani bracia, kilka razy kolejno zajmują Warszawę to Kraków; gdziekolwiek stanie król August, gromadzi około siebie dygnitarzy Rzpltej, zwołuje zjazdy i rady: w Warszawie, Sandomierzu, Toruniu, Malborgu; wydają tam uchwały, rozsyłają uniwersały, wici zwołujące pospolite ruszenia województw; ale te gromadzą się niechętnie, nieraz przesekmizowawszy czas jakiś, rozjeżdżają się do domów; albo jak np. wielkopolskie „przepuściwszy najspokojniej przychodzące królowi szwedzkiemu posiłki, i postępując za nimi przez czas jakiś o kilka dni marszu, oświadczają uroczystym aktem, że „w skutek złośliwej potęgi losów nie spotkawszy ani króla Imci, ani Małopolski, ani wojsk koronnych, limitują się aż do nowego zjazdu“. — Gdziekolwiek znowu zatrzyma się król szwedzki, zbierają się około niego stronnicy; wybierani ciągle delegaci starają się z nim zawiązać rokowania. — Gdy przychodzi do bitwy kliszowskiej, ta pomimo przewagi sił augustowych zamienia się dla niego w klęskę, bo hetman w. kor. Lubomirski, wykonawszy sam ze swem wojskiem świetną szarżę, dla uratowania wojskowego honoru, cofa się z placu boju w porządku, nie ścigany zresztą przez Szwedów, a to dla tego, „aby nie dopomagać prawdopodobnemu w razie udziału Polski zwycięztwu Augusta, i grożącemu tuż za niēm *absoluto dominio*“! Nie wiele potem Szwedzi zajmują Kraków i obraca się w perzynę królewski zamek na Wawelu. Prywatne sprawy, namiętności, urazy, główną wszędzie grają rolę; nigdzie uczucia obowiązku; osobistemu, rodowemu, powiatowemu wreszcie lub wojewódzkiemu interesowi poświęcany wszędzie interes całej ojczyzny. — Wobec zdzierstw i grabieży Stenbocków, Klas-Bondych i im podobnych, wobec głośnych żalów na gwałty Sasów, wobec spustoszeń na Ukrainie, gdzie dla poskromienia buntu, dygnitarze nasi myślą aż o sprowadzeniu Tatarów, bawią się i uczują wesoło, tak dwór Augusta jak i jego przeciwnicy. Wzywany przez Szwedów prymas, aby ogłosił detronizacyą, trzyma się długo na uboczu, wyzyskuje dla siebie położenie stron obu, stara się stać się arbitrem losów narodo-

wych. Wśród kulawo i ułomnie według wyrażenia autora prowadzonej wojny, nawiązują się co chwila i zrywają znowu stosunki, „prowadzi się istna praca Danaid, korespondencya i układy o pokój różnych dygnitarzy polskich z królem szwedzkim“ nie ustaje na chwilę gra *interesów partykularnych*. — Wśród ciągłego kalejdoskopu zmiennych usposobień szlacheckich, chwilowo jedna osobistość wpływowa w prowincyi nabiera wyjątkowego znaczenia; tak staje się z Rafałem Leszczyńskim. Augustowi chodzi jak zawsze o zjednoczenie około siebie Rzpltej; tego bez zjednania Wielkopolski osiągnąć nie można, a w Wielkopolsce najpopularniejszą postacią jest Leszczyński, w blizkich stosunkach zostający z Prymasem i Sobieskimi; on jeden to Wielkopolska; bardziej też o niego w otoczeniu królewskim się troszczą niż o Karola XII, który złamawszy nogę, zimował wtenczas na południu Polski, o którego śmierci nawet rozchodziły się wieści. — Leszczyński na początku 1703 r. umiera a prymas rozpoczyna z Augustem wojnę na manifesty i uniwersały; odbywają się zjazdy i rady: królewska w Malborgu, prymasowska w Warszawie. — Przy rozpoczęciu na nowo kroków wojennych, Karol oświadcza delegatom, że interesa Polski i Szwecyi są wspólne, bo wspólnym ich nieprzyjacielem jest Moskwa, ale tego nikt wtenczas nie rozumie. Król szwedzki pod Pułtuskim znosi jazdę, w Toruniu oblega resztę saskiej piechoty. Tymczasem dzięki zabiegom królewskim zbiera się sejm w Lublinie, pierwsza od rozpoczęcia wojny reprezentacya całej Rzpltej. Autor nasz rozwodzi się szeroko nad możliwem tego sejmu znaczeniem, i przebieg jego opisuje szczegółowo. Wypadają uchwały na pozór najpomyślniejsze dla Augusta; Rzplta oświadcza się za nim, nakazuje pospolite ruszenie korony i W. Ks. Litewskiego przeciw Szwedom, aukcyą wojska, przeznaczają na to fundusze, przyzwala na ościenne alianse, a wszystkim stronnikom szwedzkim nie szczędzi piorunów. Wśród roznamiętnienia ogólnego, odważny Jeruzalski zaledwo dla Sapiehów sześciomiesięczną do powrotu na łono Rzpltej wyjednywa zwłokę. Ale prymas na sejmie śmiertelnie obrażonym został, wyrzuceni posłowie wielkopolscy krzywdę swą odnoszą do województw, ferowany na Sapiehów wyrok rozjątrza całe ich stronnictwo; korzysta z tych wszystkich żywiołów rozstroju Szwed, nie szczędzi zabiegów i pieniędzy, i zaraz po rozjechaniu się sejmujących, powstaje w Wielkopolsce pod łaską starosty pyzdrskiego Bronisza konfederacya „dla obrony, jak wyrażano się, osób dotkniętych obelgą lubelską“. Wychodzi manifest Sapiehów, i wszystko wraca do dawnego zamętu. — Po kilku miesiącach, gdy August żąda, od przydanej do jego boku rady, zatwierdzenia zawartego z carem Piotrem traktatu, odstępują go w Jaworowie dygnitarze koronni; przychodzi tylko do tajnego przyzwolenia delegatów litewskich na wyłączny trak-

tat Litwy z Moskwą! Tymczasem Karol dobywa Torunia; wypadek ten uderza umysły szlacheckie, mnożą się zaraz akcesy do konfederacyi wielkopolskiej; całe województwa przystępują do niej, nareszcie i wojsko koronne; zamienia się ona na *generalną konfederacyą* całego narodu, a prymas wzywając Radę jej do Warszawy zaleca wszystkim, aby do niej, dla dobra Rzpltej przystępowali. Pozostaje tym sposobem naprzeciw władzy królewskiej i prawomocnych uchwał lubelskiego sejmu, nowy jakoby majestat — prawdziwe jak wyrażono się *altare contra altare*. W zdobytym Toruniu Karol XII oświadczył, że od detronizacyi nie odstąpi; prymas zwołując konfederacyą do Warszawy zapowiedział, że mają być wybrani delegaci dla rokovania z najjaśniejszym królem szwedzkim, bo ten postanowił zawrzeć nareszcie traktat z Rzpltą. I odbywa się zjazd uroczysty; wśród patetycznych mów o niedoli powszechnej i o dobru Ojczyzny, wśród pochwał dla szwedzkiego króla, łaknącej pokoju szlachcie odczytują listy hrabiny Königsmark i Vitzthuma dawnych pełnomocników Augusta, komunikują jej rozmaite na całość Rzpltej godzące jego projekta. Komisarz szwedzki Arwid Horn oświadcza, że detronizacya Augusta jest pierwszym i niezbędnym warunkiem traktowania o pokój. Wśród wywołanego ogólnego oburzenia na Sasa, wśród gwałtownej żądzy pokoju, konfederacya ogłasza detronizacyą (13 lutego 1704 r.) i naród od posłuszeństwa Augustowi uwalnia. Tłumowi szlacheckiemu zdawało się, że ten akt zamknie już wszystko; że z nim rozpocznie się znowu era pokoju i upragnionego wytchnienia; — lecz była ona bardzo jeszcze daleką. Gwałty i kontrybucye szwedzkie nie ustawały, a Karol chcąc dzieła swego dokonać, domagał się nowej elekcyi. Miał on gotowego w swej myśli kandydata, Jakuba Sobieskiego, syna nieśmiertelnego Jana III, dla którego rycerski monarcha głęboką w duszy cześć nosił; królewiczowi polskiemu, bo tak go nazywano, wydał był nawet od siebie tak zwaną *assekuracyą*, zapewniającą mu wszelkie w ubieganiu się o koronę poparcie. Książę Jakub liczył wielu zwłaszcza w Wielkopolsce stronników i elekcya jego zdawała się rzeczą zupełnie prawdopodobną, niemal niezawodną. Świadomy wszystkiego August II, w chwili stanowczej dwóch braci Sobieskich porwać i pod strażą do Saksonii odwieźć kazał. Wiadomość o tém skrzyżowała plany Karola i całego stronnictwa królewiczów, ale też wywołała w narodzie oburzenie; nie jeden z wiernych dotychczas Augustowi dygnitarzy polskich opuścił go; pozostał on na chwilę odosobniony, z Sasami tylko swoimi; ale rąk nie opuścił. Na akt detronizacyi odpowiedział manifestem do narodu, uniwersały powołujące się na uchwały sejmu lubelskiego rozchodziły się z jego kancelaryi, wszyscy nieprzyjaciele Sapiehów stali po jego stronie, a nie ustające gwałty szwedzkie i trwająca na

wielu miejscach partyzantka podkopywały wziętość warszawskiej konfederacyi. Przywódcy jej oglądali się za nowym kandydatem do tronu, szukał go i Karol XII. Gdy pozostali na swobodzie brat księcia Jakuba Aleksander, żadnym sposobem do wystąpienia jako kandydat namówić się nie dał; padł nareszcie wybór króla na młodego wojewodę poznańskiego, Stanisława Leszczyńskiego, którego przy pierwszém spotkaniu bardziej nad innych upodobał. Myśląc, że po uwolnieniu Sobieskich będzie mógł księciu Jakubowi oddać koronę, którą za przynależną jemu uważał, i pod tym jedynie warunkiem, zgodził się Stanisław na przyjęcie tego ciężaru, i po długich zabiegach Szwedów, pomimo całej niechęci prymasa, który nawet na pole elekcyjne nie przybył, po wyczerpaniu wszystkich zwłok możliwych, gdy obecny między wyborcami Horn biegł pomiędzy szlachtą i wołał po łacinie: *extrudite istos qui contradicunt* (wyrzućcie tych co protestują), królem nareszcie obrany i przez biskupa Świącickiego ogłoszony został. Kulawy ten i nieszcześliwy, jak go autor nazywa, wypadek, zamyka jego 600 stronic obejmujące opowiadanie.

Zaujemy szczerze, że niepodobna nam było zatrzymać się z nim nieraz, powtórzyć jego słowami przytoczony fakt, lub rys charakterystyczny; gdybyśmy tej pokusie ulegli, łatwo ta krótka o dziele wzmianka, zmieniłaby się mogła w książkę lub bardzo przynajmniej obszerny artykuł. Czytając to szczegółowe, a z wielką trzeźwością stylu ułożone opowiadanie, czuć, że autor ziarno swych wiadomości z pełnej sypie miary, że wie daleko więcej nad to co powiedział, że na poparcie każdego niemal opowiedzianego faktu znalazłby jeszcze w pamięci swojej, nie małą liezbę podobnych, co wielką jest dzieła zaletą. Bezstronnym też jest zazwyczaj. Jakkolwiek radby coś dodatniego o swoich powiedzieć, nie waha się przecież wypisać słów następujących: „Smutna i bolesna bez wątpienia, ale nie mniej prawdziwa rzecz: w owej epoce tak nieszczęsnej i upokarzającej, a przecież tak nieczułej i obojętnej na swe nieszczęścia, przedstawia jedynie obóz szwedzki, obóz rozłożonego w kraju najeźdźnika, obraz godny wojennego obozu. Prawdziwych wojowników i rozumiejących położenie rzeczy mężów stanu“ W inném znowu miejscu, opowiadając bombardowanie Torunia, dodaje: „W smutnym owym, ponurym, pozbawionym nie mniej czynów jak charakterów czasie, stanowią ostatnie chwile obrony tego miasta pocieszającą i dodatnią stronę. Jakże bolesna, że karty jej dziejowej nie wypełniają Polacy, lecz cudzoziemcy na polskiej ziemi! Jenerałowie Röbel i Canitz, pierwszy naczelnik całej siły saskiej, drugi placomendant Torunia, dają własnymi osobami jak najlepszy przykład i. t. d.

Bardzo ciekawą stronę książki stanowią też zabiegi dyplomatyczne, rokowania, projekta podawane i przeprowadzane

przez posłów zagranicznych, a często i przez podrzędnych agentów, prawdziwych nieraz awanturników politycznych, jak Patkul, Görtz, nareszcie Krystyn Müller, autor projektu podziału Polski między Szwecyą, Brandenburgią, Augusta i cara Piotra, projektu odrzuconego przez Karola XII. w obozie pod Toruniem, ale którym się zajmowano w Berlinie i na dworze Augusta II. Szkoda że nowych tu często szczegółów nie poparł szanowny autor dokumentami które wskazał tylko; wydrukowane *in extenso* na końcu dzieła, dodałyby mu tylko powagi.

Sprzeczne sobie interesa postronnych mocarstw w Polsce ocenia też autor wybornie, a ustęp w którym opisuje walki podziemne, jakie między sobą staczały w Polsce Austria i Francya, zcharakteryzowanie u nas polityki francuzkiej, „dla której Polska i jej magnaci o tyle tylko mieli wartość o ile pierwsza była warstwą dla drudzy narzędziami dywersyjnej wojny na Węgrzech“ należy do najtrafniejszych w całym dziele. Taką była w istocie ta polityka, nie tylko wtenczas, ale jeszcze przez cały wiek następny, co teraz zaledwo przeziierać zaczynamy.

Z prawdziwą przyjemnością podnosząc liczne zalety jakie cechują poważną pracę p. Jarochońskiego, musimy z kolei wskazać to, co według nas jest dzieła jego niedostatkiem. Autor nasz przed kilkunastu latami występujący, jako bezwarunkowy prawie wielbiciel naszej rządowej XVII wieku ustawy, oświadczający, „że cokolwiek jej zarzucić można, jest przecież i pozostanie ona zawsze wielkim i szczytnym pomnikiem naszej zbiorowej dojrzałości i naszego rozumu politycznego,“ dzisiaj już wprowadzie z żadnem podobnem nie odzywa się słowem; znajdujemy owszem gdzieś, jakby mimochodem rzucone słówko o chorym i pruchniejącym organizmie Rzplitej, ale jeszcze nigdzie zdobyć się on nie mógł na rzetelne, scisle ocenienie tej naszej ustawy, a bez tego sąd o opisywanej przez niego epoce nie mógł być pełnym. Rzecz dziwna! bystry postrzegacz a skrętny dokumentów i świadectw społecznych szperacz, zebrał poważną i zdaje się aż nadto dostateczną ilość aktów do procesu, a wyroku, który prezieraając je, co chwila zdaje się cisnąć się powinien pod jego pióro, wydać nie śmiał czy nie chciał. Zawsze jeszcze ówczesna bojaźń szlachecka przed *absolutum dominium*, powstrzymuje go od sądu. Nie znajdując nie tylko żadnego żywiołu, ale nawet żadnego w tym czasie człowieka, z którymby się mógł sprzymierzyć moralnie, do którego by się przywiązał rozumem i sercem, zaliczył autor tamtą epokę do chwil spotykanych jak powiada u wszystkich narodów, w „których duch z nich jakoby uleciał, by czekając szczęśliwej możności ponownego zstąpienia, unosić się tymczasem nad nimi, jak duch Boży w epoce chaosu nad ziemskim padółem,“ i nie chciał zapytać dziejów, nie chciał nawet zapytać tych samych, przez siebie zgromadzonych materiałów, czego chaos przezeń opisywany był koniecznem nieuni-

knionem następstwem? prawdziwym wpływem i owocem. Ko-
złem ofiarnym dla niego, główną i jakby jedyną wszystkiego
złego przyczyną, jest zawsze jeszcze ten król cudzoziemiec. „Że
zgroźliwe (sic), powiada, szlachcie *dominium absolutum* nie było
czczem widmem straszącym poziomy egoizm i ubogą fantazyą
szlachecką, najlepszym dowodem: srożącą się w Polsce wojna,
postronne, wstrętne Polsce aliance, bunt kozacki na Rusi —
wszystko rezultaty usiłowań króla Augusta, wszystko klęski
i nieszczęścia, którychby rządy toczące się normalnym biegiem
choćby najkulawszych praw i ustaw Rzplitej, przenigdy nie były
sprowadziły! „Daruje szanowny autor, ale jak powyższe scharak-
teryzowanie epoki, pomimo pięknej swej formy, nie jest histo-
ryczném, tak proste twierdzenie *przenigdy* nie jest żadnym je-
szcze dowodem; wszyscy zaś niestety aż nadto dobrze wiemy
do czego nas doprowadził normalny bieg praw i ustaw Rzplitej.
Nie myślimy wcale występować w obronie wszystkich postępów
Augusta, ale trudno zaprzeczyć, że rządzić krajem bez reformy
instytucyj było niepodobna; że wszyscy najwięksi nasi elekcyjni
królowie, czuli tego potrzebę i o to się starali; a znowu, że nie
trzeba było wcale przeciw całości państwa konspirować, żeby
zawziętą wywołać opozycyą; wystarczało na to samo piastowanie
władzy. Od wybranego najlegalniej króla Michała, którego szla-
chta nazywała ulubieńcem swoim, domagano się po kilku latach
abdykacyi, a wiemy jaką goryczą zatrute były dni bohaterskiego
Jana III, który przecież był kością kości naszych, a niespożyta
sławą Ojczyznę opromienił. Normalny bieg praw i ustaw naszych
rodził koła wojskowe i niezliczone konfederacye, uniemożliwiał
wszelką rządową czynność, pogrążał kraj w zupełnej niemocy.

Autor na wymownych dwóch stronicach porównywa pierwszy
najazd szwedzki za Jana Kazimierza z drugim za Augusta; i za-
pytawszy siebie, czy w partyzanckiej wojnie jaką w 1703 i 4 r.
prowadzono gdzieś przeciw Szwedom, nie daje się po-
strzegać duch co dawniej ożywiał Czarnieckiego i obrońcę Cze-
stohowy? z boleścią odpowiada przecząco; bo niestety w ówczes-
nych usiłowaniach widzi tylko: „albo objawy fantazyi szlacheckiej,
zdolnej, jak tego najlepszym dowodem sam Śmigieński, dobyć
jutro korda przeciw Augustowi, jak go dobyła dzisiaj za Augu-
stem, albo fakt obrony domowego ogniska, krwawą burdę o za-
grożoną stajnię lub wyprzataną stodołę.“ Zupełnie słusznie —
ale nie przychodzi szanownemu autorowi na myśl, że jedną
z głównych tego przyczyn jest o lat kilkadziesiąt odległa data
dwóch najazdów; pod wpływem normalnie rozwijających się
praw i ustaw naszych, rozszerzyła się przez ten czas jeszcze
bardziej prywatnie. W kilkanaście lat po opowiadanej przez au-
tora epoce, doprowadza ten rozwój do ulegalizowania *liberum
veto*, a panowanie drugiego Sasa aż nadto wymowny do tego
dostarcza komentarz.

Szanowny autor tym którzy potępiają nieubłaganą opozycją szlachty przeciw Augustowi II w pierwszej połowie XVIII wieku, przypisuje „aposteryoryczny zapal dla monarchii absolutnej.“ Trudno przypuścić aby który z historyków współczesnych mógł zachwalać rządy nieograniczone, i w ich obronie występować — a trzeba też pamiętać, że szlachta pod *absolutum dominium* rozumiała wszelkie, najmniejsze nawet ograniczenie swojej samowoli, i nie dopuszczała zaprowadzenia żadnej rządowości. Reformatorowie w Polsce w XVIII wieku nie chcieli rządów absolutnych — chcieli naprawy Rzplitej — chcieli rządu, i mieli słuszość.

Przyszliśmy już dzisiaj do przekonania, że potrzebujemy wiedzieć całą prawdę o naszej przeszłości, abyśmy skutecznie na przyszłość pracować mogli; wydanie ścisłego, surowego sądu o instytucjach naszych, jak się w ostatnich dwóch wiekach niepodległego bytu wykształciły, czy też przekształciły, jest najpierwszym tej pożądanej wiedzy warunkiem. W słońcu tych instytucyj, dojrzewały wady naszego charakteru narodowego, pleśniły się i rozmnażały, i kiedy już instytucyj nie stało, trwają jeszcze w uosobieniach naszych, trują nieraz obecność i budowę przyszłości oddalają. Obowiązkiem dziejopisarzy jest więc wskazać źródło zła wszelkiego, bo takim tylko sądem uzbrojona historia staje się czem być powinna, *mistrzynią życia*. Sąd surowy wydany na instytucje, złagodzi tem samem i sprawiedliwszym uczyni sąd indywiduów i całych nawet pokoleń. „Prawda że Polacy chcą pokoju, pisał cytowany przez naszego autora poseł duński Meuschen, lecz każdy z nich ma swe osobne widoki, którym dobro publiczne musi ustępować, choćby nawet ze zgubą całego królestwa,“ a opowiedziane przez naszego historyka dzieje, co chwila prawie potwierdzają prawdę tego postrzeżenia. Mając przytomne w umyśle, że szlachcie polski od kolebki słysząc że jest kandydatem do korony, rósł w tém przekonaniu, że królowi nie więcej prócz tytułu na pozwie nie winien, że wszystko się jemu od Rzplitej a jej nie od niego nie należy, że uprawniony jest do wszystkiego się mieszać i o wszystkim stanowić, a prawie zawsze może być pewnym bezkarności, mniej dziwić się będziemy, że się w nim wysokie o sobie wyrodziło wyobrażenie, że interes jego własny i interes jego bliskich stał mu się najpierwszym na świecie, i potępiając instytucje, mniej surowi będziemy dla samych pokoleń. Myślimy, że gdyby szanowny nasz autor raz zdobył się na stanowcze potępienie tych instytucyj wadliwych, które w młodości na chwilę był zachwycony, i gdyby gruntownem nad niemi studyum sąd swój historyczny zaostrzył, podniósłby niezmiernie wartość swojej poważnej i pełnej zalet pracy, i nadał jej prawdziwą doniosłość, samemu zaś sobie i czytelnikom nie jedną rzecz daleko lepiej jeszcze rozświecił.

Pozwalamy sobie mieć nadzieję, że dalsze tomy dziejów Augusta II zbyt długo czekać na siebie nie każą. Kto miał wytrwałość przez tyle czasu szperać po archiwach w Kopenhadze, Stokholmie i Dreźnie, ten pewno studów swoich do dwóch lat nie ograniczył, i musiał obszerne nagromadzić materyały; kto tak przygotowany wziął się nareszcie do pióra, ten już i dalszą epokę znać musi, i chodzi mu tylko o ułożenie tego co w myśli zapewne dojrzało. W interesie historycznego piśmiennictwa naszego, życzymy serdecznie aby tak było, i abyśmy co najprędzej szanownemu autorowi za dalsze tomy dziękować mogli, jak za ten dzisiaj dziękujemy.

Język szanownego autora czysty, jedrny, miejscami ozdobny i silny. Spotkaliśmy jednak kilka wyrażen które nas zdziwiły; przytaczamy z nich niektóre: np. niema potrzeby grzeszyć trywialnością, *rozpominając* szczegóły z życia Karola XII albo: zgroźliwe dominium absolutum, pospolita bezmyśl, rozczar, wygledująca szlachta i t. p.

Bronisław Zaleski.

Ks. H. E. Manning, Arcybiskup Westminsterski. *Cezaryzm a Katolicyzm* przełożył Wł. M. Kraków, nakł. Wydawnictwa dzieł katolickich Dra Władysława Miłkowskiego. 1874. Cena 50 cent.

Mała ta książeczka zaledwie 50 str. licząca, waży więcej niż niejeden gruby tom w obronie chrześcijaństwa dziś w obiegu puszczony. Ale bo też, gdy walka już idzie na ostro, prawie ramie do ramienia, nie czas wysłać zaciężne działa; centnarowe ich pociski mijają przez elewacyą, zwarte a bliskie szeregi i padają gdzieś daleko poza nimi; znajdują je potem z podziwem późniejsze pokolenia. W takiej chwili więcej znaczy jeden centrowny strzał karabinowy, w samą pierś nieprzyjacielskiego wodza wymierzony; a takim wartkim strzałem, rozmyślnym i pewnym, w samo serce nieprzyjaciela godzącym, jest właśnie ta książeczka Westminsterskiego biskupa. Nazywa on najprzód nieprzyjaciela po imieniu, i to po jego wieczystem imieniu, które od 2000 lat już blisko nosi, różne larwy na siebie przyjmując; demaskuje go nam Autor w kilku stanowczych epokach dziejowych, okazując jasno jakim był kiedyś a jakim jest dzisiaj, czém się jego postacie różnią a w czém nakrywają. — „W jednym rozumieniu“, mówi Manning na wstępie, „walka kościoła ze światem jest zawsze jedna i ta sama. Nieprzyjaźń świata jest jedna, niemniej jednak formy tej nieprzyjaźni są bezustanne a zawsze zmienne. Z pewnego punktu widzenia rzeczy, wojna przeciwko kościołowi jest zawsze jedna i ta sama. Używa się w niej tej samej broni, lecz środki i cele

tych, którzy się nią posługują zmieniają się; bronią tą była, jest i będzie zawsze władza świecka. W pierwszych trzech wiekach żydzi i sekty heretyckie podsycali podejrzenia, obawy i nienawiść cesarstwa rzymskiego, przeciw kościołowi, w wiekach średnich pycha lub despotyzm książąt chrześcijańskich, posługiwały się władzą świecką przeciw niemu. Nakoniec przez ostatnich lat trzysta a mianowicie w naszym wieku, świat oddalając się od chrześcijaństwa, uciekł się do wojny celem zgnębienia kościoła za pomocą państwa; słowem antagonistą kościoła był zawsze *cezaryzm*, czyli przewaga pierwiastku świeckiego nad duchownym. Cezaryzm w istocie swojej jestto panowanie bezwzględne człowieka nad człowiekiem, władza życia i śmierci, panująca w najwyższej instancji nad wolnością i majątkiem, rozciągająca się na całe życie człowieka, polityczne i religijne, społeczne i domowe. *Cezaryzm* więc i bojaźń Cezara, która kazała Piłatowi zezwolić na ukrzyżowanie Chrystusa, jest i odtąd zawsze głównym wrogiem kościoła, jest wodzem jego nieprzyjaciół tu na ziemi. A jak dalece i niektóre akcesorya walki się niezmieniły od pierwszych jej początków, widzimy z tego, że i dziś jak w pierwszych trzech wiekach, *żydzi i sekty* podsycają podejrzenia obawy i nienawiść nowożytnych Cezarów przeciw kościołowi.

Są jednak i wielkie różnice w tej walce ówczesnej a dzisiejszej; i na te autor głównie zwraca swą uwagę, żeby je ile możności jak najwyraźniej uwydatnić, z całą matematyczną niemal ścisłością porównawczej metody, i formułuje ostatnie wnioski i definicje z katechizmową zwięzłością, jednością i precyzją. Ktokolwiek w dzisiejszym sporze państwa z kościołem, czuje w sobie jeszcze jakie wątpliwości. mianowicie w kwestjach subtelniejszej natury, większego wysiłku myśli wymagających, temu książeczka Manninga bardzo pomódz może do dyalektycznego i praktycznego w umyśle swoim rozgraniczenia walczących obozów; gdyż nie tylko, że swoją treścią działa i porządkuje pojęcia, ale pobudza zarazem i zagrzewa do dalszych samodzielnych już wniosków. W ciasnych ramach tej broszury mieszczą się perspektywy na dalekie horyzonty, dla każdego co umie choć trochę czytać między linjami.

Tłumaczenie samo, czasem nie koniecznie dobrze jedność i zwięzłość angielskiego oryginału oddaje, zawsze jednak bardzo wdzięczni być możemy panu Wł. Miłkowskiemu za spolszczenie tej ze wszech miar w dzisiejszych czasach godnej uwagi publikacji. Już to w ogóle wydawnictwo pana Miłowskiego odznacza się doborem rzeczy najlepszego ducha, nauczających a treściwych i przystępnych każdemu.

Ign. Skrochowski.

Kronika bibliograficzna.

(*Ciąg dalszy*).

I. TEOLOGIA I PISMA RELIGIJNE.

Krechowiecki ks. A. Nauki niedzielne. Skład apostołski, według ewangelii i Ojców Kościoła. Część I. Lwów. nakł. Autora, 1874. str. 411, 8vo, cena. 2 złr.

Ligury ks. Alfons. I. Moc Męki Zbawiciela ku rozpaleniu serc wiernych.

II. Słodkie rozmyślanie pod krzyżem duszy miłującej Boga. Tłum. ks. Deloni. Poznań. nakł. Daszkiewicz Tytus. r. 1874, str. 23, 16mo, cena 3 sgr.

Majcherski ks. M. Katechizm do zrozumienia dla dzieci wiejskich sposobiących się do pierwszej spowiedzi i Komunii św. Warszawa, 1874, str. 116, 16mo. cena 10 kop.

Mszał Rzymski. dla użytku wiernych, obejmujący całoroczne nabożeństwo poranne. przekład z łacińskiego. Wydanie dla mężczyzn i dla kobiet. Kraków, druk. L. Paszkowskiego, 1874, str. 1388 12mo, cena 4 złr.

Nabożeństwo, do Najśw. Serca Jezusa i do Najdroższej krwi Jego. Wrocław, 1874, str. 108. 8vo, cena 4 srg.

Nabożeństwo do Najśw. Panny Maryi nieustającej pomocy. Wrocław, 1874, str. 80, cena 3 srg.

Ofiarzyk żałobny. Zbior nabożeństwa za umarłych na dni powszednie i uroczyste oraz wszelkie obchody żałobne. Warszawa 1874. str. 300, 32a, cena 4 złr.

Rusbrok przedziwny. Tłum. X. W. P. Lwów nakładem tłumacza, 1874, str. 305, 32. cena 1 złr.

Segur ks., Jezus Chrystus. Kilka uwag nad osobą, życiem i tajemnicą Chrystusa podług 16go wyd. franc. Kraków, nakł. Dr. Wł. Miłkowskiego, 1874, str. 225 8vo, cena 1 złr.

Serdeczne modły, czyli Nabożeństwo dla prawowiernych katolików. Wrocław 1874, str. 330, 8vo, cena 10 sgr.

Skarby niebieskie, czyli książka do nabożeństwa dla wszystkich katolików wydał F. R. Wrocław. nakł. Adertolza, 1874, str. 352 16mo. cena 15 sgr.

Ulanecki ks. Stanisław. Miesiąc Czerwiec poświęcony czci najśłodszego serca Pana Jezusa, wydanie szóste poprawne, Warszawa nakł. Langie, 1874, str. 357, 2 tabl., 8vo, cena 50 kop.

Wichert ks. Michał Ignacy. Nauki katechizmowe na trzy części podzielone. Pelplin nakł. Roman. 1874, 8vo str. 640, cena 3 tal.

Wliczek J. ks. Rocznik drugi kazań niedzielnych na cały rok. Kraków, 1874, str. 317 8vo.

Wł. M. Wierzyć? czy nie wierzyć? Kraków, nakładem Dr. Wł. Miłkowskiego, 1874, str. 38, 16a, cena 10 cent.

Wykład godzinek o Niepokalanem Pocz. Najśw. P. Maryi. Wrocław, nakładem Goerlicha, 1874, str. 351, 16a, 1 rycina, cena 12 sgr.

II. HISTORIA I UMIEJĘTNOŚCI POMOCNICZE.

Kunasiewicz Stanisław, Przechadzki archeologiczne po Lwowie. Lwów, druk. Zakładu Ossolińskich, 1874, str. 54, 8vo, cena 1 złr.

Kunasiewicz, Zajęcie Rusi, Utrata tejże i ponowne przyłączenie do Polski. Ustęp z Przechadzek Archeologicznych po Lwowie. Lwów, Druk. Związkowa, 1874, str. 22, 8vo cena 50 kr.

Kraszewski J. I. Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799. Studya do historyi ducha i obyczaju T. II od r. 1788—1791. Poznań, Żupański druk. I. J. Kraszewski 1874. str. 447, 8vo, cena 3 tal. 10 sgr.

Kruczkiewicz Dr. Bronisław. Rozprawa o cenzurze Appijusza Klaudyusza Ślepego (r. 312—308 przed Chr.) Oparta na materyale czerpanym ze źródeł rzymskich i greckich. Kraków, nakładem autora, r. 1874, str. 71, 8vo, cena 50 kr.

Lubbock Joh. Początki cywilizacyi. Stan pierwotny człowieka i obyczaje dzikich społeczeństw. Tłum. z francuzkiego drugiego wydania przez B. i Z. Warszawa 1874 r.. 3 tomy razem 16a cena 1 rubel.

Maciejowski W. A. Historia włościan i stosunków politycznych społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych, aż do drugiej połowy XIX w. Warszawa 1874, str. 409, 8vo, cena 2 rsr.

Pawiński. Serbia. Zarys historyczno-etnograficzny. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1874, str. 119, 8vo, cena 6 złp.

Siennicki Stanisław. Les elzevires de la bibliothèque de l'Université impériale de Varsovie. Warszawa, druk. Wieku, 1874, str. 221, 8vo, 21 tablic, cena 16 złp.

Szymański, Statystyka ludności polskiej pod zaborem Pruskim. Poznań. Nakł. Leitgeber. 1874. str. 26, 8vo, cena 7½ sgr.

Walewski Cyprian. Marcin Kromer, Warszawa. Nakł. autora. 1874, str. 221; 100, cena 12 złp.

Wdowiszewski W. J. Kobieta w historii sztuki. Poznań. Nakł. Tyg. Wielk. 1874, str. 107, cena 6 złp.

Wołyński Artur. Kopernik w Italii czyli dokumenta italskie do monografii o Koperniku. Poznań. nakł. Tyg. Wielk. 1874. Część II. str. od 291—400, 8vo, cena 6 złp.

Zbrożek Piotr. Historia o ucisku Kościoła grecko-katolickiego przez Moskali w dyecezyi Chełmskiej. Lwów. Nakład Młocki Alfred. 1874. Str. 43, 16mo, cena 8 kr.

Znliński Dr. Nasi uczeni. Lwów, 1874. Nakł. Gazety Nar., str. 95, 16mo. Cena 80 kr.

Żałęski X. Czy Jezuiti zgubili Polskę. Wydanie drugie poprawne. Lwów. Nakł. autora 1874. str. 493, 8vo, cena 3 zhr.

Żałęski X. Historia zniesienia zakonu Jezuitów w Polsce i zachowania go na Białorusi. Lwów. Nakł. autora. 1874. str. 390, cena 3 zhr.

III. PRAWO, PISMA I BROSZURY POLITYCZNE.

Kwestya społeczna zjednoczenia. Rzecz ofiarowana Towarzystwu przyjaciół pokoju. Lwów. Druk. Dziennika Polskiego. 1874. 8vo str. 52. Cena 50 kr.

Limanowski Bolesław. Dwaj znakomici komuniści: Tomasz Morus i Tomasz Campanella i ich systematy: Utopja i państwo Słoneczne (studjum socyologiczne). Lwów. Nakład. Gubrynowicz i Schmidt. 1874, str. 175, 8vo. Cena 1 zhr. 50 kr.

Piętak Dr. Leonard. O towarzystwach zarobkowych i gospodarczych według ustawy z dnia 9 kwietnia 1873 z uwzględnieniem odnośnych ustaw w Niemczech obowiązujących. Wykład systematyczny. Lwów. Nakł. autora. 1874, str. 235 8vo. Cena 2 zhr.

Prawa i obowiązki sędziów przysięgłych w Austrii w sposób przystępny wyłożone z dołączeniem najważniejszych przepisów nowego postępowania karnego, tyczących się ławy

przysięgiych. Zestawił A. U. Lwów. Nakł. Richter. 1874, str. 112, 16mo. Cena 60 kr.

Prądyński Edward. Kobieta i wymiar kary w społeczeństwie. Prelekcyja publiczna w Warszawie 1874. Nakładca Glücksberg. 8vo, str. 63. Cena 2 złp.

Till Dr. Ernest. Ustawa z dnia 20 marca 1874 względem założenia i wewnętrznego urządzenia ksiąg hipotecznych (gruntowych) dla królestwa Galicyi i Lodomeryi etc. Lwów. Nakł. Seyfarth, Czaykowski. 1874. 16o, str. 191. Cena 80 kr.

IV. FILOZOFIA I KRYTYKA.

Lemeke Karol Dr. Estetyka podług czwartego wydania oryginału niemieckiego tłom. Zawadzki. Lwów. Nakł. Gubrynowicz i Schmidt. 1874. T. I 217 str., T. II 307 str., 8vo. Cena 6 złr.

Pawlicki S. Dr. Mózg i dusza. Wyd. drugie poprawne i powiększone. Kraków. Nakł. Wł. Miłkowskiego. 1874. 16mo. Cena 50 kr.

Wundt W. Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej. Zasady psychologii. Tłomaczył Masłowski. Kraków. 1874. T. I str. 557.

V. PEDAGOGIA I SZKOLNICTWO.

Falkiewicz Lucyan. O poznawaniu temperamentów dzieci w zastosowaniu do wychowania, dla rodziców, opiekunów, wychowawców i nauczycieli szkół ludowych. Kraków, nakł. A. Nowolecki, 1874 str. 129, 8vo. Cena 1 złr.

Gerstäcker Fryderyk. Mały poszukiwacz złota w Kalifornii. Opowiadanie dla młodzieży. Przekład z niemieckiego Stan. Miłkowskiego. Warszawa, nakł. Sennewald, 1874, str. 328, rycin 6, 8vo. Cena 8 złp.

Gregorowicz J. K. Pierwsza książeczka na gwiazdkę dla dzieci wiejskich i miejskich. Warszawa, nakł. Red. Przyj. Dzieci, 1874, str. 134, 16mo. Cena 2½ złp.

Jawurek Józef. Seminarium Sądeckie a c. k. inspektor szkolny St. Olszewski. Kraków, nakł. autora, 1874, str. 112, 8vo, cena 1 złr.

Jerzykiewicz Bolesław. Botanika dla niższych i średnich klas gimnazyalnych i realnych. Poznań, nakł. Żupański, 1874, str. 228, 8vo. Cena 1 talar.

Jeske August. Geografia. Kurs I dla dzieci od lat 9—12, Warszawa, nakł. aut. Stan. w Lublinie, 1874, str. 132, figur w tekście 12, 8vo. Cena 3 złp.

Kawczyński Max. Listy pedagogiczne z wystawy powszechnej wiedeńskiej. Lwów nakł. Tow. pedagog. 1874. Zeszyt I str. 55, 8vo. Cena 50 kr.

Kuczyńska Joanna. Myśli o edukacji kobiet. Warszawa druk. Gaz. Lekarska. 1874, str. 64, 8vo. Cena 2 złp. 20 gr.

Kudasiewicz Adolf. Kurs początkowy nauki języka polskiego. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff. 1874, str. 115, 16mo. Cena 3 złp.

Leja Emilja. Fantazja i Prawda. Kilka nowych powieści poświęconych dla młodocianego wieku. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff. 1874, str. 167, 12mo, Cena 6 złp. 20 gr.

Mace Jan. Powiastki dla małych czytelników. Tłom. Chęciński J. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff. 1874, str. 256, 8vo. Cena 6 złp. 20 gr.

Nowakowski Franciszek Dr. Jak niemieccy pedagogowie polecają przygotowywać dzieci do nauki pisania i czytania. Lwów. Nakł. Towarz. Pedagogiczne. 1874, str. 73, 8vo. Cena 50 kr.

Rymarkiewicz Jan. Wzory Prozy (stopień III) według rodzajów i kształtów chronologicznie z literatury zebrane. — Dodatek zawiera historję poezji w okazach. Poznań. Nakł. Żupański. 1874, str. 562. Dodatek str. 191, 8vo. Cena 2 tal.

Rys urzędzeń państwowych w Polsce, dla uczni gimnazjów. Pelpin. Nakł. Roman. 1874, str. 96, 32do. Cena 4 sgr.

Sto powiastek dla dzieci. Tłom. J. Chęciński. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff. 1874. str. 176, 12mo, z rycinami. Cena 6 złp.

Serwatowski X. Walery. Jak Mama maleńkiego Jasia religii uczyła. Kraków. Nakł. Nowolecki. 1874, str. 23, 12mo. Cena 25 kr.

Starkel Romuald. Dział szkolny na wystawie powszechnej we Wiedniu w 1873 r. Lwów. Nakł. Rogosz. 1874, str. 76, 8vo. Cena 40 kr.

Starkel Romuald. Zaci ludzie. Książka do czytania dla młodzieży. Lwów. Nakład. Karol Wild. 1874, str. 470, 8vo. Cena 1 złr. 60 kr.

Wychowanie domowe. T. I zawiera: Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinnno. Warszawa. Nakł. Red. Opiek. Dom. 1874. Tom I str. 143, 8vo. Cena 25 tomów 15 złr.

Zuliński Dr. O znaczeniu astronomii w wychowaniu i jej nauczaniu. Lwów. Nakł. Tow. Pedag. 1874, str. 54, 8vo. Cena 90 kr.

VI. MEDYCyna, UMIEJĘTNOŚCI PRZYRODNICZE I ŚCISŁE.

Łuczkiwicz H. Dr. Choroby narządu krążenia krwi (Patologia i Terapia Szczegółowa) Warszawa. Red. Gaz. Lek. 1874. 8vo, str. 248. Cena 13 złp. 10 gr.

Łuczkiwicz, Patologia Ogólna. Przekład dzieła: *Uhle u. Wagner* Handbuch der allg. Pathologie, 5te Verm. Aufl. 1872 i Fr. Hartmann, Handbuch der allg. Pathologie für Aerzte u. Studierende, 2te Aufl. 1871, Warszawa. Nakł. Gaz. Lekarska, 1874. 8vo, str. 946. Cena 48 złp.

Naturalista mały, czyli sposoby zapoznawania się z naturą, streszczenie z niem. przez R. B. 1874. str. 135. Cena 1 rsr.

Oczapowski, Dr. J. B. Wpływ klimatu na państwo. Kraków. Nakł. Autora 1874. 8vo, str. 88 Cena 1 zhr.

Oppenheimer Dr. L. Wpływ klimatu na człowieka. Warszawa. Nakł. Spółki Wyd. 1874. 8vo, str. 32. Cena 1 złp.

Schoedler Dr. Fryderyk. Astronomia, tłumaczył Wermiński Feliks. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff 1874. 8vo 73 figur, str. 110. Cena 4 złp.

Schoedler Dr. Fryderyk. Botanika, tłumaczył Dr. Feliks Berdan. Warszawa. Nakł. Gebethner i Wolff, 1874. 8vo 229 drzeworytów, str. 256. Cena 6 złp. 20 gr.

Schorlemer Karol. Wykład Chemii organicznej czyli Chemii związków węgla. Przekład polski dokonany pod redakcją Dra Erazma Langerera, przez Józ. Boguskiego i Bronisława Znatowicza. Warszawa. Gebethner i Wolff 1874. 8vo, str. 618. Cena 20 złp.

Ślendziński A. J. Poradnik dla urządzających zbiory przyrodnicze. Kraków. Nakł. W. Kornecki, 1874. 16mo, 9 ry-cin, str. 99. Cena 40 kr.

Tyndall Jan. Woda i jej kształty i przeobrażenia jako obłoki, rzeki, lód i lodniki. Warszawa. Nakł. Spółka Wyd. 1874. 8vo 26 drzeworytów, str. 210. Cena 6 złp.

Wajgel Leopold. Pajęczaki galicyjskie. Kołomyja. Nakł. autora 1874. 8vo, str. 36. Cena 32 kr.

Zieliński Wł. Krótki rys higienii zębów. Warszawa. Nakł. Red. Opiek. Dom. 1874. 16mo, str. 54. Cena 1 złp.

VII. AGRONOMIA I UMIEJĘTNOŚCI TECHNICZNO-PRZEMYSŁOWE.

Kohn Albin. Fabrykacya krochmalu w gospodarstwie wiejskiem. Lwów 1874.

Księga wynalazków, przemysłu i rękodzieł. Historyczny rozwój ludzkości i środki oświaty. Warszawa. Nakł. M.

Glücksberg 1874. T. I 8vo, str. 520, 110 rycin w tekście. Cena 13 złp. 10 gr.

Nabielak R. Kilka słów o sposobach podniesienia dochodów z pasiek. Lwów 1874. 8vo.

Jelinek, Reforma Sadownictwa, czyli nowy sposób uszlachetniania i chodowania drzew owocowych. Warszawa. Nakł. Kuczalski 1874. 8vo, str. 109. Cena 3 złp.

Rudnicki Tomasz. Obliczenie i odtyczenie łuków dla dróg kolei żelaznych. Kraków. Nakł. Czytelnia Techników 1874. 16mo z 4 tabl., str. 147. Cena 1 złr. 25 kr.

Settegast H Nauka żywienia domowych zwierząt gospodarskich, tłum. z niem. L. Boguski. Warszawa. Spółka Wyd. 1874. 16mo, str. 374. Cena 10 złp.

Słółko o myślistwie. Broszura 1sza i 2ga. Brody. 1874. 8vo, str. 24. Cena 50 centów.

Stefan z Bronowa. Opis niektórych wzorowych gospodarstw Flandryi. Poznań. Red. Ziemianina, 1874. 8vo, str. 102. Cena 15 sgr.

Strzelecki Henryk. Gospodarstwo lasowe Cz. I. Użytkowanie lasów. Wykład na kursie leśniczym. Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1874. 8vo, str. 199. Cena 1 złr. 70 kr.

Witalisa i Zofia. O pielęgnowaniu kwiatów w pokojach, na balkonach i oknach. Lwów. Nakł. Maniecki 1874. 16mo, str. 62. Cena 40 kr.

VIII. DZIAŁ LITERACKI.

Komorowski Br Próba ognia. Komedya współczesna w 5 aktach. Lwów. Nakładem Księgarni polsk. 1874. 16mo, str. 134.

Lam Jan. Kroniki lwowskie umieszczane w *Gazecie Narodowej* w roku 1868—1869, jako przyczynek do historii Galicyi. Lwów. Nakładem A. J. O. Rogosza. 1874. 3 tomy, 8vo. Cena 9 złr.

Lubowski Edward. Na pochyłości. Powieść. Warszawa. Nakł. Red. *Wieku*. 1874. T. I str. 245, t. II str. 379. 8vo. Cena 13 złp. 10 gr.

Lutnia. Piosennik polski, zbiór trzeci. Lipsk. Nakładem Brockhousa. 1874. 8vo, str. 349. Cena 1 talar.

Łaczyński hr. Henryk. Renegat Dramat w 5 aktach. (Biblioteka teatralna lwowska, z. XIV). Lwów. Nakł. Zelm. Igel. 1874. 12mo, str. 87. Cena 40 centów.

Łoziński Władysław. Opowiadania JMCi P. Wita Narwoja, rotmistrza konnej gwardyi koronnej, A. D. 1760—1767.

Lwów. Nakł. Sayfarta i Czajkowskiego. 1874. 8vo, str. 313. Cena 1 zhr. 8 c.

Meller Zofia. Grochowe wianki. Opowiadanie Warszawa. Nakładem *Opiekuna Domow.* 1874 r. 16mo, str. 194. Cena 3 zł. pol.

Morsztyn Andrzej. Niewydane poezye. Objął wstępem i uwagami Wł. Seredyński. Kraków. Druk. Uniw. Jagiel. 1874. 8vo, str. 144. Cena 1 zhr. 20 c.

Mörs Julian z Poradowa. Przeor Paulinów. Dramat historyczny z XVII wieku. Lwów. Nakł. Gubrynowicza i Schmidta. 1874. 8vo, str. 144. Cena 1 zhr. 40 c.

Nehemar K. Wspomnienia z młodości od 1830—50 r. Tomów 2. Lwów. Nakł. Autora. 1874. 8vo, t. I str. 212, t. II str. 218. Cena 2 tomów 2 zhr.

Olejowski Kazimierz. Teresa. Powieść tegoczesna. Lwów. Nakład. Sayfarta i Czajkowskiego. 1874. 8vo, t. I str. 245, t. II str. 234. Cena 2 zhr. 50 c.

Odyniec A. E. Tłumaczenia: T. I. Dziewica z Jeziora. T. II. Pieśń ostatniego Minstrela, ballady i baśnie. T. III. Korsarz, Niebo i Ziemia, Narzeczona z Abydos. T. IV. Czciiciel ognia, Peri i Raj, Dziewica Orleańska. Warszawa. 1874. 12mo, Cena 3 rsr.

Ordon W. Fiołki, Nowella. Lwów. 1874 16mo, str. 96. Cena 60 c.

Raniecki Emil. Barbara. Tragedya w 4 aktach. Lwów. Nakł. Autora. 1874. 8vo, str. 161. Cena 1 zhr. 20 c.

Rapsod narodowy, czyli głosy przeszłości do przyszłości. Wiersz rapsodyczno-historyczny z niektórych epizodów dziejowego poematu nieśmiertelnej sławy Polski, w dwóch częściach przez K. C. Poznań 1874. 8vo. Cz. I str. 200, cz. II str. 207. Cena 2 tal.

Verne Juliusz. Podróż do środka ziemi. Warszawa. Nakł. Sikorskiego. 1874. 8vo, str. 352. Cena 5 złp.

Wierzbicki. Gadanía Polaków. Zürich. 1874. 8vo, str. 10. Cena 10 sgr.

Wilkońska Paulina. Powołanie. Powieść. Dwa tomy w jednym. Lwów. Nakł. Wyd. Pow. i Rom. 1874. 8vo, str. 388. Cena 2 zhr. 40 c.

Wojciechowski K. Wawrzyniec Kaszubski, czyli Kto z Bogiem, Bóg z nim. Poznań. Nakł. X. Bażyńskiego. 1874. 8vo, str. 67. Cena 5 sgr.

Zacharyasiewicz Jan. Szczęście kobiece. Powieść. Lwów. Nakł. Richtera. 1874. 8vo, str. 294. Cena 2 zhr. 20 c.

Zbigniew. Rocznicą. Powieść T. Iszy. Warszawa. 1874. Cena 1 rsr.

IX. LINGWISTYKA.

Łazarewicz. Słownik do Homera Iliady i przypisywanej mu Batrachomomachii. Poznań. Nakł Merzbacha 1874. 8vo, str. 366. Cena 2 tal.

Nauka języka angielskiego, według metody Robertsona. Kraków 1874. 8vo, str. 363.

Sławiński Fabian. O głosce i literze *l* wobec zasad pisowni. Warszawa. Red. Kron. Rodzinnej. 1874. 8vo, str. 31. Cena 15 c.

Sprawy ekonomiczne.

W połowie b. m. weszło w życie w mieście naszym „*Towarzystwo wzajemnego kredytu*“ zarejestrowane stowarzyszenie z ograniczoną odpowiedzialnością, dzięki inicjatywie i skutecznym usiłowaniom Dyrekcyi i Rady Nadzorczej Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, które nie po raz pierwszy dają dowód głębokiej znajomości potrzeb i interesów krajowych stając na czele instytucyi, dzisiaj już bardzo kwitnących i dla dobra licznego zastępu mieszkańców nader pożytecznych. Z łona tego towarzystwa wyszła krakowska kasa oszczędności i towarzystwo zaliczkowe, które, bez wątpienia, należą dzisiaj do najpiękniej u nas rozwiniętych zakładów. Spodziewać się można, że równie świetna exystencya przygotowana i dla świeżo powstałego „Towarzystwa wzajemnego kredytu.“

Głównym zadaniem i celem tej nowej instytucyi jest udzielanie kredytu osobistego członkom swoim, przez eskontowanie wexli wystawionych na przeciąg 90 dni i opatrzonych, oprócz podpisu biorącego pożyczkę, jednym jeszcze podpisem „przez Dyrekcyę za dostateczny uznany.“ A więc zasada działania podobna do dobrze za granicą i u nas znanych instytucyi zaliczkowych. Zakres jego ograniczony do członków Tow. Wzajemnych Ubezpieczeń, robi go instytucją, przeważnie dla interesów wyższego rolnictwa celem dostarczania rolnikom „potrzebnych im kapitałów obrotowych.“ Z tej przyczyny zasługuje na najwyższe w całym kraju uznanie, przedewszystkiem ze względów ekonomicznych; ułatwiając obywatelowi w tak często powtarzającym się wypadku, poszukiwanie pożyczki na krótki przeciąg czasu, i chroniąc go od niebezpiecznych stosunków ze zastępami tych indywiduów i tych zakładów, których zadaniem i jedynym celem ustawiczny, obrót kapitału nie połączony z pracą produkcyjną.

Coraz większe wzmaganie się i liczby podobnych instytucyj, z różnorodnemi siłami kapitału i dla różnych stanów zakładanych, nie może jak tylko dobrze i dodatnio wpłynąć na uregulowanie stopy procentowej w naszym kraju, gdzie o pewnej stałej normie w tym względzie trudno dotychczas jest mówić. Cena kredytu osobistego zależy u nas może więcej od pewnych stosunków miejscowych okolicy, w której się kapitalista znajduje

i od położenia osobistego i majątkowego potrzebującego kredytu, aniżeli od prawdziwego interesu ekonomicznego. Bardzo często położenie kapitalisty względem mniejszego lub większego posiadacza wiejskiego, albo przemysłowca, jest rodzajem monopolu, że tak powiem, rodzajem nawet kapitału, który mu nader wysoki dochód przynosi i świadczy tylko o opłakanem położeniu społecznem i politycznem naszego kraju. Przez coraz większe wzmaganie się liczby tego rodzaju instytucyi finansowych, na rozmaitą skalę i dla rozmaitych stanów urządzanych zyskuje pracowity producent coraz większą pobudkę do oszczędności przez zachętę, którą mu daje zakład, z którego w danym razie może zaczerpnąć pewną i taną pomoc kredytową. Z drugiej strony w zastępie oglądających się za kredytem drogim i lichwiarskim pozostać już muszą tylko żywioty nie dające żadnej pewnej gwarancyi, wskutek czego do lichwiarskich interesów może ubyc ohoty, i zastęp lichwiarskich spekulantów się zmniejszy.

Towarzystwo wzajemnego kredytu, oprócz dywidendy płaconej za udziały, obiecuje także kwotom złożonym „na bieżący rachunek“ odpowiedni procent. Jest przeto nadzwyczajnie pewnem miejscem lokacyjnem dla większych i mniejszych kapitałów, — tak, iż pieniądze potrzebne w przedsiębiorstwie gospodarskiem na bieżące wydatki, a które się nie zaraz mogą rozejść, znajdują w tej instytucyi wyborne i bardzo korzystne chwilowe umieszczenie nietylko z powodu procentu, któregooby inaczej nie przynosiły, ale także dla ochrony, którą w nich znajdują przeciwko tak częstym u nas wypadkom ognia lub kradzieży.

Z tego powodu możemy śmiało powiedzieć, że świeża ta instytucya jest prawdziwem nowem towarzystwem ubezpieczeń dla naszego obywatelstwa od różnorodnych plag społecznych trapiących nasz kraj, bo daje ona broń przeciwko ogólnie znienawidzonej klasie przemysłowców lichwiarskich, a po części i przeciwko zgubnym skutkom braku energii organów naszych władz, co więcej, jest instytucją nie wymagającą żadnej prawie zapłaty za ubezpieczenie jednej części majątku obywatela i owszem przeczność i roztropność znajduje w niej dobre wynagrodzenie.

A więc pomysł i inicjatywa zawiązania tego towarzystwa, jest nietylko płodem prawdziwie obywatelskiego ducha, ale zarazem i myślą wysoko polityczną, bo zyskujemy w kraju nową potężną siłę ekonomiczną, nową tarczę przeciwko złemu, które nas niszczy pod każdym względem. Dlatego z przyjemnością zapisujemy fakt powstania nowego tego oddziału w dobrze zasłużonej krajowi instytucyi, witamy go z silnem przekonaniem, iż będzie miał najzupełniejsze powodzenie i zyska powszechnie u naszego społeczeństwa uznanie.

Fr. Starowieyski.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 sierpnia.

Jest pewna rażąca sprzeczność między naszym teoretycznym zapalem do samorządu i autonomij, a rzeczywistą dla nich miłością, okazującą się w czynach, tak w codziennem życiu, jak i w ważniejszych zdarzeniach. Umiemy stawiać, a raczej miłujemy się w programach autonomicznych i w projektach samorządowych, lecz gdyby przyszło nam z ręką na sercu wyznać szczerą prawdę, to nie wątpliwie przyznalibyśmy się nieraz, że automia z wszystkimi swojemi powabami mało ma dla nas uroku, a większa część urządzeń samorządnych stoi nam kością w gardle.

Nowy a wymowny dowód autonomicznego wstrętu dali ci posłowie, którzy tak licznie, jak na nasz kraj, pospieszyli poskładać mandata do sejmu, w drugiej zaraz kadencji, w której pozbawionym on jest prawa wyboru do Rady Państwa. Dziwny to rzeczywiście objaw autonomicznej cnoty, opuszczać sejm wtedy, kiedy przestał on wysyłać delegatów do centralnego parlamentu; złośliwi mogliby ztąd wnosić, że nasi autonomiści zubożeli dla sejmu od chwili, jak nie może on zaspokoić ich aspiracyj centralistycznych; my tego nie powimy, już dlatego, że w niejednym wypadku byłoby to nieprawdą; ale nie mniej zapisać musimy jako bardzo dziwny a nawet smutny fakt, że wtedy, kiedy przeciwnie nam stronnictwo czyni co tylko może, aby poniżyć sejmy i zmniejszyć ich znacznie, my zamiast opierać się temu, ułatwiamy znacznie zadanie i wtorujemy

niejako centralistycznemu okrzykowi na pochybel sejmom, opuszczając gromadnie sejm galicyjski i ogalając go z dobrych a nawet jak w tym wypadku z lepszych sił. Niezawodnie nie jest to ani najlepszy ani praktyczny sposób utrzymania powagi i zachowania uroku sejmu, a ta nowa dezercya mieć może bardzo złe skutki, jeżeli kraj i opinija publiczna właśnie teraz nie nacehuje jej należycie. Kto nie czuje się na siłach, kto przekona się, że nie ma do zawodu politycznego powołania, niech ten opuszcza sejm, przykłaśuiemy mu zawsze z entuzjazmem, ale niechże nikt nie opuszcza go dla tego, że jego stanowisko polityczne zmalało, że odcięto go od wielkiej areny politycznej w monarchii, dla tego że nie ma w nim co robić, bo wtedy sami przyłożylibyśmy rękę do dzieła nieprzyjaciół naszych i ułatwilibyśmy im nadzwyczajnie zadanie i osiągnięcie ostatecznego celu. A przecież widzimy i to z nie małym żalem, między tymi, którzy złożyli mandaty, ludzi niezaprzecznie potrzebnych w sejmie, a nawet widzimy, że smutkami jednego z najwięcej znaczących u nas politycznie, który właśnie w sejmie rozwijał wielce użyteczną działalność, który umiał do pewnego stopnia wpływać na jego postanowienia i to w kierunku, któremu zawsze należało przyklasnąć, słowem jednego z tych, których znać było w każdej sesji sejmowej. Przykro nam zapisać i jego i niektórych jego towarzyszy ubytek ze sejmu tem przykrej, że zdaniem naszym nietylko mała polityka ale i większa obecnie jedynie w sejmie może odżyć i wyrosnąć w owocodajne drzewo. Nie w delegacji do Rady Państwa, ale w sejmie winna się wyrobić polityka narodowa, polityka polska Galicyi, jeżeli chcemy, aby miała siłę i moc, aby wzbudzała uszanowanie i zaufanie, aby się z nią rachowano. W sejmie też winien się wytworzyć przyszły program naszej polityki, którego obecnie nie ma, a którego brak jeżeli nie jest dowodem niemocy, to jest zawsze błędem. Był czas w którym chorowaliśmy na manię programów, dziś wpadamy w przeciwną ostateczność, a całe nasze życie publiczne jest bez planu, bez wytkniętego celu i nietylko politycznie jesteśmy bezsilnymi ale także jałowymi. Tak długo pozostać nie możemy, bo są rzeczy sprzeczne z naturą, które nie trwają. Życie polityczne jakiegokolwiek, bez programu, bez celu, bez kierującej nim myśli, jest niemożliwością bo w końcu dochodzi do *absurdum*. Program więc i cel wytknie ktokolwiek lub przypadek, a wtedy znów stracić możemy lata na gonieniu za marą, za jakimiś złudzeniami, na szamotaniu się z niepraktycznym niemożliwym, lub co gorsza szkodliwym programem. Dlatego zdaniem naszym, sejm pospieszyć się powinien z wyrobieniem dla kraju programem i tylko pochodząc z sejmu, może on być zdrowym i znaczącym tak dla kraju jak dla Wiednia, tak dla swoich jak dla obcych.

Aby jednak program był zdrowym, cel wytknięty naszemu działaniu i życiu politycznemu jasny i zgodny z interesami narodowymi, trzeba aby go wytworzyły zdrowe czynniki polityczne i aby się opierał na pewnych zasadach i tradycjach narodowych. Dlatego *pour revenir à nos moutons*, nie przestaniemy twierdzić, że dopiero wtedy zabłyśnie nadzieja jakiegoś rozumniejszego i użyteczniejszego działania politycznego u nas, kiedy utworzy i zorganizuje się w sejmie stronnictwo zachowawcze. Tylko zespolenie wszystkich sił i czynników zachowawczych i rozsądnych w jedno, dobrze określone stronnictwo, może wydzwignąć politykę galicyjską z nicości i przeskodzić jej powtórnemu wkroczeniu na manowce i błędne drogi, po których nieuniknienie dochodzi się do nicości.

Chwila obecna byłaby najsposobniejszą do wytworzenia przez sejm programu dla dalszej naszej polityki, a zdaniem naszym, jest ona zarazem ostatnią, jeżeli się chce uniknąć zgubnych lub szkodliwych programów.

Gdyby nareszcie zachowawcze wszystkie czynniki, które ostatecznie istnieją w naszym społeczeństwie, mogły się zespolić; gdyby pod wpływem tego zespolenia utworzyło się w sejmie silne, jeżeli nie liczbą to działalnością i energią stronnictwo: to zadanie jego i utworzenie programu zachowawczego i rozsądnego mniej byłoby może trudnem obecnie, niż kiedykolwiek. Dla nas przynajmniej program ten streszczałby się w kilku słowach: działanie wyłącznie wewnętrzne w granicach dzisiejszych i na podstawie politycznego *status quo*. Program ten miałby tę wielką nad wszelkimi innemi wyższość, że mógłby być natychmiast w życie wprowadzonym i że posłużyłby do wyzyskania dla dobra kraju i społeczeństwa polskiego położenia rzeczywistego, tem samem raz przecie przestalibyśmy się żywić czczemi nadziejami, a moglibyśmy się wziąć do rzetelnej pracy i stać się praktycznymi. Odpowiedziałby on, o ile się nam zdaje, tak dobrze ogólnemu położeniu politycznemu, jak i sytuacji politycznej w monarchii; ani pierwsze ani druga bowiem nie sprzyjają obecnie stawianiu jakiegokolwiek programu na zewnątrz, wywieszaniu postulatów i żądań daleko sięgających. Wysunięcie naprzód każdego zewnętrznego programu, naraziłoby nas tylko dzisiaj na nowe zawody i na nową stratę czasu, nie znaleźlibyśmy dla niego ani korzystnego gruntu ani sprzymierzeńców. Dopiero z czasem i w skutku przeprowadzenia powyżej przez nas wskazanego programu, wytworzyłyby się zewnętrzny program, który miałby niewątpliwą przyszłość, boby się opierał na rzeczywistej podstawie.

Nieprawdą jest, aby w dzisiejszych granicach nic już nie dało się zrobić dla kraju; ale niestety prawdą jest, że dotąd nic nie umieliśmy zrobić. Zadaniem więc stronnictwa, o ukonstytuowanie którego wciąż dopominamy się, polegałoby przede-

wszystkiem na rozsądnej, ale energicznej działalności w dziejszych politycznych granicach. W tych granicach są cztery arcyważne sprawy, których załatwienie utworzy już nader bogaty i daleko sięgający program, około którego właśnie ugrupować się może stronnictwo. Cztery te sprawy są: gmina, wychowanie, propinacya i drogi. Obejmują one znaczną i znaczącą sumę interesów moralnych i materyalnych, a ich spieszne i energiczne załatwienie mogłoby się stać hasłem stronnictwa. Pod hasłem koniecznego ich załatwienia mogłoby i musiałyby stronnictwo zmierzać do tego, aby rozwiązane zostały w duchu narodowym, zachowawczym i katolickim, i zaiste w tym kierunku otwiera się niemałe pole działalności dla uczciwych i dobrej woli ludzi. Podczas gdy sejm i kraj zajęteby były załatwieniem tych ważnych spraw, jednocześnie zadanie delegacyi ograniczałoby się na czujnej obronie *status quo* na zewnątrz aż do chwili, w którejby okoliczności i spełnienie programu wewnętrznego dozwoliły rozpocząć z korzyścią nową zewnętrzną kampanię na rzecz autonomii i większej samodzielności naszego kraju. Ale i wtedy jeżeli chcemy być loicznymi i nie osłabiać własnej podstawy, znak do rozpoczęcia dalszej walki winien być danym przez sejm, a względnie przez przeważające w kraju stronnictwo.

Oto w krótkich słowach, jak się nam przedstawia obecne położenie nasze w przededniu drugiej sesyi sejmowej po zaprowadzeniu bezpośrednich wyborów do Rady państwa. Nie jest ono świetnem, ale nie jest bynajmniej rozpaczliwem, byleśmy go znowu nie zmarnowali. Zmarnujemy je zaś uiewątpliwie, jeżeli znowu nie zdobędziemy się na zespolenie wszystkich uczciwych, rozsądnych zachowawczych czynników, jeżeli i nadal czynniki te będą działać w odosobnieniu i iść samomas.

Jeżeli niewątpliwie powyższy program wymaga przede wszystkim utworzenia w łonie sejmu stronnictwa, któreby usiłowało rozwiązać wzmiankowane cztery ważne sprawy w duchu zachowawczym, to przecież i poza sejmem i poza krótką sesyą sejmową winny one być obrabiane, dyskutowane i na-przód popychane w tym samym duchu i kierunku. Do tego zaś koniecznem, niezbędnem jest ukonstytuowanie klubu, który stałby się właśnie ogniskiem i zespoleniem stronnictwa zachowawczego, a który wywiesiłby dziś na swoim sztandarze załatwienie spieszne wszelkimi uczciwymi środkami: kwestyi gminnej, wychowania publicznego, propinacyjnej i drogowej. Zasady i dążenia tego klubu wskazują już same, Kraków, jako najwłaściwszą dla niego siedzibę.

St. Koźmian.

